SFINKS

CZASOPISMO LITERACKO-ARTYSTYCZNE I NAUKOWE

WYDAWANE I REDAGOWANE

przez

WŁADYSŁAWA BUKOWIŃSKIEGO.

ROK II. TOM VI.

WARSZAWA.
Adres Redakcji: **Hortensja 4.**

1909.

CZA...

K. 54 / 11

Wa17/2010

0841
11/05

BIBLIOTEKA

II/05

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku
FUWC006076

Spis rzeczy, zawartych w tomie VI „Sfinksa".

(Kwiecień, maj i czerwiec r. 1909).

I. Studja i rozprawy naukowe, literackie i artystyczne.

„Dwie rocznice" przez Ign. Chrzanowskiego 1
„Nowa teorja pochodzenia człowieka" przez K. Stołyhwę 9
„Mieczysław Karłowicz" przez dr. A. Chybińskiego (dokończenie) 74
„Powieść polska" przez A. Strzeleckiego 113
„Szczęście ludzkie" przez dr. J. Kodisową 161
„Darwin i Słowacki" przez W. Lutosławskiego 176
„Trzy fazy w twórczości N. Żmichowskiej" przez J. Dicksteinównę 255
„Matejko" przez J. Kleczyńskiego 273
„Początki romansu francuskiego i Astrea H. d'Urfé" przez A. Langego 337
„Nowe formy miłości w literaturze rosyjskiej przez Savitri . . 363
„Henryk Mann" przez A. Strzeleckiego 375
„Z literatury historycznej" przez J. Kurnatowskiego i J. Dąbrowskiego 398
„Luca della Robbia" przez Waltera Patera, przekład M. Rakowskiej 413

II. Powieści, nowele, poematy, dramaty.

„Nietota", powieść z tajemnej księgi Tatr przez T. Micińskiego . . . . . 25 i 197
„Pastorale" przez A. Hertzównę . . . . . 60 i 298
„W kaplicy Medyceuszów" przez M. Sobeskiego 85
„Drogi odludne" (poemat prozą) przez A. Szczęsnego 352
„Ginevra" przez H. Manna, przekład J. Przybyszewskiej 382

III. Liryka.

„Dobroczynność" przez J. Lemańskiego 101
„Przodownica", „Rybaczka" przez Z. Dębicką 105
„Szatan" przez R. Kreczmara 106

„Z leśnych wędrówek“ przez W. Nawrocką 108
„Letnia noc“, „Confiteor“, „Jesienią“ przez Z. Sunderlandównę . 109
„Fala“ przez Wł. Bukowińskiego 112
„Ośmiornica“ przez Br. Ostrowską 314
„Melancholja“ przez Savitri 316
„Opustoszała willa“ przez Z. Dębickiego 318
„Ronda miłosne“ przez W. Wolskiego 319
„W przyrodzie...“, „Przed burzą“, „Wschód księżyca“ przez W. Dzierżanowskiego 320
„Lekkomyślność“, „Obcinałam dziś róże“ przez M. Czerkawską . 321
„Złudzenia jasne“ przez L. Rygiera 323
„Z czary miłości“ przez J. Iwańskiego 325
„W podróży“ przez W. Zielińskiego 327
„Igraszka fal“, „Znam jedno ustronie“, „W wiosennem słońcu“, „Stroiłem Cię“ przez P. Hulkę 328
„Stworzyciel“ przez J. Trawińskiego 331
„ Mój ból“ przez W. Topór-Zabiełłę 332
„Z pieśni nad pieśniami“ przez J. Waritę 334
„Kwiaty“ przez St. Szadurską 337

IV. Odezwy i sprawy bieżące.

„Zjednoczenie autorów“ przez M. Cz. Przewóską 48
„Głos do redaktorów“ przez A. Kamieńskiego 138
„Na fali“ przez Władysława Bukowińskiego 428

V. Teatr i plastyka.

„Wrażenia teatralne“ przez Wł. Bukowińskiego 145
„Ostatnie wystawy warszawskie“ przez J. Kleczyńskiego 151
„Z powodu konkursu“ przez J. Kleczyńskiego 422

VI. Winjety i rysunki.

A. Ankowskiego, J. Boguckiego, M. Chybińskiej, St. J. Kozłowskiego, Matejki, Masłowskiego, H. Minkiewicza, E. Okunia, Slavicka, Z. Plewińskiej, M. Płonowskiej, J. Rembowskiego, L. della Robbii, A. Tabińskiego, Wł. Włodarczyka, A. Wolmana, J. Wronieckiego.

Przegląd prasy, książki nadesłane i ogłoszenia.

IGN. CHRZANOWSKI.

DWIE ROCZNICE.

Przemówienie na Wieczorze literackim „Sfinksa“,

w dniu 28 marca r. b.

„Precz, przeklęty! — woła Konrad do Gieńjusza — serc naszych tyranie, władco nieubłagany! każesz nam się wyrzekać, co rola dać może orana, i który chcesz, byśmy owoc wszelki od ust odjęli! Precz! Chcesz, abyśmy pamięć wlekli w mąk kaźnie i więzienia i wyrzekli się blasku dnia dla litości onych, co marli męczeni, a ginęli katowani? Tych dola nie naszą będzie dolą ani wołaniem“.

Nigdy jeszcze nie było w poezji naszej silniejszej napaści na niekrytyczny kult naszej przeszłości, niż owe gromy, które ciska Konrad z „Wyzwolenia“.

„Harpjo narodu! siły ssiesz nasze i spalasz je w czczy dym!“

A jednak przez usta tegoż Konrada mówi Wyspiański, że to tylko z przeszłości ginie, „co utrzymało się pustym dźwiękiem i farbą“.

Na szczęście, nie jedno w naszej przeszłości utrzymywało się nie pustym dźwiękiem, ale biciem uczciwego serca i pra-

cą rozumu, nie farbą, ale krwią ofiarną. I jeśli niepodobna zgodzić się na hasło Goszczyńskiego: „Przedewszystkiem cześć grobom“, to niepodobna się z nim nie zgodzić, kiedy mówi, że są w naszej historji takie czyny, iż „kto nad nimi nie pomodli się, ten, jak niegodny, niepoświęcony, wchodzi do naszej przeszłości“. Kto wątpi o tem, ten albo naszej przeszłości nie zna, albo kochać jej nie chce, łudząc się, że bez miłości tradycji można być patryjotą.

* * *

Z rozumnego kultu przeszłości, z miłości tradycji płyną obchody jubileuszowe. Co jest ich zadaniem? Mówi Norwid: „Pomiędzy przeszłością a przyszłością otwiera się próżnia rozpaczliwa... W tej próżni zrodzone pokolenie — pomiędzy przeszłością a przyszłością, nie złączonemi niczem — czemże w rzeczywistości ma pozostać?... Aniołem, co przelata—upiorem, co przewiewa—zniewieściałem niczem—męczennikiem—Hamletem“. Otóż obchody jubileuszowe powinny być pomocne w pracy około zapełniania próżni pomiędzy przeszłością a przyszłością, próżni, która powstaje wskutek braku znajomości dziejów narodowych i braku poszanowania dla tradycji. Zrodzeni w tej próżni m u s z ą być „Hamletami“, „zniewieściałem niczem“, bo nie mają się na czem oprzeć, — są naprawdę, jak „anioł, co przelata“, „jak upiór, co przewiewa“: bo przecie przeszłość to podstawa dla pracy na przyszłość, to fundament postępu. Tylko nie wolno zapełniać owej próżni byle czem, nie byle jakiem wspomnieniem, ale miłością czynów, które i na przyszłość są plenne, które posiadają dla kultury narodowej wartość nie przemijającą.

Do takich czynów należą, p o m i ę d z y i n n y m i, czyny wielkich twórców słowa, jako tych właśnie, którzy wzbogacili skarbiec kultury narodowej myślą głęboką, uczuciem płomiennem, natchnieniem twórczem. Kultowi takich czynów przyklasnąłby nawet Konrad z „Wyzwolenia“, skoro mówi, że „sztuka ma zarody nieśmiertelności i jedna jedyna jest tradycją“.

Chyba nikt nietylko słowem, ale i myślą nawet nie sprzeciwiał się przed laty jedenastu uczczeniu setnej rocznicy urodzin Mickiewicza, a dzisiaj wszyscy chyba pragną obchodzić uroczyście setną rocznicę urodzin Słowackiego. Dla tych dwu swoich największych poetów Polska „nie żałuje wawrzynu“, bo „święte“ ich hasła — jak mówi Asnyk w wierszu „Na obchód Słowackiego“, w wierszu, który równie dobrze charakteryzuje i zasługi Mickiewicza—„to nie hasła chwili, co przepadają marnie w ciężkich dniach rozbicia“: „wiara“ ich „nie zawiedzie, miłość nie omyli, lecz poprowadzi naród do nowego życia“.

Mylą się pokolenia w dróg swoich wyborze,
Jednak cel postawiony mylnym być nie może.
Gdyby nie głos natchniony narodowej lutni,
Który nie dał zmęczonym usypiać w letargu,
Czemżebyśmy dziś byli — my, nędzarze smutni?
Gromadą niewolników na publicznym targu,
Narodem bez przyszłości, bez celu, bez cześci,
Którym pan jego gardzi, chociaż czasem pieści.

Wprawdzieby nas żywiła szczodrzej polska gleba,
A plon naszby nie poszedł na pastwę płomieni,
Wprawdzie byłoby lepiej tym zjadaczom chleba,
Którzy się tuczyć pragną, z losem pogodzeni,
Lecz nad przyszłością naszą nocby zaszła głucha,
I naród cały został bez serca i ducha...

* * *

Lecz z wielkich twórców naszego słowa nietylko Mickiewicz i Słowacki zasługują na wieczną pamięć narodu. Niechaj wolno będzie przypomnieć, że za lat trzy, w roku 1912, przypadają — oprócz setnej rocznicy „pamiętnej wiosny wojny, wiosny urodzaju, obfitej we zdarzenia, nadzieją brzemiennej“, — jeszcze dwie inne rocznice: dnia 27 września roku 1912 upłynie lat trzysta od dnia, w którym w Krakowie, w skromnej celi zakon-

nej, zasnął na wieki ten, który w słowach natchnionych przepowiedział Polsce upadek; dnia 19 lutego roku 1912 upłynie lat sto od dnia, w którym w Paryżu urodził się ten, który w słowach natchnionych przepowiedział Polsce odrodzenie.

Czy warto te jubileusze obchodzić? Nie będzie tu z pewnością takiej jednomyślności, z jaką obchodziliśmy jubileusz Mickiewicza, a obchodzimy — Słowackiego; może nawet, i to z niejednej strony, podniosą się protesty, bo przecie nazwiska tych dwu ludzi, tak bardzo, tak jaskrawo od siebie różnych, jeżeli się w czem jednoczą, to właśnie w niechęciach i uprzedzeniach, których już za życia doświadczali, a których śmierć z sobą nie wzięła.

* * *

Skarga! To przecie Jezuita, „Hiszpan przeklęty“, „herszt rozbójników“, spowiednik i kaznodzieja nadworny „króla Jezuitów“ Zygmunta III; fanatyk, o którego „Procesie konfederacji“ mówiono, że jest krwią pisany; ciasny religjant, który podczas pamiętnej „nocy Jezuitów“ sparaliżował zamiary tolerancyjne sejmu warszawskiego!...

Ale czy tylko *taka* pamięć pozostała po nim?

Gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby Ojczyzną był język i mowa,
Posąg by mój stał, stworzony głoskami
Z napisem *Patri Patriae.*

W wieku XVI, w tym złotym wieku literatury niepodległej Polski, nietylko Kochanowskiemu należałby się taki posąg, ale i jemu, Skardze, jako „cudotwórcy języka polskiego i jego przemożnemu panu“, który prozę polską podniósł na najwyższe wyżyny doskonałości.

Niedosyć na tem. On był nietylko cudotwórcą języka ojczystego, ale zarazem „tyranem dusz ludzkich“; jego „Kazania sejmowe“ to nieprześcignione do dziś dnia

arcydzieło wymowy polskiej i jedno z największych w wymowie całego świata.

Ale, prócz gieńjalnej piękności słowa i jego niesłychanej w Polsce przedtem ani potem potęgi, czy jest co w „Kazaniach Sejmowych“, co byłoby trwałym dorobkiem naszej kultury narodowej?

O, tak!

A nie jest nim owo straszliwe proroctwo: „Bych był Jeremjaszem....“, ani owo, jeszcze straszliwsze: „Nastąpi postronny nieprzyjaciel...“ Może ono z czasem będzie już tylko wspomnieniem, może z czasem przestaną nas „popychać nogami tam, gdzie nas pierwej ważo-żo“... Ale nigdy nie będzie tylko wspomnieniem, zawsze będzie prawdą cudowne swoją pięknością, a głębokie mądrością kazanie o miłości ojczyzny. Co tylko było pięknego i mądrego, szlachetnego i świętego w naszej wielkiej literaturze patryjotycznej XVI w., — to wszystko skupiło się w tem kazaniu natchnionem, stopiło się w jedną całość myślową, uczuciową i artystyczną, podniesione mądrością Skargi do godności filozofji patryjotyzmu, a miłością — do godności jego poezji. W blasku tej filozofji, w ogniu tej poezji topnieją fanatyzm i nietolerancja Skargi! Pamiętajmy o tem, że patryjotyzm jego szedł — z niego, z jego własnego serca, a fanatyzm przyszedł do niego—z zewnątrz,—w owych czasach, dotkniętych ślepotą wyznaniową, która jest negacją a nawet parodją prawdziwej religji...

Jak Mickiewicz w swoim roku jubileuszowym stanął przed naszemi oczami, nie jako Gustaw, żyjący na świecie, „ale nie dla świata“, tylko jako Konrad—z piersią, „zbroczoną posoką“, z „tysiącem mieczów w ciele“ ze słowami na ustach:

Nazywam się miljon, bo za miljony
Kocham i cierpię katusze;

jak Słowacki w setną rocznicę swych urodzin staje przed nami, nie jako ten, który „przed męką uciekł“, tylko ja-

ko ten, który się wzbił Królem-Duchem w najwyższe regjony piękna i z tych wyżyn rzucał „zjadaczom chleba“ perły i brylanty swego natchnienia, aby ich „w aniołów przerobić“: tak Skarga w trzechsetną rocznicę swej śmierci stanie przed nami, nie jako autor „Procesu konfederacji“, tylko jako autor „Kazań Sejmowych“, — tak, jak go odtworzył Matejko,— z rękami wzniesionemi w górę, z twarzą, grozy i świętego oburzenia pełną, z wichrem Bożym w siwych włosach, ze straszliwemi słowami na ustach: „Cóż mam z tobą czynić, nieszczęśliwe królestwo?“

* * *

Jak Skarga, tak i Krasiński miał i do dziś dnia ma—może nie wrogów zaciętych, ale, bądź co bądź, nieprzyjaciół niechętnych: przecie to arystokrata, a zatem wstecznik, który „na ruch ludzki nie pozwala“, chcąc „zawrócić w stare łoże nowe fale — rzeki Boże“; który w „Nieboskiej Komedji“ potępił rewolucję i okrył hańbą obóz demokratyczny; karmazyn i szlachcic, który się ośmielił duszą narodu nazwać szlachtę, a lud — tylko ciałem!

Co za dziwne nieporozumienie, czy też umyślne przekręcenie myśli!

W „Nieboskiej Komedji“ nietylko Pankracy, ale i hrabia Henryk „za to, że nic nie czcił, prócz siebie, prócz siebie i myśli swych, potępion jest — potępion na wieki“. A co do rzekomego znieważenia ludu, a wywyższenia szlachty, to nie wolno przecie zapominać, że

> Dusza i ciało to tylko dwa skrzydła,
> Któremi czasu i przestrzeni sidła
> *Duch* mój rozcina w postępowym locie:

nie szlachta i nie lud, tylko *i* szlachta *i* lud stanowią naród Krasińskiego:

> Z tego ślubu jeden duch —
> Polski naród wielki sam!

Tak często przytaczamy z uwielbieniem dla Słowackiego — i słusznie — jego śliczne hasło oświaty powszechnej:

> Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
> I przed narodem niosą oświaty kaganiec:

ale czy Krasiński tego samego hasła nie wypowiedział? a może nawet jeszcze piękniej i p e ł n i e j?

> Wylać ducha na miljony!
> Ciałom wszystkim rozdać chleba —
> Duchom wszystkim — myśli z Nieba!
> Nic nie spychać nigdy w dół,
> Lecz do coraz wyższych kół
> Iść przez drugich podnoszenie!
> Tak Bóg czyni we wszechświecie —
> Bo cel światów — szlachetnienie!

Nie, Krasiński, jako poeta, nie należał do żadnej partji, nie był

> Ni komunistą, ni arystokratą,
> Ni panslawistą, ani demokratą,
> Ni jakiemkolwiekbądź innem przezwiskiem
> Nie zwał się nigdy. Jeśli jakim znakiem
> Znaczyć go chcecie, zwijcie go Polakiem,
> Bo kochał Polskę onę wiekuistą,
> Ziemsko-potężną i anielsko-czystą,
> W której się zaród wieków szlachetności
> Tak dowielmożni i tak dochrześćjani,
> Że się z niej stanie, jak Duchowa Pani
> Innych narodów. On żył w tej miłości
> I w niej też umarł. Serce jemu wrzało
> Goręcej w piersiach, niż u innych ludzi.

Ale co Krasiński rozumiał przez Polskę wiekuistą? Polskę odnowioną, przebudowaną — na niewzruszonym fundamencie ideału moralnego:

> Nikt nie stawia gmachu z błota —
> I najwyższy rozum — cnota.

I jeszcze:

> ... na ziemi być Polakiem —
> To żyć bosko i szlachetnie!

Krasiński to dla nas nietylko natchniony poeta — poeta-myśliciel i poeta-wieszcz, ale zarazem poeta-apostoł, archanioł wiary i nadziei, miłości i dobrej woli. Prawdę powiedział Stanisław Szczepanowski, że poezja Krasińskiego—to nasza ewangielja narodowa i że „mrzonki naszych poetów tylko wtedy staną się mrzonką, jeżeli ich wiara w szlachetność narodu polskiego także okaże się mrzonką".

* * *

Oto nie wszystkie jeszcze, ale główne tytuły Skargi i Krasińskiego do naszej miłości i czci. Ich imiona dla nas to nie pusty dźwięk, nie farba! Możemy śmiało i powinniśmy za trzy lata obchodzić trzechsetną rocznicę śmierci Skargi, a setną — urodzin Krasińskiego. Niech te dwa jubileusze choć trochę przyczynią się do zapełnienia próżni pomiędzą naszą przeszłością a przyszłością! Niech rozszerzą i pogłębią w sercach naszych miłość tej „Matki najmilszej", „która nas urodziła i wychowała, nadała, wyniosła"! Niechaj rozbudzą w nas i ożywią ten skarb największy, o który się dla swego narodu modlił Krasiński:

Błagamy Ciebie — stwórz w nas serce czyste —
Odnów w nas zmysły — z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę!

K. STOŁYHWO.

NOWA TEORJA POCHODZENIA CZŁOWIEKA.

W latach ostatnich F. Ameghino, dyrektor Muzeum Narodowego w Buenos-Aires, poczynił w Ameryce Południowej niezmiernie ciekawe znaleziska paleontologiczne, dotyczące Małpozwierzy, Małp i szczątków ludzkich*). Opierając się na tych znaleziskach, a także na badaniach porównawczych nad Małpozwierzami i Małpami Starego Świata, oraz nad szczątkami ludzkiemi dyluwialnemi, Ameghino wyprowadza wspólny pień rodowy Małp i Człowieka z Ameryki Południowej i wypowiada szereg ciekawych wniosków w zakresie stosunków pomiędzy Człowiekiem a poszczególnemi grupami Naczelnych.

Nie przesądzając bynajmniej, czy teorja Ameghiny okaże się w przyszłości słuszna, czy zyska potwierdzenie w innych gałęziach wiedzy, czy też, jak to spotkało już wiele teorji, ulegnie obaleniu, a przynajmniej znacznej

---

*) F. Ameghino. „Les formations sédimentaires du Crètacé supérieur et du Tertiaire de Patagonie". (Annales d. Musée National d. Buenos-Aires. Bd. VIII. 1906).

modyfikacji,—sądzę, że ze względu na doniosłość sprawy, jakiej dotyczy, zasługuje w każdymbądź razie na bliższe poznanie, bodajby w najogólniejszych zarysach.

Podobnie jak Ihering, Lydekker, Tollberg, Ameghino przyjmuje istnienie w okresie kredowym, a także i w czasach późniejszych, połączenia lądowego pomiędzy Ameryką Południową i Afryką. Ląd ten, nazwany przez Iheringa „Archellenis“, stanowił rodzaj mostu, przez który odbywały się migracje rozmaitych gatunków zwierzęcych. Ameghino twierdzi, że połączenie to, choć w rozmiarach zmniejszonych, istniało jeszcze przez ciąg Eocenu, a nawet, w postaci szeregu wysp, przetrwało aż do połowy Miocenu. Tym właśnie szlakiem odbyć się miała migracja Małpozwierzy i Małp właściwych na obszar Paleogei.

Według Ameghiny, kolebką Małpozwierzy była Ameryka Południowa, skąd posuwając się na wschód przedostały się do Afryki, a następnie do Euroazji. Rzeczywiście szczątki Małpozwierzy, znalezione przez Ameghinę nader licznie w górnej Kredzie w Patagonji, są najstarszemi ze znanych dotychczas, gdyż na Starym Lądzie występują one dopiero w Eocenie, przyczem, zdaniem Ameghiny, zdradzają już rozwój bardziej specjalny.

Podobnież i Małpy właściwe rozwinąć się miały na kontynencie Ameryki Południowej. W samej rzeczy, podczas gdy na Starym Lądzie znaleziska paleontologiczne dotąd nie wypełniły przerwy, istniejącej pomiędzy Małpozwierzami Eocenu i Oligocenu dolnego a Małpami Miocenu środkowego, zarówno w zakresie ciągłości występowania, jak ciągłości rozwoju, — w Ameryce Południowej przerwa ta nie istnieje, gdyż w miarę wygasania Małpozwierzy w Eocenie, w tym samym Eocenie dolnym pojawiają się już Małpy właściwe. Jak dotąd posiadamy z tego właśnie okresu dwa kształty, nazwane przez Ameghinę: Pitheculites i Homunculites. Pierwszy z nich przedstawia małpę typu bardzo

jeszcze pierwotnego, bez specjalnie rozwiniętych znamion Ameghino wyprowadza ją od Clenialitidae — Mał

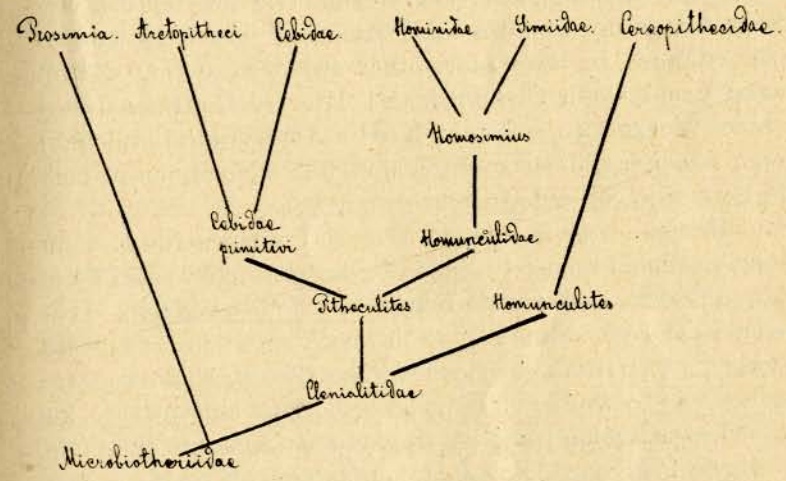

pozwierzy z górnej Kredy. Pitheculites jest najmniejszą ze znanych małp. Jego zęby trzonowe górne są wybitnie czteroszczkowe, co, zdaniem Ameghiny, stanowi dowód, że taki właśnie typ trzonowych był pierwotną właściwością małp i że z niego dopiero wytworzył się typ trójszczkowy. Ze względu na całokształt znamion Ameghino uważa Pitheculites za należącą do pnia rodowego, z którego wyróżnicowały się pierwotne Cebidae i Homunculidae.

Druga małpa z Eocenu dolnego Patagonji, jak się okazało przy bliższem jej zbadaniu, niewłaściwie nazwana przez Ameghinę Homunculites, posiada znamiona morfologiczne znacznie bardziej zdecydowane, aniżeli Pitheculites. Ameghino uważa ją za pień rodowy pierwotnych Cercopithecidae. Jej zęby trzonowe odpowiadają zupełnie zębom Makaków, a podobieństwo rozciąga się również i na żuchwę. Jedyna różnica rzeczowa pomiędzy uzębieniem u Homunculites a uzębieniem u Cerco-

pithecidae Starego Lądu polega na tem, zdaniem Ameghiny, że u Homunculites zęby trzonowe zmniejszają się w kierunku od przodu ku tyłowi, przeciwnie zaś u Cercopithecidae, ulegają w tym kierunku zwiększeniu. Według Ameghiny budowa taka, jaką widzimy u Homunculites, stanowi budowę pierwotną; świadczą o tem właściwości uzębienia u Clenialitidae i Microbiotheriidae (pierwotne Workowate z dolnej Kredy Ameryki Południowej) t. j. postaci, najbliżej spokrewnionych z Homunculites na liñji rozwojowej wstępującej.

Przechodząc z dolnego Eocenu Patagonji do Eocenu górnego, znajdujemy tu znów kilka gatunków małp kopalnych, które Ameghino łączy w jedną rodzinę: Homunculidae. Rozwój tych małp jest już znacznie wyższy, niż gatunków poprzednich. Ze względu na wązką budowę otworów nosowych, na ich skierowanie ku dołowi, szczególniej zaś ze względu na znaczne zwężenie okolicy międzyoczodołowej Homunculidae wykazują niezaprzeczone zbliżenie do typu Małp wązkonosych. Jedynie tylko ich formuła zębowa z 3-ma przedtrzonowymi, nie zaś z 2-ma jak u Małp wązkonosych, różni je od tych ostatnich. Lecz właśnie objaw ten, zdaniem Ameghiny, ma doniosłe filogienetyczne znaczenie, oczywista jest bowiem, że postacie, posiadające 2 przedtrzonowe, wyjść musiały z postaci o 3-ch przedtrzonowych, a takiemi są właśnie Małpy amerykańskie. Stąd też Ameghino przyjmuje Homunculidae za pień rodowy, z którego w następstwie wyróżnicowały się Antropoidy i Hominidy. W hypotezie tej posuwa się on jeszcze dalej nawet, twierdząc mianowicie, że Homunculidae bardziej zbliżają się do typu ludzkiego, niż do typu antropomorficznego. Pogląd ten opiera on między innemi na danych następujących: U Homunculidae okolica zrostowa żuchwy (symphysis) jest szeroka i wysoka; znamiona te uwidoczniają się szczególniej silnie w gatunku Antropops, u którego nadto bródka jest mało cofnięta wtył; nadaje to jego żuchwie wygląd bardziej ludzki, niż to ma miejsce

u jakiejkolwiek innej małpy. Antropoidy odsuwają się pod tym względem dalej od człowieka, niż Homunculidae. W uzębieniu Homunculidów bądź zupełnie niema diastemy, bądź jest ona bardzo nieznaczna; przeciwnie u Antropoidów i Małp wązkonosych, diastema jest silnie wyrażona. Zęby sieczne Homunculidów są osadzone niemal pionowo, a ich korona ma powierzchnię górną startą poziomo, co wskazuje na słaby stopień prognatyzmu zębowego i nie spotyka się nigdy u Antropoidów. Kieł jest stosunkowo niewielki i nieznacznie tylko przewyższa sąsiadujące z nim siekacze i przedtrzonowe. Zęby przedtrzonowe posiadają, podobnie jak u człowieka, jeden korzeń, podczas gdy u Antropoidów i Małp wązkonosych mają dwa korzenie, wyraźnie rozdzielone. Nadto na szczątku czaszki gatunku Homunculus widać czoło wyżej sklepione, niż u Antropoidów i innych małp, oraz brak wydatnych łuków brwiowych. Nietylko jednak uzębienie i czaszka, lecz również i pozostały szkielet, a przynajmniej te jego części, które nam są znane, świadczą, zdaniem Ameghiny, o znacznem zbliżeniu, jakie istnieje pomiędzy Homunculidami a Człowiekiem. Mianowicie, sądząc z budowy kończyn tylnych gatunku Homunculus, przypuszczać można, że Homunculidae nie pędziły życia nadrzewnego, lecz posiadały już umiejętność chodu w pozycji wyprostowanej, lub napół wyprostowanej. Wniosek ten opiera Ameghino na wielkiem podobieństwie budowy kości udowej Homunculusa i Człowieka, oraz na ukształtowaniu powierzchni stawowatej kłykci udowych. Wreszcie, co się tyczy kończyn przednich, to ramiona Homunculusa są stosunkowo znacznie krótsze, niż ramiona Antropoidów, i budowa kości ramieniowej, bardziej niż u Antropoidów, odpowiada stosunkom ludzkim. Zważywszy cały ten szereg analogji, istniejących w budowie Homunculidów i Człowieka, Ameghino dochodzi do przekonania, że są to najbliżsi znani nam krewni nasi w prostej liñji rozwojowej.

Ameghino przyjmuje dla rozwoju Naczelnych dwa wręcz przeciwne kierunki; jeden z nich prowadzi do uczłowieczenia, drugi zaś do bestjalizacji. „Znamieniem zasadniczem Człowieka“ — pisze on, — „jest silny rozwój mózgu, a co za tem idzie rozwój czaszki, której kształt zbliża się do kulistego. W gromadzie Ssaków żaden z przodków człowieka w linji prostej nie posiadał czaszki o grzebieniach wydatnych. Microbiotheriidae, znajdujące się u podstawy pnia rodowego Człowieka z zakresu Ssaków, miały czaszkę gładką, bez grzebieni kostnych. Przechodząc od nich do Małpozwierzy z górnej Kredy i dolnego Trzeciorzędu, a następnie do Homunculidów i wreszcie do Człowieka, widzimy, że czaszka li tylko zwiększała swe rozmiary i stawała się coraz bardziej zaokrągloną. Ten kierunek rozwojowy nazwać można dążeniem ku uczłowieczeniu“. Lecz od prostej linji rozwojowej, prowadzącej od Clenialitidów do Człowieka, oddzielały się kolejno w okresach rozmaitych gałęzie boczne, w których zachodził rozwój odrębny, polegający na coraz silniejszem kostnieniu czaszki, łącznie z potężniejszym rozwojem kłów i trzonowych. Tą drogą powstało wydłużenie pyska, wytworzenie się silnych kres skroniowych, grzebienia potylicowego i strzałowego, zgrubień nadoczodołowych i t. p. znamion. Ten kierunek rozwojowy u Naczelnych nazwać można: dążeniem ku bestjalizacji. Zdaniem Ameghiny, żadna z małp, dziś żyjących na obu półkulach, nie może osiągnąć uczłowieczenia, ponieważ wszystkie one kroczą po drodze bestjalizacji i oddalają się coraz bardziej od człowieka. Z tych gałęzi bocznych rozwojowych pod względem budowy czaszki najbliższe pokrewieństwo względem człowieka wykazują niektóre małpy amerykańskie, n. p. Cebidae, a z pośród nich szczególniej Saimiri, którego czaszka bardziej zbliżona jest do ludzkiej, aniżeli czaszka jakiejkolwiek Małpy Człekokształtnej. Jest to jedyna małpa, u której dziura potylicowa jest tak daleko posunięta na-

przód, jak u człowieka, i podobnie jak u niego zwrócona jest ku dołowi.

Co się tyczy wreszcie stanowiska Antropoidów względem Człowieka, oraz samej sprawy uczłowieczenia, a mianowicie miejsca i czasu w którym się ona dokonała, to Ameghino rozwiązuje te kwestje jak następuje:

W połowie Miocenu Amerykę Południową zamieszkiwała już istota, na tyle rozwinięta umysłowo, że posiadała umiejętność sporządzania niezmiernie pierwotnych narzędzi kamiennych. Narzędzia takie, oraz krąg szyjowy drobnych rozmiarów znalazł Ameghino w pokładach miocenicznych i przypisuje je „poprzednikowi człowieka“, którego określa nazwą: „Homosimius“. Ameghino przypuszcza, iż ten właśnie „poprzednik“, a wraz z nim i Cercopithecidae, jeszcze w końcu Oligocenu lub w początkach Miocenu przedostać się musiały z Ameryki Południowej na Paleogeę, dzięki połączeniu, jakie wówczas istniało jeszcze pomiędzy Ameryką Południową a Starym Lądem. Tu Homosimius stał się wspólnym przodkiem Hominidów Paleogei, oraz Antropoidów, które jako gałęź boczna oddzieliły się od Hominidów i uległy bestjalizacji.

Słuszną uwagę czyni w tej kwestji Mahoudeau, mianowicie, że jeśli Homosimius z Oligocenu lub z początków Miocenu ma być uważany za wspólnego protoplastę Antropoidów i Hominidów, natenczas przyjąć należy, że był on istotą mniej rozwiniętą, mniej wydoskonaloną w kierunku ludzkim, wogóle wcześniejszą rozwojowo, niż ów „poprzednik człowieka“ z Miocenu środkowego Ameryki, którego ślady działalności miał odnaleźć Ameghino. Hominid ten bowiem posiadał już zdolność sporządzania narzędzi, czego nie można przypuścić w stosunku do Homosimiusa, jako przodka Małp Człekokształtnych. Wiadomo bowiem, że, podobnie jak inne małpy, Antropoidy nie posiadają umiejętności sporządzania bodajby najpierwotniejszych narzędzi. Wprawdzie umieją one w razie potrzeby posługiwać się niekiedy kamienia-

mi, kawałkami drzewa, lub jakimkolwiek innym przedmiotem, który im wpadnie w ręce, lecz nigdy nie zostało stwierdzone, by zdolne były obrabiać te kamienie lub kawałki drzewa w celu przystosowania ich do użytku. Stąd też ów „poprzednik człowieka“ z Miocenu środkowego Ameryki winien być uważany za dalekiego potomka tych Homosimiidae, których pewna grupa w czasach znacznie wcześniejszych skolonizować miała Paleogeę.

Zdaniem Ameghiny, nawet i niektóre Hominidy wkroczyły na boczną drogę rozwojową; stosuje się to przedewszystkiem do słynnego Pithecanthropusa, a także do rasy Neandertalskiej. W obu przypadkach mamy do czynienia z gałęziami bocznemi, wygasłemi, oddzielonemi od pnia głównego Hominidów w okresie stosunkowo niezbyt od nas odległym. „Znamiona czaszki Neandertalskiej“,—pisze Ameghino,—„nie są znamionami istoty, która dąży ku uczłowieczeniu; są to raczej znamiona człowieka, kroczącego po drodze bestjalizacji“.

Tak więc, i przedostatni szczebel rozwojowy człowieka,—postać wspólnego protoplasty Antropoidów i Hominidów, rozwinąć się miała na gruncie amerykańskim. Co się zaś tyczy samego uczłowieczenia, to zdaniem Ameghiny, wobec tego, że „poprzednik człowieka“ żył już na obu lądach, staje się możliwem przyjęcie dla Paleogei i Neogei uczłowieczenia niezależnego, drogą rozwoju dwuch lub nawet kilku grup poszczególnych. Głęboka starożytność szczątków ludzkich, znalezionych w Ameryce Południowej, a zarazem pierwotność ich budowy zdają się skłaniać Ameghinę ku temu poglądowi, czyli ku przyjęciu dla Ameryki ewolucji antropogenicznej lokalnej, drogą rozwoju, dokonanego na miejscu, zupełnie niezależnie od podobnych zjawisk ewolucyjnych, które w tym samym miej więcej okresie czasu odbywały się na Starym Lądzie. Rzeczywiście szczątki ludzkie, znalezione ostatnio w Ameryce Południowej, zdają się sięgać bezporównania dalej wgłąb przeszłości, aniżeli znane nam dotychczas szczątki kopalne Paleogei. Pierwsze miejsce pod tym względem zajmuje czaszka z dolnego Pliocenu, pochodząca z Miramar, w pobliżu Buenos-Aires. O ile wiek pokładu, w którym została znaleziona, nie ulegnie zakwestjonowaniu, będzie to najstarsza znana czaszka ludzka. Co się tyczy jej morfologji, to uderza w niej przedewszystkiem budowa wysoko sklepiona i brak zapełny zgrubień nadoczodołowych. Czoło jednak jest bardzo pochyłe. Również zwraca uwagę i wygląd tylniej okolicy czaszki. Jest ona mianowicie silnie rozwinięta w kierunku wysokości, a mało wydatna ku tyłowi. Budowa taka robi wrażenie kształtu wywołanego deformacją i sam nawet Ameghino przyznaje, że „jest to prawdopodobnie wynik spłaszczenia potylicy, które zaszło w pierwszej młodości, lecz nie było rozmyślne“. Jednakże Giuffrida-Ruggeri przeczy temu poglądowi i neguje w danym przypadku możliwość deformacji nie rozmyślnej. Zdaniem jego, w czaszce z Miramar mamy do czynienia zarówno ze zniekształceniem potylicy, jak czoła, przyczem czoło ujawnia ten sam typ deformacji, jaki widzimy na czaszkach amerykańskich z okresu prekolumbijskiego. Nie możemy tu przypuścić, że czoło z natury już było pochyłe z powodu słabego rozwoju mózgu, gdyż przeciwnie rozwój ten w tylnej połowie czaszki okazuje się nawet nadmiernym i wytwarza zupełną sprzeczność z wyglądem połowy przedniej. Jest wprost niezrozumiałe, dlaczego mózg nie wywarł tu naporu na okolicę czołową, tembardziej, że ucisk przypadkowy na potylicę powinien był tem silniej go tam skierować. Brak tego objawu zmusza nas do przyjęcia ucisku sztucznego, zapomocą bandaża lub jakiegokolwiek innego urządzenia. „Wobec tego“—mówi Giuffrida-Ruggeri,—„należy się obawiać, że okres dolnego Pliocenu okaże się w rezultacie... okresem odkrycia Ameryki“.

Również z Pliocenu, lecz tym razem z jego warstw górnych, pochodzi, według Ameghiny, szkielet ludzki, znaleziony w Ameryce Południowej w Fontezuelas,

I tu także czaszka wykazuje brak zgrubień nadoczodołowych, czoło jednak jest znacznie silniej rozwinięte, niż u czaszki z Miramar. Wreszcie czaszka z Arrecifas, pochodząca z czwartorzędu, jak twierdzi Ameghino, zdaje się nie różnić swą budową od czaszek spółczesnych, wówczas gdy przeciwnie szczątki ludzkie z Dyluwium Europy tak odrębne są od typu dzisiejszego.

Zdania antropologów w zakresie przypuszczalnego wyglądu czaszki człowieka pierwotnego są podzielone. Jedni z nich, jak dotąd przeważający liczebnie, przypisują pierwotnemu typowi ludzkiemu nizko sklepioną czaszkę, wydatne łuki brwiowe, silniejszy rozwój szczęk i t. p. to jest wogóle znamiona takie, jakie widzimy u rasy Neandertalskiej. Znamiona te miały być dziedzictwem po wspólnym przodku człowieka i małp i dopiero w miarę różnicowania się typu ludzkiego, ulegały stopniowo złagodzeniu i modyfikacji w kierunku budowy człowieka spółczesnego. Wręcz przeciwnie jednak zapatrują się na na tę sprawę niektórzy antropolodzy, a w ich liczbie Ranke i Kollmann. Ich zdaniem nie nizko sklepiony, pithecoidalny kształt czaszki był właściwością wspólnego protoplasty człowieka i małp, lecz raczej kształt wysoko sklepiony, bez wydatnych łuków brwiowych. Główną podstawą, na której opiera się ta teorja jest rozwój ontogienetyczny Antropoidów. Rzeczywiście embrjony Małp Człekokształtnych, a nawet jeszcze i młode Antropoidy, posiadają czaszkę bezporównania bardziej zbliżoną do czaszki ludzkiej, aniżeli osobniki dorosłe. Czoło jest tu bardziej wypukłe, czaszka wyżej sklepiona, bez kres kostnych; z wiekiem dopiero, wraz z niezmiernym rozwojem aparatu żucia, wygląd ten ulega modyfikacji, a zarazem i podobieństwo do typu ludzkiego zaciera się coraz bardziej. Opierając się na tych faktach Kollmann wypowiada twierdzenie, że pierwotny typ czaszki ludzkiej musiał być wysoko sklepiony i że dopiero z czasem od pnia głównego oddzielić się mogły gałęzie boczne, w których rozwój uległ modyfikacji w kierunku pithecoidalnym.

Taką gałęź stanowi właśnie rasa Neandertalska. Przeciw teorji powyższej niezmiernie ostro występuje G. Schwalbe. Między innemi podkreśla on, że jeśli na podstawie wysoko sklepionego kształtu głowy, właściwego młodym Antropoidom, wnosić mamy o pierwotnym kształcie czaszki człowieka, natenczas równie dobrze moglibyśmy wszystkim małpom niższym przypisać wysoki kształt czaszki jako pierwotny, ponieważ taką właśnie budowę wykazują wszystkie Naczelne w rozwoju embrjonalnym. „Niestety“—pisze Schwalbe, — „ani obecnie, ani w okresach dawniejszych, nie spotykamy nigdzie nawet śladu tego wysokiego kształtu czaszki u osobników dorosłych. A przecie kształt ten wszak musiał kiedykolwiek istnieć u postaci dorosłych!“.... ...„czyżby zawsze i wszędzie kształty dorosłe powstawać miały z embrjonów bardziej niż one rozwiniętych, drogą degieneracji!“

Niejako odpowiedzią na te zarzuty Schwalbego, a zarazem potwierdzeniem teorji Kollmanna i Rankego, są znaleziska Ameghiny, oraz te wnioski, które on sam na ich podstawie wysnuwa. A wnioski te są tem cenniejsze dla przeciwników Schwalbego, że Ameghino dochodzi do nich zupełnie samoistnie, litylko na podstawie własnych badań i nie znając—jak twierdzi Giuffrida-Ruggeri,—ani poglądów swych europejskich spółwyznawców, ani krytyki, jaka przeciw nim była skierowana. „Że człekopodobny kształt czaszki“—pisze Ameghino—„właściwy Homunculidom i Saimiri, odpowiada typowi pierwotnemu i wyobraża stadjum, przez które przeszły małpy Starego Lądu, nie wyłączając Antropoidów, — dowodzi tego również i rozwój ontogienetyczny tych ostatnich. W pierwszej młodości wszystkie małpy Starego Świata, zarówno Antropoidy, jak Makaki, Semnopithecidy, posiadają czaszkę o kształtach zaokrąglonych, bez wydatnych kres kostnych, z pyskiem krótkim, jak u Człowieka, Homunculidów i Saimiri“... ...„Z wiekiem dopiero czaszka Antropoidów i wszystkich małp Starego Świata oddala się coraz bardziej od typu Człowieka, Homunculidów i Saimiri

i ulega stopniowo coraz silniejszej bestjalizacji". Te właśnie Homunculidae i Saimiri, — postaci dorosłe o wysoko sklepionej czaszce, — mogłyby być zacytowane Schwalbemu, jako zaprzeczenie jego poglądowi. Jednak Giuffrida-Ruggeri robi w tem miejscu następującą uwagę: Przypuszczać należy, że u Naczelnych mózg nie może ulegać zmniejszeniu w tym samym stosunku, co rozmiary innych części ciała, a to ze względu na istniejącą tu granicę czynnościową. Wobec tego postaci małe, jakiemi są właśnie Homunculidae i Saimiri, posiadać będą naturalnie mózg stosunkowo większy, a tem samem czaszka ich będzie wyżej sklepiona, a czoło mniej pochyłe. Z poglądem tym Giuffridy-Ruggeriego zgadzam się najzupełniej; zdaje mi się jednak, iż nie wyklucza on bynajmniej możliwości innego zarazem przypuszczenia, mianowicie, że na linji prostej rozwojowej od Homunculidów do Człowieka wzrost czaszki i wzrost mózgu zachodzić mogły w stosunku jednakowym, t. j., że parcie zwiększającego się mózgu na zwiększającą się czaszkę mogło zachować się równie silne, a nawet silniejsze u postaci następczych, niż u postaci przodków. Inaczej dziać się mogło na linjach zawojowych bocznych; tu wskutek odmiennego kierunku rozwojowego, kierunku, który Ameghino nazywa „ku bestjalizacji", mózg ulegać mógł rzeczywiście stosunkowo słabszemu rozrostowi, a co za tem idzie i kształt jego pokrywy stawać się mógł coraz niżej sklepionym, coraz bardziej różnym od typu pierwotnego. Takiemu spłaszczeniu uledz mogły czaszki Antropoidów i wszystkich małp Starego Świata, a także w pewnym stopniu i czaszki przedstawicieli rasy Neandertalskiej. Zresztą o ile gieologiczne określenie szczątków ludzkich z Ameryki Południowej nie okaże się błędne, to Ameghino, a zarazem i Kollmann, mieć będą na poparcie swych teorji materjał dowodowy pierwszorzędnej wartości. Rzeczywiście, dopóki rasa Neandertalska pozostawała na stanowisku najstarszej ze znanych ras ludzkich, teorja uznająca wysoki kształt czaszki za kształt

ludzki pierwotny, znajdowała się w sprzeczności z nizko sklepioną budową czaszki H. primigenius. Stąd też i ogół badaczy uważał znamiona właściwe rasie Neandertalskiej za znamiona cechujące człowieka pierwotnego. Obecnie czaszki z Miramar, Fontezuelas i Arrecifas, potwierdzając anatomo-porównawcze wnioski Kollmanna i Ameghiny, być może staną się faktycznym dowodem, że wysoko sklepiony kształt głowy był pierwotną, rodową właściwością człowieka i że zarówno Neandertalczyk, jak człowiek ze Spy i Krapiny, jak wreszcie kształty Neandertaloidyczne, stwierdzone w czasach już historycznych przez Cunninghama, Houzego, Tedeschiego, Giuffridę-Ruggeriego, Talko-Hryncewicza i Stołyhwę, stanowią tylko zwierzęcopodobne odchylenia od typu zasadniczego.

Ostatecznie Ameghino reasumuje wynik swych badań jak następuje:

I. W Ameryce Północnej spotykamy Małpozwierze w granicach trzeciorzędu starszego (Eocen), lecz Małpy właściwe nie występują tu przed końcem Trzeciorzędu; do Ameryki Północnej przybyły one z Południowej przez cieśninę Panamską. Małpozwierze starszego Trzeciorzędu Ameryki Północnej, znajdowały się już na drodze bestjalizacji.

II. W Ameryce Południowej spotykamy Naczelne nieprzerwanie, poczynając od górnej Kredy, aż do chwili obecnej. Małpozwierze zjawiają się w górnej Kredzie i wygasają w Eocenie dolnym. W Miocenie spotykamy ślady „poprzednika człowieka", a w Pliocenie pierwsze szczątki ludzkie.

III. Na Starym Lądzie spotykamy Małpozwierze i Małpy właściwe, lecz brak pomiędzy niemi ciągłości, zarówno co do czasu występowania, jak co do rozwoju. Małpozwierze występują w granicach Eocenu i Oligocenu dolnego, przyczem wszystkie znane gatunki znajdują się już na drodze do bestjalizacji. Małpy zja-

wiają się dopiero w Miocenie, najprzód w postaci Antropoidów, a nieco później Cercopithecidów.

Pomiędzy Małpozwierzami Eocenu,—mówi Ameghino,—a Antropoidami i Małpami Miocenn jest tedy przepaść. Przepaść tę wypełniają Naczelne Ameryki Południowej, z pośród których kształty bardziej prymitywne wiążą się z Małpozwierzami, a zaś kształty bardziej rozwinięte z Cercopithecidami, z Antropoidami i z Człowiekiem. Widocznem jest więc, że zarówno, Cercopithecidae, jak wspólny protoplasta Antropoidów i Człowieka, przedostać się mógł na Stary Ląd tylko z Ameryki Południowej.

Zanim skończę to pobieżne streszczenie pracy Ameghiny, chciałbym tu jeszcze zwrócić uwagę na jeden punkt jego teorji, mianowicie na ustęp dotyczący śladów „poprzednika człowieka“ (Homosimius) w Miocenie środkowym Ameryki, oraz przedostania się wspólnego protoplasty Antropoidów i Człowieka w okresie wcześniejszym, gdyż w końcu Oligocenu lub w początkach Miocenu, na obszar Paleogei. Oznaczenie tego okresu, jako okresu kolonizacji Starego Lądu, wydaje się Ameghinie słuszne ze względu, że dopiero poczynając od Miocenu środkowego spotykamy tu szczątki Antropoidów, oraz że „w tych właśnie pokładach miocenicznych znajdujemy ślady działalności poprzednika człowieka (Homosimius Bourgeoisi)“ *) Rzeczywiście olbrzymia przestrzeń czasu, dzieląca koniec Oligocenu od środkowego Miocenu, mogła być wystarczająca dla wyróżnicowania się z postaci wspólnego protoplasty Antropoidów i Hominidów, — istot na tyle rozwiniętych umysłowo, że posiadały już umiejętność prymitywnego obrabiania kamieni i używania ich jako narzędzi. Lecz odkrycia, dokonane ostatnio przez E. de Muncka, polegające na znalezieniu w paru miejscowościach Belgji krzemieni, noszących na sobie domniemane znamiona obrobienia, cofają ślady istnienia człowieka lub jego poprzednika w Europie jeszcze bardziej wgłąb Trzeciorzędu, świadcząc o jego egzystencji już w Oligocenie środkowym.

*) Chodzi tu o kamienie z domniemanemi śladami obrobienia, które znajdywane są w rozmaitych warstwach Trzeciorzędu w Europie. Wielu badaczy uważa je za narzędzia pierwotnego człowieka. Kamienie te oznaczane są nazwą „eolitów“. (Patrz „Eolity“ Bibljoteka Warszawska r. 1908 i „Starożytność człowieka“ Światowit r. 1908.

Wobec tego, a zarazem uwzględniając słuszną uwagę Mahoudeau, że rozgałęzienie się pnia wyższych Naczelnych na Antropoidy i Hominidy nastąpić musiało przed pozyskaniem przez Hominidy umiejętności sporządzania narzędzi,—należałoby sam moment migracji na Ląd Stary owego wspólnego przodka, o którym mówi Ameghino, cofnąć do okresu znacznie wcześniejszego niż Oligocen górny,—przynajmniej do Oligocenu dolnego. Modyfikacja taka nie wprowadzałaby zresztą żadnych zmian zasadniczych do teorji Ameghiny wobec tego, że Homunculidae, uważane przezeń za pień rodowy Antropoidów i Człowieka, występują już w Eocenie górnym.

Wreszcie zaznaczam tu raz jeszcze, że zarówno teorja „eolitów“ jako pierwotnych narzędzi człowieka, jak teorja Ameghiny, dotycząca amerykańskiego powstania i rozwoju Naczelnych,—są dotychczas prawdopodobnemi hypotezami tylko, lecz bynajmniej nie pewnikami. Dzieje rozwoju człowieka i stosunki pokrewieństwa, łączące go z innemi postaciami świata zwierzęcego, są dziedziną ciemną i zawiłą. O ile w ogólnych zarysach mówić możemy o przynależności człowieka do szeregu Naczelnych i o wyróżnicowaniu się jego drogą pozyskania specjalnego rozwoju mózgu, chodu wyprostowanego i mowy członkowanej, — o tyle ani nie znamy tych kolejnych stadjów, któremi kroczył rozwój jego, ani nie wiemy gdzie i kiedy nastąpiło jego uczłowieczenie, ani wreszcie, jakie stosunki pokrewieństwa łączyły go z poszczególnemi grupami Naczelnych i na ja-

kiej linji zachodziło to pokrewieństwo. Nieocenionemi drogowskazami w tym względzie byłyby szczątki kopalne, które, w miarę posuwania się wstecz wieków, świadczyłyby o przebytych stadjach rozwojowych i dostarczałyby w ten sposób wskazówek do odbudowania drzewa gienealogicznego człowieka i małp. W takich szczęśliwych warunkach znajduje się naprzykład gienealogja konia, którego szereg rozwojowy jest nam dokładnie znany, poczynając od dolnego Eocenu. Niestety, szczątków ludzkich z dawniejszych okresów posiadamy dotąd niezmiernie mało i przytem, nie licząc znalezisk Ameghiny, sięgają one zaledwie starszego Czwartorzędu.*) Eolitom zaś nie można przypisywać znaczenia decydującego, a przytem mogłyby one litylko rozwiązywać kwestję istnienia człowieka lub jego poprzednika w tych odległych okresach, lecz nie wyjaśniałyby morfologji tej zagadkowej istoty, ani stosunku jej do innych Naczelnych. Wobec tego odkrycia Ameghiny tembardziej zyskują na doniosłości i być może przyczynią się nawet do uchylenia choć rąbka tej zasłony, która przed nami kryje nas samych. W każdym bądź razie teorja Ameghiny, jako zagrażająca teorjom kilku wybitnych badaczy, obudzi niewątpliwie gorące zainteresowanie w świecie naukowym.

*) Po oddaniu artykułu niniejszego do druku w Grudniu roku ubiegłego, otrzymałem pracę Schoetensacka, dotyczącą znalezionej przezeń żuchwy ludzkiej pod Hejdelbergiem, w pokładach zaliczanych bądź do początków Czwartorzędu, bądź do końca Trzeciorzędu.

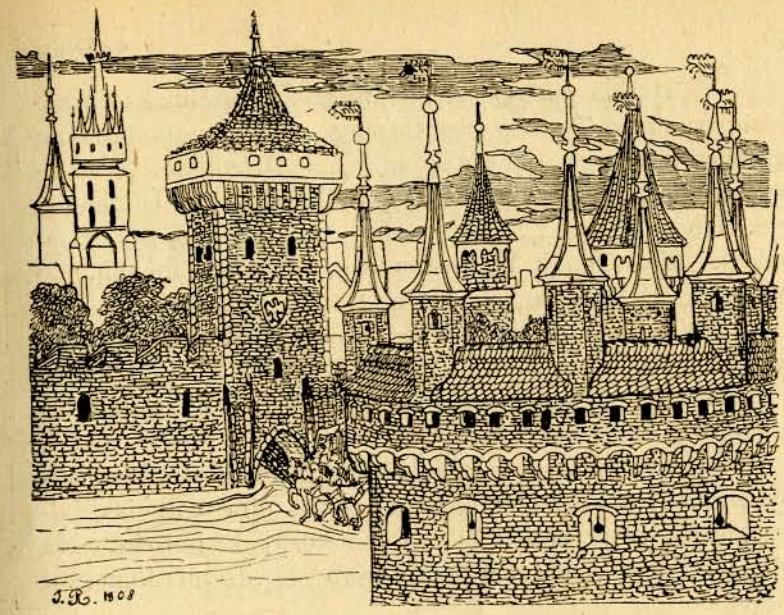

TADEUSZ MICIŃSKI.

NIETOTA.

POWIEŚĆ Z TAJEMNEJ KSIĘGI TATR.

X. Wielka Noc na Wawelu.

Noc kłębami śnieżnymi i wyjącym szturmem uderza.

Drżą żelazne bramy; dźwięczą w ołów oprawne witraże; huczy dalekie echo w podziemiach.

Nagle rozwiera się brama okuta, a wiodąca z mogił i kurhanów:

buchnęły światła zielone i fioletowe, stygmatami krwi usiane rozety —

to na klejnotach koron podziemnych, cierniowych i żelaznych tak — odbijają się pochodnie.

Idą....

Żywi czy umarli? różne postacie na przestworzu tysiącolecia z Polski dawnej i obecnej, od Krymu i Kaniowa — do Wenety i Żmujdzkich puszcz.

Hymnem milczącym, granym przez organy i chór, wywołują zaśnioną Duszę Narodu.

W tłumie poznaje się Samuela Zborowskiego, z dawniejszych wojów Zawisza Czarny ze skrzydłami, Mag Litwor, dzierżący młot z kuźni pod Ornakiem, Mickiewicz, Norwid, księżycowa twarz Słowackiego, Cieszkowski, Hoene-Wroński, Kopernik. Opodal samotny Krasiński. Mieszkańcy Turowego Rogu. I wielu innych, nie objętych tą kroniką bohaterów Dramy współczesnej.

Robotnicy górują liczbą i zapałem. Z nimi straszliwi, jak ptaki drapieżne, przewódcy buntu.

Chłopi w obudzonej świadomości — obywateli tej ziemi.

Witeź Włast w zbroi astralnej Przyszłości, lecz jakby wyszedł z kurhanu: krzewi się na nim cały las dziwacznych, trujących roślin i potwornych chimer. Na piersi ma herb, którym piętnowali się dawni Słoneczni Bracia.

Byłoby radośnie do łez, gdyby nie coś, co zadziwia: wszędzie nienawiść wybucha, kiedy ręka dotknie się cudzej ręki.

Jest li to wpływ ponurej Magji Trismegisty, który miesza zgrzytliwy, wyjący dysakord do grających zielenią łąk i lasów wśród wiosny na chórze organów?

w tem uwielbieniu Rozumu, Woli Twórczej i Wiary w Człowieka-Słońce — zahuczy On — Zły Duch piorunem nieszczęścia!

Słowo Trismegisty strąca mozolnie dźwignioną bramę Nadziei w otchłań, rozsiewa wzrokiem Węża zobojętnienie na najwyższej ofiary mękę.

W tym kościele krążą, walczą ze sobą, zmagają się archaniołowy i demoniczne blaski —

nieustannie przelatując—zmieniają wyżyny i głębie, błyskają, jakby język Ducha św. lub język szatana, nad tym, owóż nad innym —

to nagle w próżni wysoko, aż pod stropem, zaigra wielki hejnał płomieni łyśnicą bezgłośną.

Rozewrzeć trza inny wzrok w sobie, aby to wszystko widzieć; radować się nad wszystkiemi otchłańmi —

i mieć powagę straszliwą nad całą podłą groteskowością podszewki życia i natur ludzkich...

Mag Litwor, jak zwornik w kościele gotyckim trzyma zbiegające się łuki sklepień, tak on wiąże i wzmacnia te rozstrzelone elementy, które tworzą naród.

Spowiedź narodu!

Mówią ludzie czy widma? spowiedź jest to grzeszników? rozmowa bohaterów, wyszłych z Hadesu?

Mówi jaźń zbiorowa — mówi też człowiek pustyni.

Tragiczną boleścią rzeźbią się światła nad czarnym w krepie Chrystusem hetmanów — z jego cierni padają najżywsze krople krwi i tworzą cierniową altanę stygmatów, gorejących wśród mroków, głębszych, niż Gehenna!

NIEWIADOMY GŁOS MÓWI:

Kto jestem? wie tylko ten,
który wie, iż mnie wcale niema.
Śni mnie ktoś, jakby ciężki sen —
płacze ktoś o mnie pod brzozami trzema!
(wraz z Nim, mówią inni ten poszept religijny).
Imię Jezus powtarzam wśród nocy,
imię Jezus powtarzam, gdy płaczę —
imię Jezus powtarzam, gdy kracze
nad mogiłą moją ptak niemocy!
Imię Jezus napełnia moich serc komorę,
imię Jezus mam na każdym głazie,
imię Jezus zamienia mię w świętą potworę,
która idzie przez sady i kwitnące bazie.
Imię Jezus na wirchu mam księżyca góry,
którem wyrył, zanim ziemia ta była ognista!
imię Jezus wymawiam wśród życia tortury —
w domu obłędu, gdzie droga jest ciernista.
Imię Jezus kocham nad lice kochanki,
nad jeziora, nad lasy i nad świtania —
imię Jezus wprowadza mię w szranki
rycerzy bożych — Zmartwychwstania!

O, tajemnicze —
Ciebie z rąk gwiezdnych odbieram—i lśnień
w mojem sercu nie obliczę!

TARGOWICZANIN.

Nie kochaj mnie, Mroku, lecz mnie męcz — na kracie Wawrzyńca rozżarzonej — nie rzucaj mi za most złudnych tęcz, niech idę wciąż upokorzony.

Niech duch mój leży w głębi Tatr, gdzie huczy morskich głębin wir — niech mą opowieść śpiewa wiatr i konających orłów skwir!

* * *

Jam zły — i zaiste Szatan! plama na słonecznym bogu, zatrute żyto, trucizna, zebrana na przednówek w stogu!

WOLNOMULARZE POLSCY:

Dałeś nam, Mroku, mieczów siedem,
a wszystkie miecze obosieczne:
nieszczęsną Miłość — brak Miłości,
wpatrzenie oczu ślepych — wieczne!
nieugaszonych marzeń—kwiat parości,
zwątpienie, które jest nam Cred'em;
zamek Chrystusa na bajorze;
tętent szatana wśród Golgoty —
i krzyż milczący, w głębiach złoty,
który niewiarą pług zaorze!

TARGOWICZANIN INNY.

Idę wśród ciemnych pól Gehenny —
niech mrok obłąka mię promienny,
niechaj mię stawią pod pręgierze,
niech mię narodzi robaczne zwierzę!

EMIR RZEWUSKI:

Hjacynty wystrzeliły nad grobem Jezusa:
Marja z Magdali!
Nepenthesy czarne nad grobem Jezusa:
Mahomet-Ali!
Róże się krwawią nad grobem Jezusa:
Katarzyna z Sieny!
Paprocie tajne nad grobem Jezusa:
z ksiąg Awiceny!
Nenufary ciche nad grobem Jezusa:
mniszki śnią mękę!
Niebo wieczorne nad grobem Jezusa:
kometa Enke!
Ogrody pustyń nad grobem Jezusa:
Marja z Magdali.
Tarcze zagasłe nad grobem Belusa:
Mahomet-Ali.
Sfinksy olbrzymie wśród gór Edypa:
człowiek wybrany!
Nad Gopłem czarna opuszczona lipa:
wieszcz obłąkany!
Upiorna zorza nad oceanem,
okręt wśród lodu!
na świecie idę — w kraju nieznanym —
wódz bez narodu!

NIEZNANY WSPÓŁCZESNY:

Nie zatrzyma mię żona Putyfara,
idę do Myśli Ogrojca —
napisy czytam Baltazara,
przekleństwo mego Ojca!
Zahukał szatan w pustym Domu:
śmiech pewno ze mnie!
gdyż nie przyniosę dobra nikomu,
mówiąc te ciemnie!

II Współczesny:

A gdym wzniósł oczy — był już ranek —
i kąpałem się w bladym Oceanie!
na skale siedzi mój szatanek,
gra chutne pieśni na tympanie.
Lecz mi go nawet zakryją wody,
gdzie utonąłem bezrozumnie:
skałę Mojżesza mam w mej trumnie —
i pić z mych źródeł chcą narody!

III Współczesny:

Tak jestem szczęśliw, jak Chrystus nad krzyżem —
a tak samotny, jak duch, kiedy tworzy;
a tak na drodze — jak archanioł boży —
a tak ogromny — jakby grany śpiżem!
Z rąk moich płyną ziemi utworzenia,
choć jedna tylko gwiazda w mroku ze mną...
Wmyślony jestem w górę mych świateł tajemną,
gdzie mówią wokół Bracia wśród milczenia.
Jestem zaiste Moczar niepojęty
i życie moje — to czartów bezdroże;
jestem Czarodziej w lasach, trochę święty,
i z pni prawiecznych wydobywam zorze.
Mam ja wyklętą mądrość niewidomą —
me imię jest: omnis Homo!

* * *

Kapitan Anacharzis:

Tajnia mej wiedzy — to wielkie wstrząśnienie ziemi — wulkan, buchający słowami ognistemi wśród lodów.

Mistyczna zorza nad okrętem zamarzłym, burza nad światów zamętem, wielki hymn Wschodów!

Mój człowiek ciemny płynie w mroku nieprzejrzanym, gdzie gwiazdy już zgasły — a okręt utonie nad ranem.

Tam obłęd jarzy — i bezgwiezdne mroki, widma podmorskich cmentarzy.

Widzę Meduz latarnie — ich drgające ssawki — gniazda, utkane z piszczeli i trawki wśród mórz zamtuza.

Myśląc, wizjami gadam, jak Fr'Angelico!

Myśląc — ja Prometeusz, w otchłani Kaukazu rozpięty — odczuwam ludzi jakby kępę ślazu — z gromów muzyką!

Myśląc, jam mur Cyklopów — kościół odarty z pozorów, gdzie zamiast gromnic świecą oczy Wegi i skały zimne, twarde wśród przepastnych borów.

Krzyż runął w otchłań: Wokół niewiadome brzegi!

Jul. Słowacki.

Myśl — oto piekieł posłannica — ona mię na krużganek świątyń stawia i zachwyca!

Myśl — oto mroków służebnica — ona w pokorze klęka, mówiąc: tajemnica!

Myśl — to rozmowa wieczna Lucifera z Chrystusem, gdy gwiazdy krążą nad eterem!

C. Norwid.

Zmartwychwstań, duszo, która jesteś w górze — ludzie w otchłani Ciebie potrzebują; wśród rajskich witraży kadzidła wirują, hymn na organach gra, jakby kuł Tytan w marmurze!

Kościele polskiej ziemi, żywocie, co dźwigasz Jezusa — uczyń mój naród bólów najgłębszych pożarem! niech idzie w Przemienieniu — niech u Świętego Obrusa dzieli się Wiedzy przenajświętszym darem!

Kołatko śmierci, zamilknij u ołtarza: rozwarte piekło męki — to Voluntas Tua! Dokoła nicość—ale w niej się stwarza Dzień Genezyjski—muzyka olbrzymia i czuła!

Król Duch już za naród wyrzekł do otchłani: Jestem! wziął skrzydła gwiazd, a zamiast serca: Jeruzalem—

i nad Ocean uniósł się z gromowym giestem i trumnę Życia rozwarł Miłości opalem!

Głębokom jest—a nad wszystkimi światami! i w niebo wstępuję — ja i Ojciec — sami!

Tyle świateł wśród mroków! tu wśród niepojętej męki — z uśmiechem się nachylam do nóg Matki Ziemi świętej!

X. Bazyljanin.

Umarli, którzy jesteście ze mną na Wawelu! w tej czarnej z modrem sklepieniem królewskiej kaplicy, ukryci za nagrobkiem z mosiądzu, wy z nad rzek Hadesu, niosący kwiaty asfodelu!

Wy, przez witrażów klejnoty przeświecający królewscy pątnicy, którzy słuchacie olbrzymiej kantyleny chóru! kardynał wam odprawia mszę w mitrze złocistej Assuru, a pastorał trzymają okropne mumje — starzy dostojnicy.

Widzę głębiny serc tych—tu Jezus nie wstanie, ni Zygmunt, przez rozpustę zjedzony, w Alchemji.

Kamieniu wędrowników, któż cię ma? organów łkanie—umilkły! kaznodzieja huczy—tak mroczno i źle mi.

Xiądz mówi o Żydach, którzy przekupili żołnierzy nad grobem—i teraz przekupują tych, co wątpią w zmartwychwstanie —

Ja wątpię! i wszystkie modlitwy i długie konanie w mogile—i to, żem był bitym gromami Hijobem — każą mi wyjść z kościoła — dla honoru — krzyża.

Idę. I wielki ból mi pierś mą opancerza—na myśl, że idę sam — bez narodu — w wąwozach Golgoty...

Lecz słońca wszedł blask wieczny w me serce — tajemniczy, złoty.

IV Współczesny:

Wykąpana w grozie gróz — dusza moja cicho łka —
Idę w mroku — w ciemny mróz — pohańbiona dusza ma!

U żelaznych zimnych bram, gdzie lat tysiąc kościół trwa,

klękam w pustce — w mroku — sam! duch, jak wąż zdeptany, drga!

W dzwon ten mogił chciałbym tłuc, zakląć — niech w mem sercu gra!

bym jak dawny powstał Wódz — by Ojczyzna ze mną szła.

Lecz zbłąkanych ludzi tłum w piekle głupich marnych żądz,

a nad nimi gwiezdny tum — i ja — niemy warjat ksiądz!

I odprawiam czarną mszę — na tych głazach schylam skroń,

tu zimowe smętne krze, ziemi czarnej wilgna woń...

Księżyc, płacząc, nakrył mnie — jam wędrowiec, dawny trup!

grozy życia straszne dnie — a nad nami zimny grób!...

Wiara moja jest jak zórz nieskończona jasna dal — lecz przedziela mię świat burz i okropny trupi żal.

Wśród ohydy zeszła noc — zadżumionych ludzi rój,

Dzwon wciąż bije — ciemna Noc znów odpędza mię w grób mój!

(Rozchylają się mury i widać Miasto. Idzie tłum wśród błota z kopcącemi żagwiami).

Tłum. Mrok północny na dżdżystych ulicach Warszawy. Nad moczar wilgny i podziemny idziem, gdzie w budce szyldwach ciemny, a mur więzienia wyrósł do nawy bezdennie czarnych niebiosów.

Przez moczar wilgny wiedzie tama, latarnie, kwiaty prostytutek: zda się Gomora i Adama, Kartago, Babel i Sodoma...

W gasnących oczach lśni namiętny smutek, za badyl biorą się rąk stoma i, grzęznąc, toną w pleśniejącym mule.

Duch mroków bierze swą ofiarę, wiodąc w potępień martwą Thule!...

Wśród grozy więzienia nad moczarem błyska jaśń Bożego Syna... poznajem Go z Jego ramion uchylenia, — jaśnieje w mroku, jak lampa Maga Aladyna.

W mroczne sklepienia wszedł —

wyprowadza więźniów — w wolności krainę.

Cicho, tak cicho... nocne niebo szare i miasto żywych grobów tych prastare.

Wzniosły się marzeń monumenty — kabalistyczna iskrzy duchów brama —

ludzie z moczaru wznoszą się w ekstazie świętej na gór wulkany, jakby Fuzijama!

My w mroku—z myślami, co jakby kościół stary — myśli te więdną i butwieją —

i jak w głęboką pustą studnię—patrzymy w otchłań naszej wiary!

(Miecz i księgę bierze do rąk Mickiewicz, czyta ze św. Pawła list, a przetwarza go na życie własne).

MICKIEWICZ.

W pracach rozlicznych—w ciemnicach obficiej, niźli w tryumfie; rażon mękami nad miarę. W śmierci częstokroć—łzy mi płyną skrycie tak gorzkie, że ich nie śmiem dać Bogu w ofiarę!

I nic to, żem był od mędrków biczowan pięćkroć po czterdzieści plag bez jednej — litości byłem bit rózgami i raz'em był ukamionowan i trzykroć'em się rozbił w mojej barce biednej.

Noc tę pośmiertną byłem w morskiej głębi.

W drogach częstokroć—w niebezpieczeństwach rzek, w lasach, gdzie zbóje i gdzie strach ziębi oczyma powieszonych, z których duch już zbiegł...

Konały mi wierzenia jedno za drugiem... złe serce, czemu nie zawyjesz? poznałem w Polsce gwóźdź, który

mi nie dał iść za pługiem, lecz mię przybijał do trumny w życia osłonie.

W niebezpieczeństwach od rodziny — w niebezpieczeństwie od poganów, w niebezpieczeństwach w mieście, w niebezpieczeństwie na morzu; w niebezpieczeństwach na pustyniej i pośród kurhanów; w niebezpieczeństwach między fałszywą bracią i w własnem bezdrożu!...

W pracy i w kłopocie—w częstem niespaniu; w głodzie i pragnieniu—w pościech i w nędzy; w zimnie i nagości!...

Księżyc mię na barłogu oglądał, obłędnym wzrokiem Jędzy!

Oprócz tych szarpań, któremi bronuje mię życie — ileż krzyków sumienia! starań o wszystkie kościoły! ile krążących gwiazd, a pod niemi loch i wycie i żądza, co nagle wypala żagwią oczodoły.

Któż choruje—a ja nie choruję?

Któż się zgarsza—a ja nie jestem z Gomory?

Człowiek jestem i bóg szatanów mię policzkuje— w Damaszku serca mego zamknęły się zawory.

Trzykroć'em Pana prosił, aby mnie odstąpił — lecz On we mnie upodobał, kiedym jest bez mocy — i mnie zachwyca do Raju, gdym i w groby zwątpił, i zorze mi daje ślepemu wśród polarnej nocy!

Dzień przeminął — a noc się przybliżyła! i trzeba na sie włożyć zbroję jasności!

Im więcej jam poniżon—tem większą jest Siła i przyjdzie Świt—gdy z martwych wstaną kości.

Albowiem pewienem, że ani żywot, ani zgon — ani Aniołowie, ani księstwa, ni wszelkie duchy — ani teraźniejsze dzieje, ani przyszłych nieszczęść tron — ani moc, ani wysokość, ani w głębokości głuchej

Żadne stworzenie mię nie oddzieli od Bożej Miłości.

(która jest — zasłoną na mych oczach — w Niewiadomej Męce).

Łzy mi płyną — straszne zaobłędne łzy!... Na mogiły wychodzę, których wciąż więcej i więcej...

Jam Mojżesz, choć w pustyni nie mam już źródlanych skał! jam Eljasz, choć naród mój jest już mogiłą —

ja w czarnej otchłani będę jak Cherubim stał: duch Pański—jestem świat gniotącą bryłą.

Niewiadomy — może zły? klękam na grobie, i tak mi straszno, bo w ten grób się zwali wszystko, com wierzył —

Głos Trismegisty.

W bezmiernej chorobie!

Mag Litwor (bierze Biblję).

Nie należy już się spowiadać z tej biblijnej księgi. Było to kiedyś życiem.

Teraz kościół polską krainę ugniata i nie daje wyjść na góry, w oświetlone łęgi, i pracować nad przyszłością świata.

(Księgę kładzie na ołtarzu. Płoną zwolna karta za kartą. W stallach drzemiący budzą się prałaci — oburzeni, wskazują palcami na Maga Litwora i Mickiewicza).

Kardynał (wstaje w swych fijoletach).

Na kolana, duchy krnąbrne, na kolana!
cóż to, nie wiecie, że kościół bywa rózgą Pana?
to nie heder, aby każdy wnosił swoje komentarze!
u kościoła postawić żądam policyjne straże.
Tu nie Polska, lecz kościół rzymsko-katolicki!
za wami idą Żydzi i różne socjaliki-Wicki.
A ty, mości Mickiewicz — dano ci posągi
dwa kosztowne—to się ciesz. Lecz wara cuda czy-
[nić w naszej stągwi!
i wara sprawdzać tu — za świętym parawanem.
Krzyż ten zbyt jawnie świeci, okryć go krepą do-
[gmatów.

(Prałaci zasłonami okrywają krzyż).

Tłum.

Naczynie głupoty! Babilońska ścierka! wieczny Awinion! nasze serca krwawią się nad łanem, zasiewając ziarno Boga — —

a ci Annasze wznoszą grób... gorze im! gorze im!

(Z ciemnych kątów katedry wychodzą tłumy rozżarte i wrogie).

Grupa 1.

Głupie Polaki! dobrze wam było, kiedy wami rzą-
[dziła Esterka?
my teraz będziem rządzić! o Elohim! o Elohim!

Grupa 2.

Kościół jest jeden—z tej i z tamtej strony Buga — a przez męczarnię urasta nam w niebie zasługa.

Grupa 3.

Trędowatych usunąć,—owce, co mają krętki w głowie, co zjadają papierki święte... Pani Kozłowa opowie, jako czynili księża w miłosnym ogródku!
Poznać drzewo po mszycach, was proszą z za Bu-
[ga na wodku!
przemierzli! strzelajmy w nich, nim wszystkie sługi
[nam zatrują!
precz z ascetyzmem księży! lepiej nam z naszą na
[plebańjach rują!!!...

Legat papieski.

Silentium, Polacy! macie słuchać tego, co was kara wszystkich władców, jacykolwiek... Idzie do nieba.
[ofiara,
wszelka władza od Boga, — mówi Paweł.
Nawet kiedy sarnę
rozerwą w lesie wilcy — i to nie pójdzie na marne

Wszystko przewidział Bóg w prastarym swym ze-
[zegarze —
a krnąbrnych w imieniu Boskim—ja ukarzę!

(Do prałatów).

Wydobądźcie tę na zapas Encyklikę,
w duchu Tomasza z Akwinu, lecz zbrojną tudzież
[w politykę!

(W kościele burzy się — wre — niektórzy z jękiem chylą się do nóg Legatowi, który ich głaska. Prałaci podali mu papier—on daje kardynałowi do odczytania głośnego).

KARDYNAŁ.

Naród polski był od wieków nierządny.
Dostał się przeto w niewolę. Dziś—zamiast się kajać,
poczyna farmazonić — nawet się uzbrajać.
Miejcie cierpliwość: na końcu świata jest Dzień
[Sądny,
tak przyrzeczone w Piśmie. Wy, tworząc pogromy
w Kiszyniowie — w Odessie; mordując kozaków
na ulicach Warszawy; wy w nienawiści do Prusaków
wypędzając ich z ziemi — nie dziwcie się, że Bóg
[ukuł gromy
na wasz przewrotny obyczaj. Przeklinam wasze
[Veto.
Rozkazuję Wam nie mówić już o Polsce.
Podpis jest: Richtig! stimmt! Wot eto!

LEGAT PAPIESKI.

Rzymska Encyklika mnie samego oświeciła.
Polsko, Polsko—nie jesteś ty już memu sercu miła.
Margraf Kuno na ciebie się żali — i se non e vero
[e ben trovato —
jesteś dla wszechrozbrojenia wieczną tarapatą.
Przeklinam cię! choć jeszcze nie oficjalnie,
lecz nie waż się iść kroku dalej — w duchu ni so-
[cjalnie —

bo namiestnik Chrystusa i ta ziemna Trójca —
potrafi ujarzmić tego, kto mędrek i zbójca!

(W katedrze zapanowuje osłupienie. Niejeden osuwa się na ziemię w bezmocy, w innych wybucha gniew—rzucają olbrzymie kłody do stosu—nagłym ogniem zajmuje się w krepie żałobny Chrystus. Wtedy widnieje w murze ukryta jama. Wylatuje olbrzymi Puhacz-widmo w tjarze. Z pod stropu rozlega się cichy, złowieszczy dźwięk skrzydeł Trismegisty. Ludzie z toporami rzucają się do krzyża, by zrąbać. Wstrzymuje ich sędziwy Król Włast, który podnosi się z klęczek przed ołtarzem—długo trzęsie się ze wzruszenia, mówi—a z chórów odpowiadają mu śpiżowe dźwięki. Z hałasem powstają prałaci z miejsc, lecz rychło milkną).

KRÓL WŁAST.

Wiekuistna Prawda mówi w mrokach do mnie:
wyjdź z Watykanu!
nie łudź się pięknością loggi Rafaela, tem, że ogrom-
[nie
trwożą tytany w Ostatnim Sądzie u stóp Chrystusa
[rydwanu.
Wyjdź duszo z murów ciasnych Watykanu:
Sarto rozdarł ostatnią ułudy zasłonę
i ukazał Machjawelstwo słówkami grzecznione.
Wspomnijmy Borgjów, którzy doprawiali
trucizny, patrząc na podwórcu zamkowym,
jak za klaczmi goniły rozgrzane ogiery.
Majestatyczny papież wraz z synem i córą
gościom wierzącym leją do czar cyjankali.
Rasowe Afrykany! Wolę ich pryjapizm szczery,
na krzyżu Wenus i życie ciekące purpurą,
niż twoje, Sarto, cnoty — z gromnic zapachem jało-
— — — — — — — [wym.
Więc mówisz, że Mrok jest łagodny, rozumny!
pięknieś wykrajał taki szmat olbrzymi łgarstwa!

mówisz, że Polska rzezie sprawia, modląc się z swej
[trumny,
na której legł zmorą Krzyżak, jakby trądu warstwa!
Więc mówisz, że arcybożnik, wyżyty z rozumu,
dobrze uczynił, łając egzaltacji tłumu
i swoim księżom każąc stać na Bagna straży?
Zaiste, że im Chrystus swej ukaże twarzy
i na prawdziwą drogę wywiedzie.—Mówiłeś pielgrzymce
polskiej, która przyniosła grosze i hołdy składała
[twej drzymce,
Ty — dusz sułtanie, krwawszy niźli nad Bosforem,
gdyż pastwisz się nad sercem Polski, zbłąkanem
[i chorem —
że nas kochasz!—a handlarstwu sprzyjasz niewolników!
to gorzej, niźli 30 srebrników...

— — — — — —

Oh, widmo, widmo z okropnej ruiny --
w pomrokach duszy złe odprawiasz łowy:
zmroziłeś krzykiem pokorne doliny,
zabiłeś serca, Ptaku ciemnościowy!
Głuchy twój głos, lecz jest w nim groźba, jęk i po-
[tępień śmiechy,
łopotanie skrzydeł, czyniących ścieżki krwiopijczym
[upiorom...
wzdrygnęły się Chrystusa męki, wtulone pod strzechy
i wieść, że zaraza w Rzymie — pójdzie ku wiosen-
[nym borom.
Ujrzą Cię wówczas, Sarto, że jesteś bezwiedny
sługa szatana, bo prawdy w twym duchu nie staje!
Ty umęczeń furtą wiedziesz w lodowate kraje,
a za tobą idzie mrok, jak Wsadnik mjedny!
Tyś nieomylny? czemuż więc bluźnisz Duchowi?
kostur twój ostry i wzrok zimny sowi,
wraziłeś w serce Polski, kiedy zmartwychwstaje!

żeś stanął przy więzieniu w postawie żebraczej —
tego lud mój, tobie, Sarto — nie przebaczy.

Wyjdź z Watykanu, moja duszo!
w rozległe pola, gdzie Tatr śnieżne wirchy —
staw twą chatę pod lasem i z kozami gór
zawiąż przymierze — wsłuchaj się w grom i rzegot
[chmur!
Idź: w lochach Inkwizycji łańcuchy cię zduszą.
Skoroś jak Samson zatrzęsła tym filarem
kłamstwa—musisz na wiedzę już zmienić twą wiarę!
W ruinie ścigaj Puhacza Widmo, grzmij ogniem,
[aż się katownia zawali.
Wtedy przez lasy idź, na ciemne góry,
gdzie słońca wschodzącego zatlą się purpury
i ogień twój ofiaruj Niebu — o mocna, groźna, Pra-
[lechicka duszo!
idź—w mrokach już przebytych twój duch się kry-
[sztali!

(Ręką władczą rozchyla zasłony — widać zbliżające się Tatry, nad którymi Wawel unosi się w powietrzu — — wtem z drugiej strony ciemnieją uliczki Wilna przy Ostrej Bramie. Widać Polskę całą — Legat papieski, kardynał, prałaci cicho przeklinają wersetami z księgi świętej, łamiąc gromnice.

Występują księża w ubogich sutannach — kaplica Matki Boskiej Ostrobramskiej rozświeca się jutrznią, wieśniacy wnoszą wielkie snopy zbóż i zieleni).

Xięża młodzi.

„Umocnieni wszelaką mocą według możności Jego, we wszelkiej cierpliwości i nieskwapliwości z weselem.

Który nas uczynił godnymi dziedzictwa świętych,— który nas wyrwał z mocy ciemności i przeniósł w królestwo umiłowania swego“.

Witeź Włast.

Kiedy świeci słońce wśród pól
i Ty idziesz, Marjo Boża, ku mnie —
ja klękam wśród jasnej zieleni,
gdzie zboża kłonią się tłumnie —
jezioro wielkich płomieni
i mroczny bór litewski pełen kurhanów — zazul!*)

Lecz teraz ofiaruję Tobie — duch przedwieczny,
moją nędzę, abyś ją zmieniła w królestwo,
i zwątpienie moje, abyś przemieniła w Moc:
my bez komunji żyjemy słonecznej
i w zamku duszy mieszka rozpaczne jestestwo,
w zasłonie jęków idzie ponad ziemią Noc.

Niewyrażalna moja! w Ostro-bramie
klęczę i naród mój się we mnie łamie
i widzę jak zwycięża moczar — nie zagwiezdny bój:
Ty w koralach, — królowa księżyca,
jam Twój rycerz — Twój wzrok mnie zachwyca —
na dłoń mi kładąc pierścień, mówisz do mnie:—Mój!

Zaiste, ja—Mąż wiecznej Tajemnicy,
jestem jak Hjob obielony trądem —
kryjąc się w lochu — by nie znaleziono mnie.
Lecz idą ku mnie upiorni pątnicy
i otoczyli mnie gwiazd zmarłych sądem —
kamienny posąg Mroku, który w głębiach wie!

Przed niebem mię skarży Twój ból, Matko Ziemi —
że nie wzbudzam źródeł życia w umarłej otchłani!
Wrony kraczą na kurhanach; śpiew
dziki wojska lśniącego sztykami ostremi —
wielka zgnilizna narodu (— myśl, która rani
gorzej niż knuty!); więzienia lodowaty wiew —

*) Kukułki.

oto wymowy moje! Na ziemi pełznie jakaś glista
o nóg mirjadzie — ruszają się szczęki żujące:
jej oczy jak reflektory, co strzegą kazamatów mur.
Ten potwór jest zlepieńcem — setki i tysiące
urzędów ludzkich — instynktów, ohyd i chmur —
ze skrzydeł mrocznych poznaję nagle Antychrysta.

Mój sztandar Wiary zda się ciche w polu źdźbło,
które przyciemnił macką ten potwór ślimaczy,
co w mogilnych dołach ma hyjeny żniwo.
O, niezgłębione przepaściste zło —
u brzegów jego w mej dumnej rozpaczy
na harfie olbrzymiej gram mą pieśń szczęśliwą.

Tajemniczy w ciemnościach wzgórze Gedymina —
legendarny gród Krzyża i mrocznej Kabały —
w błotnych ulicach mrowie — Izraela lud.
I uchylił Lew Sapieha swej trumny zbutwiałej:
męczone zakonnice przez miecz...
gdzie każda kość mówi modlitwą narodu o cud.*)

Nagle huk armat: łzy ciemnią moje oczy —
na morzu w mroku pali się okręt Oczaków,
jęk nad falami: ratujcie — bracia — nas!
Tak mszczą się dzieje: wielki miecz Polaków
nikomu już promieni jasnych nie roztoczy —
bo leży w rdzy — bo rządzi światem bezgwiaździsty płaz.

Mroczne szalejące morze mej woli,
które się targasz na głazach! więzi Cię ta Brama
Ostra, w której się narodu uprzytomnia los?
(Kwiat wymarzony w moczarach niewoli!...)
Wstań, duszo! niechaj runie wszelka już przed myślą tama —
w Niagarę głuchą — w Ocean mistycznych groz!!

Wolności! jak zamurowany rycerz konny —
wyjdź z kurytarza—z lochów, gdzie jest źródło krwi!**)

*) W lochach kościoła św. Michała w Wilnie r. 1655.
**) W podziemiach pod Bakszta.

weź miecz — na Ciebie czeka gród przyszły tysiąc-
[dzwonny,
okręty ładowne światłem wpłyną na burzliwe morze....
Pełne jest dziwów tajemnych ludzkości bezdroże,
wśród najgroźniejszych skał lśnią kryształne drzwi.

Wolności! wyjdź z tych krat—leć jako boży wiatr—
nad mrokiem życia błyśnij, jak kometa —
głębinę złącz z wirchem nadziemnej świątyni:
Błogosławiony, kto w kuźni życia pług wyczyni
i przez moczar powiedzie narody od Morza do Tatr,
a ziarno — niechaj Lucifer rzuca — Euergeta!*)

Wolności — wielbią Ciebie granitowe góry,
orzeł lecący, gdy brzmi w chmurach grom!
Tajemnic Matko: masz wojskiem Ahury!**)
Ty magów uczysz — i wieścisz w płomieniach,
Ty chleb anielski dajesz nam w więzieniach, —
Ty jesteś Krzyż—i Piramidy mrok—indyjskie Om!***)

Skrzydlate niech będą krzyża Twojego ramiona,
a miljonowy z fabryk udźwignie Cię tłum.
Muzyka we mnie gra — i morza ciemny szum —
zaiste, nie zmieńcie domu mej Matki w jaskinie
zbójów! —
teraz się dramat rozpoczął —
zasłona
otwarta: przed Wami Słońce!
za Wami — Eryńje! ****)

Kardynał.

Przeciąć gordyjskim mieczem! trza oświecić naród—
z Matki Bożej chcą uczynić kolumnę Vendôme dla
[Astaroth!

Legat Papieski.

Przeklinam! wirchy ducha! Tatry! Goga i Magoga!
za marzenia, za pychę krnąbrną—odbieram wam Boga!

*) Anioł mądrości, dobro czyniący.
**) Gieńjusze u Zendów.
***) Monosylaba mistyczna, znacząca Absolut.
****) Tajemnicze wysłanki Hadesu.

Król Włast.

Większa to jest chwila, niż kiedy Polska wiązała się z Rzymem!

(Tworzy się huragan rozjęku, złorzeczeń, przekonywań. Dalekie przestworza Polski całej znikają. Znów piętrzą się mury i kraty. Niektórzy rozbijają witraże, wystrzały; kamienie lecą, tłumy ze sobą walczą. Witezie porywają młoty, aby rozwalić mury).

Mag Litwor.

Wzmożcie się w burzy swej — trzeba przeobrazić całe zamczysko wierzeń, które wyrosły z głębiny i z serca narodu—lecz zakryły mu światłość.

Ten zamek przegnił i każdy z nas nosi na sobie zielska trujące i przyciąga upiory.

Weźmy krzyż, dawniej cudotwórczy — i w wielkim zmartwychwstaniu idźmy narodem całym ku Tatrom.

Tam krzyż ten posadzimy w ziemię na nowy wzrost.

Co było w nim światłością, niechaj świeci z wyżyn.

Miłość i ofiarę — niechaj powitają z gór wielkiej Myśli przedświty.

Tłum.

Nie rozumiemy! albo z krzyżem — i pajęczyną dokoła, albo przeciw niemu i wszelkim tajemnicom!

Król Włast.

Zaiste, dobrze powiedział mój syn Witeź i Mag Litwor.

Chrystus zmartwychwstanie i rozbłyśnie w przemienieniu na Tatrach. Umarłe w Bogu ziarno niech wyda wreszcie swój wielki plon!

Nie pójdę już z wami na wirchy. Zejdę kurytarzami podziemnymi do mych kurhanów...

Moje oczy nie mogą przywyknąć do nowego blasku— —

(Krepą okrytego, ogniącego się Chrystusa na krzyżu, niosą, jakby trumnę.

Pochodnie wokół; dzwony poczynają bić rozgłośnie.

Mag Litwor, Witeź Włast, Mędrzec Zmierzchoświt i inni — rozchylają bramę, tam widać Matkę Bożą — dawną tęsknicę narodu, przeobrażoną w Wolność. Muzyka organów tworzy Sonatę Brzasku, z którym walczą twarde przeklinające tony rzymskich zakrystjanów. Tłumy zaczynają wpadać w apatję, witają jak Zbawcę i wodza wchodzącego Barona de Mangro, ten mówi im jedno magiczne słowo:

Ogłupiajmy się!

Wolność prowadzi niewielki orszak Witeziów, mieszkańców Turowego Rogu i nieco ludu. Ubrana w kwiaty, jak w Dalmacji dzieweczka, która, przedstawiając Oblubienicę umarłego młodzieńca, idzie przy trumnie. Huczeć poczyna potwornie rozszalała fala życia. Rozsnuwają się Tatry — widać idący orszak w mroku nocy. Świeci księżyc — jak dawna bogini Zgonu i Wtajemniczeń. Trismegista, patrząc w księżyc, jak z Mitu Człowiek, jedyny na ziemi — mówi do księżycowej bogini idącej we krwi...).

— Miesięczna wielka mogiła,
gdzie śni myśl wieków ukryta,
jakby na ścierniu kobieta,
zbierając, które zgubiła,
kłoseczki krwawego żyta
od wieków zagubione! —
W jakąże wiedzie stronę
dusze — co tworzy mogiła?
Miesięczna bogini leży —
na łonie różne ma znaki —
z Zigurat Chaldejskiej wieży.
Dziwne śpiewają nam ptaki.
Każdy kłos krwawy zerwany
szepce tajemne wigilje —

wciąż rozwierają nam lilje
krzyżowe swoje znaki!
Wiedzie mię do mej mogiły,
gdzie się poznamy miłośnie...
Zapalam dziewięćsiły,
wicher wygrywa na sośnie!
Labirynt widzę zawiły,
tam huczy morze rozjękiem —
napawa duchy lękiem
idąca ciemność mogiły!

(Mrok).

Dokończenie nastąpi.

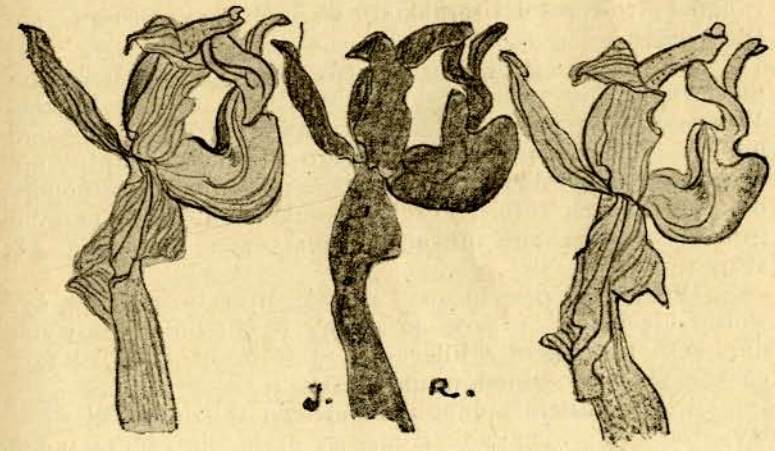

MARJA Cz. PRZEWÓSKA: ZJEDNOCZENIE AUTORÓW.

...„bądźcie nowi duchem
albo — gińcie."

Jul. Słowacki.

Do spraw doniosłości niepospolitej należy ujawniona u nas w czasach ostatnich dążność do unormowania warunków twórczości literackiej, w duchu żywotnych potrzeb czasu.

Po głośnym Proteście autorów, występujących w obronie swych praw własności w stosunkach wydawniczych, Wywiady na temat: Autor i Wydawca, wreszcie powołanie do życia Związku Zawodowego literatów, jakoteż nowy Zjazd dziennikarzy polskich, są to objawy zapowiadające pożądaną reformę tych stosunków, które na naszym gruncie znaczą się już anachronistyczną martwotą zastoju.

Dbałość o prawidłowy rozwój literatury przez żywotne ujęcie tej sprawy ze strony ogółu ludzi „nowych duchem", a czynem solidarnych, jest bo na dziś już rzeczą ze wszech względów na czasie.

Dla możliwie pełnego oświetlenia tej doniosłej sprawy, wszelki przyczynek rzeczowy staje się rzeczą pożądaną. Rozpatrzmy między innemi, co daje nam w wyniku wywiad co do opinji Autorów i Wydawców w sprawie naszych stosunków wydawniczych obecnych.

Po tej nici inicjatywy,*) dochodzimy do kłębka niepospolicie poważnych powikłań, na których rozwiązaniu pomyślnem zależy wielka sprawa *normalnego* rozwoju naszej literatury, tej wysokiej placówki duchowego życia narodu.

*) Ankieta gazety „Dzień."

„Sytuacja jest niezdrowa i należy jakoś z niej wybrnąć", orzeka tu Ad. Neuwert-Nowaczyński, upatrując w *silnej i solidarnej* organizacji zawodowej literatów środek zaradczy na to „niezdrowie".

Na potrzebę takiej organizacji zawodowej kładą nacisk Matuszewski i Reymont, od Związku literatów spodziewając się *unormowania obecnych anormalnych stosunków wydawniczych*.— Obaj ci pisarze zaznaczają jednomyślnie fakt chorobliwie zgubnej zależności autora od wydawcy, stwierdzając, że wydawcy nasi stoją głównie na stanowisku *kupców*, w sprawach wydawniczych kierując się głównie interesem kieszeniowym, przy drobnostkowej metodzie, braku odpowiedniej kompetencji w rzeczach literatury, a bez ambicji obywatelskich, w stylu wielkich wydawców".

Reymont oświadcza kategorycznie, że *„jestto zależność całej polskiej literatury od księgarzy"*. (Tak!) Jeżeli zaś tak jest, to sytuacja taka, powiedzmy, nietylko jest niezdrowa, ale wprost groźna ciężką anomalją takiego stanu rzeczy.

Istnienie poważnego niebezpieczeństwa, jakie nam odsłania taka naga prawda, powołuje kategorycznie całe społeczeństwo do zwartego czynu *obrony* zagrożonych placówek swego piśmiennictwa. Wszelkie kompromisy przemilczania, tolerowania zła, osłaniania winnych, ustąpić tu muszą przed interesem narażonego na szwank powszechnego dobra wysokiej miary. —

Na chorobę poważną lek musi być radykalny, rychły.

Zdaniem Ign. Matuszewskiego, na tym patologicznym stanie rzeczy cierpią nadewszystko młodzi pisarze, których utwory traktowane są przez wydawców jako „interesy niepewne". Wogóle przytem, jednym z ważnych punktów reformy na lepsze, pożądane jest bezstronne pośrednictwo między autorem a wydawcą, dla uchronienia autora od wysoce wstrętnej procedury kupczenia swą pracą na targowisku wydawniczem—bezduszności.

Że nasze firmy nakładowe nie podejmują wydawnictw w wielkim stylu, dzieła poważne, naukowe, twórcze traktując tylko ze stanowiska *na lata* rozkładanego procentu od kapitału, nie przedstawiające zatem „interesu",

to z całą szczerością wyznaje w omawianym wywiadzie jeden z wydawców, stawiając ze swej strony projekt, rozcięcia tego zawiłego węzła aż nożycami... filantropji.

Oto zdaniem jego „ofiarność społeczna“ powinnaby stworzyć potężną instytucję finansową, której zadaniem byłoby wydawnictwo dzieł, tych mianowicie: *nie przedstawiających widoków zarobku.*

Z powyższego wynika, że co do dzieł „z widokami zarobku“, te znajdą zawsze chętne przyjęcie u wydawców, a tem chętniejsze, im dany towar na rynku upodobań chwili bardziej poszukiwany. Zapewnia to oczywiście szybki obrót włożonego kapitału, czyniąc zadosyć zasadzie: „Byle handel szedł“...

Jak na takim układzie stosunków wychodzą nietylko już autorowie, ale i publiczność, karmiąca się z łatwością wszelką najlżejszą do przyjęcia, acz w rzeczy, najcięższą dla się strawą, tego tu udawadniać nie potrzebujemy. Że zaś autorowie dzieł *wartościowych* spotykają się ze strony wydawców najczęściej z odprawą: „To nie idzie, tego publiczność kupować nie chce“, świadczy i następujące wyznanie tegoż wydawcy: „My wiemy o wielu rzeczach wartościowych, *które należałoby wydać* (tak), ale nie możemy nieraz więzić kapitału na dłuższy przeciąg czasu!

I oto mamy motyw odwoływania się aż do „ofiarności społecznej“, celem wydawania „rzeczy wartościowych“!..

Wniosek, zaiste, co najmniej nie ścisły. O ile bowiem wydawca posiada w swym „interesie“ utwory, które zapewniają nietylko szybki obrót kapitału, o wysokim procencie, ale znaczne stąd *zyski*, to na szali *strat* firmy nie zaważą rujnująco dzieła, dające obrót—„na lata“ rozkładanego procentu, jak nie zaważyłyby i takie, jako stosunkowo nieliczne, któreby zgoła nie zapewniały „zysku“.

Takie węzły rozcięłaby z łatwością *obywatelska* postawa wydawców względem interesów idealnych swej literatury. Skoro zaś korporacja wydawców „stoi i stać chce“, na stanowisku wyłącznie kupieckim, to taka fatalna *zależność* całego myślowego dorobku społeczeństwa od *księgarzy* w żadnym narodzie żywym nie jest do przyjęcia.

Aby fakt takiej zależności literatury od wydawców ustalić, z całą skrupulatną ścisłością, jak na to doniosłość sprawy tej wskazuje, należałoby przeprowadzić w tym kierunku ankietę wyczerpującą, opierającą się na *wykazie dzieł, wydawanych przez poszczególne firmy wydawnicze.* Przekonywającym argumentem dowodowym ze strony wydawców byłyby takie wykazy, dokonywane corocznie i podawane do wiadomości ogółu w organach prasy mianowicie, nietylko w katalogach własnych. Tą drogą ogół byłby właściwie i dokładnie informowany o rodzaju wydawnictw, podejmowanych przez daną firmę, i pozyskiwałby materjał orjentacyjny konkretny. wydawcy zaś nie podlegaliby naogół zarzutom, które stosować się mogą do firm poszczególnych. Na tej drodze rozciąćby się dała kwestja sporna co do obywatelskiej kwalifikacji wydawców względem literatury, i cała sprawa nabrałaby z prawdą zgodnego oświetlenia ze strony rzeczowej, nie podlegającej zarzutom gołosłownym.

O ileby zaś na tej drodze dowodowej, został ustalony niezbicie fakt takiej postawy wydawców do literatury, że stanowiłoby to o jej zależności od *kieszeniowych* interesów firm wydawniczych, to wówczas cały, szeroki ogół czytelnictwa zostałby powołany do czynnego protestu względem procesu takiej patologji, która na organizmie zdrowym nie jest do przyjęcia bez groźby zwyrodnienia.

Ogół cały czytelników zostaje tu powołany do walki samoobronnej względem zalewów złego, którego na cały splot zgubnych warunków kalekiej egzystencji narodowej mamy już zaiste „o wiele zawiele“.

Nadewszystko wszakże autorowie sami, jako najbezpośredniej zainteresowani w biegu tych spraw *normalnym*, takie dzieło reformy wziąć muszą w swe własne ręce, pod szerokim znakiem: „Za nasze i wasze dobro“. Ta zaś akcja obronna ze strony autorów, w następstwie rzeczy pozyska sobie ogół czytelników, który dotychczas w tych rzeczach jest zbyt mało uświadomiony, aby mógł stanąć *czynnie* a *zbrojnie* w obronie zagrożonych placówek.

Należy raz zerwać z dotychczasowym systemem wydawania książek bez należytego *wyboru* co do ich wartości literackiej. Całkowita, niczem nie ograniczona dowolność, jaką się kierują wydawcy w nabywaniu *towaru* na rynek zbytu, sprawia, że na stanowisko autorów poczytnych dostają się pisarze bez talentu, i cała rzesza grafomanów pracuje z powodzeniem, na szkodę literatury, wówczas, gdy prace szczerych twórców—nie znajdują nabywców... Tą drogą, w czasach ostatnich, kultura pornografji, oraz mętnych haseł wyzwoleńczych na miarę niczem niekiełznanych rozwichrzeń, w naszej literaturze pięknej doszły do poczytności szerokiej i uznania ze stro-

ny umysłów bezkrytycznych, a chciwych żeru wszelkich sensacji, tak w życiu jak w sztuce.

Rzecz oczywista, że to nie jest linja normalnego rozwoju literatury, ten zaś patologiczny układ stosunków domaga się unormowania na podstawie *wartości* utworów co do ich strony ideowo-artystycznej, w dziedzinie nauki i sztuki. Ku odpowiedniej kwalifikacji prac autorów do druku niezbędny jest cenzus ze strony ludzi zawodowo kompetentnych, przeto wszelka poważna firma wydawnicza powinna opierać się na takiem orzeczeniu zasadniczem co do wartości utworu, który stać się ma dorobkiem literatury, nie zaś jej parodją.

W artykułach, oraz wnioskach do Kasy Literackiej przed kilkoma laty, jako pierwszy punkt działalności Zrzeszenia literatów stawiałam wymagalnik: sekcji *kwalifikowania rękopisów do druku* ze strony grona literatów, powołanych, z szerokiego wyboru, na to odpowiedzialne stanowisko. Sprawa ta u nas dotychczas nie znalazła poparcia. Rozwiązali ją natomiast, w pewnym stopniu, pisarze angielscy, w przeprowadzonej już przez nich reformie tych stosunków.

Od lat kilkunastu w Anglji istnieje szeroko rozgałęzione „Towarzystwo Autorów", pod przewodnictwem znanego powieściopisarza Meredith'a.

Anglicy powołali do życia ten Związek zawodowy w myśl dobrze zrozumianej potrzeby pieczołowitej ochrony warunków twórczości literackiej z jednej strony, z drugiej—podstaw egzystencji materjalnej twórców.

Zadanie rozległe: stworzyć warunki prawidłowego rozwoju twórczości literackiej, to znaczy nadać właściwy, postępowy bieg literaturze i jej kształtującym wpływom.

Pod ochronę tu wzięto i twórców i ogół. Ogół, który staje się ofiarą wadliwych warunków wypaczonej twórczości literackiej, biorącej sobie za cel — schlebianie instynktom czytającej publiki w kierunku sensacji, pornografji i t. p. obniżającym wpływom kultury wszech wynaturzeń.

Warunki materjalnego bytu autorów Stowarzyszenie bierze pod troskliwą ochronę. Tu wysuwa się na plan pierwszy stosunek autora do wydawcy. I oto widzimy, że i tam, w praktycznej Anglji, stosunki te pozostawiają wiele do życzenia.

Sprawozdanie z działalności tej instytucji daje nam w tym kierunku dane wysoce charakterystyczne. Oto

spotykamy się tu z takimi określnikami jak: rabowanie autorów, fałsze, złodziejstwa i t. p. Nadużycia istnieją, strona niezabezpieczona od wyzysku podlega mu nieuniknienie. Tryumfuje Bezduch. —

Towarzystwo organizuje tedy *biuro porady prawnej* przy swej instytucji ochronnej. Czuwa nad zabezpieczeniem punktów umowy autora z wydawcą. Sprawozdanie głosi, iż podczas kilkunastoletniej działalności uchroniono na tej drodze „wielu autorów od rabunku", a zarazem ograniczono samowolę niektórych firm wydawniczych, *„bezkarnych aż do bezczelności"*... Wrazie bankructwa firmy wydawniczej, lub wydawcy pisma, prawa autorskiego honorarjum zabezpieczone są przed innemi. Wszelkie zatargi, wynikające z niedotrzymania umowy której ze stron, rozpatruje odnośna komisja sekcji prawnej. Sekretarjat Towarzystwa udziela wskazówek prawnych autorom, wydającym dzieła własnym kosztem, stwierdzono bowiem, że nawet na rachunku komisowym księgarze nadużywają z łatwością zaufania autorów. Zaś przy umowie na wspólny podział zysków autora z wydawcą, Sprawozdanie przytacza fakty takiego podziału, w którym na rzecz wydawcy szło 85%, na dobro zaś autora — 15%...

Do jednego z pierwszorzędnych zadań działalności Stowarzyszenia Autorów należy Biuro kwalifikowania utworów pisarskich do druku. Zadanie to spełniają nietyle krytycy zawodowi, ile pisarze-twórcy, zasłużeni i uznani już autorowie, zatem ludzie wolni od małostkowych zawiści konkurencyjnych. Punkt to wagi donośnej. Autorowie młodzi pozyskują przez to znakomitą sposobność wyrabiania się na sumiennych pracowników pióra w swem odpowiedzialnem powołaniu pisarza, starsi zaś uchronieni są przed wstrętną procedurą układu kupieckiego z wydawcą.

Istotny, szczery talent przechodzi tu dobrą szkołę niezbędnego *terminu* w zawodzie pisarskim, grafomaństwo zaś, nie nadające się do wyszkolenia, nie zachwaszcza, (jak to bywa tam, gdzie jest inaczej...) gruntu pod zasiew zdrowych ziarn sztuki i nauki narodu, idącego w przyszłość.

Od r. 1890 Towarzystwo Autorów angielskich wydaje swój organ prasowy p. t.: „Autor", stając na stanowisku obrony świętych placówek twórczości literackiej, pod dostojnym znakiem Solidarności braterskiej w tym najtrudniejszym z działów pracy zawodowej, twórczej.

Budującym przykładem w tem dziele pisarzów An-

glji jest to, że grunt do poprawy na lepsze wadliwych stosunków uprawiają oni *sami sobie*, bez uciekania się do żadnych źródeł, zbędnej tu nawet w zasadzie, „ofiarności społecznej". Inicjatywa, Wola i Wytrwanie, przy głębokiem uświadomieniu potrzeby reformy na lepsze, stanowią tu kapitał, przenoszący o wiele wartość wszelakiej monety brzęczącej. Przemaga tu zasada: przedewszystkiem *chcieć i umieć chcieć*, za tem pójdzie reszta. W nauce ekonomji, jak wiadomo, nie filantropja bynajmniej stanowi o postępie społecznym, ale takie systemy gospodarcze, w których do pługa pracy, owocować mającej, zaprzęga się *człowieka zbiorowego* tam, gdzie na siły jednostki poszczególnej ciężar jest za wielki. I tu leży rozwiązanie zadania w duchu postępowym,—wyzwolenie od przeżytków wszechwładztwa kapitalizmu.

Za postulat reformy, pod godłem: „Sami sobie", uważać należy: 1) ochronę twórczości literackiej z pod zwyradniających ją wpływów, 2) ochronę autorów, moralną i materjalną, w zakresie jaknajszerszym.

Jednym z warunków, sprzyjających *prawidłowemu* rozwojowi literatury, jest stosunek społeczeństwa do *talentów młodych*. W organizacji zawodowej „młodzi" nadewszystko znaleźć powinni ochronę jaknajtroskliwszą. Biuro rozpatrywania rękopisów do druku, oraz sumienne pośrednictwo między młodymi a wydawcami, wysuwa się tu na plan pierwszorzędny. Autorowie bez „firmy" literackiej odbywają zazwyczaj ciężką szkołę torowania sobie drogi do drukowania prac swoich. „Młodzi", których utworom grozi widmo odlegiwania się głównie w „koszach redakcyjnych", dla uniknięcia takiej próby wytrzymałości, uciekają się niejednokrotnie aż do sposobów, godności powołania autorskiego uwłaczających.

Schlebianie gustom najprzeciętniejszego czytelnictwa, (a zatem i *widokom kieszeniowym* wydawców), stanowi tu jeden z manewrów, skutecznie zapewniających powodzenie, oczywiście przy odpowiedniej dozie sprytu w drapowaniu się autora w „biorące" czytelników „pozy".... Snobizm, dyletantyzm, nieszczerość, papuziowstwo, plonują bujnie na tak uprawianym gruncie. Literatura wchodzi w służbę widoków małostkowych życia, schodzi na poziomy małych środków i celów, zadaniu swemu wręcz przeciwnych, wrogich. Naśladownictwo kurs mających kierunków literackich rozlewa się szeroką kałużą zastoju, dławiąc *indywidualizm* twórczy. —

Jeżeli zaś wszędzie, w krajach Zachodu, kierowanie twórczości literackiej na właściwe jej tory—*służby ideału*, stanowić musi poważną troskę dbających o swą przyszłość społeczeństw, to u nas staje się to już dziś warunkiem *sine-qua non* reformy w duchu postępowym. Zarówno charakter duszy polskiej, skłonnej do wybujałości we wszech kierunkach, choćby z *nazwy* tylko „wolnościowych", jak i ciężkie warunki narodowego bytu, składają się na splot rzeczy, utrudniających *normalny* rozwój twórczości literackiej. Kult czci dla wielkich zadań „powołania" do wielkiej służby w szeregach myśli twórczej zanika; zawód literacki staje się widownią konkurencyjnych zapasów karjerowiczowstwa, i całe rzesze grafomanów przychodzą do wpływowego nawet głosu tam, gdzie prawdziwy talent łamie się, zwyradnia, ustępuje z drogi naporowi miernoty piszącej.

Żadna literatura współczesna nie wydała, w czasach ostatnich, tylu przedrzeźniaczy talentów, czy haseł, w duchu głośnego nowatorstwa, ile ich spłodził u nas okres epigonów potężnej Nietzscheańskiej myśli. Nigdzie mierota, pusząca się pod płaszczem *cudzej* wielkości, nie zdobyła sobie tyle entuzjastycznego nawet poklasku i nigdzie snobizm nie wżarł się tak bezczelnie w szerokiego ogółu bezkrytyczność. W sferze pojęć o sztuce, o zadaniach artyzmu, wytworzyło to chaos, iście przedstworzenny.

Niezależna, poważna, oryginalna twórczość, w kierunku pracy istotnie twórczej, samoistnej, nie znajduje warunków przyjęcia się na takim gruncie, w czasach, które są jedną wielką katownią Ideału. Biada talentowi pragnącemu zaznaczyć swe Jestem w poważnej pracy literackiej, niezależnej od chwilowego popytu kierunków, „poszukiwanych" na rynku wydawniczym. Dziś mianowicie, kiedy głód sensacji, chciwy swej pastwy, stanowi o powodzeniu pisarza.

Wszystkim nam, nawet firmom znanym i uznanym, nie mówiąc już o „młodych", znaną jest dobrze, zwłaszcza w latach ostatnich, stereotypowa odpowiedź wydawców: „Książki poważne nie idą; publiczność żąda tylko powieści". Temu zaś gustowi czytelników w kierunku „lekkiej" literatury schlebia przeto nakładca skwapliwie, nabywając wszelkie elukubraty powieściowe tem chętniej, im zawierają one w treści i w tytule więcej kryminalistycznej sensacji.

Rzuca się taką strawę na żer najniezdrowszych in-

stynktów chwili... Czego życie nie zdołało znieprawić doszczętnie, tego dokonać ma literatura!... Takich zaś operacji handlarskich dokonywa się z niczem nie krępowaną dowolnością, w imię jedynej zasady: To na rynku popłaca, przeto od takiego wyboru rodzaju wydawnictw niema apelacji. „Mecenasowstwo“ wydawcy - kupca rozstrzyga tu wyłącznie. — (Tak).

Wszelka tandeta pseudo - literacka idzie tą drogą w kurs, gdyż na nią jest popyt. Autorowie dzieł „wartościowych“ na dzieła swoje nie znajdują nakładcy, prace ich, o najżywotniejszej treści, butwieją w rękopisach, gdy plugawa nędzota książkowa zalewa rynki wydawnicze, szerząc wokoło zarazę zgnilizny. Literatura schodzi do roli czynnika *rozkładowego* w życiu społeczeństwa, miast stać na straży świątyń Ideału, budować gmachy Przyszłości pod świętym znakiem: „Wszystko dla Ducha i przez ducha“! —

Ilustracja, zaiste, wymowna do słów szanującego swe powołanie pisarza, o fatalnej zależności literatury — od księgarzy...

Czy taki przecież stosunek, żadnym paragrafem czynnego protestu na ograniczonej samowoli wydawcy względem autora istnieć może w zdrowem, żywotnem społeczeństwie ludzi, dbających o swe duchowe dobro, ludzi Jutra?

Dwuch odpowiedzi na to być nie może. Potrzeba wyjścia z takiego położenia jest warunkiem *sine qua non* prawidłowości rozwoju pracy literackiej i jej wpływów na życie narodu. Szeroka, zwarta federacja autorów, solidarna potrzebą obrony zagrożonych placówek, a silna wytrwałością dążeń „ramię przy ramieniu“, może, „łeb urwać tej hydrze“ w taki sposób, aby nie odrastał.

Powołanie do życia poważnej instytucji samoobrony, pod godłem „Sami sobie“ ze strony literatów, to już paląca sprawa sanacji tych stosunków, ziejących zgnilizną. Systemem kooperatywy wiele tu uczynić można. Wszakże pierwsze Towarzystwo dziennikarzy, powstałe we Lwowie, rozporządza już jakoby krociowym funduszem. Grosz do grosza, zebrany, z podaniem dłoni bratniej przez kordony, uczyni swoje, gdy się „umie chcieć“, nie zacieśniając się w granicach kapliczek sekciarstwa. Rozwinięcie na odpowiednią skalę choćby już istniejących Towarzystw wydawniczych z udziałem autorów, objęłoby z łatwością te dzieła „wartościowe“, które na rynku *kupieckim* „nie idą“. Taki zaś wspaniały „salon des réfusés“ oddawałby

niepospolite usługi i co do orjentacji szerokiego ogółu czytelników w rzeczach literatury.

Komisja kwalifikująca utwory do druku, złożona z wybitnych literatów, stojących ponad wszelkimi obozami stronniczości, stanowiłaby tu swojego rodzaju Sąd Przysięgłych, gwarantujący ocenę kompetentną, a bezstronną w wyborze dzieł, *wartych* druku i czytania. Czynnikiem pomocniczym byłby tu także bezstronnie prowadzony katalog rozumowany dzieł Towarzystwa, a zarazem wykazy wydawnictw innych firm nakładowych niezależne od żadnej z nich przekonaniowo, ani materjalnie.

Oprócz spraw wydawniczych, zadaniem takiej instytucji ochronnej będzie ufundowanie własnego Domu, jako ogniska macierzystego autorów, któreby obejmowało: pracownie czasowe, schroniska dla rekonwalescentów, wreszcie letniska, ku wypoczynkowi po trudach pracy twórczej, pod niezależną, strzechą *własną*, *zasłużoną*.

Do przeprowadzenia gruntownej reformy naszych warunków piśmienniczych niezbędny jest współudział ze strony społeczeństwa, przy odpowiedniem zsolidaryzowaniu się w tej sprawie czytelników z usiłowaniami autorów. Utarł się już oddawna komunał o obojętności ogółu względem spraw literatury, o braku obywatelskiej „ofiarności“ w tym kierunku i t. p. Wykluczając wszelką potrzebę *filantropji*, jako rzecz, przy układzie *prawidłowym* tych stosunków, całkowicie zbędną, wobec tego faktu, zdajmy sobie sprawę z przyczyn takiej anomalji.

Dane stanowisko czytającego ogółu ma swe pewne usprawiedliwienie—w braku odpowiedniego uświadomienia w tych rzeczach. Między autorem a czytelnikiem wytworzył się jakiś mur sztuczny. Dla przeciętnego czytelnika człowiek piszący, literat, jest nieledwie jakąś postacią mityczną. Ogląda jego podobizny po pismach ilustrowanych, albo przy wydaniach książkowych, z ciekawością nawet idzie na odczyty, lub inne występy, dla „przyjrzenia się“ osobistości literata, ale o życiu jego i tegoż sprawach, dowiaduje się coś dopiero — z nekrologów pośmiertnych...

Jak szalone trudności miewa niekiedy do pokonania autor, zanim stanie się „znanym“ swoim czytelnikom, i o tem publiczność czytająca najczęściej nic nie wie. (Ciekawym i pouczającym byłby poważny wywiad u autorów w tej sprawie). Nie wie o tem, jakie olbrzymie zapasy energji życiowej zużywa pisarz-twórca, zanim zdobędzie

te placówki, z których dopiero może obcować ze swym czytelnikiem. Niema częstokroć najsłabszego pojęcia o tem, jakie góry przeszkód pokonywać musi autor, który *swą własną ideą twórczą* chce się podzielić z ogółem, który chce być *sobą* zanim zdobędzie to stanowisko „firmy“ literackiej, której *sobą* już być wolno.

A tyle innych z powołaniem szczerego pisarza-twórcy związanych tragizmów?... Ten choćby jeden, tragizm nad tragizmami: brak pośrednika-wydawcy między dziełem twórczem a ogółem czytelników, wówczas kiedy w to dzieło autor wkłada całe pokłady skarbów swojej duszy twórczej. Zaiste, taki tragizm nie znalazł dotąd swego piewcy, i o takim tragizmie szeroki ogół nic nie wie.

Nie wie także, skąd się to bierze, iż rynek wydawniczy dostarcza mu tak wiele tandety zdecydowanej, i czem właściwie się to dzieje, że autorowie, acz uznanego w zasadzie, talentu, nawet twórcy gienjalni, aż przysłowiowo—chadzają w złem obuwiu...

Że to nie jest stosunek *normalny* czytelnika do autora, to fakt. W *normalnem*, zdrowo rozwijającem się społeczeństwie, ludzie, niosący przed ludzkością Idei kaganek, wiodący ją do gwiazd przewodnich Ideału, ludzie Ducha i Myśli, jako mózg i serce narodu, a sól ziemi, dla racji swego bytu i rozwoju tylko sprzyjające warunki mieć powinni, tylko ochronę najtroskliwszą podstaw swej działalności twórczej, na gruncie swobody ruchu jaknajszerszej.

Stosunek rzeczy tych odwrotny jest tylko anomalją ustosunkowań cywilizacyjnego niemowlęctwa...

Czynny, świadomy, obywatelski udział ogółu w wielkiej sprawie rozwoju swego piśmiennictwa, troskliwa dbałość o bieg tej sprawy *prawidłowy*, jest to już tu postulat *sine-qua non—duchowej* kultury Człowieczeństwa.

Narody żywe pojmują tę zależność. Wspaniały zapis Erazma Jerzmanowskiego jest tej żywotności naszej, pod godłem „Sami sobie“, na tem polu szlachetnym dowodem. Gdy inaczej się dzieje, źle się dzieje, dzieje się przemarnie...

Przeto ogół w tych sprawach odpowiednio uświadamiać należy, aby miał oczy dobrze otwarte na swe własne dobro wielkiej miary.

Wówczas, w niejednej zdrowej duszy czytelnika wzbudzi się czynny, żywotny wstręt przeciw zalewom sensacji, pornografji, kryminalistyki, w drukowanem słowie. Zbudzi się protest święty przeciw parciu takiej tandety na rynek wydawniczy, kiedy pojmie zwłaszcza, że to odbywa się aż kosztem tej literatury „wartościowej“, która stanowi tu wszystko. Popyt w kierunku dzieł wartościowych unormuje sprzedaż tych dzieł w taki sposób, że książka, warta druku, stanie się cennym nabytkiem literatury, rzeczą poszukiwaną, pożądaną. Hennequin'owskie orzeczenie co do uczestnictwa czytelników w twórczości literackiej nabierze tu odpowiedniego znaczenia.

I oto, nawet przy wyłącznie *kupieckiem* stanowisku wydawców, mamy pewne wyjście z położenia, w duchu interesów Dobra. Literatura „wartościowa“ *opłaca się* nawet materjalnie...

Zatem, niech żywi nie tracą nadziei. I rzeczy nieprawdopodobne się pełnią, przy zasadzie: ramię do ramienia, wcielonej w nerw życia, oczywiście. Aby dojść ku lepszemu, należy iść ławą, szeregiem zwartym sprzymierzeńców Idei, ze świadomością rzeczy—idących do celu, na *nowy* Czyn twórczy.

O ile podejmowana przez nas reforma w rzeczach literatury ma wejść w życie trwale, a skutecznie, musi zaznaczyć się w niej udziałem odpowiednim i zbiorowa dusza Ogółu czytelników. Dla tej racji wydaje mi się rzeczą, wskazaną ze wszech miar omawianie tej ważnej sprawy nietylko na posiedzeniach jakiegokolwiek ze związków zawodowych, ale także i na forum publicznem, w prasie.

Rzucam tę myśl, ku żywotnemu jej ujęciu ze strony Braci mej po piórze.

Czas wyjść z topieli tych zabagnień na wolny oddech — życia w *dostojeństwie*.

„Nowym z ducha“—*nowe* przystoją drogi.

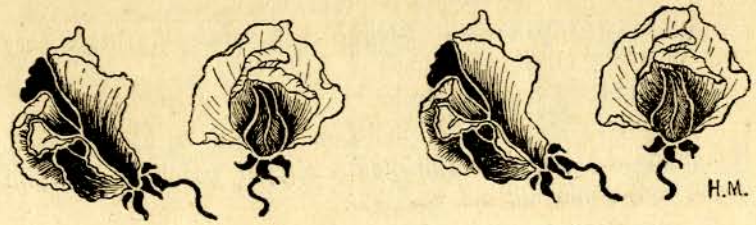

H.M.

A. HERTZÓWNA:

PASTORALE.

(Ciąg dalszy).

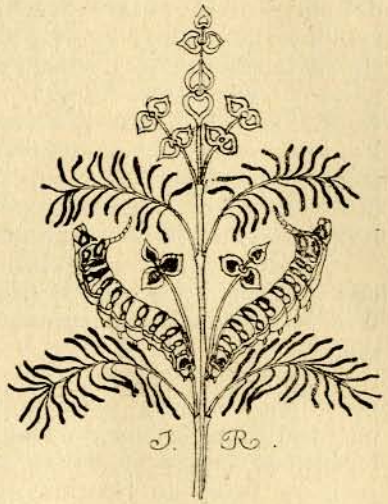

INTERMEZZO.

(Ta sama łąka, co poprzednio. Na pniu drzewa z lewej strony siedzi Stairs (Damon), za nim stoi Hamilton (Ewander). Na prawo pod wierzbami dwuch obywateli okolicznych żywo rozprawia ze sobą. Wchodzi Paget (Tircis).

1 Sąsiad (do Pageta). Nareszcie! Dlaczego tak długo trwało?

Paget. Nie mogłem nagle przerwać działań wojennych.

Stairs (zdziwiony). Fortyfikujesz zamek?

Paget. He, he, prowadzę coś w rodzaju robót ziemnych, a raczej podziemnych.

Hamilton. Widziałeś Klelję?

Paget (zmieszany). Kleljȩ?... ja, właściwie nie... (urywa). Kazała ci się kłaniać.

Stairs. Żartujesz chyba.

Paget. Oczywiście, chciałem jedynie sprawić uciechę Hamiltonowi. Użyczam bliźniemu swemu wszelkiej przyjemności, która mię nic nie kosztuje.

Hamilton (zimno), Dziękuję.

Paget. Nie liczę na wdzięczność ludzką.

1 Sąsiad. Dla Boga! nie wezwałem cię tu, żebyś przekomarzał się z Hamiltonem.

Paget. Dla Boga! Jest to tak dobry sposób przepędzenia czasu, jak każdy inny. I doprawdy nie wiem, z kim albo o czem jeszcze mógłbym z równym pożytkiem i przyjemnością mówić w tej chwili.

1 Sąsiad. Czyś głuchy i ślepy? Silny oddział buntowników stoi nad brodem, i parlamentarz ich nadjedzie lada chwila.

(Wbiega młody sąsiad).

Młody Sąsiad. Ciagną w górę rzeki.

2 Sąsiad. Wszyscy?

Młody Sąsiad. Nie, część tylko, reszta została.

Hamilton. Aha! szukają mostu, będą mieli przykrą niespodziankę.

2 Sąsiad. Naprawią do wieczora, albo tratwy sobie pobudują. I tak źle i tak nie dobrze.

1 Sąsiad (do Pageta). Słyszysz?

Paget. Słyszę, ale to mię mało zajmuje, a jeczcze mniej obchodzi.

1 Sąsiad. Co! przecież odetną nas od zamku...

Paget (kończąc). I wymordują. Cóż z tego? Mieliśmy podobno bronić się aż do śmierci, a więc...

1 Sąsiad. Ale nigdy przeciw przeważającym siłom! Toć to żołnierz regularny. Nie utrzymamy przeciw nim brodu i dwuch godzin.

Stairs. Tydzień temu przysięgałeś walczyć przeciw każdemu zdrajcy. Czy myślałeś może, że wojsko pretendenta będzie uzbrojone w kije.

1 Sąsiad. No, z tobą wogóle nie można mówić, zupełnie zwarjowaliście, ty i Hamilton.

Stairs. Pełną gębę miał słów, a teraz gdy pora do czynu... tfu (spluwa). I ty także, Pagecie.

Paget (przerywając). Proszę, ja nigdy nie krzyczałem

o mojem przyszłem bohaterstwie, nie mam więc dziś żadnych obowiązków...

STAIRS. Ale ty nie poddasz zamku?

PAGET. Bo co?

STAIRS. Poślę tam Hamiltona.

(Wchodzi sąsiad).

3 SĄSIAD (do 1). Parlamentarz lada chwila nadjedzie. Coście uradzili?

1 SĄSIAD. Nic jeszcze. Czy to można się z nimi dogadać.

PAGET (do Stairsa). W takim razie przysięgam racze pogrzebać się pod murami zamku, niż... je... dokończ po bohatersku. Nie przyrzekam zresztą dotrzymać przysięgi.

1 SĄSIAD. Widzę, że ty przynajmniej jesteś mojego zdania.

PAGET. Broń Boże! Mnie, mój drogi, ta cała awantura bawi, i, o ile przeżyję dzień dzisiejszy, potrafię korzyść odpowiednią z niej wyciągnąć.

HAMILTON. Tfu!

PAGET. Nie mam lat osiemnastu, ażeby narażać życie bezinteresownie.

HAMILTON. Tacy, jak ty, nie czują naturalnie, że dulce i decorum pro patria mori.

PAGET. Na mą duszę! najoklepańszy wiersz z całego Horacego, i w dodatku najmniej prawdziwy. Zawsze gorzko jest umierać, mój miły, i brzydko, bo trupy cuchną już nazajutrz po bitwie. Wy naprzykład jutro bardzo kiepsko pachnieć będziecie przy tym upale.

3 SĄSIAD. Bodajby ci język zgnił.

1 SĄSIAD (do Pageta). Skończ wreszcie, chciałbym pomówić z tobą.

HAMILTON. Po co gadać dłużej? Poddajcie się, jeśli, tchórz was oblatuje.

1 SĄSIAD. Milcz, smarkaczu. (do Pageta) Przyznaj sam, czy wolno mi dopuścić do bitwy, jeśli wiem, że mamy do czynienia z wojskiem regularnem?

STAIRS. A skąd wiesz? Uciekli w nieładzie z wody po pierwszym naszym strzale.

2 SĄSIAD. Bo w wodzie i znienacka, a na brzegu zebrali się sprawnie.

1 SĄSIAD. Zresztą dowiemy się. Paget pomówi z parlamentarzem.

PAGET. Nigdy... Mógłby to być który z moich dawnych przyjaciół, a ja mam na sumieniu może świństwa i podłości.

STAIRS (półgłosem). O tak.

PAGET. Ale głupstwo popełniam po raz pierwszy w życiu, więc pewnego rodzaju wstydliwość...

1 SĄSIAD. Dobrze, dobrze, dam sobie radę i bez ciebie.

PAGET. Szkoda.

(Wbiega pani Raleigh (Baucis) w sukniach męskich).

P. RALEIGH. Parlamentarz przyjechał, przyjmują go prawie na klęczkach i mój bałwan...

STAIRS. Pani jeszcze tu.

P. RALEIGH. A tak, nie jestem Klelją, żeby kryć się za murami w stanowczej chwili.

STAIRS. Wdzięczny jej jestem, że ona przynajmniej nie utrudnia nam obrony swoją obecnością.

P. RALEIGH. Naturalnie, każda cnota jest zbrodnią, jeśli jej Klelja nie posiada, pozwól jednak, panie, że ja rozstrzygnę, co mi przystoi, a co nie.

STAIRS (zatrzymując Pageta, który chce odejść). A jakże z zamkiem?

PAGET. Słyszałeś, co mówiłem.

STAIRS. Wolałbym jednak Hamiltona.

PAGET. Rób jak chcesz. (Półgłosem) Hm, jeszczem nie widział tak uprzejmego narzeczonego.

STAIRS. Milcz i wynoś się do zamku.

PAGET (odchodzi, nagle staje i wybucha śmiechem). Boże, jakiś ty zabawny, Stairs (wychodzi).

(Jednocześnie wchodzi parlamentarz i kilkunastu obywateli okolicznych).

Parlamentarz. W imieniu jego królewskiej mości księcia Walji, Karola Edwarda żądam...

Stairs. Sam pretendent.

Parlamentarz (ciągnie dalej). Złożenia broni i wolnego przejścia przez bród.

1 Sąsiad. No, Stairs, jeszcze chcesz się bronić?

(Stairs wzrusza ramionami).

1 Sąsiad. Bogu dzięki, że od ciebie nie zależy...

Parlamentarz. Panowie, czekam na odpowiedź. Nie przerywaj układów, Stairs...

Stairs. Nie jestem Stairs dla waszej dostojności.

Parlamentarz. Niech i tak będzie, Nie ty pierwszy, nie ty ostatni...

Stairs (do sąsiadów). Dalej, dajcie mu odpowiedź, oszczędźcie mi przynajmniej rozmowy ze zdrajcą.

Parlamentarz (doskakując do niego). Zdasz mi sprawę z tych słów.

Stairs (z pogardą). Ja? Kat chyba.

Parlamentarz (wybuchając śmiechem). Powoli, jeszcze stoję na ziemi, nie na deskach rusztowania. A choćby nawet... Nie będę pierwszy ze swego rodu, a i ty cnotliwy Stairsie, dość masz przodków, którzy gniją w ziemi bez głowy.

Stairs. Moi przodkowie ginęli dla dobrej sprawy.

Parlamentarz. Eh, Stairs, nasza sprawa byłaby doskonała, gdybyśmy teraz wkraczali do Londynu, zamiast uciekać do portów północnych. Ale ja nie żałuję niczego, i nigdy żałować nie będę. Przysięgam ci, że warto zginąć za naszego pięknego księcia, oto król prawdziwy, nie jak ta drewniana małpa niemiecka... (urywa) przepraszam, obraziłem może twoje uczucia...

Stairs. Co mię król obchodzi. Nie jestem psem, żebym umierał za swego pana. Bronię wolności i praw, które nam przodkowie wywalczyli. Męką swoją i krwią zbudowali nam gmach mocny i bezpieczny, w którym żyjemy, i biada temu, kto nań wzniesie świętokradzką rękę. Jak śmiecie,

zbrodniarze i głupcy, burzyć państwo dla butwiejących pergaminów i gładkich liców jednego chłopca. Przekleństwo! Z rozkoszą oddam życie, byście wy nie uniknęli zasłużonej kary. Nie boję się was...

Parlamentarz (ironicznie). Szczególniej wtedy, gdy wchodzisz z nami w układy.

Stairs. Ja! Mógłbym ci odpowiedzieć na tę obelgę, ale nie chcę, bo wiem już, jak postąpię.

Parlamentarz. Winszuję. A wy, panowie?

1 Sąsiad. Złożymy broń, o ile nam książę zapewni życie i mienie.

Mł. Sąsiad. Jakto? poddajemy się bez strzału prawie, po tem, co Stairs powiedział?

4 Sąsiad. Rządzisz się, na mą duszę, jak szara gęś.

1 Sąsiad. Większość jest mego zdania.

3 Sąsiad. Możebyśmy głosowali.

Parlamentarz. W takim razie, beze mnie, nie mam czasu na podobne błazeństwa.

3 Sąsiad. Jak wam się zdaje, nie będziemy później odpowiadać za te układy?

1 Sąsiad. Co znowu, pół kraju musieliby osadzić w więzieniu.

Hamilton (do Stairsa). Słyszysz, oni ustępują, przeszkodź im.

P. Raleigh. Patrz, ręce się ich łączą, szepczą do siebie. Czemu milczysz?

Stairs. Czas jeszcze, jestem pewny swego.

Parlamentarz. Dość tych ceregieli, przepuszczacie nas, panowie, przez bród, czy nie? (Chwila milczenia). Wierzcie mi, gdyby książę nie miał tyle wstrętu do niepotrzebnego przelewu krwi, to już dawno bylibyśmy przeszli rzekę, mimo waszego oporu nawet.

3 Sąsiad. Wiemy, wiemy o tem doskonale, przecież dlatego... (urywa). Ale starego pretendenta nie uznajemy za króla Anglji.

Parlamentarz. O, nam na słowach nie zależy (kiwając protekcjonalnie głową). Możecie rozejść się, panowie, sło

wem książęcem zaręczam wam, że ani wy, ani wasze mienie szwanku nie poniesie. Żegnam.

Hamilton (do Stairsa). Czy pozwolisz mu odejść?

Stairs. Nie. (Wstaje, podchodzi do parlamentarza, i powala go jednym wystrzałem z pistoletu).

Hamilton. Ah, że mi to wcześniej na myśl nie przyszło.

Stairs (tryumfująco). Ot wasze układy, ot wasze słowo książęce. Bezpieczni już byli, pewni jutra, a teraz co?

P. Raleigh (z zachwytem). Wojna.

1 Sąsiad. Jeśli ci się zdaje, żeś zrobił coś rozsądnego...

Stairs. Milcz ty tam ze swoim rozsądkiem, schowaj go na dzień powszedni, dzień spokojny, gdy będziemy mogli znowu w tłuszcz obrastać, jak dawniej, (do 3 Sąsiada). Upewniłeś się na obie strony, i wilk syty i koza cała... Oh ostrożny! (Potrząsając nim). Co ty w sercu masz, człowieku, co czujesz? (wskazując w stronę rzeki). Tam wróg twój. Przodkowie jego przeszli nad nami jak burza, i on jest nam śmiercią i zniszczeniem, a ty chcesz się wyrzec zemsty, uniżyć się przed nim... Gdybym postawił nogę na twarzy trupa, trup ukąsiłby mię w piętę, a ty sam podsuwasz głowę, ty żywy.

1 Sąsiad. Róbcie, co chcecie, ja umywam ręce.

Ml. Sąsiad. O, Stairs, jesteś wielki!

4 Sąsiad. Cicho, żółtodziobie, daj nam starszym się namyśleć, jak naprawić szaleństwo Stairsa.

Stairs. Zdaje się, że to nie do naprawienia... Broń swego życia i mienia, i niech się to później nazywa, żeś bronił ojczyzny i praw, które ją wielką zrobiły.

5 Sąsiad (tupiąc nogą). Do djabła, prawdę mówi... Widzieli, jak padł parlamentarz. Ah psie, psie podły, cośmy ci zawinili, my i dzieci nasze.

Stairs. Ten przynajmniej życie kocha.

5 Sąsiad. Łatwo ci mówić, obcy jesteś, nie zrównają ci domu z ziemią, nie zrabują kosztowności rodzinnych, nie...

6 Sąsiad. Kto wie, możeś nawet w zmowie z pretendentem, by dać mu pretekst do rabunku.

Stairs. I co jeszcze? Ale, panowie, czas pójść do wąwozu: za rzeką się szykują.

2 Sąsiad. Chyba że tak. Tu nas powystrzelają, jak kuropatwy.

5 Sąsiad (ponuro). A tam nie?

1 Sąsiad. I warto narażać życie tylu ludzi, żeby na dwie godziny powstrzymać pochód pretendenta.

Stairs. A jeśli wojska królewskie są im na piętach, i te dwie godziny mają rozstrzygające znaczenie?

1 Sąsiad. Czy sądzisz, że naprawdę...

Stairs. Pewny jestem. Pocoby przysyłali parlamentarza. Musimy przeszkodzić ucieczce pretendenta, nie mógłbym inaczej nigdy już spać spokojnie. Zbawienie mojej duszy za głowę jego na rusztowaniu. Oh, jak ja go nienawidzę!

2 Sąsiad. Dlaczego?

Stairs. Nie wiem, tak mię w dzieciństwie uczono, i krew naszych przodków jest między nami i... (urywa zdziwiony). Przecież wcale inaczej być nie może. Na miejsca! jeśli zginiemy, to za dobrą sprawę.

5 Sąsiad. Kpię sobie z twojej dobrej sprawy, każdy tak mówić potrafi, i ten kiep także... Krew nasza na twoją głowę, Stairs.

Hamilton. Zniesie to.

5 Sąsiad. Nie odzywaj się, smarkaczu, patrzcie go. Gdzie ciebie nauczyli nie szanować starszych, młokosie? To też twoja zasługa, Stairs. Ale jedno do drugiego, jedno do drugiego... (wychodzi).

Hamilton. Muszę go szanować, doprawdy? Czy za to, że go przez lat 20 sadło obrastało?

Raleigh (Filemon). No, no, nie tak zupełnie on głupi, (nagle z westchnieniem) Eh! mógłbym żyć jeszcze z lat trzydzieści.

Hamilton. Pomyśl, że minęły.

Raleigh. To mię pocieszył! I zamku mi żal i choćby tej Baucis, z którą coprawda kłócę się od...

P. Raleigh. Nie troszcz się o mnie... Nie tak dobrze mi było żyć, żebym umierać się bała.

Raleigh. Patrzcie, co za bohaterka! Kamilla, Bradamanta, Klorynda... Musiały jednak te żelazne zbroje lepiej zakrywać kształty, niż... Niezbyt ponętnie wyglądasz, moja miła.

Stairs. Milcz. (Całując rękę p. Raleigh). Czy przebaczasz mi, Baucis?

P. Raleigh. Jakbym miała umrzeć za godzinę.

Stairs. Choćbym dożył lat stu, nie zapomnę ci tej chwili aż do śmierci. (Do sąsiadów). Nie róbcie takich kwaśnych min, panowie, nic nam nie grozi. Wojska królewskie nadciągną lada chwila, a gdy nie będziemy mogli utrzymać się nad brodem, cofniemy się do zamku.

2 Sąsiad. Wmawiaj Hamiltonowi, że się w tej ruderze bronić można, ale nie mnie.

Ml. Sąsiad. A ten oddział, który pociągnął w górę rzeki?

Raleigh (krzyczy). Odetną nas od zamku.

Stairs. Cicho, sprawa pewna, nie macie się czego obawiać, wracajcie na nasze dawne miejsce i nie strzelajcie, póki w wodzie nie będą. Tylko trochę cierpliwości, armja królewska przyjdzie nam z odsieczą. I nie wspominajcie o tych buntownikach w górze rzeki, to bez większego znaczenia, a może przerazić ludzi lękliwego serca. Żegnam.

(Wszyscy wychodzą, za wyjątkiem Hamiltona i Stairsa. Stairs stoi chwilę nieruchomo, patrząc w stronę zamku, nagle odwraca się i spostrzega Hamiltona).

Stairs. Czego chcesz?

Hamilton (zmieszany). Nic, tak, przyglądałem mu się (wskazuje trupa). Co z nim zrobić?

Stairs. Zostawić. (Wskazuje za rzekę). Oni go pogrzebią.

Hamilton. A my?

Stairs. Nas, może nie. Zginęliśmy, mały.

Hamilton. A wojska królewskie?

Stairs. I ty mi nawet uwierzyłeś! Nie nadciągną ani

za godzinę, ani za dwie, a później.... nas nie będzie. (Wzdycha).

Hamilton. Życia ci żal?

Stairs. Trochę, jak każdemu.

Hamilton. A mnie nie żal ani trochę. Dumny jestem i szczęśliwy, że wolno mi umrzeć za ojczyznę i wolność. Żałuję jedynie, żem taki słaby i lichy. Chciałbym teraz być najpiękniejszym, najszlachetniejszym, najszczęśliwszym, żeby ofiara moja godna była wielkiego celu.

Stairs. Nie wierzę ci.

Hamilton. Wierz, albo nie wierz. Ja w każdym razie nie powiedziałem żadnej istocie żyjącej, że umierać się boję. Mam tę wyższość nad tobą Stairs.

Stairs. Jeśli cię to cieszy... (Chwila milczenia. Nagle z okrutną radością, wskazując przeciwległy brzeg rzeki). Im w każdym razie ciężej będzie umierać.

Hamilton. I to pociecha. Chodźmy.

Stairs. Czekaj, daj mi się pożegnać z nią, choć z daleka, choć oczyma.

Hamilton (porywczo). Nie mów o niej, przecież ja ją także kocham.

Stairs. Wiem, ale teraz znów jesteśmy braćmi, bo kochamy jedną.

Hamilton. Więc gdyby ona nagle stanęła tu, przed nami... Czy pozwoliłbyś mi ją ucałować po raz pierwszy i ostatni, na pożegnanie, na nigdy więcej.

(Stairs kiwa głową, że tak).

Hamilton (bardzo cicho). Znaczy się, że napewno nie dożyjemy jutra. (Krzyczy). Co zrobiłeś, ona zginie z nami... Słyszysz—ona. Nie obronisz jej... Mówią, że górale pretendenta nie oszczędzają nawet kobiet, nawet dzieci... i więcej jeszcze... I jeśli ona zginie... Jakże możesz walczyć z taką myślą?... Ona zginie dziś jeszcze, słyszysz.

Stairs. Niech umrze, niech niczyją nie będzie, jeśli moją nie była. Nie chcę ani ciebie, ani Tircisa po mnie... ani nikogo. Nie miałbym spokoju w grobie, jeśli umarli wiedzą i czują.

HAMILTON. Niewarto żadnemu człowiekowi zajrzeć do głębi serca, nawet tobie nie. Po dniu dzisiejszym lepiej dla nas będzie, że nie spotkamy się więcej.

STAIRS. Jak chcesz, nie zapłaczę przy rozstaniu, i ty także nie.

HAMILTON (drżącym głosem). Kto wie, mój bracie ślubny, byłeś mi niegdyś wzorem męża i rycerza.

(Wbiega Klelja).

KLELJA (rzucając się ku Stairsowi). O Stairs, nareszcie cię znalazłam.

STAIRS. Nie wiedziałem, że głupota jest zaraźliwa. Po coś przyszła, wracaj do zamku. (Odgłos strzału. Klelja wydaje lekki okrzyk i tuli się do Stairsa). Widzisz do czego to podobne, przecież bitwa, tamta przynajmniej nie krzyczy... Puść mię Kleljo, czekają na mnie.

HAMILTON. Na Boga, pani, wróć do zamku.

KLELJA. Nie chcę, nie chcę, nie chcę. Zostanę tuta z tobą. Nie opuszczaj mię.

HAMILTON. Musisz odprowadzić ją do zamku.

STAIRS. Nigdy, czy nie słyszysz, że bitwa już się rozpoczęła.

HAMILTON. A co z nią będzie?

STAIRS. Nie wiem. Kleljo, bądź rozsądną (całuje ją) Wróć.

KLELJA. Pozwól mi zostać, błagam cię, gdybyś wiedział... Nie będę ci przeszkadzała, stanę tylko przy tobie bliziutko.

STAIRS. Na śmierć się narażasz. Idź sobie, natychmiast.

KLELJA (wybuchając płaczem). Nie męcz mię. (Po chwili). A ty Hamiltonie?

HAMILTON. O pani, gdybym mógł ci towarzyszyć, ale obowiązek...

STAIRS. Tak, idź sama, w lesie nic ci nie grozi. (Kleja odchodzi). Czekaj, pocałuj przedtem Hamiltona.

KLELJA. Jego!

HAMILTON (zmieszany). Stairs przyrzekł mi żartem, że mię pocałujesz na pożegnanie.

KLELJA. I ty także... nie.

STAIRS. Jeśli ja pozwalam.

KLELJA. Co mię twoje pozwolenie obchodzi. Od mojej woli zależy, kogo całować będę.

(Nowy odgłos strzału, Klelja kryje twarz na ramieniu Stairsa).

STAIRS. Przekleństwo! już odchodziła.

HAMILTON (klękając). Gniewasz się na mnie, Kleljo? Stairs żartował tylko, wiem o tem, i ja nigdy nie ośmieliłbym się żądać pocałunku od ciebie... Pozwól mi dłoń swą ucałować.

(Strzał. Hamilton pada na ziemię, Klelja odskakuje gwałtownie).

STAIRS. Nareszcie. (Wybiega w kierunku strzału).

KLELJA (stoi chwilę nieruchomo, potem skrada się ostrożnie ku rannemu, staje, nachyla się, szeptem). Hamiltonie; (Wstrząsa się na odgłos strzału, głośniej). Ewandrze! (Dobiega do Hamiltona i klęka przy nim). Jesteś ranny?

HAMILTON. Umieram.

KLELJA (szeptem). Nigdy nie widziałam śmierci. (Spostrzegając, co powiedziała). Umierają ludzie starzy, z siwym włosem. Młodszy jesteś odemnie, dzieckiem prawie. (Wybucha płaczem). Nie, nie, nie...

HAMILTON. Nie płacz, przecież umieram dla dobrej sprawy.

KLELJA. Puść mię, pobiegnę do zamku po pomoc. To śmierć? Parę kropli krwi wysączyło się na ubranie. O (wyciera powalane krwią ręce gwałtownie o trawę).

HAMILTON. Przez litość, pani, ukryj swój wstręt choć przez chwilę jeszcze, wiem, że jestem rzeczą obrzydliwości pełną.

(Klelja nachyla się i całuje go w usta).

HAMILTON (szeptem). Zostań przy mnie, nie odchodź, daj mi na mgnienie oka szczęście na ziemi... Zapomnę przy

tobie, że umrzeć muszę... Będę młodym i pięknym, i ukochanym twoim, najszczęśliwszym, wybranym z pośród tysiąca—przez godzinę, a później...

KLELJA. Wszystko jedno, co później będzie. Kocham ciebie.

HAMILTON. Dziękuję.

KLELJA. Czy jesteś szczęśliwy?

HAMILTON (zdziwiony). Nie... Pocałuj mię, Kleljo.

(Klelja całuje go).

HAMILTON (odwracając twarz). Dziwne, nie cieszą mię już twoje pocałunki. Przed chwilą dotknięcie twych warg było wniebowzięciem, a teraz.... (żartem). To może dlatego, że mam w sercu głębszą ranę, niż ta, którą mi oczy Klelji zadały. Zbyt daleką jesteś teraz dla mnie.

(Klelja siada i kładzie głowę Hamiltona na swoje kolana).

HAMILTON. Ostrożnie, krew moja splami twoją suknię, Kleljo.

KLELJA. Dobrze tak?

HAMILTON. Nie jesteś mi bliższa! bo ty jutro żyć będziesz, a ja będę leżał tu, pod tą puszystą trawą, pod brzozami samotny... Oczy mgłą mi zachodzą, jak przez cieniutką zasłonę widzę twarz twoją, Kleljo, widzę ją przez kościste palce śmierci. I powoli, powoli odsuwam się coraz dalej od ciebie, coraz dalej. (Klelja chce go całować). Nie całuj mię, schowaj te pocałunki dla żywych. Patrz, te oczy, które ty chcesz całować, już jutro ziemia zasypie, te wargi robak toczyć będzie, już jutro, rozumiesz, już jutro, tak prędko... Jedna noc, jedna krótka noc, która nic nie znaczy w życiu żywych.

KLELJA (z rozpaczą). Gdybym ci pomóc mogła!...

HAMILTON. Czem mi pomożesz? Pocałunkami, płaczem, słowami... Nienawidzę słów, oni mi życie ukradli słowami... Honor, ojczyzna, obowiązek, wszystko słowa, tylko życie i śmierć... I ja umrę, ja. Ratuj mię, ja żyć muszę, gdy ty mię kochasz.

KLELJA. Nie kochałabym cię, gdybyś mógł żyć jutro.

HAMILTON. Nie dbam o twoją miłość, niech żyję tylko, niech będę znów młody i silny, jak przed godziną (szeptem). Idź, idź do zamku, niech przyjdą po mnie. Można poddać zamek i uratować mię, i jutro, jutro słońce wzejdzie i dla mnie, o Kleljo.

(Klelja kładzie głowę jego na trawę i chce wstać).

HAMILTON (niewyraźnie). Pocałuj mię jeszcze raz.

KLELJA (całuje go, klęcząc). Jakie ty masz zimne usta, Ewandrze.

Koniec Intermezza.

(Dokończenie nastąpi).

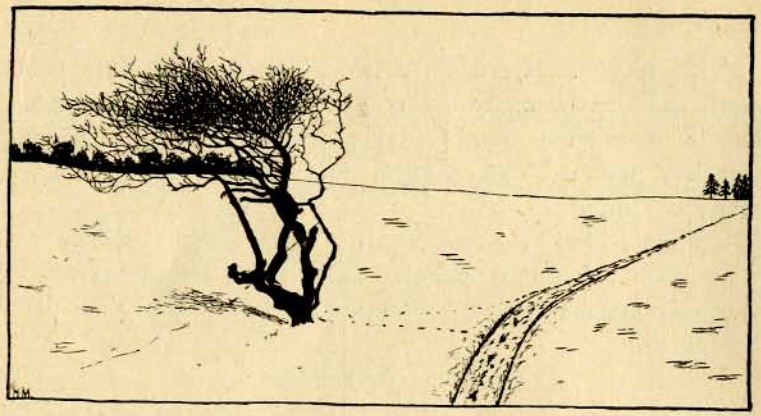

Dr. ADOLF CHYBIŃSKI: MIECZYSŁAW KARŁOWICZ.

(Dokończenie.)

W „Pieśni o odwiecznej tęsknocie“ odzwierciedlił Karłowicz udręczoną tem uczuciem duszę, szarpaną ciągle odradzającem się dążeniem do osiągnięcia zazwyczaj miraży, możliwych do wyimaginowania sobie, lecz nie zrealizowania. Tę walkę wewnętrzną, zmaganie się biednej duszy z tem, co właściwie jest treścią jej życia, ten bezwład człowieka wobec takiej potęgi, jak tęsknota, zdołał Karłowicz bez reszty i wymownie zakląć w muzykę. Wiele chromatyki cechuje tę i następną „pieśń o miłości i o śmierci“. Lecz to nie tristanowska chromatyka. Wszak nie od Wagnera rozpoczyna się ten „styl chromatyczny“ (Chopin, Spohr, Berlioz); są bowiem pewne stany duszy, których wyrazić inaczej niepodobna jak tylko z pomocą tego środka, tak pozornie jednostronnego, a przecież wielomównego. Jestto materjał, który można kształtować nawet bardziej wyraziście niż niejeden motyw „niechromatyczny“, nadając mu pełne wyrazu modulacje i rytmiczne postacie, tak że z tristanizmu może niebyć ani śladu. Otóż i u Karłowicza jestto chromatyzm nic z Wagnera w sobie nie mający. Dzięki wspaniałemu opracowaniu tematycznemu, bardzo celowo pomyślanym modulacjom, ustawicznie utrzymującej w naprężeniu uwagę słuchacza instrumentacji, ciągle świeżej rytmice odbywa się ustawiczna metamorfoza wrażeń, jakie odnosimy, słuchając te dwie pierwsze „pieśni“. We wszystkich „pieśniach“ zjawia się „temat wszechbytu“, będący symbolem związku ludzkich uczuć i dążności, które ostatecznie toną w makrokosmie wszechistnienia. Wrócimy jeszcze do tego tematu. W „Pieśni o miłości i śmierci“ znajdujemy przedziwny „motyw śmierci“ w des-dur,*) w którym zużytkował Karłowicz białoruski śpiew pogrzebowy, poznany na Litwie. Możnaby po „motywie *śmierci*“ spodziewać się że będzie w mollowej tonacji. Lecz twórca chciał zaznaczyć i majestat tego potężnego czynnika wszechbytu a zarazem jego łagodzące ukojenie bólów ludzkich. Wiemy że n. p. u Berlioza zachodzą podobne pomysły „durowe“ w tonacji, a bardzo „mollowe“ w oddziaływaniu, lecz to oryginalny pomysł Karłowicza, który—rzecz dziwna — nie miał sympatji dla twórcy „Fantastycznej symfonji“.

Zakończenie „Pieśni o miłości i śmierci“, gdzie trzy tematy bądź w całości bądź w odcinkach, są skojarzone w tematycznej robocie, należy do najpotężniejszych momentów kompozycji. Wszystkie pozycje skrzypiec i altówek, podzielonych na 9 głosów, to jakby rozpływanie się miłości w objęciu majestatu śmierci, nad którym dominuje „łagodne światło“, łagodna barwa klarnetu, grającego motyw potęgi wszechbytu, skojarzonego z wyzwolonym motywem miłości. Ta trylogja symfoniczna kończy się „Pieśnią o wszechbycie“. Jestto hymn na cześć potęgi wszechistnienia, pełen energicznej rytmiki i zdecydowanych tematycznych konturów, jakby odrysowanych z sylwety tatrzańskich granitowych gigantów. Dwa tematy zużyte są w tej części: „temat wszechbytu“, zbudowany na t. zw. szeregu naturalnych tonów (C, g, c, e, g, b, c″, d″, e″, f″, fis″, g″,) i „temat potęgi wszechbytu“ (por. part. str. 56, takt 1 i nast.) ukazujący się w dwuch odmianach, z których druga (najważniejsza) jest przewodnią myślą całego dzieła. Spotykamy ją w „Pieśni o wiekuistej tęsknocie“ i w „Pieśni o miłości i o śmierci“. Jego symbol muzyczny jest:
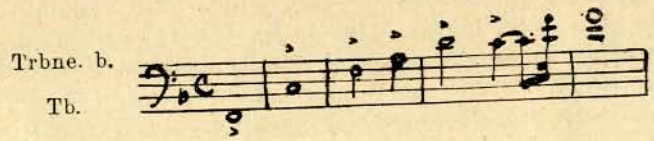
Zjawia się ten temat w różnych tonacjach, w róż-

*) Temat ten jest grany i harmonicznie przeprowadzony przez 3 flety, wchodzące kolejno.

nych rytmicznych warjantach, przez różne istrumenty grany—ilekroć chodzi o nadanie mu odpowiedniego psychologicznego charakteru, i ideowego znaczenia. On jest panem sytuacji, raz groźny i potężny, raz słodki i tulący do siebie tych, co bólem tęsknoty i miłości dręczeni chcą rozpłynąć się we wszechbycie, straciwszy uczucie swego „ja". — Pierwsze trzy tony tego tematu mogłyby komuś poddać myśl że Karłowicz podsłuchał je u Straussa w słynnym temacie „Zaratustry". *) W takim razie czy temat Straussa nie narodził się ze „Złota Renu" Wagnera? Czy jednak Wagner i Strauss mają być jedynymi uprzywilejowanymi arendarzami wszystkich tematów rozpoczynających się od: C, g, c, lub F, c, f? Temat Karłowicza jako całość — a tylko jako taki może być branym pod uwagę — jest nawskróś samoistny i pełny indywidualnej prostoty, tak jak jego „temat wszechbytu", złożony z szeregu „naturalnych tonów" jest pomysłem kapitalnym. (Wykonywuje go I waltornia, oparta na harmonjach jej trzech siostrzyc i na pierwszym z „naturalnych tonów", który gra fagot i o oktawę niżej kontrafagot, wydający już nie ton, ale t. zw. „klanggeräusch", sam przez się wywołujący owe „naturalne tony", co nadaje całości niezrównaną barwę, i jest tak wyraźny, jako dźwięk, będący zarazem symbolem „praistnienia", że trudno oprzeć się potędze wrażenia).

Co do formy „Trzech odwiecznych pieśni", to należy uznać, że jest najzupełniej dojrzałą, podobnie jak mistrzowską jest technika kompozytorska. Zupełnie solidaryzuję się ze zdaniem Henryka Opieńskiego, który pisząc o tej kompozycji wyraża się: „znać tu już *zupełne i skończone mistrzowstwo*". Nad wszystkiem co u nas stworzono w dziedzinie techniki kompozytorsko-orkiestrowej *aż do czasów Karłowicza*, t. j. mniej więcej do r. 1904, twórca zmarły niedawno wyrasta olbrzymio. Tu czujemy, że zaczęła się u nas epoka istotnie wielkich czynów twórczych w muzyce. Zdołano to odczuć nawet w Warszawie

*) Pan Sygietyński nazywa Karłowicza zwolennikiem Nietzschego. Nic bardziej fałszywego (Dyonizyjskiego pierwiastku u Karłowicza najmniej). Sądzę, że błędne to pojmowanie pochodzi z następującego fałszywie zbudowanego wnioskowania: Karłowicz tworzy filozoficzną muzykę, Strauss też; K. wzoruje się na Straussie, który napisał „Zaratustrę" — ergo: Karłowicz jest zwolennikiem Nietzschego. Zamienił tu wnioskujący technikę kompozytorską z ideową treścią muzyki obu kompozytorów.

i darzono „Trzy odwieczne pieśni" entuzjastycznem przyjęciem, starając się wynagrodzić kilkuletnią ignorancję. Z pośród krytyk nie mogę niezacytować (obok Opieńskiego) także bardzo trafnych słów p. Adama Wyleżyńskiego, umieszczonych w „Młodej Muzyce" (1909, 1 luty): W gienezie „Trzech odwiecznych pieśni" pierwiastek refleksyjny musi stanowić siłę wybitnego bodźca twórczego — przebija on też pierwszorzędnie z dzieł symfonicznych M. Karłowicza. Nie znaczy to jednak, żeby jego twórczość miała cechę jakiejś mniej lub więcej pogłębionej spekulacji muzycznej na tematy, służące tylko za pretekst do dźwiękowych omówień (jak to się często zdarza, zwłaszcza „programistom"). Refleksyjność Karłowicza to nie jakieś wyrachowane mierzenie zamiarów według sił—jest ona procesem wtórym pracy twórczej, jest skupieniem czynników intellektualnych, niezbędnych do nadawania kształtów realnych nieświadomym u źródła swego powstania ruchom czuciowym. Bez tego—może być momentalne improwizatorstwo lub nieudolne „natchnione" tuszerstwo—niema twórczości, jako budowy o strzelistych wieżach na mocnym fundamencie. Oto dlaczego teoretyczna wiedza muzyczna Karłowicza, w przejawach nic nie mających wspólnego z „przystępnością" gładkiej harmonizacji ani z konwencjonalnością „dyskretnej" instrumentacji — nie zrażą pokazem roboty „uczonków", a idee jego poematów o cierpiącej fizjonomji bardzo szczerych przeżywań każą towarzyszyć sobie całą duszą w ich pochodzie".

„*Rapsodji litewskiej*" M. Karłowicza, która powstała po „Trzech odwiecznych pieśniach" nie miałem sposobności słyszeć. Jednorazowy rzut oka w partyturę zdołał zatrzymać się na wirtuozowskiej instrumentacji i bajecznej zdolności do symfonicznego wyzyskania tematów litewskich, które w tym nawet razie są karłowiczowskimi. Intencje, jakie towarzyszyły powstaniu tego utworu, są widoczne z listu zmarłego kompozytora, listu tak charakterystycznego dla jego skromności a zarazem ważnego dla przyszłego monografisty, który zapewne będzie chciał znać choć w przybliżeniu datę powstania utworu: „... wykończyłem kompozycję, którą nazwę prawdopodobnie „Rapsodją litewską". Starałem się zakląć w nią cały żal, smutek i niewolę wiekuistą tego ludu, którego pieśni w mem dzieciństwie brzmiały (t. j. pow. Święciański gub. Wileńskiej). Czy i o ile mi się udało choć cząstkę z tego, co wisi roztopione w powietrzu każdego kątka tych stron, wlać w formy utworu orkie-

strowego, tego osądzić nie mogę. Wiem tylko, że myśl moja sięga już w inną stronę i nad czemś innem już pracuje (Lipsk, 24 listopada 1906).

Tem nowem dziełem miała być najpiękniejsza i największa z partytur Karłowicza: „*Stanisław i Anna Oświecimowie*“, poemat symfoniczny, „nad którym siedział od kilku miesięcy”—jak pisze w liście lipskim z dnia 2 kwietnia 1907 „Będzie to opowieść o miłości dwojga kochanków o historycznych imionach—jakby polska trawestacja „Romea i Julji”—jednak ze znacznemi zmianami”. 28 maja tegoż roku donosi z Lipska że „pracuje nie mało i ma nadzieję wykończyć za parę tygodni poemat, o którym wspominał. Będzie nosił tytuł „Stanisław i Anna Oświecimowie”. „Przypuszczam że legienda o nieszczęśliwej miłości brata do siostry jest Panu znana. Instrumentację rozpocznę na jesieni i prawdopodobnie skończę dość wcześnie....” W istocie w dniu 2 lipca donosi z Zakopanego, że „w kompozycji wykończył zupełnie” ten utwór. Lato przepędził w Zakopanem, skąd pod datą 31 sierpnia pisze: „Gdy już śniegi spadną na dobre i położą kres wycieczkom, zamierzam wziąć się do roboty i instrumentować „St. i A. Oświecimów”. Będzie to próba, o ile w warunkach tutejszych pójdzie mi robota; o ile próba dobrze wypadnie, to kto wie, czy nie zacznę się powoli osiedlać na stałe w Zakopanem, w którem zawsze mi jest lepiej, niż gdziekolwiek”. Próba go nie zawiodła: „praca mi idzie dobrze, spodziewam się do grudnia uporać się z instrumentacją „Stanisława i Anny”—pisze w dniu 26 października. Stęskniony za dźwiękiem orkiestry wyjechał do Wiednia, skąd donosi że „przed wyjazdem z Zakopanego wykończył zupełnie „Stanisława i Annę Oświecimów”..... „Instrumentacja zajęła mi stosunkowo nie wiele czasu, a zawdzięczam to warunkom zakopiańskim. Robota była ogromna: 116 stron partytury, mającej w miejscach większego podziału smyczków aż 40 systemów nutowych. Skład orkiestry jest taki: 4 flety, 3 oboje, rożek ang., klarnet w Es., 2 klarnety w A, basklarnet, 3 fagoty, kontrafagot, 6 waltorni, 3 trąbki, 3 puzony, tuba, kotły, triangel, wielki bęben, blachy, tam-tam, 2 harfy, kwintet”. „Wkrótce wezmę się do nowej pracy; tym razem jednak—ze względu na wybrany „program” będę musiał poszukać jaskrawych barw z dziedziny „pirotechniki” instrumentacyjnej. Kiedyś—więcej o tem” (Wiedeń, 17 grudnia 1907). Cytuję te listy tylko dlatego, aby dać wyraz wielkiemu

mistrzowstwu Karłowicza w instrumentowaniu. Największa z jego partytur i największego składu orkiestry wymagająca zajęła mu *tylko* dwa miesiące instrumentowania. Niestety nie mogłem jej słyszeć w wykonaniu warszawskim w kwietniu r. 1908, o którem pisze: „Zupełnie niespodziewanie doczekałem się pierwszego wykonania „Oświecimów“... i to w Warszawie.. i to w... „Filharmonji“ — oczywiście jednak na koncercie nie przez Filharmonję urządzonym. Miałem potrzebny komplet orkiestrowy... i orkiestrę wielce dla siebie życzliwą“.*) Dzieło to było powtórzone w Wiedniu na koncercie w dniu 4 grudnia 1908 r. pod dyrekcją kompozytora. Niestety i tej kompozycji nie mogłem dokładniej poznać, jak tylko z pobieżnego rzutu oka w partyturę. Najpiękniejszym mi się wydał moment, gdy Stanisław, zbliżając się do zamku swej siostrzanej narzeczonej słyszy sygnaturkę, wydzwaniającą

*) Stosunek Karłowicza do Filharmonji był niemal od początku naprężony. Rozpoczęło się to od niedbałego wykonania jego pierwszych symfonicznych utworów, z którego to powodu K. upominał się o krzywdę. Gdy w tym czasie Filharmonja popierała obcych i gnębiła polskich kompozytorów, K. upominał się i oto. I w tej właśnie sprawie wyszedł na jaw prawy i silny charakter Karłowicza. Cytuję ważny list jego; „Przed pięciu laty mniej więcej wystąpiłem z listem otwartym do redakcji „Gazety polskiej“, w którym ostro wypominałem Filharmonji, że gra prawie tylko cudzoziemskie utwory i żądałem uwzględnienia dzieł polskich; przytoczyłem też szereg utworów, które mogłyby zostać wykonane. Na to odpowiedziała dyrekcja ze wstrętną perfidją, że celem mego wystąpienia jest upomnienie się o... moje własne utwory, o których dyrekcja nawet... wiedzieć nie mogła. Zabrałem więc po raz drugi głos w „Gaz. polskiej“, odparłem energicznie tę ni....ą insynuację, a jednocześnie oświadczyłem w gronie muzyków warszawskich, że dla bezwzględnego przekonania wszystkich, iż nie o siebie się dopominałem, kompozycje moje, co do których mam prawo, nie będą wykonywane w Filharmonji, dopóki M. i R. są w zarządzie. Od tego czasu miałem cały szereg propozycji ze strony zarządu... Na wszystkie te propozycje odpowiedziałem odmownie i chcę ściśle dokonać tego, o czem wyżej wspominałem“ (Lipsk 3 grudnia 1906).—Ilekroć zaś później wykonywano w budynku Filharmonji, działo się to na koncertach nie urządzanych przed zarząd. Zmiana nastąpiła, gdy artystyczny kierunek Filharm. przeszedł z rąk podwójnego buchaltera do rąk artysty (H. Melcera).. W przeciwieństwie do b. zarządu orkiestra Filharmonji okazywała zawsze przyjazne oddanie Karłowiczowi, co w każdym liście zaznaczał. To samo dotyczy stosunku orkiestry Filharmonji do dzieł „Młodej polski w muzyce“. Z pewnością nie było członkiem orkiestry to indywiduum, które z okazji koncertu Fitelberga, Różyckiego i t. d. w kwietniu r. 1907 chciało wymódz na kasjerze Filharmonji, aby odmawiał publiczność od kupowania biletów na ten koncert.

śmierć jej, gdy zdruzgotany strasznym ciosem w chwili snucia najpiękniejszych marzeń o blizkiem szczęściu zaczyna przeczuwać w rozpaczy równie blizki koniec swego życia, w którem najpiękniejsze chwile graniczyły z najczarniejszą rozpaczą i wiewem śmierci. Zdaje mi się, że mistrzowstwo Karłowicza osiągnęło swój najsilniejszy wyraz w tym właśnie dziele, będącem op. 12 w niedługiej lecz wydatnej twórczości.

Ostatniem dziełem (op. 13) skończonem jest „*Smutna opowieść*“, nad którą pracował już w kwietniu r. 1908 (list z 2 kwietnia 1908, z Zakopanego). Korzystając ze słotnego lata, niedogodnego dla wycieczek w Tatry, ukończył w lipcu ubiegłego roku dzieło to, a myśli już skupiały się koło nowych pomysłów, których nie było mu dane wykończyć. „Świeżo ukończyłem — pisze na karcie zakopiańskiej z 5 sierpnia 1908 — „Smutną opowieść“. Na razie jeszcze nic nowego nie piszę, lecz w myśli tylko planuję“. (Snuł wówczas pomysły do swego niestety niedokończonego poematu symfonicznego „Dramat na maskaradzie“).—Był to czas, gdy Henryk Melcer został dyrektorem Filharmońji warszawskiej. Uznał Karłowicz tę chwilę za niezmiernie ważną dla muzyki polskiej. Dla tego też, licząc na wielkie zalety artystyczne i człowiecze twórcy „Marji“ pisze: „Niecierpliwie czekam wieści o planach nowego kierownika. *Moment do zrobienia z Filharmońji centrum ruchu muzycznego w Polsce się nadarza*; bodajby nie został „verpasst“ (list z 10 października 08). W istocie mogła się wyczerpać cierpliwość nawet tak cierpliwego człowieka jak Karłowicz — wobec passji gnębienia polskiej muzyki przez poprzednią dyrekcję. Skąd jeszcze w kwietniu r. 1908 pisze: „... wobec tego, że życie mija, a zawartość szafy z memi rękopiśmiennemi partyturami ciągle się zwiększa, zdecydowałem się na urządzenie koncertu kompozytorskiego w Wiedniu..“ (list z 2 kwietnia 08). Zaufanie do H. Melcera nie zawiodło go Znalazł się też inny wybitny artysta i interpretator jego dzieł: Grzegorz *Fitelberg*, który włączył utwory Karłowicza do programu swych koncertów symfonicznych, wychodząc z zasady, że należy naprawić winy poprzedniego zarządu, popełnione wobec polskiej muzyki. W pierwszej połowie listopada odbył się koncert Fitelberga, na którym „Smutna opowieść“ odniosła stanowczy sukces. Usłyszał więc K. swe dzieło, którego nie miał nadziei posłuchać przed wiedeńskim koncertem. „Kilka dni temu — pisze

na karcie z 22 listopada 08 z Zakopanego — wróciłem z Warszawy. Z przyjęcia „Smutnej opowieści“ bardzo rad jestem—było mi ono niby odszkodowaniem za długie lata panowania R.....a. Fitelberg wykonał „Sm. op.“ świetnie, bez zarzutu“. Zaczęło się zatem interesować Karłowiczem i to miasteczko, o którem pisał w dniu 2 kwietnia 1908, że „wyjeżdżam, ażeby spalić ostatnie mosty, jakie mnie z tem... miastem łączą, a mianowicie aby zwinąć mieszkanie“. Czwartego grudnia odbył się wiedeński koncert, o którym pisze: „Przyjęcie ze strony publiczności było b. życzliwe. Jakie będą krytyki??? Zwolennicy i sukcesorowie Hanslicka *) będą mnie rżnąć—to pewne. Orkiestra złożona z wielu sił doskonałych, w całości nie była „na wyżynie“—trochę braknie uwagi i dyscypliny. Objawiło się to w pewnych niedokładnościach, o których—na szczęście—publiczność mało wiedziała, ale ja za to dobrze“ (karta z Wiednia, z 5 grudnia 08). Wkrótce miał wyjechać znowu do Warszawy, aby usłyszeć a także zadyrygować swemi „Odwiecznemi pieśniami“, które wprowadził do Warszawy również Grzegorz Fitelberg. I z tego wykonania był bardzo zadowolonym, nazywając je „wybornem“ (karta 26 stycznia 09, z Warszawy). Później również przypadło Fitelbergowi w udziale wykonać po raz pierwszy „Rapsodję litewską“ i „Smutną opowieść“ (26 lutego b. r.)—jako też i dokończyć szkicu zmarłego w tym czasie tragicznie kompozytora „Dramatu na maskaradzie“. **)

I tak minęło życie niedługie, lecz potężne mocą dzieł stworzonych. Lecz Beckmessery nie ustają w pracy... „Smutna opowieść“ jest mi niestety nieznaną zupełnie. Stąd powołuję się na sąd tak wykwintnego znawcy, jak Felicjan Szopski i cytuję jego słowa:

---

*) Hanslik, słynny autor osławionej broszury „Vom Musikalisch-Schönen“, tłómaczonej na nasz język przez krytyka lwowskiego oraz kompozytora bardzo wielu pieśni, Stan. Niewiadomskiego. Hanslicka, który był znienawidzonym z powodu ostrych i nie opartych na teoretycznem wykształceniu krytyk, obrał R. Wagner za wzór Beckmessera w swych „Śpiewakach-mistrzach norymberskich“. Kiedyż podobna opera powstanie w Polsce? Wszak tylu Beckmesserów mamy i to spotęgowanych, bo niekulturalnych?!

**) O tym szkicu znajdzie czytelnik bliższe wiadomości w mym artykule p. t. „Niedokończony poemat symfoniczny Mieczysława Karłowicza — w „Nowej Gazecie“ (nr. 88) i „Słowie polskiem“.

„Karłowicza myśl twórcza nie ogranicza się wyłącznie do dźwiękowych samych kombinacji. Pierwiastek jej zawsze z najgłębszych duszy nastrojów i rozmyślań krystalizuje się w muzykę, a ta muzyka ma coś więcej jeszcze do powiedzenia ponad to, co się da samym zmysłem słuchu absolutnego czy nie absolutnego, objąć i oceniać. Stąd zawsze jej podkład psychiczny głęboki. Mogę nawet nie wiedzieć, że „Smutna opowieść“ mówi o chwilach ostatnich samobójcy, o jego walkach, bólach i w końcu upadku, czuję jednak, że mówi coś bardzo smutnego, coś, co jest tragiczne, co utajone cierpieniem, szarpie duszę i rani. Muzyką tą przemawia nie sam muzyk, mówi tu poeta i myśliciel. Ale tej szacie muzycznej, która nie tylko samą szatą jest zewnętrzną, wiele się, bardzo wiele należy, aby powstało dzieło sztuki o niepowszedniej, istotnej wartości. Karłowicza stać na to. Bo przy talencie wielkim jest on panem rozległej wiedzy i wyrobienia subtelnego, jest mistrzem środków orkiestrowych najnowszych. Jeżeli chodzi o logikę muzyczną, o rozwój formy oryginalnej i doskonałej, jeżeli chodzi o interes i efekt harmoniczny, wyborną instrumentów znajomość i t. d., może być Karłowicz wzorem. Jego najnowsze dzieło jest znów krokiem naprzód w opanowaniu świetnej już dzisiaj techniki kompozytorskiej“. „Najnowszemi idzie drogami, najnowsze stosuje wynalazki i środki, nie podporządkowuje im jednak swej myśli. One tej myśli służą do urzeczywistnienia“ („Goniec wieczorny“ nr. 528, r. 1908; „Głos warszawski“ nr. 229 r. 1908).

Do kompozycji Karłowicza, które dopiero ukażą się w partyturze pod patronatem — oby jak najenergiczniejszym!—Towarzystwa muzycznego, powrócimy jeszcze.

Karłowicz był organizacją pełną harmonji, zrównoważoną i dojrzałą. Tragiczną była jego Muza, tak, że doprawdy nawet ten tragiczny a pełen dzikiego i tragicznego piękna zgon w objęciach lawiny, która spadała z tą samą szybkością, jak rósł w ostatnich czasach talent Karłowicza—nawet ta górska tragiedja nie jest dyssonansem niespodziewanym, nielogicznem fatum.

Pięknym wierszem uczciła Zofja Mrozowicka śmierć tego Mistrza, którego dzieła mają w sobie pierwiastki nieśmiertelności.

Wzięły Cię białe śniegi i wyżyny,
Wzięły Cię nagle — o własność zazdrosne,
Bo duch Twój z bielą zawarł zaślubiny
I w wyżach mieszkał i znał orlą wiosnę!

Ścigałeś piękno szczytów nieskalane,
Wygodą nizin gardząc z pod obłoczy, —
Lecz serce niosłeś, jak otwartą ranę,
Gdzie każdy ból bratni świeżą krwią broczy!

Z bolu i piękna rosła pieśń Twej duszy,
Szumiała z wichrem w przegony echowe,
I moc w niej była, co grań zimną kruszy
I hardym smrekom w piargi zmiata głowę!

Ⅱ nad hal królewskich piła baśń błękitu,
Gorzała łuną posłonecznej zorzy
I w pierś zastygłą rycerzy z granitu
Powrotną falą biła, jak zew Boży!

A Tatry wzajem grały Ci hejnałem,
Wabiły duszę w bezkresów obszary:
Z ufnością dziecka—z sercem orła śmiałem —
Biegłeś pić piersią ich grozę i czary.

Lecz patrz! tam — śniegi wyiskrzone słońcem,
Szczerzą się białe nad paścią zawrotną...
Ślepa moc, zdolna zdławić pieśń przed końcem,
Gdy Pieśniarz stopą ją potrąci lotną!

Strzeż się! ni kroku! — Miękkie, lśniące płatki
Wabią na zdradę — Wracaj! — Matka siwa
W domu Cię czeka... — Dnia gasną ostatki —
Dal mroźna ciągnie — biel przeczysta wzywa...

— — — — — — — — — — —

I przyszła cicha noc i księżycowa
Jaśń mży poświatą po srebrnych skier łące —
A śniegów zimna i głucha posowa
Nie zdradza, kędy skryła serce wrzące.

I tylko duchy dziwne, rozpłakane
Błądzą w promieniu miesięcznym nad żlebem,
I tylko dzwonią gdzieś melodje szklane
Mrozu, żałosne nad Pieśni pogrzebem...

Płaczcie Go, Tatry, i płacz Go Ziemio biedna,
Coś w takich Synów nigdy dość bogata!
Tylko łez swoich Mu oszczędź Ty, jedna,
Której płacz mógłby posłyszeć z zaświata!

MICHAŁ SOBESKI.

W KAPLICY MEDYCEUSZÓW.

Kaganek w małej izbie tlił się mdło. Stary Antonio, odźwierny kościoła San Lorenzo, siedział zgarbiony na krześle, zmagając się z sennością. Było już blizko północy.

— Jakoś długo dzisiaj nie przychodzi ten mój nocny ptaszek — mruczał do siebie.

W kącie coś się poruszyło, stęknęło.

— Śpij stara, — chrząknął kościelny.

— Toć śpię, śpię, — odezwał się skrzekliwy głos jego żony — tylko mi się to nocne włóczenie po kościele wcale nie widzi. Za dnia jest dosyć na to czasu. Wolałabym wcale nie widzieć tych pieniędzy, które ci ten pan daje. Bo z dobrem to nie jest.

— Babski rozum, — odparł Antonio — co tobie do naszych spraw. To mądry pan, on wszystko wie, co jest na ziemi i na niebie. Wczoraj mówił mi, że na księżycu też są takie góry i doły jak u nas, że to też była ziemia kiedyś, która zamarła.

Jezus Marja—krzyknęła baba—i to z takim heretykiem ty się po nocy wałęsasz. Czy kto słyszał kiedy takie bezeceństwa! I ty stary wierzysz tym dziecinnym bredniom. Niech cię Najświętsza Panienka ma w swej opiece.

Baba załamała ręce, że aż zatrzeszczało.

— Cicho stara—odparł Antonio—Mówię ci, nie mieszaj się nie do swoich rzeczy.

Wtem silnie ktoś zapukał do drzwi.

— Idę panie—zawołał Antonio. Zdjął ze ściany kaganek, wziął pęk olbrzymich kluczy, leżący na stole i wyszedł.

Na dworze stał młody mężczyzna. Podał staremu rękę na przywitanie. Nie mówiąc słowa, udali się wprost do kościoła.

Antonio otworzył bramę. Przybysz wszedł do kościoła i wziął klucze.

— Za chwilę odniosę klucze — rzekł do starego.

— Dobrze panie — odparł Antonio i udał się do domu. Młodzieniec zamknął za sobą podwoje i znikł w nocnych ciemnościach kościoła.

Był to Galileusz. Już czwarty raz przychodził do San Lorenzo o tej niezwykłej porze. Zapalił woskową świecę, przyniesioną ze sobą i szybkim krokiem przebiegł kościół aż do kaplicy Medyceuszów, położonej na drugim krańcu, na prawo od wielkiego ołtarza. Dzisiaj śpieszyło mu się szczególnie, był zgorączkowany i niespokojny. Otworzył drzwi kaplicy i wszedł do jej wnętrza.

— Nareszcie — szepnął z ulgą.

Była pełnia. Przez szerokie okno spływało srebrne światło księżyca i oblewało gęstą strugą olbrzymie marmurowe postacie Dnia i Nocy, spoczywające na grobowcu, rzeźbionym przez Michała Anioła. Rysowały się one prawie tak wyraźnie jak w dzień. Jeno spotęgowane cienie pogłębiły nieco zamknięte oczy Nocy. Zaś sowa u jej stóp ożywiła się, a groźna maska pod lewem jej ramieniem połyskiwała złowrogo, spozierając swemi ogromnemi czarnemi oczodołami. Umieszczona nad Dniem i Nocą postać młodego, pięknego Giuljana Medyceusza niknęła nieco w cieniu. Promienie księżyca dobiegały właśnie jego rąk, wspartych na nagich kolanach rzymskiego imperatora.

Szaro-białe ściany kaplicy odbijały światło z taką siłą, że w mroku nocnym rysowały się dość wyraźnie nawet ciała Zmierzchu i Brzasku, umieszczone przy przeciwległej ścianie, której księżyc bezpośrednio nie oświecał.

Galileusz zgasił świecę, którą trzymał w ręku. Dzisiaj nie potrzebował oświetlać żółtym woskowym płomykiem drogich rysów tych czworga istot, które po nocy nawiedzał.

— Dzisiaj nie będzie się obawiał—myślał sobie—mój poczciwy Antonio, że ktośkolwiek z ulicy dojrzy światło, i krzyk podniesie, że w kościele duchy pokutują. Astronom jest człowiekiem nocy. Tylko wtedy, gdy inni śpią, on patrzeć i myśleć potrafi. Obojętnem więc mi jest, co powie Florencja na me nocne wycieczki do San Lorenzo, jeżeli stary Antonio tajemnicy nie dochowa. W zgiełku dnia niepodobnem mi jest mówić z wami, wy moje najdroższe, moje jedyne istoty na ziemi. Więc wybaczcie mi Dniu i Nocy, Zmierzchu i Brzasku, że wam spokój zakłócam. Zresztą z mocy duszy Michała Anioła zrodzone jesteście, więc nie zadziwią was moje nocne z wami rozmowy. A potem wierzcie mi: nie z własnych urojeń wyłącznie teraz do was przyszedłem. Dziś wiem, kto mnie tu także sprowadza. Otóż to ten blady wasz powiernik tam u góry. A jemu się oprzeć nie zdołam i opierać nie chcę.

Tymczasem księżyc przesuwał się powoli na niebie, chylił się ku nieboskłonowi, a tym samym promienie jego pełzły wwyż ścian kaplicy i srebrzyły już tajemniczą drobną maskę na puklerzu, osłaniającym piersi Giuljana Medyceusza.

Galileusz wziął niski stołek, stojący za ołtarzem, służący kościelnemu przy zapalaniu świec, wysunął go na środek i usiadł na nim. Wsparłszy ramiona o kolana, wtulił w dłonie rozpaloną głowę.

— Dzisiaj więcej niż kiedykolwiek potrzeba mi was, mówił dalej do swych niemych towarzyszy, którzy zda-

wali się go słuchać w natężonem skupieniu. Wam pierwszym chcę powierzyć mą dzisiejszą tajemnicę, której wspomnienie mi krew szybciej pędzi po żyłach i rozpala skronie. Wy mnie nie wyśmiejecie i nie wyszydzicie, jak drwiono ze mnie nie tak dawno temu, gdym poważył się twierdzić, że wszystkie ciała, czy ciężkie, czy lekkie, z równą szybkością spadają ku ziemi. On śmie stawać w sprzeciwieństwie do Arystotelesa, krzyczał wówczas zastęp urzędowych profesorów. A najzajadlej nacierali z nich ci, którzy mnie pozbawili mej katedry w Pizie. Arystoteles orzekł, że ciała lekkie mają tendencję lecenia ku górze, a ciała ciężkie ku ziemi. To było ich wyrocznią. Z pod płaszczyka Arystotelesa było im tak wygodnie i tak bezpiecznie miotać we mnie pociski, że ani im przez myśl nie przeszło wykonać drobny eksperyment, by stwierdzić, czy zdanie Arystotelesa jest prawdziwem. Dopiero gdy szanownej komisji profesorskiej wykazałem słuszność mego twierdzenia, spuszczając ciężkie i lekkie kamienie z krzywej wieży w Pizie, raczyli mi uwierzyć.

Lecz teraz ja nie potrzebuję ich łaskawego uznania. Dlatego przysięgam wam, że traktat mój „La Bilancetta“, w którym wyłożyłem odkryte przezemnie prawidła spadania, pozostanie manuskryptem aż do mej śmierci. Tylko mym najbliższym dam go do przeczytania. Lecz iluż ich jest? A co się po mej śmierci z nim stanie, niewiele mnie obchodzi.

Wówczas poczułem po raz pierwszy, jak strasznie samotny jestem. Im więcej wydzierałem potem tajemnic niebu i ziemi, tem dotkliwsze stawało się moje osamotnienie. Gdy wkrótce, w tę niezapomnianą dla mnie noc październikową w Padwie, spostrzegłem największy cud, który dotąd widziałem, że w konstelacji Węża znikła nagle gwiazda, którą właśnie rok przedtem odkryłem — zdawało mi się, że ziemia usuwa się z pod nóg i że niebo całe wali się na mnie. Otóż znów miałem w ręku niezbity dowód na całą fizykalną niepoczytalność Arystotelesa. Niebo jest niezmienne, uczył ten mędrzec. Gwiazdy są przyczepione do kryształowych wydrążonych kul, skąd ich żadna potęga ruszyć nie zdoła. Tymczasem zobaczyłem na własne oczy, jak gwiazda taka, rzekomo nieporuszalna, zniknęła.

Już 6 lat od tego dnia upłynęło. Co wieczór śledzę jej ślady na niebie, a jej niema. Gołem okiem zrobiłem wówczas to spostrzeżenie. A potwierdził je mój teleskop, ten cudowny instrument, który blizko rok temu zrodził się w mej głowie, w jakiejś niewypowiedzianie słodkiej i szczęśliwej godzinie. Teleskopem mym ujrzałem rzeczy, wobec których nikną wszelkie wielkie czyny mistrzów z Egiptu i z Chaldeji. Zobaczyłem, że nie siedem tylko pięćset, tak pięćset gwiazd zawiera świetna konstelacja Orjona, że również nie z siedmiu, tylko z trzydziestu sześciu gwiazd składają się Plejady. A gwiazdy, która wówczas zniknęła w Wężu, teleskopem mym nie znalazłem.

Co się wtedy na wieść o moich odkryciach poczęło dziać w umysłach mych bliźnich, trudno określić. Doprawdy, że śmiać mi się chce na te wspomnienia, choć są one takie bolesne. Zgraja bałwochwalczych wyznawców Arystotelesa nie posiadała się ze złości. Powtórzyło się to samo, co działo się w Pizie. Miast powtarzać me eksperymenta, konfrontować me twierdzenia, poczęto obrzucać mnie błotem oszczerstw.

Znów byłem sam.

Jedyną mą pociechą były nieliczne listy od zawodowej mej braci. Większość z nich nie zdobyła się na tyle odwagi, by przyznać mi słuszność, choć niewątpliwie ją widzą. Zmora Arystotelesa ich przygniata i ubezwładnia. Właściwie nie rozumiem, jakim bogom oni służą. Postępują tak, jak gdyby ukrywali się przed prawdą i przedemną. Nie wątpię, że odetchnęliby, gdybym umarł.

Od kilku chwil pociemniało w kaplicy. Galileusz nie zauważył tego. Nagle spostrzegł, że nie widzi maski na zbroji Giuljana. Wstał i podszedł ku oknu. Ogromna czarna chmura wsunęła się była przed księżyc. Tylko jej brzegi mieniły się w potokach błyszczącego srebra.

— Czyżbyś i ty się chciał ukryć przedemną, mój stary przyjacielu?—uśmiechnął się do księżyca Galileusz. Ciebie jestem pewien, ty mnie nie opuścisz. Może się trochę dąsasz na mnie, że cię dzisiaj właśnie pozbawiłem twej aureoli? Jedna jest ziemia i jeden jest księżyc, mówili sobie i tobie ludzie i zginali kolana przed tobą. Tymczasem ja, dzisiejszego wieczora, spostrzegłem, że okłamywałeś nas tysiące lat, że jesteś tylko bardzo mizerną kruszyną, między twemi braćmi. Dzisiaj zobaczyłem tym moim bezlitośnie prawdomównym teleskopem, że wkoło Jowisza wiruje czterech takich bladych towarzyszy, jak ty. Więc zdarłem ci prastarą maskę twej wytwornej ekskluzywności, w której ci tak niezwykle do twarzy było. No wreszcie poszła sobie ta niegodziwa chmura i znów pokazujesz twą twarz, lecz zdaje mi się, że odrobinę mniej złośliwą. Prawda, mój drogi?

Księżyc bryzgnął znów białem światłem w kaplicę.

— Jesteś niezwykle wykwintny w obejściu i uważający, mój kochany—rzekł Galileusz.—Dziękuję ci stokrotnie za twą łaskawość. Lecz jakaż zapłata spotka mnie za me umiłowanie? Boję się o tem myśleć.

Czuję ponownie potworne nietoperze skrzydła samotności, zaciskające się nad mą głową. Im więcej zbliżałem się do prawdy, tem dalej odpychali mnie ludzie od siebie. Im jaśniej i dobitniej mówiłem im, że się ma tak a nie inaczej, tym uporczywiej odwracali odemnie twarze. A cóż dopiero teraz będzie, gdy posłyszą, że istnieje więcej księżycy, że ja znam ich już pięć, a może jest ich nieskończona ilość, podczas gdy Arystoteles kazał wierzyć, że istnieje tylko jeden księżyc, nadto w tym celu, by sobie ludzie w ciemnościach nocnych nóg nie połamali.

Cóż mi znaczy, że kilku wybranych zrozumiało moją naukę, że światły, miłościwie nam panujący książę Cosmos zaszczycił mnie mianem „pierwszego książęcego matematyka i filozofa“. Na cóż mi to wszystko, kiedy

ja pragnąłem, by wszyscy moi bracia bez wyjątku napawali się tem światłem, które danem mi jest na ziemi rozniecać.

Ja was, bracia moi, wszystkich kochałem już od tej chwili, gdy jeszcze chłopcem będąc, podczas mszy w katedrze pizańskiej odkryłem prawidła wahania, gdy kościelny niebacznie silnie rozkołysał świecznik przed wielkim ołtarzem. Wówczas wezbrało mi serce gorącem umiłowaniem ku wam wszystkim, którzy w mrokach niewiedzy tysiące lat toniecie. Poczułem, że muszę odkrycia moje nieść między was, by wam się umysły rozjaśniły i serca rozradowały nad nieskończoną mądrością prawideł przyrody. Już wtedy w katedrze wykrzyczeć pragnąłem me odkrycie, byście razem ze mną padli na kolana i dziękowali Panu, że tyle wiekuistych swych myśli wlał w twory rąk swoich, które każdej chwili w niwecz obrócić może.

A gdy po latach nieustannej pracy pogłębiłem me odkrycia i zaniosłem je wam, byście je przytulili do serc waszych, wtedy odwróciliście się odemnie. Najsilniej przylgnąłem do tych niezliczonych najbiedniejszych z was, którym nie danem jest szarzyznę życia zdobić rozpamiętywaniem dzieł sztuki, które tak hojnie w ostatnich czasach ojczyzna nasza wydała. Zapragnąłem, by miast niedostępnego piękna sztuk, wlały się w zmysły potoki tak prostych a głębokich prawd, zawartych w przejawach przyrody. Niestety nie ziściły się moje rojenia. Lecz ogień mej duszy nie wygasł. I tak stało się, że zawiedzione me serce pokochało wreszcie... swą samotność.

A samotność odwzajemniała mi się swą najczystszą, najboleśniejszą miłością. Począłem tedy rozglądać się za istotą ludzką, która byłaby również wypełniona po brzegi tymże samym piołunnym haszyszem. I na drodze tej napotkałem was Dniu i Nocy, Zmierzchu i Brzasku i ciebie, Michale Aniele.

Gdy nie cały miesiąc temu, po mszy wszedłem z księciem Cosmosem po raz pierwszy między was tutaj

do tej kaplicy, poczułem, że zrodziłyście się z duszy człowieka, który całe życie był sam. Zrozumiałem, że ty Dniu, silny, męski, prężący się do czynu, i ty Nocy sennie wtulona w siebie, jesteście jego dniem, pełnym tytanicznych porywów, i jego nocą, martwą, szczęsną, ubezwładniającą.

I zrozumiałem zarazem, że ty Zmierzchu, omdlało układający twe olbrzymie członki, zbolałe całodziennym wysiłkiem, jesteś jego chwilą, gdy pędzel i dłuto wypadały mu z ręki, gdy legł jak głaz między sztalugami i bryłami swej pracowni.

A ty, Duszo Brzasku, zaklęta w potężne kształty kobiece, odchyliłaś mi najtajniejszy rąbek jego duszy. Ból, jakiego nikt dotąd nie stworzył i nikt nigdy nie stworzy, wpełzł na twe najcudniejsze oblicze. Boisz się dnia, który ma się rozpocząć, lękasz się, że skończy się martwy a słodki sen i że, gdy oczy na światło rozewrzesz, opadną cię zewsząd chichocące zmory białego, połyskliwego dnia, który nic ci nie przyniesie prócz tytanicznej pracy i straszliwej samotności.

Tak on się bał dnia, który miał zgiełkliwy bieg swój rozpocząć, bo w mózgu tkwił mu kolec bolesnego rozpoznania, że zbyt wielki jest, by mógł się pochylić ku komukolwiek, że zbyt silny jest, by mógł przytulić do siebie kogokolwiek, tak, by go nie zgnieść. Jeno wiekuisty powrót Dnia i Nocy, Zmierzchu i Brzasku, był jego powiernikiem. W olbrzymie koło to wplótł swą duszę i kazał białym kamieniom tym mówić po wsze czasy o płynącem z swej wielkości osamotnieniu. Żył między ludźmi, a jednak żył jakby nie między nimi. Tworzył tylko człowieka — a jednak, gdy tylko dłutem w marmur uderzył, zrazu przyoblekał mu się człowiek w postaci tytanów z najdalszej przeszłości, i nie wiele tam pozostawało jeno-ludzkiego. Człowiek był mu najbliższym, a pod rękoma stawał mu się tak dalekim, jak mnie gwiazdy moje.

Odtąd z nim tylko mogę i umiem rozmawiać i tylko wam chcę i muszę powierzać me radości i me smutki. Więc wszystko mi jedno że jak zbrodzień, lub jak swawolny żak, nocami do was się zakradam. Z gorączkowym pośpiechem biegłem tu dziś, gdy radosne osłupienie nad wykryciem księżycowej tajemnicy Jowisza krew mi rozpaliło. Z wami pierwszymi musiałem podzielić radość moją, by przy was wyzbyć się lęku, który zrazu mnie opadł. Owego lęku, czy aby nie ugnę się przed zwartym szeregiem tych, co czychają na mą zgubę. I doprawdy, odetchnąłem tu między wami. W serce me wparł się zbawczy powiew waszego dumnego i wyniosłego milczenia, wykwitłego z jego duszy, która znała jeno ból, a nie skargi. Jutro niechaj się więc dowie świat cały, że ja znów rąbnąłem młotem w zakrzepłe w tysiącach lat niebo Arystotelesów i Ptolemeuszów.

Żegnam was z sercem pełnem wdzięczności. Pono on, co was stworzył, umarł dnia tego, którego ja się urodziłem. Niechaj jego śmierć, która się odstać nie może, będzie dobrą wróżbą mego życia.

* * *

Od dnia tego minęło 22 lat.

Dopiero wrzesień dobiegał końca, a można było przypuszczać, że już późna jesień stoi za progiem. Od kilku dni świszczał wicher i upusty wody lały się na ziemię. Niemiłosierny deszcz tłukł o szyby willi Arcetri, położonej o godzinę drogi od Florencji. Od szeregu lat zamieszkiwał ją Galileusz, wraz z jedynym uczniem i pomocnikiem swym Ridolfem. Willa ta mieściła zarazem obserwatorjum astronomiczne, zasobne w liczne instrumenty, będące prawie wszystkie wynalazkiem Galileusza. Nad dachem jej wynosiła się mała baszta, służąca do wygodniejszego obserwowania nieba. W bibljotece, znajdującej się na parterze, ślęczał właśnie Ridolfo,

schylony nad ogromnym arkuszem papieru, skrzętnie zapisanym cyframi i figurami gieometrycznemi.

— Przeklęty deszcz—mruczał do siebie.—Od kilku dni już wyczekuję nadaremnie, by obaczyć pierścienie Saturna, których dotąd prócz mego mistrza nikt nie oglądał. Zapewne i dziś mi się nie powiedzie, bo chmury nie ustąpią. Trudno, trzeba się uzbroić w cierpliwość.

Wtem gwałtownie pchnięte rozwarły się drzwi pracowni, a w progu stanął siwowłosy starzec, Galileusz.

— Ridolfie — zawołał — rzuć precz twe rachunki i wystaraj się o konie i wóz, gdyż natychmiast jedziemy do Florencji.

Ridolfo zerwał się na równe nogi.

— Co wy mówicie panie? teraz do Florencji? w ten deszcz i w tę szarugę?

— Tak teraz,—odparł Galileusz.—Dziś pojedziemy do Florencji, a niebawem do... Rzymu.

— Więc znowu drugi raz do Rzymu?—wykrzyknął przerażony Ridolfo.—Przecież ani miesiąc nie minął, jak dostaliście wieść, że sam Ojciec święty, Urban, raczył się zachwycić ciętą odprawą, jaką daliście w waszym „Dialogo“ jezuicie Grossiemu. Więc czegóż oni teraz od Was chcą?

— Czytaj sam — odparł Galileusz i drżącą ręką podał uczniowi list.

Ridolfo otworzył go z pośpiechem i na ostatniej stronie ujrzał znajomą mu dobrze pieczęć św. inkwizycji.

— Teraz rozumiem—wyszeptał wzruszony. Z dziecięcą delikatnością spojrzał w oczy mistrza i dostrzegł, że w kątach ich lśniły łzy.

— Mistrzu i ojcze mój, — zawołał tłumiąc łkanie i ustami przywarł do dłoni starca.

— Uspokój się, synu — rzekł cicho Galileusz, głaszcząc ręką czarne włosy młodzieńca. Lekko się uśmiechając, dodał:

— Przecież nauczyłem cię, że nawet gwiazdy nie

są stałe i niezmienne, więc jakżeż tu dziwić się losom ludzkim. Idź, synu i zrób, co ci kazałem.

Niebawem siedzieli obaj na chłopskiej dwukolnej bryce, zaprzęgniętej w mizerną szkapinę, która po kolana brodziła w błocie. Otuleni w ogromne dery, zarzucone na głowę, jechali milcząc, spadzistą drogą, wiodącą do Florencji. Dopiero gdy mijali wzgórze San Miniato odezwał się Galileusz.

— To *on* wzgórze to ufortyfikował, gdy trzeba było wywalczyć miastu ojczystemu wolność. On się nie ugiął, choć wypadło mu głazy piętrzyć przeciw Medyceuszom, którzy byli przecież jego dobroczyńcami. Bo ponad wszystko stawiał swobodę czynów i myśli. Ja kroczę jeno jego śladami.

— O kim mówicie panie? i pocóż właściwie jedziemy do Florencji?—zapytał Ridolfo, z trudnością zwracając zakwefioną twarz ku Galileuszowi.

— Do niego jedziemy, mój synu — odparł Galileusz,—do tego jedynego, z którym przez kilkadziesiąt lat rozmawiałem po kilka godzin dziennie. I nigdy ani chwili nie uprzykrzyła mi się rozmowa z nim, choć ani razu mi nie odpowiadał.

— Na rany Zbawiciela, panie, co wy mówicie? — zawołał wystraszony Ridolfo. Toć już siedem lat nie odstępuję was ani na krok, a nigdy nie spostrzegłem, byście z kimkolwiek godzinne rozmowy wiedli. Przecież na palcach mógłbym tych policzyć, którzy raz kiedyś zaglądali do naszej siedziby. Nie gniewajże się panie, że śmiem was tak pytać! lecz chyba z duchami nie rozmawialiście pokryjomu?

— Masz rację, synu—rzekł Galileusz—nie z duchami rozmawiałem, tylko z duchem. Z jego duchem i z moim. Bo widzisz synu, my mamy jednego ducha. No, nie patrz z takiem przerażeniem na mnie. Może cię chętka bierze zeskoczyć z wozu, przeżegnać się i uciec odemnie, jak od zapowietrzonego?

— Nie panie — zawołał Ridolfo, choć dzisiaj pierwszy raz dziwnemi wydają mi się słowa wasze, nie opuszczę was nigdy.

— Dziękuję ci, synu — odparł Galileusz — niedługo może wszystko zrozumiesz. Tymczasem powiedz woźnicy, by nas zawiózł wprost przed kościół San Lorenzo.

Wkrótce stanęli u celu. Było już blizko wieczora i kościół był już zamknięty.

— Ridolfo—rzekł Galileusz—tam w trzecim domu naprzeciw mieszkał kiedyś mój przyjaciel, odźwierny Antonio. Już wówczas był bardzo starym, więc pewnie dziś nie żyje. Idź do jego następcy i powiedz mu, że ja chcę, by mi otworzył kościół.

Osłupiały do reszty Ridolfo spełnił rozkaz. Po chwili zjawiła się w oknie okrągła czerwona twarz niestarego mężczyzny, zdziwionym mierzącego wzrokiem niezwykłych przybyszy. Lecz miły blask monety, podtykanej mu przez Ridolfa pod sam nos, zmiękczył jego cerberowe serce i wreszcie z miną pełną pańskiej łaskawości otworzył bramę kościoła.

Idźmy prędzej Ridolfo, rzekł Galileusz, bo spieszno mi. Już 22 lat minęło, jak tu nie byłem. Wówczas przychodziłem tu w nocy o księżycu.

— W nocy, o księżycu!—jęknął niemal Ridolfo.

— Tak mój drogi—mówił dalej mistrz.—Skradałem się tu, jakby jaki zbrodzień. Toć niebezpiecznym zbrodniarzem mienią mnie moi przeciwnicy. Ty żyjesz jeno w świecie gwiazd. Nie wiesz nic o tym tu świecie i o ludziach, którym ja chciałem nasze gwiazdy w sercach pozapalać. Trudno ci będzie objąć duszą to niezmierzone morze goryczy, które mi zgotowała niechęć ludzka. Tam na prawo jest kaplica medycejska, cel naszej wycieczki, która cię tak przeraża.

Weszli do wnętrza kaplicy. Dzień i Noc, Zmierzch i Brzask spoczywały w tym samym niezmąconym spokoju, co przed 22 laty.

— Witam was — począł wzruszony Galileusz. — Wybaczcie mi, że tyle lat was nie odwiedzałem, lecz przysięgam wam, że nie było ani dnia, w którymbym nie przebywał choć chwil kilku z wami. Mój synu, mój Ridolfie — mówił dalej, przyciskając młodzieńca do piersi — tu w tych czterech najdroższych postaciach jest cała moja dusza. Pierścienie Saturna, księżyce Jowisza, gwiazdy Plejad i Orjona, to tylko ułamki mej duszy. To tylko lśniące drobiny tego, co tutaj ujrzałem.

— Jeszcze nie rozumiem słów waszych, panie—rzekł Ridolfo, ze zdumieniem spoglądając to na mistrza, to na wynurzające się z mroku marmury.

— Obyś nigdy nie zrozumiał, wtedy lepiej ci będzie—odparł Galileusz. — Tyle lat jesteś przy mnie i patrzysz na mą samotność. A jednak nie wiesz, czem jest osamotnienie. Bo to wiemy tylko ja i on.

— Czy o Michale Aniele mówicie, panie? — spytał nieśmiało Ridolfo. Mistrz nie odpowiadał. Ridolfo dostrzegł w tem milczeniu potwierdzenie swego przypuszczenia i nieco śmielej począł mówić:

— Wiem, że to jego utwory. Lecz doprawdy nie mogę pojąć, co łączy naszą naukę z jego marmurami. Wiem też, że on tworzył tylko ludzi. A przecież my, zatopieni w gwiazdach, bodaj pamiętamy, że istnieje jakaś garstka istot, zwanych ludźmi. Przynajmniej mnie się tak zawsze wydawało, panie. Szczerzę mówię, że nie odczuwałem dotąd ani przez chwilę, że jestem samotny. Czemu się tak dziwnie uśmiechacie, panie? czyżbym mówił od rzeczy.

— Nie lękaj się—uspakajał Galileusz—mówisz więcej do rzeczy, niż zapewne sam przypuszczasz. Nie łudzę się, że dni moje są policzone. Więc na dalszą drogę życia, po której już bezemnie kroczyć będziesz, daję ci to moje napomnienie. Otóż wiedz, że im więcej jesteś osamotnionym, tem mniej jesteś samotnym, a im silniej będziesz osamotnienia unikał, im więcej przybliżysz się do twych braci, tem samotniejszym się poczujesz.

— Słowa wasze pojmuję, panie—odparł Ridolfo—Lecz w głowie mi się nie chce pomieścić, że słyszę je właśnie z ust waszych, coście zawsze tak dalecy mi się wydawali od wszelkich spraw ludzkich. Teraz przyznam wam się, panie, że choć danem mi było wgłębiać się w waszą mądrość aż do najzawilszych jej zaułków, dotąd nigdy nie mogłem pojąć znaczenia wielu słów, któreście napisali w waszej książce „Il Saggiatore".

— Nie dziwię się twym wątpliwościom, bo tego, co tam napisałem, *on* mnie nauczył — rzekł Galileusz, wskazując ręką na marmury pod ścianami kaplicy. — On był jedynym moim mistrzem, mimo, że w przytoczonem przez ciebie piśmie wołałem, że nie trzeba wierzyć nikomu, że dla nas niema żadnych autorytetów, że uznajemy jedynie to, co sprawdzić możemy doświadczeniem. Toć tyle wieków wierzyli przodkowie nasi ślepo w Arystotelesa, a wiesz, jak daleko zaszli. Chyba o samochwalstwo mnie nie posądzisz, więc mogę śmiało przywieść przed pamięć, jak mizerną była nauka nasza przedemną.

— Mistrzem nad mistrze byłeś i jesteś, panie, z zapałem zawołał Ridolfo.

Galileusz zaledwie słyszał jego słowa. Wspomnienia z przed tylu lat odżyły w nim z całą potęgą. Kilku szybkimi krokami przybliżył się do Brzasku i począł z niewysłowioną miłością wpatrywać się w jego oblicze.

Zrazu poczuł tę magiczną potęgę, która wówczas oplatała jego duszę, gdy w noce księżycowe wiódł tajne z tymi marmurami rozmowy.

— Tyle czasu minęło — począł szeptać, zapominając o Ridolfie—a zdaje mi się, jakobym tu był wyszedł wczoraj. Tak mi się każdy wasz rys wżarł w duszę. Z lękiem tu przychodziłem, a odszedłem z otuchą i na cześć waszą nazwałem księżyce Jowisza gwiazdami medycejskiemi. Wtedy wlałyście w me serce pociechę tak wielką, że zdawało mi się, iż będę mógł już żyć bez waszej pomocy. Okwefiłem się dumną pychą mego osamotnienia. A puklerz ten był dość mocny, że nie zdołały go przebić jadowite strzały, które w cztery lata później poczęli we mnie miotać czcigodni ojcowie Caccini i Lorini. I później, gdy w pierwszym rzymskim procesie przeciwko mnie potępiono zasadnicze zdania mej nauki, nie zabrakło mi sił na odparcie tego nowego ciosu.

Potem były nawet chwile, w których zdawało mi się, że mogę wam się sprzeniewierzyć, że już mi nawet wspomnień waszych nie potrzeba. Sława moja rozbrzmiewała bowiem po całej ziemi i ukorzyli się przedemną tyloletni zawzięci moi przeciwnicy. Sam Ojciec święty z uznaniem się o mych pismach wyraził. W szczęśliwych tych godzinach mniemałem nawet, że zbyt lekkomyślnie wyniosłem się na szczyty osamotnienia.

Niestety, dzień dzisiejszy rozwarł mi nanowo księgę ową, z której się dzięki wam czytać nauczyłem. Gdy dostałem dziś rano list z Rzymu, wzywający mnie na nowy proces i podsuwający mi jak najnikczemniej, że pod postacią naiwnego Simpliciusa w mym „Dialogo" miałem Ojca świętego na myśli i chciałem go ośmieszyć—wtedy jakby pod obuchem ocknąłem się ze snu miłego, który począł osładzać stare moje lata. Poznałem, że nic nie jest trwałem i niezmiennem, prócz waszej bolesnej mądrości. Z tą samą chwilą uczułem gorącą tęsknotę za wami — i otóż jestem przy was. I widzę teraz jasno, że wszystko, co pisałem w mym „Saggiatore" o względności uczuć ludzkich, to z was mi wypłynęło, choć wtedy zdawało mi się, że kroczę wyłącznie śladami Demokryta.

Wy, porówni z Demokrytem, wiodłyście tajnie me pióro po papierze, gdy głosiłem, że niema żadnych jakości we wszechświecie, że nic ani nie pachnie, ani dźwięczy, ani świeci, ani grzeje, że jest to tylko splot ilościowy monotonnych ruchów atomów, że wszelkie wrażenia i uczucia istnieją wyłącznie w człowieku, czyli, że byt ich jest chimeryczny, że są to tylko... słowa. Absolutna względność wszelkich jakości i wartości ludzkich — oto złowieszczy akord, jaki mi brzmi z wiekuistego nieubłaganego kołowrotu Dnia i Zmierzchu, Nocy i Brzasku,

i oto bolesne pogłębienie, jakie dałyście udręce mego szczytnego osamotnienia. Więc teraz, gdy przeciwnicy moi rozpoczynają najzajadlejszą walkę przeciwko mnie, cóż wy mi dać możecie na mą drogę?

Przeklinać bym was mógł w tej chwili, gdybym was tak nie kochał. On, co was stworzył, nie mógł was darzyć większą miłością od mojej. Wyrzucił on was z siebie, zaklął was w bryły marmurowe, choć wiedział, że nie wypłucze przez to z serc waszych strasznych widziadeł. Boć potwierdzając was w kształtach najdoskonalszych, potęgował jeno ból swój. A jednak nie bał się was, choć ssałyście jego rdzeń.

Tak, ty nie uląkłeś się *siebie*, Michale Aniele, mój druhu, więc i ja się siebie nie ulęknę. Co miałem ludziom do powiedzenia, już im powiedziałem. Lecz krwawe ofiary duszy, jakiemi trzeba mi było czyny mego życia okupić, zachowam wyłącznie dla siebie. Nie poniosę ich na ckliwe drogi taniej litości ludzkiej, tak jak ty nigdy udręki swej między ludzi nie niosłeś. Dzieła nasze powiedzą o tem dosyć tym, którzy czytać umieją. A choćby takich wcale nie było, to o innych nie dbamy.

Ridolfie — zwrócił się do ucznia, który z trwożnem osłupieniem słuchał jego słów — jeszcze dziś wyruszamy do Rzymu.

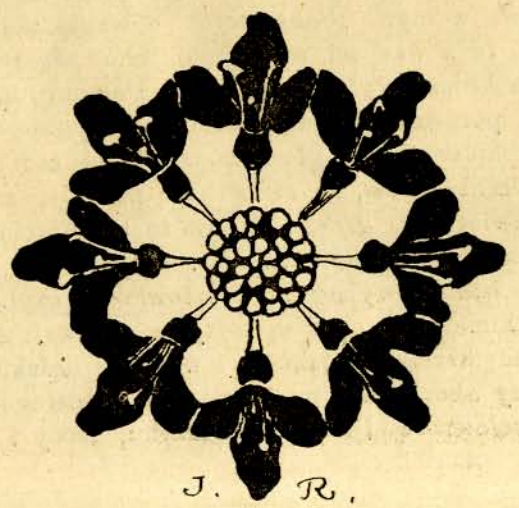

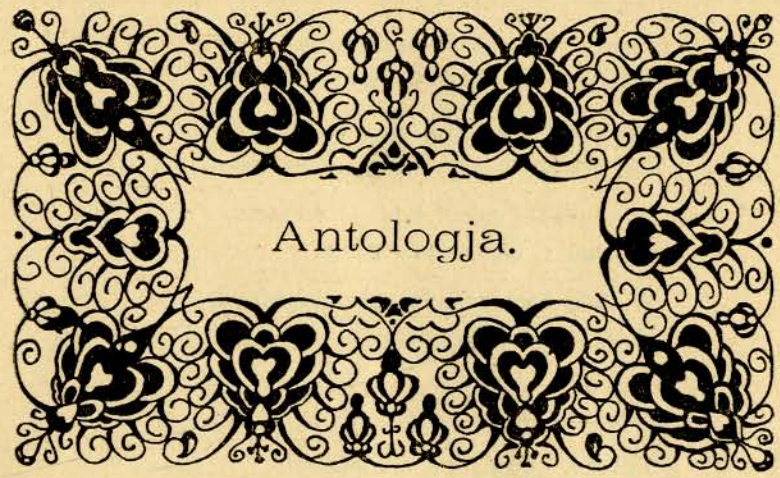

JAN LEMAŃSKI.

DOBROCZYNNOŚĆ.

Niema szlachetniejszej sprawy,
Niźli nędza dla Warszawy.

Sztuk ni nauk cel nie wpędza
Tyle miasta w szał, co nędza.

Więc spektaklów u nas mnogich
Tytuł: pomoc dla ubogich.

Dla nich bal, obrazy żywe,
Urządzają damy tkliwe.

Dla nich odczyt, koncert, drama,
Kiermasz, wenta, panorama.

Na rzecz biednych czyn kobiecy
Dobroczynnej łaknie hecy.

W imię nędzy i literat
I poeta ciągnie kierat.

Dama prosi tak milutko:
— Na rzecz biednych daj rzecz krótką.

Proszę, nie rób korowodów:
Tyle jest na świecie głodów.

Dobrodziejstwo zrobisz wielkie,
Daj na rzecz ich wiersz, nowelkę...

Im z niej — chleb, tobie — reklama,
A mnie z tego — panorama.

W imię biednych, daj rzecz krótką —
Prosi dama tak milutko.

Dobrze. Czuły na dam lament
Biorę pióro, blok, atrament.

Siadam, piszę rzecz tę krótką
Przeciw nędzom, łzom i smutkom.

Bal. Tłum przez noc w tańcu dryga.
Koszt zjadł zyski, saldo — figa.

Moc posażnych czarodziejek.
Profit — kilka dał kopiejek.

Koncert. Gra na fortepianie
Wirtuoz. Biedak — grosz dostanie.

Raut. Pokaz kostjumów.
Zero — na rzecz biednych tłumów.

Odczyt. Sukien damskich pochód.
Krocie — nakład, grosze — dochód.

W sumie—na rzecz biednych dyska,
Lecz społeczność na tem zyska.

Zło biedaków żre, jak żarło,
Lecz sto małżeństw się zawarło.

Plon spektaklu na nędzarzy —
Sto romansów się kojarzy.

Tak więc się zaprzeczyć nie da:
Że wspomaga szczęście bieda.

Tak, ma nędza bytu rację:
Podtrzymuje gieneracje.

O tak! więcej niźli inny,
Naród nasz jest dobroczynny.

Więc nad nami żadna klęska,
Nie powinna być zwycięska.

Jakoż nie jest. Bo w Warszawie
Bal za balem, co dzień prawie.

Za pomocą balów nędza
Śpiewająco się odpędza.

Balem można się zabawić,
Jednocześnie i kraj zbawić.

Narodowe wzmódz uczucie
I nędzę można w raucie.

Dla nas radość z went, z kiermaszy,
A dla biednych — porcja kaszy.

Koncert z dobroczynnym celem
Jest narodu zbawicielem.

Na choroby i na śmiercie
Społeczeństwa lek — w koncercie.

Śpiewak zamigotał trelem,
I jest kraju zbawicielem.

Wirtuoz dotknął się klawiszy,
I już naród szczęściem dyszy.

Na estradzie deklamacja....
Brawo! Polski reformacja.

W kabaretach, dla rozgrzewki
Serc, wesołe dzwonią śpiewki.

Pełna dymu, huczy sala.
Bankiet. Naród się wyzwala.

Tam gdzieś skrzypią szubienice...
Furda! Garson, lej w szklanicę.

Tam gdzieś kogoś ktoś tam wiesza.
Głupstwo! Nas tu *witz* rozśmiesza.

Przy stolikach rojne tłumy,
Pachnie wódka, dym, perfumy.

Krew w słuchaczu oraz widzu
Rozpłomienia śpiew o rydzu.

Tam gdzieś kogoś kat na belkę
Ciągnie?... Garson, daj butelkę!

Z ideałów naszych kpili:
Dziś będziemy za nich pili.

Z żył pragnęli krwi nam ulać,
Dziś możemy za nich hulać.

Towarzysze, ideowce!
Dziś kat strzyże was, jak owce.

Było słuchać nas, pasterzy...
Garson! Dawaj kruszon świeży.

Chciałeś zbawić świat, chłopczyku,
Odrodzeniem? — wiś na stryku.

A nas niechaj śpiew odrodzi,
Jak na rydze Kasia chodzi.

Wierz, słuchaczu mój i widzu:
Kwintesencja życia — w rydzu.

ZOFJA DĘBICKA.

PRZODOWNICA.

Wczesnym rankiem, nim słońce do chaty zajrzało,
Wstąpili po mnie żeńcy, by rozpocząć żniwa,
Gdyż dostała już w słońcu złotoplenna niwa
I kłosów bujne morze pod sierpem paść miało.

Słysząc, że się za drzwiami głos żeńców odzywa,
Chwyciłam sierp ze ściany, bowiem mnie przystało
Stanąć pierwszej na czele i drużynę całą
Poprowadzić, gdzie szumi zbóż falista grzywa.

Dzwonią sierpy, pod światło migocą, jak złote,
Wczas dojrzy każde oko ochotną robotę...
Mignie kraśna spódnica w wyciągniętym rzędzie.

Odezwie się żniwiarza piosenka gdzieś blizko...
I nim wieczór nadejdzie, już rosa osiędzie,
Zdobiąc w perły garściami haftowane rżysko.

RYBACZKA.

Płową nitką ukradkiem wiązałam twe sieci,
Rozwieszone śród piasku, gdy wybrzeże spało,
Śledząc pilnie, by żadne oko nie dojrzało,
By mnie kiedy swawolne nie zdradziły dzieci.

Ciemną nocą, gdy morze złowrogo huczało,
Wymykałam się z izby, zanim świt zaświeci,
Byś potarganą wczoraj śród morskiej zamieci
Mógł zarzucić na wodę spokojnie sieć całą.

I, wracając co wieczór swą łodzią z połowu,
Nie przeczułeś, że rankiem wybiegnę i znowu
Pracowitemi dłońmi, a sercem kochanki

Twoją sieć wiązać będę, niby ślubne wianki,
Z których żaden mojego nie przystroi czoła,
Bo cię sercem, rybaku, nic do mnie nie woła!

ROMAN KRECZMAR.

SZATAN.

Siedział wsunięty w czarnej skalnej wnęce
I ku otchłaniom ziemskim chylił głowę,
Wspartą na silne a wychudłe ręce...
Zachodnie słońce blaski purpurowe
Na twarz mu kładło, którą wskroś przenika
Boleść wygnańca i myśl buntownika.

A tak strasznego, tragicznego piętna,
Jakie mu rozpacz wyryła na czole,
Nie miała nawet twarz Chrystusa smętna,
Kiedy przedśmiertne targały nim bole,
Kiedy mgłą zaszłe oczy w niebo zwrócił
Z wyrzutem krwawym: „Czemuś mię porzucił?“...

A tylą dumy—gwiazdą władnej mocy —
Mógł błyszczeć tylko Jehowa na tronie
W straży herubów, w płomiennej koronie,
Jakim go w psalmach wielbili prorocy.
A taki pożar w rozwartej źrenicy
Tylko—wstający noszą niewolnicy!

Pierś ciężko dyszy — snadź, że jeszcze wnętrze
Drży niewygasłym tlejącym wulkanem.
„O, przyjdzie chwila, że te góry spiętrzę,
„Że je bojowym uczynię taranem.
„Wstrząsnę posady odwiecznego tronu:
„Wtedy dzień błyśnie trzeciego Zakonu.

„Wtedy na ziemi—tej marnej planecie,
„Którąś uczynił sobie niewolnicą,
„Zrodzi się ludzi pokolenie trzecie,
„Co miecz płomienny do ręki pochwycą—
„Postawią królów u świątyni progu —
„I co od Boga było — wrócą Bogu!...

„Oni się zdawna na wyżyny darli,
„Na wieże Babel, nad granity skalne —
„Jeno ich formy więziły fatalne —
„Spadali w przepaść — i z rozpaczą marli...
„Teraz się o te mogiły upomnę
„I w twarz Ci rzucę ich prochy bezdomne!

„Jam dawno czekał... Nieraz pośród nocy,
„Kiedy, wybladłe czoło cisnąc w męce,
„Syn ziemi w krwawej upadał niemocy —
„Ja mu omdlałe prostowałem ręce
„I długo, długo szeptałem mu w ucho,
„Wskazując palcem niebios ciszę głuchą...

„I oto, Panie, nie zdeptałeś węża!
„Pełzał na piersi poprzez lat miljony,
„Lecz teraz znowu hardy grzbiet rozpręża
„I w cały wszechświat, pożogą czerwony,
„Wchodzi — odwieczna cierpienia potęga,
„Co mocną dłonią twych tajemnic sięga!

„A gdy nadejdzie chwila ostateczna,
„Że zbrojny wejdę do niebiosów gmachu —
„Gwiazdy i słońca pobladną ze strachu,
„Krwią Twych herubów droga spłynie mleczna
„I znów przed Tobą z niepokłonnem czołem
„Stanę odwiecznym buntu archaniołem!“...

Powstał—i ręce wyciągnął nad światem...
A jakieś błyski potężne, pożarne

Rozpłomieniły oko jego czarne
I blade czoło, krzywd zdobne stygmatem...
Mrok gęstniał... Ale długo w wiekopomny
Dzień ów po szczytach błądził cień ogromny...

WANDA NAWROCKA.

Z LEŚNYCH WĘDRÓWEK.

I.

Pola liljowych wrzosów, w nich pniaki jedliny
W jesiennem grają słońcu barw tysiącznych gamą
I w pół martwej, pożółkłej liść leśnej ożyny
Ściele się na mchach puchu pozłocistą lamą.
Nakrapiane muchary dumnie noszą głowy,
Chojaki smutne stoją, jak bojowe szyki,
Zdala widnieje zeschły dywan paprociowy
I brzozy drżą gałęzie w takt wichrów muzyki.
Gdzieś w pośród oczeretów, wśród traw wodnej [trzciny,
Stare jeziorko drzemie, jak zaklęte tonie.
Szepty tajemne słychać, z wód ciemnej głębiny,
Z nadbrzeżnych roślin płyną nieuchwytne wonie.
Tonę oczarowana w mchów leśnem podłożu,
Siła piękna mnie bierze w słodkie panowanie,
Śnię o tem, żeby zostać na leśnej polanie,
Śnię o śmiertelnem, z wonnych oczeretów łożu.
Mój smutek się rozpływa w tej kolebce słońca,
Dusza staje się czysta, łagodna, gołębia,
Jakieś harfiane struny skrzydłem ptak potrąca,
Śnię, że trumną mi będzie ta jeziorna głębia!

II.

Zwątpienie idzie. Dusza staje się tak marną,
Jak przeleżałe w ziemi a bezpłodne ziarno,

Dusza mrze, dusza cierpi i giętka a wiotka
Czeka, aż kres dni swoich w zwątpieniu napotka.
Wtedy, chcąc się ratować z haniebnej martwicy,
Biegnę w samotne lasy, po wielki hart ducha.
Bóg mnie do swojej świętej przygarnia świetlicy,
Natura mówi do mnie, a serce jej słucha.
I z dumnego pokłonu dębowej korony
Wieje na mnie ogromna, wieczna siła trwania,
I zaczyna się budzić duch mój odrętwiony,
Od dębu idzie na mnie siła zmartwychwstania.
I ukutą z granitu przez króla puszcz duszę
Brzoza rzewności uczy, a wdzięku kalina;
I powoli, powoli, jarzmo zwątpień kruszę,
Wielki akt odrodzenia we mnie się zaczyna!
Stoję tak długą chwilę. I z nikłości karła
W olbrzyma rosnąć pragnę i mieć tyle siły,
Aby podeptać wszystkie nadziei mogiły
I rozpacz precz odrzucić, co się w serce wżarła;
Padam na leśne zioła i w łzawe potoki
Resztę goryczy wkładam i lęku okruchy,
Pochylają się ku mnie kwiaty — dobre duchy
I słońce promień kładzie na mnie złotooki.
I tak jak dębu dusza jest z hartownej stali,
Taką i ja wychodzę z walki — w życie dalej!

ZOFJA SUNDERLAND.

LETNIA NOC.

Taka cudna noc letnia—ziemia w śnie spoczywa,
Kołysana spokojem — senną wonią kwiatów...
Zdaje się, że czar jakiś z gwiazd na ziemię spływa,
Niosąc jej urok marzeń — widzenia zaświatów.

W bladem świetle księżyca świat cały osnuwa,
Jakieś piękno nieznane, tajemnicze, święte...

Duch marzy... głębie, dale niezmierne przeczuwa,
Śni czarodziejskich bajek dziwy niepojęte.

W dali błyszczy jeziora srebrna toń uśpiona,
Białe lilje w sen złoty kołysze milczenie...
Cisza idzie z błękitów brać ziemię w ramiona,
Zapalać pragnień, tęsknot, uniesień płomienie.

Pragnieniem życia, szczęścia drżą kwiatów kielichy,
O miłości śnią gwiazdy — szeptem mówią drzewa...
I dusza pragnie — czeka — od tej nocy cichej,
Od tych gwiazd na błękicie szczęścia się spodziewa.

Czeka — wierzy, że przyjdzie mara śniona, złudna,
Czar tej chwili jedynej pełną piersią wchłania...
Szczęścia! Świat taki piękny i ta noc tak cudna,
A w sercu taka wielka, jasna moc kochania.

Szczęścia! Zanim świt błyśnie, zanim gwiazdy zbledną,
Póki tej nocy dziwnej nie przeminą czary —
Szczęścia! choćby przelotną krótką chwilę jedną,
Ale szczęścia bez cienia — bez granic — bez miary!

Gwiazdy gasną — rozjaśnił świt błękitów ciemnie...
Za chwilę zbudzi duszę, co sny złote przędzie...
I znów szczęście nie przyszło—czekałam daremnie—
A może takiej nocy już nigdy nie będzie...

CONFITEOR.

Patrzę w siebie — w otchłanie duszy mojej ciemne,
W myśli mej głębię mroczną — w marzeń dal bez-
[kresną.
Odgadnąć pragnę drogi przeznaczeń tajemne,
Wieczną zagadkę życia, dręczącą, bolesną.

Przeżywam po raz drugi wszystko, co już było...
Oto staję z pobladłem i schylonem czołem —
Nad tem—co było szczęściem—co mogło być siłą—
Nad mej wiary, nadziei, miłości popiołem.

Wspominam dumań ciche, samotne godziny,
Chwile tęsknot, uniesień—natchnione, ofiarne —
Oto myśli płomienne, co nie przeszły w czyny —
Oto chęci, porywy, co poszły na marne...

Oto pragnień, zamiarów, snów złotych tysiące,
Co się w nicość rozwiały z pierwszą zwątpień nocą—
Uczucie wielkie, jasne, serdeczne, gorące,
Co nie było nikomu natchnieniem i mocą.

Oto idą widziadła smutnym korowodem...
To wszystko, co być miało dobrem, światłem, życiem,
A było trudem, walką, tęsknotą, zawodem,
Było ramion brzemieniem i serca rozbiciem.

Wszystko mogło być lepiej, mogło być inaczej,
Więc czemuż było marne, bezsilne, daremne?
Tyle dziś we mnie żalu, pogardy, rozpaczy...
Patrzę w siebie—w otchłanie duszy mojej ciemne...

JESIENIĄ.

W przecudny dzień słoneczny pogodnej jesieni,
Przez ogród, jaśniejący świetnych barw przepychem,
Przez ogród, pełen czarów, blasków i promieni
Idę, schyliwszy czoło w zamyśleniu cichem,
Bezgranicznego smutku na pierś padło brzemię,
A myśli dziwna jakaś osnuwa tęsknota...
Dokoła liście zeschłe wciąż lecą na ziemię
I ścielą mi kobierzec z purpury i złota.
Cień jakiś wielki pada na schyloną głowę,
Choć drogę moją słońce wyzłaca wrześniowe.

O myślę, czemu—czemu w moich dni kolei
Nie był dzień każdy jasnem, koniecznem ogniwem?
Czemu nie była wiosna złotym snem nadziei,
Nie było lato wielkiem, pełnem trudu żniwem?
Czemu ta jesień cudna, władczyni bogata,
Co tak hojnie obdarza lasy i ogrody,
Po wichrach mojej wiosny, burzach mego lata
Nie jest mi dniem spokoju, błękitu, pogody?
Czemu ta jesień cicha, tak obfita w plony,
Nie jest mi dniem wytchnienia po pracy skończonej?

WŁ. BUKOWIŃSKI: FALA.

Błękitna fala bez końca
Łaskocze morskie wybrzeże;
Pod tchnieniem wiosny i słońca
W moc swoją miłość ją bierze.

Fala — uścisków spragniona,
Jak rozkochana dziewczyna.
Brzeg jej roztwiera ramiona —
I tak się romans zaczyna.

Nietrwałe ziemskie kochanie!
Ostygnie brzegu wnet łono,
A fala wiecznie zostanie
Uścisków, pieszczot spragnioną.

I dotąd będzie miłośnie
Powtarzać zaklęć swych słowa,
Aż w brzegu o nowej wiośnie
Miłość rozbudzi się nowa.

8/IV 1909.

ADOLF STRZELECKI.

POWIEŚĆ POLSKA. (1908/9).

I.

Twórcą nowożytnej powieści jest Balzac.

O nim ci, co po nim przyszli, powiedzieć mogą i muszą,—jak Krasiński o Mickiewiczu—„my z niego wszyscy".

Jak soczewka promienie, tak on połączył w sobie wszystkie pierwiastki, które w twórczości powieściowej były przed nim i obok niego. Miał w sobie, w rozmaitem ustopniowaniu, zarodki wszystkiego, co — po naszą współczesność przynajmniej — w twórczości powieściowej się pojawiło.

On tytanicznym rozmachem swego gieńjuszu rozbił wszystkie okowy, rozsadził wszystkie pęta, które do jego czasów umysły twórcze same sobie nakładały. Dał powieści formę nieskończenie giętką i swobodną, w żadne kanony nieujętą, zdolną wszystko ogarnąć. Nadał powieści szerokość i majestat eposu, siłę i piorunowość dramatu, głębię i subtelność liryki. Wyrwał ją z grzązkich nizin egotycznych wynurzeń dusz więcej i mniej pięknych; wzniósł ją na wyżyny niebosiężne, skąd ogarniać może nieskończone widnokręgi; podbił jej dziedziny bezmierne, w których panować może odtąd i panuje wszechwładnie.

On pierwszy przedmiotem powieściowej twórczości czyni życie we wszystkich jego przejawach; dąży do syn-

tezy, ogarniającej wszystko, nie pomijającej niczego, od najpospolitszych zjawisk począwszy, aż po najfenomenalniejsze, od najprostszych aż po najbardziej złożone, od najłatwiej dostrzegalnych aż po najtajniejsze i najnieuchwytniejsze, od najrealniejszych aż po najmistyczniejsze i najtranscedentalniejsze.

Jego twórczość jest wizją twórczości wszechświata, a raczej tego świata, którego ośrodkiem i główną siłą twórczą jest człowiek, jako jednostka i jako arystotelesowe *zoon politikon*, jako całość sam w sobie i jako cząstka makrokosmu.

Dlatego też jego dzieło życiowe (*l'oeuvre*) jest nietylko tem, czem on je nazwał: „historją naturalną serc“ — *l'histoire naturelle des coeurs*—jest nietylko tem, czem Sainte-Beuve nazwał swe dzieło życiowe: „historją naturalną umysłów“, — *l'histoire naturelle des esprits* — ale jest twórczością istotną, bo tworzy istotnie nowe światy, nowe syntezy uczuciowe, i umysłowe, i psychiczne, tworzy nowych ludzi, nowe typy — tworzy to, co za przykładem nauk przyrodniczych, niezbyt właściwie nazwać by można typami proroczymi, prospektywnymi; tworzy nowe wartości, przechodzące z skarbnicy jego ducha w zbiorową skarbnicę ludzkości, wzbogaca dusze ludzkie i ludzkość całą o nieocenione klejnoty.

Ale zawsze z życia on wychodzi, w życiu tkwi, życie ku sobie podnosi. Stopy jego wzrosły w ziemię, a duch jego, bijąc przemocarnemi skrzydłami, unosi się w przestwory bezmierne, zawrotne, nieogarnione i cały świat ziemski, całą ludzkość porywa z sobą, z sobą unosi i wznosi do *swego* empireum.

Twórcą nowożytnej powieści jest Balzac.

On tę gałąź sztuki zdemokratyzował w najwznioślejszem, najwyższem tego słowa znaczeniu.

Nie uczynił tego ni Lesage w swym awanturniczym „Gil Blasie“, ni Marivaux w swej „Vie de Marianne“ czy swym „Paysan parvenu“ ni Restif de la Bretonne w swych nieraz subtelnie podpatrzonych pornografjach. Nie uczynił tego ni Goldsmith, ni Richardson, choć schodzą z górnych parnasów w życie potoczne mieszczan, pastorów i chłopów. Nie uczynił tego żaden romantyk; nie uczynił nawet i Stendhal.

Uczyniło Balzac.

Wprowadził on do twórczości powieściowej i uczynił jej przedmiotem wszystkie warstwy społeczne, wszyst-

kie grupy zawodowe; wszystkie zrównał przed prawem twórczej wyobraźni, wszystkim nadał równe, nieograniczone bezpośrednie prawo obywatelstwa. Dość przerzucić (wydany przez Certbeera i Christophe'a) *Repertoire de la Comedie humaine*, by przekonać się, że od szczytów aż po niziny najmroczniejsze—począwszy od tak oderwanych od wszelkiej realności życiowej postaci, jak ów malarz w *Chef d'oeuvre inconnu*, aż po Vautrinów, od proboszczów i lekarzy wiejskich, wytwornych magnatek i giełdowych potentatów, aż po rycerzy przemysłu w wielkim stylu, jak Rastignac, lichwiarzy, jak Gobseck, wynalazców kosmetyków, jak Popinot, małomiejskich plotkarzy i chciwych, chytrych chłopów— niema warstwy społecznej, niema grupy zawodowej, której by Balzac nie włączył w zakres swej gigantycznej epopei, ale zawsze różniczkując każdą, rozbijając ją na typy indywidualne, wyodrębnione zupełnie.

Równolegle z tą emancypacją, z tem równouprawnieniem w zakresie twórczości powieściowej wszystkich bez wyjątku warstw społecznych, otwarciem dla wszystkich drzwi na oścież i wyjściem poza nikły, egzotyczny światek bohaterskich rycerzy i czułych pasterek, idzie rozszerzenie zakresu tematów powieściowych, równouprawnienie wobec twórczości powieściowej, wszystkich bez wyjątku przejawów życiowych. Odtąd miłość przestaje być jedyną namiętnością, godną odtworzenia w sztuce, jedyną sprężyną wszystkich czynów i jedynym celem wszystkich dążeń, jedyną treścią wszystkich przeżyć i ich wyłącznem podłożem. W balzakowskiej wizji życia—jak w życiu — jest wszystko, są kłębiące się nieustannie wężowiska najrozmaitszych namiętności i popędów, najbardziej rozbieżnych dążeń i wysiłków; wspaniałe zamki na szczytach gór stromych kryją w sobie mnóstwo innych skarbów i wartości, prócz pięknych ciał, zamkniętych za ich murami księżniczek.

Balzac genjalną intuicją odczuwa przyjście epoki, której najgłośniejszem, panującem hasłem, będzie hasło walki o byt. Przeczuwa on i odtwarza w życiowem zastosowaniu zasadę *truggle for life*, którą po jego śmierci dopiero rozwinąć naukowo miał Darwin. Jego własne życie nie było zresztą niczem innem, jak nieustanną walką o byt, w najrozmaitszych kierunkach. Ale jego pojęcie walki o byt nie zamyka się w tem ciasnem korycie, w jakiem je zawarła późniejsza ewolucyjna doktryna.

Odtąd i do powieści przenika ta stara prawda, że człowiek to nietylko samiec, czy samica—że miłość, choćby jak huragan potężna, nie jest w stanie wypełnić całego istnienia ludzkiego, zapanować nad człowiekiem wyłącznie, zadowolnić wszystkich jego pragnień i marzeń, że są namiętności despotyczniej, trwalej panujące nad duszą ludzką, i one to właśnie nadają jednostkom indywidualne, charakterystyczne cechy. *In anima villi* demonstruje to „Komedja ludzka". Chciwość (Gobseck), skąpstwo (Grandet), rozpusta(Hulot), zawiść *(La cousine Bette)*, miłość rodzicielska *(Père Goriot)*, karjerowiczowstwo (Rastignac), żądza twórcza artysty *(Chef d'oeuvre inconnu)* czy wynalazcy (Baltazar Claës),—oto niektóre z mnóstwa motorów życia, namiętności, nadających życiu jednostki odrębny, niezmienny kierunek i charakterystyczny koloryt, wypełniających je w całości, tak, że na czynniki inne niewiele zostaje miejsca.

Powiedział Goethe, że szekspirowe postacie są „jak zegary, idące, ze ścianami i cyferblatem z kryształu; pokazują bieg godzin, ale widać zarazem skład kół i sprężyn, nadających ruch wskazówkom". To samo, z takiem samem uzasadnieniem powiedzieć można i o postaciach Balzaka. Ale i o całem jego dziele życiowem. Poprzez przejrzyste, kryształowe ściany, widać skład i ruch całej maszynerji społecznej, widać przeróżne koła, kółka, sprężyny, transmisje, łączące się wzajemnie i wzajem na siebie działające. Indywiduum samo w sobie usuwa się na plan drugi; na plan pierwszy wysuwa się jego stosunek do życia, do wszystkich czynników życiowych, z którymi się styka i łączy. Balzac pierwszy w twórczości powieściowej celem jej czyni symbiozę jednostek, współżycie, oparte na mnóstwie innych pierwiastków, a nie wyłącznie tylko na miłości i płciowym popędzie i na wynikających z tego awanturach i perypetjach.

Dzięki Balzakowi, stosunek twórczości powieściowej do życia stał się inny, niż był poprzednio, zmienił się radykalnie. Balzac anteuszowem oparciem twórczości powieściowej o matkę-ziemię, życie, dał jej niewyczerpaną żywotność, niewyczerpaną siłę, zdolność nieustannego przetwarzania się, przystosowywania do ewolucji innych dziedzin twórczych ducha ludzkiego i wszechświata, oddziaływania na tę ewolucję—dał jej zdolność i możność ogarniania coraz to nowych światów, zdobywania coraz to nowych dzierżaw.

Wprowadził on w powieść szekspirowy kanon twórczości, tak jasno i dobitnie wypowiedziany w słowach Hamleta do aktorów: „Sztuka ma pokazywać cnocie jej własne rysy, śmieszności jej własny obraz, a epoce i *duszy* czasu ich własny kształt i odbicie".

* * *

Od Balzaka do naszej twórczości powieściowej droga nie tak daleka, jakby się zdawało.

Od Kraszewskiego i Korzeniowskiego począwszy, twórczość ta coraz szybszem tempem dąży ku życiu, coraz silniejszymi węzłami z niem się łączy, coraz głębiej zapuszcza w niem korzenie, coraz głębszemi sztolniami wkopuje się, wdziera w jego wnętrza i dobywa stamtąd coraz to nowe pierwiastki, by z nich czynić coraz to nowe syntezy.

Przy całej samodzielności, odrębności i „inności" talentów (Sienkiewicz, Orzeszkowa, Prus;—Reymont, Berent, Sieroszewski, Żeromski), linja ta wyraźnie jest widoczna i snuje się, jak czerwona nić, poprzez najrozmaitsze kierunki, tendencje i umiłowania estetyczne, metafizyczne i społeczne, wiążąc wszystko w jedność nierozerwalną i litą.

Ta — mimo wszystką różność i samodzielność dróg i środków — stanowcza jedność celów i dążeń, jest poza wszystkiem innem—wynikiem dwuch jeszcze czynników. Przedewszystkiem nierozerwalnej łączności ewolucyjnej. Sztuka polska, od początków swych aż po dni dzisiejsze, była i jest realistyczną. Realistyczną w najczystszem tego słowa znaczeniu.

Realizm—to zasadniczy pierwiastek twórczości Kochanowskiego i Skargi, Potockiego i Paska, Krasickiego i Węgierskiego, Fredry i Malczewskiego, Krasińskiego i Mickiewicza i — nawet najmistyczniejszych, najnierealniejszych wizji Słowackiego i Wyspiańskiego.

I w tem jest łączność tworczości polskiej z najpotężniejszą, najwyższą twórczością Zachodu. Bo realistyczną była zawsze wszystka, istotnie wielka sztuka,—sztuka Homera i tragików greckich, przedrenesansowych nowelistów włoskich i Danta, Kalderona i Lope de Vegi, Moliera, Szekspira i przed-i poszekspirowych dramaturgów angielskich, Lesage'a i Beaumarchais'go, Goethego i Bal-

zaka, Stendhala i Dickensa, Tołstoja i Dostojewskiego, Hebbla i Ibsena.

Realizm — w sztuce, nie mętafizyce, — to dążenie do *prawdy*, a nie litylko do *rzeczywistości*; nie ślizganie się po powierzchni pozorów, lecz docieranie do jądra rzeczy i istoty zjawisk; to nie konstatowanie stanów posiadania i ich odtwarzanie, lecz tworzenie nowych *realnych* wartości w każdej dziedzinie, sztuce dostępnej. To życie, a nie bytowanie; to budowanie na granitowych podwalinach, a nie bujanie w obłokach; to czyn, a nie bierność; to szczerość bezwzględna, a nie adziamskimi kobiercami przepysznej frazeologji osłaniane starannie kłamstwo—choćby bezwiedne na poły,—jednostki artystycznej wobec samej siebie.

Sztuka polska zawsze była i jest w swych najwybitniejszych jednostkach twórczych—realistyczna. A stąd wynika i jej stosunek do życia i do wszechświata.

Stosunek ten jednak normuje i czynnik drugi: środowisko, w którem sztuka polska się rozwijała i rozwija od stu lat przeszło.

Środowisko to straszne i pełne smutku, nieustannych wstrząśnień i katastrof. A wśród tej nocy ponurej i dusznej jedną z niewielu gwiazd, migocących na widnokręgu jest—sztuka. Była ona nieraz tą „iglicą, kierującą zawsze na północ", o której mówi Mickiewicz w „Księgach pielgrzymstwa". Była ona jednym z najważniejszych czynników *społecznych* w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu.

Musiała więc tkwić w życiu, a nie zamykać się w wieżach z kości słoniowej. Czyniła to w części świadomie, w części bezwiednie nawet.

I ten sam typ, te same charakterystyczne właściwości przejawia powieść polska dziś, w epoce swego najwspanialszego rozkwitu.

* * *

Nie wynika stąd jednak wcale, by sztukę wogóle, a twórczość powieściową w szczególności, mierzyć było wolno i można jakimkolwiek społecznikowskim, czy partyjnym łokciem od prawej, czy lewej strony, — oceniać ją wedle przejawiających się w niej tendencji, społecznych i etycznych umiłowań i ideałów twórcy.

Wolno — jak Piotr Chmielowski — stawiać sobie za

dogmat, że „zasługi pisarza mierzyć się u nas musi dziś i długo jeszcze, nie tyle doskonałością wykonania, ile rodzajem zasad i dążności przezeń szerzonych", — ale nie wolno tego działania moralizatorsko-dydaktycznego nazywać krytyką estetyczną.

Będzie to analiza współczesnych prądów intellektualnych w dziedzinie etycznej i społecznej; będzie to śledzenie odbicia i szerzenia się, stosowania tych prądów w literaturze współczesnej i w tem, co za nią uchodzi, albo chce uchodzić; będzie to—może zresztą, dzięki indywidualności sędziów i doniosła—działalność moralizatorska i propagandystyczna. Ale nie będzie to nigdy analiza ściśle estetycznych i artystycznych wartości, krytyka w ścisłem tego słowa znaczeniu, ta krytyka, która—jak powiada Ernest Hello — winna być „sumieniem sztuki", odróżniać twórczość istotnie artystyczną od tego, co nią nie jest, choć jest może nawet pierwszorzędną wartością etyczną, czy naukową.

Kryterjum sztuki, to *piękno* w tem słowa pojęciu szerokiem, jakie miał już nawet stary Boileau, gdy twierdził, że

> Il n'est pas de serpent ni de monstre odieux
> Qui par l'art imité ne puisse plaire aux yeux.

Kryterjum sztuki, to owe wrażenia, które li tylko jej dzieła wywołać są w stanie. To — w szczególności w stosunku do powieści, — owa suma wzruszeń, przeżyć, nastrojów, psychologicznych analiz i odkryć, twórczych syntez, ujętych w artystyczną formę, która wyróżnia dzieło sztuki od innych dzieł twórczości ducha ludzkiego.

A pamiętajmy, że—jak to powiedział Ignacy Matuszewski—„wyraz *forma* ma w estetyce znaczenie nierównie szersze i głębsze, niż w słowniku życia codziennego. Forma artystyczna to nietylko strona zewnętrzna dzieła, lecz cała jego istota, zlanie się treści z kształtem, idei z wyrazem, ducha z ciałem w jedność absolutną i nierozerwalną".

* * *

Nieustanna dążność powieści polskiej do wchłonięcia w siebie wszystkich przejawów życia sprawiła, że przewroty i przemiany ostatnich lat wywarły na nią wpływ wielki.

Otwarły się przed nią dziedziny życia, dotąd zam-

knięte dla niej przez siły, poza nią stojące. Otwarły się przed nią nowe światy czynów, zamierzeń, dążeń, cierpień i radości, walk, klęsk i tryumfów,—nowe światy myśli, uczuć i namiętności. Stanęły przed nią nowe kształty, nowe wybuchowe formacje gieologiczne, nowe zbiorowiska ludzkie o innej psychice indywidualnej i kollektywnej, innem podłożu intellektualnem, etycznem i uczuciowem, — typy o innej linji rozwojowej, innem ustosunkowaniu narządów psychicznych. Stanęły przed nią inne środowiska życiowe, widnokręgi, światła i cienie, dotąd w sztuce polskiej nie zużyte.

I oto—jako próba syntezy tych nowych pierwiastków artystycznych—powstaje pierwsze dzieło wielkie, silne, męskie, pełne przedziwnego uroku: Sieroszewskiego „Małżeństwo, — Być albo niebyć—Tułacze".*) Powstaje kilka nowel Reymonta; powstaje Daniłowskiego „Jaskółka"; powstają Brzozowskiego „Płomienie".

„Jaskółka" Daniłowskiego, to nie artystyczne przetworzenie katastroficznych wybuchów ostatnich lat, tej krótkotrwałej wiosny, po której natychmiast przyszły zamieci straszne, burze i mroki nieskończenie długiej zimy. To nie próba artystycznej transpozycji tego, na co wszyscy patrzyliśmy, cośmy wszyscy przeżyli.

Są to snopy światła, rzucone w mroki duszy współczesnej; wysiłki pochwycenia *in statu nascendi* tych prądów życiowych, które, istniejąc w utajeniu z dawien dawna, stopniowo dochodzą do coraz większego napięcia i wartkim swym prądem wyżłobiły już nie zatarte i głębokie rysy w zbiorowej duszy współczesnej.

Nie jest to jednak synteza tego „podziemnego" życia, które wulkanicznymi wybuchami wydziera się na światło dzienne. To jeno kilka ogniw olbrzymiego łańcucha, co nieustannie rozbijany i rozrywany, wciąż nanowo się zrasta i wiąże. To jeno szereg postaci tych „bezdomnych tułaczy, wędrujących siewców, niestrudzonych pielgrzymów, w gromach niebezpieczeństwa pogodnych i spokojnych". A obok nich, wobec nich, cała skala typów innych, od najnieszczęśliwszych rozbitków życiowych począwszy, aż po tych, co, syci i zadowoleni z siebie i swego bytowania, zamykają się w swej ślimaczej

*) O opowiadaniach Sieroszewskiego, jak i o „Dumie" Żeromskiego, *Sfinks* pomieści wkrótce osobny szkic Ignacego Matuszewskiego, przyrzeczony mu jeszcze przed utworzeniem osobnego działu syntetycznych sprawozdań o powieści polskiej.

skorupie i poza nią wyjść nie chcą, albo i nie mogą. Ale i wśród nich zjawiają się już „jaskółki", gońce „nowej wiosny", rwące się precz z mroku, ciasnoty, mrożącego je do cna zimna—ku przestworom szerokim, słońcu i innemu istnieniu ludzkości.

To współczesne życie, raczej szmat jego; kilka kart i rozdziałów z „historji naturalnej" współczesnych dusz i współczesnych serc.

On a les qualités de ses defauts, ale tak samo *on a les defauts de ses qualités.*

Daniłowski porywa i unosi swą siłą liryczną; to jego *faculté maitresse*, najwybitniejsza cecha jego indywidualności artystycznej. Stąd jego nadzwyczajna maestrja w uplastycznianiu uczuciowych momentów, choćby najsubtelniejszych, tak misternych i nieuchwytnych, jak puch na skrzydle motylem, jak woń kwiatów, omdlewających w wieczór letni. Stąd wdzięk, głębia, moc, plastyczność w odsłanianiu wszystkich tajników, wszystkich odcieni uczucia, najbardziej ze wszystkich zapalającego i podniecającego liryczną wyobraźnię twórczą:—miłości. Stąd suggiestywna potęga jego dzieła, gdy działa nastrojami, a w szczególności nastrojami pejzażowymi, które u niego są istotnie „stanami duszy"—*états d'ame*. Stąd jego przekonywująca szczerość, gdy chwyta na gorącym uczynku ból, smutek, tęsknicę, litość, współczucie i wszystkie z każdem tych uczuć związane, koncentryczne kręgi wzruszeń.

Ale stąd i wszystkie ujemne strony jego twórczości.

Każdy twórca wszechwładnie panuje tylko nad temi kategorjami uczuć, namiętności, popędów, które sam jest w stanie przeżyć w swej wyobraźni, które w ich istotnej treści posiadł potencjonalnie niejako, podobnie, jak dobry aktor posiadać je musi w ich mimice zewnętrznej. Skala przeżyć Daniłowskiego jest wielka, ale ilość ich i rodzaj ograniczony typem jego talentu. To też ilość postaci, które jest w stanie stworzyć tak, iż żyją swem własnem samodzielnem życiem, jest ograniczona, zamknięta właściwie w tym jednym typie, który mu najbliższy, którego psychikę posiadł zupełnie, we wszystkich, najdrobniejszych, najsubtelniejszych odcieniach.

To też świetnie, z wprost doskonałą plastyką, wszechstronnem wykończeniem tworzy postacie takie, jak: Halszka, Dulka, Linowski, Rudny, Marek Żórawicki, Elżunia, „Jaskółka", Kwaszewski. Ale gdy spotka typ inny (Orski), to ująć go wszechwładnie nie zdoła i choć go prze-

prowadzi najkonsekwentniej, nieraz z przekonywującą prawdą, jednak nie wyposaża go w tę życiową siłę i bezpośredniość, jaką mają postacie tamtej kategorji.

Daniłowski nie ma w sobie tej wspaniałej, imponującej objektywności, która n. p. Sieroszewskiego „Małżeństwu“ nadaje tyle specyficznego czaru. Jest on nawskroś subjektywny. Podobnie, i w wyższym jeszcze stopniu, niż Żeromski, kocha on i nienawidzi, potępia i wielbi postacie przez siebie stworzone. Jedne wyolbrzymia, drugie pomniejsza; na jednych koncentruje wszystkie światła, na drugich wszystkie cienie. Działa przedewszystkiem kontrastami, nieraz świetnie i nadzwyczaj subtelnie; nieraz jednak zbyt grubo i niewyszukanie, wypadając wtedy z tonu, wpadając w zbyt łatwą, zbyt powierzchowną satyrę i karykaturę. Zbyt łatwą, a tworzącą niemiły rozdźwięk, bo za mało artystyczną w zestawieniu z wysokim poziomem i stylem całości dzieła, z jego powagą i głębią.

Dość wspomnieć o kilku scenach na wsi, o przerysowanej, zupełnie niedociągniętej do stylu całości, postaci starego rezydenta-pieczeniarza, stanowiącej — mimo swą banalność—niezużytkowany odpowiednio materjał na wyborną kreację. Dość wspomnieć o serji zupełnie nieudałych karykatur „sytych burżujów“ i karjerowiczów, stanowiących otoczenie Orskiego w Warszawie, których lepiej było odstąpić Weyssenhofowi, bo ten zdołałby im dać właściwą plastykę i *vim comicam*, właściwą charakterystykę i życie. Zamiast oświetlić, wyjaskrawić ewolucję Orskiego, ten banalny epizod, pełny postaci nienaturalnych, nieszczerych artystycznie, choć życiowo prawdziwych, psuje nastrój swą rozwlekłością, rozsadza ramy, wyskakuje z nich, czyni wrażenie misy z kiełbasą i kapustą i kufla piwa na prześlicznem boulowskiem biurku.

Zwarta, jędrna, harmonijna, celowa budowa architektoniczna całości, tak charakterystyczna dla powieści i dramatu Francuzów, jest w powieści polskiej rzadkością. Nie ma jej i ostatnia powieść Daniłowskiego. Dobrze jest zbudowany tom pierwszy; ale za to drugi szwankuje wielce pod tym względem. Tempo zwalnia się w nim do niemożliwości; rzecz wlecze się z trudem, jak po grudzie; zbyt rozwlekłe, najczęściej niewiążące się z sobą wcale epizody rozpraszają się na wszystkie strony, nie koncentrują się około żadnego kośćca. Twórca—jak *Zauberlehrling* Goethego—nie panuje nad siłami, które rozpętał; one panują nad nim, czuć znużenie, brak nieustannego stopniowania, świadomego dążenia do jakiegokolwiek celu, silnego ujęcia tematów i energicznego związania i napięcia wszystkich motywów w finał wstrząsający nawskroś. To też—nadzwyczaj piękne zresztą—zakończenie: śmierć „Jaskółki“, nie czyni takiego wrażenia, jakieby czynić powinno i mogło. Właściwie powieść kończy się z śmiercią Halszki; wszystko, co po tem, to epilog zanadto rozwlekły, rozbity na mnóstwo obrazów, niektórych pięknych i doskonałych, innych bladych i zbytecznych.

Daniłowski należy do tych kilku twórców polskich, którzy tak wiele posiadają, że i wiele od nich wymagać wolno. Wady jego dzieła—jak już powiedziano—wynikają z jego zalet, a zalety to nadzwyczajne. Są w jego ostatniej powieści karty tak piękne, tak potężne, tak wzruszające do głębi, jakich niewiele ma powieść polska. Są analizy i syntezy psychologiczne tak bystre, tak silne, tak śmiałe, że otwierają nowe widnokręgi, czynią wprost rewelacyjne wrażenie. Słowo polskie jest w jego ręku powolnem tworzywem, — szczególniej w chwilach lirycznego napięcia—instrumentem, nad którym panuje wirtuozowsko i z którego dobywa te barwy dźwięków, które chce dobyć.

* * *

Daniłowski w powieści swej sięgnął w życie współczesnego pokolenia, tego, które dziś doszło lub dochodzi do pełni męskiego rozwoju. Brzozowski w „Płomieniach“ sięga dalej wstecz, probuje wskrzesić pokolenie, które dziś już rozsypało się w proch, albo, reprezentowane przez nieliczne niedobitki, bytuje jeszcze w starczem niedołęstwie.

Jest to *sui generis* powieść historyczna. A raczej są to w powieściową formę przybrane dzieje pierwotne rewolucji rosyjskiej, tej „Narodnej woli“, która lat temu kilka dziesiątków wstrząsała podwalinami rosyjskiego imperjum.

I jest to także próba skontrastowania dwuch pokoleń; „starych“, którzy, przeżywszy straszną klęskę 1863/4 roku, nie mogli po niej ochłonąć i do zgonu żyli pod jej druzgocącem wrażeniem — i „młodych“, tych co po tamtem pokoleniu weszli w życie i stanęli natychmiast wobec hamletowego zagadnienia: *To be or not to be*, — być albo nie być, a jeśli być, to jak?

Był to przecie czas, gdy—jak powiada bardzo stronniczy, ale bądź co bądź naoczny świadek, Stanisław Tarnowski — „w duszy polskiej dokonał się przełom najtrudniejszy, najboleśniejszy ze wszystkich, jakie od rozbioru przebyła... wyszło pytanie, dlaczego się tak stało, jak się to stać mogło? To badanie przyczyn nie mogło się ograniczyć i skończyć na przyczynach zewnętrznych i przypadkowych; musiało zejść i sięgnąć do najgłębszych i najwewnętrzniejszych i musiało dojść do wniosku, że nasze nieszczęście było w znacznej mierze naszą winą także, naszemi wadami charakteru i błędami postępowania sprowadzone. Z tego znowu wynikać musiało sądzenie samych siebie, nie w ostatnich wypadkach tylko, ale dalej, głębiej, przed rozbiorami. Była to droga krzyżowa dla serca i dla umysłu. Droga, w której co krok trzeba było łamać w sobie dawne wyobrażenia, wyrzekać się miłych i drogich, uczyć się przykrych, surowych. Łamać złudzenia nie o obcych pomocach tylko, ale o sobie samych, o charakterach, o duchu publicznym, o rzetelności w służbie i miłości ojczyzny, nie dziś tylko, w ostatniem pokoleniu, ale przez wieki wstecz".

Różne były wyniki tego dociekania upadku, zależne od temperamentów jednostek, wpływów środowiska, w którem żyły, impulsów, które na nie działały. Różne też były wyniki szukania dróg w przyszłości.

Jeden z tych wyników — zda się jednak wyjątkowy i niezmiernie rzadki—przedstawia p. Brzozowski w swej powieści.

Jest nim zupełna rusyfikacja; — nie ta, co prawda, o której marzył Hurko, Jankuljo, Apuchtin, Czerkaskij, marzą Puriszkiewicze *e tutti quanti*; ale bądź co bądź rusyfikacja zupełna jednostki, która zrywa z tradycją stuleci, ze wszystkiem, co ją łączy z polskością. Upadek Polski i jej polityczny, a raczej państwowy zanik, staje się dlań „cząstką ogólnego rwania się człowieka w przyszłość"; Polska może zginąć, ponieważ „wszystko co jest poszczególnym kształtem życia, może zginąć", a „to tylko trwa, co jest dla człowieka konieczne, bez czego nie może żyć człowiek". Narodowość to coś—*das überwunden werden muss*, tem bardziej jeśli narodowość ta była zawsze nie motorem postępu, lecz motorem zastoju, upodlenia i upadku. Ale w gruncie rzeczy—i to jest w tym specyficznym wypadku indywidualnym najważniejsze—internacjonalizm bohatera (inaczej go nazwać nie można) powieści p. Brzozowskiego jest pozorny, jest tylko samookłamywaniem się jednostki, która wyzbywa się swej własnej narodowości, na rzecz narodowości innej, wydającej się potężniejszą, żywotniejszą, pełną szlachetniejszych pierwiastków, bardziej godną poświęceń, niż własna. Wskutek tego rezultatu przeżyć wewnętrznych, doświadczeń i rozmyślań, ginie Polak z dziada i pradziada; rodzi się typowy rosyjski nihilista, dla którego reszki tkwiącej w nim polskości pojawiają się tylko niezmiernie rzadko, jako koszmar przykry i przypadkowy, jako przedmiot zaciekłej, fanatycznej krytyki. *Obiit* Michał Kaniowski; *natus est* Miszuk Niewidimka...

Na tle autobiografji Miszuka Niewidimki snują się dzieje rewolucji rosyjskiej, aż po wstąpienie na tron Aleksandra III i straszną represję, co wtedy nastąpiła. Oba te motywy splatają się z sobą, jednak poprzed postacie Żelabowa, Perowskiej, Nieczajewa, Myszkina, Kibalczyca, Michajłowa, Sablina wysuwa się zawsze Miszuk Niewidimka, jego własne przygody, przeżycia, katastrofy. Zbyt odrębna, zbyt kanciasta i samodzielna jest indywidualność tej postaci, a raczej p. Brzozowskiego, by mogła wniknąć zupełnie w postacie, indywidualności inne, ująć je i odtworzyć zupełnie objektywnie, nadać im charakterystyczne, odrębne życie. Stąd też wynika, że wszystkie te postacie, tak różnorodne i odmienne, są podobne do siebie, zbyt jednostajne w typie, zamało zindywidualizowane.

Niestety—p. Brzozowski—tak samo zresztą jak Daniłowski — nie ma w sobie wcale tej epickiej siły, jaką miał w tak wysokim stopniu Zola, jaką w niemniejszym stopniu posiada Reymont, tej samej, którą ongi w pamiętnikach swych przejawił Saint-Simon,—siły odtwarzania we wszystkich jej funkcjach, zbiorowej duszy pewnych warstw, gromad, organizacji społecznych,—zdolności operowania masą. Nie są oni w stanie związać poszczególnych indywidualności, posiadających jeden i ten sam kierunek ideowy, ten sam cel życiowy, w organiczną całość, uczynić z nich rodzaj apokaliptycznej bestji o setce, tysiącu głów, ramion i serc, przyczem jednak każde z tych serc, z tych ramion, każda z tych głów zachowuje swe odrębne, indywidualne cechy, swą własną charakterystykę. Stąd też wynika, że tym prądom, tym grupom społecznym, które wprowadzają w sztukę, brak tej grozy, tego majestatu, tej wyrazistości, jaką mieć powinny. Dlatego też wszyscy ci ludzie, idący świadomie „w drogę choćby niepowrotną, lecz

ofiarną—naprzód twarzą, z piersią czystą, choć samotną",—by użyć słów Słowackiego, — nie łączą się w zwartą całość, nie mają poza sobą tła onej żywiołowej potęgi, która—niby starożytne fatum,—popycha ich naprzód, toczy się ponad i poza nimi, jak chmura olbrzymia, brzemienna burzą, pełna piorunów i błyskawic.

„Narodna Wola" w powieści p. Brzozowskiego taką apokaliptyczną bestją, żywiołową potęgą nie jest. Jej dzieje przedstawione są zajmująco i — prawdopodobnie, o ile o tem dziś sądzić można,—historycznie wiernie. Ale tu natychmiast nasuwa się pytanie, czy: 1) wypadki dziejowe, stanowiące tło i kanwę powieści p. Brzozowskiego, są już o tyle od nas odległe, by stanowić mogły przedmiot przetworzenia w ściśle historyczną powieść, — a 2) czy ze względów artystycznych wprowadzenie w opowieść tych wypadków pomiędzy postacie ściśle historyczne postaci fikcyjnej, jako jednego z aktorów, jest pomysłem dobrym i uzasadnionym choćby siłą włożonego w nią przez twórcę życia i przekonywującej prawdy?

Ani jedno, ani drugie pytanie nie powstałoby wobec potężnego, istotnie wielkiego, porywającego dzieła sztuki. I jedno i drugie pytanie powstaje wobec powieści p. Brzozowskiego. I w tem już zawarta jest odpowiedź na nie. Artystyczna forma zaszkodziła historji; historja zaszkodziła artystycznej wartości dzieła. Bez porównania głębsze wzruszenie, potężniejsze wrażenie niż powieść p. Brzozowskiego, wywierają bezpretensjonalne, pełne prostoty pamiętnikowe notaty, osnute na własnych wspomnieniach, relacje rzeczywiście czynnych uczestników owych dziejowych wydarzeń, które stanowią właściwą treść „Płomieni". Kto tylko miał w ręku, choćby „Byłoje" Burcewa, ten pamiętać musi, jak żywo, jak plastycznie, jak przekonywująco zmartwychwstają z tych kart wszystkie bóle i cierpienia, prometejskie porywy, niesłychane napięcia energji, wszystkie przeżycia tych ludzi, których pod ich własnemi imionami i nazwiskami wprowadza do swej powieści p. Brzozowski. Czemże wobec ich rzeczywistej tragiedji staje się fikcyjna tragiedja życiowa Miszuka Niewidimki?... Czemże jego awantury w Paryżu i Genui, jego erotyczne przygody?...

I tu odsłania się motyw twórczy p. Brzozowskiego. Nie jest nim ten bezwzględny imperatyw wewnętrzny, który zmusza artystę do wyładowania swych przeżyć, ujęcia ich w artystyczną formę, uplastycznienia *der schwankenden Gestalten* snujących się po jego wyobraźni i nękających ją, nadania im życia, ciała, krwi i kości. Jest nim litylko publicystyczna żądza wypowiedzenia swych własnych przekonań i sądów, wielbienia tych zasad, które sam podziela, zwalczania tych, które potępia. I tu *man mert die Absicht und wird verstimmt.* Cała życiowa ewolucja Miszuka Niewidimki staje się sztuczną konstrukcją *ad usum Delphini*, serja jego przygód i przejść atlasem anatomicznym, a nie wiwisekcyjną demonstracją, dokonaną na żywem ciele, ostrym jak brzytwa skalpelem,—sam zaś Miszuk Niewidimka jest litylko fonografem, wypowiadającym przekonania i tendencje tego, który go *ad hoc* stworzył. Stąd fałszywe tony, dysonanse w apoteozie wszystkich historycznych postaci, z któremi Miszuk w życiu swem się styka, a które tej apoteozy nie potrzebują wcale. Stąd fałszywe tony w dyatrybach Miszuka przeciw wszystkiemu, co z jego kierunkiem życiowym, z jego przekonaniami sprzeczne, im wrogie. Zbyt wiele polemiki, zbyt wiele żółci, zbyt wiele propagandystycznej pasji; a tem samem propagandystyczny cel wysuwa się naprzód jaskrawie i znowu *mann merkt die Absicht und wird verstimmt*; powieść przestaje działać, jako dzieło sztuki, przestaje niem być, a staje się ujętym w powieściową formę traktatem socjologicznym, historjozoficznym, agitacyjnym,—hybrydą, nie osiągającą celu ani w jednym, ani w drugim kierunku.

P. Brzozowski to talent fenomenalny i nawet w to chybione dzieło wkłada taką moc szczerości i refleksji ciekawych i głębokich, że przykuwa i zmusza do zastanowienia, a niektórymi (bardzo nielicznymi niestety) ustępami, budzi silne estetyczne wzruszenie. Głębia jego intellektu, głębia i szerokość wiedzy, nie krępującej niczem jego samodzielności i oryginalności, wulkaniczny temperament pisarski, indywidualność odrębna zupełnie i nie mająca podobnej w literaturze nie tylko naszej, siła argumentacji i nieubłagana, dochodząca zawsze do ostatecznych, najśmielszych konsekwencji logiczność, — wszystko to wysunęło go na plan pierwszy współczesnej umysłowości polskiej, na którą już niejednokrotnie wywarł wpływ potężny.

Ale cała potęga jego twórczości koncentruje się i przejawia w dziedzinie krytyki metafizycznej, literackiej, społecznej; pierwiastków ściśle artystycznych w niej niema. Pomijając fakt, że skala wymogów wzrasta w sto-

sunku do skali uzdolnień i siły intellektualnej i krytycyzmu objawionego wobec indywidualności innych, talent, przejawiony przez p. Brzozowskiego w innych dziedzinach twórczości, zobowiązuje do tem surowszej krytyki jego powieści, jego wycieczki w sferę twórczości artystycznej. Forma powieściowa—na pozór najswobodniejsza ze wszystkich,—krępuje go, pozbawia tej zupełnej swobody, jaką odznacza się jego twórczość w dziedzinach innych; budzi w nim pomysły tak niefortunne, nieszczere, a przytem tak nieudolne pod względem artystycznym, jak owe *vers libres*, fatalne w formie, które mają być wyrazem lirycznym nastrojów Miszuka Niewidimki, najwyższego ich napięcia.

Powieść p. Brzozowskiego w niczem nie odpowiada tym kanonom, które on sam niejednokrotnie postawił dla twórczości artystycznej w swych studjach nad współczesną krytyką literacką, poezją i powieścią polską. Nie wynika stąd jednak wcale, by „Płomienie“ nie przerastały pod niejednym względem wielu powieści polskich ostatniej doby, tych wszystkich wytworów przemysłu literackiego, tych wszystkich kąkolów, zanieczyszczających zagon, na którym ledwie gdzie niegdzie ponad chwasty wznoszą się rzadkie, omłotne, dorodne kłosy.

* * *

„Król Andrzej“...

Gdybym chciał się zabawić w pedantyczną drobiazgowość, to bym przedewszystkiem zapytał, dlaczego p. Kazimierz Tetmajer ostatnią swą powieść nazwał tak, a nie inaczej?

Bo—i jest to jedna z tych kwestji, co do których jestem wysoce konserwatywny, — mojem zdaniem, tytuł powieści powinien być jak najbardziej skondensowaną jej syntezą, jej ekstraktem, albo wskazaniem tej postaci, na której opiera się cała budowa, jak kopuła na jednym filarze. Dość wspomnieć: „Dzieje grzechu“,—„Ziemię obiecaną“,—„Chłopów“,—„Pannę Mery“,—„Ludzi bezdomnych“, —„Podfilipskiego“ itd. itd.

Tymczasem król Andrzej w powieści Tetmajera odgrywa rolę tak podrzędną, jest wobec wszystkich innych zjawiskiem tak nikłem, tak maleńkiem, tak bladem, tak nic nieznaczącem w konflikcie, który stanowi oś całości, że gdyby go wcale nawet nie było, powieść niewiele by

na tem straciła, prócz kilku bardzo ładnych zresztą, ale z całością niezwiązanych prawie organicznie scen. Chyba, że ma on być uosobieniem tej *improductivité slave*, która w gruncie rzeczy jest przewodnim motywem powieści, wszędy rzuca swe cienie i staje się czemś w rodzaju starożytnego fatum. Swoją drogą ten — dla mnie przynajmniej srodze wątpliwy — dogmat *de l'improductivité slave* stawiany jest bardzo dyskretnie, nigdzie nawet nie jest nazwany wprost po imieniu, lecz suggerowany tylko subtelnie, pośrednio, demonstrowany *in anima vili*... dla tych, co sami potrafią go pochwycić.

Jest to raczej szkic powieściowy, niż powieść. Szkicowo, ale wyraziście i silnie, z wielkim rozmachem rzucone jest tło: owo nadmorskie, słowiańskie państwo przyszłości, rewolucja, strącająca z tronu koronowanego dyletanta, króla Andrzeja, owa zwycięska wojna z Włochami, ta dyktatura Napoleonka *en miniature*, który pada w chwili, gdy urzeczywistniać zaczyna wielką ideę odrodzenia Słowiańszczyzny i złączenia jej w olbrzymią, jednolitą potęgę, — pada, jakby dlatego, by raz jeszcze stwierdzić wypowiedziane przed czternastu wiekami słowa cesarza Maurycjusza, że Słowianie „niczyich rozkazów nie słuchają, a między sobą ciągle się swarzą i nienawidzą...“

Ale cała ta oryginalna fantasmagorja, — której pośredni gienetyczny związek z niedawnemi rewolucyjnemi przejściami jasny jest na pierwszy rzut oka,—cała ta fantasmagorja tłem jest tylko dla trzech postaci, rzuconych na nie *con amore e maëstria*, z charakterystyczną dla Tetmajera plastyką i świetnością kolorytu, z równie charakterystycznem dla niego, renesansowem rozmiłowaniem we wspaniałem, potężnem, pięknem zwierzęciu ludzkiem i z rzadką dotąd nawet u niego finezją i logiką w odtworzeniu przeżyć psychicznych i ewolucji uczuciowych. Te trzy oryginalne postacie, związane w również oryginalny erotyczny trójkąt, a w szczególności postać kobieca z całą jej pełnią kobiecego, choć przeważnie zmysłowego uroku, uchwycone i postawione są znakomicie. A ponad wszystkiem tem jaśnieje cudowną krasą wspaniały pejzaż południa, odtworzony ze znanem i niezaprzeczonem pod tym względem wirtuozostwem Tetmajera, jego siłą ewokacji nastroju. Niespodzianką jest przejawiający się po raz pierwszy u niego batalistyczny talent; opis obu bitw morskich jest wprost świetny. Z drugiej strony jednak

całość nie jest przeprowadzona równomiernie; za wiele w niej ustępów szkicowanych ledwie; za mało krytycyzmu w usunięciu zwrotów i epizodów banalnych, rażących nawet czasem swą brutalnością i... łatwością.

* * *

Rok ubiegły to rok nowel.

Nigdy jeszcze w tak krótkim przeciągu czasu nie pojawiło się ich tyle i przeważnie tak świetnych w fakturze i pomyśle, tak rozmaitych.

I właśnie ta rozmaitość faktury, koncepcji, pomysłów twórczych i ich przeprowadzenia wykazuje dobitnie absolutną niemożność określenia tej formy artystycznej i ujęcia jej w definicję zwięzłą i jasną. Zakres noweli i rozmaitość jej rośnie równolegle z rozrostem zakresu twórczości powieściowej i jej techniki. Za jedyne chyba kryterjum jej uważać by można—rozmiar i jak najciaśniejsze granice pod względem czasu, przestrzeni i psychologicznych motywów, oraz ich rozwinięcia. Ale i to kryterjum upada wobec dzieł takich, jak n. p. „Małżeństwo“ Sieroszewskiego, gdzie bogactwo motywów uczuciowych, ich szerokie, powieściowe przeprowadzenie i rozwinięcie, ich rozmiar w czasie rozsadza ramy noweli i zaciera zupełnie granice pomiędzy formą nowelistyczną i powieściową. Podobnie znów tylko rozmiar zewnętrzny i zwięzłość uprawnia do nazwania nowelą rzeczy takiej jak „63“ Bartkiewicza.

Mniejsza o to jednak; niechaj o definicję noweli i zgodność definicji z rzeczywistością troszczą, się — jak ich nazywa Szekspir—„suche pedanty, z których korzyść żadna“, owe różne zaśniedziałe w rutynie, pedagogiczne grafomany *sui generis*, wskrzeszające stare „poetyki“ i „teorje stylu“, martwo narodzone i nieużyteczne. Od wszelkiej „szarej teorji“ ważniejszy jest fakt, że *grün ist des Lebens gold'ner Baum* i że to drzewo życia wydało plon tak obfity, jak cała ta serja nowel, od Sienkiewicza, Reymonta, Sieroszewskiego począwszy, aż po debiuty (w książce) p. Z. Rabskiej i p. Grubińskiego. *)

W zawartej w tym samym tomie, co nowele („Dwie łąki“), charakterystyce Anatola France'a (o której tak samo,

*) Oba tomy nowel Reymonta należą do okresu, nie objętego mem sprawozdaniem; nowele p. Grubińskiego omówię w następnym szkicu.

jak i o innych niebelletrystycznych pismach mówić tu nie będę) Sienkiewicz przypomina francuskiemu pisarzowi zasadę *saepe stylum vertas* i zarzuca mu, że stylu swego nie zmienia. Ale i sam do zasady tej nie stosuje się, bo zastosować się nie może. Styl artysty (nie mańjera), to wyraz jego indywidualności, której dowolnie zmieniać nie sposób. To wypadkowa przeróżnych jego właściwości, przeróżnych prądów i wpływów, które krzyżowały się w jego duszy, aż skrystalizowały się w całość nie podlegającą przemianie, acz podlegającą ewolucji, w kierunku doskonalenia się samej w sobie.

Ale konieczne jest, aby styl ten był szeroki, męski, charakterystycznie odrębny, giętki, bogaty, posiadający rozległą skalę wyrazistości, a pozbawiony tej monotonji, tej ciasnoty ekspresji i środków, która jest — jak właśnie u Anatola France i szczególniej w jego ostatniej książce, *(L'ile des Pingouins)*,—cechą mańjery. A taki właśnie szeroki, męski, giętki i zmienny jest styl Sienkiewicza, jako, nowelisty. Jak Lucca della Robia w swych cudnych keramikach, tak Sienkiewicz ma swój odrębny, charakterystyczny styl w nowelach i drobnych obrazkach. Ten sam styl dziś w wieku dojrzałym, jaki był w *gioventu della vita* mistrza, a dziś, gdy brak mu młodzieńczej zamaszystości i słonecznego wesela, brak *primesautiere* świeżości, przybył mu majestat spokoju, świadomej siły i technicznej maestrji. Nigdzie może ta różnica pomiędzy pierwszemi a ostatniemi nowelami Sienkiewicza nie przejawia się tak wyraziście, jak w „Dzwonniku“, który tematem swym i uczuciową treścią tak przypomina „Latarnika“. Ale najlepsze rzeczy w ostatnim tomie to legendy i szkice z życia Hellady i Romy, w których obok Świętochowskiego celuje nieporównanie w naszej literaturze; w formę klasycznej opowieści przybiera też Sienkiewicz swą silną, a wytwornie spokojną satyrę, która we wspaniałym „Sądzie Ozyrysa“ urasta do potęgi druzgocącego wyroku na zjawiska blizkie nam bardzo i znane aż zbyt dobrze...

Satyryczny ton panuje wyłącznie prawie w tomiku nowel Tetmajera („Z wielkiego domu“), a ostrze tej satyry zwrócono przeciwko całej litańji wad i głupot owej pseudoarystokracji (nietylko galicyjskiej), która, odurzając się iluzją swej wyższości nad resztą rodzaju ludzkiego, wyodrębnia się w swój światek, strasznie ciasny, strasznie marny i jakby umyślnie stworzony po to, by służyć za temat do karykatury i satyry. Ale—mimo wielki humor

i dowcip,—szkice te nie wytrzymują porównania z potężnemi kreacjami ostatniej (czwartej) serji nowel Tetmajera z „Skalnego Podhala“, godnie zamykającej homeryckie epos dawnej podhalańszczyzny, dzieło, jakiego dotąd literatura polska nie miała i kto wie, czy równe mu mieć będzie kiedykolwiek,—w które wielki poeta włożył całą swą „nieujętą, nieobjętą miłość ku górom, w których najpiękniejsze śpią jego lata“,—a w którem—jak sam powiada—„zamknął wszystko, co w Tatrach znalazł i czuł“, on, „opowiadacz ich homeryckiej przeszłości, grajek w wichrze urodzonych nut, śpiewak przedwiecznych pieśni“, rzeźbiarz, z granitowych brył kujący dla tych gór umiłowanych, dla ich zamarłego już świata, ale i dla siebie *monumentum aere perennius*...

* * *

Zupełnie inny świat ukazuje nam p. Tadeusz Jaroszyński w obu tomach swych nowel („W nawiasach życia“; —„Dwie nowele“). Świat szary, marny, ciasny. Świat wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy, jednostek o najrozmaitszych defektach moralnych i umysłowych a właściwie nie defektach, ale defekcikach, takich malutkich, zwyczajnych, ale straszliwie brzydkich. I cała atmosfera tych nowel szara, duszna, wcale nie pachnąca. Tematy ich błahe i nikłe, nie ciekawe, a w dodatku podane w sosie, który do ich strawienia wcale się nie przyczynia. Niema p. Jaroszyński temperamentu i technicznej zdolności Zapolskiej, która umie cały ten światek Dulskich i Żabuś ożywić, zaciekawić nim, a przynajmniej zabawić. To też nic dziwnego, że pod ręką p. Jaroszyńskiego staje on się nudny i męczący, tem bardziej, że stara, gawędziarska technika, dobra przed laty, ale dziś już niedozwolona, nie wydobywa efektu tam, gdzie innymi środkami, inną techniką wydobyć go byłoby nie trudno. Satyrykiem w rodzaju Perzyńskiego p. Jaroszyński nie jest także; brak mu dowcipu i humoru, brak mu lekkości, brak umiejętności wynachodzenia niewyzyskanych jeszcze stron tematu, który sam w sobie nic a nic najczęściej niema nowego i oryginalnego. Styl jego równie szary i banalny, jak tematy. Wszystkie bez wyjątku postacie, to dawni, bardzo dawni znajomi, spotykani mnóstwo razy; nic nowego w ich psychologicznem odtworzeniu, nic nowogo w obserwacji; tu p. Jaroszyński ślizga się — jak za dawnych,

dobrych czasów—po powierzchni, nie sięga nigdy w głąb, nawet wtedy, gdy mu się zdaje, że zanurzył się w toń, w której przed nim nikt pereł nie szukał; nie umie on dojrzeć i pochwycić, a tem mniej odtworzyć istotnej tragiedji nawet tam, gdzie ona jest rzeczywiście, a właściwie być powinna. A jeśli chce „zrobić“ tragiedję, to robi melodramat o zupełnie fałszywych, niedociągniętych, albo przeciągniętych tonach. Wszystko to jednak ze sztuką nic a nic nie ma wspólnego.

Pod względem techniki nowelistycznej obrazki p. Macieja Wierzbińskiego („W przeklętym domu“) są także *vieu jeu*. Ale natomiast mają w sobie pierwiastek artystyczny wielkiej wagi; bezpośredniość życiową, bezpośredniość i żywość obserwacji, szczerość i siłę uczucia. Temat zresztą sam w sobie nowy i niewyzyskany. A jednak gdyby p. Wierzbiński wszystko, co przeżył w „przeklętym domu“, w tem więzieniu pruskiem, w którem, jak tylu literatów i dziennikarzy polskich, sporo miesięcy pokutował za winy niepopełnione, — gdyby p. Wierzbiński wszystkie swe wrażenia, wszystkie spotkane tam tragiedje, wszystkie postacie odtworzył w formie pamiętnika, własnych wspomnień, a nie w formie szkiców nowelistycznych, to byłby dał rzecz znacznie silniejszą, bardziej przekonywującą, wywierającą większe wrażenie i zaciekawienie. Hybrydyczna forma, mająca połączyć wspomnienia własne z transpozycją ich w nowelistyczne impresje, nie wyszła na korzyść całości.

Zwracając pobieżnie uwagę na zanadto deklamatorskie, zbyt przeładowane pustą frazeologją nowele p. Maurycego Bohrera („Z głębi“), świadczące jednak o pewnym zasobie talentu, który rozwinąć się może, jeśli się pozbędzie stylistycznych reminiscencji Przybyszewskiego i jego epigonów, a wyszedszy poza dość jałowy *Weltschmerz*, starać się będzie o większą jędrność formy i pogłębienie psychologiczne i więcej szczerości,—przechodzę do dwuch „debiutów“, stanowiących *clou* tegorocznej twórczości nowelistycznej.

Właściwie debiuty te wcale debiutami nie są. Ani p. Zuzanna Rabska, ani p. Zygmunt Bartkiewicz nie zadebiutowali dopiero w roku bieżącym. Ale nowele ich po raz pierwszy ukazały się zebrane razem, w książkę.

P. Z. Rabska („Zanim światła pogasną“), to talent ściśle refleksyjny. Jej stosunek do życia jest kontemplacyjny, a więc pośredni, bierny i, co stąd wynika, do pe-

wnego stopnia sztuczny. Życie i jego wszystkie przejawy nie są dla niej tworzywem same w sobie; jej twórczości nie pobudzają wrażenia, odczute bezpośrednio. Patrzy na życie, jak widz na scenę, i odebrane w ten sposób wrażenia przepuszcza naprzód przez alembik refleksji, krytycyzmu, wysubtelnionego kulturą umysłową wielką, ale opartą przeważnie, jeśli nie wyłącznie prawie, o „literaturę piękną“ najrozmaitszych narodów. I potem dopiero, na tle ściśle intelektualnem, z wrażeń tych wyłania się motyw, snuty dalej drogą rozważania i kombinacji logicznej, spokojnie, ostrożnie, aż rozwinie się w całość wykończoną, wypieszczoną, wycyzelowaną jak najstaranniej.

Jest to tworzenie zupełnie świadome i na zimno; niema w niem tej żywiołowej wybuchowości, tej zupełnie nieuświadamiającej się sobie twórczości, tego poddania się sile wyższej ponad własną wolę i świadomość, tego szału twórczego, który ongi zwano natchnieniem,—niema tych wszystkich pierwiastków, które składają się na powstanie najgłębszych, najszczerszych, najdoskonalszych dzieł sztuki, a które i dziełom talentów mniejszych nadają odrębny, dziwny urok i czar.

P. Rabska sama doskonale odczuwa i widzi „literackość“ tej spokojnej, nieustannie czujnej, nieustannie kontrolującej się metody tworzenia. I dlatego też—prawdopodobnie—wciąż w nowelach swych powraca do zagadnienia, które zdaje się i ją samą najbardziej nęka i straszy. Wciąż z subtelną i dyskretną ironją podkreśla dysonans pomiędzy „literaturą“ i życiem, nieszczerość i kabotyństwo „tych, którzy tworzą“, którzy chcą życie swe stylizować wedle „literackiego“ szablonu, tkwią powyżej uszu w najmarniejszym snobizmie i choćby ten bowaryzm, ta żądza wynaturzenia uczuć i myśli, dla przystosowania ich do idealnych, papierowych wzorów, miały życie ich spaczyć i złamać, jednak odstąpić od tego szablonu nie chcą, („Zaręczyny literata“; — „Ci, którzy tworzą“; — „Fortuna“;—„Nowella“). I nieraz p. Rabska dochodzi w tem do niesprawiedliwości i przesady, świadczącej najlepiej, że typy jej nowel powstały litylko z jej fantazji, — że najlogiczniejsze, matematyczne konstrukcje a życie, to dwie rzeczy zupełnie odrębne i inne.

W p. Rabskiej tai się lęk przed życiem, którego nie zna bezpośrednio, a którego moc i olbrzymi majestat przeczuwa tylko. Przeczuwa ona, że jest to potęga, która

wali w gruzy najlogiczniej zbudowane systematy, najpedantyczniej ułożone programy i rozumowania,—która, jeśli jej się tak podoba, wyrzuca jednostki z torów, jakie sobie w spokojnem rozważeniu wytknęły, i najniespodziewaniej rzuca niemi w wręez przeciwnym kierunku, choćby i w śmierć („Dwie noce“;—„Zanim światła pogasną“). I właśnie wtedy, gdy p. Rabska pod wrażeniem tych przeczuć, tego lęku nieokreślonego, przed ową nieujętą, nielogiczną, straszną potęgą, sama w sobie znachodzi — bardzo „literackie“ nawiasem mówiąc—tematy, wtedy powstają najlepsze, najpiękniejsze jej nowele. Z tych wszystkich charakterystycznych cech talentu p. Rabskiej wynika też konsekwentnie, że najlepsze, co p. Rabska dała w tym tomie, to niektóre z „wrażeń“, szczerych, lirycznych wynurzeń, bardzo kobiecych i tem samem bardzo ładnych i jeszcze ładniej napisanych.

Wogóle w nowelach jej za mało życia, za wiele „literatury“. Za ciasny zakres jej własnych, bezpośrednich obserwacji; za mało własnych, bezpośrednich przeżyć. Wielki ból, jak i wielka rozkosz, to widocznie sfery nieznane jej i przeczuwane tylko, i dlatego też wytwarza je tylko w swej własnej wyobraźni, a ta z natury rzeczy oprzeć się w tem musi na literaturze i cudzem przeżyciu.

P. Z. Rabska niewątpliwie ma talent i to wcale niepośledni. Ludzie postawieni przez nią są żywi i uchwytni; widzi się ich ruch, sylwetę charakterystyczną ich psychiki. Forma posiada pewną pastelową miękkość; technika oparta przeważnie na działaniu półtonami i półcieniami. Styl, choć niezbyt indywidualny (ale iluż dziś jest takich, co posiadają wybitną stylistyczną indywidualność?) jest barwny i śmiały; nowych obrazów, przenośni, porównań sporo (utkwiły mi w pamięci: „ulica wyciągnięta jak struna“, — „kominy, niby straż czuwająca“ i t. d). Ciekawy jestem bardzo, jak się ten talent rozwinie w przyszłości.

Inny zupełnie, djametralnie przeciwny typ twórczy, to p. Zygmunt Bartkiewicz. Talent to wielki, bardzo wielki.

Wre pełnią życia, temperamentu, siły. Panuje nad wszystkimi środkami artystycznej twórczości i umie nimi władać mistrzowsko.

Tu życie samo staje przed oczami, w całej swej nagości, i cudownie piękne, i ohydnie brzydkie, pełne bos-

kiej radości i piekielnego smutku, takie, jakiem jest w istocie. Życie, widziane przez pryzmat artystycznej indywidualności, silnej, samodzielnej, kanciastej nawet, a bezwzględnie szczerej. Życie, odczute bezpośrednio, pochwycone na gorącym uczynku. Tu—prócz chyba drobiny zbyt „literackiego“ sentymenciku i doktrynki w „Zgrzycie“—niema nic a nic sztuczności; wszystko jest własnem, najgłębszem i zlanem serdeczną krwią przeżyciem artysty.

To talent w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu realistyczny i w najlepszem tego słowa znaczeniu męski. A przytem typowo, rdzennie polski. Nietylko dlatego, że jest w nim bezwzględne, żywiołowe umiłowanie polskiej ziemi, polskiej przyrody, polskiego człowieka, które jakby taiło się wstydliwie, nie chciało się zdradzić, a jednak wyraziście, wbrew, czy pomimo woli, przejawia się, wyczuć się daje w każdej stronie, w każdym wierszu, w każdem słowie tej książki. Nietylko dlatego, że narzędzie swej twórczości—mowę polską—opanował tak, że ledwie kilku, trzech, czterech, pięciu może sześciu, ale nie więcej piszących dziś Polaków, może z nim pójść w paragon. Ale dlatego, że zna tak na wylot duszę polską,—wszystko jedno, czy szlachcica, czy chłopa, czy mieszczucha,—tak ją umie odtworzyć i stworzyć, tak umie ukazać wszystkie jej tajniki. Dlatego, że sam ma w sobie i w swej twórczości wszystkie te pierwiastki psychiczne i uczuciowe—ujemne i dodatnie—które nadają narodowi naszemu typ odrębny, wyróżniający go wśród wszystkich nacji kuli ziemskiej.

Zakres obserwacji p. Bartkiewicza jest rozległy. Sięga od wsi polskiej, aż po paryskie bulwary, od proletarjackiej nędzy, aż po nędzę i walkę artystycznej cyganerji, od współczesności, aż po czasy „63“ roku i czasy walk „z Turczynem i Tatarzynem“. Ale ponad wszystko umiłował p. Bartkiewicz wieś polską i tę najchętniej, najczęściej odtwarza, a czyni to wprost mistrzowsko. Zna on wieś polską, zna chłopa polskiego, jak nikt inny w literaturze naszej, prócz jednego tylko Reymonta. I tak samo zna przyrodę polską i jej życie, odczuwa je i odwarza również mistrzowsko, tak, że pod tym względem staje na równi obok Reymonta, Żeromskiego, Orzeszkowej, Dygasińskiego. Cała ta przyroda, cała wieś polska, przezeń odtworzona, żyje intensywnem swem życiem, podpatrzona w najtajniejszych, najnieuchwytniejszych drgnieniach, barwach, dźwiękach, w swej całej cudownej krasie.

P. Bartkiewicz nie wychodzi nigdy poza zakres tego, co sam widział, sam przeżył, sam odcyfrował w olbrzymiej księdze życia. Zna on granice swego talentu i nie wychodzi poza nie. I ta świadomość własnych uzdolnień jest wielką jego zaletą. Nie sięga on w sfery skomplikowanych walk psychicznych i uczuciowych, głębokich analiz psychologicznych. Nie jest zresztą analitykiem, ale syntetykiem; jego dziedzina to zjawiska i przejścia prostolinijne, niezłożone, jasne, wyraźne. Jest w nim pewna „kwardość“, jak w tym chłopie, którego tak ukochał. Tej głębi i rozmaitości uczucia, jaką daje n. p. w swych dziełach Żeromski, tej subtelności w odtworzeniu najrozmaitszych przejawów duszy u p. Bartkiewicza znaleźć nie sposób. Jeśli stanie wobec wielkiego dramatu uczuciowego, to nie stara się nawet odtworzyć go we wszystkich przejawach i całej ewolucji; bierze go przeważnie zewnętrznie, chwyta tylko niektóre, najbardziej decydujące momenty, a ich plastycznem, żywem odtworzeniem wywołuje nieraz wrażenie głębin, zasłoniętych tylko umyślnie przed okiem widza. Najchętniej jednak bierze akt ostatni dramatu, nie troszcząc się o to, co go poprzedziło, i to właśnie dowodzi, że jest urodzonym nowelistą, a nie powieściopisarzem. Ale w tej dziedzinie twórczości—raz jeszcze powtarzam—jest mistrzem.

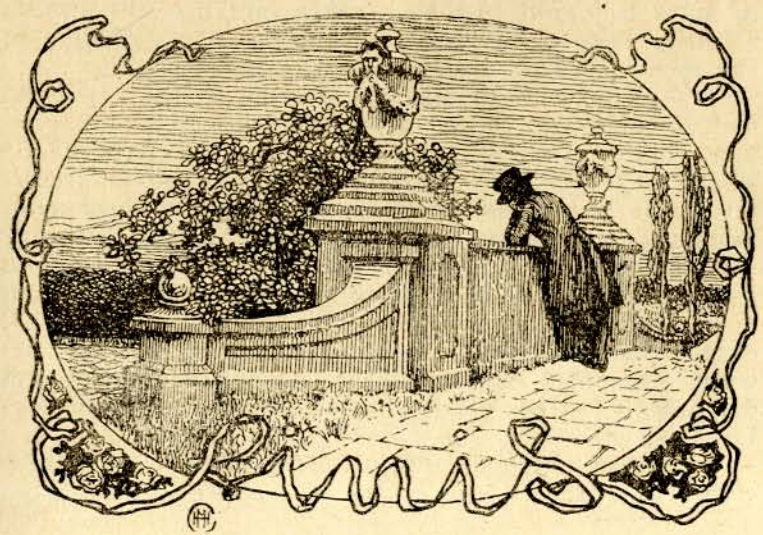

ANTONI KAMIEŃSKI.

GŁOS DO REDAKTORÓW.

(Kilka słów z powodu wydrukowanej w № 10 „Kraju“ recenzji pana Jana Obsta o książce p. t. „Matejko“ St. Witkiewicza).

Krzywdę wyrządza społeczeństwu polskiemu każde pismo, powierzając dział sztuki — byle komu. Społeczeństo nasze jest jednem z najobojętniejszych dla sztuki w Europie, nawet inteligiencja nasza jest zupełnie estetycznie niewykształcona; sztuka polska rozwija się we wrogiem otoczeniu.

Warto więc dbać o to, aby społeczeństwo takie rozbudzić i oświecać!

To szczęśliwe i wysokie stanowisko zajmuje poniekąd każdy redaktor; tymczasem obecnie daje się odczuwać straszliwy brak odpowiednich wykształceń, temperamentów i charakterów na krytyka sztuki; nawet zwykła recenzja lub dziennikarska wycieczka w tę dziedzinę są najczęściej bardzo „nieszczęśliwe“...

Z nielicznemi wyjątkami ogłaszane obecnie „przeglądy“, „nasi artyści“, „z pracowni“, „z wystaw“, i t.d.—wszystko to nikłe, płytkie, „odczepnego“ lub—„odwierszowego“ pisane artykuliki, często stronne i fałszywe nawet; szczęście — o ile autorowie ich pozostają jeszcze w skromnych ramkach dziennikarzy-reporterów, ale biada, gdy który z nich wystąpi z *„poważnym artykułem“*!.. Społeczeństwo nasze, spoglądające od wieków na sztukę z uśmieszkiem pobłażliwości lub poważniej — jak „...kozieł na wodę...“, doszczętnie *obałamuca się* przez obecną „krytyką“ artystyczną, obałamuca się i zniechęca, bo pomimo obojętności dla przedmiotu czuje fałsz lub nicość w tem, co jej czytać dają.

A więc zapytanie: *czy nie byłoby lepiej dla społeczeństwa, aby redaktor danego pisma, nie mając odpowiedniego —*

pióra, nie pomieszczał wcale „poważniejszych“ artykułów z dziedziny „sztuki“. Na dowód, że pytanie to nie jest paradoksalnym ani—„wesołym dowcipkiem“, tylko poważnem zagadnieniem, przytaczam w krótkości *najpiękniejsze kawałki* z recenzji o Witkiewiczu, napisanej przez niejakiego pana Jana Obsta, a wydrukowanej w № 10 *„Kraju“*. Pan Jan Obst zaraz na wstępie *rekomenduje* nam, kim właściwie jest „pan“ Stanisław Witkiewicz! i—pozbawia go, jako krytyka sztuki, wszelkich praw stanu, mówiąc (dosłownie) „Przymiotom *pana* Witkiewicza zawdzięcza nasz naród—*zbudzenie się ruchu ludoznawczego* w sztuce, zainteresowanie się wyrobami ludu, zwłaszcza tak zwaną „zakopiańszczyzną“, *lecz te właśnie przymioty stanowią ujemną stroną Witkiewicza—krytyka sztuki“ (?!!)*

Ten nonsens jest *podwójnym* nonsensem, albowiem (panu Obstowi nie przyszło to na myśl?!..):

Witkiewicz, *zanim* zaznajomił się z Zakopanem i zaczął budzić „ruch ludoznawczy“ (jak to pięknie wyraził p. Obst,)—*przedtem, przedtem* obudził ruch umysłowy najtęższej inteligiencji polskiej swemi mądremi, śmiałemi, burzycielskiemi i entuzjastycznemi *krytykami sztuki, jakich przed nim nie było w Polsce i jakich po nim dotąd niema.* I zanim przesiedlił się z Warszawy do Zakopanego, zanim poznał „zakopiańszczyznę“, napisał szereg krytyk, zgromadzonych *potem* w osobnej książce, prawdziwej—*złotej księdze* estetyki i filozofji sztuki polskiej, pod tytułem: „Sztuka i krytyka u nas“. Książka ta była u nas piorunem, oświetlającym ołowianą atmosferę myśli w dziedzinie sztuki, stała się epoką dla Polski i posunęła cywilizację polską raptownie o cały wiek; teraz zwykłą losów koleją, po raptownym skoku naprzód, cały legjon następców Witkiewicza ciągnie *wstecz*; cywilizacja idzie *„zygzakiem“*, Witkiewicza krytykuje — pan Obst!!.. I tak pisze on dalej: Pan Witkiewicz, (*„Pan* Witkiewicz“!.. Pan Obst jest *grzeczny*), walcząc całe życie przeciwko pojęciom skostniałym, sam przecie jest *typem doktrynera* z tą różnicą, że sam wytworzył swoje doktryny i tą miarą gotów mierzyć ludzi i idee, które o całe niebo przewyższają zwykłe zdolności.“ (Jakże to sam pan Obst ze swojem ubóstwem pojęć o sztuce ośmiela się mierzyć Witkiewicza i tak pisać dalej o nim?). „Brak sądu objektywnego, brak zdolności wniknięcia, zrozumienia duszy narodu, to kardynalne wady krytyki Witkiewicza, (jakże tu pogodzić przy *tych*—wadach, wytkniętych Witkiewiczowi przez p. Obsta, za-

sługi — „rozbudzenia ruchu ludoznawczego“?!.) i dlatego też—przyznajemy—z pewnem niedowierzaniem a zarazem zaciekawieniem bierzemy do rąk ostatnią pracę krytyczną jego, poświęconą mistrzowi, którego *ceni* i ubóstwia naród cały“ (A czy to można „ubóstwiać“, a przytem — nie „*cenić*“?).

Matejko jest „*ceniony*“... Kto?—Matejko?!! I pan, panie Obst, używając *takich* wyrażeń względem Matejki, pan ośmiela się krytykować Witkiewicza i nazywać go „wrogiem Matejki“! Pan Obst „nie dowierza“, jednak się zaciekawia, co za zaszczyt dla Witkiewicza! Czyta książkę — i tak mówi dalej:

„Witkiewicz znany był dotychczas, jako *zacięty przeciwnik Matejki*. Zaraz na wstępie, przeglądając stronice pracy *pana Witkiewicza*, stwierdzamy z zadowoleniem („Stwierdzamy z zadowoleniem“! Pan Obst pisze o Witkiewiczu, jak—pan naczelnik o urzędniku do szczególnych poleceń) stwierdzamy z zadowoleniem, że autor widocznie pod wpływem głębszego „studjum“ (dosłownie) dzieł Matejki, *zmodyfikował* swój pogląd pierwotny; niestety, nie potrafił go wyzbyć się całkowicie“.

A może pan Witkiewicz rozmawiał—radził się z panem Obstem lub podobnym mu mędrcem, ale „nie potrafił“ w całości przejąć się ich światłemi radami? Niestety jednak, myli się tym razem p. Obst: Witkiewicz się *nie zmodyfikował* — nie zmodyfikował żadnych dawniej wyrażonych swych przekonań; nie zmienił i nie „zmodyfikował“, nie wyparł i nie wyprze się niczego i nie „zmodyfikuje się“ nawet na sądzie ostatecznym — *nie potrzebuje tego*.

Że Witkiewicz nie powtarza szczegółowo wszystkich zarzutów, pisanych poprzednio w swych krytykach, to, zdaje się, zupełnie zrozumiałe. Malarz, o którym pisze, obecnie już nie żyje; nie tworzy, nie maluje. Nie jest to żadna „modyfikacja“, jak pan Obst sądzi; wszystkie zarzuty, jakie Witkiewicz zrobił poprzednio malarstwu Matejki, są słuszne: braki w perspektywie powietrznej, natłoczoność, nielogiczny światłocień,—brak prawdy w kolorycie (szczególnie w scenach nocnych)—wszystkim tym zarzutom, wykazanym przez Witkiewicza, nikt ze znawców sztuki zaprzeczyć nie może! Tylko że pomimo nich wykazuje on i uzasadnia, jak nikt przed nim, gieńjalność Matejki.

Pan Obst Witkiewicza wcale zrozumieć nie jest w stanie i tak pisze dalej: „Witkiewicz jest przeciwnikiem idei w sztuce“, „Witkiewicz zdaje się nie rozumieć, że „*oklepany frazes*“: „sztuka dla sztuki“, któremu hołduje, należy dziś do przestarzałych formułek, którym miejsce w lamusie“.

Widzieliśmy dotąd, że pan Obst jest wrogiem Witkiewicza, teraz, z tego ostatnio przytoczonego ustępu, rozumiemy, dlaczego. Odsłania się nam jasno, *kim jest pan Obst:* jest—obskurantem. „Sztuka dla sztuki“ *nie jest frazesem*, tylko *hasłem*, prawdą, — wewnętrzną zasadą każdego prawdziwego artysty; z tą zasadą *tylko* tworzą się *prawdziwie wielkie dzieła sztuki;* hasło to nigdy „zestarzeć“ się nie może,—póki sztuka będzie trwać na świecie. Każde dzieło sztuki o tyle jest właśnie dziełem sztuki, o ile autor tworzył je — dla sztuki; każde inne — to nie sztuka, to — „sztuczka“, to „sztuka stosowana“, która początek swój bierze w stworzonej najprzód sztuce — dla sztuki. Najprzód artysta tworzy dzieło sztuki *dla sztuki* ze swej wewnętrznej potrzeby tworzenia, a potem już naśladowcy i rzemieślnicy wyciągają z niego pożywne dla siebie soki, stosując się do upodobań tłumu, *fabrykują* „dzieła sztuki“ i te dopiero „robią się“ „religijnemi“ i „patryjotycznemi“, i „moralnemi“, i „pikantnemi“, i „sportsmeńskiemi“, i „ideowemi“, i „buduarowemi“, i wszelkiemi innemi, wedle gustu i *zapatrywania*. Kiedy ostatni artysta z „Bożej łaski“ wyzionie ducha, przyciśnięty do ziemi przez filistrów, i ostatnie dzieło sztuki zostanie zniszczone z powierzchi ziemi, wówczas sztuka dla sztuki pójdzie do „lamusa“ i pan Obst pieczęć na nim przyłoży...

W końcu pan krytyk przytacza zdanie Witkiewicza: „Matejki artyzm pętała idea ojczyzny, a jego umysłowość była ograniczona religijnością, prostą, naiwną wiarą, która się zamykała w granicach nauk religji, będącej w powszechnym obiegu“, i taki sąd wydaje: — „Nie miejsce w studjum o Matejce dla uwag, jakiemi autor pozwolił *urozmaicić* sobie swą pracę“.

Sądzę, że Witkiewicz jest za poważny na to, aby ktoś się ośmielić mógł w ten sposób o nim się odzywać; Witkiewicz nigdy nie „*urozmaical*“ swoich ktrytyk, ani dla—„wiersza“, ani dla własnej przyjemności lub zabawienia tłumu; cokolwiek pisał, nie było to *nigdy* „urozmaiceniem“ czegokolwiek, tylko — jedrnem, mądrem, *koniecznem*. Witkiewicz nigdy nie bawił się, ani zabawiał

piórem (jak to robią krytycy obecnej doby), a jego *bezwzględna prawość nigdy się nie poniżyła do najlżejszego kompromisu!* Tymczasem pan recenzent „Kraju“ tak kończy: „Jeżeli autor *przypadkiem* (u Witkiewicza „przypadków“ niema, to panu Obstowi zdarzył się bardzo nieszczęśliwy „przypadek“ pisania o Witkiewicza) przemyca swe przekonania religijne do monografji artystycznej, obrachowanej nadto na szerszy zbyt, wtedy chciałoby się wydrzeć te stronice, aby nie obrażały sąsiedztwem swem nieśmiertelnych utworów mistrza naszego, które spoglądają na nas z tych kart książki“.

Otóż z zakończenia widzimy, że pan Obst jest pisarzem religijnym, powinien by swe siły i zdolności we właściwy sposób zużywać, pisząc odpowiednie artykuły w odpowiednich pismach, jako to: „Rola“, „Dzwonek Częstochowski“i t. p., i gdyby nawet takie „krytyki“ o Witkiewiczu były drukowane w któremś *z takowych* pism, nie miałbym potrzeby zwracać do Redaktorów, ale jego artykuł w „Kraju“ wyrządza już pewną szkodę społeczeństwu; Witkiewicz miał (naturalnie!) i ma wielu przeciwników; są to po większej części tępe umysły, które nie rozumieją Witkiewicza. Znam osobiście artystów, którzy dowodzą, że Witkiewicz *„kosztem Matejki wyniósł Chełmońskiego“(?!..)* Ogół zaś nie może mu darować, że ośmielił się „krytykować“ Matejkę i Siemiradzkiego,—„największych malarzy polskich“, kochanych i *„cenionych“*, jak mówi pan Obst; a przedewszystkiem burzą się przeciw krytyce — Matejki. W tem bałwochwalczem uwielbieniu dla Matejki przeziera właśnie cała obojętność i nieznajomość sztuki. Matejki nie wolno krytykować, bo to malarz „ideowy“, „patryjotyczny“ i — katolicki; naród go uwielbia, kocha, —amen, — krytykować *go nie wolno.* Tak mówi nasz ogół, bo właśnie nic go strona artystyczna nie obchodzi, ogół patrzy na „obraz“ nie *malarski*, ale—*literacki*,—na treść,— na anegdotę, na fabułę obrazów; pozatem nic go już nie obchodzi; burzy się więc przeciw wszelkiej krytyce, której *nie rozumie i nie potrzebuje.* Tak samo każdy z wierzących bałwochwalców obrażałby się na krytykę wykonania jego bożka. A właśnie chodzi o to, aby z bałwochwalców zrobić estetyków i filozofów. Publika żąda anegdoty od obrazu, bo nie jest *dostatecznie wykształcona estetycznie*, aby zrozumieć i odczuć *samo dzieło sztuki* i dlatego pan Obst, który tak samo *sztuki* nie rozumie, powtarza to bezrozumne zdanie, że Witkiewicz jest „wrogiem idei w sztuce“.

Jest to fasz; tak nie jest, Witkiewicz nie jest wrogiem idei, lecz żąda od obrazu czy rzeźby, aby wykonanie danego dzieła sztuki stało na wysokości zadania i żadna idea danego dzieła sztuki nie może zastąpić braku artyzmu. Czyż trzeba to jaśniej dziś jeszcze tłomaczyć?.. Czyż społeczeństwo nasze jeszcze i dziś stoi na tak nizkim poziomie kulturalnym? A jednak są tacy, którzy tego nie rozumieją, tembardziej więc nie są w stanie zrozumieć tego, że krytyka Witkiewicza, która tak oburza wielbicieli Matejki, właśnie—*podnosi Matejkę!* — Tego nie widzą! Toć Witkiewicz *od początku stawia Matejkę obok Michała Anioła*, porównanie, którego nie robi w stosunku do żadnego artysty; — tego publika, ani godny jej krytyk pan Obst nie uważają?! Wskutek ślepego oburzenia, że Witkiewicz *„ośmiela się“* wynajdywać wady malarskie w Matejce, nie widzą ślepcy, że im otwiera oczy, — pokazuje, tłomaczy to wszystko ogólnie i szczegółowo, czegoby sami nigdy nie zobaczyli,—co jest wielkie, genjalne i godne największego podziwu w Matejce! tego nie widzą, nie mogą się *polapać*, że od krytyki Witkiewicza *Matejko potężnieje!*, że mogą sami więcej go podziwiać, *bo go lepiej mogą rozumieć.* Proszę przypomnieć sobie, jak *widzieliście* np. „Batorego“ przed przeczytaniem Witkiewicza i po?

Czy Matejko nie stał się *większym* w waszych oczach, jako twórca tych postaci: Króla, Possewina i posłów, których wyście *niezupełnie* rozumieli!... Powtarzam: najsurowsza krytyka Witkiewicza nie jest tak bezlitośnie druzgocząca, nie jest takim zgrzytem w uszach wielbicieli wielkiego malarza, jak takie jedno słowo filistra, zastosowane do Matejki: *„ceniony malarz“*. Tak więc starać się, aby Witkiewicz *był więcej czytany*, to obowiązek względem społeczeństwa, które artystycznie zupełnie nie jest wykształcone. Witkiewicz powinien być obowiązkowo czytanym przez młodzież, jego dzieła powinny być wprowadzone przez programy szkolne do klas wyższych szkół męskich i żeńskich, a wówczas nie będziemy mieć ludzi „wykształconych“ i patrzących na sztukę, jak dotąd na nią patrzą; a redaktorowie w przyszłości nie będą, jak obecnie, tracić głów: „komuby tu powierzyć dział sztuki“? A tak jest teraz: od czasu usunięcia się Witkiewicza, nastał bezprzykładny chaos w dziale przeglądów sztuki i krytyki, drzwi stoją ciągle otworem w każdej redakcji — zjawiają się coraz nowi,—pisze—kto chce, wyboru niema,

bo wszystko prawie jest jednakowo w najlepszym razie bezt reściwe, a bywa często, niestety—mylne, stronne, fałszywe. Tymczasem społeczeństwo tępieje i *zniechęca się*, najlepsi z krytyków doby obecnej są napuszeni, zawili, a żaden *nie dorównywa* Witkiewiczowi ani jego bezstronności i entuzjazmowi, ani bezprzykładnej odwadze i prawości, ani jego *prostocie*. Witkiewiczowi zawdzięcza Polska, że Chełmoński za życia jeszcze został zrozumiany!... i gdyby Witkiewicz urodził się wcześniej, możeby Gierymscy, pomimo ciemnoty i obojętności ogółu, nie zmarnowali się na obczyźnie! Kiedy niedawno była wystawa zbiorowa Chełmońskiego, wzbudzała już entuzjazm i zachwyt *ogółu;* dlaczego? — Bo Witkiewicz oczy otworzył, przygotował już publikę do tego.

Nie „kosztem Matejki"... ale dzięki własnemu zrozumieniu sztuki i entuzjazmowi, Witkiewicz—„wyniósł", to jest—ocenił sam i *otworzył oczy* społeczeństwa na wielkie a niezrozumiane przez ogół talenta Chełmońskiego, Maksa i Aleksandra Gierymskich; walczył o Kurzawę, wystudjował i należycie ocenił Juljusza Kossaka; tego ostatniego „ceniło"... i lubiło nasze społeczeństwo, jako malarza narodowego, „malarza hułanów" i — *pięknych* koni"... ale nie umiało zgoła go ocenić, w czem był *największym* — jako *rysownika-illustratora;* potrafił to zrozumieć, ocenić i wykazać — Stanisław Witkiewicz, który *„znalazł jeszcze — co napisać"* i o malarzach cudzoziemskich... o Kaulbachu, Meissonierze i Böklinie... O Matejce zaś powiedział, że: „nie miał poprzedników w sztuce i następców mieć nie może". Pan Obst nie może zrozumieć tego powiedzenia, nazywa Witkiewicza przeciwnikiem Matejki, odmawia mu wszelkich zasług krytyka sztuki, a *„Kraj" drukuje taką pisaninę!...*

Witkiewicz położył większe zasługi, jako krytyk sztuki dla swego kraju, niż Taine, Russkin lub Muther, bo musiał przedewszystkiem, filozofując, walczyć z ciemnotą i obojętnością ogółu, któremi tamci nie byli otoczeni. Musimy się starać, aby społeczeństwo polskie w XX wieku nie dopuściło się błędu, godnego tylko niekulturalnego narodu, i aby oceniło za życia człowieka, co położył tak wielkie zasługi dla umysłowości i dał przykład swem życiem **największego idealizmu, wprowadzonego do czynów**! W imię tego—odzywam się,—wierząc, że głos mój nie będzie głosem na puszczy!

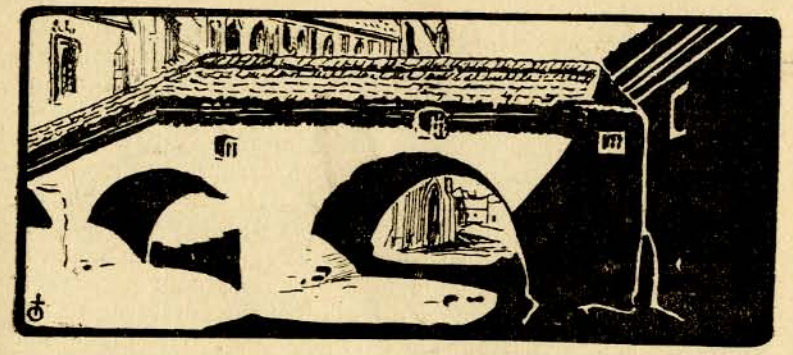

WŁ. BUKOWIŃSKI.

WRAŻENIA TEATRALNE.

Charakterystycznym rysem repertuaru teatrów warszawskich w czasach ostatnich jest przytłaczająca przewaga sztuk tłomaczonych nad oryginalnemi i widoczna trudność zdobycia dla sceny—nie arcydzieł już i rzeczy wyjątkowych, ale poprostu dobrych lub choćby tylko niezłych utworów swojskich, dających rękojmię, że przez czas pewien bodaj zdołają się utrzymać na afiszu. Jedyna próba w tym kierunku w ostatnim dwumiesięcznym okresie, „Pijani" p. Wacława Grubińskiego, nie należała do szczęśliwych.

Młody i niewątpliwie utalentowany pisarz przecenił siły swoje i w pogoni za oryginalnością, a pod hasłem nieledwie reformy dramatu, wystąpił z pomysłem oparcia sztuki na przypadku, jako czynniku decydującym. Zapewne — w życiu zdarza się nieraz, że tak zwany przypadek wyprawia niespodzianki i harce, ale sztuka ma logikę odrębną i—zwłaszcza w dziedzinie dramatu—wymaga przedewszystkiem spójni wewnętrznej, zwartości, których brak zupełnie w „Pijanych".

Po dobrym i ciekawym akcie pierwszym, po jednej czy dwuch ładnych scenach w akcie drugim, w dramacie p. Grubińskiego coś psuć się zaczyna odrazu. Niespodzianki, które w nim spotykamy w dalszym ciągu, są nietylko niespodziankami, ale—co gorsza—niespodzianka-

mi *nieprawdopodobnemi zgoła*, jak obie rozmowy Władysława Dargockiego z mężem kochanej przez obu Jadwigi, jak kończące sztukę bratobójstwo. To też utwór, osnuty na podobnym motywie, jak „Złote Runo“ Przybyszewskiego, wywołuje w scenach przełomowych całkiem odmienne wrażenie: zamiast grozy—wzruszenie ramion i uśmiech. Sztuka upadła po trzech przedstawieniach, co zresztą zdarzało się już bardzo nawet wybitnym pisarzom i nie byłoby znowu nieszczęściem zbyt wielkiem dla autora, gdyby w porę powiedział sobie poprostu: napisałem rzecz słabą, skorzystam z doświadczenia zdobytego i — poprawię się w następnym utworze. P. Grubiński ma znajomość sceny, ma pomysłowość i talent. Napisać może w przyszłości niejedną rzecz dobrą dla sceny, a wtedy ani artyści, ani prasa już mu sztuki nie „położą“, jak się to zdarzyło tym razem... Niepotrzebna była nadmierna reklama przed premjerą; niewłaściwa — napaść w replice dziennikarskiej na jednego z recenzentów po premjerze, ale nad wszystkiem tem historja przeszła już do porządku dziennego, co i my uczynić możemy, zaznaczając tylko jeszcze ku wiecznej rzeczy pamięci, że p. Przybyłko-Potocka włożyła w rolę Jadwigi dużo szczerego uczucia i odegrała w niej scen parę wspaniale, a inni artyści robili, co mogli, w celu ocalenia sztuki, lecz były to wysiłki syzyfowe.

Zajmujące przedstawienie popołudniowe dał nam 21 marca w teatrze Letnim p. Kazimierz Zalewski. Uczniowie i uczenice pozostającej pod jego kierunkiem szkoły aplikacyjnej odegrali „Sarmatyzm“ Franciszka Zabłockiego, poprzedzony piękną konferencją prof. Ignacego Chrzanowskiego o sztuce tej i jej autorze. Grono wychowańców szkoły wykonało rzecz tę poprawnie, dając dowody pracy i talentu; swoją drogą jednak trudno się było oprzeć wrażeniu, że stara komedja Zabłockiego — rzekomy pierwowzór „Zemsty“ Fredrowskiej — zasługiwała na to, aby ją przypomnieć publiczności warszawskiej w interpretacji artystów skończonych, rozpoczynając nią bodaj szereg wieczerów, poświęconych repertuarowi dawnemu. Z repertuaru tego w pewnych odstępach czasu widzieliśmy „Powrót posła“, „Barbarę Radziwiłłównę“, „Odprawę posłów greckich“, lecz były to przedstawienia luźne, a wartoby ułożyć cały cykl sztuk takich dla zapoznania ogółu dzisiejszego z dawną naszą komedją i dramatem. Byłoby to w każdym razie ciekawe, chociaż literaturze naszej dramatycznej przed Fredrą, Korzeniowskim i Słowackim daleko, niestety, do Schakespeare'a, Moliére'a, Calderone'a, lub choćby tylko do mniej od nich głośnego, a świetnego w swej werwie satyrycznej, skrzącego się dowcipem Brinsley'a Sheridana, którego wyborną „Szkołę obmowy“ (*The scool for scandal*) poznaliśmy przy końcu marca na scenie Rozmaitości. Sheridan i Zabłocki— ludzie jednej mniej więcej epoki, a jakaż kolosalna różnica! Jeden i drugi był spadkobiercą doby poprzedniej, tylko że ta w Anglji zaznaczyła się w literaturze, w nauce i w życiu niezwykłą żywotnością i ruchliwością, a u nas zastojem zupełnym. Więc nasi pierwsi komedjopisarze (Bohomolec, Zabłocki, Niemcewicz, Bogusławski i inni) zaczynać musieli w w. XVIII od początku, a Sheridan miał drogę utorowaną i grunt dobrze uprawiony pod posiew satyry i dowcipu, z jakiemi wychłostał w swym najgłośniejszym utworze obłudę „wyższych sfer“ towarzystwa angielskiego. Sztuka, napisana w r. 1777, dziś jeszcze wydaje się aktualną niemal, dziś jeszcze budzą podziw jej zalety i w myśl tezy starej „poprawiają śmiechem obyczaje“. Galerja wielkoświatowych kłamców, plotkarzy i obłudników, dwaj bracia, z których jeden jest szaławiłą o dobrem sercu, drugi oszukującym świat cały egoistą i świętoszkiem, kilka scen wybornych w rodzaju owej licytacji portretów rodzinnych w domu lekkomyślnego Karola lub zdemaskowania przebiegłego Józefa przez powracającego z Indji bogatego stryja, który będzie już wiedział teraz, komu ma zapisać majątek — wszystko to razem, całe to ślizganie się zręczne po powierzchni życia, bańka mydlana, wznosząca się na chwilę i lśniąca w promieniach słońca, dziś jeszcze zajmuje i nęci, dziś jeszcze uchodzić może za świetny wzór lekkiej komedji. Artyści nasi bawili się w tej nie starzejącej się sztuce i bawili widzów doskonale. Panie Lüdowa, Siennicka, Trapszo, Pichorówna, panowie Ładnowski, Wojdałowicz, Śliwicki, Wolski i inni stworzyli w tej sztuce zespół harmonijny i sympatyczny; jakaś jasna, pogodna atmosfera przeniosła się ze sceny do sali widzów i opromieniła na chwil kilka dusze wszystkich.

A jednocześnie w teatrze Małym Gawalewicza zapoznano nas z rozwlekłą trochę w aktach pierwszych, ale wyborną również, a ostrzejszą znacznie od dobrodusznego śmiechu Sheridana satyrą Bernarda Shawa p. t. „Doktór na rozdrożu“. Autor „Candidy“ lubi nicować wszystkie

wartości, jest często zbyt wielomówny, upaja się chętnie paradoksami własnemi, jest gotów nawet, jak w tej oto komedji, prze usta swych postaci rozprawiać w najlepsze o sobie samym, drwić ze świata całego, nie wyłączając własnej osoby. Tym razem ostrze jego szpady satyrycznej zwróciło się głównie przeciwko różnym powagom lekarskim, przeciwko ludziom utytułowanym i szanowanym, mającym jak najlepsze mniemanie o sobie i cieszącym się opinją najpochlebniejszą. Z miną rozbawionego psotnika ściąga autor te dostojne purchawki z ich koturnów, zdziera togi senatorskie z ramion niegodnych, odsłaniając znowu pod pozorami pięknemi i szanownemi obłudę, nicość, zgniliznę. A przeciwstawiając tym wszystkim zacnym i poważnym jegomościom cynizm otwarty młodego suchotnika, utalentowanego malarza Dubedata, od którego oni odwracają się ze wstrętem, a w końcu napół świadomie doprowadzają go niemal do smierci, zdaje się filistrom świata całego rzucać w twarz: „Przypatrzcie się dobrze tej postaci: jest niepoczytalna moralnie, jest szpetna, a jednak wolę jego cynizm brutalny od waszej świętoszkowości i obłudy, wolę bodaj występki jego od waszych zalet i cnót". I rzeczywiście Ludwik Dubedat przy całej swej niepoczytalności moralnej jest jednak artystą, kocha sztukę, kocha narówni z nią niemal i pragnie po swojemu szczęśliwą uczynić żonę, młodą i piękną, ubóstwiającą go również Jennifer. A oni wszyscy, z wyjątkiem starego sir Patrika Cullena, co ludzkiego mają naprawdę w przegryzionych jadem filisterstwa duszach? Nic zgoła. I oblicze rozbawionego psotnika Shawa poważnieje chwilami, poprzez śmiech i szyderstwo przebija się czasem promień zadumy, zadźwięczy akcent poezji, może nawet—rzadko bardzo—błyśnie w oku łza współczucia głębszego, starta zresztą natychmiast rękawem kurtki błazeńskiej, jakby łzy takiej wstydzić się trzeba było koniecznie.

„Lekarza na rozdrożu" wystawiono starannie; z artystów, którzy występowali w tej sztuce, wyróżniłbym panią Łącką-Pawłowską, oraz pp. Lipczyńskiego i Orlińskiego. W grze p. Pawłowskiej było dużo szczerości i kobiecej prawdziwie tkliwości w stosunku do umierającego artysty; p. Lipczyński, jako Dubedat, uszlachetnił może przebłyskami zapału i uczucia postać cygana-artysty, sądzę jednak, że nie oddalił się zbyt daleko od intencji autora; p. Orliński ucharakteryzował się doskonale na starego lekarza, w którym dążenie do karjery i różne modne

teoryjki nie wystudziły doszczętnie jednej bagatelki — serca.

Wogóle artyści teatru Małego—wobec dużej ruchliwości tej sceny—mają pracę nielada. W ciągu kilku ostatnich tygodni, oprócz „Lekarza na rozdrożu", wystawiono tam przecież trzyaktowy dramat p. K. Łozińskiej — Staniszewskiej p. t. „W rodzinie", trzyaktową sztukę Pawła i Wiktora Margueritte'ów p. t. „Tamten", dalej „Modelkę" Testoniego, teraz znów otrzymujemy szereg interesujących nowości z udziałem gościnnym takiej poważnej siły artystycznej, jak p. Andrzej Mielewski. Teatr Gawalewicza zasługuje niewątpliwie na żywsze poparcie ze strony publiczności. Wprowadza chętnie siły młodsze, zapoznaje nas z literaturą dramatyczną obcą, ma dla talentu każdego podwoje otwarte. Szkoda, że ogół szerszy traktuje dosyć obojętnie jego usiłowania artystyczne, a to wkońcu zniechęca i zobojętnia.

Wracając do teatru Rozmaitości, musimy jeszcze powiedzieć słów parę o odegranym w nim po raz pierwszy już po moim wyjeździe z Warszawy „Koledze Cramptonie" Hauptmana. Zobaczyłem go dopiero po powrocie i przyznać muszę, że ten żywy portret malarza, staczającego się z katedry profesorskiej do szynkowni, nakreślony został po mistrzowsku. Znałem tę sztukę z czytania, ale dopiero znakomita gra Frenkla odsłoniła przedemną w całej pełni głęboki tragizm tej dziwnej, a tak zresztą spotykanej często, tak pospolitej niemal postaci. Człowiek ma talent, ma pęd do wyżyn twórczości, ma w sercu iskry zapału, ale duszy jego potrzeba atmosfery przyjaznej, zrozumienia, ciepła, uznania. Nie znajduje tego wszystkiego w swem otoczeniu, walczy przez czas pewien i upaść musi. Jeden zaprzęga się w jarzmo powszednich trosk i kłopotów, przytłumia iskry, które są mu tylko przeszkodą, staje się zwykłym wołem roboczym i filistrem—widzimy takich w otoczeniu Cramptona, spotykamy takich i w życiu; inny buntuje się, walczy, zniechęca, szuka wreszcie pociechy w butelce, która go pcha ostatecznie na dno przepaści, a doprowadzić może do samobójczej kuli lub stryczka. I tak w życiu zdarza się często, tak nie zdarzyło się jednak w sztuce Hauptmana, dzięki temu, że autor dał upadłemu artyście dwie podpory w postaci przywiązanej doń szczerze młodej pary, w której on jest ulubionym uczniem starego mistrza i zakochanym po uszy narzeczonym jego córki, a ona—córką

tą właśnie. Jest to jednak ostatecznie szczegół, przypadek, wprowadzony, być może, dla złagodzenia mrocznego obrazu. Istota rzeczy w tej sztuce polega przedewszystkiem na świetnie nakreślonej psychologji upadku talentu i na wynikającym stąd tragizmie. Profesor Crampton przez nieporozumienie tylko uważany być może za postać komiczną, a sztuka cała za komedję. Frenkiel pokazał, jak tę rolę pojmować i grać należy; jeżeli śmieje się autor i nas do śmiechu pobudza chwilami, to jest to jednak ów śmiech przez łzy, łzy współczucia, może goryczy, które los Cramptona wywołać musi. Jego wina, — mógłby kto powiedzieć,—nie miał sił dosyć do walki życiowej, wszak inni przezwyciężają największe trudności i drogę sobie torują. Jego wina? Być może, ale czyż przez to zmniejsza się jego ból? Ten ból, ukrywany tak starannie, ten głęboki tragizm niemocy?

Obok Frenkla, który daje w Cramptonie kreację poprostu wspaniałą, udawadniając raz jeszcze, że jest czemś więcej, niż znakomitym komikiem, że jest—artystą wielkim, wszyscy aktorzy, występujący w sztuce Hauptmana (pp. Hryniewicz, Brydziński, Wilczyński, Karpowicz, Kawalski, Owerłło, Tatarkiewicz, Bednarczyk, Grubiński, Janusz, Uszyński i inni) wywiązują się dobrze z ról swoich, nie nastręczających zresztą szczególnego pola do popisu. Raziła trochę gra p. Lubicz-Sarnowskiej w dwuch aktach pierwszych w roli córki Cramptona, z którą wykonawczyni niebardzo wiedziała co robić. Sztuka zresztą, wyreżyserowana ze zwykłą starannością przez p. Kamińskiego, należy niewątpliwie do najlepszych przedstawień urozmaiconego, jak widzimy, sezonu.

O przedstawieniu jubileuszowem (30 kwietnia) jednej z najinteligientniejszych i najsympatyczniejszych artystek naszego dramatu i komedji, p. Wandy Barszczewskiej, przedstawieniu, dzięki któremu zobaczyliśmy wreszcie w teatrze Wielkim „Beatrix Cenci“ Słowackiego, jak również o ostatniej premjerze (1 maja) teatru Rozmaitości, powierzchownej dosyć, ale doskonale zrobionej satyrze na dziennikarstwo francuskie („Wielki dziennik“ — „Le passe partout“ J. Thurnera), gdzie Kamiński gra przewspaniale rolę redaktora Ljonela Régisa, pomówimy już nieco obszerniej w sprawozdaniu następnem. Obie te sztuki, choć każda z innych powodów, zdobędą sobie niewątpliwie powodzenie trwalsze.

JAN KLECZYŃSKI.

OSTATNIE WYSTAWY WARSZAWSKIE.

Malarze-feljetoniści (Münzer-Neumannowa).—Malarze-artyści („Grupa Ślewińskiego“). — Grupa „Odłamu“. — Nowa rzeźba Dunikowskiego. — Obrazy J. Pankiewicza, M. Ładówny, M. Paradowskiej, J. Protaszewicza, G. Gwozdeckiego.

Wykształcił się obecnie, głównie w Niemczech, nowy typ malarzy, których by nazwać można dziennikarzami, feljetonistami, opowiadającymi swoje wrażenia z dużą wprawą, nieraz dowcipnie, ale zawsze przeciętnie „barwnie“, „żywo“, „łatwo“ — według cudzych „barw“, „życia“—cudzych, chociaż dobrych szablonów.

Takim doskonałym dziennikarzem jest p. K. Münzer-Neumann, która wystawiła w warszawskiej „Zachęcie“ kilkadziesiąt krajobrazów, portretów, szkiców, prób ilustracyjnych i t. d.

Dobry dziennikarz umie opowiedzieć jasno i przystępnie to, co widział i słyszał. Jeżeli nie pisze wstępnych artykułów, w których powinna być przeprowadzoną jakaś myśl własna (ach jakże to rzadki przypadek!), jeżeli nie jest człowiekiem, wyjaśniającym własną ideę w szeregu dowodzeń własnych, człowiekiem, żyjącym tylko dla tej idei i dla niej zapełniającym szpalty swego dziennika, to najczęściej talent jego objawia się w ko-

mentowaniu, głoszeniu idei cudzych, w popularyzowaniu tego, o czem inni pisali dzieła, lub w „bawieniu“ publiczności „zręcznym“, „miłym“ feljotonem, pełnym z życia i literatury wziętych „kawałów“, wyrażeń mniej lub więcej wytartych, ale dosadnych,—wogóle sprytny dziennikarz potrafi tak skompilować swój artykuł, że nie będzie w nim nic nudnego, i—nic własnego—ale wszystko będzie robiło wrażenie świeżości, bezpośredniości, polotu, siły, ba!—nawet natchnienia.

Niezrównany typ dziennikarza stworzył Berent w „Próchnie“ (Jelsky).

Ale jeżeli Jelsky wiedział o swojej nicości i z absolutnym cynizmem dochodził aż do zwyczajnych plagjatów, w których piętnował słowami samego piętnowanego jego dzieła, to szczery i że tak powiem cechowy dziennikarz, którego natura wzdryga się przed każdą tandetą i podszywaniem się pod cudze pióra, musi nieraz bezwiednie czynić to, co najprzewrotniejszy — musi używać cudzych zwrotów i operować szablonami—bo inaczej zaczął by po miesiącu samego siebie powtarzać, pisząc codziennie. Jeżeli jednak ma temperament i odrobinę talentu, to i tak może nie być nudnym — choćby nie miał indywidualności.

Pani Münzer-Neumann jest feljetonistą fachowym, tandety nie lubi. Umie doskonale rysować i poprawnie dobierać barwy, ale w rysunku jej nie bywa własnych linji, ani własnych harmonji kolorystycznych. Wszystko, co z pod jej pędzla wychodzi, nosi wybitną cechę niemieckiej techniki, niemieckiego sposobu wydobywania życia z barw i linji, niemieckiego opowiadania o bezpośrednio od natury otrzymanych wrażeniach. Bawi ją wiele rzeczy, na które patrzy — pierwsza lepsza chata nad wodą, w której kąpią się dzieci, pierwsze lepsze drzewa, miasteczka, ludzie. Oglądając jej obrazy, ma się wrażenie, że się patrzy z okien wagonu na przesuwającą się rozmaitość widoków bez wyboru artystycznego i bez szczególnego artystycznego wzruszenia. Wszystko jest przedstawione „dobrze“, poprawnie, nawet w sposób „moderne“ — i zapomina się po wyjściu z wystawy o tem wszystkiem. Jedynie tkwią w pamięci dwa znakomite, żywe portrety dwuch dam, z których jedna, blondyna zawoalowana na tle zimowego krajobrazu, ma nawet subtelny, ciekawy koloryt, oraz wizerunek pary staruszków bretońskich, świetne, szeroko, a bardzo plastycznie malowanych.

Próby stylizacji ornamentacyjnych p. M.-N. są tak secesyjnie niemieckie, że o nich nic się nie da powiedzieć.

Feljetonistów dziennikarskich u nas jest w malarstwie wielu. Ale ponieważ naogół niewiele nawet opanowali swój fach ze strony technicznej, więc też wspominać o nich nie warto.

Za to mało takich, którzyby sobie stawiali cele ściśle artystyczne, wolne od wszelkiego kiczarstwa, którzyby uważali środki malarskie za sposób przemawiania do ludzi językiem piękna—harmonją barw i ekspresją linji,—którzyby nie poprzestawali na mniej lub więcej „natchnionych“ notatkach codziennych wrażeń, ale tworzyli z nich kompozycje.

„Grupa Ślewińskiego“ — to właśnie grono malarzy-artystów, których marzeniem jest stworzenie czegoś, coby miało żywot dłuższy ponad dobę dzisiejszą, czegoś, coby przetrwało różne „kierunki“ i „szkoły“, dając wartości niezniszczalne.

Należą do tej grupy: Wł. Ślewiński, Jaworski, Młodzianowski, Rembowski i Żaboklicki.

Tu nasuwa się pytanie, co się nazywa w malarstwie kompozycją. U nas na dźwięk tego wyrazu, wnet powstają skojarzenia pojęć, nasuwające wizerunki jakichś patetycznych giestów, historycznych postaci, rebusowych zagadek w rodzaju trupiej czaszki, stojącej na stole obok książek, młodej dziewczyny i globusa, albo też skrzydlatych postaci, unoszących się nad śpiącą dzieciną, albo nędzarza w chałupie obok bochenka chleba i garnka z wodą, albo umierającego suchotnika, nad którego łożem wisi odlew znanej głowy dziewczynki, co się utopiła w Sekwanie i t. d., i t. d.—jednem słowem u nas „kompozycja“ równa się—*literaturze*, a malarz, który popełnia obrazy o powyższych treściach, uchodzi za „malarza-poetę“ w przeciwstawieniu do tych „zwyczajnych“ malarzy, co to dbają o wymowę linji i barw, nie zaś o tak „głębokie“ idee, jak powyższe.

Będę miał jeszcze sposobność, pisząc o Matejce, pomówić o tem, jak idee życiowe,—idee uczuć—wiara, patryjotyzm, miłość, namiętność i tysiące innych, mogą się wyrażać w malarstwie, nie tracąc nic a nic z malarskich, ani z czysto myślowych pierwiastków, nie stając się ani

rebusami, ani literaturą, ani złą sztuką, lecz przeciwnie—szczytem sztuki. Tym czasem zaznaczę tylko, że takie podkreślanie jakiejś literackiej poezji w dziełach malarstwa z pominięciem jego zasadniczych środków ekspresyjnych, jak to się u nas rozpanoszyło, jest najczęściej tandetą „pędzlomańską". Rebusy, złożone z przedmiotów, żywcem z rzeczywistości plagjatorską dłonią (plagjat—natury!) przeniesionych na płótno i ustawionych obok siebie, są po prostu czemś w rodzaju żywych obrazów, lub złej, bezstylowej sceniczności współczesnej, opartej na naiwnościach maszynerji, która ma naśladować naturę — są poprostu barbarzyńską sztuką, wyrosłą z pomieszania pojęć, z nieuświadomienia zasad malarstwa, z braku talentu kolorystycznego, z braku poczucia linji.

Przeciwko tym dwum nałogom—feljotonowości i poetycko-historycznym rebusom w sztuce malarskiej zbawienną reakcją jest działalność „Grupy Ślewińskiego".

Artyści tej grupy chcą dawać dzieła, skomponowano po malarsku, a więc dawać w każdym obrazie całości *dekoracyjnie piękne.*

Chcą uniknąć wszelkiej przypadkowości, w jaką w nieunikniony sposób wpadają zwolennicy realizmu. Biorą oni z natury takie formy, które wydają się im odpowiedniemi do stworzenia jednolitego obrazu, coby przemówił przedewszystkiem do wrażliwości oczu widzów, a potem dopiero, drogą przez oczy, przez harmonijne barwne i linijne wrażenie—do duszy i serca.

Jest to droga w zasadzie słuszna, choć nie rozwiązuje zawiłego zagadnienia, o ile można w powyższy sposób, że tak powiem na zimno, tworzyć uczuciową mowę, jaką jest sztuka, o ile drogą studjów dojść można do stworzenia *stylu*, który jedynie jest w stanie tworzyć mowę dekoracyjnie piękną a zarazem wprost z serca idącą. Teraz zaznaczę, że „Grupa Ślewińskiego", unikając fantastycznych produkcji, stara się dochodzić do wymowy linji przez umiejętność najbardziej charakterystycznego, syntetycznego rysunku, przez najdobitniejsze *określanie kształtów*, w naturze spotykanych, przez wyszukiwanie w danym krztałcie linji jędrnych, silnych, wiele mówiących, i zestawianie ich w jeden akord z równie syntetycznie pojętym kolorytem.

Weźmy np. takie t. zw. „martwe natury" Wł. Ślewińskiego. Kilka czerwonych jabłek na salaterce, stojącej na stole, pokrytym serwetą o różowawych tonach, na tle ciemniejszej ściany.

I nic więcej.

A gdzież „dusza"? — zapyta zwolennik literackiego malarstwa. Gdzież „głębia"?—zapyta twórca trzygroszowych fantazji.

Że też u nas nigdy nie wiedzą, gdzie szukać tego, co potrzebne!

Filozofji prawie że wcale nie mamy. Skoro pojawi się ona, unikamy dzieł metafizycznych, jak zarazy, ale głębi myślowej żądamy od obrazu. Najwznioślejszej poezji nie pojmujemy: Słowacki jest dla nas mytem, Przybyszewski i Żeromski czemś niezdecydowanem, czego raczej bać się trzeba, niż rozumieć, ale od malarstwa wymagamy psychologji, zagadnień uczuciowych, historjozofji, socjologji, i licho wie czego—tylko nie malarstwa! Doprawdy, chyba śmietnikowa filozofja Gorkich i Andrejewów, filozofja wódki, prostytutki i „bosiaka" jest właśnie dla nas, bo jeśli naprzykład o literaturę rosyjską chodzi, to Dostojewskich i Bogdanowów nikt nie czytuje! Wszystko, co tanie, łatwe, choćby w najgłupszy sposób rozpaczliwe — aby nie to, co kulturalne, co wymaga natężenia myśli, lub jakiego-takiego rozumienia się na rzeczy.

Ten obrazek z jabłkami Ślewińskiego jest poprostu niezwykle artystycznym akordem barw, jest tem, czem w poezji sonet, składający się z mowy dźwięków i obrazów—niczem więcej—ale to bardzo, bardzo dużo dla tych, którzy umieją cenić smak, wykwint, umiejętność, kulturę.

W tem właśnie różnica „martwych natur" Ślewińskiego od innych, że to są nie rebusy, ale żywe całości kolorystyczne. „Martwota" została tu ożywioną, rzeczy nie mówiące mówią.

Dość porównać „kwiaty" Ślewińskiego z kwiatami Majewskiego, które powstały z tych samych, co u Ślewińskiego, dążeń artystycznych, aby to zrozumieć. Kwiaty p. M. same przez się są żywe, ale jako obraz nie tworzą żadnej barwnej harmonji.

Prześliczna jest „Wiosna" Ślewińskiego. Naga dziewczyna—prawie jeszcze dziewczynka, — pogrążona w ciepłych, zielonawo-złotych tonach portjery, która jej ciału nadaje takie właśnie delikatne odcienie. W ręku dziewczyny bławatek — świetnie pomyślany kontrast barwny, dyskretny, a silny. Za oknem jaskrawszy krajobrazik — fjoletowo-różowawe niebo—i ciemno-modra zieleń. Całość

niesłychanie żywa i harmonijna. Barwy mówią do siebie wzajem, dopełniają się w prawie zupełnym spokoju, który jest jednak jakimś ledwie wyczuwalnym rozkosznym niepokojem—to wiosna. Dziewczynka stoi spokojna, z ledwie widocznym uśmiechem i wielką powagą, przepyszna w szlachetnej linji, wdzięczna — jeszcze pączek, jeszcze niezupełne rozwinięcie—a już wie wszystko, przeczuwa...

„Morza“ Ślewińskiego są przeważnie równie harmonijne, choć nieraz sztywniejsze w wyrazie. Widoki z Poronina przesubtelne w barwie. Widoki z Zakopanego — mniej równe w wartości, choć pełne pięknych szczegółów. Akty doskonale rysowane.

W pracach Jaworskiego, obok martwych natur à la Gauguin, uderza jeden prześliczny, zharmonizowany krajobraz. Pas nieba, pas drzew i pas wody — nic więcej. Tylko z za drzew wypełza na błękit napęczniała, okrągława, puszysta, biała chmurka—w tej ciszy, jaka jest na obrazie, rozumiemy to—może być po tym mglistym, ciężkim upale burza. Wszystko to wyrażone tylko barwą i linją—w prosty, arcy prosty sposób.

Młodzianowskiego są dwa znakomite szkice, pełne słońca i (w „Giewoncie“) błękitnej perspektywy powietrznej.

Żaboklicki stworzył niezwykle żywe morze. Zastanawiał się widać specjalnie nad wężowym charakterem fal morskich i nad sposobami ich wyrysowania. Dał też coś, co się rusza, pełznie, zapada w głębie, wypływa—a zarazem jest spokojne i majestatyczne. Cały krajobraz świetnie ujęty w żelazne klamry rysunku — co jest dla „Grupy Ślewińskiego“ typowem.

Wszyscy umieją rysować! Inne obrazy p. Ż. mają wiele światła i barw, ale niektóre z nich zbyt są radykalne w rozłożeniu na barwne płaszczyzny, (przypominają Riwierowskie autolitografje), lub też surowe w ujęciu.

Rembowski dał cudną głowę, ukrytą w cierpiących, przepysznie rysowanych rękach.

Jakże od grupy powyższej, która nie wiemy jeszcze (z wyjątkiem samego Ślewińskiego) co stworzy, ale wiemy już, czego chce—odskakuje grupa „Odłamu“, złożona z artystów o najróżniejszych poglądach, dążeniach, talentach, ambicjach, technikach — coś jakby chorągiew wolontarjuszów z różnych ziem, stanów i kondycji Rzeczypospolitej!

Oto mocny w ciężkim rysunku, jednostajnie szary

w barwie realista—Lenc z portretem własnym i zwycięzko uśmiechniętego Frenkla.

Oto Gawiński, najnierówniejszy z artystów, który potrafi w jednym obrazie dać obok pysznej, wspaniale rysowanej postaci źle narysowaną, obok zharmonizowanej w barwie krzyczącą wszystkiemi plamami samopas—obok szczerej fantazji—coś niedociągniętego.

Dalej Wawrzeniecki z dwoma jeszcze wężami o barwach szafirowo-szmaragdowych—i bardzo pięknym „Światowidem“, leżącym w niemocy u stóp krzyża.

Oto Wankie, pełen szafirowo i fijoletowo złotorudawych kontrastów, roztapiających się w masie olejnej zaprawy.

Oto Żmurko, który każe wszystkim główkom swoim malować karminowo z podejrzanego marcepanu uczynione usta i mdląco-lubieżnie przewracać szkliste oczy.

Ale stójmy!

Tu doskonałe krajobrazy—szkice Ziomka — ciekawe, delikatne w barwie.

Tam dwa subtelne w duchowem i rysunkowem ujęciu portrety Eligjusza Niewiadomskiego.

Dobry portret, wyrazisty, Cz. Tańskiego.

Prawie że Chełmońskiego „Jutrzenka“, prześliczna w barwie, mglista, rozmarzona—St. Straszkiewicza.

Sumienny, chwilami bardzo żywy, choć na ogół zanadto tylko poprawny pejzaż B. Kowalewskiego.

I bardzo dobre w barwie, choć trochę pod wpływem niemieckich wzorów lub motywów Wyspiańskiego będące ornamentacje i ekslibrisy E. Okunia—oraz tegoż E. Okunia jakieś ckliwie jasno-złote, bez wyrazu dwie głowy, zatytułowane—„Apoteoza Słowackiego“.

Istna wieża Babel!

* * *

W innej sali „Zachęty“ stoi nowa rzeźba Dunikowskiego.

Nie pisano o niej—bo jest za piękna. Mówiono o niej po cichu—bo jest tworem wielkiego, samodzielnego talentu. Albo wygłaszano dytyramby, pełne beztreściwych uwielbień—bo w fakturze swojej za doskonała, w wyrazie zatrzymująca dech w piersi, dławiąca wszelką myśl „krytyki“, tej krytyki, co jest dzieła rozpraszaniem i niszczeniem—a innej krytyki u nas niema.

Czem jest ta kobieta, co ręce podniosła nieznacznie, zasłuchana, zlekka pochylona w kornym, świętym zachwycie? —

Jest pieśnią. Jest może kapłanką pieśni—może kochanką, słuchającą głosu kochanka z oddali—jest może świętą, w niebiańskim zachwycie przeczuwającą lot aniołów nad jej głową.

Ale przedewszystkiem jest stylową, cudnie zbudowaną, niewzruszenie postawioną rzeźbą — która każdą linją rąk i postaci, każdą fałdą sukni zwisającej i rękawów, każdym palcem delikatnych rąk przemawia — jak pieśń, jak poezja, jak kochanka.

Przedewszystkiem jest przepyszną rzeźbą... To trzeba zapamiętać... Rzeźbą, ujętą w linjach i płaszczyznach mocnych, stanowczych, syntetycznych—rzeźbą wielkiego talentu i wielkiej kultury.

Oprócz tej rzeźby widziałem w „Zachęcie“ świetne, lekkie, jak półsenne, wrażenia z Paryża J. Pankiewicza, ciepłe, pełne charakteru nowele o babuni—nowele w drobnych, doskonale malowanych obrazach—p. M. Ładówny, oraz tęgi, doskonale rysowany portet G. Gwozdeckiego (jeszcze i w nim są resztki zbędnej „zamaszystości“).

W Salonie St. Kulikowskiego była wystawa obrazów p. Paradowskiej, malarki o groteskowych instynktach w barwie i kształcie, ale mającej, szczególniej w portretach, wiele prawdziwego życia. Szkoda, że o harmonję barw p. P. dba tak mało.

Wystawę powyższą zamieniły potem obrazy J. Protaszewicza, wśród których bardzo piękną i bardzo własną harmonję barw ma kilka krajobrazów, a bardzo tęgą linję satyryczną—karykatura jednego z literatów warszawskich (rysunek).

Bardzo dobry też jest portret olejny Protaszewicza, przedstawiający p. F.

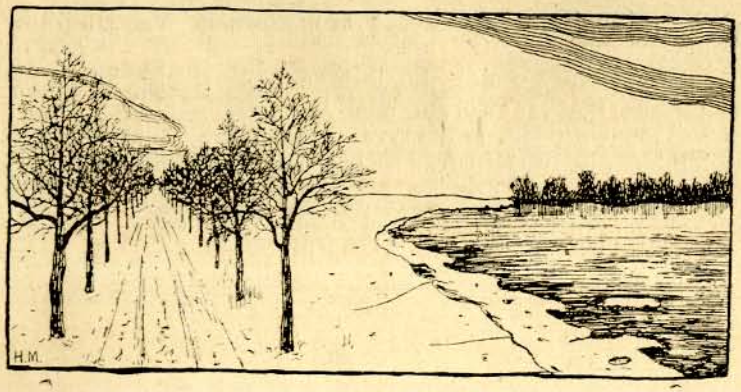

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZJA. Bugski Aleksander: „Z cyklu Dusza. Dzieci Chaosu“. Nakładem Młodzieży. 1908. „Bard polski Album poetów polskich“, zebrał Bolesław Koreywo. Skład główny w księg. L. Idzikowskiego w Kijowie. 1909. — Knol Roman: „Poezje“. Kijów. 1909. — Kulikowska Marcelina: „Dusze kobiece... Serca kobiece“... Warszawa. 1909. — Galiński Franc. Jerzy: „Wnętrze“, Gebethner i Wolff. Warszawa. 1909. -Glinka Ksawery: „Tacety“. Serja I Kijów. 1909.—Lange A.: „Epos Egipskie. Klechdy. Romanzero. Penta-ur“ ułożył... Nakład księg. Feliksa Westa w Brodach. 1909. — Mosiewicz Zygmunt: „Wiersze“. Skł. gł. u L. Idzikowskiego w Kijowie. 1909. — Nowicki Feliks Witold: „Pod czarem Erotyki“. Gebethner i Wolff. Warszawa. 1909. — Porębowicz Edward: „Pieśni ludowe celtyckie, giermańskie, romańskie“ spolszczył... Lwów H. Altenberg, Warszawa E. Wende i Sp. 1909. — Szadurska Stanisława: „W południe“. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1909.

DRAMAT. Cros Edward: „Głos życia“. Szkic dramatyczny. Kraków, Gebethner i Sp. 1909. — Kallas A.: „Odszczepieńcy“, dramat w 4 aktach. Kraków, Friedlejn; Warszawa, E. Wende i Sp. 1909.—Korolewicz Wincenty: „Książę Popiel“. Tragiedja. Kraków, Gebethner i Sp. 1909. — Kulikowska Marcelina: „Król Bolesław Chrobry“, poemat dramatyczny. Lwów, Tow. Wydawnicze; Warszawa, E. Wende i Sp. 1909.—Miciński Tadeusz: „W mrokach złotego pałacu czyli Bazylissa Teofanu“. Tragiedja z dziejów Bizancjum X wieku. Skład główny u Gebethnera i Sp. w Krakowie. 1909.

POWIEŚĆ i NOWELA Conan Doyle: „Obcięte uszy i inne opowiadania z przygód Sherlocka Holmesa“. Tłom. K. Króliński. Lwów, H. Altenberg. 1909. — Es-teta: „Oderwane liście“ nowele. Lwów, J. Maniszewski; Warszawa, E. Wende i Sp. 1909. — Galiński F. J.: „Z djalogów sprośnego Marchołta z Don Juanem“. Kraków. 1908.—Gamaston: „Białe róże“ i inne nowele. Warszawa, L. Biernacki i Sp. 1909 — Huskowski Jan: „Spojrzenia“. Lwów, B. Połoniecki. Warszawa, E. Wende i Sp. 1909. — Jaroszyński Tadeusz: „Wieża z kości słoniowej“. Powieść. Warszawa. Skład gł. u Gebethnera i Wolffa. 1909. — Jeleńska Emma: „Kobieto, puchu marny...“ Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1909.—Konczyński Tadeusz: „Głód szczęścia“, Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1909. — Mrozowicka Irena: „Po zwycięstwie“. Powieść. Lwów, B Połoniecki. Warszawa, E. Wende i Sp. 1909.—Mniszek Helena: „Trędowata“. Powieść w 2 tomach Warszawa, Gebethner i Wolff. 1909. — Prus Bolesław: „Dzieci“. Powieść. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1909.—Reymont Wł. St.: „Chłopi“. IV. Lato. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1909.—Rygier-Nałkowska Zofja: Koteczka czyli białe tulipany“. Lwów. B. Połoniecki; Warszawa, E. Wende i Sp. 1909. — Zapolska Gabrjela: „O czem się nie mówi“. Powieść współczesna“. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1909. — Zbierzchowski Henryk: „Literat“. Powieść, Warszawa, Gebethner i Wolff. 1909.—Żmijewska Eugienja: „Dola“. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff 1909. — Żeromski Stefan: „Duma o hetmanie“, wydanie trzecie (8, 7 i 8 tysiąc). Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa. Warszawa. 1909.

STUDJA LITERACKIE. Dr. Hahn Wiktor: „Szkice literackie o Juljuszu Słowackim“. Nakład F. Westa w Brodach. 1909.— „Djalog Palinusa z Charonem“, utwór pseudo-Lukjana w tłomaczeniu Biernata z Lublina, wydał i przedmową opatrzył Franciszek Pułaski. Collectanea Bibljoteki Ord. hr. Krasińskich. Warszawa, 1909. — Rakowiecki Tadeusz: „Duma o hetmanie Stefana Żeromskiego“. Warszawa. Skł. gł. w księg. Sadowskiego. 1909. — Sachs M. „O płomieniach St. Brzozowskiego“. Lwów, B. Połoniecki, Warszawa, E. Wende. 1909.

HISTORJA. Konopczyński Władysław „Polska w dobie wojny siedmioletniej“. Część I. Tom VII— VIII Monografji w zakresie Dziejów Nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Warszawa. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa. 1909.

POLITYKA. Dr. Buzek Józef „Polityka antypolska w Prusiech“, Tom III, serji IV wyd. „Wiedza i Życie“. Lwów, H. Altenberg. Warszawa, E. Wende, 1909.

STUDJA NAUKOWE. Dr Höffding Harald: „Współcześni filozofowie“, przeł. Bronisław Gałczyński. Wyd Książnicy Naukowej i Artystycznej. Kraków, Gebethner i Sp. 1909. — Prof dr. Vollers „Religje świata w ich związku dziejowym“. Kraków, Gebethner i Sp. Wyd. Książnicy Naukowej i Artystycznej. 1909.—Kurnatowski Jerzy: „Zasady moralne“. Warszawa, Centnerszwer i Sp. 1909.

NAUKI PRZYRODNICZE. Weyberg Z.: „Syntezy pirogienetycznych glinokrzemianów zasadowych“. Warszawa, E. Wende i Sp. Nak. Tow. Naukowego. Warszawa. 1908.

„NOWOŚCI LITERACKIE“ tom XII: Gustaw Olechowski „Wzdłuż Azji“. Tom XIII: A. N. Nowaczyński: „Co czasy niosą“. Tom XIV: R. Svobodova: „Błogosławiony“. Warszawa. Księgarnia S. Sadowskiego. 1909.

VARIA. Dr. Bałaban Majer: „Żydzi w Austrji za panowania cesarza Franciszka Józefa I, ze szczególnem uwzględnieniem Galicji 1848—1908“. Warszawa, E. Wende i Sp. Nakł. księg. Standachera w Stanisławowie. 1909.—Dunin Karol: „Prawa kobiet w nowym kodeksie szwajcarskim“. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1909. — „Przewodnik po Warszawie i okolicy“, część historyczną opracował Wiktor Gomulicki, część opisową Józef Sobieszczański. Lwów. B. Połoniecki, 1909.—Hoffman Karol: „Tam, gdzie się urodził J. Słowacki Krzemieniec“. Nakł. Pols. tow. krajoznawczego. 1909.—Kurnatowski Jerzy: „Rozejm między pracodawcami a pracownikami“. Warszawa, E. Wende i Sp. 1909. — Leroy-Allais: „Jak uświadomiłam swoje córki o rozwoju kobiety“, przekład E. Węsławskiej. Wilno. J. Zawadzki. 1909.—Niemojewski Andrzej: „Sprawa Legiend i Objaśnienia katechizmu“. Wyd. „Myśli Niepodległej“, Warszawa. 1909. — Philantropos: „Bóg przed sądem świata wobec gruzów Messyny“. Płock. 1909.—Prószyński Stefan: „Z padołu na wyżyny“ (Jak zebrać fundusze). Warszawa. E. Wende i Sp. 1909.—Woyczyński Kazimierz: „Polska a chwila obecna. Kraków, Gebethner i Sp. 1909.

Redaktor i Wydawca: WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

Druk A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego, Erywańska Nr. 2-4.

DO CZYTELNIKÓW SFINKSA.

Podwójnym zeszytem niniejszym kończymy półrocze „Sfinksa“, trzecie półrocze od początku wydawnictwa.

Niedługi to okres wogóle, nam jednak, pamiętającym, ile trudów i ofiar ponieśliśmy w tym czasie, aby utrzymać pismo na zamierzonym poziomie, aby, pomimo obojętności i apatji szerszego ogółu, nie opuścić zajętej placówki, jak zrobiło to już pokrewnych wydawnictw parę, lecz w dalszym ciągu trwać, odrywać umysły i serca od wrzawy jarmarcznej dnia powszedniego, jego poziomych zabiegów i upodobań i zwracać je ku głębszym i trwalszym przejawom Ducha, nam, oczywiście, okres ten dłuższym wydawać się musi, niż niejednemu z Was, Czytelnicy, niezadowoleni, być może, iż zeszyty „Sfinksa“ opóźniały się często, albo że pod tym lub innym względem nie wszystko w nich odpowiadało wymaganiom i nadziejom Waszym.

Twarde warunki rzeczywistości nie zawsze przezwyciężyć można. Pismo ma braki i wady, z których—wyrosnąć pragnie. Jest młode, ma więc czas na poprawę. W niedalekiej przyszłości zamierzamy przeprowadzić w niem poważne reformy, podnieść jego stronę zewnętrzną i charakter artystyczny. Ale bez poparcia Waszego, bez pewnego przejęcia się losem i przyszłością „Sfinksa“ obejść się tu niepodobna.

Koszt wydawnictwa jest znaczny, nie zmniejsza się, lecz raczej wzrasta, a mecenasami naszymi są wyłącznie prenumeratorzy nasi.

Nie wszyscy, niestety, czują się w obowiązku odnowić po kwartale przedpłatę lub przynajmniej uprzedzić nas w porę, że pisma nadal otrzymywać nie chcą, co naraża nas na przykre zawody i straty. Ten i ów z prenumeratorów opuszcza nas pod błahym pozorem wyjazdu na letnie mieszkanie, zmiany miejsca pobytu etc., zapominając lub nie chcąc wiedzieć o tem, że drukujemy dla niego wieloarkuszowe zeszyty, które potem marnować się muszą, że kilkadziesiąt takich pozycji — to już poważne zachwianie równowagi budżetowej organu, który o własnych siłach borykać się musi z przeciwnościami i — w przekonaniu, że jednak jest potrzebny — torować sobie ciernistą drogę w przyszłość...

Do wszystkich więc Czytelników naszych zwracamy się znów z prośbą gorącą o dalsze popieranie „Sfinksa“ i zjednywanie mu nowych odbiorców. Rozszerzenie koła prenumeratorów jest najważniejszym warunkiem pomyślnego rozwoju pisma, o który nietylko redakcji chodzić powinno. Pod tym względem głównie na pomoc Waszą liczymy.

Mamy jeszcze pewien zapas zeszytów z pierwszego półrocza, stanowiących całość zamkniętą, i przyjmujemy w dalszym ciągu prenumeratę na „Sfinksa“ od początku roku bieżącego.

W półroczu drugiem, które również stanowić będzie całość odrębną, zamieścimy między innemi obszerne studjum Walerego Gostomskiego p. t. *„W kaplicy Sykstyńskiej“*, dłuższą rozprawę Dańjela Zglińskiego p. t. *„Wszechmoc wyobraźni twórczej“*, ciekawe wyciągi *„Z archiwów muzealnych polskich w Rapperswilu“* przez Z. Miłkowskiego (T. T. Jeża), zajmujące opowiadanie Bronisława Piłsudzkiego p. t. *„Na niedźwiedziem święcie u Ajnów na wyspie Sachalinie“*, trzyaktowy dramat Tadeusza Konczyńskiego p. t. *„Pielgrzymi“*, poemat dramatyczny Savitri p. t. *„Brunhilda“*, nieznany poemat przedwcześnie zgasłego działacza i poety Jana Adamowicza p. t. *„Jutrzejszy dzień“*, dłuższy utwór powieściowy Jana Kleczyńskiego p. t. *„Marzanna“* i całe mnóstwo innych utworów, artykułów i rozpraw, zapowiedzianych szczegółowiej w prospekcie. Szereg sylwetek artystów naszych rozpoczniemy w zeszycie najbliższym od interesującej pracy art. mal. A. Kędzierskiego p. t. *„Luźne kartki o Józefie Brancie“*.

Pismo w dalszym ciągu dążyć będzie do możliwie wszechstronnego odzwierciedlania twórczości literackiej i artystycznej, zarówno naszej, jak obcej. W zeszycie obecnym znajdą czytelnicy dłuższe artykuły, utwory i szkice z zakresu literatury i sztuki polskiej, rosyjskiej, francuskiej, niemieckiej i włoskiej. W podobny sposób i nadal obok twórczości rodzimej uwzględniać pragniemy ważniejsze objawy życia duchowego na całym jego obszarze.

Kończąc te parę słów, z któremi zwrócić chcieliśmy się do Czytelników na progu nowego półrocza, prosimy Prenumeratorów kwartalnych i półrocznych o możliwie wczesne odnowienie przedpłaty, a wszystkich życzliwych nam o roszerzanie wiadomości o „Sfinksie“ i popieranie go w kołach znajomych.

Redakcja.

W ADMINISTRACJI „SFINKSA“

Hortensja 4, w Warszawie,

są do nabycia następujące wydawnictwa nasze lub dzieła w większej ilości przez nas posiadane:

Cyprjan Norwid: Odczyty o Słowackim (z portretem Norwida), cena kop. 60, pocztą 75.

Henryk Heine: „Pieśni współczesne" (z portretem Heinego, przekład Wł. Nawrockiego) kop. 45, pocztą 60.

Bernard Kellerman: „Ingeborga", powieść (przekład Br. Neufeldówny, okładka A. Gawińskiego)—kop. 75, pocztą kop. 90.

Jan Kleczyński: „Rzeźba współczesna" (z reprodukcją rzeźby Vigelanda)—kop. 60, pocztą kop. 75.

Władysław Bukowiński: „Z marzeń i życia"—rb. 1 kop. 20.
„ „ „Nowy Zeszyt" kop. 75.
„ „ „Na greckiej fali", poemat kop. 50.
„ „ „Poeta melodji i głębin i poetka idei" (rzecz o Asnyku i Konopnickiej z portretem Asnyka i Konopnickiej, z rysunkami Malczewskiego, Wyspiańskiego i Rembowskiego), kop. 75, pocztą 90.

Portret barwny Aleksandra Świętochowskiego: (według pastelu K. Mordasewicza) kop. 60, pocztą 75.

8 portretów, odbitych na papierze welinowym in 8-o (z podobiznami podpisów) następujących pisarzów polskich: Adama Mickiewicza, Juljusza Słowackiego, Cypryjana Norwida, Adama Asnyka, Marji Konopnickiej, Stanisława Wyspiańskiego, Stefana Żeromskiego i Jana Kasprowicza—za wszystkie razem kop. 80, pocztą rb. 1.

Znaczne stosunkowo ustępstwo dać również możemy czytelnikom na wydanym świeżo „Podręczniku historji wieków średnich" prof. M. Karejewa w przekładzie Marji Bukowińskiej (str. 254), który kosztować ich będzie wraz z atlasikiem podręcznym rb. 1 zamiast rb. 1 kop. 20. Przysyłka rekomendowana kop. 20.

Pozostałe w niewielkiej liczbie komplety „Sfinksa" od marca do końca roku 1908 — dziesięć obszernych zeszytów o nader bogatej zawartości literackiej i artystycznej—są jeszcze do nabycia w Redakcji w cenie rb. 6 w Warszawie, rb. 7 z przesyłką pocztową.

Wszyscy prenumeratorzy „Sfinksa" nabywać mogą nadto w Administracji naszej cztery wydane świeżo dzieła pierwszorzędnej wartości naukowej **po cenie o 25% zniżonej** t. j. po rb. 1 kop. 50 zamiast rb. 2, a mianowicie: „Katechizm Historji Filozofji od Talesa aż do naszych czasów" przez d-ra **Fryderyka Kirchnera**, przekład d-ra K. Krauza (str. 486); „Życie społeczne i moralne" przez **J. M. Baldwina** (str. 592); „Filozofja pieniądza" przez **J. Simmla** przekład Leo Belmonta (str. 572) i „Wstęp do nauki o prawie konstytucyjnem" **A. V. Diceya.** (str. 412).

Na przesyłkę rekomendowaną każdej z tych książek dołączyć trzeba kop. 25; na przesyłkę wszystkich dzieł razem kop. 50.

Dr. J. KODISOWA.

SZCZĘŚCIE LUDZKIE.

Mówić o szczęściu zakrawa dzisiaj niemal na ironję. Dzisiaj, kiedy kraj cały taki przygnębiony, skłonni jesteśmy zapomnieć, że dążność do szczęścia jest normalnym prawem bytu. A jednak tak jest w istocie. I dążność ta nie jest oparta na jakimś zasadniczym rozdźwięku między ideałami ludzkiemi a naturą. Przy prawidłowym układzie bytu, przy odpowiednich warunkach, które w znacznej części zależą od woli ludzkiej, człowiek może osiągnąć zadowolenie z życia bez porównania większe, niż to widzimy obecnie. Szczęście, naturalnie nie absolutne, ale ludzkie, w granicach, zakreślonych przez samą naturę, dostępne jest człowiekowi.

Organizm ludzki stworzony jest w ten sposób, że potrzebuje szczęścia. Wskazuje nam to już rola, jaką odgrywają uczucia przyjemności i przykrości w bycie człowieka. Nieraz zwracano uwagę, że najlepszą wskazówką postępków korzystnych dla utrzymania nas przy życiu, jest uczucie przyjemności, które im towarzyszy. H. Spencer zrobił nawet z tego faktu podstawę dla swojej etyki. Biorąc rzecz ogólnie, wszystko to, co jest nam

przyjemne, sprzyja naszemu życiu; wszystko to, co jest przykre, szkodzi mu. Przyjemność i przykrość wiodą nas po tej wązkiej drodze, za której skrajami czatuje na nas śmierć. Wyobraźmy sobie, żebyśmy nie odczuwali przykrości przy zachłyśnięciu się wodą. Ilu-by ludzi wtedy tonęło? Gdybyśmy nie doznawali przyjemności przy jedzeniu, kiedy jesteśmy głodni, jak trudnem zadaniem byłoby odżywiać się w miarę potrzeb organizmu! Gdyby wreszcie strach, obawa, przykrość największa nie były związane z oczekiwaniem śmierci, jak trudno byłoby rodowi ludzkiemu, a nawet wielu, jeżeli nie wszystkim zwierzętom, utrzymać się przy życiu! Bez wątpienia nie zawsze przyjemność jest niezawodną wskazówką dobra dla jednostki i jej gatunku. Są trucizny, mające smak przyjemny, są nastroje duszy, związane z egzaltacją radości, a jednak szkodliwe. Ale są to tylko wyjątki. Myśliciele od wieków łamią sobie głowy nad wyjaśnieniem tych wyjątków. Samo zaś prawidło jest do tego stopnia ogólne, tak związane ze wszystkiem, co widzimy w życiu, że wyjaśnień nie potrzebuje.

Przyjemność i przykrość są to zarodki uczuć szczęścia i nieszczęścia. Przyjemność odczuwa nietylko człowiek, ale i zwierzę, oprócz może najniższych, tak różnych od nas swoją budową, że musimy się wyrzec jakichkolwiek wniosków o ich stanach duchowych. Aby przyjemność stała się szczęściem, potrzeba jednak czegoś, co dane jest tylko człowiekowi, a co Szopenhauer nazywa: „das Resonnanzboden des Intellektes“. Potrzeba myśli i pojęć. Potrzeba być w stanie oczekiwać, marzyć, odkładać, pracować na zdobycie, stworzyć tysiące skojarzeń pojęciowych i uczuciowych, ażeby przyjemność prosta i krótkotrwała rozrosła się do olbrzymich rozmiarów, aby była w stanie wstrząsnąć całą istotą człowieka. W tych skojarzeniach pojęciowych, w zdolności odłożenia szczęścia, leży cała wyższość człowieka, ale zarazem ukrywa się i niebezpieczeństwo.

W istocie niema człowieka, któryby nie pragnął szczęścia, nie dążył do niego. Ale może on postawić sobie cel daleki, może odłożyć osiągnięcie szczęścia poza obręb życia. W pewnej fazie kultury życie całe uważane bywa tylko za próg wieczności, za wstęp do czegoś niesłychanie więcej wartego i trwałego. Wtedy to wszystko najdroższe człowiekowi odsuwane bywa nadal. Człowiek bynajmniej nie wyrzeka się szczęścia. Przeciwnie, pragnie on go tak gorąco, że czasowo gotów jest znieść wszelakie cierpienia. Maluje on sobie ten przyszły błogostan w najbardziej ponętnych barwach. Biedak wyobraża sobie, że będzie się odziewał w szkarłat i złotogłów. Mieszkaniec pustyni marzy o oazach, po których szemrzą srebrne strumyki, biją fontanny, zewsząd tryska szmaragdowa zieloność. Wiecznie głodny mieszkaniec tundry spodziewa się tam spotkać wspaniałe białe reny i obfite polowanie. Każdy chce tego właśnie, czego mu najbardziej braknie tutaj, w życiu doczesnem. Stany duszy mistyków wskazują wyraźnie, że najwięksi asceci właśnie najżywiej mogą odczuwać radość. Miewają oni nawet czasami wizje szczęścia pozagrobowego. Jest to zachwyt bezgraniczny, ekstaza, przelewna błogość, niewypowiedziane uszczęśliwienie. Dla tego stanu duszy, który po śmierci ma być ich udziałem, gotowi są oni wyrzec się wszelakiego innego powszedniego dobra, dostępnego człowiekowi w życiu doczesnem.

Nie wszystkie religje zmuszają do ascetyzmu, przynajmniej nie w każdej fazie swego rozwoju przejawiają one odpowiednią tendencję. Większość jednak znanych nam religji miewała długie okresy, kiedy pod tym względem następowało zaostrzenie stosunków. Podobne zjawiska spostrzegano przed wiekami; można też zaobserwować je dziś jeszcze. Skutki tego ascetyzmu bywały zwykle opłakane. Perspektywa szczęścia stawała się tak odległą, że człowiek tracił ją z oczu. Wtedy opanowywała go rozpacz. Życie całe we wszystkich jego przejawach oceniał po dawnemu nizko, było ono dlań bez

wartości. Ale i przyszłość pozagrobowa była niepewna, albo też zgoła traciła znaczenie. Historja religji zna epokę, kiedy rozpacz i zwątpienie ludzkie z powyższego powodu doszły do najwyższego napięcia. Była to chwila narodzin buddyzmu. Bramanizm ze swą wiarą w metempsychozę dusz odsuwał w nieskończoność osiągnięcie tego zagrobowego szczęścia, dla którego przecież wyrzekał się człowiek wszystkiego niemal w życiu. Miljony przerodzeń się czekały człowieka po śmierci. Ale życie każde było męczarnią i każde kończyło się śmiercią. I oto miljony śmierci miał każdy przed sobą. Zwątpienie, które ogarnęło tę wielomiljonową ludność Indji, było tak potężne, że wsie całe pustoszały, mieszkańcy ich porzucali pracę, udawali się do lasów i pustkowi, a życie społeczne ulegało dezorganizacji. Wtedy to nadszedł buddyzm i przyniósł zbawienie: nirwanę, wieczną ciszę, spokój, niebyt, zamiast ciągłych trosk i męczarni.

I dziś mamy przykłady dezorganizującego wpływu na życie ludzkie ascezy religijnej. Dostarczają ich obserwacje nad bytem sekt tam, gdzie religja nie stała się jeszcze martwem słowem i gdzie zagadnienia religijne zachowały całą swą powagę. Naturalnie, mam na myśli Wschód, który, jak to ogólnie przyznano, jest matką wszelkich religji. Niedawno zdarzyło mi się czytać opis podróży do źródeł Kierżeńca, dopływu Wołgi. Autor wziął sobie za zadanie zwiedzenie monasterów, pustelni i przyjrzenie się ojcom i matkom świętym różnych sekt, od których się roi w tej okolicy. Obraz, jaki nam daje, jest poprostu okropny. Napotyka wszędzie ludzi, przejętych nieufnością i strachem na widok obcej twarzy, — mnichów, cierpiących na umyśle. Nocami na popasach budzą go krzyki biczujących się mniszek, dręczonych wizjami piekielnemi. Wogóle ludność tameczna jest chora psychicznie. Oczywiście, trudno tu rozstrzygnąć, co jest przyczyną, a co skutkiem. Ale historja mówi nam, że podobny stan duszy był pospolity w Europie w wiekach średnich. Idzie on w parze z tym negacyjnym sto-

sunkiem do życia, jaki wyrabia się pod wpływem nadania wyłącznej wartości stanom bytu pozagrobowym.

Jak jednak stoi sprawa z tendencją osiągnięcia szczęścia u ludzi, dla których to dane nam tutaj życie doczesne zamyka podmiotowy okres bytu? Cała kultura dzisiejsza, cała nauka skłania ludzi do przekonania, że indywidualność nasza ustaje razem z życiem. Wobec tego odkładanie osobistego szczęścia poza śmierć traci znaczenie. Człowiek zeznaje, że albo będzie szczęśliwy tutaj, w tem życiu i w tych danych mu warunkach, albo nim zgoła nie będzie. Szczęście indywidualne za życia nie kłóci się tutaj ze szczęściem indywidualnem pozagrobowem. Wszystko, co jest osobiste, umiera razem z człowiekiem. Jedyna sprzeczność, jedyna kolizja, jaka może powstać w duszy człowieka, jest między jego szczęściem osobistem a szczęściem innych ludzi lub całego rodzaju ludzkiego, które on także, chociaż inaczej niż własne swe szczęście odczuwa.

Ludzie za wszystkich czasów, nawet w nastroju najbardziej religijnym, zadawali sobie pytanie, jaką też perspektywę co do szczęścia na ziemi ma ludzkość przed sobą? W wiekach ubiegłych panowało powszechnie niemal przekonanie, że ludzie kiedyś byli szczęśliwsi, niż obecnie, i że stan bytu pogarsza się pod tym względem coraz bardziej. Obecnie rozpowszechniła się wiara w postęp ludzkości i szczęście, które on za sobą pociągnie. Jednak i dawniej ludzie nie byli tak zupełnie pozbawieni nadziei osiągnięcia szczęścia w przyszłości. Religja chrześcijańska i inne przyznawały po długim okresie upadku na ziemi końcowe zwycięstwo dobra. Wierzono, że nastąpi t. zw. Millenium, szczęśliwe tysiącolecie. Wtedy i na ziemi miała ludzkość zażyć pełni szczęścia. Wiara w to, że dążymy ku dobru, a nie ku złu, już sama przez się dawała wtedy, jak i obecnie—szczęśliwość. Człowiek potrzebuje tej radosnej perspektywy. Zło, które spotyka go w życiu, osobistą niedolę znosi on łatwiej, jeżeli wie, że kiedyś będzie lepiej, że może swoim bytem kładzie pod-

stawy dla tej przyszłej szczęśliwości. Jeżeli ta nadzieja odgrywała rolę i w życiu religijnem, to o ileż silniejsze są jej wpływy na byt bezreligijny! Czy oddala się ludzkość od szczęścia, czy zbliża się ku niemu? Jest to zagadnienie, które stawia sobie bez końca myśl ludzka i od którego rozwiązania zależy wiele radości lub smutku nawet w jej życiu obecnem.

Rozstrzygnięcie tego zagadnienia jest niezmiernie trudne. Któż może orzec z pewnością, czy więcej lub mniej doznawał radości w życiu pasterz palestyński z czasów Abrahama, niż my obecnie? Kto może powiedzieć to nawet o dzikusie z wysp Australskich doby dzisiejszej? Gdyby miernikiem szczęścia były warunki w otoczeniu człowieka, przy pewnym wysiłku myśli możnaby uzyskać jakiś pogląd na tę sprawę. Ale trzeba tu brać pod uwagę także, jeżeli nie przedewszystkiem, i stan duchowy człowieka. Ażeby zjawiło się szczęście, musi istnieć pewne ustosunkowanie potrzeb do warunków bytu. Skoro zaś tak bardzo trudno jest zgłębić dusze nawet współczesnych i blizkich nam ludzi, — o ileż trudniej wywnioskować coś o świecie dla nas obcym! Właściwie jednak *praktycznie* roztrząsanie tych odległych zagadnień jest bez znaczenia. Wrócić do ubiegłej epoki kultury nie możemy, chociażbyśmy nawet wykryli w niej źródło szczęścia. Wszelakie namowy do tego w guście Rousseau'a lub Tołstoja polegają na nieporozumieniu. Są to utopje szkodliwe. Nie zatrzymamy bowiem społecznego pędu rozwojowego wbrew ogólnemu rozwojowi bytu, podobnie jak nie możemy rzeki zawrócić do jej źródła. Daleko bardziej możemy wpływać na dalszy przebieg rozwoju. Tutaj nasza wola, kierowana przez nasze ideały, może stać się jednym z czynników zdarzeń. I w tym kierunku możemy z danych obecnych wyciągnąć pewne wskazówki.

Obecne społeczeństwa są tak ukształtowane, że kultura nie jest w nich równomiernym wszystkich udziałem. Widzimy zarazem, że osiągnięcie wyższego stopnia kultury uważane jest powszechnie za coś pożądanego. Kultura niesłychanie wzbogaca życie, daje możność wyboru form bytu, doznawania coraz to nowych wrażeń i uczuć, stworzenia sobie szerokiego pola do pracy. Widzimy to w każdej dziedzinie. Już technika, umożliwiając życie w warunkach z natury rzeczy dlań wrogich, ułatwiając środki komunikacji i t. d., rozszerza ogromnie ramy bytu naszego. Fakt, że można żyć wygodnie o parę stopni od bieguna północnego, nietylko nie tracąc nawyknień kulturalnych, ale nawet pracować umysłowo z pełną swobodą, prowadząc badania naukowe lub poświęcając się sztukom pięknym, wydawać się może bajką dla istot, nie znających wszystkich środków tegoczesnej kultury. Łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce umożebnia takie zbliżenie się do przyrody i stosunki z ludźmi, o jakich naszym przodkom nawet się nie śniło. Nakoniec ułatwienie i rozszerzenie wytwórczości przedmiotów, zabezpieczających konieczne potrzeby nasze, wyzwala mnóstwo swobodnej energji, pozwalając nam zająć się innemi, tak zw. „wyższemi“ zadaniami. Nauka, wykształcenie estetyczne zmienia z gruntu nasz stosunek do otoczenia. Ażeby uprzytomnić sobie różnicę, jaka w nim zachodzi, dość przypomnieć fakt, że n. p. Alpy do czasów Rousseau'a nie uchodziły bynajmniej za piękne. To źródło radości, jakiego dostarcza nam dzisiaj przyroda, leżało bez użytku. Góry, dziś dla nas piękne i wspaniałe, uchodziły tylko za groźne i niebezpieczne dla podróży. Wieśniak i dziś jeszcze nie odczuwa piękna przyrody w tej mierze, jak inteligient. Cieszy go ona swoim wdziękiem, ceni on możebność swobody ruchów, wygody, związane z życiem wiejskiem, ale daleki jest od tego zachwytu, tego uwielbienia i tych uniesień, jakie są dostępne człowiekowi kulturalnemu. Różnica, o której mówimy, wyraża się w tej przepaści, jaka leży pomiędzy wierszem Kochanowskiego: „Wsi spokojna, wsi wesoła, któż urokom twym wydoła“, — a uniesieniami nad przyrodą Mickiewicza, Słowackiego lub niektórych poetów współczesnych.

Cały rozwój sztuki tegoczesnej wnosi do życia ogromne bogactwo wrażeń. Często jest to coś, czego w niem nie było zgoła, jakiś naddatek uczuciowy, jak to zachodzi n. p. w muzyce. W innych razach jest to tworzenie nowych przedmiotów, szczególnie z jakiegoś powodu dla nas pociągających, jak n. p. w sztukach plastycznych. W innych jeszcze razach, jak n. p. w literaturze, sztuka pozwala nam przeżyć tysiące doświadczeń życiowych, odczuć mnóstwo losów, odrębnych od naszego. Nasze własne, nieraz ubogie życie — rozszerza się i wypełnia w ten sposób w niedostępnej nam bezpośrednio mierze. Nie mówimy tu o nauce: perspektywy uczuciowe, jakie ona nam otwiera, — te uczucia intellektualne, które podnoszą myśliciele, jako mające najwyższą wartość, być może dostępne są tylko dla niewielu. W każdym razie nauka, wyswobadzając człowieka od przesądów, które przytłaczają jego ducha, i pouczając go o wielu sprawach, nawet na niższych stopniach jej ujęcia, stwarza mnóstwo skojarzeń myśli i uczuć, niesłychanie wzbogacających życie.

Ale przedewszystkiem należy zaznaczyć wpływ kultury na życie społeczne. Z życia wązkiego, zamkniętego w ciasne szranki, kultura robi je szerokiem, łącząc pod wielu względami całą niemal ludzkość w jeden powszechny związek. Przy postępie urządzeń demokratycznych działalność społeczna staje się dostępną niemal każdemu. Pozwala to na zadzierzgnięcie węzłów sympatji między jednostką a ogółem, na rozszerzenie uczuć od wązkiego koła stosunków rodzinnych do klasowych, narodowych, i wreszcie wszechludzkich. Każde z naszych uczuć społecznych może wyrazić się w odpowiedniej działalności i w niej znaleźć soki odżywcze dla dalszego rozwoju.

Tak więc kultura stwarza ogromne bogactwo uczuć i myśli w bycie człowieka. Nic też dziwnego, że do tego bogactwa, jak do każdego skarbu, wyciągają się miljony rąk. Oprócz szczęścia niesie ono ze sobą i smutek, niedolę, jakiej być może w takiej mierze nie doznawano

dawniej,—ale bogactwo danych, z jakich człowiek buduje swoje życie, jest niewątpliwe. Ażeby wziąć z niego złoto, a nie podlejszy kruszec, trzeba umieć czerpać.

Czy jednak taki wybór jest możebny? Czy człowiek jest w stanie tak ułożyć swe życie, aby wziąć przeważnie to dobro, które ono mu daje, a odrzucić plewy? Mniemam, że tak.

Każdy, kto zna zachód Europy, z pewnością był uderzony różnicą, jaka zachodzi w fizjonomji ludzi po tej a tamtej stronie naszej granicy. Tam widzimy na przeciętnej twarzy człowieka wyraz zadowolenia i wesela. Tutaj niechęć, znużenie, niesmak. Tu znękane, zniechęcone fizjonomje są cechą charakterystyczną naszej ojczyzny, — ale nie jej jedynie. Im dalej na wschód, tem gorzej. Kultura zachodu potrafiła przezwyciężyć człowieka smutnego. Naturalnie, nie udało się jej to odrazu. Do tego trzeba było nietylko kultury ogólnej, ale i szczególnej kultury szczęśliwości. Niezaprzeczenie tam pracuje społeczeństwo w tym kierunku, aby wydać typ człowieka zadowolonego i pogodzonego z życiem.

Tak, zarzucą mi może, z życiem można się pogodzić, — ale ze śmiercią niepodobna. Śmierć panuje nad nami wszystkimi. Grozi ona nam co chwila rabunkiem drogich nam istot i zniszczeniem naszej indywidualności. Wszyscyśmy pod władzą śmierci i dlatego najgłębszym tonem życia musi być zawsze smutek. Ażeby określić stanowisko, jakie zajmuje wobec śmierci człowiek, pogodzony z życiem, pozwolę sobie przytoczyć *testament* Stevensa, mało znanego u nas angielskiego poety, który po życiu, pełnem sławy, przygód i podróży, umarł na gruźlicę na jednej z wysp oceanu Spokojnego, gdzie czas dłuższy przebywał dla zdrowia:

Undor the wide and starry sky
Dig me the grave and let mi lie
Glad did I live and gladly die
And I go from you with a will
This is the word, yon grave for me,

Here he lies, where he ought to be.
Home is the sailor, home from see,
And the hunter came down from the hill. *)

To *rad byłem życiu i śmierci* maluje stan duszy tego człowieka; jest to odpowiedź tym, którzy sądzą, że śmierć nigdy nie traci „swego żądła". Przeżył on wiele, miał wiele szczęścia, i śmierć nie ma dlań goryczy. Bo kto wie? Może największa gorycz śmierci leży właśnie w poczuciu, że nie wyczerpało się tego szczęścia, jakie przygotowało dla nas życie.

Taki stosunek do śmierci może być kształcony w ludziach. Ta groza, do jakiej nas przyzwyczaiło wobec śmierci chrześcijaństwo wieków średnich, musi być przezwyciężona. Przekonanie, namowa, suggiestja społeczna ogromnie wiele tu znaczą. Przypominam sobie jedną z nowel Godfryda Kellera. Opisując dobre czyny swego bohatera, wymienia on fakt, że kiedy pewien znajomy mu chłopak był śmiertelnie chory i rozpaczał z tego powodu, bohater ów tak wpłynął na niego, że chłopak wytrzeźwiał, skupił się i umarł spokojnie. Szeroko dziś czytana „Historja o siedmiu powieszonych" Andrejewa przedstawia całą serję reakcji na śmierć i to na najokrutniejszą śmierć ze wszystkich, bo przymusową i uderzającą ludzi w pełni sił. I tu widzimy typy ludzkie, dla których „niema śmierci". Jest ekstaza, zachwyt, myśl, obejmująca odrazu życie i śmierć, i słodycz niewymowna, —ale ani strachu, ani rozpaczy niema.

Ludzie naszej kultury rozumieją wielkie znaczenie stoicyzmu i odwagi wobec śmierci. Wtym kierunku społeczeństwo zdobywa się na wysiłki. W Ameryce północnej istnieje sekta, w której nie wolno jest smucić się po

*) „Pod szerokiem, gwiezdnem niebem wykopcie mi grób i położcie mię. *Rad żyłem i rad umieram* i odchodzę od was, zostawiając testament. Oto słowa, które wyryjcie dla mnie: Tu leży on, gdzie być powinien. Do domu wrócił żeglarz, do domu z morza, i myśliwy zestąpił ze wzgórz".

śmierci osób blizkich. Na pogrzeby kobiety ubierają się biało i niosą kwiaty w rękach. Matka umarłego dziecka stara się czynić wszystko to, co było dziecku temu miłe. Ponieważ ono lubiło widzieć wesołą twarz matki, stara się więc jej nie zasępiać. Życie swoje układa tak, jakby dziecko było jeszcze w rodzinie i jakby mu w ten sposób sprawić mogła najwięcej przyjemności. Sekciarze ci wychodzą z założeń religijnych: ponieważ Bóg dał życie, nie należy go marnować. Dowodzi to jednak, że stoicyzm tego rodzaju nie leży poza obrębem sił ludzkich.

Jak idea śmierci, tak i idea choroby może i powinna mniej zajmować miejsca w życiu ludzkiem. Wiemy to wszyscy, że ból niesłychanie wzmaga się i wzrasta przez trwogę przed nim, oczekiwanie, zwrócenie nań uwagi i t. d. Neurasteńja, histerja, hypochondrja i inne choroby nerwowe szeroko są rozpowszechnione wszędzie, gdzie życie płynie wązkiem korytem. Zmniejszyć ilość skojarzeń, związanych z nagim faktem fizycznego bólu, nie mówiąc już o zmniejszeniu samego bólu, o ile to możebne, jest to zadanie kultury. Zadanie to częściowo udaje się już obecnie rozwiązać. Ludzie, stale zajęci swą chorobą, rzadsi są na Zachodzie, niż u nas, rzadsi wśród mężczyzn, niż wśród kobiet. Umiejętność usuwania się pocichu z tego świata, bez zakłócania na czas dłuższy porządku życia otoczenia, jest sztuką, którą w Ameryce już zdobyto. W społeczeństwie Stanów Zjednoczonych Am. Pół. niema literalnie miejsca na człowieka nieszczęśliwego. Nie widać go wcale. Nie znaczy to, aby tam nieszczęścia były rzadkie. Ogromna liczba samobójstw, wielki procent chorób umysłowych i t. d. wskazują, że jest przeciwnie. Ale człowiek stał się tam stoikiem daleko bardziej, niż u nas, o ile zaś zło go przesili, załatwia się z niem sam, bez potęgowania go i pomnażania przez wciąganie w jego koło innych ludzi. Natomiast uczucia radosne są tam starannie podtrzymywane i kultywowane społecznie.

Naturalnie, nie można mówić o wytwarzaniu na szeroką skalę szczęścia tam, gdzie los przynosi rozkład, znisz-

czenie, gdzie sieje on stale śmierć i ból. Ażeby społeczeństwo rozpoczęło kulturę szczęścia w swojem łonie, potrzeba przedewszystkiem odpowiednich po temu warunków materjalnych. Wobec strasznej, ohydnej nędzy n.p., w jakiej przebywają niektóre warstwy naszego społeczeństwa, nauczanie ich, aby kultywowały w sobie uczucia radosne, nie miałoby najmniejszego sensu. Również społeczeństwo musi się zdobyć na pewne warunki zdrowotne, w których byt ludzki nie podlegałby stale wszelakim chorobom. Wreszcie musi być zapewniona człowiekowi swoboda ruchów, obok pewności, że o ile nie przynosi on szkody nikomu, nikt mu nie zaszkodzi nawzajem. Jednem słowem społeczeństwo musi się wpierw urządzić pod względem gospodarczym i politycznym w taki sposób, aby co najmniej odpowiadać minimalnym potrzebom tegoczesnego człowieka; wtedy dopiero może być mowa o wysiłkach społecznych w celu kultury uczucia szczęścia. Ale uświadomienie sobie tego ideału i wysiłki indywidualne są już obecnie na dobie. Tą drogą bowiem zawsze idzie postęp: zrazu tylko jednostki, później ogół.

Otóż i to nawet uświadomienie i sformułowanie sobie celu swych dążeń jest u nas, nawet w najintelligientniejszych warstwach społecznych, bardzo słabe. Panuje tutaj szeroko rozpowszechnione przekonanie, że szczęście jest właściwe tylko pewnej epoce życia i pewnej fazie uczuciowej. Literatura doby obecnej starannie podtrzymuje wiarę, że człowiek rodzi się tylko dla jednej krótkiej, motylej, jeżeli tak się można wyrazić, fazy szczęścia. Jest nią miłość płciowa. Cała reszta życia jest jakby rozmyślnie upośledzana na korzyść spraw erotycznych. Przeżycie w krótkich chwilach czegoś niesłychanego, niewypowiedzianego, spalenie się w ogniu miłości, a przedtem tylko oczekiwania i przeczucia, a potem tylko wspomnienia i tęsknota! I to ma być całe bogate, tak pełne treści życie ludzkie! Dziwne to, ale dzisiaj stoimy o sto mil od tego pojmowania pełni radości życiowej, jakie właściwe było starożytnym. Umieli oni cenić wszelakie

związki ludzkie i w przeróżnych stosunkach widzieć piękno. Mamy tam cudowne wzory przyjaźni, miłości dziecinnej i rodzicielskiej. Ocena człowieka, jako indywidualności i zachwyt nad nim, nie łączy się jeszcze koniecznie z potrzebą zlania się fizycznego, właściwego miłości płciowej. Każdy wiek, każda pora życia ma sobie odpowiednie smutki i radości. Tej romantyki erotyzmu, która panuje wśród nas i prowadzi do lekceważenia całego życia na rzecz jednej krótkiej jego doby, lub niewielu jej powtórzeń, nie znają starzy poeci i myśliciele. Przedstawmy sobie starca z epoki Homera, rozpaczającego w stylu St. Boeuve'a lub chociażby Maupassant'a nad ubiegającą młodością, z powodu straty warunków do wzbudzania uczuć erotycznych w młodych osobach. Dla ludzi, ceniących wdzięk, godność i powagę starości, byłoby to coś niezrównanie komicznego.

Nie pragnę powiedzieć tu bynajmniej, że miłość płciowa nie wnosi wiele szczęścia do życia ludzkiego, że nie ozdabia go ona szczególniej i nie wprowadza do niego nowych tonów. Chcę tylko protestować przeciwko pospolitemu u nas przekonaniu, znajdującemu zwłaszcza licznych zwolenników wśród kobiet, że szczęście życia leży tylko w miłości. U nas szczęście bierze się pod rachubę przy urządzaniu życia na przyszłość jedynie niemal wobec miłości, kiedy przeciwnie rachować się z niem należy wobec każdego ważnego kroku w życiu. Ta gotowość do zrobienia ze swego życia ofiary, napotykana również tak często u naszych kobiet, opiera się na braku oceny rzeczywistej wartości życia. Tłomaczy się ona nawyknieniem do ustępowania wszystkim od dzieciństwa, co z kolei spowodowane jest upośledzeniem w rodzinach córek na rzecz synów i suggiestją społeczną, zakreślającą kobietom jak najmniejsze pole do wyzyskania darów życia.*)

*) Zwracano nieraz uwagę na fakt, że niema wcale humorystek wśród autorek. Ciekawe to zjawisko tłomaczy się pesymistycznym poglądem kobiet na życie.

Chociaż jednak ta ofiarność się tłomaczy, nie daje się ona usprawiedliwić, ani ze stanowiska korzyści społecznej, ani indywidualnej. Często też polega ona na nieporozumieniu. Kobieta ma siebie za ofiarę wtedy, kiedy tylko wybrała to, co przy braku inicjatywy i samodzielności było dla niej samej najwłaściwsze i najdogodniejsze. Człowiek, który ma w sobie jakąś „iskrę bożą", który ją ceni,—nie tak łatwo da jej zaniknąć. Ofiara może być dopuszczona tylko w wyjątkowych razach: inaczej psuje ona tego, który ofiaruje siebie, i tego, który tę ofiarę przyjmuje.

Tak więc należy zawsze świadomie przygotowywać swoje życie w ten sposób, aby ono dało nam możliwie najwięcej szczęścia. Jednym z najważniejszych momentów jest tutaj bezwarunkowo wybór pracy. Mieć przed sobą zadanie, które się kocha, pracować nad *dziełem* swojem całe życie, jest to wielkie szczęście, jest to szczęście, które nas nigdy w ciągu całej ziemskiej wędrówki nie opuści. Kochane przez nas osoby mogą umrzeć, stosunki się zmieniają, — ale pracować nad tem, cośmy wybrali, w ten lub inny sposób w zwykłych warunkach można przez całe życie. U nas w pogoni za zdobyciem dóbr materjalnych bardzo mało kto liczy się z upodobaniem do pracy, jaką sobie, jako swój fach, obiera. A jednak to powinno być główną podstawą wyboru. I nie należy zakreślać sobie zbyt wązko koła swej działalności. Na niebezpieczeństwo, jakie w tem leży dla naszego szczęścia, zwraca uwagę niemiecki uczony i filozof, W. Ostwald. Przebywając w ciasnych warunkach, łatwo ulegamy cierpieniom z powodu zniszczenia, jakie szerzy śmierć. Tu sam autor, zastanawiając się nad warunkami życia szczęśliwego, dochodzi do przekonania, że podstawą szczęścia jest stosunek równowagi pomiędzy energją życiową człowieka a polem działalności, jakie on sobie obrał. Słaby człowiek, zbyt wielkie stawiający sobie zadanie, będzie miał dużo cierpień. Podobnie i człowiek silny, mało mający pola do pracy. Należy siebie znać i przystosowywać swoje zadania do sił własnych. Skromny byt, połączony ze

spokojem i ciszą, dla sił niewielkich może jednak tyleż dać szczęścia człowiekowi, co świetna karjera i burzliwe życie wobec ogromnego zasobu energji życiowej. Wiemy z doświadczenia, że w twierdzeniu tem wielka jest doza prawdy.

Na szczęście, jak i na wszystko w życiu, potrzeba pracować. Chociaż nie zawsze udaje się je zdobyć, ale szanse zwiększają się ogromnie przez świadome wysiłki w tym kierunku. Wiedzieć, że jednym z największych przymiotów człowieka jest zdolność do radości, że starania o zdobycie szczęścia znajdują poparcie ogólne, że *wreszcie każdy ma do tego szczęścia prawo*, jest to pierwszy krok na drodze do szczęścia. Naturalnie, dalej powstają zagadnienia, stawiane nieraz brutalnie przez życie samo: jakie mamy wybrać szczęście: blizkie, czy dalsze, osobiste, czy polegające tylko na odczuciu szczęścia innych lub wyobrażeniu przyszłego szczęścia ludzkości? Ale nie zmieniają one zasadniczego założenia. Zaświaty dla nas nie istnieją. Człowiek, o ile wiemy, ma tylko to jedno podmiotowe życie przed sobą. Jego to wygrana, jeżeli potrafi wziąć z niego więcej słodyczy, niż piołunu.

W. LUTOSŁAWSKI: DARWIN I SŁOWACKI. *)

Doniosłość myśli Słowackiego dla biologji, jako nauki czysto przyrodniczej, mało jest znana, choć zasługuje na uwagę, szczególniej wobec niegasnących jeszcze dyskussji o teorji Darwina.

Sprawdza się na Słowackim to, co powiedział on o swych poprzednikach: „wieszczowi bowiem potrzeba tak mało... zbłyśnie się w duchu — on już słońce wita! Jeszcze się stać ma—jemu już się stało!—Jeszcze cud w pączku — jemu już rozkwita!“ To, co dalszy rozwój nauki ma dopiero kiedyś uzasadnić i udowodnić, Słowacki w natchnieniu przeczuł i wskazał.

Wskazówki jego, jak zwykle natchnienia wieszcze, są niezbyt szczegółowe, ale w każdym razie prowadzą one do poglądów, których doświadczalne sprawdzenie jest możliwem, choć wymaga dosyć trudu, cierpliwości i sprzyjających warunków.

Zadaniem obecnej pracy nie jest usiłowanie udowodnienia, że Słowacki miał słuszność, choć jestem sam głęboko przekonany o tej niedowiedzionej jeszcze słuszności.

Przekonanie moje powstało już dawno i było sformułowane w pracy napisanej po niemiecku w odpowiedzi na wezwanie do współpracownictwa w nowo powstałem piśmie naukowem w Berlinie kilka lat temu. Ale redakcja owego pisma niemieckiego drukować tej pracy nie chciała, i rękopis jej gdzieś zaginął.

*) Nie podzielając niektórych wypowiedzianych tu poglądów prof. Lutosławskiego, zamieszczamy jednak rozprawę jego o Darwinie i Słowackim, jako jeden z ciekawych objawów umysłowości współczesnej. *(Red.)*

Później, wykładając w kilkunastu amerykańskich uniwersytetach o rzeczach polskich, często powracałem do porównania Słowackiego z Darwinem, przyczem zawsze okazywała się większa głębokość i trafność myśli polskiego wieszcza.

Zdumienie amerykańskich uczonych, a po części ich uznanie dla teorji Słowackiego, którą im objaśniałem, wielce mnie utwierdzało w przekonaniu, że teorja ta nie jest próżnym tworem wyobraźni, lecz pomysłem godnym naukowego zbadania. To też na początek działalności publicznej w Warszawie obrałem ten temat, a wygłosiwszy o Darwinie i Słowackim wykład w Filharmonji dnia 23-go Listopada 1908 go roku, otrzymałem od redaktora „Sfinksa“ zaszczytne wezwanie, by ten wykład obrobić do druku w jego piśmie.

Chcąc uczynić to w formie, odpowiadającej miesięcznikowi, korzystam z pierwszej redakcji wykładu, którą spisałem bezzwłocznie po jego wygłoszeniu i wydałem w Słowie Warszawskiem z 27 — 29 Listopada — lecz nie krępuję się bynajmniej ani formą samego wykładu, ani też wydanem w Słowie obszernem lecz nie całkiem wiernem streszczeniem tego wykładu.

Wykład, jak wszystkie moje wykłady, był improwizowany, i mógł zawierać niektóre myśli pominięte w późniejszem obrobieniu całej rzeczy do druku. Prócz myśli zawierał też w sobie siłę przekonania, która w druku zawsze blednie. Ale skoro ten wykład uznano za godzien obrobienia, to widać, że chodzi tu o rzecz samą, a nie o formę, w której została wypowiedzianą. Ta forma jest nieuchwytna przecie nawet dla stenografa, bo na nią składa się coś więcej niż tylko szereg wyrazów i zdań, gdy ktoś pełni Mickiewiczowski urząd Słowa.

Pomijam więc tutaj cały wstęp wykładu, w którym obejmowałem publiczną katedrę, tłomacząc, jak ją piastować zamierzam. To, co wtedy zostało powiedziane, da

materjał do artykułu osobnego, w którym wyłuszczę, do czego według mego pojęcia Mickiewicz zobowiązał swych następców, ośmielających się po nim gdziekolwiek w imieniu Ducha polskiego urząd Słowa objąć.

Tutaj zaś, zgodnie z tytułem niniejszej pracy, przystępuję odrazu do jej przedmiotu, prosząc czytelnika o tę samą wyrozumiałość i cierpliwość, jakiej sam Słowacki żądał dla dalszych rapsodów Króla Ducha, mówiąc: „jeśliś leniwy, dzieło odrzucisz: wszakże zostaniesz pod zaklęciem prawdy, która ci w drodze wiedzy dalej iść nie pozwoli".

* * *

Trudno wyobrazić sobie dwa żywoty, więcej różne, niż żywot poety *par excellence*, Słowackiego, i żywot *par excellence* przyrodnika, Darwina. Obaj przyszli na świat w tym samym roku 1809, w którym Lamarck wydał swą *Philosophie zoologique*, dzieło, w którem po raz pierwszy naukowo uzasadniona była teorja pochodzenia gatunków, wspólna Słowackiemu i Darwinowi, lecz dziś głównie znana, jako teorja Darwina.

Za kilka miesięcy polski naród obchodzić będzie stuletnią rocznicę urodzenia Słowackiego, a przyrodnicy na całej ziemi wspominać będą stuletnią rocznicę urodzin Darwina. Ale jakże różne są losy tych dwuch mężów! Jak mało mają oni wspólnego, jak dziwnem na pierwsze wejrzenie wydaje się zestawienie ich nazwisk dla tych, co Słowackiego znają tylko jako poetę, a nie zastanawiali się nad jego przyrodniczemi intuicjami!

Darwina dziad i pradziad zajmowali się przyrodą, a dziedziczna skłonność do tych badań wcale się nie wyczerpała na jego własnej osobie, gdyż jeszcze w następnem pokoleniu dwaj rodzeni synowie jego zasłynęli, jako niepospolici przyrodnicy. Sam Darwin nie miał poważnych wątpliwości co do wyboru swego powołania, choć ojciec jego chciał go zrobić najprzód lekarzem, a potem teologiem. Zamiłowanie do badań przyrodniczych objawiało się u niego w bardzo wczesnym wieku. W siedemnastym roku życia napisał on pierwszą rozprawę naukową, zawierającą już doniosłe spostrzeżenia przyrodnicze, i wtedy już znał poglądy Lamarcka, który go wyprzedził o pięćdziesiąt lat, jako twórca naukowy nowożytnej teorji transformizmu. Mając lat dwadzieścia dwa przyjął udział w owej pięcioletniej unieśmiertelnionej przezeń podróży naokoło ziemi, która dała mu główne materjały do późniejszych uogólnień. A jednak dopiero w pięćdziesiątym roku życia wydał swe najsławniejsze dzieło, które stało się jeszcze za życia jego przedmiotem powszechnego zajęcia nietylko wśród przyrodników, ale też, dzięki licznym popularyzatorom, wśród najszerszych warstw ludzi wykształconych we wszystkich krajach.

Pracując wytrwale, posuwając się stopniowo naprzód, zawsze w jednym i tym samym głównym kierunku, ciągle uzupełniał swe spostrzeżenia i doczekał się prawie powszechnego uznania swych teorji. Życie spędził w swoim kraju, blizko stolicy ojczyzny swej, uprawiając własną ziemię, żyjąc spokojnie i wygodnie, otoczony dostatkiem, kochającą rodziną, i odwiedzany przez gości ze wszystkich stron świata. Życie to było przygotowane przez kilka pokoleń, a Darwin nie potrzebował kruszyć żadnych pęt: przyjął na siebie zadania, zgodne z upodobaniami i z dziedzicznem uzdolnieniem. Miejsce jego w postępie ludzkości było wskazane jasno, a on je chętnie przyjął— żył i umarł szczęśliwy, syt lat i chwały.

Taki żywot jest charakterystycznym przykładem powodzenia i wielkości nawet bez tragicznej walki, bez cierpień ciężkich i nadmiernych wysiłków dla zwalczenia własnej natury. Takich żywotów spokojnych, harmonijnie rozkwitających w sprzyjających im warunkach, wiele napotykamy, gdy badamy życiorysy wielkich ludzi Anglji. Wszak ich największy poeta, twórca tylu dramatów, sam miał życie spokojne, równe, pełne powodzenia za życia i sławy jeszcze przed śmiercią. Takie same żywoty, stopniowo a spokojnie ogarniające wzrastające horyzonty,

mieli także ich znakomici politycy jak Pitt lub Gladstone, myśliciele jak Ruskin, a nawet reformatorzy religijni, założyciele sekt i artyści.

Coś podobnego prawie nigdy nie trafia się u nas, gdzie wykonanie każdego rozumnego planu, nawet gdy plan ten nie obejmuje całego żywota, napotyka na tyle przeszkód zewnętrznych i wewnętrznych. Trudno sobie wyobrazić wśród aryjskiej rasy dwa narody więcej różne niż Anglicy i Polacy. Jeśli pierwszych możnaby nazwać sługami ciała, to nam przypada w udziale służba ducha. Rozwój ciał i spraw materjalnych nie ma takich gwałtownych burz, jakie wybuchają na drodze ducha.

Darwin jest wzorem materjalnie zabezpieczonego, pracowitego i pożytecznego żywota, odpowiadającego najszlachetniejszym dążeniom angielskiego narodu. Wszystko tu jest logiczne i konsekwentne, nic się nie marnuje, niema nadmiernych upojeń, ale też niema nieznośnych cierpień. O takim żywocie Goethe nie mógłby powiedzieć: *„Himmelhoch jauchzend, zum Tode bertrübt, selig allein ist die Seele, die liebt“*: wszystko tu się odbywa spokojnie i w najlepszym ładzie, jakby wedle z góry obmyślonego planu.

Jakże inaczej wygląda żywot Słowackiego! Wygnaniec i tułacz, ciągle rwał się ku nowym przeznaczeniom, nigdy nie znajdując zadowolenia zupełnego w doczesności. Nie zaznał słodyczy ogniska domowego, nie zbudował sobie własnego domu, w którym by mógł przyjmować swych gości. Nie zdobył za życia należnego uznania, a nawet w sześćdziesiąt lat po śmierci pozostaje nieznanym, bo gdy dzieła Darwina bywały wydawane wielokrotnie i tłomaczone na wiele języków, pisma Słowackiego nie doczekały się nawet zupełnego wydania, zaś po za Polską nikt prawie o nich nie słyszał.

A choć Słowacki tak stale i wiernie trzymał się swego powołania, jak Darwin—gdyż od najmłodszych lat był zawsze przedewszystkiem poetą, podobnie jak Darwin był zawsze przedewszystkiem przyrodnikiem — to treść i forma poezji Słowackiego w ciągu krótkiej jego doczesnej wędrówki ulegały znacznie większym zmianom, niż treść i forma dzieł Darwina.

A jednak ci dwaj ludzie, tak różni pod tyloma względami, mają coś wspólnego, prócz roku narodzin. Obaj dojrzalsze swe lata poświęcili przeważnie kwestji pochodzenia gatunków i człowieka—i o tym przedmiocie napisali najważniejsze swe dzieła—obaj przyjęli transformizm Lamarcka i uznali, że rozmaite gatunki kształtów organicznych w ten sposób powstały jedne z drugich, że wyższe i doskonalsze gatunki pochodzą w prostej linji od istot, należących do gatunków niższych.

Obaj więc wystąpili przeciwko panującemu, pozornie na Piśmie Świętem opartemu poglądowi, jakoby rośliny i zwierzęta stworzone zostały przez szereg aktów Najwyższej Istoty, działającej dla każdego gatunku oddzielnie, zamiast wyprowadzać drogą naturalną jeden gatunek z drugiego.

Taka popularna interpretacja pierwszego rozdziału ksiąg Mojżeszowych nie jest niczem usprawiedliwiona, gdyż nawet w tłomaczeniach mowa jest o stopniowem pojawianiu się coraz to wyższych form organicznych, a niema wcale wzmianki o sposobie ich powstania. Hebrajski oryginał Starego Testamentu ma zaś, jak niektórzy badacze *) sądzą, daleko głębsze znaczenie i zawiera w sobie nierozjaśnione tajemnice. Mieliby prawo dyskutować o tem tylko znawcy hebrajskiego języka, którzyby usiłowali nam wytłomaczyć, co znaczyć może ulepienie człowieka z gliny. O ile Twórcy nie wyobrazimy sobie, jako garncarza, poruszającego dotykalną i widzialną ręką koło stworzenia, lecz jako niewidzialnego i niematerjalnego ducha, działającego przez niewidzialne siły, to pochodzenie roślin, zwierząt i człowieka z gliny czy z ziemi, o którem wspo-

*) Szczególniej *Fabre d'Olivet* w znakomitem swem dziele: „La langue hébraique restituée“.

mina Mojżesz, wcale nie sprzeciwia się teorji transformizmu.

Przez wiele wieków naiwnie dziecinna interpretacja słów Mojżesza skłaniała ludzi do wyobrażania sobie dojrzałych już zwierząt, cudem nagle bez udziału rodziców pojawiających się w przyrodzie; więc ci, co do takich widzialnych cudów wyobraźnią swą przylgnęli, niełatwo zdołali się pogodzić z niewidzialnym cudem transformizmu, który im wydawał się mniej godnym potęgi Bożej.

A jednak transformizm jest odwieczny i nie został wymyślony przez Słowackiego ani przez Darwina. Dwie przeciwległe szkoły filozofji greckiej—uczniowie materjalisty Demokryta, podobnie jak zwalczający ich uczniowie idealisty Platona, zgadzali się na tym jednym punkcie, że w ciągu setek tysięcy lat na ziemi kształty zwierząt i roślin ulegały zmianom, jedne gatunki pochodziły z drugich.

Platonowi ta myśl wydawała się tak naturalną, że ją w ostatniem swem dziele, w Prawach, krótko wyraża, wcale nie usiłując jej uzasadnić. Następnie w filozofji Epikura stopniowe zmiany form w ciągu wielu pokoleń były przyjmowane za pewne, a Lukrecjusz w swoim utworze „*De natura rerum*“ opowiada nawet szczegóły tych transformacji. Później Św. Jan Chryzostom uznawał, że gatunek ludzki poprzedziły istoty podobne do ludzi, a jednak jeszcze nie posiadające zdolności rozumowania.

W 1809 roku, kiedy Darwin się rodził, Lamarck wydał swe sławne dzieło „Philosophie zoologique“, w którem już całkiem naukową metodą i opierając się na olbrzymich przez siebie zebranych materjałach dowodzi prawdopodobieństwa transformizmu, czyli naturalnego pochodzenia jednych gatunków z drugich.

Nie usuwa to wcale wpływu siły wyższej, nadprzyrodzonej, kierującej temi przemianami. A jednak transformizm wywołał zaciętą walkę ze strony duchowieństwa różnych wyznań, jakby w nim ukryte było poważne niebezpieczeństwo dla wiary i Kościoła. Rzecz godna uwagi,

że ta walka zawrzała na dobre dopiero po wystąpieniu Darwina, gdy transformizm Lamarcka jeszcze wcale nie wywołał szerszej dyskusji. Transformizm Lamarcka pozostawał przez 50 lat prawie niezauważonym, a teorja Darwina w ciągu dziesięciu lat cały świat poruszyła i zaniepokoiła, nietylko przyrodników, ale teologów, ekonomistów i socjologów.

Walka z Darwinem podobna jest pod wieloma względami do stoczonej przed kilkoma wiekami walki o system Kopernika. Istnieje analogja między tymi dwoma przyrodnikami, co poglądy, oddawna przyjęte i oparte na mylnej interpretacji Pisma Świętego, poddali w wątpliwość i udowodnili ich mylność, wcale przez to nie podkopując powagi Pisma Świętego.

Kopernik pierwszy upokorzył pychę ludzkości, dowodząc, że ziemia nie jest środkiem wszechświata, lecz drobnym pyłkiem, drugorzędnem ciałem w ogromie światów daleko większych. Ta zmiana w tradycjonalnym poglądzie na stanowisko ziemi we wszechświecie uczyła ludzkość pokory, gdyż jeśli są inne, większe i wspanialsze światy, to wynika stąd prawdopodobieństwo, że są także inne, mędrsze i lepsze ludzkości, na co w naszych czasach, wśród wielu innych, astronom Flammarion także nacisk kładzie.

Pokora jest cnotą wybitnie chrześcjańską, więc pod tym względem wpływ Kopernika nie był przeciwny Chrystusowi. Ale z drugiej strony, jeśli ziemia jest tak upokorzona, cudowność wcielenia samego Boga w kształty ludzkie tem dziwniejszą się wyda i wiara w ten dogmat wcielenia wymaga nowych objaśnień.

Czy Chrystus wcielał się na miljonach zamieszkałych planet, czy też grzech pierworodny był tak wyjątkową tragiedją we wszechświecie, że tylko na ziemi zaszła potrzeba wcielenia Bożego?

Obie alternatywy trudne są do zrozumienia z punktu widzenia tradycjonalnej interpretacji ksiąg Mojżesza,

więc nic dziwnego, że teorja Kopernika wydała się wielu księżom bezbożną i wyzwała gromy inkwizycji.

Ale gdy się okazała prawdziwą, gdy ogromny szereg spostrzeżeń ją potwierdzał, a nikt nie zdołał wykazać w niej błędu rozumowania, wtedy i najgorliwiej wierzący katolicy się z nią pogodzili, a wiedząc o skromnej roli ziemi we wszechświecie, tem więcej podziwiali łaskę Bożą, ludzkości daną przez wcielenie Chrystusa.

Wtedy też zaczęto się domyślać, że to zło, ta dysharmonja wewnętrzna, ta ciągła walka między aspiracjami ducha i żądzami ciała, które nam są znane jako cechy życia ludzkiego na ziemi, nie są bynajmniej powszechne we wszechświecie, więc grzech pierworodny nie jest bajką, lecz wieścią z dawnych bardzo czasów o istotnej tragiedji, wyjątkowej w życiu wszechświata, która zakłóciła tylko na ziemi ład i porządek Boży, prowadząc do walki o byt jednostek i klas społecznych.

Na tym przykładzie przekonano się, jak dalece żadna teorja przyrodnicza zachwiać wiary nie może, lecz nawet gdy się wydaje wrogą istniejącej wierze, wyzywa nowe siły ducha, nowe potęgi myśli i czynu. Kościół po Koperniku miał wielkich świętych i bynajmniej nie upadł, lecz ciągle rośnie, podczas kiedy sekty odszczepieńców rozdrobniają się na coraz to więcej wyznań.

A jednak, gdy Darwin rozpowszechnił transformizm Lamarcka i przez to znów dał ludzkości wielką lekcję pokory, strącając człowieka z wyjątkowego piedestału, na który go wyniosła tradycjonalna i niewystarczająca interpretacja ksiąg Mojżesza, powtórzyły się obawy, kiedyś wzbudzone przez teorję Kopernika, zaczęto znów w imię teologji zwalczać przyrodoznawców, zarzucając im, że podkopują wiarę.

I znów trzeba było wysiłków myśli i słowa, by obronić wolność badania przed *odium theologicum*. Znaleźli się wierni kościołowi zakonnicy, jak Dominikanin Le Roy, Jezuita Weismann, którzy pogodzili transformizm z teologją. Rozprawa Grossmana na ten temat nagrodzona została przez katolicki fakultet teologiczny w Monachjum, a znakomity poeta Fogazzaro poświęcił świetnie napisane dzieło obronie transformizmu, dowodząc, że nietylko nie obala on katolickiej wiary, lecz nawet przyczynia się do jej pogłębienia.

Wszystkie teorje przyrodnicze, które nas uczą pokory, są dźwignią ducha chrześcijańskiego. W historji religji mamy wszak przed chrześcijaństwem jedną tylko wszechświatową religję, której wpływ sięgnął daleko poza granice kraju, z którego wyszła: buddyzm.

Otóż buddyzm w tem szczególniej się różni od chrześcijaństwa, że budzi pychę w człowieku, ucząc, że o własnych siłach, bez pomocy łaski Bożej można dojść do najwyższej doskonałości, gdy chrześcijaństwo nas uczy zawsze korzystać z łaski i modlić się o nią.

Według Buddy człowiek jest cząstką Boga i ma w każdej chwili to, na co zasłużył w ubiegłych żywotach— według Chrystusa człowiek jest stworzeniem Bożem i ma zawsze daleko więcej niż to, na co zasłużył, bo jest polem mniej lub więcej żyznem dla posiewu łaski.

Otóż w tej alternatywie religijnych wierzeń Kopernikanizm i Darwinizm, ucząc nas pokory, potwierdzają raczej naukę Chrystusa, niż Buddy, o tyle przynajmniej, o ile z Darwinizmu bierzemy to, co się odbiło najgłośniejszem echem w najszerszych kołach ludzkości, mianowicie transformizm, wspólny Darwinowi ze Słowackim i z Lamarckiem, lecz spopularyzowany głównie przez Darwina.

W Darwinizmie prócz transformizmu jednak znajdujemy dwie inne teorje, które trudniej pogodzić z nauką chrześcijańską i z filozofją ducha. Darwin nie poprzestał na przyjęciu tezy transformizmu, na zestawieniu argumentów za przekonaniem, że pierwsze jednostki nowego gatunku rodziły się z rodziców, należących jeszcze do innego gatunku.

Darwin usiłował objaśnić przyczyny przemiany jednego gatunku na drugi i przytoczył, jako dwie główne

przyczyny, dobór płciowy i walkę o byt — czyli czynniki zupełnie materjalne.

Czynniki te działają i działanie ich jest sprawdzone przynajmniej na tworzeniu się odmian wewnątrz jednego gatunku. Lecz zachodzi wielka kwestja, czy te same czynniki wystarczają dla wytłomaczenia powstawania nowych gatunków.

Odmiana gatunku może ulegać innym prawom, niż sam gatunek. Cechy zasadnicze gatunku mogą być niezależne od doboru i walki o byt, pomimo zależności od tych czynników pewnych cech drugorzędnych, wystarczających dla wytworzenia odmian. Lub też dobór i walka o byt mogłyby także wpływać na zmianę gatunku, jako czynniki drugorzędne, obok pewnych czynników pierwszorzędnych, przez Darwina wcale nie uwzględnionych.

Według Darwina, zgodnie z jego poglądem na walkę o byt i dobór, zmiany w kształtach poszczególnych gatunków są stopniowe i odbywają się bardzo powoli w ciągu wieków, tak, że między jednym gatunkiem a innym jest on zmuszony przypuścić wiele form pośrednich.

A Darwiniści się zgadzają na to, że nigdzie dotąd nie znaleziono tych form pośrednich między istniejącymi gatunkami, podczas gdy jednostki dziś istniejących gatunków znajdywano w bardzo dawnych pokładach gieologicznych.

Tutaj tkwi najdonioślejsza różnica między teorją ewolucji Darwina i Słowackiego. Słowacki wyraził swe poglądy na transformizm więcej niż 10 lat przed Darwinem, między 1841 a 1849 rokiem, w szeregu dzieł, z pośród których Genezis z Ducha *) jest najważniejszem. Uzupełnia to dzieło „List do Rembowskiego“, rodzaj komentarza do Genezis z Ducha. Nadto bardzo ważne przyczynki do transformizmu Słowackiego można znaleźć w jego późniejszych utworach poetyckich, jak Samuel Zbo-

*) Dzieło to wydane zostało przez W. Lutosławskiego w Krakowie w 1903 roku.

rowski, Zawisza Czarny, Król Duch i pośmiertne pieśni Beniowskiego. Rzeczy te, dotąd krytycznie wydane nie są, prócz jednej tylko „Genezis z Ducha“.

Trzeba szukać poszczególnych utworów tej epoki w różnych wydaniach, poczęści wyczerpanych w handlu księgarskim—i to tłomaczy, że mało kto w Polsce zdaje sobie sprawę z ogromnej doniosłości naukowej trafnych intuicji Słowackiego, jego przyrodniczych jasnowidzeń.

Ogół zna Słowackiego tylko z przed 1840 roku, autora „W Szwajcarji“ i Kordjana. Autor Króla Ducha, to zgoła inny człowiek, mędrzec, jakich niewielu miała ludzkość, prorok i wieszcz natchniony, a zarazem cierpliwy badacz tajemnic przyrody.

Metoda badania u niego całkiem inna, niż u Darwina, lecz nie zasługuje ona bynajmniej na lekceważenie, bo Słowacki mógłby, gdyby chciał, użyć metody Darwina, lecz Darwin wcale nie umiałby posługiwać się metodą Słowackiego.

Darwin widzi, słyszy, spostrzega zmysłami. Słowacki zamyka oczy i uszy, a w duchu swym rozmyśla o przedmiocie, który poprzednio zwrócił jego uwagę.

Otóż Słowacki tą drogą jasnowidzenia przeszłości dochodzi do przeświadczenia, że nowe gatunki zjawiały się nagle, że pierwsze jednostki nowego gatunku pochodziły od rodziców jeszcze zupełnie innych, bez żadnych form przejściowych, bez żadnych stopniowych przemian.

A badania naukowe potwierdzają pogląd Słowackiego w nowszych czasach, gdy brak potwierdzenia dla poglądu Darwina — bo przejściowe formy owe, jeśli kiedy były, zaginęły, skoro nikt ich nie znalazł. Wielu znakomitych przyrodników nietylko przed Lamarckiem, jak Linné i Cuvier, lecz także po Darwinie, jak Agassiz i Virchov, obstawali przy naturalnej niezmienności gatunku. Agassiz przyjmuje transformizm, lecz wymaga przy każdym nowym gatunku aktu twórczej woli Bożej, która się objawia w zarodku nowej istoty.

Według Agassiza, zgodnie z poglądem Słowackiego,

zmiana zachodzi w jajku, i zwierzę, z jajka tego wychodzące na świat, jest już innem niż rodzice.

Możnaby ten kontrast poglądów objaśnić przeciwległemi odpowiedziami, jakie Darwin i Słowacki daliby na dziecinną zagadkę, czy kura pierwszą była? czy jajko kurze?

Według Darwina kura pierwsza wykluła się z jajka, które jeszcze nie było kurzem, lecz bardzo zbliżonem do kurzego. Według Słowackiego pierwsze jajko kurze zostało zniesione przez ptaka, co wcale kurą nie był jeszcze, i dopiero z tego jajka kurzego wykluła się pierwsza kura, która już jajko kurze zniosła i nie miała nigdy wśród najodleglejszego potomstwa typów podobnych do swych rodziców.

Nagłość przemian, nagłe ukazanie się nowego gatunku potwierdzają doświadczenia, które w Kalifornji robili profesorowie Loeb i Jaffa, zaś w Hollandji de Vries. A jeśli się okaże z czasem, że Słowacki miał rację i że nowe formy zjawiają się nagle, nie jak Darwin chciał, stopniowo przechodząc przez wiele szczebli pośrednich, to i objaśnienie tego zjawiska, jakie Słowacki daje, zasłuży na szczególną uwagę myślicieli.

Lecz na pierwsze wejrzenie to nagłe zjawienie się nowej formy wyda się bardzo nieprawdopodobnem, choć w całkiem innym zakresie znamy już coś podobnego. Gdy się zastanawiamy nad możliwemi formami wieloboków, i usiłujemy w myśli wyprowadzić jedne z drugich, to nie znajdziemy formy pośredniej między trójkątem a czworobokiem. Najmniejszy, nieskończenie mały czwarty bok dodany do trójkąta, już go robi czworobokiem, i nie można nic pośredniego sobie wyobrazić, ani też uznać możliwość jakiej pośredniej formy.

Jeśli forma tak prosta, której cechy stanowią tylko boki i kąty, prowadzi do typów o ilości określonej, bez żadnych możliwych przejściowych form, to formy organizmów, mające więcej cech, tem bardziej mogłyby tworzyć określone kombinacje tych cech, bez żadnych form przejściowych.

Nadto możliwem jest, że pewne cechy pojawiają się lub znikają nagle i te odpowiadają różnicy gatunku, zaś inne cechy mogą zmieniać się stopniowo i wytwarzać odmiany wewnątrz jednego gatunku.

Wyobraźmy sobie naprzykład szereg postaci różnokolorowych o kształtach prostych gieometrycznych wieloboków, przemieniających się jedne na drugie. Dopóki tylko barwa lub wielkość ulegają zmianie, zmiany mogą być stopniowe, gdyż między jednym kolorem a drugim jest wiele pośrednich odcieni, które stopniowo przechodzą jedne w drugie. Także między jednym rozmiarem a drugim jest nieskończona ilość rozmiarów pośrednich, które mogą być nieskończenie zbliżone do siebie. To są cechy odpowiadające odmianom wewnątrz jednego gatunku i te mogą się zmieniać stopniowo, przechodząc przez wiele stopni pośrednich wielce do siebie podobnych.

Ale gdy którejkolwiek z tych postaci przybywa jeden bok, choćby najmniejszy, zmiana jest nagła i nowy gatunek powstaje bez żadnych form pośrednich. Gdy takiej zmianie gatunkowej towarzyszą zmiany drugorzędne i ciągłe, więcej rzucające się w oczy, to powierzchowny spostrzegacz zrobi fałszywe uogólnienie i wyobrazi sobie, że wszelkie zmiany są ciągłe, stopniowe, i że przechodzą przez formy pośrednie.

Aby ten przykład uwidocznił istotny stosunek teorji Darwina do teorji Słowackiego, wyobraźmy sobie, że pewne zmiany rozmiaru lub barwy mogą być spowodowane przez czynniki zewnętrzne pewnego rodzaju, i właśnie te zmiany zachodzą stopniowo. Lecz zmiany zasadnicze, polegające na powiększaniu ilości boków lub kątów, niech nie będą wcale zależne od podobnych czynników, tylko od zupełnie innych przyczyn.

Gdy przy takim układzie jednocześnie ze zmianą trójkąta na czworobok o bardzo małym, nieznacznym czwartym boku nastąpi bardzo jaskrawa zmiana koloru,

to powierzchowny spostrzegacz więcej zwróci uwagi na ową zmianę koloru, niż na nierzucający się w oczy czwarty bok figury, a wtedy w kolorze, nie w ilości boków może upatrywać cechę gatunkową, zaliczając do odmian jednego gatunku kolory, do siebie więcej zbliżone, a upatrując zmianę gatunku tam, gdzie występuje po szeregu barw przejściowych kolor zupełnie nowy.

Otóż w tym wypadku Darwin stałby po stronie owych spostrzegaczy, główną uwagę skupiających na kolorze uderzającym oczy, choć jest on cechą drugorzędną — a Słowacki nie baczyłby na pozór koloru, lecz kładłby główny nacisk na zmianę ilości boków, jako na cechę, która choć na zmysły mniej działa, odpowiada głębszym i zasadniczym różnicom w budowie ciał.

Wyobraźmy dalej sobie owe postacie wielokątne, z początku zmieniające tylko rozmiary bez zmiany koloru ni kształtu, potem dopiero po przejściu przez wiele rozmiarów zmieniające barwy, a w końcu dopiero po przejściu przez wiele barw zmieniające formę czyli ilość boków. Wtedy możnaby zmianę kształtu poczytywać za równorzędną ze zmianą rozmiaru lub koloru, jeślibyśmy nie spostrzegli tej różnicy, jaka zachodzi między kolorem a kształtem, że kolor może ulegać stopniowym, przez nieskończoną ilość odcieni pośrednich przechodzącym zmianom, a kształt jest cechą, która w tym wypadku zmienia się nagle i pośrednich form nie dopuszcza. Darwin wszędzie widzi tylko takie zmiany, jakiemi są zmiany kolorów i rozmiarów. Słowacki o te zmiany się nie troszczy, a szuka takich, co są zmianami formy, i w nich upatruje cechy nowych gatunków.

Po za rozmiarem, kolorem, kształtem mogą być jeszcze inne cechy, odpowiadające funkcjom organizmu— naprzykład dwupłciowość lub jednopłciowość, co do których także jest jasnem, że jedna lub druga istnieje, a nic pośredniego wyobrazić sobie nie można. Nietylko gieometrycznie w przestrzeni określone cechy mają to do siebie, że istnieją lub nie istnieją.

Inna zachodzi znów kwestja, ile nowych cech potrzeba, żeby uznać powstanie nowego gatunku. Wiele doświadczeń trzebaby przeprowadzić, aby się o tem przekonać. Ale jeśli Słowacki ma rację, to cechy gieometryczne kształtów wszystkie zależą od cech niewidzialnych ducha. Więc np. jeśli pierwszy człowiek zdobył w duchu najsłabszą nawet zdolność rozumowania, której rodzice jego nie mieli, to z tej cechy ducha mogłaby odrazu wynikać i postawa do góry dążąca, i mowa, i wiele innych cech takich, które można spostrzec zmysłami.

Słowacki twierdzi, że nowy gatunek wtedy dopiero się zjawia, gdy jakaś jaźń, dotąd poprzestająca na niższej formie, zapragnie nowej cechy i otrzyma ją od Boga. Więc każdy nowy gatunek byłby stworzony przez Boga w duszy tej istoty, która na zewnątrz pierwszy raz nowy kształt objawi.

Te same jaźnie od wieków odbywają pracę form na ziemi. My to sami jesteśmy dziś u szczytu stworzenia, cośmy kiedyś wprowadzali na ziemi każdą nowość—pierwszy djament i pierwszą różę i pierwszego węża.

Gdy ów pierwszy wąż syknął, zrobił on doniosłe odkrycie, z którego jego potomkowie odlegli — w ludzkiej już postaci — wyprowadzili śpiew.

A te jaźnie, które na niższym szczeblu porywem twórczym i tęsknotą ku doskonałości wprowadzały nowe formy, te same i na najwyższym szczeblu już w innym kierunku swą twórczość okazują.

Więc wielki jakiś gienjusz wśród ludzi miał inną przeszłość form niż idjota. Ta sama jaźń, która po raz pierwszy cząsteczki węgla uporządkowała w kształt djamentu, na wyższym szczeblu zdobyła jakąś inną siłę nową, otwierając nowy szereg form, ta sama zupełnie jaźń, duch Słowa, dziś jakiemś ludzkiem ciałem rozporządza, i świeci już światłem gienjusza.

Pozorna jednostajność zewnętrzna form ludzkich wynika jedynie z konieczności fizycznych. ale poza nią ukry-

wa się nieskończona rozmaitość dziejów zapomnianych każdej jaźni ludzkiej.

Każda jaźń wcielała się w ciągu miljonów lat w wielu rozmaitych kształtach, a kolej tych kształtów nie jest jakiemś bezwzględnem prawem przepisana, lecz zależna od najgłębszej istoty owej jaźni.

Także kolej form przodków, od których pochodzi człowiek, nie jest dla wszystkich ludzi jednakowa. Jedni np. mogli mieć wśród swych przodków takie gatunki, jakich inni wcale nie mieli. Temi różnemi drogami jaźnie twórcze ziemi dążyły do form człowieka, a inne jaźnie znów wydały wysoce zorganizowane społeczeństwo mrówek lub pszczół.

Z tego widać, że Słowacki otwiera nam szersze horyzonty, niż Darwin, i więcej miejsca zostawia wolnej twórczej woli ducha, mniej znaczenia przyznając zewnętrznym materjalnym warunkom.

Różnica poglądów Darwina i Słowackiego jest zasadnicza. Darwin baczy na cechy zewnętrzne i szuka zewnętrznych przyczyn powodujących zmiany. Dobór naturalny to jest połączenie podobnych do siebie rodziców, przekazujących potomstwu to, co mają wspólnego. Walka o byt to mechaniczne usuwanie jednostek, które są pewnych cech pozbawione. Cechy pewne utrzymują się i przekazują się potomstwu dlatego, że okazały się pożytecznemi w zewnętrznych starciach z współzawodnikami lub w zdobywaniu jednostek płci drugiej.

Niema tu mowy o zmianach duchowych, nagłych, przedsięwziętych przez jaźnie. I owszem u Darwina duchowość się rozwija pod wpływem zewnętrznych materjalnych warunków. U Słowackiego zaś duchowość jest naczelnem źródłem wszelkich zmian w zewnętrznych materjalnych warunkach i kształtach. Genezis Darwina jest to genezis z ciała, zaś genezis Słowackiego jest to genezis z Ducha. Dzieło pod tym tytułem napisane „przy uśpieniu władz rozumu“ Słowacki uważał za najważniejsze z pośród dzieł swoich.

Każda jednostka ludzka w oczach Słowackiego ma za sobą miljony przygotowujących jej obecny stan i uzdolnienie, zapomnianych chwilowo doświadczeń. Na to, czem jest dany człowiek, składa się nietylko cała kolej przodków jego, idąca wstecz ku pierwszym początkom organicznego życia na ziemi, kolej różnorodna dla różnych ludzi,—lecz także, co ważniejsza, na ten stan obecny składają się doświadczenia tej jaźni w różnych ciałach, a kolej wcieleń niekoniecznie odpowiada tej kolei form, którą wykazuje łańcuch przodków.

Pomimo tego tak olbrzymiego dziedzictwa ze strony ciała i tej ukrytej pamięci ducha, każda jaźń w każdem ciele ma dziś więcej niż kiedykolwiek twórczą wolę i może w każdej chwili gorącą modlitwą i tęsknotą swą wyprosić u Boga nową przemianę, nowe otwarcie nowych dróg, pozostając jeszcze docześnie w starej formie ciała, lecz przygotowując się do wcielenia w formę przemianie duchowej odpowiadającą. Duch buduje ciało, wcielenie ducha jednak zależy od warunków ciała, jakie u rodziców znajduje.

Więc dzieje ciał u Słowackiego nie zależą, jak u Darwina, od zewnętrznych warunków jedynie, lecz są naogół wyrazem dziejów twórczego ducha, i dlatego u Słowackiego w istocie psychologja wyprzedza biologję—nie można zupełnie zrozumieć jego biologji bez pojęcia jego psychologji.

Poglądy Słowackiego znajdują nieoczekiwane potwierdzenie w najnowszem dziele najznakomitszego myśliciela Francji, Henryka Bergsona, który wykłada filozofję w Collége de France w Paryżu.

Bergson pochodzi z polskich Żydów, a choć Słowackiego nie zna, to jednak, gdy czytamy jego gieńjalne dzieło, doznajemy wrażenia, jakby on od swych przodków w jakiś dziwny nieświadomy sposób coś z polskiego ducha zaczerpnął, z tego samego ducha, którym ożywieni byli przodkowie Słowackiego, a którego sam Słowacki był najśmielszym wyrazicielem.

W dziele swem niedawnem „Évolution créatrice“ Henri Bergson jasno wykazuje, o ile przyczynowość, a nawet celowość—nie wystarczają dla pojęcia rozwoju wszechświata.

Trzeba jeszcze poza tem i ponad tem siły twórczej, Bożej, która nie według jakiegoś ułożonego z góry planu i do postawionego z góry celu świat prowadzi, lecz jest w ciągłym związku z żywemi twórczemi jaźniami i odpowiada ich potrzebom lub aspiracjom, daje im natchnienia, żyje życiem całości Bytu w niezliczonych jego przejawach.

Nowe formy się zjawiają, nie jako środki, do celu wiodące, nie jako skutki pewnych przyczyn, lecz jako należące do harmonji twórczej całego życia, którego są częściowymi objawami.

W tej całości życia działa każda jaźń ludzka i każda jaźń najniższa nawet zawsze w związku tajemniczym z jaźnią najwyższą. Twórczość jest życiem świata, ciągłym nieustannym cudem, przekraczającym istniejące przyczyny, nie prowadzącym do jednego jakiegoś określonego celu, gdyż w każdej chwili życia wszechświata zawarty już jest cel, sobie zupełnie wystarczający.

Widzimy tu Bergsona jakby natchnionego duchem Słowackiego, gdy roztacza przed umysłem ludzkości horyzonty, wobec których walka o byt i dobór naturalny są całkiem drugorzędnymi incydentami.

Trzeba wielokrotnie przeczytać Bergsona i późniejsze dzieła Słowackiego, by zdać sobie sprawę jasno, jak dalece ten potomek polskich Żydów jest blizkim duchowo potomka polskich rycerzy.

Intuicja wieszcza nieraz wyprzedza mozolną pracę rozumową, sprawdzającą hypotezy nagle w jasnowidzeniu ducha ujrzane. Sprawdzenie hypotez Słowackiego wymaga olbrzymiej pracy, zarówno w kierunku badania przeszłości ziemi, jak i w kierunku doświadczeń nad możliwą przyszłością organizmów.

Potrzeba tu na wielką skalę podjętych prób, w rodzaju tych, które znakomity ogrodnik Burbank dokonywa w Kalifornji, w celu przekształcenia odmian i gatunków. Ale Burbank opiera się na doborze naturalnym wyłącznie, przy usunięciu walki o byt przez opiekę, jaką umiłowanym przez siebie roślinom daje.

Polski zaś przyrodnik, co by chciał sprawdzić poglądy Słowackiego, musiałby i dobór naturalny wykluczyć, a śmiało działać duchem i modlitwą na jaźnie roślin lub zwierząt, któreby hodował, aby w nich wywołać owe cudowne i nagłe przemiany duchowe, o których Djotima Sokratesowi opowiada w Biesiadzie Platona w tych magicznych wyrazach: *exajfnes katopsetai* (Symposion 210 E: „nagle ujrzy“).

Mowa tu o przemianie duchowej, od której zależeć będą niezliczone przemiany materjalne. Jeśli materja wyrazem jest ducha, nie zaś duch wykwitem materji, to przemiany materjalne mogą być wywoływane przez wpływy duchowe, bez żadnego udziału wpływów doboru lub walki o byt.

Dla polskiego Burbanka nie te jednostki wzbudzałyby najżywszą nadzieję, że staną się punktem wyjścia nowego gatunku, które w walce o byt pozyskałyby pierwszeństwo lub w doborze naturalnym najwięcej byłyby ponętne dla odpowiednich jednostek płci drugiej. Takie dobrze zrównoważone, silne, materjalnie żywotne jednostki co najwyżej służyłyby dla wytwarzania odmian, ale niezdolne byłyby powołać do życia nowej formy, bo zbyt im dobrze w posiadanym kształcie.

My byśmy natomiast zwrócili główną uwagę na jednostki, pod względem fizycznym upośledzone, niezrównoważone, na wyższych szczeblach organizacji nerwowe, a tem bardziej tęskniące do wyższej formy, że niezadowolone z posiadanej.

Usuwając dla eksperymentu czynniki materjalne, które w normalnym biegu rzeczy pewien wpływ wywierają, moglibyśmy wprowadzić to, co na wyższym szczeblu

już świadomej ludzkości znane jest, jako umartwienie i post. Jak ziarno, zagrożone gniciem w wilgotnej roli, kiełkuje i wydobywa z siebie nową roślinę, tak gatunek, postawiony w najtrudniejszych fizycznych warunkach, mógłby właśnie dzięki temu stać się więcej przystępnem polem dla wpływów duchowych.

Te wpływy duchowe mogłyby tu być dwojakiego rodzaju — modlitwa o pomoc duchów wyższych i działanie bezpośrednie jaźni ludzkiej na jaźń zwierzęcą lub roślinną.

W obu wypadkach moglibyśmy wpływ doboru i walki o byt zredukować do minimum i w ten sposób okazać wyższość ducha nad materją, o co Słowacki tak usilnie walczył w ostatnich latach swego życia.

Szczegóły podobnych doświadczeń, mających epokową doniosłość dla ludzkości, nie dadzą się opisać z góry, gdyż eksperymentator miałby całkiem inną metodę, niż ewolucjoniści typu Darwina. Inne też motywy kierowałyby temi doświadczeniami. Tu nie chodziłoby już jedynie o chęć przyrodniczej wiedzy—ale o udowodnienie doświadczalne dogmatu religijnego, jakim jest dla Słowackiego twierdzenie, że „wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, a nic dla cielesnego celu nie istnieje".

Więc ktoby na tej drodze Boga szukać chciał, ten doświadczenia swe poddać by musiał też natchnieniu Bożemu i zapewnić sobie pomoc ludzi gorliwej wiary, pragnących ostatecznego zwycięztwa wiedzy z ducha idącej nad materjalistyczną sofisterją wśród ludzkości. Warto przedsięwziąść taki trud, aby się wyzwolić z ciasnego determinizmu, jaki zwykle cechuje darwinistów, aby zdobyć uzasadnienie rozumowe dla tych pewników twórczości woli, które nam wieszcz w swych jasnowidzeniach objawił.

Darwina dzieła pozostaną na zawsze skarbnicą doświadczeń i spostrzeżeń, a jego główną zasługą będzie to, że w wieku materjistycznym znalazł przekonywające,

choć nie wystarczające argumenty materjalistyczne na poparcie teorji transformizmu, która wcale materjalistyczną nie jest. Bez Darwina dotąd transformizm nie byłby powszechnie znanym; a powszechne jego uznanie potrzebne było ludzkości dla ważnych zdobyczy w rozwoju nietylko nauk przyrodniczych, lecz także nauk społecznych a nawet teologji, o ile nam transformizm ułatwia głębsze pojęcie Boga.

Darwin potężnie oddziałał na cały nowoczesny pogląd na świat i rozpowszechnił transformizm, jak tego nie mógł uczynić ani Lamarck, ani Słowacki.

Ale jego teorja walki o byt i doboru to są tylko czasowe rusztowania dla budowy wielkiego i wspaniałego gmachu zrozumienia przeszłości życia na ziemi i jego dalszych przeznaczeń.

Gdy gmach zostanie wykończony, rusztowania staną się zbyteczne, a wtedy Słowacki już nie będzie się wydawał jednym z poprzedników Darwina. I owszem Darwin wtedy się wyda przedewszystkiem wielkim popularyzatorem poglądów Lamarcka i Słowackiego.

Nim to nastąpi, polscy zwolennicy Darwina, powinniby poznać dokładniej Słowackiego i obmyśleć sposoby sprawdzenia naczelnej jego biologicznej hypotezy, polegającej na twierdzeniu, że nowy gatunek zjawia się nagle i bez form przejściowych. W doświadczeniach, ku temu wiodących, jeśli mamy iść za przewodem wieszcza, trzeba wprowadzić czynniki już nietylko biologiczne, ale też duchowe, a do tego trzeba nietylko wiedzy, ale też gorącej wiary.

Trzeba śmiałości i wytrwałości i bardzo gorącej wiary, by działać wolą i modlitwą na pewien łańcuch form organicznych, aż się nowe ogniwo w nim pojawi. Trzebaby tu współpracownictwa psychologa religijnego z przyrodnikiem. Tylko takie psychologiczne doświadczenia odpowiadałyby myśli twórczej Słowackiego.

Już pod innymi względami zaczęto poddawać religijne doświadczenia naukowym badaniom, a Willjam Ja-

mes*) z całą ścisłością naukową po raz pierwszy udowodnił, że modlitwa w zakresie potrzeb społecznych człowieka jest skuteczną.

Dopiero przez zastosowanie modlitwy do biologicznych doświadczeń możnaby sprawdzić teorję ewolucji Słowackiego. Niestety, większość tych, co się modlą, nie wierzy w ewolucję, a większość darwinistów zaniedbywa modlitwy.

Trzeba większej wszechstronności, aby nareszcie pojąć, że owa dewotka, przez cały dzień odmawiająca różaniec, wcale nie odznacza się ciasnotą umysłu w porównaniu z przyrodnikiem deterministą, którego paciorkami są wiecznie powtarzane i na opak stosowane hasła *walki o byt, doboru*, lub *suggiestji*.

Tak samo, jak w sferze wpływów zewnętrznych nie wszystko decyduje się przez walkę o byt lub dobór, tak samo też w sferze wpływów duchowych suggiestja nie jest bynajmniej wystarczającem wytłomaczeniem dla wszystkiego, co między duchami zachodzi.

Przez suggiestję rozumiemy narzucenie woli silniejszej jaźni wobec jaźni słabszej. Lecz siła istotna nie potrzebuje być zaborczą i może być użyta na to, by słabszą jaźń w jej istotnych dążeniach poprzeć, nic jej nie narzucając, by ją wyzwolić z ograniczeń, które jej rozwój hamują. Modlitwa też nie jest suggiestją ani też autosuggiestją, tylko właśnie czerpaniem sił z jaźni wyższej dla dążeń jaźni, znajdującej się na niższym szczeblu rozwoju. W każdej jaźni, na każdym szczeblu rozwoju, tkwi twórcza potęga, która może być wyzwolona — i to jest istotne znaczenie ewangielji Słowackiego, tej świętej wiedzy Narodu, „iż wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, a nic dla cielesnego celu nie istnieje“.

---

*) W dziele „Varieties of religions experience“, tłómaczonem na francuzki język pod tytułem: „L'expérience religieuse“.

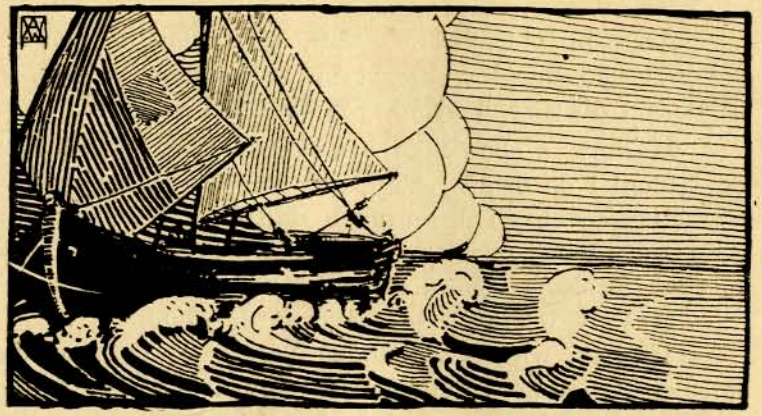

TADEUSZ MICIŃSKI.

NIETOTA.

POWIEŚĆ Z TAJEMNEJ KSIĘGI TATR.

(Dokończenie).

XI. Kluczenie w ciemnościach.

W Księdze nizin życia ludzkiego tajemniczym kluczem, który wszystko rozwiera: samotność Kaina, czy Wieczerzę Ostatnią, jest, jak wiadomo — owo kraśne jabłko Wiecznej biodrochwiejnej Hewy.

W Nietocie — zali mamy wybierać punkt widzenia podobny — będący bezwątpienia odblaskiem gyneceów zachodnich?

Jak bryzg wody, padający na rozpalone do białości jezioro ze stali w hucie — nim doleci, rozdmuchnie się w najcieńszy pył — tak w Arjamanie materjału już nie było na minstrela.

Arjaman, w kosmicznej Miłości idąc, podobny bogu indyjskiemu o tysiącu rąk, który symbolizuje życie lasu i życie pustelników, i życie tygrysa i życie fali, i życie promienia i życie lodowału —

Arjaman niepokalany, choć zanurzony w namiętnej miłości, nie był zwykłym aberratem, wybierając za Sezam dla swych życiowych skał Zolimę.

Musimy z obowiązku kronikarza znów zalecieć aż do Ładogi i do owego czasu, gdy aeroplan zniknął z oczu ostrzeliwających go fortecznych sołdatów — podczas gdy Arjaman, płynąc nurkiem z siłą morsa, rządził się w absolutnych mrokach jeziora tylko instynktem kierunku.

Musimy wszystko zobaczyć aż do głębi.

Musimy więc i zrozumieć nareszcie, co zachodzi między Mangrem i Zolimą tam w nadziemskich wyżynach.

— Zolimo,—rzekł spokojnie baron de Mangro—cieszy mnie, iż zrozumiałaś to prawo życia: nie trzeba nigdy poniżać się aż do tych, którzy mają bezczelność być niezależnymi od Wielkiej Kultury bogactw i użycia. Mimoto, najlepszy most, po którym się dochodzi na wszystkie brzegi, jest most z ludzi serca.

— Wyglądasz jak Apollo,—odrzekła Zolima,—lecz umiesz być zimnym, jak Szajłok.

Wykazujesz swą praktyczną mądrość, a ukrywasz drogi przebyte, które ci dały tę pająkową wiedzę życia.

Powiedz mi, kto ty jesteś?

Gdy buduję na twych napomknieniach, pochodzisz z rodziny cesarskiej Habsburgów, lecz z matki Polki emigrantki, bywasz teraz na dworach królów, dokąd cię pociąga tradycja krwi.

Wprawdzie ktoś twierdził, że widział cię, jako policjanta, lat temu dziesięć w tumulcie ulicznym?

— Opowiadali ci jeszcze moi sykofanci, że posiadam za sobą okres kolonji karnych?

Kim jestem, sama siebie zapytaj! — rzekł z cichą szlachetną prostotą de Mangro.

Jestem gieńjuszem, który nie ma pokrewieństwa, po-

nieważ nie chce się przyznać nawet do rodzin panujących;

jestem zwycięską wolą, która umiałaby się wznieść z warunków nawet więcej, niż ordynarnych. Lecz mię los przed nimi ustrzegł.

Wykształceniem mym kierował pewien starzec w klasztorze koło Glogau.

— Czemuż tak powłóczysz nogą chodząc?

— Jak fetysz mongolski, jak okrutny bożek Batyja i Zoroastra, — rzekł niezbyt silny w historji baron — męczysz mnie.

Gdybyś mogła, przytroczyłabyś mnie do siodła, lub nawet zaparzała pod siodłem, na sposób kałmucki.

Lecz otóż ja daję ci dowód, że kocham w tobie właśnie twą tradycję pustyni Szamo.

Niegdyś horda — potem zginacie królów przed waszem strzemieniem.

Wytępiliście owoczesną kulturę, z miast zostawały ruiny, karzecie ludy za jakiś tajemniczy grzech ludzkości!

W tem odnajduję nasze powinowactwo.

Wychodzę z ruchomego, czyli, jak mówili w Egipcie — z wnętrzności małpy. Chcę zaś stać się jedynym i niepodzielnym władcą Polski. Chcę założyć me królestwo szerzej niż Bolesław Kędziorowaty, chcę walczyć o me prawa tężej niż Zygmunt Walezjusz.

Polskę stworzę nowoczesną i silną: „podłą, karczemną, chytrą, pełzającą“—powiedziałby pan Mickiewicz. Ale trawiącą, odpowiadam, zamykając dyskusję.

Wszakże i ten aeroplan nie ja wymyśliłem, lecz ja używam górności jego lotów.

Dla mnie jest narodowym omnibusem.

Korzystając z tego, że egoista książę Hubert potrzebował wstąpić na chwilę do swego pałacu po cygara —

ja wskoczyłem do aeroplanu, który jest jego tajemnicą i wynalazkiem, skoczywszy i nakręciwszy motor zacząłem krzyczeć, że mnie Duch narodu porywa—nie uważa-

łem oczywiście na pięści wyciągnięte Księcia — potem, gdy zniknął daleko, spokojnie zatoczyłem łuk do twego zamku.

I oto jedziemy tout simplement.

I przez te parę dni, które jesteśmy razem, czy nie byłaś dla mnie, jakby wzniosłą Andżeliką dla pustelnika? a mimo to w ogrodach Szacha widzieliśmy kąpiące się dziewy. Zostawiwszy tę ciekawostkę w haremie, razem omówiliśmy ze Szachem eksploatację Irańskich gór na południe od Kaspija.

W świątyni gwebrów kupiłaś te prześliczne ametysty.

Tu na północy pragniesz zbadać fizjograficzne warunki dla rozszerzenia komunikacji wodnej i kanałów między północną Dźwiną a Poniewieżem.

Teraz tę wiadomość podbijemy na giełdzie londyńskiej. Co do mnie, jestem dziś w złototwórczem usposobieniu. Jaki jest dzisiaj dzień?

— Niedziela.

— A, jakież fatalne roztargnienie. Przy tobie tak mi czas ulata, szczęśliwi pieniędzy nie liczą, chciałem rzec, iż dla nich czas nie bywa pieniądzem.

Zolimo, muszę ci się zwierzyć, iż pod postacią współczesnego człowieka kryje się we mnie człowiek głębokiej tradycji. Ja czczę religję i cieszy mnie, iż jesteś głęboko, jeśli nie wierzącą, to w każdym razie praktykującą katoliczką.

— Chcesz oprzeć się na księżach, aby zdobyć wpływy w kraju?

— Zolimo, jesteś przenikliwa!

Jest teraz przedświt. Na 7 rano możemy być w wielkiej kaplicy papieskiej z czarnych marmurów, wyzłoconej gromnicami. Tam przyjmiemy razem Ciało i Krew — —

(Zolima patrzyła szeroko rozwartemi oczyma w głębinę).

— W ekstazie, godnej tych, co powiodą katolicyzm w Polsce, jak uradują się nasze oczy obrazem mistrza

Matejki, obrazem Obrony Wiednia, który to obraz Mistrz złożył za całą Polskę w darze najmędrszemu Ojcu.

Zwycięstwo podobne jest w nas: miłości chrześcijańskiej nad rozbestwieniem rewolucji.

U znajomego mi kardynała w przecudnym parku, ocienionym cyprysami Dorja Pamphili — spożyjemy śniadanie.

W Rzymie bawi też pewien książę z Petersburga, można wiele zrobić przez niego. Wciągnę go do koła Fjołkokrzyżowców — tego cudnego stowarzyszenia, gdzie dozwolone są pociechy bardziej przenikliwe i subtelne, niż grubjaństwo zmysłów.

Gdyby twój ojciec chciał to zrozumieć! gdyby chciał zerwać spółkę górniczą z tym wstrętnym masonem Oleśnickim!

Tego wprawdzie mam już w swoim ręku. Chodzi o to, by mu nie dał pomocy Mużaferid i żeby wszedł ze mną do naszej spółki fabrykantów.

Wtedy stanie się naród niepodzielnym władcą przemysłu na całym obszarze Rosji, nie mówiąc już o Galicji.

Teraz więc powiem jasno, czego spodziewam się po tobie:

ja będę rządził sumieniami w Polsce i ja nadam odpowiedni kierunek energji wytwórczej; ty zaś bądź moją różdżką czarnoksiężą, którą chcę macać w ciemnościach.

Nie znam tak dobrze, jak ty, różnych teorji cywilizowanego świata, choć mogę sobie przyznać, mam o wiele potężniejszy instynkt życia.

A teraz pierwszy punkt naszej intercyzy. Wieniec kobiet, który mnie otacza, zarówno księżniczki krwi, jak przelotne znajomości w Ostendzie i Wiesbaden, petersburskie cyrkówki, jak nasze góralki i rybaczki—te wszystkie będą dla mnie nie istniały, jeśli dziś jeszcze weźmiesz ze mną ślub, za wyrobionym przezemnie w tajemnicy indultem.

W mrokach nocy błyskała nieokreślona mgławica, pod aeroplanem cicho przesuwały się drzewa.

— Tam jest Petersburg, — rzekł w natchnieniu de Mangro.

Wszystkie marzenia swoje można będzie najlepiej urzeczywistnić tam.

Jeśli jesteś znużona, ja mam właśnie wynajęty pałac, gdzie zamierzam utworzyć Międzynarodową Ambasadę.

— Wynieś, baronie, ten kufer z mojemi rzeczami. Nie wyrażam nic, co czuję, tracąc wszystko — w narzeczonym.

— Jakże rad jestem — o pozwól, że ci uścisnę paluszki już tam na ziemi.

Nie lubię w rezultacie tej pozy z Ptaków Arystofanesa. Dobrze upatrzyłaś przystań. Sto kroków za temi drzewami jest elektrycznie oświetlona stacja kolei.

Jestem szczęśliwie na ziemi.

Aeroplan zabierzemy, zwinąwszy go do kufra, gdzie jest jeszcze, o ile się zdaje, dużo wolnego miejsca. Oto postument! —

De Mangro klęknął, pochylając swe plecy, aby Zolima mogła stanąć. Lecz aeroplan wzbił się na wysokość 12 stóp nad ziemię.

Zolima zaśmiała się.

Mangro spojrzał.

Pierścionek narzeczeński wzbił się parabolą i leciał do wody, błysnąwszy jak zatrute ślepie bazyliszka.

W wodzie klupło.

— Co to znaczy?—ryknął Mangro.

— Nie mogę być narzeczoną człowieka, który musi kompromitować się przewozem rewolucyjnej literatury i ładunków.

— Ja?

— W Persji, kiedy pan, baronie de Mangro, szachrował ze szachem — ja mówiłam z ludźmi wolnomyślnymi. Ametysty, które wiozę — darem są dla rewolucji.

Ten kufer proszę elegancko i spokojnie zanieść ku stacji, szczególniej, że właśnie idzie tu żandarm i dwaj dróżnicy.

Kufer ma na wierzchu firmę mód Nicejskich i pachnie fijołkami.

Trzeba go dostarczyć na ulicę, gdzie jest, baronie, pańska Ambasada, domu 15, mieszkania 8.

— Więc ty — Pani jest re — ?

Aeroplan stał się podobny już tylko do żórawia, odlatującego na jesień.

Tu baron zaklął tak, że policja, zakazująca na ulicach izwoszczykom rugat'sia w Moskwie i Petersburgu, musiałaby z wytwornego barona ściągnąć isk...

— Więc ona mnie tylko sobie rozświetlała? czekaj, odechce ci się robić ze mnie przeźroczy do swej latarni.

Mogę obudzić podejrzenia władzy, iż tu bada fortece pewna panienka...

Do licha, któż wie, dokąd poleci? a jeśli w Tatry, ostrzec Muzaferida? Lecz na to kocha mnie zbyt szalenie.

Wszakże uznaje mnie za jedyną Duszę Dostojną w kraju. Nie mówiła mi tego wprost, ja to jej właściwie wmawiałem, lecz czemu nie miałaby o tyle być mądra? Co uczynić z kufrem?

Wątroba mi puchnie na grubość ręki!

Zolimę zaraz po ślubie wezmę w krótki szpagat. To nic, że rzuciła... wiele pierścionków taka przerzuci, nim nareszcie będzie zakładać inny pierścień gdzieindziej. Kufer wyślę via zamek Muzaferida w Tatrach. Dołączę te kości po jakiemś zwierzątku, które tu na polu wyzionęło ducha. Podobne do niemowlęcia.

To będzie figiel. Wszystkie wieszczki wezmą się za głowę — i z pewnością skropią łzami, i będą przebaczać.

To ich potrzeba.

Ba, a jeśli Zolima odemnie żąda dowodu odwagi — i skoro dostarczę kufra tam, ona będzie już czekała na mnie — w tym kufrze zaś jest ślubna szata?

Żandarmi! Trochę odwagi cywilnej — — teraz lękają się aresztować—naszych—t. j. tych — —

Na szczęście szedł tragarz, nie żandarm. Lecz kufra dźwignąć nie mógł. Oddał więc baron tragarzowi pled, kufer zaś niósł sam — jak wiadomo miał siłę niepospolitą, wyćwiczywszy ją przez lat wiele oskardem w kolonjach poprawczych.

Kiedy znalazł się już w pociągu, minąwszy stację i żandarmów, salutujących instynktownie przed tak dostojnie wyglądającym panem, wyczerpany padł i zamknął oczy.

— Taka narzeczona! — myślał...

Teraz kronikarz Turowego Rogu nie wie, za kim iść. Niełatwo jest być opisarzem polskich charakterów, które zawsze się rozlatują w przeciwne kierunki, jak stado kszyków. Gdyby był detektywem, wybrałby bezwątpienia towarzystwo barona.

Sprawdźmy jednak, czy Arjaman, utonąwszy w jeziorze, przestał męczyć swego dziejopisa sytuacjami piekielnemi?

Morozow nie mylił się:

jak wąż umiał Arjaman znikać i być niedosiężnym dla wzroku.

Nurkiem podpłynął pod łódź strażniczą i, trzymając się w zagłębieniu pod sterem, krążył w różnych kierunkach, słuchając rozmowy sołdatów i więziennych dozorców o tem, że trzeba będzie zapuścić sieci i szukać ciała dla doprosu.

Wtem dał się słyszeć na wodzie szum.

W mrokach nocy migał parostatek.

Pielgrzymka z wielu tysięcy osób wraca z monasteru Wałaamskiego na wyspach, objaśnił główny Tiuremszczyk.

Arjaman zrozumiał, że zbliża się ratunek.

Silne zaczerpnięcie powietrza do płuc, wyczekiwanie, aż sołdaci zdjęli nabożnie czapki i czynili kriesty przed świętym monasterskim parostatkiem — —

Arjaman zanurzył się, minął przestrzeń, która oddzielała go od pędzącego parostatku.

Brakło mu powietrza, usłyszał już potężne szumy kół—istna przygrywka młyna śmierci.

Arjaman przerzucił się jeszcze dalej, żeby znaleźć się po drugiej stronie statku.

Parostatek dyszący, straszny, zdał się Lewjatanem; runął nań, falą potężną zalał.

Należało chwycić się dachu, który był nad kołem— i przedewszystkiem nie dać się wciągnąć pod koło, gdzie byłby wessany przez szalony wir i zmiażdżony.

Fala potężnie odpycha.

Dach jest ślizki, okrągły.

Gwałtowny pęd statku rzucił Arjamana na tę okrągłość, wystającą nad wodę.

Krew napływa do gardła.

Parostatek gna.

Niebezpieczeństwo nie zmniejszyło się.

Grozi nie żywioł ślepy, lecz ludzie ślepi i źli.

Zgolone pół głowy aresztanta, w tłumie zaś pobożnych krąży policja...

Jeśli ujrzy kto, trzeba będzie rzucić się znów do wody i nie wypłynąć raczej, niż dać się zawlec do turmy.

Użyta swoboda buchała fugą szału, wydawała się Bogiem.

Nagle głowa w czarnym kłobuku monasterskim przechyliła się za burtę.

— Christos woskriesie—przemówił czerniec.

Arjaman zadziwił się, że Wielkanoc ludzie jeszcze obchodzą, jeszcze wierzą w tę cudną pieśń średniowiecza.

Lecz ścisnął go ból życia, który mu zimne mury Szlisselburga wyłożyły.

— Nieprawda—krzyknął mimowoli.

Milczenie.

— Hej, bracie, tyś zbiegły katorżnik?

— Rycerz jestem, rozumiesz, niewolniku, rycerz.

— Jestem niewolnik Boży. A ty czyj rycerz?

— Swój.

— Hardyś. Opuszczę ci moją rjasę i na niej tu ciebie zaciągnę!

Ubierz się—noc zimna.

Ludzie tu śpią i chrapią.

Ciężki jesteś, niech Bóg zachowa. Myślałem, że nie utrzymam. Teraz chyl się nizko i zaraz się odziewaj. Naród przesądny. Wzięliby cię za Koszczeja bezśmiertnego lub inną potworę wodną.

Wszyscy śpią.

Chłop na nas patrzy.

Położył się znowu, wziął nas za senne majaki.

Arjaman, odziany rjasą z kłobukiem na głowie, stanął obok czerńca, który był w bieliźnie.

— Tyś kto jest i czemu taki ponury, straszny? nie pytam. Bywa ciężko.

Mamy przez noc kącik w kajucie.

Rano kupię ci odzież i bilet.

Wtedy wmieszaj się w tłum.

Więc ty naprawdę nie wierzysz, iż Chrystus, który Łazarza wskrzesił, mógł wskrzesić i siebie? Dziwnyś ty człowiek!—

Arjaman milczał, mimowoli twarz mu się rozrzewniła odblaskiem dawnych wiar.

— Widzisz, jest w tobie iskra.

Nie idźmy spać. Opowiem ci nie o czerńcach, bo wśród nas jest mało cnoty. Ale są w Rosji i słoneczni bracia, rycerze, jak ty chcesz mówić, takiej Świątyni Bożej, jaka jest w XIV rozdziale św. Jana.

Jest pewne Bractwo pod godłem Wzniesienia Krzyża. Magnat rosyjski rzucił ambasadorstwo u króla bawarskiego, wrócił do chat, zaczął dzieci wiejskie nauczać, wychowywać.

I teraz żyjemy wielkiem bractwem.

Jam u nich księdzem.

Żyjemy z Chrystusem, jak z Ojcem naszym.

Myślisz, że u nas ciemnota? jeździmy też zagranicę, znamy Wenecję, Paryż.

Niektórzy byli na uniwersytetach. Mamy poetów między sobą, malarzy. Lecz wszyscy pracują na roli lub w fabrykach.

Głównie dbamy o to, żeby nas Chrystus kochał — i nasz święty Nauczyciel.

U nas wolność, bracie, wolność ogromna, aż do nieba step! — — —

Noc zdawała się Arjamanowi wprost cudowną teraz na wolności!

Newa potężna, pełna świeżych wodospadów z Imatry. Dokoła szmaragdowe wzgórza i lasy ciemne, balsamiczne. Noc srebrna, niebo złocące się mimo północy.

W duszy Arjamana kłębiło się dzikie piekło z mroźnych chmur i ciemności podziemnych, jak w Niflhajmrze.

Czerniec stał opodal i modlił się.

Jego zachwycona, wniebowzięta twarz miała w sobie ten wyraz ze św. Sergjusza, który tak dziwnie oddał Niestierow. Wielka świętość Rosji jarzyła w tych oczach, zapatrzonych w mistyczne dobro.

Arjaman był nieruchomy, lecz ręce boleśnie zaciskał i wykręcał sobie palce, myśląc, że już iść nie może z takimi świętymi ludźmi.

Kiedy Mangro wsiadał, na pociąg idący do Petersburga, Zolima dążyła znowu w kierunku Ładogi.

Wysiadła w kilkanaście minut później nad jeziorem z północnej jego strony, obleciawszy przestrzeń dużą, jak pół Francji. Aeroplan zostawiła w lesie.

Mieszka w tych krajach ludność fińska, Korjeły.

Wobec niedzieli wyjeżdżali łodziami do monasteru św. Wałaama, otoczonego archipelagiem wysp.

Jechali wesoło, nucąc korelskie pieśni.

Wzięli panią, która zapewne wysiadła z pociągu.

Śmignęły wiosła, żagle wydęły się, łodzie jadą.

Przedświt zarubiniał już obłoki, złotem obarczał mgły, w których spoczywało jezioro.

Boskie napięcie wszystkich zmysłów i uczuć.

Zolima myślała o towarzyszach, których spotka.

O tych dziwnych ludziach, przed którymi drżała Rosja.

Przyjadą tu, jako pielgrzymi.

Na jednej z wysp zrobią zebranie, na którem mają sądzić jednego z towarzyszy.

Powieszą go, lub z brauninga...

Zolima była przez długi czas zachodnio-europejską uczoną; wstąpiwszy na drogę rewolucji, szła nią z całą bezwzględnością.

Aeroplan będzie sprawie wolności służył, nim sterroryzuje wszystkich gubernatorów, wszystkie więzienia...

Broń to najstraszliwsza, bo dotąd w jedynem tylko ręku!

Wprawdzie Xiążę Hubert jest właścicielem i wynalazcą, lecz niedarmo jest z nim w przyjaźni, aby nie rozporządzać teraz dziełem jego myśli.

Tak rozumowała.

I były to myśli jasne, przenikliwe, jak druty stalowe opasujące świat.

Baron de Mangro jest materjałem na doskonałego człowieka. Przynajmniej umie chcieć.

Jego też Zolima zużyje do celów Partji.

Łodzie płynęły w rytmicznym chórze wioseł i pieśni, półgłosem śpiewanych.

Nie pytał Zolimy nikt, nie zaglądał jej nikt natarczywie w zadumaną twarz, po której ślizgały się: lazur jeziora i myśli, brzemienne chmurami.

Dlaczegóż opuściła Arjamana?

Miała do niego instynktowną awersję.

Ten król przestrzeni, zamknięty w łupinie orzecha, był dla niej figurą śmieszną; nie znała Zolima straszliwych przemian, które dokonały się w Arjamanie, lecz wystarczało jej — iż to nie był człowiek jej partji, że nie brał udziału w jej wielkim lawn-tennisie.

A wreszcie — z pewnością wyratowałaby go przez zwykły humanizm, ale Zolima miała jedną właściwość:

lękała się nadzwyczajnie huku wystrzałów.

Ujrzawszy z karabinami gotowymi do strzału żołnierzy, zerwała naraz tę nitkę, którą nawiązywało jej dobre współczujące serce dla tonącego.

Huk — — za nic!!

Zresztą, cóż jest Arjaman na świecie — jest, czy go niema — będą się dokonywać rewolucje, będą się toczyły olbrzymie boje miljarderów przeciw miljonom robotników... Z dwuch tych ludzi nieporównanie i szczerzej woli de Mangra, niż Arjamana. Pierwszy przynajmniej należy do europejskiej kultury!

Nagle Zolima zdumiona spojrzała na wodę: zjawisko: lekka mgła, słońce nizko—w kręgu potrójnym tęczy rubinowej, zielonej i szafirowej płynie człowiek samotny na łodzi.

Chrystus!

Błogosławi brunatnym wzgórzom lądów — błogosławi lazurowe wody.

Za nim płyną lilje mgieł.

Lecz On zwraca swą twarz ku Zolimie.

Patrzy surowo. Nie przebacza.

— Nie istniejesz—mówi Zolima, powstając z łodzi— zabili cię dawno Strauss i Harnack — wiemy z każdej stronicy przyrody, iż Ciebie niema.

Lampę Twą i ja zgasiłam.

Walka musi być sroga, okrutna między ludźmi, o ile nie złączą się w stowarzyszenie utylitarne. —

Mówiła, lecz Chrystus nie znikał. Modrem już staje się niebo.

Baśniowy lazur jeziora.

Suną mgły, jak flotylla dawnych witeziów.

Pachną tataraki, którymi usypano łodzie.

Mity z kurhanów północnych, legiendy i byliny słowiańskie —

ach, to nie Chrystus — raczej syn Światowidowy z grozą Majestatu w oczach, ogarniających wszechbyt.

Runy czyta na wodzie... która jest we krwi od tego obłoku w górze.

Runy czyta — — zagładę Słowiańszczyzny...

Runy czyta — — i pogrąża łodzie witeziów...

Dlaczego tak musi być?

I wspominała legiendę z Tatr.... nienawiść Króla Wężów.... nienawiść pogrąża wszystko....

Zolima mówi: nienawiść jest piękną cywilizacyjną siłą. Dzięki niej, idą tłumy proletarjatu; dzięki niej — istnieją bogacze ducha i myśli.

Nagle Chrystus zniknął — na miejscu czarnej postaci pojawia się w tęczy potrójnej wielkie mrowisko pożerającej się ludzkości, mrowisko rozsypuje się, mrówki toną, zczepione ze sobą kleszczami.

I teraz, jak obraz Muncha — widzi kobietę, której włosy zmieniły się w fale Oceanu.

To ona — — — Madonna egoizmu mas: Xiężniczka Meduza...

Łodzie dopływały do wysp — złociły się już wieże cerkwi.

Było gwarno, radośnie. Zolimę powitali dwaj Rosjanie w skromnem odzieniu. Tych znała. Trzeci

wydał się znajomy. Ten wzrost — oczy — drgnęła... czyżby to był Mag Litwor?

I naraz ogarnął ją wstyd.

Wydało jej się tak marne—to sądzenie zdrajcy i to budowanie rewolucyjnej wieży Babel w ciemnościach!...

Żył na poddaszu ze swym znajomym Persem Książę Hubert.

Żyli nad Newą, obok wspaniałej Oranżerji na wyspie Aptecznej.

Książę Hubert roztaczał przed Szejchem obrazy polarnych podróży, gdzie spotkał się z kapitanem Anacharzisem.

Szejch ze wzruszeniem powielekroć odczytywał list Anacharzisa, który mu doręczył książę.

— Widziałem w Islandji pustynię Oda-dakrahùl Bezmiar lawy zagasłej — czarnej... Zachodzi słońce, rzucając krew na te potworne Sodomy i Kainy... Zapadła noc, wulkany jarzą wokół. Myślami memi dzielę się jedynie z tobą, nawet już nie z tą kobietą wybraną!... Wywołałeś mnie z pustyń moich — do Ojczyzny, której już nie kocham. Lecz przybędę na zaklęcie twe, ty ptaku husarniany, przybędę, zanim już marzenie twe dosięgnie niebytu.

Azali ma być walka? nie — zabawa! Zbudujemy okręt Argonautów, zbierzemy tam ludzi—tęgie duchy— i wypłyniemy na pokłon Zorzy. Odkryjemy drogę—duszom we wszystkie bezgranicza!—

Szejch Tebrizi noce białe spędzał z Księciem, błądząc po upiornym Petersburgu, ubrany za Persa, zresztą nie dbając o to, że mógł być odkrytym. Lub czekał świtu na Strielce, zapatrzony w morze—tępy, smutny, niechcący niczego.

W dni słoneczne przesiadywał w ogrodzie Taurydzkim, patrząc na te szmaragdowe koszone łąki, na cieniste jodły i cedry, na blask stawu—niby z ogromnej łzy, i na

pałac Biały, za którego wielkiemi szklanemi ścianami zbierali się przedstawiciele narodów i tworzyli wielki sąd...

Książę Hubert zaciągał nieraz Tebriziego do wnętrza Pałacu, gdzie przysłuchiwali się po dniach całych obradom.

Tebrizi ożywiał się tam, przez dzień cały zajęty dysputami nad pogromem w Białymstoku, nad buntami na Kaukazie, nad wyrokami śmierci w Warszawie.

Wieczorem o 8, kiedy rozchodzili się wszyscy — on jechał parostatkiem po Newie z Księciem w upiornych światłach nocy do Ambasady, którą założył de Mangro.

Baron do polityki nie mieszał się, ale dzięki swym pałacom, kredytowi w bankach zagranicznych i opinji wielkiego gienjusza w przemyśle, uzyskał sobie wpływ. Dla mas szerokich miał urok dziesięciogłowej Bestji.

I wtedy poznał Arjaman, że wszystko, co błyska teraz nadzieją—runąć musi.

Baron de Mangro stał się bożyszczem intelektualnego świata.

Do ludzi wykształconych na agnostycyzmie Hercena, Spencera i Feuerbacha — mówił o powadze religji, jako jedynej, która chłopa, robotnika i nawet inteligiencję utrzyma w warunkach taniego producenta.

I ludzie, wykształceni na agnostycyzmie, patryjoci ogólnie szanowani—przyklaskiwali de Mangrze.

Do księży mówił o władzy Synodu i papieży, jako osi, dokoła której musi organizować się świat, mówił o bankructwie nauki i o tem, że mędrzec jest niczem wobec św. Aloizego Gonzagi; mówił o środkach rozszerzenia dochodów z monasterów i parafji—i trafiał też nienajgorzej.

Do rewolucjonistów (bo i z tymi nawiązał szerokie stosunki) miał język twardy Niszczyciela.

Widywał się z nimi potajemnie, udzielał chętnie dużych sum na tajemnicze zamachy, znał Aziewa i wiedział, że w rewolucji najłatwiej wypływać temu, co siedzi naraz w biurze śledczem i przy drukarni potajemnej.

Z Niemiec przez fabrykantów tamtejszych sprowadzał brauningi w olbrzymiej masie i rozrzucał głodnym strajkującym robotnikom. Wiedział, że dawszy broń wszystkim, z walki uczyni się rozbój.

Fabrykanci niemieccy korzystali ze stagnacji, ze strajków, z walk, nurtujących społeczeństwo w Rosji i w Polsce.

De Mangro olbrzymie tereny gospodarstw swych i kopalń obsadzał żywiołem niemieckim.

Wreszcie zaczął wpływać na opinję Rosjan, aby Królestwo oddali Niemcom, bo mają zadużo z gadzinowem usposobieniem polskiem kłopotu.

Jednocześnie de Mangro tłumił wszelką oświatę zapomocą pism, wydawnictw, zapomocą wzywania środków represyjnych.

Gubił naraz Rosję i Polskę, odsuwając te bratnie narody od jedynego źródła, które mogło je naprawdę zbratać i uzbroić do walki z nawałem toczącej się chmury niemieckiej.

Odsuwał daleko od wielkiej myśli europejskiej, od organizacji mas dla samopomocy kulturalnej.

Szejch Tebrizi znalazł pismo, świstek Rejtanowski, do którego zaczął pisywać. Chodząc do fabryk—zapoznawał się z realnemi potrzebami proletarjatu.

Z Bibljoteki wielkiej Cesarskiej korzystał, poznając świetlane postacie Staszica, Czartoryskiego i ruch odrodzenia Polski przez pogłębioną wiedzę i zahartowane sumienia.

Lecz w kraju budził tylko niesmak i gniew, bijąc w Dzwon domniemanej federacji Wszechsłowiańskiej.

Znaleźli się wkrótce anonimowi denuncjanci u władz.

Wzywany do rządcy miasta mówił spokojnie i otwarcie, że wysiłek do bezwzględnej Prawdy jedynie zdoła usunąć ten głaz, zawalający potworną grotę Polifema, w której żyjemy, pożerani przez potęgę ludożerczą — widmo naszej ciemnoty i wzajemnej nienawiści.

Rządca miasta wzruszył ramionami i nie pytał o pochodzenie u Persa takich idei.

Szejch Tebrizi uznał, że honor bywa w policji, szczególniej kiedy go braknie w sferach honorowanych.

Nie domyślił się, iż wysoki urzędnik wziął go za warjata!

Z księciem widywał się już rzadko.

Zamieszkał gdzieindziej.

Pracował w bibljotece, zwiedzał fabryki, pracując jako robotnik—i przymierał głodem.

Tu z obowiązku Kronikarza wyłożymy namiętne, a oślepłe w ciemnościach myśli Arjamana, których tonu nie pochwaliłby Mag Litwor.

Race płomiennego uczucia wylatywały z wielkich głębin, lecz nie przebyły kuźni realnych przemyśleń nad życiem i Polską.

Tęsknił za Magiem Litworem, za jego duszą, dla której nie tajne już były odległe cele ludzkości.

A rozumował, jak dziki syn Puszczy, pasterz i myśliwy ginących czarnych żubrów.

Fragmenty listów z Północy.

Nudzi mię głupota i egoizm ciężkiej przewalającej się masy, zwanej inteligiencją naszą.

W ich matołkowem na świat spojrzeniu kryje się dziewiąta fala zagłady dla okrętu Polski...

Morze ohydnego szwargotu...

Gdybym był św. Krystyną, wchodziłbym na wierzchołki wież, gór i drzew—aby tylko oddalić się od przemierzłego zapachu ludzi...

Mickiewicza „Kocham za miljony...“ to był inny kraj, zresztą, wtedy żył Bóg w sumieniach. Teraz tu jest pluskiewnik, Polska, oblepiona brunatnym habitem moralnego robactwa, zjadana żywcem...

Niemcy—zgniotą resztę Wenedów polskich, nie zdolną stawić żadnego oporu...

To już nie z epopei litewskiej: głupi, głupi—stare-

go Macieja, co nie uginał się przed Pociejem—lecz: podli, nikczemni, w swych balach, w Świętopietrzach, w swych karcianych popisach, w swem sknerstwie na cele istotnego dobra — w swym porywie do ogarniania władzy nad narodem — a gdy mają władzę, marnują bez myśli! Ambicjusze na krótką metę! gubiący przyszłość — Targowiczanie!

Życzę wam, żeby wulkan wzniósł się piramidą bezmierną: buchał lawą i płomieniem dymiących pogorzelisk tam, gdzie wasze spelunki — —

Życzę, żeby ciężar butów chłopskich i robotniczych pokazał wam, iż siła i egoizm, na który lubicie się powoływać w walce ze słabszymi lub szlachetniejszymi — aby ta siła pokazała się wam wreszcie argumentem, nie tak do cna przekonywającym!

Życzę wam, aby morze Bałtyckie napłynęło ku górom Tatr.

Wy, nie czujący już morza, nie widzący go nigdy, drwiący z tych, którzy pod Tatrami słyszą jego szalejące łoskoty —

niechaj was morze uświęci, kryjąc moczar ohydny waszych kiepskich geszeftów, moczar, gdzie niema już czci, niema już instynktu dla Prawd.

Wiry Oceanu powietrznego, czy zapomniałyście już waszych szturmów?

— — — — — — — — — — — —

Miłości moja, słońce me, Polsko! w co obróciłaś się, w jakąż Gehennę smutną i beznadziejną?

Idę —

tam, gdzie Morze dziko pluszcze —

łkam — a może tylko w burzy śmieję się — i na piorunach gram? —

Książę Hubert po niewidzeniu miesięcznem ledwo mógł poznać Tebriziego.

Zawsze podobny do wodza Huronów, teraz z swymi

długimi włosami, ze zczerniałą twarzą, gorączkującemi oczyma — stał się podobnym do Margiera, kiedy z Litwinami idzie na stos, nie chcąc się poddać Krzyżakom.

Książę Hubert, jak Demon, widzący tylko zło, nie lubiący ukazywać stron jasnych, wysiłków i myśli obywatelskiej, dokładając drzewa do wulkanu, rzekł:

Dziwiłeś się, że tu powstała w Petersburgu Międzynarodowa Ambasada, t. j. że de Mangro wydaje krocie tysięcy na przyjęcia dla reakcjonistów?

Nie zdziwisz się, jeśli poznasz tę rzecz u źródła.

Będziesz znów bliżej Tatr...

I może to cię zachęci, dziś bowiem już bezwarunkowo w nocy przyjdą po ciebie...

Nie uda mi się już żadną miarą powstrzymać nad tobą potopu—oraz trwałego zamknięcia w Arce...

Nawet nie będziemy mogli do kraju wprost wyjechać—dworzec Warszawski strzeżony.

Wyjedziem w inną stronę —

— — — — — — — — — — —

W złotym porankowym lesie, nad jednym z tych przecudnych jezior witebskich, zatrzymał się powóz. Książę był znajomym właścicielki majątku, pięknej jeszcze kobiety, która właśnie ubierała się i szła do obory ujrzeć nowonarodzone cielęta. Gromadka Łotyszów otaczała ją, rozmawiając ze swą Jeziorną Panią.

Weszli po przywitaniu do jadalni, skąd widok na jezioro wśród lasów; dom zdał się unosić, jak statek na bezmiarach wód Amazonki.

W jadalni wisiał obraz, przedstawiający zmarłego starca, który przelatuje nad Tatrami.

W wazonie szklanym płomieniały kwiaty, wonne nasturcje różnych odcieni, tworzące razem jakby palący się krzew.

Usłyszawszy historję Tebriziego, Pani wyciągnęła do niego ręce tak serdecznie, jak tylko czasem Polki na kresach umieją to jeszcze uczynić.

Pierwszy raz od czasów wyjścia z murów nad Ładogą, Arjaman uczuł uspokojenie i niemal szczęście.

Otaczał ich przecudny modry błękit cichego, wśród puszcz, jeziora; spożywali śniadanie. Wkrótce potem Pani Jeziora poszła do swych zajęć, dwaj panowie mieli iść wypocząć. Arjaman nie mógł zasnąć, czytał o dawnych w Polsce bractwach masońskich, wydobywszy parę książek ze szafy.

Śniły mu się wkrótce te korowody, idące w podziemiach, robotnicy mistyczni, niosący żagwie i szpady...

Między nimi Łukasiński, mędrzec łagodny i nieposzlakowanej prawości—między nimi też szpiedzy, dostojnicy polscy!! Łukasiński, zapomniany w czasie Dni Wolnościowych w Warszawie!! przybity łańcuchem do armaty, wleczony nad Ładogę — —

Po latach 50 — Starzec obłąkany, a zawsze głęboko czujący to, co może Polskę zbawić — pisał pamiętnik, pełen wzruszających napomnień...

Arjaman zerwał się ze snu, uderzył głową o ścianę i krzyknął nieprzytomny z psychicznego bólu:

— Co ja czynię, co ja czynię z moją duszą? — Był to głos Jaźni, ostrzegający Arjamana, że błądzi i zginąć może w Ciemnościach. Cóż bowiem go wiodło teraz przez życie, jeśli nie słup ognistej nienawiści?

Wieczorem żegnali przecudne brzozowe lasy, ten kościołek litewski, zamknięty na zawsze, gdzie tylko duchy umarłych z cmentarza odprawiają mszę — —

Kto wie, może nieco żalu w Księciu utaiło się i dokoła złotych włosów Pani Jeziora?

Znów pociągi błyskawiczne niosły ich ku Tatrom. Arjaman nigdy słowa nie przemówił z Księciem o Zolimie. Jakież więc było jego tajone wzruszenie, gdy książę rzekł mu:

— Powiem coś, co obejdzie cię mocno...

Zolima jest w Turowym Rogu.

Czy pojedziemy tam wprost? —

Bladość pokryła twarz Arjamana.

— Dawniej bym rzekł: Idźmy ku Termopilom!

— Niestety, przypomni nam to raczej ową u Wiktora Hugo w Miserables wędrówkę przez kanały pod Paryżem...

Trzeba mieć nietylko straszliwie odporne płuca na ten swąd i czad...

Trzeba się nie bać, iż nagle ręka z ciemności wsadzi aż po rękojeść żelazny hak, że banda szczurów rozwścieklona za to, iż miesza się im spoczynek i strawę, rzuci się na nas... t. j. na ciebie.

Ja jestem z tych, którzy nie podlegają krytyce... kryję się za mym herbem, za mymi w Banku Angielskim miljonami—i za mą obojętnością na uczucia moralne.

Patrzę na kraj mój, jak na moczar, gdzie chętnie idę polować bekasy.

Nie wzruszam się tem, że jakiś ideał zapadł do bagna.

Mówię z „Mefistem“: jest Polska czem jest, ot, rachunek ścisły... Dla mnie istnieją światy niższe, lecz stokroć ważniejsze... Tak, teraz lub nigdy muszę to osiągnąć.

Xiążę Hubert wyglądał straszliwie, mówiąc to. O, jakże oni wszyscy ginęli w ciemnościach! Mangro, mający na sobie odwieczne góry win —Karmę z innych wcieleń, X. Hubert ze świty niegdyś Lucifera, Arjaman i Zolima—z rodu błądzących Dzieci Bożych...

Przejeżdżali właśnie pociągiem wśród lasów poleskich, wilgotne opary zakrywały srebrzystemi zasłonami w księżycu świątynie prastarych dębów.

Gdyby Arjaman nie był teraz mrocznem morzem, gdzie wirowały Malsztremy, uczułby na sobie wzrok tych dobrych wieszczych istot, które tu żyją w lasach i zwą się bogunkami.

Słowiki śpiewały tak cudnie! chciało się wierzyć, iż można być jeszcze szczęśliwym—należy tylko nie wchodzić w te piekła podziemne życia polskiego, w tę grozę

zamczyska Królewny, która zapadła w letarg od jednego ukłucia wrzecionem w nieszczęsne serce, zakochane w tem, co nie istnieje.

— — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —*)

XVIII. Prawdziwa historja Chochołowa.

Była dolina przerażająco pusta. Niegdyś tam wznosił się zamek jakiegoś króla legiendarnego, zbudowany z olbrzymich ciosów. Runął po wielu wiekach. Została jedynie baszta lub raczej bok niebosiężnego terenu z ogromnemi oknami w górze pod rząd. Skała zamku prostopadle wznosiła się nad doliną.

W dali, za pierścieniem stromych turni i krzesanic, było morze, dalekie lasy, wierzchołki gór.

Lecz dolina sama była miejscem martwem. Wielkie bory niegdyś tu zarastały. Ale spłonęły, ubite piorunem. I teraz tu i owdzie sterczały tylko czarne szubienice pni zwęglonych.

Tu, na tę górę, gdzie stała wieża, schronił się Arjaman.

Było mu już zupełnie źle.

Nie nęciły go ani gwiazdy, ani morza.

Obojętny był na miłość i na wszystkie nieszczęścia. Zerwawszy w sposób tak straszny z Turowym Rogiem, miał wrażenie, iż wydarł Polskę z korzeniami ze serca swego.

Przyszedł tu na tę Wieżę Popiołów, bo mu sprawiało smętną pociechę, że z wierzchołka wieży nie było widać nic — prócz popiołów w dolinie i stromych ścian.

---

*) Kilka rozdziałów przepuszczonych.

I było to jakby wymyślne więzienie dla tego, kto wyszedł z więzienia i szukał sobie zamknięcia straszniejszego, jak furjat, co chce zniszczyć świat.

Przemierzłą była ta dolina—jak dłoń trupa z wzniesionymi zczerniałymi palcami, lub jak dno czaszki gigantycznej. W oczodołach jej świeciło niebo, ale wydawało się stąd również smutne i bez treści.

Bardziej wyklętą od tej doliny była dusza Arjamana. Wiedział, że tam na świecie jest wiosna, że drzewa są w świętych weselnych szatach oblubienic, że latają motyle, że tam dźwięczy muzyka -- Bethowen z okien zamku Zolimy.

Nie szedł tam i nie tęsknił.

I rad był jedynie temu, iż tu, w tej Wieży Popiołów, radować się nie było czem!

Żaden szmer nie sprawił miłego roztargnienia.

Maleńki ściek nasączał do patery kamiennej zaledwo tyle wody, ile pustelnik mógł potrzebować do obmycia swego ciała i do ugaszenia pragnienia.

Dnie tu zdawały się być paciorkami nieskończonego różańca.

Słońce, wychodząc z za fortecy skał, prażyło warjackim, niemym blaskiem.

Świeciło prostopadle, jak w studnię Sienejską w Egipcie, która była pono cudem budowniczym, cudem, na który złożyły się astrologja i wiara w nieśmiertelność.

Tu jednak słońce i śmierć wzięły się za ręce, tworząc łańcuch dni oślepiających, zadusznych, bez tęsknot, pustynię—która wypalała w człowieku wszystko, co było roślinką wiary, miłości i nadziei —

obniżając zaś demoniczny olbrzymi posąg tego wyższego Ja —

tego Wędrowca Pustyń.

Żył Arjaman, spożywając dziennie kilka ziarn zboża palonego, które tu przyniósł w woreczku.

Potem — co będzie, nie obchodziło go.

Nocami nie sypiał.

Zapadł w jakiś lunatyczny trans, widma rozmawiały z nim i kamienie, raz przyszła do niego Wieszczka tej miejscowości szara—z fijoletowemi naparstnicami w ręce, i te trujące kwiaty położyła na czoło półśniącego Arjamana, zrobiła dziwne znaki w powietrzu i znikła.

Arjaman, widząc, iż kwiaty były takie, jakie tu nie kwitły, gdyż nie kwitło tu nic —

nie zdziwił się tem ofiarowaniem mu przez ducha możności wyjścia z doliny.

Zapewne dość było wyssać parę kwiatów, aby sen jego stał się kamiennym na wieki.

Nie obchodziło tego człowieka, co będzie za tym kresem, który się zowie śmiercią —

nie obchodziło go, czy są duchy, czy jest tam odwieczna sprawiedliwość, czy odbywa się Karma, t. j. konsekwencja dobrych i złych uczynków.

Wieszczka lituje się? nie trzeba litości.

Kwiaty wrzucił do studni głębokiej, przywalił gruzem i wrzucił jeszcze tam żyjącą jaszczurkę.

I śmiał się.

Nie było nic ludzkiego już w jego śmiechu.

Jedyna rzecz, która przy nim pozostała — był to Cień.

Nie ten od własnego ciała, albo od rozpalonego z jednej strony muru.

Jakiś Cień.

Wszystkiego—cień wszechżycia.

Najlepiej określić—cień Widma, które wraca z cmentarza po własnym pogrzebie.

Nocami było mu zimno, lecz nie szukał przyodziewku. Zresztą nie znalazłby go tu.

Dniem paliło go słońce—w obnażoną głowę—w otwarte źrenice.

Mijało nieraz kilka dni i kilka nocy, on nie wstawał, by zjeść parę ziaren zboża.

Nie chłodził ust, które spiekły się, jak liście bruatne jesienią.

Zrobił się chudy i raz, dotknąwszy się pleców — miał wrażenie, że tam legł na nim kościsty wąż.

To był jego własny kręgosłup.

Nocą nie szumiał mu bór. A jednak straszliwe potwory przychodziły tu na pustynię.

Z innych planet, z innych ustrojów magicznych Bytu.

Trzymały nad nim skrzydła rozpostarte i jednem okiem świdrowały go, jakby koniecznie chciały przez jego duszę wykopać Artezyjską studnię w głębiny piekła.

Obojętne było to wszystko Arjamanowi — nie dawał temu więcej uwagi, niż swym włosom, które wypadły — niż swym oczom, które płynęły łzami — potem zeszkliły się w jakąś nieprzejrzystą tajemniczość grobu—jakgdyby tam był grobowiec Seti, wielkiego faraona — grobowiec z czarnego kryształu, mumja także z czarnego kryształu, światło lampy wiecznej, też obwiedzione czarnym kryształem.

Nie była to śmierć, ale pogarda najgłębsza śmierci.

Nie było to życie, lecz pogarda najgłębsza życia.

Nie obchodziło Arjamana już wcale Potępienie, ani Zbawienie.

Piekła smutniejszego już być nie może, Zbawienia bardziej ostatecznego już być nie może.

Wszystko zważone, wszystko już odstąpione — i niczego osiągnąć już nie pragnął.

Nie była to śmierć woli, jeno jej doskonałe utajenie.

Gdyby ją przyzwać skinieniem palca —

wbiegłaby straszliwa z mirjadą armji, mającej gwiazdy za tarcze —

i zburzyłaby ściany tych gór —

podjęłaby całą Wieżę Popiołów i uniosłaby na niej Arjamana, jak Aladyna na dywanie samolocie.

Arjaman giestu nie wykonał — Wola czaiła się tam daleko za fortecami tych skał, a potem poszła w jakąś wędrówkę i nie wróciła zupełnie.

Arjaman zwiedzał myślą jakieś odległe cmentarze.

Tam, gdzie nie grzebią umarłych, gdzie psy zjadają —

przed choremi żebraczkami siedzą, cierpliwie czekając.

Rozpoczynają czasem ucztę za wcześnie.

Zima tam, żebraczki wojłokiem okryte marzną, okryte ranami i nieczystością.

Mag Litwor opowiadał kiedyś swą wędrówkę po Mongolji — opisywał pustynię Gobi, podniesioną na 4,000 stóp, w środku której jest wgłębienie na 2,000 stóp.

Przebył ją całą aż do Himalajów — dziką, przerażającą, koło jeziora Łob-Nor.

Zuchwałe kruki nadlatują.

Podobne do kruków mongolskich, które przegryzają garb wielbłądowi żywcem, a głupie zwierzę tylko jęczy i pluje w bezsilnej męczarni. Te kruki tatrzańskie rzucają się całem stadem na kozicę i rozszarpują, jeśli nie ucieknie w gąszcz lasu.

Kruki usadowiły się tuż. Otoczyły wieńcem Arjamana. Jeden dziobnął potężnie w palec u nogi.

Nagle odleciały, jakby je kto ukropem chlusnął. Rozległ się świst powietrza—niby meteor zleciał śnieżny sęp. Usiadł na skale.

Przyglądał się człowiekowi długo, podbiegł kilka kroków, chciał się rozpędzić do wbicia dzioba pod czaszkę w oczy —

albo raczej w brzuch, bo sępy zawsze rozpoczynają od wyrwania wnętrzności —

i połykając je, tłumią na razie swój wiecznie nienasycony głód.

Sęp musiał przylecieć z lodowców. Z niedalekich tuż za ścianą skalistą.

Sęp nie odważał się jeszcze napocząć żyjącego.

Poderwał się do lotu, nizko o kilka kroków przeleciał nad pół leżącym Arjamanem—wiatrem go swych skrzydeł owionął, strasznemi, czarnemi z krwawą kulą źreniczną oczy-

ma przyjrzał się pół-przymkniętym oczom i złowieszczemu uśmiechowi Arjamana—wzniósł się w górę—i w kilka sekund zniknął.

Arjaman nie uśmiechał się jednak złośliwie — to usta już dawniej, kilkanaście epok temu, ułożyły się tak same.

Może to był uśmiech wykutego w skale faraona Seti, który patrzył co ranka na małpy kinokefale, wyjące do wschodzącego słońca.

Arjaman nie wiedział, co się dzieje dokoła niego.

Patrzył z pod przymkniętych żaluzji swych oczu na ściany gór — myślał, iż te skały przynieśli ludzie rękami, przynieśli zdaleka, wiele pokoleń umarło, nim ta ściana dźwignęła się aż po niebo, aż tak wysoko, że tylko kruki odważą się przelatywać i sęp w tę studnię tu raczy runąć z powietrznych oceanów.

Jednej nocy gwiazdy świeciły jasno, jak w wielkiej sali zapalone kandelabry. Arjaman stąpał zwolna dokoła swej Wieży Popiołów i, rzuciwszy kamyczek w głąb, zmierzył z ilości sekund jego spadania, iż wysokość była pięćdziesiąt łokiet, jakby rzekł ks. Wujek, tłomacz Biblji.

Jakby kropla dżdżu zwiastująca burzę, tak zrosiła kropla woli skamieniałą duszę Arjamana.

Jakby potok wezbrany wśród tropikalnego dżdżu, runął w wąwóz leśny i porywać jął ciężkie głazy ze sobą — tak dzika szalona wola jęła szumieć w pustym wymarłym lesie jestestwa Arjamanowego.

I zapragnął widzieć Króla Wężów — zapragnął mówić z nim o tem, jaki jest testament Boga, który umarł.

Wola człowieka była przemożna, druzgocząca.

Kiedy poruszył skrzydłem najmniejszem, głaz, 16 stóp liczący, wzniósł się w powietrze i tam wysoko trwał; kiedy kolumnę woli wyniósł z pod niego Arjaman, głaz runął, wpadszy w kupkę popiołu i tworząc wybuch całej chmury, jakby poderwał ziemią nabój melinitu.

Poruszył Arjaman skrzydłami wszystkiemi, których miał sześć (widział je i zliczył, jak dobro przedwieczne, do którego wrócił), tedy uczuł, iż może żądać najwyższego, a będzie mu dano — gwałtowność jego nie cofnie się przed szturmem jaskini Króla Wężów.

Tej nocy, Arjaman wyszedł z doliny popiołów.

Zaprawdę iść musiał, bo nie miał skrzydeł innych nad odwagę i górność myśli swej —

stopy jego więzły w popiele, nogi, odwykłe od chodzenia, uginały się, kiedy wdrapywał się po stromych skałach.

Wiódł go jasnowidzący instynkt —

i ukazał, że teraz dojdzie do jaskini Króla Wężów, czyli Króla Wtajemniczonych.

Po drodze spotykał różne mary, z których najłagodniejsza była obłędem, a najpiękniejsza runięciem głową w dół z wysokości kilkunastu katedr jedna nad drugą.

Mary te snuły mu opowieści o tym królu, który „zabija duszę“, w którego koronie lśni kamień tak niesłychanego blasku, że patrzący nań — ślepnie. Już zaczął widzieć jaskinię. I — Arjaman się zbudził. — — —

Wyła zamieć śnieżna na dworze.

Uwierzyć nie mógł, uwierzyć nie chciał — iż to we śnie tak strasznie, tak tragicznie mógł cierpieć!

To nie mógł być sen—Wieża Popiołów, oh, to jego własne serce będzie tak wyglądało, jeśli — —

Przez małe okienka dwuch pokoików na wikarji ujrzał świt walczący z mrokami nocy nad Chochołowem.

Leżał jeszcze, korzystając, iż dopiero służąca, cicho wkradając się, zapalała na kominku ogień.

Ksiądz Wergili jeszcze spał mocno.

Arjaman silił się wrócić do rzeczywistości.

I przypominał, gdzie jest — w starej góralskiej wsi.

Nazwa Chochołów pochodzi nie z Wesela, gdzie Chochoł dobija się do okien rozbawionych gości p. Tetmajera.

Chochołów — jest to wspaniała posępna wieś, gdzie Chochołem jest duch, wyrywający się ku wyżynom z tej

zapadłej doliny, ku światłom z tych mrocznych izb, ku Wiedzy Jedynej i Najwyższej, z tych słońc na drzwiach, z tych gwiazd na sozrębach, z tych leluj na wyszyciach—z tych stygmatów na obrazach,—słowem ku życiu Wniebowziętemu.

Arjaman poczuł się takim Chochołem.

Mógł że, jak Ezechjel, powiedzieć tym polom kości umarłych, aby wstały i okryły się ciałem? tym wielkim cmentarzom w swej duszy?

Zbudził się ksiądz i odrazu rozpoczął rozmowę o tem, na czem urwali przed zaśnięciem.

W swych ognistych i tak jeszcze młodzieńczych porywach, zwierzał się Arjamanowi z upragnień do jakiegoś wielkiego, wspaniałego życia, nie opartego na scholastyce i na pustce po tysiąckroć wymłóconych słów.

Widział Arjaman, że temu nietrudno by pewnego ranka, raczej tej samej godziny, przepasać się i iść za swą Miłością.

Lecz on sam miłość uważał już za powierzchnię wrażeń. Tak przerobiła go ta jedna pełna sennych przeżyć noc.

I sam nie wierzył swej pamięci, iż to on pisał do Zolimy parę dni temu wieczorem list — i ten list wysłany—i kopja jego w kieszeni ubrania—oto jest:

List. Ksiądz gra na organkach, w niezmiernej ciszy uśpionej wsi wieczorem.

Myślałem, idąc wśród lasów i gwiazd—jakby to było nadzwyczajnie i już bosko, gdyby Wieszczka, Księżniczka Morza i Księżniczka Tatr jechały po morzu śnieżnem, wśród tej zamieci gwiezdnej w mroku—i teraz słuchalibyśmy muzyki, jakby szelestu skrzydeł aniołów Fra Angelica i Melozzo da Forli.

Wiem, że nie mogą dwie z Magicznego Trójkąta opuścić swych więzień.

Ale pani? może przybędzie tu.

W niedzielę rano warto ujrzeć lud w kościele —

twarze wykute z bronzu dłutem Wichru halnego, kobiety czasem madoniczne.

Tak blizko—

z zamku p. Muzaferida (choć nie żyje, tak będę jego zamek nazywał, jak dawniej), ledwo $1^1/_2$ godziny drogi wspaniałej.

Wrócić moglibyśmy razem.

W chatach warto widzieć i posłuchać. —

Przesyłam Wieszczce i obu Księżniczkom pozdrowienie.

Gdybym mógł kwiaty! szkatuły z ambrą i klejnotami! relikwje, dźwigane przez skrzydlatych Gieńjuszów — —!

Gwiazdy świecą nad lasem ogromnym i czarnym, jakgdyby Serce miało się oddać w płomieniu ofiarnym.

Muzyka gra — i zaśnione Wojsko idzie tajemnicze i zapala na górach Wiedz magicznych Znicze.

Do krzyża chylą się i czerpią z niego swe stygmaty — gromady więźniów idą ku Bogu, poza kraty.

Muzyka olbrzymów gra — gór leśnych szumi tu [Atlantyk,
Miłość roztęcza na organkach swój nadziemny Kantyk.
Wielkie duchy tam na górach nucąc gwiezdnym [Mrokom,
odprawiają Mszę—jakby Miłość tragiczną, świetlaną, głę- [boką!...
— — — — — —

Arjaman, leżąc w łóżku i odczytując ten list przy jaskrawem świetle kominka, był ogarniony wstydem niezmiernym, iż nie może zmienić swego realnego istnienia na wspaniały byt boga Judry.

Ściskając w ręku listek Zolimy, pachnący chłodem i jakąś egzotycznością uniwersytetu Oksfordzkiego — mówił sobie w myślach:

— Niema mowy, żadna panna nie odważy się na taką śniegową burzę —

Mówiąc to, miał na myśli, że tylko ona jedna odważyłaby się, gdyby miała choćby cień powodu.

Lecz ks. Wikary rozproszył tę myśl, proponując gimnastykę przy wycieraniu się wodą i rozmawiał o niemożliwości, iżby panna Zolima miała nadjechać.

Właśnie byli jak Dyskobole, kiedy wszedł średniowieczny sędzia Zygmunt i zaproponował, aby iść do kanonika na ranny posiłek.

Jednocześnie wypowiedział kilka tkliwych i zbyt poufnych myśli o niewiastach, na co Arjaman krótkiem pchnięciem sztyletu, aż po jelce, wnet go upamiętał.

I poszli do kościoła — mroźny wicher zrywał tabuny śniegu i na dziedzińcu kościelnym tańczył sarabandy czarownic.

Z kościoła dolatywała muzyka organów.

Weszli na chwilę, bo właśnie ks. Wikary kończył tam mszę.

Arjaman z głębokiem przekonaniem wodą święconą zrobił krzyż mistyczny na swej piersi i zapadł w jakiś prosty, jak łan zboża, z Królem Chrystusem djalog—widząc życie Mistrza, przewijające się mową gwiazd i otchłani w tej cichej mszy, którą odprawiał mało wierzący ksiądz. Ten był raczej materjałem na trybuna ludu, na kresowego działacza.

Arjaman chciał zapomnieć o mądrości swoich niewiar; dał wzrastać wielkim, bujnym krokusom swej wiary —

i był jak Adam Kadmon, który zawiera przymierze z Bogiem, bierze z rąk Jego miłość mężną, spokojną, doprowadzającą do najdalszych wschodów rozwoju człowieczego i nadludzkiego.

Arjaman widział się przeobrażonym.

Nie z tych posępnych nadchmurnych luciferowych wyżyn —

lecz jakieś tak święte wzgórza Dobrej Nowiny, iż

mogły starczyć, a nawet przewyższać o wiele najwyższe Gaurizankary i wulkany zatopionej Atlantydy.

Msza była w nim, msza, w której czuł się jedno z ludem, z Polską wierzącą, czynną, rozwijającą w sobie ziarno ducha w wielkie moce wiedzy Wschodu i Zachodu—

stawał się cud, rzadki, jedyny na ziemi —

dwoje miłujących się miało zwyciężyć mroki i nędzę istnienia.

Wyszli mężczyzni z zimnych murów gotyckiego kościoła, istotnie pięknego i wyglądającego wśród ubogiej wsi, jak Westminster —

na dziedzińcu wicher mroźny nalatywał burzą.

Kłębiły się ciężkie, gigantyczne chmury na Tatrach, ostre szpilki porywanego z ziemi szronu kąsały jadowicie twarz.

Weszli do kanonika.

Przy kawie i miodzie szła miła pogwara.

Sędzia Zygmunt celował w takiej miodno-cicho-kostyczno-patryjotycznej dyskusji — wtem zadudniły gołe nogi na flizach przed kanonją —

wbiegła zakurzona śniegiem Płazianka i wyrzuciła słowa, które jak kartacz uderzyły i poczęły szarpać serce Arjamana:

— Przyjechała Pani ze Zakopanego. Jest na wikarji. —

Wybiegł,—szedł po śniegu twardemi usypiskami, mozajkującemi się na zmarzłej, czarnej ziemi w kłębach zamieci—starał się w sobie zlodowacieć to proste, w gruncie rzeczy, zdarzenie.

I cóż za wniosek, że przyjechała?

Nic to na jeden włos nie odchyli olbrzymiego wahadła Zjawisk, na których polegała sprawa jego duszy.—

Przed małą, ładną wikaryjką zatrzymał się na sekundę, myśląc, jak powita Ks. Morza, czy indyjskiem tropikalnem zwierzeniem, czy polskim humorem. —

Lecz trącił poprostu drzwi i, ujrzawszy nieco przemarzłą Zolimę z jej mrocznemi Meduzy oczyma i czer-

wieniejącym noskiem, poczuł tak spokojny i głęboki akt skruchy za wszystkie swoje fantazje i samotortury, że wyrzekł tylko:

— To jest nadzwyczajne! na taką burzę! —

— Nic w tem nadzwyczajnego — uprzejmym, przyjaznym tonem odrzekła Księżniczka — pogoda jest prześliczna. Telegrafowałam, że nie — w razie złej pogody, t. j. odwilży, któraby uniemożebniła sannę.

Wszedł Wikary.

Jego dzielna twarz węgierskiego czikosa promieniała.

Przedstawiając się Księżniczce Morza, zbyt długo trzymał jej rękę.

— Pozwoli Pani na kawę do kanonji, czy tu każe Pani przynieść? —

— Owszem, możemy iść, gdzie Ksiądz uzna. —

Arjaman uważałby za najlepsze mieć teraz dwa ogromne, jak burza, skrzydła i zanieść ją na szczyt Kordyljerów.

I gdy wyszli na podwórzec, istotnie musiał przyznać Księżniczce Morza rację:

pogoda była wspaniała, życie było wspaniałe, on tylko był cudzoziemcem z innej planety, zapatrzonym w swoje Om niewyrażalne.

Ksiądz Wikary coś mówił, Arjaman szedł milcząc i łagodny był, jakby niósł kielich z Przemienieniem.

Wstąpili w zagrodę Kanonji i myślą jego jedyną było, żeby nie wypadł zły pies, zwany Drajfusem, bo, nie mając w ręku ciupagi, ani w sobie spokoju — czuł, że odrazu musiałby popełnić jakąś niedorzeczność w rodzaju wyłamania kołka z płotu i zabicia psa; na szczęście swe wybiegł tylko miły, żółty wyżeł, który się łasić począł; weszli do kanonika.

I było tak: zasiedli przy stole — dwuch mężczyzn świeckich, lecz duchowne stygmaty noszących, Sędzia Zygmunt, wprost rozmodlony do Matki Boskiej, Królowej Korony Polskiej, kostyczny przytem i chętny do myśli

o Ogniu Rodzinnym, lecz jak dotąd wieczny asceta, surowy, zawsze gotów na mroźną zamieć iść piechotą przez śniegi mil kilka, aby ideą rozgrzać, gdzieś dla Polski uskubnąć serca i czynu z tej marnawej masy ludzkiej — —

Ks. Wikary przycichły i wpatrzony w lady, która czuła się tu swobodna, jak na okręcie, mówiąc o widokach w swej wycieczce i pytając o warunki życia w Chochołowie.

Ks. Kanonik był swobodnie uprzejmy i na razie patrzył na Księżniczkę, jak na jedną z penitentek, potem zręcznie poddał w tonie swym jakiegoś uszanowania, dowiedziawszy się, iż ma zamek i jest córką Muzaferida.

Arjaman stał jakby niewidzialnie za kotarą na straży, dyrygując w milczeniu orkiestrą, którą chciał doprowadzić do wspaniałego wykonania, tworzącej się w nim improwizacji.

Wstali od kawy.

Znowu na wikaryjce. W małym pokoju, gdzie sypiał Arjaman, teraz Zolima przebierała się i myła—trzej mężczyzni zaś przy tym obrządku zachowywali się w drugim pokoju, każdy według swego temperamentu.

Ks. Wikary wybuchał dowcipami, Sędzia Zygmunt wytrząsał, jakby z dawnych Silva Rerum, anegdoty i aluzje do zajazdów, porywania panien — i, podając przez drzwi miskę, wodę, mydło, ofiarowując kalodont, eliksiry, grzebienie—wesołym głosem z za drzwi odrzucone przez Zolimę, która miała swój neseser — był Sędzia Zygmunt w arcy miłym stylu.

Arjaman to czuł i rozchmurzał się, Sędzia Zygmunt zrobił aluzję z powodu grzebienia do jego głowy, która się zgoli w Benaresie, kiedy się stanie uczniem Maga Litwora. Arjaman roześmiał się, lecz zaproponował nastrój—mniej fryzjerski.

Projekty dalsze były następujące: Ksiądz Wergili ma odprawiać sumę. (Dlatego dotąd nic nie jadł). Sę-

dzia Zygmunt powiedzie pannę Zolimę przez kościół i tłumnie nagromadzony lud do ławki przed ołtarzem.

Arjaman miał pakować do skrzyni wspaniałe zbiory, a potem przyjść do kościoła.

Zaraz po obiedzie trzeba będzie wyjeżdżać z powrotem.

Tamci wyszli i Zolima, został Arjaman sam w dwuch pokojach wikarji, z myślą jakąś smętną, z tęsknotą jakąś niedorzeczną, z ironją, że to nie on idzie przed ołtarz z Księżniczką — i może nie pójdzie nikt z obecnych tu, lecz jakiś boy baron de Mangro lub inny z pod ciemnej gwiazdy, cyniczny, chłodnie kalkulujący życiowy gracz — który wyliczy, ile jest warta — zrobi kilka obmyślonych, niby niezwykłych dowodów swego wyższego uczucia, uda, że spotyka niespodzianie w kościele czy w galerji obrazów, kiedy tygodniami celował na ten moment — i...

Arjaman, czując, że mu ktoś nożem wykrawa płuca, z siłą opanował się, mając poczucie wyższości swego bólu nad zjawiskami marnej, podłej wyroczni życia, pracował, jakby robotnik, pakował i w słomę owijał szklane obrazy, pistolety zbójnickie, kaftaniki jedwabne leżących już w grobie gaździanek.

Sprawiał się dzielnie, po dwuch godzinach kilkadziesiąt obrazów leżało w skrzyni.

Minęła suma, lud wysypał się z kościoła.

Wszedł Zygmunt i Ksiądz Wergili z panną Zolimą. Powaga w nich była, wiew kościoła i modlitwy, głębszej niż zwykle; Arjaman takimi pragnął ich widywać — i takim wystawiłby posągi.

Lecz zaledwie jęli się przygotowywać, by pójść na obiad do Kanonika — rozległ się tubalny głos wielkiego poety Baltazara, który wszedł gruby, w kożuchu z ciupagą bohaterską, o twarzy czarnej i ognistych oczach.

Arjaman go znał i żywił głębokie wyczucie dla poety, który dokonał, jak Jan III, świetnego zwycięstwa nad duszą narodu — lecz potem skurczył się, zgryźliwiał w wiosce okolicznej.

Mimo walących się ścian swej Kontyny, mimo niewiary już w ludzi, w przeznaczenie — i w samego siebie, był to w każdym razie kawał biblijnego Męża.

Wieszcz Baltazar, zająwszy pół izby swoją osobą, zapowiedział, że jedzie kuligiem. Nie doleciały jeszcze do uszu te słowa, gdy znów się rozwarły drzwi, już na długo się nie zamknęły—tyle osób wchodziło: dwaj szlachcice, robiący miljony w Mandżurji, ich żony, ich dzieci, ich nauczycielki.

Malarz, podobny do pokątnego doradcy, i rzeźbiarz góral, niezmiernie zasłużony, lecz lubiący mieć pełne kieszenie gazet i broszur dla kobiet wiejskich, które uświadamiał: — bo wicie, wicie, panie, dziwki uświadomione, to grunt—tek! I teraz uświadamiał szlachtę z Mandżurji, jakie będą mieć zbiory Arjamana znaczenie epokowe dla sztuki religijnej.

Damy zrzucały futra, chłopcy zaglądali do ksiąg teologicznych i wyciągali gazety radykalne księdza ku zdumieniu mam.

Wniesiono kosze, wyjęto butelki i zakąski, izba, pełna ludzi, poczęła huczeć śmiechem, trzaskaniem korków, szlachcice Mandżurscy pałaszowali, jak ćwiki i pyszne ich siwe głowy na grubych mocnych ciałach zdały się prosić o kołpaki regimentarzy Lisowczyków i o pędzel Rembrandta.

Wichura dęła. Zamieć śnieżna poczynała iść w pląsy.

Towarzystwo poszło na obiad do Kanonji. Ludzie z kościoła jeszcze wychodzili.

Z głębi gotyku dolatał śpiew nieszporny, twarze i stroje górali wprawiały w podziw Księżniczkę Morza. Twarze mężczyzn dyszały rebelją Chochołowską, gaździanki w gorsetach prosiły o tajemną na halach schadzkę.

W Kanonji znowu ten miły, czysty nastrój.

Wypróbowano wybornej, jak nastrój w sadzie wiśniowym, nalewki. Dowcipy się zaostrzyły. Palił się i Arjaman, choć nie pił, bo raczej potrzebowałby środków na wytrzeźwienie.

Ksiądz Wergili milczy.

Panna Zolima rozwija za to swobodnie swe poglądy, wyznając, że jest wierzącą katoliczką, ale żyjąc, w krajach pogańskich, nie pości już półtora roku. Zresztą nie uznaje askezy. Kanonik, wychodząc pewno z zasady, że w religji katolickiej wszystko pojąć — jest to niczego nie wymagać, — uśmiechem dobrotliwym mędrca przebaczał, rozgrzeszał z góry, ku niczemu nie zachęcał, jeno ku tym godom zacnym, które łączyły wszystkich przy stole.

Jedzono dzika i popijano winem.

Po czarnej kawie i królewskim pierniku, przy nieustannych i słodkich zapewnieniach kanonika, że gdyby się spodziewał tak znakomitych gości, byłoby inaczej, —

Ks. Wergili dał znak, że zajechały sanie. Wyszli. Burza wyła. Sześcioro sań, konie parskały i dzwoniły, towarzystwo szlachty Mandżurskiej i dam z wieszczem Baltazarem, z Malarzem, mającym horoskopy, z Góralem uświadamiaczem w jego barwnym stroju, z mnóstwem rozbawionych chłopców i dziewczynek, wsiadało do sań.

Z powodu zamieci postacie gubiły się, przy nawoływaniu wzajemnem panował wesoły zamęt.

Za saniami uwiązano małe tobogeny.

Kto wsiada?

Pannę Zolimę chciały wziąć damy, lecz oparła się temu, wsiadła na saneczki. Chłopcy zmieścili się na drugich, ks. Wergili wśród powszechnych wiwatów zajął trzecie, dziewczynka podrastająca czwarte.

Ruszyły konie, huknęli górale swoje piosneczki, wieś pełna zdumionego ludu, który patrzył na kulig i na lecące małe sanki, gdzie Jegomościnek rzucał konceptami, siedząc tuż przy ziemi, jakby gnom czarny, frygający na wszystkie strony zawianej wielkiemi zaspami drogi.

Aliści wicher i zamieć ryknęły na dobre. Chaty zdawały się krążyć tańca piekielnego z straszliwemi białemi postaciami śnieżnej zamieci.

Drzewa w polu przybrały groteskowość widziadeł potwornych Kijomoriego, tyrana Japonji w wiekuXI, zdawały się być zbiorem szubienic, to jakichś niezmiernie tkliwych, zamarzających postaci, ramionami wołających ratunku.

Wieszcz Baltazar, dwie panie i Arjaman w jednych saniach wyrażali swe odrębne nastroje.

Wieszcz Baltazar miał polską należytą zimę, panie mróz nieznośny i zbyt już szalony pęd wichru, Arjamana nie obchodziło to wszystko nic, pochylał się cały, aby dojrzeć Księżniczkę, jadącą tuż przy ziemi na saneczkach, znikającą w kurniawie—a gdy ją dojrzał, nagle zarysowały się nad nią łby pędzących koni i kopyta, gotowe rozmieść.

Teraz czuł, że za tę dziewczynę gotów oddać Magję i, jak rycerz wściekły—Samuel Zborowski czy Kmita — rozbić tabun Tatarów, gnać z nią przez wichurę wpaść do magnackiego zamku, wyrżnąć kogo należy — zająć dwór, stadninę, sięgnąć po hetmańską buławę i rządzić z Księżniczką od Tatr aż po wszystkie okrężne Morza, tak daleko, jak sama zechce. Lecz wiedział, że to sen.

I rozpierała go potworna wściekłość. Dlaczego? cóż z tego, że jest zaprzysiężonym na wieki do bractwa w Benaresie, które musi zdobywać inne wirchy? Wycie burzy rozogniło w nim jastrzębie na świat oczy.

Musi mieć hufiec za sobą, musi popełniać choćby zbrodnie, ale Księżniczka Morza będzie z nim — lub — —

i na tę drugą ostateczność z lasu czyniła się kupa potrzaskanych ciał, wygiętych konwulsyjnie ramion, siedzących na palu tysięcy tych, co by choć palcem ruszyli, aby się Arjamanowi sprzeciwić.

Pieniło się wino najsilniejsze z tych, jakie umysł ludzki mógł znosić.

Tumany białe zakryły już literalnie świat, z rozpry-

skujących kłębów zawieruchy wystrzelały jakieś dziwa— i gdyby nie damy i nie wieszcz Baltazar —

Arjaman zrzuciłby górala woźnicę ze sanek, zaprosiłby Księżniczkę Morza —

i —

i wiedział, że nie wyzna nic, nie powie nic, mając język odcięty Mieczem Bożym i okrutne, niedające się rozerwać, grube, jak sosny wiekowe, łańcuchy.

Tam wszakże przy chatynie nad morzem pozostały dwa groby i jedna już na pół z tamtego świata, która go wyczekuje.

Tam rok temu uczynił ślub, że nie pojmie już żadnej za żonę, życie swe całe będzie szukał Boga dla najwyższej walki z Nim.

I gdyby nawet człowiek uległ, własna Jaźń — to Wielkie Ja — rzuci na drogę człowiekowi — las, przepaść i palące się mosty.

Człowiek musi być rzucony pod wóz Przeznaczenia. Tam bowiem musi tryumfować nie szczęście rodzime, nie marzenie miłosne — ale Nadziemna Luciferowa Samotnia. —

Zatrzymano się przed karczmą. —

Z hukiem i wrzaskiem wpadła czereda do ogromnej, rezerwowanej dla gości komnaty.

Wszyscy byli na pół metra osypani śniegiem, wyglądali jak widma leśnych królów.

Arjaman w swej czapie staroświeckiej góralskiej ze skrzydłami — nie mógł rozchmurzyć twarzy i czuł, coby to było, gdyby Księżniczka Morza pierwsza podeszła do niego i przemówiła tęsknotą do tych krain wiecznych, których on czuł się mieszkańcem, inni zaś oglądają nie inaczej, jak w snach gorączkowych i niebezpiecznych.

Tymczasem znosił ze sanek jej futro wspaniałe i jeszcze drugie niedźwiedzie, które Wieszczka Mara dała swemu ukochanemu dziewczątku, aby nie przeziębło.

Zapewne skostniałaby sama w sopel ze strachu, gdy-

by widziała Dziewczątko wleczone z tyłu za sańmi, owiane dzikim, wściekłym zimowym Boreaszem.

Zygmunt sędzia gdzieś zniknął.

Trzeba było jechać dalej.

Wtem wszedł on — i z nim potężnej postaci w serdaku z fontaziami doktór Józefowicz, który prosił wszystkich serdecznie do siebie na podwieczorek.

Wszyscy poważali tę postać wybitną — wszyscy radzi byli nowemu zdarzeniu.

Niektórzy zastanawiali się, jak to będzie, gdy dr. Józefowicz opuścił pierwszą żonę, kobietę potworną i wyzyskiwaczkę, a nie mogąc od niej uzyskać rozwodu—żyje z góralką na wiarę i ma dzieci.

Wjechali przed wielki dom.

Herbata dymiła na stole. Szlachcice Mandżurscy zajęli już ławy, zapewne myśląc, że krzesełka mogą nie dać gwarancji odpowiedniej.

Wieszcz Baltazar samotnie mroczniał u drzwi, za to Zygmunt i Ksiądz Wergili byli po rusku mówiąc — w udarie.

Zygmunt wzniósł lekki toast, aby panny były jak owa Jagienka, co umiała spisą zabijać niedźwiedzia (ktoś wspomniał o orzechach, które tłukła przysiadaniem), ale były zarazem tyle postępowe, żeby do orzechów używały raczej dziadka lub jakiego młodszego Zbyszka. A wtedy Ojczyzna nasza wzrośnie — i jak prorokował św. Jędrzej z Boboli...

Mówiąc te labirynty, był zadziwiająco podobny do fauna, zabłąkanego w kapliczce.

Ksiądz Wergili rozmawiał z Arjamanem o mistycznej tęsknocie i zagroził mu, że go musi wywieść z mistyki na pełną wypełnień drogę rzeczywistości.

Księżniczka Morza zaświeciła aforyzmem, że nigdzie nie chce mieć domu, tylko koczować, na co jej Ksiądz odtrzasnął, że to już należy rozstrzygnąć lekarzowi. Nastąpił płomień pokraśnienia i wielki gruby śmiech szlachty Mandżurskiej—i delikatny uśmiech ich żon.

W wielkiej izbie tych kilkanaście osób polskich z ducha, a tak różnych przy pani Doktorowej góralce, która w czarnym ubiorze przewijała się wysmukła, nerwowa, cicha i dobra, jak zjawa—nie mniej niż zmysłowa kochanka zwodnica — razem z tą rozrosłą postacią Wieszcza Baltazara i Arjamanem, którzy udawali, że chcą mówić o sztuce z Malarzem, który bawił damy tak, że naraz dostawało się kolek w okolicy przepony, z malcami, którzy się bawili, jak starsi, ze starszymi, którzy płynęli po uszy w strumieniu Młodości—wszyscy razem tworzyli obraz, godny uwiecznienia przez Chełmońskiego. Ale nie było czasu na pozowanie.

Zamieć pomiarkowała, że i dla niej musi być jakaś przyzwoitość. W mroku chodzili górale, klnąc i szukając swych gości.

Radośnie ruszyło towarzystwo—Arjaman czuł, że za skarby obu światów nie rozstanie się teraz z Księżniczką, tę zaś ciągnęły gwałtem damy do siebie.

Ksiądz i Arjaman mieli już sanie przygotowane, coś bąknąwszy o zajechaniu jeszcze gdzieś po drodze, wzięli do sani Księżniczkę i rypnęli z kopyta, zjeżdżając z góry na złamanie ośmiu końskich kopyt.

Tylko że Arjaman, wsiadając do sań, zarzekł się, że usiądzie na koźle, Księdza puścił na miejsce jedyne przy Zolimie —

i w tejże chwili poczuł, że znów go szatany biorą.

Arjaman, jak widzimy, nie był to człowiek, chcący iść przebojem przez życie.

Pragnął szczęścia ziemnego — i niszczył jego możliwość w zarodku samym.

Palił się w ogniu namiętności, a czynił wszystko, aby nie wyrazić się niczem, aby wszystkie arsenały swe zniweczyć.

Uważny słuchacz widzi, że Arjaman jest w fazie cofnięcia się w swym rozwoju metafizycznym.

Jakkolwiek wysoko stawić by można dodatni wpływ miłości, dla Arjamana jest już ona trucizną niezmiernie

zaostrzoną. Lecz nawet biorąc w kierunku najprostszym: nie można bezkarnie kochać bez wzajemności zbyt długo.

To wreszcie poniża.

Nie można jednocześnie poddawać się miłości i tamować jej drogi urzeczywistnienia.

Niewykonanie woli życia bywa mściwe.

Idea Boga, klasztor, pustynia, pochód krzyżowy — jeśli jest Ojczyzna, powstanie, lub joga, dążąca do wyrzeźbienia posągu wewnętrznego —

wtedy następuje transmisja sił.

Na demonicznym gruncie Arjamana miłość była smoczem zielem, istotnie.

Dawniej, jako fantasta, wstydziłby się lichej rzeczywistości. Chciałby pojawić się Księżniczce Morza w skrzydłach i chmurach, w królowaniu podziemiom i ze skarbami Aladyna. Lecz teraz w swej głębszej, jedynie wartej rzeczywistości, był jakby nagi — nagością żelazną — nieśmiertelny.

Tymczasem zwycięża jej pozorna przewaga: to, że ona była właścicielką zamku, okrętów i kopalni pod Tatrami, że przed nią uginali się ludzie, i jeszcze jeden wielki jej atut: jej ślepota zupełna, jej daltonizm doskonały na wszystkie moce, na wszystkie potencje i Królestwa w kręgach Jaźni, według niej — absurdów księżycowych Arjamana.

Widzieliśmy, iż czuła się dobrze z każdym, kogo mogła zmierzyć i w granicach rozumowych sobie wykreślić.

Arjaman był dla niej czemś w rodzaju ptaka tropikalnego, nieco śmiesznego, bo za pięknego w swych lirowych ogonach, w swych wiechach złoto-tęczowych na głowie, w swych skrzydłach za potężnych, w swym chodzie po ziemi dość niezgrabnym.

Odstraszało ją i nieco śmieszyło to, że Arjaman miał opinję człowieka, który uprawia Czarną Magję, wierzy

w djabła i — że może miłować na niewidziane, ze słów Wieszczki Mary, i że wystarcza mu — wyobraźnia.

Poza tem Zolima była zepsuta w wysokim stopniu hołdami i powodzeniem; przywykła patrzeć na mężczyzn, jako na gatunek zbiorowy, „rodzaj pieski“, jak mówiła — jako na łowców jej majątku, wierząc dość mało w swój wdzięk osobisty.

Taka istota zarzuca z łatwością koła arkanowe, bawi się łowiectwem, aż sama nagle poczuje rzemień gaucza na swych stopach. Poderwie się i padnie na cztery kopytka.

Niedosiężna zdobycz dla marzyciela, jest niesiona jako zwykły towar, „rodzaj koziczy“, na ramionach przez palącego spokojnie fajeczkę życiowego gauczosa.

Noc wspaniała—jechali przez wielki mistyczny bór.

Chmury zatuliły niebo — ksiądz mówił do Zolimy, jakby tylko było ich dwoje.

Wprost wyznawał jej życia swego tęsknoty—i życia swego niezwykłe dzieje: jak zbuntował się przeciw władzy kościelnej, iż nie pozwalano mu myśleć swobodnie, i dla pognębienia — dano mu wilgotną celę, przerobioną z chlewa. Matka mu umarła od paraliżu serca, dowiedziawszy się, że on na wikarji z powodu radykalnych przekonań musi mieszkać w wilgotnej izbie i ginie od artretyzmu, którym to środkiem postanowiono ducha jego krnąbrnego złamać—umarła na serce. Kiedy, uciekając do Ameryki, zajechał pożegnać Matkę, zastał już trupa. Ksiądz-robotnik pracował w ameryckiej kopalni; z powodu ciemności za dnia przez 4 miesiące i pracy umysłowej przy świetle nocnem lampki—omal nie oślepł. Zdał egzamina handlowe.

Wtedy już postawił władzy duchownej otwarcie swe żądania myśli swobodnej lub zagroził zrzuceniem sutanny. Ksiądz Wergili uzyskał możność szerokiej pracy etycznej nad ludem i nikt nie wtrąca się już w to, co myśli w sprawach politycznych lub w gieologji.

O miłości dr. Józefowicza mówił, że on, jako Ksiądz, ma zabronione ją tolerować, ale jako człowiek wielbi swobodę i nie uznaje żadnych praw wobec Miłości: ona jest najwyższa, z nią zdobytą trzeba iść przebojem ku tej niewiadomej przestrzeni, o której marzył Zarathustra.

Wtedy Arjaman, nie mówiący ani słowa przez całą drogę — odwrócił się do sań, wiozących jego skrzynię z obrazami i zawołał: Ostrożnie!

Zmieszał się ksiądz Wergili, zaśmiała się księżniczka, i znowu było słychać tylko ich dwoje, mówiących ze sobą tak przyjaźnie, jakby się znali z dzieciństwa.

Wielki mistyczny bór opętywał Arjamana, przypominając mu, że z tych gór on ślubował wywieść zaśnione wojsko w Ornaku. Zaiste, rozchylały się bramy olbrzymie granitowe pod naporem jego rozpacznej samotnej myśli.

Modlił się w duszy do Wieszczki Mary, aby mu przesłała moc.

Tę moc, która gotowa była teraz rozchwiać się w pył, gdy ksiądz Wergili wyznaje księżniczce, że nigdy nie widział takiej kobiety, że ma dla niej cześć, że klękałby przed nią za jej wolnościowy pęd, że sobie z żadnych więzów nie robi nic, będąc sam nieprawym synem polskiego żołnierza, który uwiódł szlachciankę węgierską.

Księżniczka mówiła niewiele, nie odbijając zupełnie tarczą Pentezilei tych namiętnych strzał.

Arjaman milczał. W jego duszy Hamlet przyszedł nad grób Ofelji i do Laertesa, który się wypowiadał z swą męczarnią, rzekł: — Kto błędne gwiazdy swoim, zaklął żalem, że bieg wstrzymały, jak zdziwiony słuchacz?

Nagle nad borem majestatycznych jodeł i świerków w mroku zakrwawiło się niebo. Łuna objęła pożarem mistycznym wiekowy bór.

Ksiądz i Zolima by tego nie zauważyli, gdyby nie Arjaman: — To meteor prześwieca przez chmury!

Zaiste, meteor z nieba dalekiego przyszedł zwieścić duszy Arjamana, aby zrozumiał, że o nim wiedzą siostry gwiazdy dalekie, zapadające w głuchą otchłań.

Arjaman ukoił się w sobie, łzy zaczęły go dusić na myśl, ile zbrodni gotów był spełnić dla sięgnięcia po to szczęście, które odrazu w pierwszym momencie karmiło go już upokorzeniem, odrzucało i nie wiedziało, nie chciało wiedzieć o nim nic.

Myślał o tym nagłym już gasnącym meteorze swojego życia — —

W mroku pędziły sanie z gór w doliny i znów wlatywały na wzgórza.

Ksiądz mówił do Zolimy o rewolucji, która wyzwoliła człowieka, lecz powierzchownie.

Zolima zaczęła rozwijać swoją teorję wolności, zakochania, pracy olbrzymiej, zatrąciła wreszcie o wiersz Heinego, którego gdy nie mógł przytoczyć nikt—wypowiedział Arjaman.

Mówił, wiedząc o sobie, że jest teraz unendlich elend.

Ksiądz znów wybuchał tęsknotą swą i targaniem wszystkich łańcuchów, tak zwanych boskich dla istoty jednej człowieczej —

W mroku nocy w ustach księdza te słowa zdały się mieć blask rozpalonych narzędzi tortury w piekle.

Zwrócił się Arjaman i wymówił ten jedyny wyraz, który wymawiał głośno w drodze, skierowany niby do woźnicy ze skrzynią:

— Ostrożnie!

Zmieszali się znów siedzący za nim ksiądz i księżniczka, zaś Arjaman nie spostrzegł, że jest śmieszny, jak halebardnik na scenie, niosący latarnię w chwili, gdy Julja otwiera balkon i pożądaną jest ciemność, halebardnik zaś woła: „Kładźcie się spać,

Późna godzina—
Nie trza się bać
W Imię Ojca, Syna!...“

Już było Zakopane.

Ksiądz prosił, aby księżniczka Morza odwiedziła jego siostrzenicę w pewnej willi, że on tam będzie — i znów

taki się zdarzył wybój, że Arjaman zawołał do jadącego zdala woźnicy:

„Ostrożnie!“.

Gdy księżniczka Morza poczęła się już głośno śmiać, zapytał:

— Czy Pani myśli, że mówię to symbolicznie?

Błysnęły już światła domów dokoła.

Ksiądz, wysiadając, pytał, czemu Arjaman tak zapadł w głąb swej duszy—ten mu zaś odrzekł, że dobrze jest to czynić od czasu do czasu — pożegnał się z umyślną grzecznością i usiadł obok księżniczki.

Chmura ciężka złowroga przygniotła mu pierś, jakby był Prometeuszem.

Księżniczka żartobliwie ujęła jego ciupagę, którą rył śnieg, jadąc pod górę zwolna.

Arjaman nie mógł odpowiedzieć na ten dowód w innym czasie tak miły —

Teraz tak źle i nic nie mówiący po tylu latach niemej w nim męczarni.

Gdyby pochwycił wtedy tę nikłą nić sympatji prostej, narodzonej w mroku posępnych gór, może—jak mówi bramin Swami Wiwekananda,—mógłby wciągnąć na niej całą linę—i zejść z swej wieży Popiołów. Chwila decyduje o całych światach w duszy.

Lecz Arjaman nie ustępował ze swych gór.

Był kamienny, posągowy, melancholijny—jak na organach grany żałobny hymn.

Wogóle kwestja, czy już Arjaman mógł w jednej chwili przypiąć się do rączki, uścisnąć ją, załkać słowikiem, odnaleźć w mroku usta, rozgrzać pierś, wymusić płomieniem warg wyznanie i znowu tulić i w oczach wywołać żar wulkaniczny — i —

Prosić o spotkanie jutro np. w kawiarni? lub na ślizgawce...

Arjaman był mistykiem nawet wtedy, gdy negował mistycyzm, wierzył w powinowactwo dusz, które mówią tym jedynym językiem, jakiego nie znał Babel.

Wydałoby się mu trywialnem wyrażać Miłość, zaczerpując Ocean do ludzkiej dłoni.

Księżniczka, trzymając chwilę rękę swoją na ręce Arjamana, cofnęła się. Milczeli.

Potem Arjaman mówił coś nazbyt mądrego, przepaścistego.

Zajechali do Turowego Rogu.

Wieszczka Mara przywitała Arjamana z niezwykłym smutkiem.

Nie chciała przyjąć jego zbiorów. Mówiła, że wszystko wytłomaczy.

Prosiła Zolimę, aby namawiała Arjamana do wieczerzy. Lecz było źle i dyssonansowo.

Arjaman, rozstając się z Wieszczką Marą, rzucił na pożegnanie, że Turów Róg to są tęczowe bańki, po których zostaje tylko jedno:

Okropna i zresztą tak dobra pustynia.

Idąc do jaskini na wirchu w lesie — po olbrzymim śniegu brnąc w zaspach aż do pasa, słysząc wycie wichru złowieszczego w puszczy Tatrzańskiej, czuł, jak mu serce zamiera.

Czuł, że mu serce może dosłownie pęknąć.

Teraz w tym śniegu mógł zostać na wiekuisty czas.

Wreszcie przyszedł do groty, rozpalił ogień.

W nocy zaś miał takie senne widzenia:

Labirynt podziemny, mnóstwo komnat — setki i tysiące; mrok, tylko jedną rozjaśniany lampą.

Arjamana nie było, zamiast niego jakiś milczący towarzysz.

W dalekich komnatach chodził warjat.

Milczący towarzysz musiał go szukać — w mroku, w tej grozie ciszy podziemia.

Warjat teraz klęczy i modli się —

Wyrwawszy żelaziwo z drzwi, ostrzy je, zmieniając w nóż na to by się zaczaić, rzucając się z wyciem —

Milczący towarzysz musi go znaleźć i opętać — nareszcie go znalazł wtulonego w kąt salonu.

Wiedzie i, utuliwszy warjata w łożu, nastawia herbatę.

Zostaje sam Milczący ze swym niewiadomym gościem, mając myśleć o sprawach tak straszliwie ważnych —

W tym labiryncie setek i tysięcy komnat głęboko pod ziemią.

Traktat analityczny o księżniczce Morza i ballada tatarska.

Zolimie przez rezorbcje wszystkich boskości w dwa kąty Wisznu i Brahmy w postaciach p. Oleśnickiej i Wieszczki Mary, dostaje się z natury pierwiastek Sziwy, zła, nie chcącego się hamować —

W Wieszczce jest zło, wynikłe z chrześcijańskiej Golgoty: burza życia, zaklęta w jeden cierń Ukrzyżowanego.

Wieszczka, mając w sobie niezmierny talent okrucieństwa, zwraca go przeciw sobie.

Jest to Święta, która do sakwy zbiera gwoździe, na których nocą będzie leżała; żeby ludzie nie ośmieszyli jej potrzeby tortur, wynajduje sobie jedną najwyższą i już nikomu niedosiężną, miłości do Ornaku, o którym nigdy nikomu nikany nic objawionem nie było.

Zresztą umysł jej analityczny, mądry—znajduje niezwykłe moce z głębin własnej duszy — gdzie pod 9 kręgami piekieł mrożących i 9 kręgami piekieł rozpalonych, jest dno nieświadomego, Ocean bezmiernej, szalonej, ekstatycznej radości, na której wyraz byłoby zamało hufca srebrnych trąb w nocy dokoła tańczącego króla Portugalji, Don Pedra, który szedł w tańcach do katedry, gdzie przegniwał trup jego zamordowanej, nad gwiazdy umiłowanej, nad Boga, nad świat i nad rozum.

Taką jest Wieszczka Mara — —

Utajeniem radości ona ogarnia księżniczkę Sziwę, którą możnaby nazwać Meduzą wiedzy: t. j. że zamiast

skorpjonów i żmij na czole ma bezprzykładnie śmiałą wiedzę użycia życia.

Meduzą jest—i z gatunku najbardziej wyrafinowanych, najniebezpieczniejszych.

Kiedy nuci starofrancuskie piosenki o miesiącu Maju—i rycerzykach żebrakach, lub angielską ludową balladę o tej dziewczynie, która, leżąc w grobie, ma już usta z gliny i twarz z lilji, kto zaś ją pocałuje, ten zostać musi przy umarłej —

i taką chce ktoś ucałować, i taką w trumnie chce Miłość bezrozumna posiąść —

możnaby wówczas mniemać, że to nuci dziwożona w maju lub topielica przy księżycu.

Meduza, a raczej, jak trzeba naodwrót wymawiać, księżniczka Azudem, najmniej, mimo tych piosneczek, ceni marzenie, najmniej ją wzrusza poezja niedokonanego. Ale za to ma w sobie pełną poezję życia.

Mając do wyboru lecące w jednego góralskiego konia sanki, lub—supposons—wysłuchanie nieznanego poematu Wallenrod, nieochybnie wskoczyłaby do sań, mocno zresztą niewygodnych i źle wonnych.

Byle gnać.

Jest to żywe srebro, toczące się po świecie.

Jest to gruntownie naukowy umysł, który laseczką czarnoksięską swych miljonów mówi do Gehenny: stań się cokolwiekbądź, byle mnie porwało.

I w chacie Wieszczki Mary, radując się zwierzyńcem Turowego Rogu, legiendami o zaśnionem wojsku, a w swej katolicko-rewolucyjnej duszy poddając się wzruszeniom mroków gotyckich i wybuchom rewolucji wśród Łotyszów lub w Moskwie, układa sobie z wytrawnością Cook'a podróż w góry skaliste Ameryki, w te 1200 jezior Narodowego Parku, lub na morza australijskich wysp, niby pas Wenery fosforyzujących nocą mirjadami morskich bakterji, oraz świetlaków w gąszczy leśnej na górach.

Rozlewne bujne życie każe jej obcować wiecznie z Morzem, czy to w zatokach wysp Murza Sichla, gdzie wśród najcudniejszego szafiru tak lubią się czaić rekiny, grasujące w Morzu Pratatrzańskiem od czasu przekopania kanału Sueskiego—czy wśród cmentarnych menhirów, gdzie wznosi się jej zamek; olbrzymie fontanny bieleją tam na skałach wśród morza, które jest modre, ciemne, ożenione tylko z boską Luną, która co 6 godzin każe falom jego wzbierać, co 6 godzin odtrąca je od brzegów w głębiny bezkresne.

Księżniczka wyskoczyła, jak Atena z głowy Jowisza, w chwili nietylko jego zamyśleń, lecz i wesołości.

Wyskoczyła w pełnem uzbrojeniu i ma wiedzę dużą, a zagięła sobie parol na wprost nieogarnioną; ma serce—hm, wprawdzie „serca nie dowodzi w niéj żadna choroba", ale to serce jest dziwne — przebite nieskończenie cienkim, lecz nie do wyjęcia platynowym drutem: śmierci ojca, któremu widziała jak pęka serce — — i jednocześnie traktuje życie głębin ludzkich, jako farsę. Widzieliśmy, że Mag Litwor na wyspach Ładogi nie wywarł na niej trwalszego wpływu.

Najmilszem dla niej jest pić dobry, stary Benedyktyński likier lub Cherry Brandy przy greckim obiedzie w czasie zwiedzania Olimpji lub mistycznych świątyń Eleuzis i Pestum.

Ma w rodzie swym wojowniczki, wielkie kobiety Tartarji, i stąd może jej chłodny rozum, spalanie za sobą wszystkich przestrzeni, radosne szerzenie spustoszeń w salonach między warszawskimi lwami, na uniwersytecie między lordami, w pracowniach malarskich między apaszami.

Z olbrzymiemi arkadami swych kruczych brwi pod mądrem czołem, z nieprawdopodobnie rozwartemi morskiemi zimnemi oczyma, będącemi wprost jak wielkie zatoki Pacyfiku na tej smagłej twarzy, wydaje się, że to owa tatarska Dziewica Rycerska, przeprawiająca się z woj-

skiem Kublaj-Hana przez cieśninę Korejską, aby podbić Japońję. Tajfun rozmiótł 10 tysięcy okrętów Kublaj-Hana, wszyscy Tatarowie potonęli, z wyjątkiem jednej dżunki, którą morze przyniosło do Chin—a na niej Dziewica Rycerska w kolczudze.

Zaklęta przez czarodzieja w grocie, zbudzona jest dopiero w XX wieku już w Tatrach.

Wspaniałość rozszalałego morskiego żywiołu przechowała w swych oczach ciemnych zwykle, a czasem mieniących się, jak modre szmaragdy.

Zjadszy korzeń wieczną młodość dającej rośliny Dżeń-szeń, poszła w świat sama, chcąc wystarczyć za armję Kublaj-Hana i podbić świat nanowo. Z Ameryki północnej przejęła zdolność natężonego pracowania, z południowej—z lasów Peruwiańskich—zatajony chód młodej pumy.

Jej wyjazd do Chochołowa w czasie zamieci śnieżnej na list Arjamana, jej wspaniałe wyznanie przy obiedzie u proboszcza, że nie uznaje askezy i że nie zna nic wspanialszego, niż wolność — jej wreszcie pyszne wzięcie na arkan całego towarzystwa, za co się mszcząc, jakiś milczący pan w niepohamowanej złości wyśpiewał balladę à rebours o tem, że Księżniczka Azudem była na arkanie — są to już znane w Turowym Rogu dzieje i tak srodze przecierpiał za Ałłaha niefortunny milczący pan, jak dziś już żaden z obecnych wyznawców Mahometa nie cierpi,—słowem, że tę sprawę uważamy za nikłą i tylko dla ścisłości kronikarskiej przytaczamy in extenso balladę.

Ballada Tatarska.

Była pod Tatrami sanna — — Ałłahu!
była raz tatarska panna — — Ałłahu!

Karmiła klacz swą w Londynie — — Ałłahu!
z menchirów miała pustynie — — Ałłahu!

Lecz będąc mądrą jak sowa — — Ałłahu!
wybrała się do Chochołowa — — Ałłahu!

Wzdyma się meczet z kamienia — — Ałłahu!
liczko wnet się zarumienia — — Ałłahu!

Przy meczecie jak to bywa — — Ałłahu!
mułła rzewną piersią śpiewa — — Ałłahu!

Czy to zamieć w polu śnieży? — — Ałłahu!
ha — w arkanie panna leży — — Ałłahu!

Oj! ty mułło-mułło-mułło — — Ałłahu!
w jakąż zdradę cię rozsnuło? — — Ałłahu!

Jadą sobie Tatarowie — — Ałłahu!
Księżna Chimay w Chochołowie!.... Ałłahu?!

Grają dzwony w Westminsterze — — Ałłahu!
aż Tatarów zazdrość bierze — — Ałłahu!

Bije morze o menhiry — — Ałłahu!
wrą w tatarskiej pannie wiry — — Ałłahu!

Pewno z czarta i z Tatara — — Ałłahu!
zrodzi się ta nowa wiara — — Ałłahu!

Gdy przodkowie klacz doili — — Ałłahu!
o menhirach nie marzyli — — Ałłahu!

Oj ty mułło, mułło, mułło — — Ałłahu!
jakież czary masz pod stułą — — Ałłahu!

Może też masz egzorcyzmy — — Ałłahu!
na te od rozumu schizmy? — — Ałłahu!

Niechaj z klaczki zleci w morze — — Ałłahu!
kto Księżniczkę wwiódł w bezdroże — — Ałłahu!

Wszystkim zaś Tatarom chwała — — Ałłahu!
tyś jest morze, a ja skała — — Ałłahu!

Dobry jeździec, gdy koń bryka — — Ałłahu!
vive kołduny and papryka — — Ałłahu!

Tyś jest obłok, a ja burza — — Ałłahu!
niech twe liczko się rozchmurza — — Ałłahu!

Boś Ty wszelkich rajów bramą — — Ałłahu!
na pustyni Gobi-Szamo — —! Ałłahu!....

Muza Tarik

ze złotej Ordy *Bagadur.*

Niesłychana brutalność tonu tej ballady objaśnia się zapewne tem, że milczący Pan nigdy nie zjeżdżał z taką szybkością wśród zamieci z Himalajskich gór, gdzie świątyńka Sziwy ukazuje zło, jako wspaniałą regieneracyę Kosmosu.

Zjeżdżając z gór Himalajsko-Tatrzańskich, przez wszystkie przepaści przypuszczeń, po lodowcach możliwości, milczący Pan uznał, że ponieważ nikt nigdy nie wie, co gadzina owijająca głowę Księżniczki Meduzy myśli—lepiej więc hipotezę możliwości postawić na granicy Absurdu—i przypuścić porwanie Księżniczki przez Księdza Wergilego.

Sapienti sat.

A stało się najpierw tak: Wieszczka Mara przez trzy dni odmawiała przez straż w Turowym Rogu przyjąć Arjamana. Widocznie zaśpiewana ballada pod oknem Księżniczki rozpłynęła się szerokiem echem. Lecz wreszcie, gdy Wieszczka Mara ujrzała Arjamana, stopniał jej gniew odrazu na widok zbladłej i już w jakąś tarcz Achillesa zmienionej twarzy. Wyznała, że nawet głośno mówiła Mędrcowi Zmierzchoświtowi tę balladę, że jest to wyborna literatura, że cała śpiewa.

Lecz nie należało śpiewać pod oknem Ks. Azudem, przebierając się za jakiegoś Muzę Tarik, ze złotej ordy Bagadura.

Arjaman, kiedy mu to wypominano, płomieniał ze wstydu. Dokądże go jeszcze ta nieszczęsna miłość zawlecze?

Księżniczki weszły, Zolima i Wisznu.

I oto myśli Arjamana na widok Zolimy:

— Czemu cię wyznaję? czy jest to zaklęcie Wieszczki Mary, która mi każe być twym chevalier sans peur et sans desirs? czy odblask przedziwnej miłości Androgyna do wielkiej bogini Nauxa-Pao? Ja, stojąc w adoracji względem magicznego trójkąta, muszę kochać i twój mrok, o złudna Majo!

Porywa mię ku tobie wspólna żądza wiedzy—tylko że ty ogarniasz Zachód, a ja Wschód.

Łączy nas Morze, które w sanskrycie zwie się Matką. Ale wiem, że jesteś o ten łącznik spokojna, Księżniczko Azudem, gdyż między nami jest gorzej, niż szerokość Pacyfiku, i ja jestem spokojny, wiedząc, że ani mój mrok w samotnych nocach, ani me pustynie wśród dni — nie zmuszą mię przyjść znowu pod twój zamek i prosić o miłość, którą przyrzekłaś baronowi de Mangro. Nie przyjdę — ja, którym odrzucił miłość istotnej bogini, córy Króla Wężów!...

Tak więc, o Sziwo kobieca, która karmisz kajmany w rzece świętej Gangesu mojego, ty—lady, która w alejach Turowego Rogu prowadzisz na łańcuszku czarnoróżową meksykańską jaszczurkę —

Ty, z fantastycznością Mylitty wiążąca różaniec niepotrzebnych ci skalpów — laską doktorskich godności, igrająca wszystkimi świata pozorami —

Ty, wiedząca wszystko, co może poznać mózg duszy, pogrążonej w najgłębszym mroku —

Ty, najmniej polska, ty, nie będąca nigdy świętą, ty, mająca ideał Bafometa: głowę mądrą na czterech łapach zwierzęcia, którego to potwora czcili pono Templarjusze — —

Miłuję cię wszystkiemi niebiosami mojemi w dole, choć wiem, że mówię do ciebie, jak do jasnej szyby z lodu, przeświecającej dla promienia Inteligiencji, nieprzenikliwej dla boskiej gnozy Miłości.

Metafizyczny żar mojej Komety jest dla Ks. Azudem matematycznie określoną ilością wodoru.

Wielka skrzynia z klejnotami, które wysypałem w morze pod pałacem, uśmiechniętym od lamp, przy których Ks. Azudem pisze swe zadania ekonomiczne, posyłając do Harward University w Ameryce — te klejnoty spokojnie przyjęło morze głuche, rozigrane tylko dla własnych wiecznych odpływów—klejnoty znikły w głębi, nie zdoławszy przebić ciemnego, tajemniczego dna.

Myślę, czy dzieło, które buduje Ks. Azudem, trwalsze będzie, niż olbrzymie ogarnianie świata przez jej przodków Hanów?

W grobowiec Tamerlana, Żelaznego Krzywca, uderzył piorun, rozbijając bezcenną taflę z nefrytu, czy znalazł pod nią coś więcej, niż matematycznie określoną ilość zgnilizn i popiołów?

Któż będzie nucił wtedy balladę irlandzką?

Idzie rycerz na grób swej jedynej.
Kto mię budzi i mąci mój sen?
— Kto całuje moje usta z gliny?
Jam przebył światło, jam przebył noc —
za którą nas czeka Jedyny Ten —
nad wielką czeka cysterną —
by tworzyć świata nowego Moc:
z tą wielką pieśnią, która z Awernu
wywiedzie całą Polskę na głębiny...

Biada mi, biada—gdzie ludzka barjera dla mojej miłości? ta kobieta jest Sfinksem dla adepta Magji, a prostą zdobyczą dla chytrych myśliwych, dla tych dobrych amis i boys, których jest tylu na świecie, a Księżniczka Azudem tylko jedna.

O mroku nocy, Sziwo, nie przemęczaj mnie strachem!

Tak cudowną jest chwila południa, gdy siedzimy przy stole zdobnym w kwiaty alpejskie, gdy migoce kilkanaście barwnych garnuszków, zdobytych w Chochołowie, pochodzących ze starej góralskiej kultury — —

Księżniczka Wisznu, wyglądając Maga Litwora, promieni się między dwoma oknami, gdzie widać las w śniegu rozmityczniony słońcem — z dolin pod górami wybłyskują słupy ognia tęczowego.

Wieszczka Mara tworzy nam raj cichych uśmiechów, mądrych słów i zapraszań, aby to padło... to zwierzenie młode, kochane w Turowym Rogu.

Ks. Azudem w swym szkarłatnym pasie rozmawia o religji, tworzonej w amerykańskich wagonach, zaś Ks. Wisznu smutna, niedająca się rozweselić, jakby Tamara z Lermontowskiego Demona.

Mówimy o tem, jakichby się wybrało troje ludzi na świecie.

Ks. Azudem chce Bethovena, Newtona, a trzeciego jeszcze nie zna.

Ks. Wisznu: Chrystusa, Mickiewicza — i trzeciego wypowiedzieć nie chce.

Wieszczka Mara uśmiecha się tak smętnie, jakby niegdyś w domu Łazarza rozmawiała z Mistrzem. Ja zaś jestem porwany myślami o Pentezilei, o Achillesie i o czasach Troi — myślę, że w trójcy nie zdołam zamknąć mych uczuć dla Turowego Rogu, który chciałbym mieć, aż po ten czas, kiedy już cała ziemia będzie jednym wielkim Magnificat! granym na organach z tysięcy srebrnych trąb w katedrze, gdzie na tronie króluje Wiekuistny Luciferowy Duch.

— — — — — — — — — — —

Nie mógł w sobie ukryć tej myśli Arjaman, że miłość żłobi w nim nieprzewidzianej głębi labirynty i tworzy nowe Malsztremy, że gasi w nim te wszystkie gwiazdy, które sobie niegdyś zapalił w Pustyni.

Wracając z chaty, w zmierzchu cudnej, szafirowej turoworogskiej nocy, pytał się wśród mroku imienia jedynego i to mu niósł wiatr, szepcząc: Pustynia!

Nad żlebami ujrzał wzniesioną wśród gwiazd, odbijającą się w tafli jeziora lodowcowego, gigantyczną, wielką jak najwyższe jodły twarz Meduzy —

meteorem runęła nad brzeg wód, zaryła się—w tragicznem przechyleniu i płomieniała nieziemnem jarzeniem. Była z granitu lub syderycznego żelaza, nieprawdopodobne dzieło Ducha jakiejś gwiazdy, wyrzeźbiona w epoce, gdy wicher kosmiczny zrywał księżyce, jak pył i słomki z miejsca jarmarcznego zrywa Wiatr Ukraiński. Wryta w ziemię olbrzymia bryła, nad twarzą jej wiły się węże światła, długie na całe staje — w oczach jej tonęły marzenia, nie mogąc dosięgnąć dna oszalałego bólu. Zaiste, było to widzenie Meduzy już Nieziemnej.

Na tem urywa się „Nietota“ w „Sfinksie“. Całość wyjdzie osobno jesienią, w rozmiarach dwakroć większych, niż była drukowana dotąd.

Przyjaciołom — do zobaczenia w duchu.

Wrogom — na dalszy bój.

T. M.

JULJA DICKSTEINÓWNA.

TRZY FAZY W TWÓRCZOŚCI NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ.

Pani Cecylji Walewskiej.

Z niepamiętną od lat wielu grozą rozpętało się dnia tego morze. Niebo, całe w ogniu i od gromów huczące, i fale, niby pasma gór niebotycznych, wolą boską z posad swych ruszone, sprzysięgły się na zgubę zbłąkanego okrętu. Wśród jęków, modlitw i szlochów, co wstrząsały w bezdeń lecącą łupiną, dwoje tylko ludzi patrzy źrenicą niezmąconą w oblicze anioła śmierci, gdy idzie do okrętu— kapitan i kobieta. On—sumienie całego statku, ojciec załogi, a ona — jakąś niepojętą siłą zbrojna, co nawet nad śmierć mocniejsza. „Silnie o pokładową galerję się wsparła i patrzyła to w niebo, to w morze, i chociaż stokrotnie o jej piersi rozbił się szklanym pyłem niejeden wytrysk śródziemnej wody, chociaż wicher stargał jej włosów zawiązkę, ona stała niewzruszona, cicha, a myślała o śmierci. Śmierć, owo uroczyste pozdrowienie Boga, któż ją zna tu na ziemi? Ludzie, widząc cierpienia i mę-

ki zgonu, nazywają go śmiercią, śmierć boleścią; ludzie się mylą. Ile jest w życiu czyjem niepewności, ile rzewnych, niepodobnych do wytłomaczenia smutków, ile pragnień nieskończoności, tyle jest chwil zgonu, podobieństw śmierci. Leć, leć, aniele śmierci; dmuchnij na obłudne i mamiące twory, niechaj runą, a przyszłości zostawią żywotną część swoją: naukę prawdy. Leć, leć, aniele śmierci, a kiedy śnieżne pióra twoje dotkną czoła mojego, nie przymknę olśnionej źrenicy, bo ja wiem tajemnicę twoją, ja wiem, że ty szczęściem, wiedzą prawdy, ty życiem jesteś."

A kiedy stał się cud: męstwo i przytomność kapitana odniosły zwycięstwo nad nieokiełznanym żywiołem, te dwie dusze silne tak się sobie zwierzają z przyczyn swego bohaterstwa: on, syn żeglarza, od dziecka zrósł się z falą, z wichrem, z huraganem, on zawsze tylko o nagłą śmierć od pioruna modli się do Boga. A ona? „Słabą, słabą jestem kobietą, kapitanie! Nie brał mnie ojciec z sobą na fale wzburzonego jeziora, ani mroźna zimy naszej zawieja nie zaprawiała ciała do trudów i niewygód, pod skrzydłem rodzicielskiej opieki wzrosłam cicha, nieśmiałą gołębicą, wychowałam się pieśnią matki i myślą o Bogu. Lecz kiedy pieśń zagrała w duszy *objawieniem poezji*, a myśl o Bogu rozwinęła się we *wzniosłe pojęcia*, w czystą wiarę, gołębica nie zadrżała przed piorunem, a słaba kobieta stanęła w równi z najodważniejszym mężem".

Oto w czem tkwi moc tej kobiety, wychowanej na pieśni i modlitwie: nie ulęknie się śmierci, ani z potęg najsroższej, bo ma w duszy wzniosłe pojęcia i objawienie poezji. To właśnie najświętsze *credo* Gabryelli. Przeciwko ciosom, jakich nie szczędzi nam ścieranie się ze światem poza nami, puklerzem będzie nam ten świat drugi, świat idealny, który każdy z nas w piersi swojej nosi. Wyższe pojęcia to wniknięcie w istotę zjawisk, oglądanie świata, jego wydarzeń, jego praw—nie z naszego jednostkowego stanowiska, ale objektywnie i szeroko. „I cóż świat ogółu traci na jednem indywidualnem pojęciu, które gaśnie przed czasem. Ludzie pójdą dalej, choć człowiek ubędzie". To wiedza, dodaje Żmichowska, czyni nas zdolnymi do tak wysokich sądów.

A jeśli ten świat nietylko rozumieć, ale i kochać będziemy, jeśli sercem wyczujemy w nim Twórcę i jego wszechobecność, to nasza wiedza zleje i utożsami się z wiarą. Wiara i wiedza nie wyłączają się w myślach Żmichowskiej, owszem, dobrze rozumiane, są przymierzem najsilniejszem. A poezja? Co to jest poezja? To jest okrzyk miłości i zachwytu naszej duszy wobec cudów świata, wobec ludzi, wobec stworzenia, wobec Boga.

Tak, mniej więcej, przedstawia się pogląd na świat młodocianej Żmichowskiej, najwcześniejszy całokształt jej zapatrywań filozoficznych, artystycznych i religijnych. Przyjrzymy mu się uważniej, idąc krok za krokiem po szczeblach jego kolejnych przemian, i zobaczymy, jak w oczach Gabryelli bóstwo sztuki i poezji, widniejące zrazu ponad światem, na najwyższym z ołtarzy, jakie wzniosła ludzkość, z czasem powoli po stopniach schodzić zacznie ze swego piedestału, coraz bliżej i bliżej do tłumu ludzkiego, zmiesza się z nim, roztopi się w nim, jako jedno między wieloma zjawiskami dodatniemi czy pożytecznemi, aż wreszcie na skinienie autorki zmuszone będzie podporządkować się ważniejszym celom ogólnoludzkim, pójść na zmudną służbę obywatelską.

W tej chwili jesteśmy jeszcze w okresie pierwszym, okresie młodzieńczym Żmichowskiej, a romantycznym filozofji i literatury w całej Europie. Powiada sama o sobie poetka, że, wychowana, pod cieniem rodzinnego domu, książkami z całym pobratała się światem, a myślą po wszystkich częściach ziemi biegła za jakąś niepojętą zdobyczą wiedzy i prawdy. Dom wskazał jej wiarę i miłość, dwie najważniejsze gwiazdy, kierowniczki łodzi w jej podróży życiowej; z wycieczek książkowych po świecie,

duży przyniosła zasób wiedzy poważnej i znajomości filozofji tej, która wtedy u steru stała umysłowego życia Europy, dusza zaś własna ubrała świat rzeczywisty i zdobycze wiedzy w poezję. I w zgodzie jest Gabryella z ogólną atmosferą swego czasu, gdy twierdzi, że stawanie oko w oko ducha naszego z tajemnicą bytu jest zarazem jasnym błyskiem myśli, drgnięciem miłosnem serca wobec Stwórcy i orlim lotem wyobraźni artysty. Jest w duszy poetki cudna, niebiańska harmonja, trzy głosy, zlane w najpiękniejszy akord. Ukochanie świata jest zarazem ukochaniem jego Stwórcy, „w naturze bowiem wszystko jest miłością, miłość jest Bogiem. Ona świat poczęła i ludzkość w kolej czasu rzuciła, ona prowadzi ducha wiarą i mądrością ku doskonałości, ku szczęściu, ona jest wiecznem ożywczem tchnieniem Bóstwa, apoteozą przyszłości". Ten pierwszy okres w życiu duchowem Żmichowskiej jest okresem panteizmu, można powiedzieć uczuciowego, opartego nie na przesłankach logiki, ale ukochania dobra i poezji. A wiara w rządy i wszechobecność pierwiastku dobra i piękna napełnia duszę poetki jakiemś błogiem upojeniem, tak, że mimo bolesnych prób, jakie przechodziła w życiu i jakie smutnem echem grały po jej wierszach i listach, możemy ten okres nazwać spokojnie okresem ufności, wiary, optymizmu. „Dla nas, dla ludzi, dla świata całego jest szczęście, bo jest miłość". „Miłość, to Bóg w nas. Bogiem wypełnisz wszystko, nie wypełnisz niczem Boga". Ten Bóg - miłość jest przedmiotem, dostępnym dla naszej myśli. „Myślącemu jest Bogiem to, co zna, chrześcijaninowi to, czego nie zna, jedyna może filozofa z chrześcijaninem różnica". Ale myślenie o świecie tak pięknym, świecie, który jest sam czującem żywem sercem, jest zarazem ekstazą wobec tego cudu, jest upajaniem się nim, jest snem, jest marzeniem. Marzenie to poezja. A więc rzecz jasna: myśliciel jest poetą. Poeta jest myślicielem. Myśl o świecie jest marzeniem. Marzenie ma tę samą wartość, co i myśl.

Gęślarz najlepiej śpiewa,
Gdy duch jego się odzywa
Do nieskończoności ducha.

Czyli wyraźnie: poeta to filozof, filozof to samo, co poeta. Poety o wszystkie zagadki przyrody pytaj, on ci na wszystko odpowie. Jemu otworem stoją świata tajemnice, jemu głos Boga na ucho najwyższe plany zwierza. Zdaje się nam, jakoby wskrzesło tu echo dawno zamarłej wiary w pół bohaterów, pół niebian, w piewców natchnionych, którzy niosą wieść z góry, w wodzów, co wiodą rzesze za skinieniem im tylko dostępnych znaków, kapłanów, przez których usta objawia się ludowi bóstwo niedostępne. Dla Żmichowskiej artyści, poeci — są solą ziemi, człowiek-twórca — to jednocześnie człowiek najszlachetniejszy, najczystszy, wyższy pod każdym względem nad tłum, to nadczłowiek, świętość, relikwja w społecznym kościele. W poemaciku „Fantazja" Parakletem, Słowem Bożem, zbawcą ludzkości, co zmurszała i nad grobem stoi, jest wieszcz. Bóg do ludzkości przemawia *pieśnią*, posłannik między niebem a ziemią *śpiewa* do człowieka:

Bracia, słuchajcie pieśni,—pieśń to anioł Boga!
Pieśń to nauka wieków, przyszłości przestroga,
To silny głos zwiastuna, co na puszczy woła,
Jasny promień nad głową prawdy apostoła!

Bracia, słuchajcie pieśni! Jak anioł odleci,
Zginą wieków pamiątki, przyszłość zaciemnieje.
Głos zwiastuna o twarde serca skamienieje,
A jasny promień zgaśnie. Kto z was go roznieci,
Gdy wszystko będzie zimne i martwe i głuche?
Kto wywoła na ziemię silnemi piersiami
Z grobów życie, z wspomnienia przyszłości naukę?
Kto z was w niebo powiedzie jasności szlakami,
Jeśli pieśń wieszczów zmilknie? O ziemscy mieszkańce!
Póki Bóg jeszcze do was pieśnią się odzywa,

Póki w dusze wybranych hymn natchnienia wlewa,
Jako wonną oliwę w świątyni kagańce,
Słuchajcie Jego głosu! Ludzie! bracia moi!
W pokorze przed Nim wasze nachylajcie czoła,
Otrzyjcie serca z pyłu ziemskich niepokoi,
Dziś Bóg pieśnią,—lecz kiedyś piorunem zawoła!

Pieśń jest wobec wyroków Bożych tem, czem Jan wobec Chrystusa, a kto jej głosu nie pojmie, ten i Boskiej woli nie zrozumie.

Ludzie, słuchajcie pieśni! Ja słowo pociechy
Ja, ludzie, niosę słowo przyszłego zbawienia,
Ono wasze i dawne ojców waszych grzechy
Zmyje wodą zapomnienia!

A teraz sama osoba pośrednika, sam artysta, sam poeta, co o nim myśli autorka?

Ach! być poetą Czy wiesz, dziewczyno,
Co to poetą być znaczy?
To jest mieć wszystkie skarby bogaczy,
Rządzić cudowną, Boską krainą,
Jakiej król żaden nie ma na ziemi,
Którą ze szczęścia, z czystej mądrości,
Z wielkiego czucia, z nieskończoności
Stwarza się siły własnemi.

Ach! być poetą, to jest być razem
Wszystkiem, co żyje pod niebem, w niebie,
Kropelką rosy, iskierką, głazem,
Świat wielki przedzierzgnąć w siebie,
Światu wielkiemu dumnie panować,
I gwiazdy nocy, poranku zorze,
Ciche strumienie, wzburzone morze
Według swej woli kierować.

Ach! być poetą to ducha cudem
Czas niedościgły ująć w swe szpony,
Powieścią wieków zedrzeć zasłony,
Hymnem przyszłości nucić przed ludem,
W jednej godzinie przywłaszczyć sobie
Długiego życia innych wrażenia,
Pierwsze o szczęściu młodych marzenia
I myśl ostatnią starców o grobie!
Być męczennikiem za świętą sprawę,
Aniołem stróżem małej kołyski,
Rycerską dłonią rzucać pociski,
Albo kapłańską spełniać ofiarę.
Nie być mężczyzną, nie być kobietą,
Prawem, co ludzie mylnie nakreślą,
Lecz być pojęciem, uczuciem, myślą,
Dziewczyno, — to być poetą!

W tym tryumfalnym wykrzyku, w tem poczuciu olśniewającem własnej potęgi, zwrota trzecia jest, jak widzimy łatwo, zwykłą hekatombą na ołtarzu bóstwa romantycznej poezji, druga zaś śliczną stanowi ilustrację do pisanej literami miłości i piękna księgi panteizmu autorki. Ale i nad tą kartą przewiewa echo melodji, płynącej skądinąd. Posłuchajmy:

Ja mistrz!
Ja mistrz — wyciągam dłonie,
Wyciągam aż w niebiosa i kładę me dłonie
Na gwiazdach, jak na szklanych harmoniki kręgach.
To nagłym, to wolnym ruchem,
Kręcę gwiazdy moim duchem.
Milijon tonów płynie, w tonów milijonie,
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie,
Zgadzam je, dzielę i łączę,
I w tęcze i w akordy i w tony plączę,
Rozlewam je we dźwiękach i w błyskawic wstęgach.

Albo:

Kiedy na chmur spojrzę szlaki
I wędrowne słyszę ptaki,
Żeglujące na ledwie dostrzeżonem skrzydle,
Zechcę, i wnet je okiem zatrzymam, jak w sidle.
Stado pieśń żałobną dzwoni,
Lecz póki ich nie puszczę, Twój wiatr ich nie zgoni.
Kiedy spojrzę w kometę z całą siłą duszy,
Dopóki na nią patrzę, z miejsca się nie ruszy.

Zdawałoby się, że taki tytan, taki bóg na ziemi jest szczęśliwy, niedostępny bólom i troskom, co toczą bezimienne masy ludzkie. O nie! zaprzecza żywo Żmichowska, momentami łaski są wprawdzie godziny natchnienia, ekstazy twórczej, a jednak... jednak... „szczęścia niema — jest wielkość". Ci wybrańcy cierpią, cierpią nawet głębiej, niż my, nikły tłum śmiertelny, tylko cierpią inaczej.. Niemałostkowe, osobiste bolą ich zgryzoty, oni cierpią cierpieniem całego świata. „Kto szczęśliwy, ten Boga o powód stworzenia nie pyta". A któż głębiej wdziera się duchem w noce stworzenia, aniżeli właśnie nasz wieszczmyśliciel? Albo takie zdanie: „wiekowe tylko zwątpienia natchnionych do bytu powołują". Uderza nas tu pierwsza niekonsekwencja. Jakto? słyszeliśmy przed chwilą, że Bóg zwierza wieszczom swoje tajne zamiary, słyszeliśmy o niebiańskiej harmonji, o mądrości, która jest kochaniem, i o pięknie, które jest mądrością, a teraz patrzymy na rozpaczne pasowanie się duchów najwyższych z nieobjętą tajemnicą wszechstworzenia.

I to jest nasz pierwszy krok ku nizinom życia...

Dotąd chodziliśmy szlakami orlemi po oblanej słońcem złocistem grani, skąd w bezkresy dookoła biegła źrenica nasza. Dziś spuszczać się poczynamy stromem zboczem w cień coraz głębszy, w coraz smutniejsze krainy, a wzrok nasz, zamiast ogarniać nieskończoność, zamyka się w ramach widnokręgu, któremu imię: ludzkość. I cóż

stało się Żmichowskiej, tej marzycielce, która wczoraj wieczorem jeszcze, patrząc w gwiazdy, tak do nas mówiła: „wszystkie one na niebie z jasnych splotów potworzyły litery i zgłoski słów, jakie tylko w księgach Boga wypisane być mogą. Ja czytałam. Jedne znaczyły mądrość, drugie wielkość, inne piękność, inne znowu wszechmoc. Lecz wszystkie razem zlały się w cudny, ogólny wyraz, wszystkie razem utworzyły miłość". Tak mówiły do niej niebo i noc cicha. Co innego powiedziała o świcie zbudzona ziemia i jej dzieci. Lutnia Gabryelli grała zawsze do chóru z tem, co mówiły gwiazdy. „Z pełności serca tylko mówią usta moje." .... „Ja byłam uczuciowa tylko, za popędem serca, nie za jasnością umysłu idąca dziewczyna" zwierza się nam i taką dodaje uwagę sama o sobie: „Ja nadewszystko jestem tem, co kocham, — jestem wspomnieniem ojca, grobem matki mojej, jestem rodzeństwem i gronem przyjaciół serdecznych, dla szczęścia bliźnich jestem nienasycenie pragnącem uczuciem, dla świętości wybranych jestem wdzięczną bez miary, dla piękna ziemi i sztuki jestem zachwyceniem radosnem".

I może właśnie to serce gorące, wezbrane miłością ku wszystkim i wszystkiemu, to serce, które ustawicznie dawało znać o sobie, nie pozwoliło Gabryelli rozmarzyć się snem takim nieziemskim, jak jej bohaterce Mainie, która przy dźwiękach pieśni bożka Kościeja prześni wieki, może wieków dziesiątki, i nie wydrą jej rojeniom ani prośby towarzyszek, ani siostry żale, ani matki szlochania, nawet głos obowiązku niełatwo do krainy czarów doleci. Gabryella inaczej... Ona zbyt silnie związana była sercem z braćmi swymi i ich losem. Czuwała... Tęskniła wprawdzie w duszy za snami Mainy, za pieniem Kościeja, ale oczy miała otwarte... Czemu nie mogła ich stulić na wzór swojej dziewicy z legiendy? nie dojrzałyby może, jaki kłam jej marzeniom zadaje rzeczywistość. „Moja wiara poza dzień dzisiejszy przerosła", poskarży się z czasem, „i dlatego mi strasznie tęskno w mojej doczesności".

Kto pierwszy wdarł się brutalnie do państwa jej

snów? kto zwichnął wiarę, że sztuka jest mową Boga do człowieka? że myśliciel szlachetnym, artysta czystym być musi? jaki bieg wypadków wpłynął na to?—ja nie wiem. W powiastce natomiast, gdzie bohaterka podobne do autorki przeżywa wstrząśnienia, rozczarowanie zgotował jeden z wybranych — poeta. Młoda entuzjastka, marzycielka, dziewczyna egzaltowana, dla której już sam wyraz „poeta“ magicznym był dźwiękiem, zanim jeszcze tego, co to miano nosił, poznała, przekonywa się, że poezja nie da jej odpowiedzi na wszystkie trapiące ją pytania, nie zaspokoi wszystkich pragnień jej duszy. „Poezja“ — słyszy z ust swojego poety—„to jest wiecznotrwałe zapytanie, które stworzenie swemu Stwórcy na wszystkie wyśpiewywa tony. Odpowiedź byłaby mądrością Bożą, tak, jak ślepa spokojność zwierzęcą bezmyślnością bywa. — Wśród tych dwuch kończyn jedynie jest prawdziwa wielkość człowieka,—niepewność i chęć wiedzenia bez miary“.

Pierwsze ziarna sceptycyzmu rzucone.....

A dusza tego poety jeszcze gorsza niż jego nauka. Słowem zawód, gorzki zawód....

I teraz zjawia się przed Gabryellą dylemat, który stanie się głównym motywem całego szeregu jej utworów i jak powracająca fala uderzać będzie raz po raz o jej serce, wołając o rozwikłanie. Artysta tworzy dzieła, które przetrwają wieki; sam nie jest ideałem człowieka, ale w jego puściźnie ludzkość zyskuje ideały. Czyż go potępić? Artysta, jak burza, zjawia się wśród ludzi i jak niszcząca siła przejście swe wśród nich znaczy; dla jednej piosenki, obrazka, wierszyka jednego, który ludziom potem dostanie się w darze, tratuje nieraz bezlitośnie ludzkie szczęście, nadłamuje kwiaty ludzkich uczuć, niszczy owoce ludzkiej myśli. Bije się sama ze sobą Żmichowska: ona jeszcze wybrańców ducha pragnie obronić przed odpowiedzialnością. Z jakimś dziwnie gorzkim uśmiechem rzuca uwagę: „Przyjdzie człowiek z sercem, to się go pyta: a masz ty talent? przyjdzie człowiek z talentem,

to się nań woła: a masz ty serce?—i tak ciągle wymagania tylko“.

Gdy dziś już poeci nie są, nie mogą być w jej oczach pomazańcami, jak wprzódy, pragnie wyznaczyć im inną rolę w swoim nowym światopoglądzie, i w tym celu stwarza całą własną teorję artyzmu. Artyści to jednostki, które wśród ludzkości rodzą się odmienne, całkiem odmienne, poprostu odrębny rodzaj wśród rodzaju ludzkiego. Odrębnym też prawom muszą podlegać. Słusznie zaznacza Chmielowski, że autorka rozpatruje natchnienie artystyczne z punktu widzenia przyrodnika, co je do świata natury zalicza, i pod sąd społeczeństwa podciągnąć nie może. „Artysta tworzy tylko, tworzy zaś, bo ma zdolność, i musi tworzyć, bo tego wymaga organizm całej jego istoty, bo pszczoła także musi miód wydawać, kwiat musi pachnieć, woda rzeki musi płynąć, ale jak tworzy? na co tworzy? to jest w nim odrębnością, to już artystycznej nie stanowi natury. Artysta jest tylko odmiennym gatunkiem człowieka, co tam sądzić, ganić, chwalić, jest odmiennym i koniec. Niechże kto wielbi białość, a błękit potępi“. Jest to teorja fatalizmu. Chodzą wśród ludzi w biały dzień demony, które wzbogacają nas niebiańskimi dary, ale za to muszą... tak one muszą żyć krwią ludzką.

Jest legienda o rybaku, zakochanym w królewnie. Rybak był z biednej chaty, a królewna z zamku. Królewna umarła i zostawiła rybaka w tęsknocie. Zbrzydło mu życie i słońce i morze. Aż trzeciej nocy po pogrzebie z dwunastą godziną uchyliły się drzwi chaty, i weszła Królewna w swojej złocistej sukni, ale bardzo drżąca i blada. Usłyszawszy, że rybak kochał ją i kocha zawsze, odgarnęła mu włosy z jednej strony głowy i pocałowała w samą skroń. „I tak było nocy następnej i jeszcze następnej i wszystkich nocy przez lat trzy. A tymczasem rybak był coraz to słabszy, mizerniał i bladł z dniem każdym, aż po trzech latach nie wstał już z posłania. Ciało jego po śmierci było białe jak kreda, na prawej skroni tylko miał włosy rozgarnięte i znak drobny,

jak od ukłucia szpilki maleńkiej". A na grobie księżniczki tymczasem znaleźli pęknięty kamień i pozrywane królewskie pieczęcie. „Kamień odwalili, ujrzeli w kryształowej trumnie piękną księżniczkę, świeżą, jakby snem najrozkoszniejszym zasnęła, a tylko na ustach, niby koralu ziarno, maleńka jeszcze kropla krwi świeciła".

Ta dziecięca baśń to obraz tego, co się dzieje w świecie sztuki, według Gabryelli w późniejszym okresie jej twórczości. Królewna, co krew ciepłą z człowieka wypija, to sztuka, okrutne bóstwo, przed którem klękamy w zachwycie, nie wiedząc, że życiem przyjdzie nam spłacić uwielbienie dla niej. Sztuka to skorpjon, to wróg szczęścia ludzkiego; ona tem cudniej oczom naszym błyszczy, im więcej siły żywej wyssie z naszej duszy. A jednak trudno, tak się dzieje i tak dziać się musi. W każdem dziele piękna musi krysztalić się opal wypłakanej łzy ludzkiej; musi bić żywem tętnem drgające serce skrzywdzonej ofiary. Dlatego autorka dziś namaszczenie na poetę nazywa przekleństwem. Przeklął wieszcz dziewczynę, którą jeszcze w kołysce stygmatem marzycielki, poetki napiętnował. Więc ostrzega Gabryella silnym głosem — choć wie, że daremnie, przed tą „czarnoksiężnicą, co pieśnią rozmarza, co w dźwięki zachwyca, a już serce wydziera, już duszę pochłania".

Przyłóż, och! przytul do piersi artysty
Dłoń szczerej przyjaźni, proch ziemi ojczystej,
Ukochaj coś wyższem nad sztukę kochaniem,
Zostaniesz się z nami, my z tobą zostaniem.

A gdy „czarnoksiężnica" porwała swą ofiarę, poetka ze smutkiem rzuca jeszcze za nią te ostatnie słowa:

Więc dalej,—więc dalej—w muzykę zaklęty,
Leć, duchu, tyś grzeszny sam sobie, nam święty..

„Poeta ze świata rzeczywistego tylko uczucie czerpać powinien, z każdego serca wybrać daniną promień najczystszy, aby kiedyś wszystkie promienie w tęczę pomysłów rozwinął i oddał ludziom poezją". „Czasem tworzy okropnemi sposobami." Żeby wyśpiewał piosnkę miłości, kładzie spokojne ucho na wzburzonej piersi, nastraja do gry krwawe żyły cudzego serca i przebiera po nich marmurowemi palcami dopóty, dopóki mu artystycznego nie wydadzą dźwięku, a jak wydadzą, to choćby też wszystkie struny pęknąć i splątać się miały, oddziera od nich palce, przenosi je co prędzej na kościane klawisze fortepianu, może na smyczka włosienie, i co podsłuchał, odgrywa dokładnie, i czem pamięć naciągnął, tem echo dętych instrumentów wypełnia".

Straszna, drapieżna zmora: niepowstrzymana jak żywioł potęga! A jednak jeszcze tu, w „Pogance", gdzie taki demon spowodował klęskę całego grona ludzi, całej rodziny, tu jeszcze Żmichowska nie pozwala przekląć tego wampira. „O nie!—woła—tylko niech ci, których kochają, zdala artystów idą drogą swoją".

„Poganka" to najważniejszy etap na drodze, która od szczytów wiodła Żmichowską nizko w rozgwar życia. Odtąd spadek staje się jeszcze bardziej stromym. Tu na tym etapie zatrzymajmy się na chwilę, by się obejrzeć, jakeśmy już spadli. Niedawno mówiono nam: „Bo czy wiecie, co robią słowikom, aby ciągle i pięknie śpiewały? wypalają im oczy. Więc jak usłyszycie kiedy, że którego poetę wielkie spotkało nieszczęście, cieszcie się, cieszcie; ja wam powiadam, najpiękniejsze czytać będziecie wiersze. Poety serce jak słowicze oko, trzeba je z rozdartej wyszarpać piersi, żeby poeta dźwięcznym głosem długą pieśń zanucił"

A teraz mówią:

Potem wziąłem żyły,
Z człowieczej piersi żywcem wyciągnięte,
W krwi słowika je maczałem
I na lutnię nawiązałem,
I to lutni struny były,
Lutni struny, w pieśń zaklęte.

Może rozczarowania co do najdroższych ideałów, mo-

że inne bóle życiowe sprawiły, że Gabryella goręcej zwróciła się do wiary. W świetle miłości swojej coraz dokładniej widziała Chrystusa, czyste ukochanie ludzkości, które poświęca się dla jej zbawienia. I myśl jej, tu przylgnąwszy, w idei Chrystusa, w trosce o zbawienie duszy ujrzała ucieleśnienie owej najdoskonalszej harmońji między ziemią a niebem, której poprzednio szukała gdzieindziej. Tak, artyści dużo mówią nam o harmońji, niby w imię jakiejś harmońji wyższej, a nam niedostępnej, zakłócają zgodę i cichość stosunków tu na ziemi. Pogańska jest ta ich harmońja i urudna; prawdziwa i nieśmiertelna tylko w ideałach chrześcijaństwa, tylko w doskonaleniu się coraz wyższem, którego kresem zbawienie, tkwić może. Trzeba się doskonalić, trzeba się wznosić, trzeba działać. A jak wobec tego wygląda dawne uwieńczenie życia Gabryelli—marzenie? Ona, która w legiendzie roześnioną Mainę przed zbudzeniem się nawet na głos obowiązku chroniła, ona, która swoją wiarę w te zamknęła słowa:

Kto ma siłę i mądrość, niech idzie wśród ludzi
Leczyć rany głębokie, koić długie troski,
Bo ten wśród błota, wśród znoju,
Nie zmęczy ręki, duszy nie zbrudzi;
Lecz kto ma serce tylko do czucia, do pieśni,
Ten niech całe życie prześni,
Tego zostaw w spokoju —

dziś ze swego nowego stanowiska odrzuca z odrazą wszelką myśl o marzeniu. To nieprzyjaciel naszej duszy w drodze do zbawienia, to choroba, to pijaństwo — tylko w innej postaci, to śmierć dla ducha. Kto wierzy i kocha, ten marzyć nie będzie. I tu ona, ta marzycielka od dziewczęcych jeszcze, najwcześniejszych serca poruszeń, ona tłumi jęk własnej duszy, aby potępić to, czem krzepiła się i co było w jej smutnem życiu jedynym promieniem szczęścia. Dla wyższych idej, dla dobra innych!.. „Cicho bądźcie, myśli moje! wy spłoszone jaskółki, co mi

się teraz po mózgu, jak po ciasnej klatce, bez potrzeby i nad miarę wyrosłemi skrzydłami rozbijacie! Każdą z was niegdyś, posłankę ciepłego słońca i wiosennych kwiatów, radosnem błogosławieństwem witałam, każda w gniazdeczku swojem bez wrzawy przyległa i tylko mi o coraz nowszych, coraz piękniejszych cudach świegotała,—a dzisiaj—skąd niepokój taki? skąd takie lotu waszego dziwactwa? To nieba dosięgacie, to jedna za drugą, znużona, końcem piór swoich błoto ziemskie muska, niby w wodzie jeziora przepada, to niby tkwi przelękła, w powietrzu zwieszona, a i sama nie wie, gdzie wygiąć swych skrzydeł osady, czy tam wyżej... wyżej jeszcze,—czy się zupełnie spuścić tutaj nizko, czy też na środku w obłocznej przestrzeni pozostać? .....Cicho,—wszystko rozpłynie się w Bogu, i zawsze będzie On!..... Och! jak mi było dobrze i zacisznie!.....“

A więc odżegnać się od marzenia! A od poezji? „Poezja jest drabiną snu Jakubowego, po której aniołowie na ziemię zstępują i z ziemi do nieba się wznoszą. *Poezja jest prawdą, nie marzeniem*, prawdą, jako idealizowanie w rzeczywistości. Piękność, za którą ludzkość tęskni, i upiększenie, które ją pociesza, Bóg nad światem i Bóg w świecie — to poezja“.

A więc poezja to nie marzenie, nie! poezja i marzenie to dwoje wrogów: prawdziwy poeta nigdy nie będzie marzycielem. „Poezja rozmyśla, poezja tworzy, poezja wypowiada się ludziom, a wiesz, czem jest marzenie? Oto w niebezpieczeństwie jest bezwładnością, w nieszczęściu niedołęstwem, w zepsuciu jest zagłuszonem sumieniem, w Egipcie jest Izraelitą, nad garnkiem czosnku i cebuli siedzącym, w chrześcijaństwie jest renegatem nikczemnym, u nas jest utratą nieba dla kilku chwil martwej rozkoszy. Precz z marzeniami! precz z marzeniami!“.

Tak, precz z marzeniami!, to będzie dewiza Gabryelli na dalszą drogę życia i twórczości. Zważmy, że to hasło znów nie będzie odosobnione. Dla całego świata wtedy „przeminął czas tęczowej cudów powieści“, otrze-

żwiała myśl po narkotykach romantyzmu, otrzeźwiało społeczeństwo po przebytych klęskach. Tak, precz z marzeniami! To kradzież sił naszych najlepszych, które nie do nas należą, lecz do społeczeństwa, gdzieindziej trzeba je skierować, szlachetniej wyzyskać. Dostroić się usiłuje Żmichowska do haseł trzeźwej pracy i trzeźwej myśli, tylko że ona swój pozytywizm na chrześcijański i religijny grunt szczepi. „Rozsądek,—powiada—to jest kawałek owego powszedniego chleba, o który w pacierzu nas matki prosić uczyły, rozsądek, najpośledniejszy wyrób ludzkiego mózgu, szmatka, na którą wszyscy ubodzy w duchu zdobyć się mogą, klej, co w wspólności trzyma mędrców i prostaczków, gdy im najwyższego religjamentu, gdy im miłości zabraknie".

A jak teraz dostroić sztukę do tego nowego tła? jak ona dziś będzie wyglądała w tem pseudo-pozytywistycznem towarzystwie? Dawniej kazała tylko Żmichowska sercom, które miłość cennemi czyni, schodzić z drogi niebezpieczeństwu artystycznemu, dziś z dwuch wartości stawia serce kochające bez zawahania wyżej od dusz, których cała zasługa polega na tem, „aby piękność świata przemieniać na wrażenia". „Gieńjusz pięknych czynów stokroć wyższy od najwprawniejszego stylu, a natchnienie dobroci od natchnienia poezji nieśmiertelniejsze". „My w artystach przyzwyczailiśmy się widzieć ludzi niekarnych, fantazyjnych, dziwaków, jednem słowem, według ogólnie przyjętej opinji, artyście wolno być gorszym od innych ludzi człowiekiem. Jeśli namiętnościom swoim puści wodze, jeśli się zawieruszy w gwałtowne wrażenia, w życie bez ładu i związku, to nam się zdaje, że większej siły zaczerpnie na wydanie owych acydzieł, które właśnie ład, związek, potęgę i czystość objawiać mają."

Złudzenie! po trzykroć złudzenie! „Talent wielki, nawet znakomity bardzo talent, może być i być powinien tylko naddatkiem, jedną kosztownością więcej, przyrzuconą do skarbnicy ducha ludzkiego". „Jasny rozum i szlachetne serce... Trudno bo sobie wyobrazić, o ile te pierwiastki są niezbędne we wszystkich utworach artyzmu. Ludziom się zdaje, że zdolność może je zastąpić, niech zdolny mistrz wykona piękne dzieło, a najsurowszy krytyk o nic dopominać się nie będzie. Tymczasem pięknego dzieła wykonać nie można bez prawdy, poczuć nie można bez właściwych do jej przyjęcia organów, bez jasnego rozumu i szlachetnego serca".

I ideał artysty w jednym z późniejszych utworów Żmichowskiej to człowiek, „któremu z łatwością przyszłoby się wyrzec ołówka i pędzla, bo on poza talentem swoim jest człowiekiem, który potrafi wszystko, co my potrafimy", środek ciężkości jego życia nie w sztuce leży, nie w tem, co go od reszty społeczeństwa różni, ale w tem, co go z nią upodobnia, w tem, co go łączy, w tem, czem on jest poza swoim talentem. On jest najprzód człowiekiem, a potem dopiero jednostką utalentowaną, czy nawet gieńjalną. „Kto chce pisać, powinien uczyć, a kto uczy, powinien stanąć przed ludźmi z prawdą już ujętą".

Znalazło się więc pogodzenie sztuki z życiem. Powtórne sprzęgnięcie dwuch potęg, które w okresie środkowym tak zgrzytający stanowiły dysonans. Mamy znowu akord doskonały: piękno, rozum, szlachetność, ale w o ile niższą przetransponowany pozycję! Wszelako do duszy Żmichowskiej znów wraca pogoda. Serce i wiara pokonały burzę i znów w tak pełne otuchy, w takie nawskroś optymistyczne uderzają dźwięki: „Bądź ty, jakim chcesz, człowieku, prędzej, czy później musisz stać się takim, jakim cię mądrość i sprawiedliwość wiekuista mieć chciała. Bądź, jakim chcesz, prędzej, czy później musisz zbawić sam siebie, lub chociaż uporem szatańskim musisz wywyższyć drogi tych, co nad twojem zbawieniem pracują, musisz być świętym, lub przysparzać męczenników, co krwią swoją i łzami możliwość odpokutowania twoich grzechów wyjednają u Boga".

I tak w smutnej swej tułaczce zawinęła wreszcie poetka nasza do cichej przystani, gdzie bezpiecznie wypocznie, po utarczkach z samą sobą i ze światem. Odnala-

zła zagubione klucze od wewnętrznej spokojności, może teraz niezmącenie poświęcić się dwum wypieszczonym w duszy ideałom: myślą służyć niebu, czynem ziemi. Córa ziemi pokonała w niej marzycielkę, miłość—zwątpienie, obywatelka—poetkę. Czasem tylko jeszcze wśród przyjaciół grona, przy ogniu kominka wraca wspomnieniem ku orlim swym lotom, ku owym szlakom górnym, i wtedy westchnienie ciche pierś jej podnosi, tem głębsze, że sama ona teraz na ziemi, a gdy na dworze wieje smutny wiatr jesieni, ona wspomina, że wszyscy, którzy ją kochali, już dawno w mogiłach spokojnym snem marzą. Ale częściej myśli o tem, by ciepłem tego kominka i ciepłem serca własnego ogrzać dusze młode, które idą w życie, uzbroić je w puklerz ideałów czysty, aby przyniosły szczęście krajowi i sobie.

A gdyśmy już przemierzyli nić myśli poetki od poranku aż do zmierzchu, skończmy słowami, które ona sama wypowiada o twórcach. „Poetów możnaby rozdzielić na podpowiadających i wypowiadających, takich, którzy tworzą nowe usposobienia w warstwach współczesnej społeczności, i takich, którzy są jej słowem ożywionem, najwznioślejszem, najpiękniej wygłoszonem. Pierwsi wpływają na wytworzenie historycznej rasy swego plemienia, drudzy są jego kartką historyczną. „Umarłym—mówi gdzieindziej — należy się pamięć, zachowanie stosunku przez utrwalenie we własnem życiu ich zasad, gdy były poczciwe, przez dosnucie ich zamiarów, gdy były szlachetne, zachowanie tak wierne, jak wiernie dziejowość je zachowuje. Nie płaczmy, ale pamiętajmy, iż nasze życie—życie umarłych przędzie“.

W zgodzie z tem i my przędźmy pamięć o tych słów autorce, przędźmy myśl i w sercach trwale ją zawrzyjmy, że Gabryella w dziejach naszego narodu to bardzo piękna i bardzo biała historyczna kartka.

JAN KLECZYŃSKI.

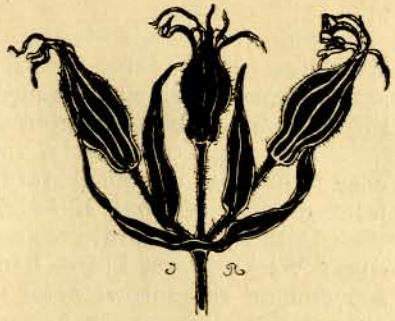

MATEJKO.

(Z powodu książki Witkiewicza.)

Chcąc ocenić dzieło życia człowieka, trzeba przedewszystkiem znaleźć miarę wartości na to, czego on pragnął dokonać. Skoro miarę tę wynajdziemy, reszta łatwo pójdzie... Względnie łatwo już potem będzie można sprawdzić, o ile dzieło odpowiedziało zamierzeniom, lub o ile dało wartości niespodziewane, nowe, leżące poza celem pragnień twórcy (które mogliśmy osądzić ujemnie) lub o ile w ciągu pracy wykonawczej obce idei autora pierwiastki wśliznęły się, niszcząc czystość zasadniczego pomysłu.

Lecz wiadomo, że nieraz idea mała, nawet nędzna, obdarzała ludzkość dziełami wielkiemi, dzięki temu, że dotknął jej gieńjusz. Czemże byłby pomysł ośmieszenia romantycznego rycerstwa w ręku innego człowieka, niż Cervantes? Może lichym paszkwilem na to, co piękne.

I równie często najpotężniejsze hasła, uczucia, myśli—stawały się śmieszne—i nawet wstrętne, bo chwytały je miernoty talentu i serc. Tu przykładów jest tysiąc i jeden.

Wspominam o tem dlatego, że chcąc w pierwszej linji oceniać zamierzenia człowieka, z którego działalność usiłuję sobie zdać sprawę, nie mam bynajmniej na myśli tego, co można by chemicznie wydzielić z tworu jego, jako jakąś tendencję jego życia. Jeżeli mówię: szukam miary wartości na to, czego dany twórca pragnął dokonać—nie sądzę tych jego chęci w oderwaniu od jego indywidualności, od jego uczuć, mocy charakteru, siły ducha, gdyż wtedy mógłbym dojść bardzo łatwo do tego taniego cynizmu, z jakim Dulcynea z Tobozzo traktowała Don-Kichota, a dzisiejsi Sanszo-Pansze, których najgienjalniejszym przedstawicielem jest Bernard Shaw, wnet by mnie przekonali, że wielkość Cezara jest zmyśleniem, bo to był tylko kabotyn, sprytniejszy od innych, że bohater-

stwo jest naiwnym wymysłem historyków, a tęsknoty artystyczne do sławy, nieśmiertelności i piękna realizują się najlepiej wobec reporterów.

Dla tego też, chcąc znaleźć miarę wartości tego, czego pragnął dokonać Matejko, trzeba zarazem zrozumieć dobrze, *kim był Matejko.*

Sprawę tę znajduję w zupełności rozstrzygniętą w studjum Witkiewicza, które, będąc w zasadzie dziełem, poświęconem rozbiorowi dzieł *malarza*, stało się w stopniu znacznie większym rozbiorem działalności Matejki, jako *człowieka czynu.* Stąd dopiero wyprowadzono konsekwencje co do jego sztuki jako takiej, sztuki, która, rzecz prosta, sama przez się jest *czynem*, ale zupełnie innego gatunku, innego rodzaju wartości społecznej.

Ideą Matejki było *pokazanie* narodowi dawnej Polski, napowrót powołanie do życia w szeregu wielkich obrazów jej tragiedji, chwały, zbrodni, potęgi i rozkładu, wykazanie w jaskrawych dowodach przyczyn jej upadku, postawienie przed oczy znękanego, w apatję wpadającego narodu „widma jego cierpień, widma jego sumienia".

Była to więc idea patrjoty i historjozofa, który chciał stać się narodu oskarżycielem, kapłanem i nauczycielem— idea nie będąca obcą żadnemu prawie z wybitniejszych Polaków, którzy w jakikolwiek sposób chcieli oddziaływać na swoje społeczeństwo—począwszy od wielkich poetów, a skończywszy na publicystach i agitatorach partyjnych.

Matejko chciał ideę tę przeprowadzić w tworach sztuki, chciał przemówić do narodu językiem malarstwa— wyrazić linją i barwą to, co w sposób znacznie prostszy i jaśniejszy dałoby się zrobić w dziełach historycznych, w ścisłem rozumowaniu, w rozprawach, operujących logiką słów, nie zaś logiką widm kształtów i ich ugrupowań. Ściśle mówiąc — Matejko chciał przemówić logiką piękna tam, gdzie trzeba było operować mową faktów i ich naukowem zbadaniem z zimnem, beznamiętnem wysnuwaniem nieodpartych wniosków.

Tak by przedstawiała się idea Matejki w oderwaniu od jego indywidualności. Ocenić by ją można wtedy jako usiłowanie wykonania czegoś, co jest prawie zupełnie niepodobnem do urzeczywistnienia, jako jakąś manję umyślnego brania nieodpowiedniego materjału do stworzenia rzeczy w innym sposobie względnie łatwej do zrobienia, jako wynik braku kultury myślowej i uświadomienia, jako coś w tym guście, jakby naprzykład ktoś dowodzenia chemiczne zechciał odtworzyć w muzyce, lub wystawić gotycki kościół z czcionek drukarskich. Możnaby przypomnieć, że ludzie, gorejący jednakowym zapałem do czynów czysto społecznej, czy patryjotycznej natury, jak do spraw sztuki i nauki, umieli rzeczy te w umysłach swoich i działalności rozdzielać, i wiedzieli jakiemi środkami przemawiać w jednej, jakiemi zaś w drugiej dziedzinie. Dlatego też Leonardo da Vinci nie malował swoich rozpraw fizycznych, ani rzeźbił pomysłów inżynierskich, a Maxwell, będąc wielkim uczonym, socjalistą i poetą, nie przemawiał do robotników formułami matematycznemi, ani też ogłaszał swoich odkryć naukowych wierszami.

No i szybko załatwilibyśmy się w ten sposób nietylko z Matejką, ale też z całem malarstwem historycznem, i z wszelką sztuką „nieczystą", czyli taką, która służy „tendencjom".

I byłoby to słusznem—w zastosowaniu do ludzi i talentów małych, do dusz słabych i nijakich.

Ale wobec wielkich charakterów i wielkich uczuć takie rozumowania zwolenników pustej formuły „sztuka dla sztuki" są śmieszne.

Wychodząc z tego stanowiska, przekreślilibyśmy „Boską komedję" Dantego, dramaty historyczne Szekspira, „Wesele" Wyspiańskiego, „Dziady" Mickiewicza, „Króla-Ducha" Słowackiego, „Don-Kichota" Cervantesa, a wreszcie—ach! ośmielam się na rzecz okropną—wreszcie, ściśle rzecz biorąc, musielibyśmy wykreślić także dramaty Ajschylosa i najwspanialsze posągi greckie i olbrzymią, niedosiężną sztukę Egiptu i wszelką sztukę religijną—a więc większość tych obrazów wielkich Włochów, którzy byli naprawdę wierzącymi—n. p. Fra Angelica — i sztukę gotyku — n. p. katedry, modlące się wszystkiemi linjami swych murów—i rzeźbą gotycką—i malarstwo Byzancyum, tę kolebkę włoskiej sztuki — i IX Symfonję Beethovena i polonezy Chopina i poematy symfoniczne Straussa i Karłowicza.

Albowiem we wszystkich tych dziełach sztuki artyści chcieli przemawiać do ludzi językiem piękna, mową kształtów, barw, linji, dźwięków—chcąc ich przekonać, że głoszą jakieś wielkie „odwieczne" prawdy (choć mogły to być oczywiście prawdy zupełnie nowe) a przecież to już rzecz teoretycznie obojętna, czy prawdy te mówią

o świętościach narodu, o bohaterskich duchach, walczących za ojczyznę, czy o nieubłaganej ananke, o przeznaczeniu człowieka, o karach za grzechy i nagrodach za cnoty w jakimś fantastycznym świecie, o wielkich chwilach w ludzkości, gdy człowiek odnajduje w człowieku brata, a w całej naturze siostrzycę i t. d.

Chodzi tylko o to, aby prawdy owe, pochłaniając wszystką treść wielkiej duszy, wydobywały się w dziele sztuki jej własną mową, która zawsze jest mową uczuć, nie zaś mową abstrakcyjnego myślenia, i która to mowa uczuć opiera się też na specjalnej *logice uczuć*, zupełnie odrębnej od logiki rozumowań, na logice zapewne znacznie głębszej, niż ta, jakiej prawa już zbadano i jaka, spotykając fakty z życia uczuć, staje się bezsilną, nawet śmieszną.

Mówimy, że artysta „wypowiada się" w danem dziele. Nie jest to przecież przypadkowe wyrażenie. Artysta każdem dziełem pragnie czegoś dowieść, lub, jeśli kto woli, coś przedstawić, coś co on sam niezawsze ściśle by mógł określić, ale co jest syntezą jego duszy.

Nie chciałbym, aby mnie posądzono o posiłkowanie się frazesami, to też pragnę choć kilku słowami dowieść, że ta synteza duszy, nad którą można z niezmierną uciechą koziołkować po błazeńsku, jest rzeczą dla artysty zupełnie zrozumiałą — rozumie się nie dla takiego artysty, który zadawalnia się fabrykacją kiczów portretowych czy powieściowych.

Do życia duszy należą nietylko te nieuchwytne, choć niezapomniane wrażenia, jakie spływają na samotnych, błądzących przy księżycu czy bez niego melancholików i różnego rodzaju zatraceńców, lecz także i jasne, silne, w pełni słońca budzące się pragnienia, żądze i myśli. Rozumie to doskonale Witkiewicz, mówiąc swoim przepysznym stylem na str. 216 o tem, że „musi być częścią duszy artysty" — wszystko „od najsubtelniejszych stanów duszy aż do rozpętania najbrutalniejszych namiętności" „I nietylko to, ale i to wszystko, co stanowi elementarną siłę życia zbiorowego, co stanowi ducha narodowego, co wstrząsa miljonami dusz i prowadzi je gdzieś w niezmierzone otchłanie czasu, ku ledwie przeczuwanym celom i nadziejom". „Musi on być obecnym na wszystkich Golgotach, na których krzyżują proroków, na wszystkich wyłomach, na których walczą nowe idee ze staremi, we wszystkich bitwach myśli i oręża, wszędzie gdzie

przejawia się życie, ponieważ ono jest oceanem zjawisk, którego częścią jest jego dusza i którego objawieniem jest jego sztuka".

... „I którego objawieniem jest jego sztuka".

Nie. O ile niezaprzeczoną prawdą są wspaniałe wskazania, a raczej stwierdzenie faktu, jakiem „musi", a raczej jakiem *jest* rzeczywiście „życie duszy" każdego wielkiego artysty, o tyle ostatnie zdanie nie jest wystarczającym wnioskiem, wysnutym z tego bujnego, olbrzymiego życia.

Sztuka nie jest tylko „objawieniem oceanu zjawisk". Jest właśnie czemś, co wprawdzie na tle tego oceanu powstaje, ale czego nawet niepodobna nazwać syntezą, wyłącznie tylko z tego oceanu stworzoną, czyli, poprawniej mówiąc, stworzoną z odczuć wobec tego oceanu. Nie. To dopiero, pomimo cały ogrom, jedna część życia duszy twórczej. Drugą jest to, co wnosi wyobraźnia, fantazja i myśl—inaczej mówiąc—twórczość.

Bo pocóż inaczej artysta miałby być obecnym „na wszystkich wyłomach, na których walczą nowe idee ze staremi, we wszystkich bitwach myśli i oręża"? Przecież nie jako bierny świadek obcej twórczości, lecz jako twórcza, silna jednostka, która, wchłonąwszy myśli obce, tworzy nowe, swoje własne, zapładnia swoją twórczą myśl i twórczą wyobraźnię.

Oczywiście nie mówię tu o jakiejś sybaryckiej hodowli własnej duszy, o praktycznym celu uczestniczenia na Golgotach świata! Artysta, który, na wzór Goethego, chciałby dotykać rozpalonych serc i płonących wyobraźni jedynie w roli „trzeźwego" badacza, nie stworzy „nowego dreszczu" w sztuce. Opanowanie potrzebne mu będzie dopiero przy tworzeniu dzieła. Artysta żywi twórczość własną, zapładnia duszę ogromem jej wrażeń bezwiednie, żywiołowo, bo tak musi. I rzuca się w wir wielkich wydarzeń życia nie jak „Weltreizender", ale jak żywy, czujący człowiek, jak Byron. Również żywiołowo, jak żyje artysta, pracuje jego wyobraźnia, jego myśl, odczuwająca idee, przeczuwająca je, lub zupełnie uświadamiająca. Tylko z takich idei, przeżytych, krwią serca oblanych, powstaje sztuka. Takie idee stanowią właśnie syntezę duszy artysty. „Wszystko inne — to literatura".

Inaczej mówiąc, syntezą duszy możnaby nazwać splot wszelkich wrażeń, uczuć, twórczych fantazji i myśli,— z takiego splotu tryskają w twórczych duszach idee,

w których tyleż będzie pierwiastku uczuciowego i obrazowego, co dydaktycznego (myślowego).

Jednakże wiemy bardzo dobrze, że ten podział władz duszy, jaki podałem wyżej, jest sztucznym, a przynajmniej jest czemś czysto formalnem, co zostało w wiedzy współczesnej przezwyciężonem. Niepodobna stwierdzić, jakie pierwiastki naszych władz składają się na to, aby powstała myśl, myśl twórcza. Niepodobna ściśle rzecz biorąc, wogóle nawet, oddzielać procesu myślowego od wrażeniowego i uczuciowego. Niepodobna nawet mówić, że ktoś myśli „tylko“ mózgiem, przyczem „dusza“ jego śpi, ani też odwrotnie, opowiadać o jakichś czysto uczuciowych przejawach życia, czy twórczości, w których nie było by udziału „mózgu“, a to dla tego, że myślimy właściwie nie samym mózgiem, ale całem ciałem, myślimy równie dobrze słowami, jak uczuciami, wrażeniami, myślimy zarówno wiednie, jak bezwiednie („świadomie“ lub „nieświadomie“).

W samej rzeczy zawsze myślimy więc *syntetycznie*— i tylko od siły tego procesu myślowego, od siły twórczej danego osobnika zależy, czy myśli jego umieją poradzić sobie z nawałem otrzymywanych wrażeń, czy *wiedzą* wogóle o tych wrażeniach — i prawdach (doświadczeniach) nabytych, czy umieją odgadnąć ich treść uczuciową, lub metafizyczną, lub obydwie te ściśle zresztą połączone, treści, czy mogą na zasadzię zrozumienia swoich wrażeń wysnuć z nich nowe, twórcze idee—i wreszcie, czy umieją te idee wyrazić językiem zrozumiałym dla ludzi.

Niedokonano jeszcze w żadnej psychologji (którąby napisał człowiek twórczy) analizy tego stanu twórczych jasnowidzeń, który nazywamy natchnieniem. Są tylko w Kursach paryskich literatury słowiańskiej Mickiewicza rzuty myśli o tem, co jest intuicja. Według jego wskazań intuicja byłaby (nie cytuję tu słów Mickiewicza, tylko to, co można z nich wysnuć) jakimś błyskiem ducha w przyszłość (lub w głąb rzeczywistości? — jeśli tak powiedzieć wolno) na mocy doświadczenia, na mocy tego logicznego, nieubłaganego rozwoju, jaki istnieje w naturze.[1])

[1]) „Intuicja *daje nam razem i uczuć i pojęć* sposób otrzymywania prawdy: intus-itio—jest wejście wewnątrz siebie“. „Kiedy człowiek, uszedszy część drogi dobrej lub fałszywej, staje nagle na punkcie, *z którego postrzega koniec kierunku jaki wziął* i jakiego już musi trzymać się mimowolnie, postrzeżenie to staje się dlań prawdą dotykalną, zwaną u starożytnych *fatum*, u ludu pomyślnem lub złem *przeczuciem*“. „Adam Mickiewicz, rzecz o lit. słow.“ Poznań 1851, rok trzeci, str. 174 i 181.

Objaśnia to istotę sprawy bardzo mało, ale rzecz jasna, że jeśli zgodzimy się widzieć w poglądzie Mickiewicza choć część prawdy, czyli część jego prawdziwych wrażeń, te zaś, jako dotyczące gieńjalnego człowieka, muszą mieć dla nas w danym wypadku stokroć większą wagę niż wszelkie uczone dowodzenia „doświadczalne“ (o intuicji nie może mówić przecież człowiek, który jej niema, choćby był człowiekiem najobszerniejszej wiedzy — „doświadczeniami“ w kwestji natchnień i intuicji są tylko wspomnienia ludzi twórczych)—to uderzy nas tutaj *przeczuciowy* charakter intuicyjności, czyli fakt, że dla stworzenia t. zw. „suchych“, logicznych wniosków, trzeba posiadać wprzód owej logiki rozwijającej się przed nami *odczucie*— czyli intuicję — czyli natchnienie — to zaś nazwać można inaczej *momentem twórczym*.

Wszystko, co się stało na świecie z woli człowieka, począwszy od wynalezienia pługa, dzidy i łuku, a skończywszy na sztuce Egiptu, Grecyi, Włoch i Polski oraz na telegrafach, samochodach i aeroplanach—wszystko to powstało na zasadzie owych momentów twórczych, błyskających w głowach (w duszach?) gieńjalnych wybrańców Natury, co szukała narzędzi do przejawienia nieskończonej, nieustającej twórczości swojej. Wszystkiemu temu jeden jest wspólny początek—ta niepojęta zdolność twórcza do syntetycznego, intuicyjnego, natchnionego myślenia, w którem odczucie świata, odczucie właściwości materji go tworzącej, łączy się z wysnuwaniem nieodparcie logicznych wniosków. Może być, że źle, nie filozoficznie się wyrażam. Dla mnie np. materja nie istnieje, a raczej nie mogę rozdzielać jej od tego, co nazywa się „siłą“, „duszą“, „ruchem“ i innemi mistycznemi pojęciami. W chwili gdy nauka zaczyna się zbliżać do jakiegoś olbrzymiego zjednoczenia wszystkich zjawisk w jedno panteistyczne, tajemniczo-twórcze, wiecznie młode życie, kiedy zjawiska promieniowania radu, światła, elektryczności, siły ciążenia, dążą do zupełnego utożsamienia się, wtedy wydzielać z tego szeregu objawów życia myśl ludzką i uczucie, jako coś odrębnego, obcego, wydaje mi się bredzeniem teologicznego uporu, niczem więcej.

Jeżeli więc mówię o „odczuwaniu właściwości *materji*“, to dlatego tylko, że jest to pojęcie najogólniejsze, że inaczej nie potrafię określić stosunku tego żywiołu, jaki przedstawia myśl i uczucie człowieka względem innych żywiołów. Zamiast „natchnienie“ możnaby użyć przecież

określenia „żywiołowe myślenie“—„żywioł myśli“—co byłoby zapewne słuszniejszem—boć o dziejach powstawania tego żywiołu w człowieku wiemy nie więcej, niż o narodzinach innych „sił“ w naturze—możemy tylko mniejwięcej badać, w jakich warunkach dana siła powstaje.

Zastrzegam się, że w danej chwili nie idzie mi bynajmniej o jakieś dyletanckie tworzenie filozoficznych syntez, ani o tani efekt propagowania modnego już nawet dzisiaj panteizmu, ale o przypomnienie skromnego faktu nierozerwalności tego, co nazywa się duszą, o ścisłem złączeniu ze sobą procesów myślowych i uczuciowych. Możnaby to określić jeszcze tak: niepodobna stwierdzić, czem jest fakt świadomości, fakt, że ja wiem o moich czynnościach, życiu, myślach etc. — niepodobna dowieść, o ile myśl uświadamia uczucie, gdyż bardzo jest możliwem, że w rzeczywistości dzieje się przeciwnie—że uczucie „uświadamia“ myśl, że wydobywa ją, puszcza w ruch, że się tak wyrażę, każe jej iść w tym, a nie innym kierunku — nieubłaganie — zasłaniając, właśnie u ludzi twórczych, przed jej oczyma wszystko, co mogłoby ją zboczyć z drogi — nawet uczynić jaśniejszą, szerszą, lecz mniej potężną. I stąd może płyną potworne, niezrozumiałe dla wszystkich mólów biograficznych, błędy gieńjuszów—np. znane błędy Napoleona, których uniknęłaby każda przeciętność, każda *beznamiętność*.

Ileż „odczucia świata“, czy też jego „materji“, „siły“ i t. d., było w każdem odkryciu naukowem, w każdej myśli metafizycznej! To odczucie miał zarówno Paracelsus, jak Newton, Kopernik, Darwin, jak Plato, Kant. Myśl tych ludzi wynalazła *dowody* na to, co było ich przeczuciem, intuicją, ale dowody owe tkwiły już żywe, jak drzewo w ziarnie, w tych silnych natchnieniach, objawieniach logicznych. Wydobyła je na jaśnię namiętność — żywioł, któremu nie mogli być nieposłuszni, bo tym żywiołem byli oni sami właśnie.

W ten sposób rozumiem zdanie Mommsena, że „bez namiętności niema gieńjuszu“. Cały Nietzsche jest podobnych prawd objawieniem—hymnem na cześć wielkiego, nieubłaganego, bezwstydnie potężnego życia.

Wielkość namiętności jest miarą wartości człowieka (kto chce może to nazwać „wolą“)—wszelka inna miara—to „literatura“, to kodeksy etycznych szpargałów, lub zjełczałych przesądów stadnych, to ligi „czystości“, „abstynencji“, „wiecznego pokoju“, pierzyną trącące, burżuazyjne „idealizmy“, nie mówiąc już o obłudnie chrześcijańskich wzdychaniach, poza któremi kryje się zwykłe tchórzostwo, bezbarwność, beznamiętność — a więc bezmyślność.

Namiętność nigdy nie jest bezmyślną.

Namiętnie wygłoszone prawdy nie potrzebowały nawet nigdy dowodzeń logicznych. „Namiętności należą do gatunku niepokonanych mówców“ — rzekł La Rochefoucauld. Działały samą suggiestją wielkiej mocy wewnętrznej tych, co je głosili. Takie prawdy najsilniej wżarły się w miazgę ludzkości—a nie mam tego bynajmniej za dowód „wulgarności“ prawd owych. Buddha, Chrystus, Mahomet—ach, wybaczcie—może i Nietzsche i Słowacki i Mickiewicz...

Ludzie ci mieli szczególną zdolność syntetycznego życia myślą i uczuciem, i syntetycznego wygłaszania swoich natchnień i objawień. I dlatego też mowa ich była jak piorun, jak żywioł, jak ucieleśnienie świętości. Nazywano ich synami bożymi—lecz można by ich też nazwać wielkimi artystami, wieszczami. Byli niewątpliwie artystami żywej mowy, której logika leżała nie w prawach rozumowania, lecz w nich samych, w potędze ich uczuć twórczych, splątanych w jedność nierozerwalną z ich myślą twórczą. Umieli oni być zrozumiałymi dla tłumów, głosząc wielkie prawdy metafizyczne, ukryte w każdej religji. Wiara ich, namiętna i przeczysta, wiara mocniejsza od śmierci, wiara śmierć zwyciężająca, świat cały jednocząca z duchem ludzkim — była widomym znakiem, symbolem syntetyczności ich natur i stanowiła miarę ich wartości, ich wagi gatunkowej w dziejach ludzkości — wiara w prawdę tego, co im dyktowały natchnienia, objawienia, intuicje—momenty twórcze, a raczej nieustanny, jeden, olbrzymi moment twórczy, trwający przez całe ich życie, stylizujący ich mowę w ten sposób, że przenikała w głębie dusz innych, że przemawiała jak sztuka — jak wielka poezja.

Każda sztuka na szczytach swoich jest wybuchem wiary—wiary w jakąś wielką prawdę, która stylizuje słowa, linje, barwy, płaszczyzny kamienia w ten sposób, że zmusza owe linje, słowa, kamienie do przemawiania mową uczuć, będącą jednocześnie mową myśli. Sztuka wyrasta z namiętnych ekstaz, z wielkich ukochań. Spokój wyrazu jest tylko dowodem czystości nieskalanej tych ekstaz i namiętności, porywów, bólów, tęsknot, uniesień, żarów—czystości w tym względzie, że nie mąci ich, nie wypacza tych rzutów duszy żadna myśl uboczna, żadne

uczucie uboczne, inne, niż to, które wywołało ekstazę, ból, namiętność, żar, tęsknotę... Spokój wyrazu i swoboda stylu powstaje tylko z tej pewności ręki lub głosu, jaką daje moc nieprzeparta lawiną w jedną stronę pędzącego uczucia, wiary, namiętności. Ta sama moc daje właśnie gieńjuszom możność odgadywania tych giestów, linji i wyrazów, które myśl i uczucie najjaśniej, najzwięźlej, najprościej pokażą—takich znaków, które dla wrażliwości ludzkiej będą najbardziej zrozumiałe. W ten sposób kształciła się i kształci wciąż wszelka mowa. W mowie buszmanów naliczono kilka set wyrazów, ale Szekspir używał ich—zdaje się—17,000.

Tak,—jak nowe dźwięki, powstają nowe linje, nowe płaszczyzny—wszelkie nowe formy w sztuce—z czystych, wielkich odczuć, uczuć i wierzeń—wszelkie *style*.

Te style, znaczące w sposób nieomylny, lekki a potężny, wielkie uczucia, wiary—namiętności—a więc myśli, to piękno, to sztuka.

Ależ mówiłem wyżej, iż podział na myśl i uczucie jest sztucznym. Tymczasem—czem wytłomaczyć, iż namiętność pcha jednak ku lawinom twórczej logiki, ku czystej filozofji lub nauce—drugich zaś ku ekstazom religijnym, szałom zmysłowym i sztuce?

Czemu istnieje coś, co zmusza jednych do wypowiadania się mową uczuć, drugich—mową myśli? czemu logika jednych rozumie uczucia, ich najsubtelniejsze drgnienia, innych zaś — chwyta to, co rozjaśnia ciemnię niewiedzy w sposób zupełnie przeciwny? Wprawdzie i ci i tamci operują syntezą, ale z syntezy tej wydzielają się pierwiastki tak różne gatunkowo!

Nie będę tych zagadnień próbował rozstrzygnąć.

Poza prostem przyznaniem się, iż *nie wiem* o tych procesach wewnętrznych twórczych natur, ani o tych różnicach, nic — nie wiem mniej, niż inni — mogę tylko stwierdzić raz jeszcze, że odczuwam nierozerwalność duszy ludzkiej, dla której i myśli i uczucia są jakąś wielką jednością, że cała różnica leży w *sposobie* wypowiadania się, że w każdem „najsuchszem“ dowodzeniu, które ma w sobie twórcze pierwiastki, leży synteza, a wszelkie sposoby mowy kształciła wiekami intuicja, natchnienie.

* * *

Matejko był wielką duchową potęgą, wielką namiętnością.

Był to człowiek, który, jak stwierdza Witkiewicz, „czuł głęboko, potężnie i prosto, słusznie, jak lot pocisku“, który miał to rzadkie „bohaterstwo bycia sobą“ właściwe tylko ludziom wyjątkowym — np. Mickiewiczowi. Miał „zdolność olbrzymiego trudu“, potężnego skupienia całej energji i woli w jednem ognisku dla dokonania artystycznego czynu“. Życie jego to „ciągły poryw, ciągła namiętność“. „Jest on jakby ofiarą siły wyższej, która go trzyma w niewoli i zmusza do olbrzymiego trudu“. Zadziwia w nim „olbrzymia zdolność pracy, trwałość i ciągłość, z jaką trzymały się jego umysłu zagadnienia, których urzeczywistnienie stało się jednym z celów jego życia“.

„W jego czynie tkwi ta pierwotna energja, która nie zdobyła jeszcze doświadczenia i zużywa się w nadmiarze działania, nie umiejąc oszczędzać ani swojej siły, ani czasu, ani materji. Ogrom jego dzieła przygniata poprostu człowieka, który je stworzył, zdaje się on być małą mrówką, przywaloną piramidą, sięgającą w niebo, wydźwigniętą przez jakieś cudowne siły, które przez niego działały“.

Zbytecznem jest, jak się zdaje, dłuższe przytaczanie cytat, jak również przytaczanie faktów, słuszność i poglądów powyższych potwierdzających. Sprawa ta została z niezmierną ostrością widzenia rozstrzygnięta przez Witkiewicza. Matejko, jako człowiek, jako wola, moc i czystość uczuć, był wielkością.

A jeżeli tak jest, to do zamierzeń jego należy przyłożyć zupełnie inną miarę, niżeśmy to wyżej uczynili, szacując je w oderwaniu od tej wielkiej indywidualności. Należy przyłożyć tę miarę, jaką go właśnie mierzy Witkiewicz, mówiąc: „Głos Zygmuntowskiego dzwonu nad jego trumną zdaje się być jękiem, idącym z głębin dawnej Polski, której nikt bardziej, głębiej, namiętniej nie kochał i nikt jaśniej, bliżej, dotykalniej nie widział i nie zdołał wskrzesić. Jest on jednym z tych ludzi, którzy, jak słupy ogniste wśród mroku niewoli, wiodą naród wzniosłemi drogami i nie dają mu ani spodleć, ani zginąć w rozpaczy, ani zapomnieć nadziei“.

Jeżeli zaś tak jest, to apriori twierdzić można, że człowiek taki, chcąc przemówić do narodu językiem malarstwa, nie omylił się w wyborze środków do wyrażenia swych myśli, że sam olbrzymi pęd jego duszy czuwał nad tem, aby ona mogła się wyrazić w kierunku najmniej-

szego oporu, że zatem on, Matejko, w żaden i inny sposób nie wyraziłby duszy swojej jaśniej, ani prościej, ani silniej, że dalej — i to jest najważniejsze — dydaktyczność jego idei tak dalece była w nim splątaną z motywami czysto uczuciowemi w jednolitej syntezie, że środkom malarskim w jego dłoni musiała dać moc nieprzepartą. Czyli, że Matejko miał, zabierając się do swojego kolosalnego dzieła, przeczucie jakichś tak dobitnych linji, które zdolne byłyby odtworzyć cały olbrzymi rozmach jego grzmiącego, gromiącego i bolejącego kapłaństwa, apostolstwa, nauczycielstwa — wszystkiego tego, czego ucieleśnieniem jest jego „Skarga".

To, że Skarga (mówię o postaci historycznej, nie w obrazie) przemawiał słowami, a Matejko barwą i linją, nie jest czemś ani przypadkowem, ani wynikiem specjalnych warunków, „otoczenia". Przypadkowość, przypadkowe zasługi (w dziedzinach naturze danych osób nieodpowiednich, lub mniej odpowiednich) czepiają się ludzi małych, których nie stać na jednolitość życiowego pędu. Jeżeli ktoś miał talent poetycki, czy malarski, a stał się agitatorem, lub dziennikarzem, to niema on co biadać nad swoim losem, lub dziwić się jemu. Jego dusza nie miała mocy tak wielkiej, aby skierować czyny w kierunku najmniejszego oporu, w kierunku najsilniejszego, najbardziej bezpośredniego wyrazu.

Dlatego też twierdzę, że skoro człowiek wielki z celami historjozoficznego kapłana całą pasję swego życia poświęcił malarstwu, to musiał się on stać wielkim malarzem. Twierdziłbym tak, gdybym nawet nie znał żadnego obrazu Matejki, znając tylko biografię, uwzględniającą moc jego duszy.

Wielki malarz! Czy znaczy to, że on w każdym obrazie jest wielkością?

Nie. Bo niewszędzie malował on „to, co czuł wobec historji", nie wszędzie „uczucie syntetyzowało ogrom pojęć" — jak się wyraża Witkiewicz. Matejko namalował też, obok obrazów, które dawały wyraz syntezie jego duszy, dzieła, będące tylko wypływem jakiegoś „poczucia obowiązku" wobec narodu — a to jest zupełnie co innego. Miłość i obowiązek — to tak, jak płomień i woda.

* * *

Witkiewicz pisze, że niekiedy inteligiencja Matejki „nie mogła udźwignąć ogromu jego talentu ani owładnąć

jego potężnym temperamentem; jej pomysły są często dziecinne w porównaniu z powagą i mocą tego, co Matejko mógł wyobrazić i jak mógł to namalować".

„Matejko był naturą głęboko i potężnie uczuciową, jego wyobraźnia była w bezpośrednim z jego uczuciem związku, lecz formy, któremi miała się posługiwać, nie istniały w bezpośredniem Matejki otoczeniu, życie, którem ta wyobraźnia miała się karmić, które szarpało jego uczuciem, nie istniało w teraźniejszości, było opisane w książkach, a formy jego trzeba było odbudować z okruchów sztuki, z resztek rzeczy, ze starych portretów i sztychów."

„Tym sposobem Matejko nie mógł wyrażać jedynie głębi swoich uczuć, lecz musiał być zarazem ilustratorem tekstów historji, opowiadać środkami malarskimi o zdarzeniach dawnych czasów, lecz jednocześnie, z natury swojej osobowości, nie mógł on być tylko ilustratorem—czuł i musiał myśleć, czuł głęboko, potężnie i prosto, słusznie, jak lot pocisku, ale jego myśl te uczucia gmatwała i nie dawała niekiedy im się przejawić w zupełnej czystości i mocy. W tem leży tragizm jego życia i sztuki".

Przytoczyłem ustęp powyższy w całości, gdyż jest dla wytłomaczenia twórczości Matejki niezmiernie ważnym. Zawiera on przedewszystkiem jasny obraz szalonych trudności, jakie miał przed sobą Matejko, daje pojęcie, ile ten człowiek zużył swego olbrzymiego pędu na grzebanie się po muzeach archeologicznych, wyjaśnia jeszcze bliżej, czem się różnił ten malarz historyczny, który *nie mógł* być tylko ilustratorem historji—od innych malarzy tego samego „rodzaju". Zarazem jednak w określeniach, w czem „leży tragizm jego życia i sztuki"—zarówno jak też w przekonaniu, że *trzeba było* odbudować dawne życie przez tak mozolne poszukiwania, przez stratę tak wielkiej masy energji — dla dokonania zasadniczej idei Matejki—dla wyrażenia jego kapłańskiej duszy—leżą te niedomówienia, których dopełnienie jest właśnie celem niniejszej pracy.

Linja zasadnicza tego, co Witkiewicz o Matejce napisał, jest tak słuszną i głęboko ujętą, iż jeśli się wdaję w pewne zastrzeżenia i dopełnienia, to bynajmniej nie dla obalenia tego wspaniałego studjum, ale dla tego że, o ile mi się zdaje, linja ta chwilami wykrzywia się w książce, dalej zaś, jak to tylko bywa u szczerze twórczych, przeczuciowych ludzi, występuje na jaw niespodzianie, powodując *pozorne* sprzeczności.

Na str. 242 i 3 pisze Witkiewicz, że w Matejce było „jakby dwuch ludzi, dwuch artystów, którzy nie zawsze umieli stapiać siebie w jedno i nadawać wspólnemu dziełu jednakie wrażenie całości. Matejko, który tworzy obraz w wyobraźni, widzi go, jako jednolity wyraz danego zdarzenia, wynikającego ze splątania się sprzecznych lub zgodnych uczuć rozmaitych ludzi". „Ale Matejko, który obraz wykonywa, rozważa, rozumuje i wprowadza doń *rozmaite pierwiastki myślowe, wynikające z innego stanu duszy, z innego usposobienia, a które w malarstwie muszą przybierać pewne formy i barwy*, muszą zabierać część obrazu dla siebie i to z takim despotyzmem, że pierwotny, jednolity jego charakter ulega rozbiciu, chwieje się i rozprasza". Dalej, po tej niesłychanie głębokiej uwadze, Witkiewicz, podkreśla mimowolne, z pracą archeologiczną związane z niej wyrosłe, zrodzone rozmiłowanie się Matejki w malowaniu wszelkich szczegółów archeologicznych i anegdotycznych i tak dalej mówi: „Jeden Matejko czuje głęboko i namiętnie, z siłą i ostatecznem napięciem duszy to, co się dzieje z upadającą Ojczyzną, sprzedaną i shańbioną, ale ten drugi Matejko, ten malarz realistyczny, ten wiecznie pasjonowany odtwarzacz rzeczywistości, widzi kawałek złoconego ornamentu na drzwiach sali, w której rozgrywa się tragiedja rozbioru, „pętelki Rejtanowego kontusza" i t. d. A dalej: „Tylko dzięki tej niesłychanej potędze wyrazu, jaka bije z twarzy przez niego malowanych, dzięki tej olbrzymiej sile charakteru jego postaci, obrazy jego nie stają się studjami martwej natury i wzorami zabytków archeologicznych".

Stąd nasuwa się wniosek, że cały ogrom pracy archeologicznej, a przynajmniej takie realistyczne w niej rozmiłowanie było dla sztuki czasem straconym, dla gieńjusza Matejki prawie że zbytecznym balastem, który wykrzywił jego twórczość. Co zatem idzie, Matejko nie tylko *nie musiał* „odbudowywać z okruchów sztuki, z resztek rzeczy, z okruchów i sztychów" tych form, któremi uczucie i wyobraźnia jego miały się posługiwać, lecz nawet lepiej byłoby gdyby tego zaniechał, obrawszy jakąś inną drogę.

Jaką?

Nie realistyczną — bo ta psuła mu z czystego natchnienia idące pomysły — syntetyczne linje jego wielkich postaci, stworzonych przecież w wyobraźni, boć „odbudowywanie" ich na zasadzie książek i portretów było jeszcze większem nieporozumieniem, niż odbudowa żywego człowieka współczesnego w jego bezpośrednim portrecie. Realizm, który zawsze więc jest w sztuce fantastycznem marzeniem, w sztuce historycznej staje się wielką naiwnością. Stąd płynie całe mnóstwo błędów Matejki, błędów, które po krytyce Witkiewicza należy uważać za fakty nie do obalenia. Chodzi tylko o ich bliższe jeszcze wyjaśnienie.

* * *

Witkiewicz mimochodem wypowiedział wyżej zacytowaną i podkreśloną myśl, że rozmaite pierwiastki myślowe mogą wynikać z pewnego stanu duszy, z pewnego usposobienia, i że *muszą* one przybierać w malarstwie pewne formy.

W danym wypadku chodziło Witkiewiczowi o to, że jeśli takie pierwiastki wedrą się ubocznie do zasadniczej idei, do zasadniczego uczucia obrazu, to rozbijają go, rozpraszają, psują czystość i moc jego wyrazu.

Dlaczego?

Bo one, tak samo jak zasadnicza idea dzieła, powstają z syntetyczności duszy artysty, u którego wszelka myśl staje się uczuciem, wszelkie uczucie myślą, a oboje razem — barwą, linją — wizją kształtu — postacią — zdarzeniem.

Najpotężniejszym będzie ten artysta, w którego dziele zachowaną będzie czystość zasadniczej treści jego duszy— albo przez żywiołową moc pędu wewnętrznego, niweczącego wszelkie uboczne wpływy, albo przez jakąś nader rzadką samowiedzę—która zresztą jest najczęściej równie czemś żywiołowem i niezbadanem — jak o tem mówiłem w niniejszym szkicu wyżej.

Jeżeli więc Witkiewicz pisze, że Matejki inteligencja niekiedy nie mogła udźwignąć ogromu jego talentu, że myśl gmatwała mu uczucia, nie dając im się przejawić w zupełnej czystości, to poglądu tego koniecznem dopełnieniem jest przez samego Witkiewicza stwierdzony charakter tych myśli—artystyczny—a więc i uczuciowy także—*zmuszający* je do przybierania w malarstwie pewnych form—te zaś dopiero paczyły samo dzieło.

Inaczej rozgraniczanie takie myśli i uczuć u artysty byłoby czemś niozrozumiałem i nie tłomaczyłoby niczego, gdyż zmuszałoby do zapatrywania, że inteligiencja

jest czemś wcale nie związanem z uczuciowością i talentem, czyli, że można być wielkim artystą a jednocześnie człowiekiem ograniczonym—co jest niemożliwe (choć bardzo rozpowszechnione!) dla powodów wyżej zaznaczonej syntetyczności dusz artystycznych, co jednak jeszcze wymaga jaśniejszego rozbioru.

Jeżeli nazywam jakieś dzieło gieńjalnem, to zapewne dlatego, że wyrażono w dziele tem coś, co jest *zrozumianem* w sposób niesłychanie silny—tak silny, że aż mogło być zrozumiale dla innych *wyrażonem*.

W ten sposób Grecy *zrozumieli* poczucie boskości, chwały, mocy, radości, miłości, grozy, bohaterstwa, przeznaczenia, tajemnicy, tryumfu, tragiczności—i t. d. i t. d.—zrozumieli tak, jak tylko pełne, syntezą wszystkich władz swoich żyjące dusze rozumieć mogą—a więc takimi „pierwiastkami myśli“ (i uczuć!) „które wynikły z pewnych stanów duszy“ — i które zmusiły ich do dania im pewnych form — w rzeźbach, tragiedjach, architekturze, muzyce, malarstwie. Nie w „realizmie“, źródło sztuki greckiej, nie! Niedarmo w Grecji właśnie narodziła się — w duszy Platona — myśl o tych ideach, które są żywe, w tajemniczym Zaświecie mieszkające, o ideach, do których wizja artysty pragnie się zbliżyć, mając ich *przeczucie* w natchnieniach, ekstazach...

Żywe idee!—Oto tajemnica sztuki! A może też tajemnica Życia.

Jabym zresztą zapytał, jak jakiś „czysty intelektualista“ — „rozumie“, czem jest miłość, poezja, wielkość, podłość, słoneczność zwycięzka Apolla, patryjotyzm, zdrada—lub nawet prostsze rzeczy, jak spokój, cisza, burza, smutek, wszelkie cierpienie, głód, nędza, powodzenie... Jak to się takie rzeczy bierze na „czysty“ rozum?

Nie, to się pojmuje *logiką uczuć*. Może logiką wrażliwości, jeśli kto chce to tak nazwać.

Logika ta szuka swego wyrazu w sztuce, zapładnia twórcze wyobraźnie artystów, rysuje się im w duszach kształtami, którym trzeba dać nieśmiertelne istnienie.

Sztuka jest logiką pojęć uczuciowych.*)

Kto pojęcia takie rozumie w tym stopniu, że umie je mową sztuki wyrażać, ten jest wielkim artystą i gie-

*) Nie zaś „rozumowaniem zapomocą form“—jak mówi Péladan, w którego określeniu nie ma mowy o syntezie, o odczuwaniu. Zdanie intelektualisty!

njalnym człowiekiem. Inteligencja jego musi być wielką w tym właśnie zakresie.

A to, że on może prawić niedorzeczności we wszelkich dziedzinach, których nie zna i których nie odczuwa — to cóż prostszego? Napoleon był śmieszny, gdy mówił o filozofji, choć życie jego było w każdem drgnieniu czynem metafizycznym.

A więc nie stąd pochodzą błędy Matejki, żeby miał małą inteligiencję, jako artysta, lecz stąd, że pęd jego duszy nie zawsze utrzymywał się w prostej linji, wypływającej z najgłębszej logiki jego uczuć — a raczej jego idei — jego syntetycznych, artystycznych, dydaktyczno-uczuciowych idei, które były wielkie, bo narodziły się u człowieka o uczuciach olbrzyma, bo zdołały znaleźć sobie w kilku postaciach wyraz niesłychanie potężny, *prawie że stylowy*.

Trzeba i to wziąć pod uwagę, że Matejko był pierwszym, który tego rodzaju idee wyrażał w malarstwie. Malarstwo historyczne, przed nim istniejące, nie miało nic wspólnego z tem, co on chciał powiedzieć swemu narodowi. Wielkość jego patrjotycznych uniesień, chęć wszczepienia w swój naród poczucia siły, nauczania go o błędach przeszłości, stania się jego żywem sumieniem—bliższą była uniesieniom religijnym niż historyczno-archeologicznemu rezonerstwu. W wyrazie swoim idea ta winna była pójść raczej śladem wielkiego religijnego, niż jakiegokolwiek innego malarstwa, szukać wymowy linij i barw, nie zaś w brutalnych realistycznych scenach topić uczucia na korzyść błyszczących zbroi i draperyj.

A jednak z pewnością szczerym, bo bardzo słusznym był popęd Matejki do poznania dekoracyjnego wyrazu dawnej Polski. Było to intuicyjne dążenie do poznania *stylu polskości* — w barwach i ornamentach polskich szat. Że Matejko z nawałem zgromadzonych przez siebie materjałów nie mógł sobie poradzić — to rzecz aż nadto naturalna. Gdyby tej pracy kto był przed nim dokonał, to, być może, Matejko zdołałby wysnuć z tej roztoczy olśniewających strojów ich duszę, ich zasadniczą linję i odrębną harmonję barw. Tak zaś — nie miał wprost już na to czasu. Pełną garścią brał z nagromadzonych skarbów wszystko bez wyboru, pochłonięty tą jedną tylko myślą — urojonej „prawdy“ przedstawionych zdarzeń —

i wyznaczał istotnej prawdzie — prawdzie swoich idei — uczuć—szczupłe tylko miejsce. Sądził, że przez potęgę psychologicznego wyrazu, przez gieńjalne wydobycie charakteru danych postaci, przez „budowanie obrazu jakby na krzyżowaniu się spojrzeń“ — jak to wspaniale określa Witkiewicz—przez to iż „malował postacie wewnętrznym stanem własnej duszy“ (tamże) — zdoła on powiedzieć wszystko, co czuł—i nie myślał, aby nadmiar szczegółów i prawdy historycznej mógł zaszkodzić czystości wyrazu jego uczuć, lub aby malowanie tematu historycznego bez specjalnego wzruszenia, tylko „dla obowiązków“ różniło się co do doniosłości od obrazu, nad którym może płakał, szalał.

Była to wielka dusza twórcza, zaplątana w chaos sprzeczności bez wyjścia.

Jeżeli pomimo to dał on bezwzględnie nowe wartości sztuce — tembardziej podziwiać musimy jego gieńjusz.

Witkiewicz pisze, że Matejko „stworzył swoją rasę ludzi“. Są to natury potężne, wyjątkowe, „o wielkich namiętnościach, głębokich uczuciach, przejęte do dna stałem, niesłychanie silnem napięciem energji psychicznej, która orze w bruzdy i fałdy ich twarze o rysach wybitnych, wypracowanych, wyrafinowanych, na których zdają się ciężyć i pokłady całe odziedziczonej kultury, powstałej pod najwyższem ciśnieniem życiowego tragizmu“.

I wszystko, co dalej niesłychanie trafnie pisze o tej „rasie ludzi“ Witkiewicz, to, co ten przedziwnie głęboki, intuicyjny krytyk odczuwa, mówiąc, jakto Matejko „własną duszą“ malował te postaci—dowodzi, że rasa ta ma tak niesłychanie odrębny wybitny charakter, że stał się on prawie stylem, że dał już prawie bezpośrednio to, co czuł Matejko.

Znaczenie „usiłowania realizmu“, i poszukiwania jaknajsilniejszego wyrazu dla odtworzenia „charakteru“ pomyślanych postaci starałem się wykazać w szkicu o „rzeźbie współczesnej“.

Tem, czem dla sztuki współczesnej stała się rzeczywistość, tym „wzorem“, którego „charakter“ chwytali artyści, szukając samych siebie pod pozorem, szukania „prawdy“ w naturze—stały się dla Matejki sztychy, sta-

re portrety, kostiumy i księgi. Wyobraźnia, w pogoni za uchwyceniem „prawdy“, tworzyła olbrzymie postaci, pełne tego wewnętrznego pożaru, jaki gorzał we własnych piersiach artysty. Twarze ich, giesty—stylizowało to samo kapłaństwo, które grzmiało piorunami w wieszczej duszy człowieka, co mówić pragnął swoje potężne uczucia — idee — barwą i linją—sam o tem nie wiedząc.

Tak, Matejko nie wiedział, że w postaciach swych tworzy podwaliny wyrazu malarskiego dla uczuć Polaka. Nie starał się o to. On tylko „malował własną duszą“ — po barbarzyńsku, przeładowując obrazy mnóstwem wiernie kopjowanych szczegółów i kłócących się barw, w których te wielkie postaci tonęły, jak perły w stosach blaszanych świecideł, jak gwiazdy w chmurnej, wichrem targanej nocy.

Czy daleko naprzykład do zupełnego stylowego w linjach ujęcia takiej postaci, jak Skarga? Czy możemy dokładnie określić, na czem polega to niesłychane napięcie uczuć w tej prorockiej twarzy—jakiemi zboczeniami od portretowej ścisłości tłomaczy się jej wyraz? Nie. Ale spojrzyjmy, jak tu wszystko zharmonizowane—czoło, nos, oczy, usta—jak jakiemiś nieuchwytnemi linjami oznaczono tę olbrzymią ekstazę. To już nie „charakter“—to coś więcej, to już przeczucie tych wielkich, śmiałych linij, co zerwały z wszelkim realizmem, prócz realizmu uczucia —linij Wyspiańskiego.

Tylko syntetyczny pęd uczuć ideowych, czy też uczuciowych idei mógł stworzyć podobną głowę.

Albo weźmy królewski zapęd gniewu Łokietka, powagę Zygmunta, demoniczność Possewina, rycerską spokojną dumę Batorego, groźny szkic straszliwie ponurej twarzy Henryka Pobożnego, nawet już w przesadę niespokojną wpadające postacie Rejtana, Kordeckiego i Wernyhory—lub choćby przepiękną zadumę Władysława Białego (w Dijon) — weźmy zresztą wiele innych postaci z mnóstwa obrazów Matejki, znajdziemy tam ten bajeczny charakter, który niejednemu jeszcze artyście zapłodni duszę, tak jak Wyspiańskiemu, co w czystości linij, porzuciwszy balast historycznych archeologji, zaczął bezpośrednio przemawiać językiem wielkiej sztuki.

* * *

A więc nie przymieszanie balastu myślowo-społeczno-patrjotycznego, nie tendencja jest „winną“, że Matejko pozostawił nam większość dzieł swoich w artystycznym chaosie.

Przeciwnie, ideowość jego sztuki — tylko ideowość, w znaczeniu wyżej określonem, wzniosła ją na te wyżyny, z których pomimo potwornych błędów, nie spadła.

Wprawdzie porównanie dzieł jego z Szekspirowskiemi (Witkiewicz) nie da się obronić—gdyż bądź co bądź, pomimo całej potęgi wyrazu Matejkowskiej rasy ludzi, nie stworzyła ich lekkość stylowa wielkiego Wila, lecz wydźwignęła z mętnych głębi realizmu ponura siła żywiołowca, który dopiero torował przyszłemu stylowi drogę.

Ale wielkość — i to wielkość czysto artystycznej natury, tak jest widoczną, iż dziwić się trzeba pewnym sławom malarskim, naszym i obcym, które w poczuciu dumy, iż przebiegły większą drogę kultury, niż Matejko, że wiedzą, iż malarstwo na linji i barwie polega, oświadczają brutalnie, że „Matejko nie umiał rysować“.

Jeżeli chodzi o zaznaczenie faktu, że błędem było ze strony Matejki świadome porzucenie drogi (mówił że nie maluje tak jakby chciał, jak wymagają warunki kompozycji) czysto malarskiego wyrazu, to może mają rację pedagogiczną. Istotnie, tak komponować, jak Matejko, nie można. Ale nie mają oni ani odrobiny słuszności, jeżeli chodzi im o dotykalną, realną prawdę. Matejko nie tylko że „umiał rysować“, ale stworzył podwaliny czysto polskiego rysunku—w swoich najtęższych postaciach.

Tylko trzeba umieć ten rysunek odnaleźć. Takiego rysunku napięcia energji duchowej, nie stworzy najbardziej wyrafinowana kultura. To dać mógł — i dał—tylko genjusz, sam z siebie wysnuwający swoje sposoby twórcze—bezwiednie—jak drzewo, co rodzi kwiat. Każda podwalina kultury powstawała w ten sposób. Na niej dopiero można budować subtelniejsze gmachy, z niej wysnuwać dalsze konsekwencje.

Bo każda kultura artystyczna powstawała z jakiejś wielkiej wiary, z wielkich uczuć.

U nas—zarówno w poezji i muzyce, jak w malarstwie kulturę tę zrodziło uczucie miłości ojczyzny. To

stało się wiarą Mickiewicza, Słowackiego, Chopina i Matejki.

Pierwszym—danem było się wypowiedzieć jaśniej, pełniej, czyściej, artystyczniej—bo poezja miała w Polsce poprzedników, i bo — Chopin jest wyjątkiem w dziejach sztuki.

W malarstwie — wielkiem — szeroko uczuciowem, Matejko był pierwszym u nas.

Legienda Chrystusowa jest prosta—malarsko obraca się koło kilku wybitnych zdarzeń, koncentruje się w postaci Jezusa.

Całe uczucie malarzy religijnych skupiało się koło tej boskiej głowy, stylizowało miłośnie rysy Jego i kilku innych figur.

Legiendę narodową trzeba było dopiero stworzyć.

Matejko nie miał tej lotności fantazji, któraby dzieje tragiedji narodowej zdołała skupić w postaciach i obrazach takich, jak Konrad, Anhelli, i wizje Krasińskiego. Jego wyobraźnia nabierała syntetycznego pędu dopiero wobec realnych faktów. Te wywoływał z przeszłości i starał się wiernie oddać w pokazach malarskich — tak jak się mniej więcej odbywały. Kompozycje jego budowała sama historja. Skoro zaś starał się o skróty dramatyczne, to czynił to z taką naiwnością, jak np. w „Rejtanie“, lub w „Hołdzie pruskim“, „Grunwaldzie“.

Matejko stanął wobec nawału faktów, postaci, epizodów bezsilny—stworzyć chciał całą historję narodową w olbrzymich dziełach i nie badał już, czy każdą postać rysuje mu ten sam cudowny pęd żywiołowy, który wydobył z przeszłości i dał narodowi jako jakiś dziwaczny i głęboki symbol zapoznawania w życiu wszystkiego co jest powagą—„Stańczyka“—i tyle innych wielkich postaci, na których skupiły się uczucia i myśli artysty. Te postaci właśnie są legiendą narodową—one właśnie upoważniają do sądu Witkiewicza, że „przed Matejką ludzie myśleli o przeszłości jako ślepi“.

* * *

Witkiewicz pisze, iż „wśród mnóstwa rozmaitych celów wewnętrznych, dla których się maluje, można wyodrębnić kilka zasadniczych *pobudek* twórczości malarskiej, które obejmują największe jej obszary“.

Pierwszą z tych pobudek ma być „stworzenie pięknej dekoracji, to jest pewnej powierzchni pokrytej harmonijnie ustosunkowanemi plamami barwnemi, ujętemi w sylwety o pewnym kształcie, ułożone tak, żeby ich kontrastowość nie była bezładnym chaosem, lecz stanowiła pewien rytm linji, pewien ład, ułatwiający umysłowi ujęcie całości".

„Dalej, środki malarskie mogą służyć do ujawnienia uczuć i stanów psychicznych"—„do wyrażania pewnych idei", „poglądów na zjawiska życia„—a wreszcie są środkiem „przedstawienia objektywnych wrażeń świata zewnętrznego, obserwacji życia natury" i t. d.

Zapatrywania moje na „objektywizm wrażeń" znane są czytelnikom moich prac. Nie będę ich tutaj powtarzał. Objektywizm taki jest prostem nieporozumieniem. Sądzę, że można by to zredukować do „poglądu (wrażenia) na zjawiska rzeczywistego życia".

Ale zarówno „pogląd", czy „wrażenie", jakoteż „ujawnianie uczuć", „stanów psychicznych" i idei środkami malarstwa—prowadzi do tejże samej pobudki, którą dał Witkiewicz jako jedną z wielu -- do stworzenia pięknej dekoracji, powierzchni, pokrytej ustosunkowanemi plamami barw—zresztą może nie „harmonijnie", to w każdym razie zrozumiale.

Ani uczucia, ani idei, nie odda żadna przypadkowość barw i linji, a to dlatego, że malarstwo jest właśnie sztuką, która *wyraża się barwą i linją*—niczem więcej.

Aby więc w obrazie istniało uczucie, idea, czy stan psychiczny, czy pogląd na zjawisko, wrażenie—nastrój—musi tam istnieć „pewien rytm linji, pewien ład, ułatwiający umysłowi pojęcie całości". Inaczej obraz nie byłby obrazem, ale jakąś szaradą, lub bezmyślną kupą plam.

Wszystko, co mówimy o „wyrazie", „ruchu", „charakterze", „stylu" i t. d. — da się sprowadzić do zagadnień, które Witkiewicz uważa tylko za jedną z pobudek twórczości malarskiej. I ruch i wyraz i charakter i t. d.—wyraża się przecież nie przez „chwytanie rzeczywistości" w zastępujące aparat oko artysty, lecz przez rysowanie wrażeń za pomocą owej nieuchwytnej rytmiki linji, harmonji barw, przez to, że narysowana linja albo coś wyraża, albo nie, albo jest płynną, żywą, mówiącą, albo też sztywną, sztuczną, fotograficznie martwą.

Niedekoracyjne obrazy Matejki są dziełami sztuki nie dlatego, żeby oprócz dekoracyjnych usiłowań miały

istnieć w sztuce jeszcze inne—ale dlatego, że w wielkich postaciach tych obrazów, w tym chaosie barw i linji, odnaleźć można jednak zupełnie zharmonizowane, wymowne figury, mówiące każdym giestem, każdą linją postawy, każdą fałdą szat.

Każda wielka idea—uczucie szuka swego wyrazu czystego, doskonałego, zsyntetyzowanego.

Matejki uczucia—idee były olbrzymie—to też przedzierają się przez chaos widowisk historycznych, jakiemi pragnęły być jego dzieła, stylizowały mu linje wielkich jego postaci w tę nieuchwytną rytmikę, o której mówi Witkiewicz i która jest niczem więcej, jak *dążeniem do stylu*.

I w tem właśnie wielkość Matejki, jako malarza — jako poprzednika Wyspiańskiego, który wyłaniający się styl Matejkowski oczyścił z gruzów realistycznych szczegółów, ujął go w mocne, swobodnie płynące, niczem nie krępowane linje, w linje będące bezpośrednim, syntetycznym *rysunkiem jego uczuć*.

A. HERTZÓWNA.

PASTORALE.

(Dokończenie).

CZĘŚĆ II.

(Ta sama łąka, co poprzednio. Przy nakrytym stole siedzą: Prezes ministrów, Filemon, Damon i Tircis. Piją wino. Jest późna godzina popołudniowa, ale jeszcze jasno).

Filemon. Żałuję niewymownie, że wasza dostojność nie uprzedziła mię o swym przyjeździe, mógłbym wtedy wystąpić z przyjęciem, godniejszem...

Prezes. Nie usprawiedliwiaj się, proszę. Obiad był doskonały, niezwykły, zachwycający.

Filemon. O wasza dostojność! takie proste potrawy!

Prezes. Właśnie pole popisu dla artysty. Wielka sztuka objawia się przedewszystkiem w prostocie. Wiedz mój drogi, dobra kuchnia jest jak piękna pani, najlepiej możemy ocenić jej wdzięki, gdy spotykamy ją przypadkiem w negliżu, z rozrzuconym włosem, bez muszek i różu...

Tircis. Wasza dostojność ma na myśli pannę Kleję?

Prezes. Prawie.

Filemon (uradowany). Więc naprawdę, naprawdę, obiad podobał się waszej dostojności, a ja, prawie wierzyć mi się nie chce, prezes ministrów, którego kuchnia cieszy się prawie wszechświatową sławą...

Prezes. Dawniej, dawniej! Obecnie już od roku smutnie zaniedbana. Sprawy publiczne stanowczo mi za dużo czasu zajmują. Choćby i teraz: chciałbym dokładniej zbadać wytworny wdzięk tego pasztetu, a tymczasem muszę, korzystając z nieobecności pań, których uszu nie mogłem długo obrażać nieprzyzwoitą rozmową o polityce, spytać cię po raz wtóry, czy przyjmujesz mandat poselski. (Filemon milczy). Odpowiadaj: tak czy nie?

Filemon. A więc nie, wasza dostojność, wydatki na wybory mię zrujnują.

Tircis. Eh! w parlamencie odbijesz sobie wszystkie koszta.

Filemon. Dla Boga! Pagecie, za dużo sobie pozwalasz. Nie umiem kraść, i do kupienia także nie jestem.

Tircis. A ba! przekupywałem nie takich, jak ty.

Filemon. Masz się czem chwalić.

Prezes. Uspokój się, Raleighu, przecież to żarty.

Damon. Żarty, rzeczywiście! Paget mówił dość poważnie, a wasza dostojność wie doskonale, ile kosztuje głos członka parlamentu.

Prezes (niedbale). Doprawdy nie wiem. Wszystkie sprawy tego rodzaju załatwia Paget. Zresztą cena zależna jest od osoby, ilości zawodowych graczy w mieście i wyniku ostatnich wyścigów.

Damon. Nie rozumiem, jak można żartować z tych bezeceństw.

Prezes. O bezeceństw zaraz! Co za przesada! Nasi przodkowie posyłali swoich przeciwników politycznych na rusztowanie, my ich przekupujemy, jest to w każdym razie postęp.

Damon. Wasza dostojność ma rację, ale, bądź co bądź, nasza izba gmin — to zgraja łotrów, godnych szubienicy. W bezwstydny sposób rozdrapują skarb państwa.

Prezes (ironicznie). Hm! nie każdemu udało się urodzić najstarszym synem swego ojca i zasiąść w izbie lordów.

Damon. Jedna warta drugiej.

Prezes. Stanowczo nie. Lordowie po większej części

są za bogaci, żeby można ich było przekupić... Pieniędzmi przynajmniej.

Damon. A to różnica! Do djabła z takim parlamentem!

Tircis (zatykając sobie uszy). Zdrada stanu. Plwa na palladjum naszej wolności.

Damon. Wolność... Psa na obroży, konia przy pełnym żłobie.

Prezes. Dosyć. (Do Damona) Wasza dostojność jest w złym humorze. Trudno. I objawia ten zły humor niezbyt dowcipnie... Trudno. I tak wiadomo, że to zwykle młodsi synowie dziedziczą rozum całej rodziny.

Tircis. Stairs nie ma młodszego rodzeństwa.

Prezes. Może nie było nic do odziedziczenia.

Damon. Szanuję siwe włosy waszej dostojności i wysokie stanowisko, ale nikomu nie pozwolę natrząsać się z mego rodu.

Prezes. Co, pojedynek? Za starym na to i synów nie mam. Ale może Paget mię zastąpi.

Damon (z nieopisaną pogardą). O, Tircis wie dobrze, że a się z nim bić nie będę.

Tircis (zuchwale). A to czemu?

Damon. Bo... (urywa i kończy inaczej). Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Filemon (zdziwiony). Od kiedy?

Damon (niecierpliwie). Od wczoraj, od dziś, od tej chwili, czy ja wiem zresztą...

Prezes. Dosyć kłótni! Więc koszta cię odstraszają, Raleighu? A gdybym ja zobowiązał się je ponieść?

Filemon. To jest... nie wiem. Damon mi tak odradzał. I rzeczywiście, jakiż tam ze mnie polityk... Nigdym o takie rzeczy nie dbał... I... i... Dlaczego waszej dostojności właściwie na mnie zależy?

Prezes. Pozycja nasza w parlamencie jest zachwiana, musimy wytężyć wszystkie siły, a ty jesteś jedynym posłem naszego stronnictwa, który mógłby przejść w sąsiedniem miasteczku.

Filemon. Nic nie rozumiem.

Prezes. Doprawdy. Czy to szczere... W takim razie winszuję (z ironicznym naciskiem) młodości, (po chwili wahania) i niewinności.

Tircis (półgłosem), Filemon.

Prezes. Prawda, jak to imię pasuje do ciebie: niewinny, prosty, wiecznie młody. Tak, mój drogi, sielanka, w którą się bawiłeś, stała ci się rzeczywistością, i teraz zrozumieć już nie możesz krętych dróg naszego starego świata.

Damon (zły). Przyznam się, że także nie rozumiem tych zawiłych zagadek, nie rozumiem, choćby mię wasza dostojność po raz drugi miała nazwać osłem.

Prezes. A więc mojem zdaniem, nikt nie odmówi głosu (z ironją) bohaterowi.

Damon (wzruszając ramionami). Raleigh?

Prezes. Jakto, czyż nie widzisz wieńca z liści bobkowych na czole Raleigha, czyż nie bronił bohatersko ojczyzny i króla? Nie wahał się złożyć w ofierze wolności życie i mienie, walczył jak Leonidas pod Termopilami, z nawałą wrogów, własną piersią zasłonił Anglję przed najazdem Stuarta... O moje dzieci, jak to wszystko pięknie brzmieć będzie w odezwach wyborczych.

Damon. Może, w ustach waszej dostojności brzmi nie pięknie.

Prezes. Znaczy się, że i ja muszę koniecznie zachwycać się, no powiedzmy otwarcie, głupstwem, któreście popełnić raczyli.

Damon. Zadziwiające, im dłużej mówię z waszą dostojnością, tem mniej ją rozumiem... Postąpiliśmy, jak nam honor i obowiązek nakazywały. Waszej dostojności to może i obojętne, kto zasiada na tronie Anglji.

Prezes. O wtedy nie groziła nam już zmiana dynastji, książę wracał rozbity... Zresztą stary pretendent nie jest napewno ani głupszy, ani nudniejszy od miłościwie nam panującego króla Jerzego III... I dużo więcej jego kochanki także-by nas nie kosztowały.

Damon (ironicznie). Ale wasza dostojność nie byłaby prezesem ministrów, gdyby Stuart nam panował.

Prezes. Kto wie, nauczony smutnem doświadczeniem swych przodków, pozostawiłby może rządy parlamentowi, a w takim razie...

Damon. A ba! Miałby przecież cały szereg wiernych stronników, ludzi, którzy go na tron wynieśli. Ich musiałby forytować na urzędy.

Prezes. Sądzisz? Wam również nie ofiarował król Jerzy III, nic prócz przyjaźni, wdzięczności i innych uczuć względnej wartości... Tak, mój kochany, nikt nie płaci w polityce długów, a już najmniej długów wdzięczności.

Damon. Widzę to.

Prezes. Ah! więc stąd to święte oburzenie na izbę gmin, na parlament, na rząd, na mnie... Biedny Stairs, nie oceniono twych zasług. Sprobujemy jednak znieść twój gniew, panie, a ty oswój się z myślą, że twoje bohaterskie wystąpienie w roku zeszłym nie przyniesie ci nic, absolutnie nic.

Damon. Bardzo mało mię to obchodzi.

Prezes. Doprawdy? (Uśmiecha się). Kwaśne winogrona. (Wyciąga rękę po butelkę i nalewa sobie wina do kieliszka),

(Od kilku minut Baucis stoi w głębi sceny. Tircis ją spostrzega).

Tircis (na stronie do Damona). Baucis kiwa na ciebie.

Damon. To i ciebie tyczyć się może. Idź spytaj się, czego chce.

(Tircis wstaje i podchodzi do Baucis).

Prezes (pijąc wino do Damona). A teraz pozwól, że poczytam w twoich myślach: gniewa cię niewymownie, że z całej przygody skorzysta jedynie Raleigh, który był właściwie tylko powolnem narzędziem w twych rękach. No co, zgadłem?

Damon. Użyczam Raleighowi wszystko...

Prezes. Więc czemu odradzasz mu, żeby kandydował na posła, wiesz dobrze, że wszyscy na niego głosować będą, nawet najzagorzalsi zwolennicy króla z za morza, ci przedewszystkiem. Aj, zazdrość, zazdrość!

Damon. Gniewał mnie naturalnie brak wszelkiego uznania dla moich zasług, ale co do Raleigha, to przysięgam, że nie miałem żadnej złej myśli...

Tircis (wracając, do Damona). Koniecznie chce z tobą mówić.

Damon (przez zęby). Cierpliwości mi do baby nie staje.

Prezes (spostrzegając Baucis, do Damona). Ale idź-że do pani Raleigh. Któż pozwala paniom czekać?... Tembardziej, że rozmowa skończona. (Do Filemona) Do wieczora daję ci czas do namysłu.

(Damon wstaje i niechętnie zbliża się do Baucis, która idzie kilka kroków na jego spotkanie).

Prezes (do Filemona ciągnie dalej). A tymczasem czas najwyższy zmienić gatunek wina. Wypiłem już trzy kieliszki, a po drugim język bezwarunkowo staje się niewrażliwy na smak i zapach.

(Filemon nalewa mu wina. Prezes ogląda je pod światło, wącha, kosztuje, wreszcie uśmiecha się i kiwa głową na znak zadowolenia).

Baucis (do Damona). Jak sprawa stoi?

Damon (ironicznie). Winszuję. Zaszczycisz Londyn swoją obecnością.

Baucis (z zachwytem). Ah! A ja naprawdę myślałam, że to koniec mego życia, że już nigdy więcej... Do Damona, mięko). Dziękuję ci, Damonie.

Damon (szorstko). Niema za co. Byłem przeciwny. Wystrychniecie tylko Filemona na dudka. (Chce odejść).

Prezes (do Filemona). Doskonałe wino. Namyślasz się?

Filemon (do prezesa). Potrochu. (Wskazując Baucis). Łeb mi udrze, jeśli nie pojedziemy do stolicy.

Prezes. W takim razie sprawa moja jest w pewnych rękach, i dlatego nie powiem ani słowa więcej. (Pije).

Baucis (do Damona). Czekaj. Nie boisz się chyba rozmowy ze mną wobec tylu świadków.

Damon. Nie obawiam się pani nawet wtedy, gdy jesteśmy sam na sam.

Baucis. Wiem, jesteś nie do zdobycia, za to Klelja....

Damon. Ani słowa o niej.

Filemon (do prezesa). Jeszcze wina?

Prezes. Nie, dziękuję, nie pijam tyle, zresztą chłodno. (Wstaje). Wróćmy do zamku.

(Filemon wstaje również, obaj wychodzą, przy stole pozostaje Tircis).

Baucis (do Damona). I co ty widzisz w tej wielkiej lalce, wypchanej trocinami? Klelja i Klelja... Każdy, kto zechce, będzie miał Kleljȩ.

Damon. Przesadzasz w swej złości. Mógłbym uwierzyć, że Klelja kocha innego, nawet, że mię zdradza, ale nigdy że jest do pani podobna.

Baucis. A uwierzysz, że tu za godzinę, za pół może, Klelja zejdzie się z Tircisem.

Damon. Nie.

Baucis. A jednak to prawda. (Damon chce odejść, Baucis chwyta go za rękę i szepce). Przekonaj się. (Wybiega).

Damon (podchodząc do stołu, do Tircisa). Odeszli, a ty?

Tircis. Zostanę jeszcze chwilkę, piękny wieczór.

Damon. Tak... Idziesz?

Tircis. Powiedziałem już raz, że zostaję.

Damon. Czy oczekujesz tu kogo?

Tircis. Może.

Damon (natarczywie). Kogo?

Tircis (wzruszając ramionami). Co to ciebie obchodzi?

Damon. Rzeczywiście. Hm! ale ciekawość...

Tircis. No, to pokojówkę Klelji.

Damon. Że mi ona na myśl nie przyszła. Ładna dziewczyna.

Tircis. He, he, wystarczy, jak na pobyt na wsi. Dobra noc.

Damon. Rozumiem, nie mam przeszkadzać. Dobrej nocy życzę. (Wychodzi).

(Tircis siada, pogwizduje zlekka, pije wino, przechadza się po łące, wreszcie zaczyna zdradzać silne zniecierpliwienie. Wchodzi Klelja).

Tircis. Nareszcie. Czekam cię od godziny.

Klelja. Powiedziałam: przyjdę, gdy księżyc będzie stał nad borem.

Tircis. Więc gdyby noc była chmurna?

Klelja. Nie przyszłabym wcale.

Tircis. Gniewasz się na mnie? Za co? Czyż nie jestem twym najwierniejszym, najpokorniejszym sługą? Skiń, a serce rzucę ci pod stopy, byś bosą nóżką nie dotknęła ziemi... Jedno drgnienie twych powiek, a

Klelja. Milcz.

Tircis. Pani, czem na gniew twój zasłużyłem.

Klelja (przeciągając ręką po czole). Mam prośbę do ciebie.

Tircis (klękając). Pozwól, że ją na klęczkach wysłucham.

Klelja. Dość błazeństw, wstań! (tupiąc nogą). No, natychmiast, bo odejdę.

Tircis (wstając). Nie odejdziesz. Miłość wstrzyma twoje kroki, zostaniesz przy mnie... Kleljo.

Klelja. Więc ja cię kocham. Nie wiedziałam o tem. Dotknij się rąk moich, patrz, jakie chłodne, połóż dłoń na mojem sercu, czujesz, jak bije spokojnie. Czy tak rozmawia kochanka z kochankiem?

Tircis. Zapomniałaś...

KLELJA. Nigdy cię nie pamiętałam. A i ty... Przyznaj, gdy byłeś w Londynie, ani jeden włos z twej głowy nie myślał o mnie.

TIRCIS. Przysięgam...

KLELJA. Cicho, daj mi mówić. Nie chcę, żebyś patrzył na mnie z uśmiechem, z takim uśmiechem... Nie jestem twoją własnością, Bogu dzięki... I te półsłówka, te lekko ściągnięte usta... Nawet Filemon i Damon coś podejrzywają. Nie boję się ich, ale jedna chwila zapomnienia nie może mi być kulą u nogi przez całe życie... chcę, żebyś o niej zapomniał także, słyszysz.

TIRCIS. Żądasz niemożliwości, Kleljo. Wspomnienie tej słodkiej chwili, którą spędziliśmy razem, ognistemi zgłoskami jest wyryte w mojem sercu.

KLELJA. Wyślizgasz mi się z rąk, jak węgorz. Czego żądasz za swoje milczenie, mów wyraźnie. (Tircis milczy). Naznacz cenę, zapłacę każdą, byle raz skończyć z tobą. Masz podobno długi.

TIRCIS. Ty, piękna pani, możesz mi zamknąć usta tylko pocałunkiem.

KLELJA. Nigdy!

TIRCIS. Toś mi także powiedziała raz... Przedtem.

(Klelja łamie wachlarz i rzuca go na ziemię. Chwila milczenia).

KLELJA (zduszonym głosem). Mów, bij mię słowami, znieważaj mię, nikczemny. Gdzie sumienie twoje?... O ty, wytarte czoło, o ty, bezwstydne lokajskie oczy! Duszę się od niewypowiedzianych słów, od tej całej pogardy, którą mam dla ciebie.

TIRCIS. Za co? Skrzywdziłem cię może. Hę? O dla Boga, krzyczysz tak, jak gdybym cię był przynajmniej zgwałcił.

KLELJA. A podły! Skorzystałeś z tego, że byłam nawpół oszalała ze strachu.

TIRCIS. Głupi, kto z okazji nie korzysta. Myślisz, że żałuję. Ani trochę. Nie dbam o twoje krzyki. Ja się nie

boję wyrzutów sumienia, raz jeden w życiu tylko je miałem, bo...

KLELJA (zainteresowana). Bo?

TIRCIS. To bydle Wharton mię namówiło... I... (Przeciąga palcem po szyi). Mniejsza o to. Słuchaj, Kleljo, szkoda czasu, pomówmy rozsądnie. Rozumiem, żeś mi się niegdyś opierała... Ce n'est que le premier pas, qui coute, ale teraz... Tembardziej, że przysięgam milczeć do grobu, ani jednem spojrzeniem nie zdradzę...

KLELJA. Twe ostatnie słowo?

TIRCIS. Tak.

KLELJA. A więc żegnaj.

TIRCIS. Zostań. (Po chwili, niepewnie). Czy naprawdę uważasz za grzech...

KLELJA. Grzech albo nie grzech. (Wzrusza ramionami). Oh!

TIRCIS. Boisz się Damona.

KLELJA. Ani trochę.

TIRCIS. Więc dlaczego nie?

KLELJA. Dlatego. (Po chwil)i. Wierzę, że chciałbyś sobie urozmaicić pobyt na wsi, ale ja?... Co mi twoja miłość dać może po tej wstrząsającej chwili na wieży... Ty mię uwiodłeś? Kłamiesz... Ja sama chciałam poznać miłość przed śmiercią. O, wtedy wszystko się złączyło: i strach głęboki w mojem sercu, i pierwszy raz, i grzech okropny, bo to było więcej niż prostą zdradą w chwili, gdy on walczył za mnie, i daleki dźwięk wystrzałów, i zachodzące słońce, i śmierć... O, nie daruję ci nigdy, że przez ciebie tak odrazu przyszło do mnie wszystko, co mi życie dać mogło, i więcej jeszcze, i nie pozostało nic, nic, nic... (Urywa). Gdybym wiedziała, że mi to ulgę przyniesie, poszłabym zabijać na drogach, ale śmierć jest obrzydliwa.

TIRCIS. Masz rację, gra nie warta świeczki. (Po chwili). Skrzywdziłem cię, Kleljo, i przepraszam. (Wyciąga do niej rękę).

KLELJA (usuwając swoją). Gdybyś mię był przynajmniej kochał.

TIRCIS. Prawda, nie kochałem cię, tylko widzisz, bałem się Damona, jego jednego na całym świecie, i teraz go się

boję... Czasami mam zimne ręce ze strachu na jego widok... Tak jak z Whartonem...

KLELJA. Przecież umarł już.

TIRCIS. Póki żył naturalnie... On dużo pił, może także ze strachu, a może z wyrzutów sumienia... Słabego serca był człowiek... Nie opuszczałem ani jednej pijatyki, nie odwracałem zeń wzroku, patrzyłem mu na usta... Zdawało mi się, że gdy spuszczę go z oczu, stanie się coś okropnego. O, byłbym go zabił, gdyby słówko pisnął, jak wisieć, to wisieć... Ale nie mogłem ciągle być z nim razem i wtedy czułem, za każdym razem czułem, że on właśnie w tej chwili donosi na mnie, by własną szyję ocalić. Noc po nocy tak. Dęba mi włosy stawały, i modliłem się, wyobraź sobie, ja się modliłem żarliwie i gorąco o zmiłowanie.

KLELJA. Uszczęśliwiła cię wiadomość o jego śmierci, co?

TIRCIS. Przez chwilę. Bo teraz brak mi czegoś do życia, jestem śmiesznie pewny Damona, chyba...

KLELJA. Powiem mu wszystko. Zdradę stanu popełniłeś, znosiłeś się z pretendentem... Wyrwą ci trzewia przed egzekucją i spalą w twoich oczach, jak tym oficerom, którzy przeszli na stronę Stuarta. I ja pójdę patrzeć na to, zabawię się, uspokoję, rozerwę.

TIRCIS. Nie ciesz się zbytnio, moje serce, zwyczajna zbrodnia, najzwyczajniejsza, nic nad szubienicę. A co do Damona, to pozwól, że nie uwierzę nigdy...

KLELJA. Tak? Chciałam mu już dawno wyznać wszystko, i nie strach mię wstrzymał, i nie wstyd, ale tak nie zgadało się.

TIRCIS. Kłamiesz.

KLELJA. Idę do Damona. (Postępuje kilka kroków w głąb sceny, nagle z za drzewa wychodzi Damon, Klelja przerażona). Ah!

DAMON. Ty suko!

KLELJA. Szukałeś sobie chyba kochanek na bruku Londynu, tylko dziewki uliczne mogły cię nauczyć słów...

DAMON (trzęsąc nią). Powiedz ty, bezwstydnico...

KLELJA. Puść mię. (Zrywa pierścionek z palca). Masz, oto wszystko, co twoje. Puść mię, słyszysz, nie masz prawa dotykać mię teraz.

DAMON. Ja??

KLELJA. Tak, ty. Jestem wolna. A teraz żegnam, nie przystoi mi rozmawiać z panem sam na sam tutaj.

DAMON. Mamy świadka. Stój, ani kroku, pomówimy jeszcze ze sobą, tylko naprzód się z nim rozprawię. Dalej! (Wyciąga szpadę).

TIRCIS. Tak rozumiem. Od tego trzeba było zacząć, a nie od obrażania Klelji.

KLELJA (tupiąc nogą). Nie chcę, żebyście się bili, nie chcę. Schowajcie szpady.

TIRCIS. O pani, wybacz, że raz jeden rozkazu twego nie usłucham.

KLELJA. Damonie, przecież grozi mu szubienica.

DAMON. Zapomniałem. (Chowa szpadę). Nie, z tobą bić się nie mogę.

TIRCIS. A Kleljo, jak to będzie z moją egzekucją, kiedy nawet na pojedynek patrzyć nie chcesz. Albo może kochasz Damona.

KLELJA. Ani jego, ani ciebie, i jest mi obojętne, co się z wami stanie, z tobą szczególniej. Ale możeby mi była nieprzyjemna myśl, że jeden z was zginął przeze mnie, i popłynęłaby krew na trawę i poplamiła moje białe pantofelki, a ja napewno żałowałabym moich białych pantofelków.

TIRCIS. Śmiać mi się chce, trzęsiesz się cała ze strachu.

KLELJA. Odejdź, nie mogę dłużej patrzeć na ciebie. Boże! jak Ja ciebie nienawidzę... Damonie, powiedz mu, że go wydasz, jeśli nie odejdzie.

DAMON. Odejdź.

TIRCIS (przyśpiewując). Tralala.

DAMON (do Tircisa). Ty, strzeż się, i moja cierpliwość ma granice. Nie zapominaj, że ta szubienica już stoi, na której ty wisieć będziesz.

(Tircis wzrusza ramionami).

Damon. Odejdź, bo cię oskarżę.

Tircis. Nie masz dowodów, ani świadków.

Damon. A list Whartona, pisany przed śmiercią? Zresztą znajdą się jeszcze ludzie w Londynie, którzy widzieli was z tą dziewczyną w noc zbrodni. Raz.

Tircis. Więc to nie żarty?

Damon. Dwa.

Tircis. Rozgłoszę, że byłem kochankiem Klelji, i co mi zrobisz.

Damon. Nikt ci nie uwierzy... Trzy.

Tircis. Idę już. (Posyła całusa od ust Klelji, która odwraca się gniewnie i wychodzi).

Klelja. Koniec. Jak prędko i jak dziwnie. Przez trzy lata byłam twoją narzeczoną, a teraz jesteś mi obcy... (Urywa). Ah! dobrze tak. (Damon milczy). Nie odpowiadasz, gniewasz się może? Mój Damonie, pożegnaj mię z lekkiem sercem, jak ja ciebie żegnam. A jeśli sprawiłam ci przykrość....

Damon. Ostrożnie dobierasz słowa. Przykrość mi sprawiła. O Boże! Czy ty naprawdę nic nie widzisz i nie czujesz? Serce wyrwałaś mi z piersi i podeptałaś, życie mi złamałaś... I za co? Czem cię skrzywdziłem, żebyś tak... I teraz wyciągasz rękę i mówisz spokojnie: koniec. (Z wściekłością). Pokaż twarz, pewno się uśmiechasz. (Podnosi jej głowę). Nie. (Odwracając się, cicho). A ja żyć bez ciebie nie mogę.

Klelja. Przesadzasz, fatalnie przesadzasz... Nie przeczę, że ci teraz może bardzo nieprzyjemnie, ale przejdą dwa lata, dwa lata, mówię, bo ty jesteś bardzo stałego i wiernego serca, i śmiać się będziesz z dzisiejszego wieczoru, ze mnie i z siebie... w objęciach innej. Bądź zdrów.

Damon (chwytając ją za rękę). Zostań, nie spiesz się tak do niego. O, dobraliście się w korcu maku: zbrodniarz i rozpustnica.

Klelja (gniewnie). Puść mię, nie masz prawa mówić do mnie...

Damon. Kiedy go chcesz poślubić? Jutro, dziś, za godzinę, w tej chwili? Miarkuj swoją niecierpliwość, choćby ze względu na mnie.

Klelja. Ah boli! nie ściskaj mi tak ręki i daj mi spokój z tym obmierzłym Tircisem... Rada jestem, że go nie ujrzę więcej.

Damon. Więc kogo ty właściwie kochasz?

Klelja. Może tego, który nie żyje, bo to takie długie i ciężkie słowa: nigdy więcej.

Damon. Nie wierzę ci. (Po chwili). I tak bez miłości oddałaś się Tircisowi? Z rozpusty chyba... Czemu to zrobiłaś, słyszysz? Spójrz mi w oczy... Nie żałujesz ani trochę, nic?...

Klelja. Co to ciebie obchodzi.

Damon. A gdybym ja cię zabił?

Klelja. Nie masz prawa.

Damon. Ale jesteśmy sami, nikt ci z pomocą nie pospieszy, nikt. Jedno uderzenie szpady... Mógłbym ścisnąć w ręku tę białą szyję.

Klelja (blednąc do ust). Ty mię nie zabijesz.

Damon. Nie... Żyć bez ciebie nie mogę, a ja jednak chcę żyć... O upodlenie! pogardzałem niegdyś pijakami, a gorszy jestem od nich... I dlaczego on, tylu ich było, on, ten najpodlejszy, z którym mi się nawet bić nie wolno, bo hańbą jest skrzyżować z nim szpadę. Ach ty! coś w nim widziała, żeby aż...

Klelja. Dosyć!... To się wszystko zrobiło tak jakoś i więcej śmiechu niż gniewu warte.

Damon. I co teraz będzie?

Klelja. Rozjedziemy się naturalnie.

Damon. Nie... Zabiję go, wyzwę na pojedynek i zabiję. Nikt nie wie, oprócz mnie, że Paget popełnił morderstwo, więc pojedynek z nim nie rzuci plamy na mój honor.

Klelja. Bardzo mało mię obchodzą twoje porachunk z Tircisem.

DAMON. Sądzisz? Gdy go zabiję, będziesz znowu moją narzeczoną. Ja zapomnę i ty także... (Urywa, twardo). Już ja przypilnuję, żebyś mię po raz drugi nie zdradziła.

KLELJA. Nie mam do tego najmniejszej ochoty.

DAMON. Wolę odtąd polegać na swoich własnych oczach, niż na twoich kaprysach. A teraz... (Chce jej włożyć pierścionek).

KLELJA. Nie, nie, nie chcę... Księżyc zaczął jaśniej świecić, gdy go zdjęłam z palca... Naprawdę, Stairs. Teraz dopiero wiem, czemu byłam smutna w ostatnich czasach. Tylko ty i ten pierścionek, nic więcej... Świat mi cały zasłoniłeś... Patrz, mgły wstają z rzeki i ciągną na łąkę, słyszysz, drzewa szumią, ah! nie trzeba mi, ani kochanka, ani męża... chciałabym rozciągnąć się mgłą wieczorną na łące, chciałabym popłynąć światłem księżyca po wodzie... Jak mi lekko... Może mi skrzydła wyrosły, wielkie nietoperzowe skrzydła, i polecę na szczyt dębu...

DAMON. Dość tych żartów!... Daj rękę.

KLELJA (wybuchając płaczem). Jakiś ty niegodziwy.

DAMON. Nie wierzę twoim łzom, ale choćbyś płakała krwią, a nie łzami, nie ustąpię, nie pozwolę sobie życia łamać. Dalej, skończ tę komedję, Kleljo, nie jesteś dzieckiem.

KLELJA (ocierając ręką oczy). Nie gniewaj się. (Damon chce jej włożyć pierścionek na palec). Choć dziś wieczorem nie, jutro, za dnia, mój Damonie, mój drogi, mój jedyny.

DAMON. Dobrze. Nie chcę nawet, żebyś nosiła mój pierścień, póki tamten żyje, a do jutra... (Namyśla się). U djabła! późno już, mało czasu, ale z Bożą pomocą uda mi się sprawę dziś zakończyć. Do widzenia. (Całuje rękę Klelji i wychodzi).

KLELJA (sama). Chciałabym, żeby go Tircis zabił... Nie, i tego nie chcę. Trawa się jeszcze kołysze, tędy przeszedł, i ślad po jego pierścionku na moim palcu... Gniew, nienawiść,

strach nawet... Nic już nie czuję. Czy ja naprawdę o takie życie drżałam?

(Księżyc zachodzi. Ciemność zalewa łąkę, w tej ciemności słychać głos, który mówi):

Niech żyje walka!
Oto nadszedł pokój,
Skrzydłami swemi zasłonił nam słońce,
Posypał szarym prochem nasze twarze,
Posypał szarym prochem nasze serca
I pajęczyną zasnute uczucia.
I nawet zapał młody i płonący
Błazeńską czapkę nosi.
Gdzieś tam w głębi
Zostało wszystko silne i potężne,
Choćby to było wielkiem ukochaniem,
Choćby to było najstraszniejszą zbrodnią...
Lecz spójrz,
Na niebie łuna pożarów,
W ulicach płynie krew,
I walka wre gorąca,
I nagle zakwitło kwiatem
Wszystko, co było silne i potężne,
Choćby to było wielkiem ukochaniem,
Choćby to było najstraszniejszą zbrodnią...
Przeklęty,
Kto w takiej chwili w głębi swego serca
Nic już nie znajdzie prócz słów!

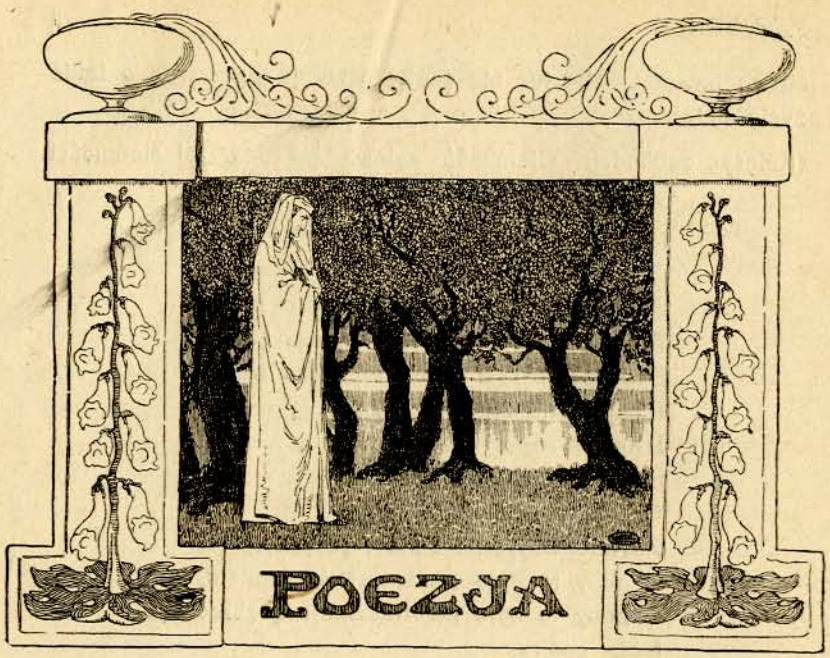

BRONISŁAWA OSTROWSKA.

OŚMIORNICA.

Ośmiornica, na głębi zaklęta,
z alg podwodnych łowne dzierzgam pęta.
Zatulona w piennych opuch błam,
pas miesięczny na topieli tkam,
boże gwiazdy tkam na oka sieci,
gdy twój żagiel nademną przeleci, —
byś mię dojrzał z podobłocznych jazd
i padł w otchłań omroczonych gwiazd.

A kręgiem szumi morze...

Idzie o mnie hyz w rybaczym świecie,
żem jest fali oszalałe kwiecie,
że na wstęgach pływających traw
piszę klątwy mych zatratnych praw,

że, złowiona w niewody rybacze,
jak żar palę, jak dziecko w nich płaczę,
a na głębi tchem rusalnych lir
wolne żagle w zdradny ciągnę wir.

Na głębiach płoną zorze...

Ode brzegu aż po brzeg głębiny
snuję władne mych przędz pajęczyny:
na wieczoru idącego mrok
rzucam blaski płomienistych ok,
i na tonie, co mym ogniem gorą,
prężę ramion mych głodnych ośmioro
i przyczajam w głębokościach wód
mój wieczysty, nienasyty głód!

Woda się kołem pali...

Jako stado białych mew na wodzie
płyną lotne, wędrownicze łodzie...
jako okrzyk roztęsknionych mew
płynie zdala rybaczany śpiew,
i zmieszany z cichym pluskiem fali
ponademną sennym tchem się żali,
że nad złotem gorejących łusk
słyszę rzewny, litanijny plusk...

Rybacza pieśń się żali...

„Ciszo boża, ciszo nad wodami,
wodo matko, — ty się módl za nami!
która gasisz wszelki żar i ból,
twojej ciszy nam, o matko, zwól!
Pośrednico i orędownico,
módl się fal swych wieczystą tęsknicą,
zbaw od wszelkich złej gibieli prób
i daj zbożny, śpiewający grób!“

Modli się pieśń rybacza...

Ponademną fal wieczyste gońce
wielkim krzykiem ciskają się w słońce!
Spieszą łodziom i wybrzeżom nieść
bożych głębin ostrzegalną wieść!
Lecz pod władnych moich ramion gniewem
mrą na piachu piennych grzyw zalewem,
nie doniósszy wybawienia hasł
w dal, gdzie żagli biały płomień zgasł.

Kręgiem się noc roztacza...

Cóż mi one łodzie potrzaskane,
jeśli twego w nich snu nie dostanę?!
cóż mi skrzydła żagli, wbitych w dno,
co bezlotem w mej niewoli mrą,
cóż mi trupy z zielonemi ciały
mież tęczowe mego dna ukwiały, —
gdy odemnie w wolny pierzcha szlak
twego żagla niepoimny ptak?!

A morze hen zawodzi...

I tak czyham nieskończone wieki
na samotny swój przelot daleki!
rozesnuta na bezmiaru krąg
głodną żądzą czekających rąk,
bacząc, — zali w zórz bławych modlitwie
nie przypływa twe skrzydło rybitwie,
w pieśń rozgranych mej tęsknicy lir
na ośmiory zatracenia wir...

O ty daleka łodzi!...

SAVITRI: MELANCHOLJA.

Wszystko umarło—i nie wstanie...

Ktoś się podstępnie ku mnie skrada,
by nagle krzyknąć: biada, biada!

Twarze pożółkłe wciąż się snują,
poza mną szepczą coś i knują.

Kruk kuje dziobem w dawnej ranie.

Nieszczęście głuche, nieodwrotne
spadło na serce me samotne,
zasnuwa oczy krepy smugą,
taką posępną, taką długą...

Ciche, powolne snów konanie.

Słucham bez końca mętnej wieści,
którą upiorny las szeleści,
że przyjdzie dzień — i w krwawej łunie
na me struchlałe serce runie.

Zachrypi zgroza w huraganie.

On wstanie skądś, za gardło chwyci,
przedśmiertnym skurczem się nasyci,
szaleństwem oczu w dzikiej walce,
gdy szyję dławią ślizkie palce.

Znikąd ratunku na wołanie.

Ja jeden z ludzi wiem: *on* idzie
w chłodnej, katowskiej swej ohydzie,
ciężko, męcząco serce bije,
ręką osłaniam przed nim szyję...

W rozpacz kołysze wichru łkanie.

Ciągle nademną wisi groza,
wciąż słyszę cichy świst powroza —
milczę, w ten straszny świst wsłuchany...
czemś nieodwrotnem zdruzgotany...

Ciche, powolne umieranie...

ZDZISŁAW DĘBICKI.

Z WRAŻEŃ WŁOSKICH.

OPUSTOSZAŁA WILLA.

Cicho! Samotna willa woła do nas *ave!*
Strzegą jej dwa cyprysy, od słońca złotawe,
W promieniach jego gubiąc aksamit swej czerni...
Jako dwaj Nubijczycy, oddani i wierni
Swemu panu, stanęły dwa wysmukłe drzewa
Na straży u wrót domu... Fontanna im śpiewa
Monotonną melodję cierpliwego trwania
I, na marmur padając, szemrze i wydzwania
Godziny słodkich wczasów, szczęścia i beztroski...

Wejdźmy, zwabieni chłodem, do wnętrza tej boskiej,
Niezamąconej wrzawą siedziby, gdzie czeka
Wędrowców zadumanych, idących zdaleka,
Biesiada ze szczątkami wielkości i chwały,
Które niegdyś w tej willi samotnej mieszkały...

Na tarasie, gdzie bujne rosną mchów grynszpany,
Wita nas biały posąg, na pół roztrzaskany,
Przez otwarte drzwi stęchła ku nam wilgoć wieje,
Na ścianach — nieprzychylnych czytamy koleje
Losów, co tędy przeszły, zostawiając ślady
Nienawiści do piękna i smutnej zagłady —
Tu rozbite zwierciadło, tam zaś fresku szczątki
Mówią nam, jak jedyne przeszłości pamiątki,
O tem, że przez te puste i zimne komnaty,
Nim zwilgły tynk z nich opadł, musiał bóg Zatraty
Iść z wielkich nieszczęść świtą, które pokryjomu
Niszczyły przepych, ciszę, słodkość tego domu...
Przebóg! A myśmy tutaj chcieli ujrzeć właśnie
Sztukę, co nie przemija, jej blask, co nie gaśnie,

Życie, zaklęte w piękno marmurów i płótna,
A willa nas zdradziła... Oto stoi smutna
W cieniu czarnych cyprysów i rozmawia z nami,
Wybitych drzwi i okien swych oczodołami...

WACŁAW WOLSKI.

RONDA MIŁOSNE.

(Z IV SERJI POEZJI).

... Ileż niewymownego magicznego czaru
Jest w rozchyleniu warg jej płomiennych kielicha,
Kiedy miłosnym szałem upojona, cicha,
Dotyka niemi wina złotego puharu,
Co, jak baśniowy trunek złociście się pieni!...
W jej złocistej nagości bahantki syreniej
Ileż niewymownego, magicznego czaru!...

Ileż niewymownego, magicznego czaru
W jej gazowego szalu bengalskiej purpurze,
Co przesłania złocistych piersi wonne róże,
Niby obłok krwawego rozkoszy oparu!...
W tej kapłance Astarty złocistej, omdlałej,
Wyczerpanej przez żądzy wulkanicznej szały,
Ileż niewymownego, magicznego czaru!...

Ileż niewymownego, magicznego czaru
W jej pachnących, puszystych, kruczych włosów
[burzy,
Kiedy się w nich złociste jej ciało zanurzy,
Błyskając z poza tego czarnego Aaru!...
W kobiecości złocistej tej baśniowej Hewy,
Wsłuchanej w Płci tajemne, astartowe śpiewy,
Ileż niewymownego, magicznego czaru!...

WIKTOR DZIERŻANOWSKI.

W PRZYRODZIE, KTORĄ RANKIEM UDJAMENCA ROSA...

W Przyrodzie, którą rankiem udjamenca rosa,
I słońce lśnień kaskadą płomienną ozłaca,
Trwa od wieków miljona przepotężna praca —
Twórcza praca brzemiennej niewiasty - kolosa...

Co chwila tryska strumień płodnych potęg młody,
Mgła wieczorna misterja tajemne przysłania,
W puszcz poszumach, w fal ryku słychać Zwiasto-
[wania,
Wieszczące w nieskończoność wciąż nowe porody...

Jakżeż długo toczyłaś bój wściekły, Przyrodo,
Z mocami, co z gieńjuszów światłem walkę wiodą,
Nim ujrzałaś istotę człowieczą spłodzoną!

Jakiż ocean bólu rwał twe twarde łono,
Gdy po wieków miljonie, co morzem krwi ścieka,
Takiem echem on w sercu dziś huczy człowieka!...

PRZED BURZĄ.

Parno — ziemia od żarów omdlewa spragniona —
Drzewa w lesie, jak naród błędny na pustyni,
Co pokutę za przodków przewinienia czyni,
Do sinych chmur błagalnie podnoszą ramiona...

Cisza—zda się, że ziemia, od ptaków do listka
Pogrążona w umodleń przedśmiertelnym pocie,
Jak wargi żądne gąbki z octem na Golgocie,
Z nadmiernego pragnienia oniemiała wszystka...

Zagrzmiało — w serce ziemi wstąpiła otucha,
Padła kropla na wargi jej tchnące łakomie,
Dreszcz rozkoszy przeleciał po jej pól ogromie —
Wtem wichr zadął—zwiał echa po dalekim gromie,
Unosząc w chmurach Boga, co błagań nie słucha—
I znów, jak na pustyni, legła cisza głucha...

WSCHÓD KSIĘŻYCA.

Fijoletowy zmrok opyla rdzawe wzgórza,
Na widnokręgu wzdłuż stalowa borów wstęga
Nieskończoności bram krańcami, zda się, sięga —
Cóż to za świateł snop z za szczytów się wynurza?

To księżyc! Pełni wschód wyłania się, jak duża,
Czarowna ognia twarz, pożarnych łun potęga,
Skrzydlate srebrne mgły, w swój rydwan krwawy
[wprzęga,
I w głębi czarnych wód, jak głownia, się zanurza...

Jak wiatr, dreszcz złotych fal przeleciał po jeziorze,
Zaszeleściały trzcin witraże tajemnicze,
I gniewne łono wód zmarszczyło swe oblicze —
Płomiennych głowni lśnień głębiny nie zalały —
Na falach księżyc zwisł olbrzymi, ociężały,
Podobny w krwawych snach duszącej ludzkość
[zmorze...

MARYLA CZERKAWSKA.

LEKKOMYŚLNOŚĆ.

Kuszą mię dzisiaj kraśne, słodkie usta malin,
Świeże, młode, do warg mych łakomie tęskniące...
Śmieje mi się pogoda, blask, lipcowe słońce
I kamienie do domu mojego podwalin.

Mówią o przyszłym żarze kiście bladych kalin
I skoszona, dziś bujna już trawa na łące...
Śmieje mi się pogoda, blask, lipcowe słońce.

W jesieni ma dom stanąć, dom czysty i nowy
Rzędem świetlnych pokoi iskrzący się cudnie,
Gdzie się schronię w noc słotną i skwarne południe
Znużona dniem, choć zmniejszy mi się do połowy.

Dom, dom mój — a ja zamiast pilnować budowy
I układać kamienie przyszłości podwalin,
Śmieję się do ust słodkich, kraśnych, świeżych malin.

OBCINAŁAM DZIŚ RÓŻE.

Obcinałam dziś róże, przekwitłe na krzaku
W czerwcowy żar południa i gorące rano...
Rój płatków do nóg padał zrumienioną pianą,
Z dumnych koron-kielichów nie zostało znaku.

I tylko po barwistym, skrzącym, jasnym szlaku
Poznał wędrowiec, idąc tą ścieżką nieznaną,
Że to nie marne, nikłe, źle zebrane siano,
Jeno kwiaty przekwitłe na różanym krzaku.

Jeno przepych, zgaszony w czerwcowej spiekocie,
Zmarły w blasku pożądań i piękności chwale,
Co rozsypał ostatnie swe krwawe korale...

I zgasł w słońcu, w słonecznej wyrosły tęsknocie,
I ku ziemi opadał w promieni orszaku...
Obcinałam dziś róże przekwitłe na krzaku.

LEON RYGIER.

ZŁUDZENIA JASNE.

Jeżeli Prawda jest tajemnicą, a wszystko złudzeniem — to człowiek ma dwie drogi: albo uwierzyć w złudzenia jasne — i ukochać życie, albo uwierzyć w złudzenia mroczne—i przekląć życie.

I.

Ktoś mi powiedział (może poseł Boży,
dobry, prawdziwy sen),
że się napróżno duch człowieka trwoży
nocą — otchłannych den...

Że się napróżno grążą oczy młode
w szczeliny czarnych złud,
miast się na jasną zapatrzeć urodę
zielonych morza wód...

Odwróćcie otchłań — a stanie się górą,
macierzą winnych gron —
i da spoczynek ptaków lotnym piórom,
a złotej zorzy — tron...

Bądźcie, jak drzewa, które, odwrócone,
z korzenia puszczą liść —
a zapomnicie pytania szalone:
w co wierzyć — i gdzie iść?...

Nie wszystko-żjedno, czy nam śnione mity
Homer lub Dante w żywe kształty tchnie?...

Miesiąc, w wód jasnem zwierciadle odbity
czemuż ma straszyć, niby widmo złe?...

Rzeczywistości z nas samych się snują;
rzeźbi je ducha słabość — albo moc...
A którzy Piękno kochają i czują,
pięknym dzień widzą — piękną widzą noc...

Ktoś mi powiedział (może poseł Boży,
dobry, prawdziwy sen),
że się napróżno duch człowieka trwoży
nocą otchłannych den — —

II.

Zaległa we mnie wielka cisza...
Jak łany zżęte o jesieni,
śni dusza... Zachód się czerwieni...
Serce jak pusta cela mnisza...
Tylko spokojnej myśli loty
ponad świat senny, świat martwoty,
szybują w ocean przestrzeni — —
ptaki ostatniej mej tęsknoty,..

Wysoko lecą myśli moje,
podobne cichym, białym mewom;
pod zachodowych zórz ulewą
chwieją się białych ptaków roje;
chwieją się, biją w takt skrzydłami,
które krew słońca cudnie plami —
i ku tajemnym echom, zewom
lecą z wbitemi w cud oczami...

I oto rosnę wciąż od ziemi,
z której, jak drzewo, czerpię soki,
rosnę pod nieba strop wysoki
pędami ducha strzeliste.. mi·

Ogarniam świat wciąż szerzej, szerzej,
hen — od rubieży do rubieży —
i łączę ziemię i obłoki,
na których odblask krwawy leży...

A kiedy przyjdzie Drwal czekany,
i w pień przyziemny tnie toporem,
ja już nie padnę, innych wzorem
Drzew — od śmiertelnej krwawej rany,
ale, na chmurach zawieszony,
wzniosę się w górę, w blask czerwony,
i już nie ziemskiem życiem chorem,
lecz duch trwać będę wyzwolony.

JAN IWAŃSKI.

Z CZARY MIŁOŚCI.

I.

Wędrowiec smutny w szarej życia męce
Tobie te piosnki, ukochana, święcę;
nie kładnę na nich Twojego nazwiska,
boś mi jest nazbyt kochana i blizka;
gdy we mnie imię Twe wspomnienia budzi,
byłoby niemem i zimnem dla ludzi.
Wiem, że Twe serce jedno w ludzkim tłumie
piosnki me pojmie i treść ich zrozumie,
więc urodzone w szarej życia męce
Tobie wraz z sercem mem piosnki me święcę.

II.

Ust twych mnie nęcą płomieniste żary,
białe twe piersi upojeniem płoną;
życiem zgryziony padam na twe łono
pić, pić będę z ciała twego czary.

Bo ja pić muszę, aby zapomnienie
przyszło i duszę w niemoc przyoblekło,
bo mam w swem sercu beznadziei piekło,
straszne, jak sfinksa kamienne spojrzenie.

Daj mi twe usta! — życie, to twe — łono!
Patrz! oto blada śmierć w oczy mi patrzy.
Odejdę, jedną tę chwilę ukradszy,
gdy kona dusza, a gdy zmysły płoną.

III.

. . . . . jakieś cudne oczy,
jakieś usta wiśniowe śnią mi się i marzą;
Kobieta staje oto z tysiąckrotną twarzą,
jak symbol zła i dobra, zgubny a uroczy.

Prowadzi mnie w przepaście wpośród skalnych
[zboczy,
a pieszcząc mnie, ma w oczach swych nienawiść wrażą
i strzeże mnie wieczyście swych pożądań strażą
i jako cień, cień śmierci, po mych drogach kroczy.

I to ją nienawidzę, jako chytrą żmiję,
to znowu się rozkoszą jej pieszczot upiję,
lecz idę za nią wiernie, jak smutny skazaniec.

A ona mi podaje swe usta wiśniowe
i na piersiach łabędzich przytula mą głowę
i prowadzi mnie, kat mój, na grobowy szaniec.

IV.

Upojeń, słodkich upojeń godzina!
ramiona miękkie, białe jak upiory,
ciało, co pragnie i duch, co przeklina
i zgrzyt ironji w duszy życiem chorej.

Niech się oplotę w twoich włosów zwoje,
jak pachną one, hebanowo czarne!
U stóp twych złożę biedne serce moje,
jak jedno wielkie ognisko ofiarne.

Wieczne pragnienie, tęsknota bez końca,
słodkich ust czara, piersi biel promienna,
szczęście w zwątpieniu i jasność bez słońca,
to bezotchłanna rozpaczy gehenna.

Oto upadam drżący w twe ramiona
i wielbię ciebie słowem, co przeklina.
Moja najświętsza, moja uwielbiona!
Nadchodzi słodkich upojeń godzina.

V.

Święta godzina, — cisza — senne kwiecie
nie drży, nie żąda, nie pragnie, nie płonie.
odurzające letniej nocy wonie,
czar, rozkosz, słodka rozkosz we wszechświecie.

Upajające usta purpurowe,
serce omdlałe i dusza olśniona
i marmurowa biel drżącego łona,
światy upojeń i szcześcia wciąż nowe.

Za progiem czeka Życie, wieczna jędza.
Precz! niech jej widmo twój uścisk odgoni!
Pragnę umierać wpośród kwiecia woni,
gdy się wyprzędzie upojeń mych przędza.

WALENTY ZIELIŃSKI: W PODRÓŻY.

Szlak kwieciem słany...
Kaskada promieni —
Z błękitnych niebios słonecznej pozłoty —

Pada wśród gwiaździc skrzących się kamieni,
Pada — w oprawne w duszy mej klejnoty.

Szlak kwieciem słany...
Niewidzialne dłonie
Misternie ścielą ciernie pod kobierce — —
W koronę z cierni wieńcząc moje skronie —
W cierniowy wieniec zdobiąc moje serce.

Szlak kwieciem słany...
A gdy po robocie
We krwi zastygły niewidzialne rece, —
Jak stalaktyty łzawią w cichej grocie —
Ma dusza biedna łzawiła w udręce.

Szlak kwieciem słany...
Rubinowa struga
Krwawemi ścieżki znaczy kwietne drogi — –
Wtem — ktoś zawoła: „podróż twa niedługa,
Patrzaj — hen — zamku lśnią złociste progi!“

Szlak kwieciem słany...
Kończy się ma droga — —
Sto wieżyc w niebo strzela aż do słońca!
Widzę próg złoty — stanąłem u proga — —
Lecz... nie stanąłem u podróży końca.

PAWEŁ HULKA.

IGRASZKA FAL.

O bezgraniczny, jasny przestworze,
Otom się oddał łasce twych fal;
O nieskończone, błękitne morze,
Wchłoń mię i zanieś w promienną dal!

Niech się odbiję cicho od brzegu,
Od lśniących w słońcu kamiennych ścian,
I niechaj w miękkim, rozlewnym biegu,
Nurzam się w śnieżnej bieli twych pian.

Niech w ciemnych głębiach kroplą zaginę,
Gdzie twój złocisty migota skarb,
I niech na słońce potem wypłynę,
Lśniący blaskami tęczowych farb.

W nieznanych dalach chcę się zatracać,
Gdzie mnie twych prądów zaniesie bieg,
I dziwnym żalem gnany — powracać
Falą tęsknoty na stary brzeg.

Wypity z morza słońca promieniem
Wzniosę się w jasny błękitów świat
I, wiosennego wiatru westchnieniem
Strącony, rosą spadnę na kwiat.

I może kwiat ten w kochanej dłoni
Takich przypomnień woniami tchnie,
Że jasne oko — płacząc — uroni
Na kielich kwiatu gorącą łzę...

I rosa kwiatu z ócz rosą spłynie,
Dwie dusze w kroplach złączą się łez,
I może łzy te w owej godzinie
Dwu serc tęsknocie położą kres.

ZNAM JEDNO MIŁE USTRONIE...

Znam jedno miłe, tajemne ustronie,
Gdzie rozkochane szepcą brzozy młode,
Gdzie słońce — gasnąc — złotym blaskiem płonie,
A gwiazd odbicie w czystą pada wodę — —
Tam każdy kwiat oddycha słodką ciszą,
Tam nie zobaczą nas i nie usłyszą...

W ustroniu onem dobrze tak i błogo
Najsłodszych wspomnień zrywać wonne kwiaty,

I, okiem idąc za gwiaździstą drogą,
W cudownych wizji unosić się światy — —
Strumienia fale szemrzą tam i płaczą,
Tam nie usłyszą nas i nie zobaczą...

W WIOSENNEM SŁOŃCU.

W wiosennem słońcu chciałbym zniknąć złotem,
Jak barwny pyłek, kropla kwietnej rosy.
Jasnym promieniem słońca wrócić potem
I paść na twoje oczy, usta, włosy...

Jasnym promieniem w pierśbym twą się wświecił
I sny bym poznał, co w twem sercu drzemią—
I czar bym dziwny, dziwne blaski wzniecił
Tych snów barwami ponad szarą ziemią!

Letnim bym rankiem przez drzew gęste liście
Do stóp twych padał — co za sen uroczy! --
Gdybyś wzrok wzniosła — ach wtedy złociście
Jasne bym twoje opromieniał oczy.

A gdybyś, stojąc brzozą srebrnopienną
W samotnem polu o wieczornym chłodzie,
Swą główkę smutnie pochylała senną —
Z jakimż bym żalem gasnął na zachodzie!

Z wiatrem bym płakał głośno w twej koronie
I zorzą łkałbym długo w noc na niebie;
Nikt by nie wiedział, że w tej zorzy płonie
Mój żal, iż zgasnąć musiałem bez ciebie!

STROIŁEM CIĘ.

Stroiłem Cię w wiosenną zieleń młodą,
Iżeś w słonecznym blasku promieniała,

Gdyś smukłą wierzbą pochylona stała
Nad moich marzeń czystą jasną wodą.

Błękit swych pragnień roztoczyłem wkoło,
U stóp twych kładłem swoich tęsknot kwiaty,
Nocą ci gwiezdne odkrywałem światy,
A rano słońcem złociłem ci czoło.

Wieczorną ciszą kładłem się na łące,
Mówiłem do cię słowikowym śpiewem,
A w skwar południa lekkim wiatru wiewem
Pieściłem, wierzbo, twoje listki drżące.

Patrzyłaś cicha w marzeń moich wody,
Aż na dno, gdzie się skarb migotał złoty;
I śniły ci się tajemne pieszczoty
I wiosennego dnia słoneczne gody.

Teraz, gdy wiatr jesienne przywiał chłody,
Gdy snów mych zmącił kryształowe tonie,
Już w nich odbity miesiąc nie zapłonie,
Ani w nich ujrzysz obraz swej urody.

I będziesz stała smutna a płacząca
W deszczu i wichrze na jesiennym chłodzie,
Daremnie będziesz wyczekiwać słońca
I szukać gwiazd, odbitych w snów mych wodzie.

JOZEF TRAWIŃSKI.

STWORZYCIEL.

W chaosie czasu, przestrzeni i bytu
Trwałem na lotach myśli piorunowej,
JA - BOG, stojący u wszechistnień szczytu,
Treść wiecznie jedna pod różnemi słowy...

Mijały wieki w szalonym rozpędzie,
Jako gromada rozproszonych mgławic,
A JA, oparty o światów krawędzie,
W krwawej koronie z płomiennych błyskawic,

Choć czułem moce, kowane ze spiży,
Trwałem milczący z sfinksowem obliczem,
Jako BÓG władny, samotny wśród wyży,
A wszechświat cały był wobec MNIE niczem...

Lecz gdym tak tonął w prabytu pomroce,
W potęgi własnej wpatrzony zawrotność,
Pierś MĄ rozdarły niepokoju moce
I zaciążyła MNIE — BOGU — samotność...

Przetom rozkazał — a na słowo jedno,
Przeze MNIE w bezmiar rzucone pustynny,
Drgnęło wszechświata tajemne bezedno,
Kształt błyskawicznie przybierając inny...

I zaludniła bezkresne przestworza
Światami w jednej godzinie mocarnej,
Cudu tworzenia potęga MA Boża,
W szczodrobliwości bez końca ofiarnej...

I wstała światłość — dzień zapałał złoty,
Topiąc twarz w niebios przestrzennym błękicie...
. . . . . .
. . . . . .
Otom się pozbył dławiącej tęsknoty...
Otom z niebytu wywiódł na świat ŻYCIE...

WŁADYSŁAW TOPÓR-ZABIEŁŁO.

MÓJ BÓL.

(Z cyklu „Sny duszy").

Spętałem ból sznurami z róż —
niemocen był on dla mnie już...

Odniosłem go nad przepaść gór,
by wiatr w otchłanne niósł go dna,
gdzie pustka swą wszechwładzę ma;
by poniósł głód w przepaści — mór...
Odniosłem go na morski brzeg,
gdy odpływ fal osuszył piach
i już w odległych o nim snach
widziałem, jak na falach biegł,
jak płynął w dal —
w bezbrzeżną dal — —
— — — — — —
A na śniegowe szczyty skał,
huczący wicher gnał,
a na obeschły morza brzeg
nadchodził potop fal.
— — — — — —
To było w noc...
Nadchodził świt;
słoneczny wstawał cicho krąg —
mój duch wyzwolon z wiecznych mąk,
w przedziwną życia zbrojny moc,
szedł ponad ból, nad męczeń zgrzyt
w słoneczny świt!
— — — — — —
To była noc...
— — — — — —
Okropny dzień!
W słonecznych skrach ujrzałem krew,
upiorny mego bólu cień.
W tysiącach sennych wiatru tchnień
jękliwie drgał krzyk białych mew —
śpiewały powieść morskich stref,
śpiewały, jak ocalał wróg.
I wiatr chichotał z moich trwóg
i huczał bajkę, jak go zmógł
nieznany Pan.
— — — — — —

Okropny dzień!
krew popłynęła z zaschłych ran,
upiorny mego bólu cień
z promieni słońca ku mnie zszedł,
z purpury słońca podał dzban,
by doń spływała moja krew.
Słoneczny blask pomału szedł...
W czerwieni wschodu tysiąc mew,
przybyłych od bezkresnych mórz,
mówiło mi, jak przyszedł tu
nieznany Pan —
jak dzierżył w ręku dziwny nóż,
jak wiatr z falami puścił w tan,
jak przeciął pęta, wite z róż,
jak zwolnił ból na życie znów,
jak zaklął go w promienie zórz —
nieznany Pan —
— — — — — —
Zagasał świt...
— — — — — —
Ciemniała noc...
— — — — — —
U moich krwią zbryzganych stóp
zakwitał krzak czarowny róż —
na kwiatach krople z moich ran,
a wicher jęki gnał od mórz...
a krew płynęła w złoty dzban..!
— — — — — —
Wyolbrzymiały w wielki słup
upiorny mego bólu wid
zasłaniał świt...

JAN WARITO.

Z PIEŚNI NAD PIEŚNIAMI.

O przyjdź!
Kochanku przyjdź mój złoty!

I na mej piersi dziewiczej,
Drogimi olejkami woniejącej, świeżej,
Złóż pocałunek wonniejszy nad wino,
I zagaś żar mej tęsknoty,
Co na swych skrzydłach moją duszę bierze
Na gór tych szczyty,
Gdzie wszelki oczom kształt ginie,
Gdzie na rozkosznej dolinie
Twe stada skaczą na łące,
Gdzie wiatr, milczeniem spowity,
Nie zgłuszy dźwięków mej harfy.
O przyjdź, dnia mego słońce,
I pociesz twoją miłą,
Ja, pragnień swoich siłą,
Kochanku białolicy,
Do mojej cię świetlicy,
Wzywam:
O przyjdź!

O przyjdź, wybrańcze mój!
I słodkich ust korale,
Na moich ustach złóż;
Uplotłam wieniec z róż
I czekam cię w upale
Bezbrzeżnej mej tęsknoty,
O przyjdź, kochanku złoty,
O przyjdź!
Miłości mojej Eden
Otworem dla cię stoi,
Ja czekam u podwoi
Mych komnat noc i dzień;
I słucham rychło twoi
Wysłańcy, lecąc w cwał,
Do zamku wrót uderzą
i padną do mych nóg:
Radosną wieść mi zwierzą,

Że komnat moich próg
Przestąpi Białolicy
Kochanek piękny mój,
Że w środku mej świetlicy
Olejków wonny zdrój
Wyleję ci na skronie,
O oblubieńcze mój!

O przyjdź!
Miłości czyste zdroje
W mej duszy się rozlały;
Tęsknota męstwa skały
Zmieniła w kruchy głaz;
Ja nocy już się boję,
Dnia urok dla mnie zgasł...
Boś, jako olej Stakty,
Wypełnił serce moje,
Więc dusza pragnień mocą
Pożąda cię i woła
I szuka cię dokoła,
O przyjdź!
I strumień wód srebrzysty
Do serca mego zlej,
I daj mi lot orlicy,
Potężny daj mi lot,
A ognie błyskawicy
I gromów straszny grot
Nie wstrzyma mnie w świetlicy
Wśród grona moich dziew.
Radosny nucąc śpiew,
Jeleni wezmę bieg,
I lotem błyskawicy,
Pofrunę do tych rzek,
Pofrunę do tych zdroi,
Gdzie oblubieniec mój
W południe stada poi,
Gdzie mego szczęścia zdrój!

O, każ mi przyjść do siebie,
Do cichych twoich puszcz,
Do wonnych bujnych łąk,
Do cienia gęstych drzew.
A sploty moich rąk,
Jak komnat moich bluszcz,
Na szyi zwisną twej,
O, królu dzikich kniej!
Ożywczy zdrój krynicy
Do serca mego wlej,
I każ mi przyjść do siebie,
O, królu dzikich kniej!

STANISŁAWA SZADURSKA.

KWIATY.

Na łące mojej drżą kwiaty upojne,
leciuchno wiatru kołysane wiewem,
w słoneczne złoto i purpurę strojne,
i gęstym wkoło bronne ostrokrzewem.

Ku łące idę w każde słońca rano
zanurzyć serce w rozkwiecone zdroje —
pieszczę wzrok barwą, piję woń rozgrzaną —
I szczęsny jestem, że te skarby — moje.

Lecz wiem, że próżno złota i szkarłatu,
nęcą mię strojem, woni szałem poją:
utonę chwilę twarzą w cudzie kwiatu —
i znów odejdę w mrok i pustkę moją.

W cichej komnacie, gdy okna zasłonią
cienie wieczoru siecią nieprzerwaną —
ja oczy przymknę, łąk się poję wonią,
śnię kwiaty barwne — słońca jasne rano...

Raz mię pytano: dlaczego zabawie
innych tak bronię kwiatów, co nietknięte!
O niech zawiędną — Sen piękniejszy jawie
i tylko chwile utęsknienia święte!

Czara raz spita próżnią dna zadzwoni —
nad sen spełniony — sen spełnienia wolę —
a więc ją trzymam tuż przy ustach, w dłoni,
i upragnioną odstawiam na stole.

Kwiaty upojne moje jesień zemnie,
żadnych je dłoni nie splami dotknięcie,
umarłe światu, żyć wciąż będą we mnie,
jako najczystsze wspomnień mych zaklęcie.

W komnacie cichej, kiedy mrozu błonki
zalepią szyby, w skry usieją rojne,
śnić będę sercem rozszalałem łąki,
kwiaty słoneczne! kwiaty me upojne!

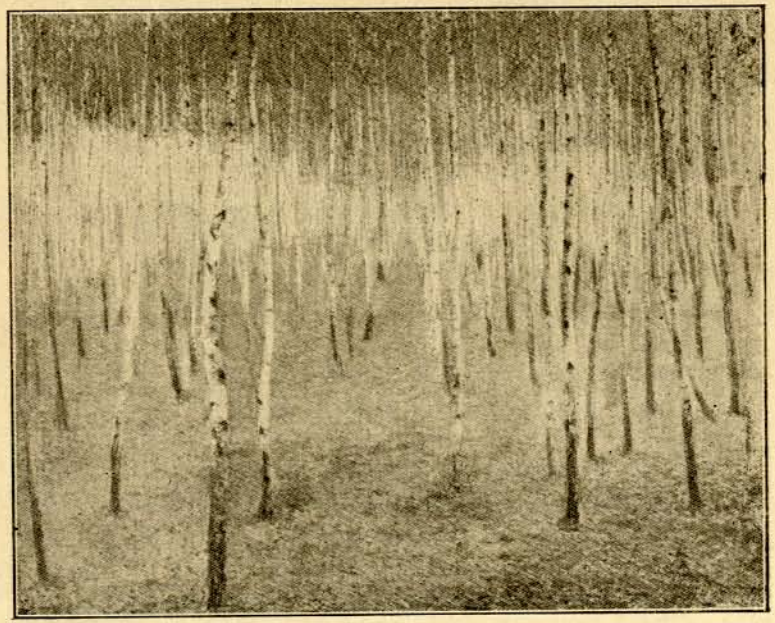

ANTONI LANGE.

POCZĄTKI ROMANSU FRANCUSKIEGO I „ASTREA“ HONORJUSZA D'URFÉ.

Przed niedawnym czasem w miasteczku Virien-le-Grand, w departamencie Ain, postawiono pomnik, raczej biust ku czci Honorjusza d'Urfé, przyczem wygłoszono kilka przemówień, określających chwałę i dziejowe stanowisko tego człowieka: mówił między innemi p. Réné Bazin w imieniu Akademji Francuskiej.

D'Urfé? Imię to, zdaje się, nic dla nas nie znaczy, a jednak przez cały wiek XVII, a częściowo i XVIII d'Urfé poruszał najtkliwsze serca od atlantyckich brzegów Francji po ostateczną granicę Polski; wywołał on w całym świecie „polerowanym“ wielką zmianę obyczajów, życia towarzyskiego, sztuki konwersacyjnej; zmianę uczuciowości, zmianę djalogów miłosnych, zmianę związków serdecznych między ludźmi.

Stworzył on niejako nową szkołę kochania; uwielbiano go powszechnie, kochano, naśladowano wszędzie, gdzie tylko kwitła kultura sfer „ugrzecznionych“.

Obok salonu Rambouillet dzieło Honorjusza d'Urfé było wielką szkołą dobrego smaku i form towarzyskich w XVII w.

Ale zmienną i kruchą jest sława. Po stu latach imię d'Urfé pochłonęły wody niepamięci. Dopiero dziś erudyci przypomnieli sobie o nim — i za ich staraniem postawiono pomnik autorowi „Astrei", o czem jednak ogół publiczności wiedział bardzo mało—i dość obojętnie przyjął tę sprawę.

Jak nieraz, tak i w tym wypadku — ogół był niesprawiedliwy. Honorjusz d'Urfé był to w swoim czasie romansopisarz głośny, który cieszył się wielce zasłużoną sławą w swej ojczyźnie — i poza jej granicami, zwłaszcza we Włoszech i w Niemczech, a także i w Polsce — jak o tem świadczy np. powieść Elżbiety Drużbackiej p. t. „Dobrane małżeństwo".

D'Urfé napisał jedno tylko dzieło, wielki romans pt. „Astrea", ale romans ten liczy pięć tomów po 1000 stron—i możnaby z niego wykroić 40—50 odrębnych powieści, wielce urozmaiconych.

„Astrea" była to powieść jedyna w swoim rodzaju: żaden może utwór literacki (z wyjątkiem, zdaje się, „Heloizy") nie przeszedł w życie z taką energją; żaden nie wpłynął tak potężnie na psychikę i obyczajowość. Nam rzecz ta zdawać się może dziwną, nawet niezrozumiałą— i, prawdę mówiąc, niema dziś człowieka, który byłby w stanie odczytać „Astreę" w całości. Autor widocznie uderzył w klawisz ducha swoich współcześników tak trafnie i tak umiejętnie, że wszystko, co nam się wydaje mdłem i jałowem—w nich budziło najżywsze bicie serca i czarowało, jak wymarzona sielanka.*)

*) Jeszcze Lafontaine, który przerobił „Astreę" na operę liryczną powiada:

„Etant petit garçon je lisais son roman
Et je le lis encore, ayant la barbe grise".

A może nigdy świat nie tęsknił tak za sielanką, jak w tych czasach wojen domowych, przerażających i krwawych—tak, że zdawało się—koniec świata się zbliża.

Wojny te trwały bez przerwy od r. 1562 do 1598— a były to wojny najokropniejsze, wojny religijne. Katolicy i protestanci rozdzierali Francję między sobą: cały kraj podzielił się na dwa obozy; Francja rozpadła się na drobne oddzielne księstwa, baronje, republiki. Katarzyna Medycejska knuła zbrodnicze intrygi. 24 Sierpnia 1572 r. uderzyły dzwony w kościele Saint Germain l'Auxerrois, i rozpoczęła się wielka rzeź w noc św. Bartłomieja. Próżno rozumniejsi protestanci (Coligny) i katolicy (Lhôpital) wzywali do zgody. Wojna—raz rozpoczęta—nie ustawała. A choć Katarzyna dała swą córkę Małgorzatę za żonę Henrykowi księciu de Bourbon, królowi Nawarry, głowie protestantów—to jednak potajemnie szerzyła dalej nienawiść wewnętrzną.

W r. 1574 na wieść o śmierci Karola IX zjawił się we Francji były król Polski—Henryk III Walezjusz. Za jego panowania nastąpiły t. zw. czwarta, piąta i szósta wojny religijne, w których szczególnie się odznaczył Henryk, książe Gwizjusz, bardziej od samego króla umiłowany przez naród. Henryk Walezjusz był przeciwnie nienawidzony powszechnie — tak iż chciano go usunąć. Ponieważ zaś jedynym prawnym kandydatem do tronu był Henryk de Bourbon, heretyk—Liga Święta, sprzysiężenie katolików, skierowała się zarówno przeciw Walezemu, jakoteż i przeciw Burbonowi. Naród chciał obwołać królem Henryka Gwizjusza.

Henryk III skrytobójstwem wyzwolił się od Gwizjusza, ale wkrótce zginął sam od sztyletu Jakuba Clément, fanatycznego członka Ligi Świętej (1589).

Cały kraj był rozdwojony; tonął we krwi, rzezi, łunach, skrytobójstwach; nędza była powszechna. Nieprzyjaciel zewnętrzny coraz najeżdżał Francję: protestanci szukali pomocy Niemiec, katolicy — Hiszpanów. Król hiszpański popierał Ligę Świętą na korzyść Gwizjusza.

Ze śmiercią Henryka III wygasł dom Walezjuszów. Tron francuski przechodził na Burbonów, ale głowa tego domu, Henryk, (zwany później IV)—był heretykiem, hugonotem. Cała Francja katolicka wystąpiła przeciw; dziewięć lat jeszcze trwała wojna domowa, zanim się kraj względnie uspokoił.

— *Paris vaut la messe!* powiedział wreszcie Henryk— i, jak to nieraz bywa, sceptycyzm uratował świat od dalszych rzezi i wojen domowych. Henryk IV przyjął religję katolicką, zapewniając razem protestantom tolerancję.

W tym okresie, pełnym burzy, niepokoju, pożarów i nienawiści—urodził się Honorjusz d'Urfé (1568) — na cztery lata przed rzezią nocy św. Bartłomieja. Był to czas, w którym zamarł i zniknął wszelki humanizm — i nastąpiło powszechne zdziczenie obyczajów.

Rodzina d'Urfé, zamieszkała w Forez—uchodziła za przedstawicieli Burbonów; to też zerwanie Henryka z kościołem katolickim było dla niej źródłem wielkich przykrości. Zarówno Honorjusz jak i starszy jego brat Anne d'Urfé, choć oddani sprawom ówczesnym rycerskim i religijnym, mieli jednak większe zamiłowanie do literatury. Anne w młodych latach rozkochał się w sąsiadce swojej, p. Djanie de Châteaumorand—i ułożył dla niej całą księgę Sonetów; wreszcie ożenił się z tą nieco lekkomyślną panienką, rozmiłowaną raczej w psiarni, niż w swoim mężu, i nie gardzącą podobno wdziękami młodych paziów. Główną jej uwagę zwrócił młodszy o jakie 12 lat od męża—brat jego Honorjusz, również i od niej znacznie młodszy. Romans ten zakończył się w ten sposób, że Djana rozwiodła się z Annem i została żoną Honorjusza. Anne wstąpił do zakonu i oddał się pisaniu pieśni nabożnych, Honorjusz zaś pogrążył się w rozkoszach miodowych miesięcy ze swą Djaną. Rozkosze te jednak trwały niedługo, gdyż wkrótce przyszły autor „Astrei", podobnie jak brat jego starszy, rozszedł się z żoną — i, porzuciwszy zarówno wojnę domową społeczną, jakoteż

i swoją wojnę domową prywatną — przeszedł całkowicie do literatury.

Życie jego zresztą i poza tym epizodem małżeńskim, było burzliwe i pełne ruchu; widział on wszystkie okropności swego czasu, był członkiem Ligi Świętej, służył pod księciem de Nemours, odznaczył się w niejednej bitwie, lecz ranny pod Montbrison, dostał się do niewoli, skąd jednak udało mu się uciec. Umysł jego, zajęty innemi sprawami, przez przeciwieństwo do współczesnych rzezi i burz społecznych, zatęskniony za ciszą i sielanką przyszłości—nie mógł się całkowicie dać opętać sprawie walki z hugonotami. Krótki tylko czas jeszcze Honorjusz brał udział w wojnie—i udał się na dwór Sabaudzki, gdzie też rozpoczął pisanie swej księgi.

Dzieło to nosi tytuł „Astrea". U Greków Astrea była boginią sprawiedliwości, która w czasach wieku złotego mieszkała na ziemi, ale gdy się na tej planecie ukazała zbrodnia, bogini porzuciła ten świat nizinny—i uleciała na Olimp i na niebo, gdzie przebywa w gwiazdozbiorze Panny. Sam tytuł dzieła Honorjusza d'Urfé wskazuje nam, że autor, syn wieku krwi i żelaza, tęskni za wiekiem złotym i malować pragnie świat ciszy, sielanki, miłości i marzenia.

Jako utwór powieściowy, „Astrea" była niewątpliwie nowością. Romans rycerski zamarł z Bayardem, Amadys Gallijski już należał do przeszłości. Ton Boccaccia raził, jako zbyt swawolny; surowy okres wojen religijnych oczyścił stosunki między mężczyzną a kobietą: czas wymagał nuty poważnej, wymagał cnoty — w połączeniu jednak z pewną tkliwością serdeczną, gdyż w tym groźnym rozlewie krwi zamarła wszelka tkliwość i serdeczność.

D'Urfé wskrzesił uczuciowość: stworzył, raczej odrodził—romans sentymentalny. Romans taki nie był nowością bezwzględną: we Francji już w XV—XVI w. pisano romanse tego typu. Parę słów powiemy o tych starych powieściach, korzystając z książki, którą świeżo

właśnie wydał p. Gustave Reynier pt. *Le roman sentimental avant l'Astrée.* Podaje on tu ciekawe szczegóły o naiwnych a wzruszających powieściach francuskich z przed w. XVII; powieściach, z których się później—jak kolos—rozwinęła „Astrea". Liczba tych romansów jest niewielka: w r. 1594 wyszło ich cztery, w 1597—siedem, w 1599—dziewięć, między 1600 a 1610 — koło sześćdziesięciu. Autorzy ich są nieraz bezimienni, gdyż owemi czasy pisanie takich bajeczek uchodziło za rzecz niegodną szlachcica, rycerza, przedstawiciela magistratury. Pierwszą, zdaje się, osobą, która nie wahała się podać swego nazwiska na tytule powieści, była kobieta, autorka książki o charakterze autobiograficznym, jak u nas poemat Anny Oleśnickiej z XVII w. Powieść jej nosi tytuł: „Bolesne cierpienia, które wynikają z miłości, zawierające trzy części, ułożone przez panią Helisenne de Cresne, która poucza wszystkie osoby, aby unikały szaleństw miłosnych".

Pani de Cresne opowiada tu swoje własne tragiczne błędy i zawody, albowiem wszyscy autorzy ówcześni lubią zapewniać, że ich historja jest prawdziwą, że zdarzyła się niedawno, jeszcze w tem stuleciu. Są to albo historje ich własne albo ich sąsiadów i znajomych.

Była w tem i reakcja przeciw romansom zagranicznym, mianowicie włoskim i hiszpańskim. Jeden z autorów tak pisze: „Piękne dusze, które wykarmiła Francja, przecz-że wędrujecie żebrząc po krajach cudzoziemskich na ruinach miłości?" Żądano, słowem, aby powieść była oryginalna, nie obca. Z początku jeszcze akcja odbywała się we Włoszech lub Hiszpańji, ale później teatr działania przenoszono już do Paryża i jego okolic, do Touraine lub do Burgundji. Styl ich jeszcze nieco chropowaty ma jednak pewne barokowe subtelności, jak np. „surowo-słodka", „łagodnie-groźna", „zuchwale-bojaźliwa". Oto np. frazes cale *précieux:* — „Wichry tej fortuny spodziewanej i niespodziewanej uniosły daleko od jej głowy zasłonę mniszą, którą miała przybrać—i z tą samą gwałtownością

popchnęły ku przystani bezpiecznej miłość jej, do połowy zatopioną w falach morza".

Twórcy tego stylu zwolna nadawali ton społeczności. Zewnętrzne zdarzenia dziejowe, wojny religijne, przeciwieństwo Ligi z władzą monarchiczną — bardzo słabem echem odzywają się w tych opowiadaniach, choć nieraz autorzy korzystają z tych zdarzeń, aby na ich tle silniej uwydatnić przeciwieństwa rodzin i nieszczęścia zakochanych. „Rozpaczne zadowolenie miłości"—przedstawia rzecz ze stanowiska katolickiego; „Miłość Klidamanta i Marilandy" wykłada idee protestanckie.

Wogóle jednak autorzy są bezpartyjni: inne sprawy ich zajmują. Małżeństwo dla pieniędzy jest przedmiotem ich potępienia; surowe nakazy rodzicielskie, które się nie liczą z osobą i sercem córki—stanowią materjał krytyki obyczajów. Pisarze ci występują w obronie uczuć osobistych w sprawach miłości; głoszą nawet zasadę rozwodu, aby ci, którzy wbrew woli własnej zostali ze sobą połączeni, mogli się rozejść i gdzieindziej szukać szczęścia. Taki temat porusza opowiadanie „Hipolit i Izabela".

Słowem, jesteśmy w pełni sentymentalizmu. Grzeczność, dobre formy towarzyskie, galanterja, umiejętność rozmowy i prawienia słodkich słówek — oto jest niejako ton tych powieści; wynikająca z nich nauka — to nauka wzajemnego podobania się, zarówno pannom jak i młodzieńcom przydatna; pokusy miłości, jej błędy i złudzenia, jej ogromne cierpienia i ogromne rozkosze, jej niebezpieczeństwa i rozczarowania—wszystko to ukazują nam ci autorzy w słowach prostych i naiwnych, nadając swym powieściom tytuły nieco monotonne:

„Czysta i szczęśliwa miłość Klarymonda i Antonidy"; „Stara i niefortunna miłość Leutasona z niewierną Pallinoe"; „Czysta i wstydliwa miłość markiza de Coelidor" i t. d.

Historja też mało bywa rozmaita: miłość—przeszkoda—zakończenie smutne lub częściej—szczęśliwe (Numa wychodzi za Pompiljusza). Osób występuje trzy lub cztery;

zdarzeń mało, ale obszerna analiza uczuć, która u nas wielce wzruszała Stanisława Herakljusza Lubomirskiego; on to pierwszy w Polsce, jako znawca literatury zochodniej i człowiek wysokiej kultury, pisał o tych *romaniach*.

Pomimo ówczesnych igrzysk, nieco „obnażonych", w Vert-Galant — cała ta literatura jest niezmiernie czysta, cnotliwa, wstydliwa; aż do zjawienia się Princesse de Clèves nigdy nie znajdujemy w tych powieściach matrony wiarołomnej, nie znajdujemy cudzołóstwa — i wogóle są tylko w nich kochankowie, którzy wbrew rozmaitym przeszkodom—pragną się poślubić. Miłość jest czysto duchowa, zmysłowość bardzo nieśmiała, niewierność bardzo rzadka. Najpiękniejsza z tych powieści nosi tytuł „Orfeusz"; bohater rozpacza po utracie Eurydyki—i opowiada, jak jego rozum przy pomocy muz i Apollina—dopomógł mu do wyzwolenia się od namiętności.

Wszystkie powyższe romanse wyszły między r. 1590 a 1620. Było to niby przygotowanie do przełomowej powieści w tym stylu.

W r. 1610 ukazał się pierwszy tom „Astrei"; w r. 1620—wyszedł tom II; w r. 1624, kiedy autor był już blizki śmierci, staraniem jego córki Gabrjeli d'Urfé wydany został tom III. Autor „Astrei", umarł w r. 1625.

Reszty właściwie nie napisał sam Honorjusz, tylko podług obfitego materjału, jaki pozostał po nim—dopełnienie Astrei ułożył jego sekretarz Baro; rękopisów starczyło jeszcze na dwa tomy, i w r. 1647 wyszła edycja ostateczna—w wielkich pięciu tomach.

Zanim dzieło ukazało się w pełni, już ogromnem echem odbiło się wszędzie dokoła. Zaczęto się nastrajać na podniosły i naiwny ton Astrei; imiona dobierano sobie podług jej imion; wzdychano, płakano, tęskniono, rozmawiano—podług jej wzorów. Dał on typ i wzór doskonały kochanka i kochanki. Na książęcych dworach we Francji, we Włoszech, w Niemczech, powstały stowarzyszenia młodzieńców i panien, którzy się ćwiczyli w delikatnej

sztuce djalogów miłosnych, wytwornych i przenikliwych. Słowem, „Astrea" była potęgą w swoim rodzaju.

Opowiedzieć treść „Astrei" — zadanie to nie małe. Jest to bowiem romans, w którym obok głównej linji opowiadania—znajdujemy cały szereg epizodów pobocznych, a każdy z nich stanowi osobną niejako powieść.

Aby jednak czytelnika nie pozostawić w niewiadomości, naszkicujemy tu główną osiową linję Astrei.

Rzecz dzieje się w w. VII — w Galji, w ojczystej ziemi autora—w Forez—nad brzegami rzeki Lignon.

Całym tym obwodem rządzi nimfa Amasis, która sprawy moralne i polityczne kraju oddała w ręce kollegjum druidów, w ręce ich arcykapłana Adamasa. Ziemia Forez jest szczęśliwa i błogosławiona; obyczaje są czyste, miłość kwitnie wierna i wstydliwa. W ziemi tej mieszkał pasterz Celadon i pasterka Astrea. Celadon kocha Astreę, lecz aby miłość swą zataić przed obmową ludzką — tak zachowuje się, jak gdyby kochał inną. Ta maskarada była źródłem wielkich nieszczęść Celadona i Astrei.

Zjawił się w Forez młody cudzoziemiec Semir, który pokochał Astreę. Ona jednak jest dla niego zimna i obojętna, co z rozpaczą widzi Semir. Śledząc ją nieustannie, odkrył jej tajemnicę—i, rozgorzały zazdrością, postanowił ziarno niezgody rzucić pomiędzy Astreę i Celadona. Cicha i słodka miłość znalazła wroga, i szczęście ich zostało zburzone.

Fortel Celadona stał mu się pobudką oszczerstwa, Semir chytrze oskarżył przed Astreą swego rywala, że ten kocha inną — pasterkę, Amintę. Astrea, nieszczęsna, uwierzyła Semirowi—i gdy nieświadomy rzeczy Celadon zjawił się u niej—ona wygnała go precz od siebie, ile że nie chciała już nawet patrzeć na niego; sama zaś w rozpaczy się pogrążyła. Semir nic nie zyskał na tej złośliwości, a Celadon znienawidził życie własne.

Astrea zbolała rzuca się w fale rzeki Lignon, ale ją uratowano i lekarkę wezwano do chorej. Również i Celadon postanowił życie zakończyć i rzucił się do wody.

Ciała pasterza nie znaleziono—i tylko jego kapelusz toczył się po falach—i dostał się do rąk Astrei przez kogoś, co znał jej sekret.

Celadon jednak nie zginął. Galatea, córka nimfy Amasis, wydobyła go z wody — i zaniosła jego nieprzytomne ciało do swego zamku d'Isour—na wysepce rzeki Lignon. Galatea była narzeczoną sąsiedniego księcia Lindamora, ale na widok Celadona zapomniała o nim—i kocha tylko uratowanego z wody topielca. Jednakże Celadon, mimo powab Galatei, wiernie czci pamięć Astrei. Lindamor, dowiedziawszy się o tej zdradzie, wypowiedział wojnę Forezanom, ale został odparty.

Galatea miała nimfę służebną, imieniem Leonidę, która również kochała Celadona. Zazdrosna o jego miłość — udaje się do wielkiego druida Adamasa, któremu opowiada tajemnicę Galatei i za jego zgodą wyprowadza Celadona z zamku Isour, dawszy mu szaty niewieście.

Przebrany za nimfę, Celadon błądzi po lasach, ale nie śmie stanąć przed obliczem Astrei, pomny jej surowego zakazu. Pewnego dnia spostrzegł on w lesie młodego pasterza Sylwandra, kochanka Djany, przyjaciółki Astrei. Młodzieniec był uśpiony, Celadon, nie chcąc go budzić, złożył mu na dłoni jeno list, pisany do Astrei. Nazajutrz, głębiej się w las zapuściwszy, ujrzał swą kochankę, która na darni leżała we śnie pogrążona. Dziewica się obudziła i na widok uchodzącego Celadona, sądziła, że to widmo topielca jej się ukazało; rozpacza więc, że się do jego śmierci przyczyniła, i udaje się do Adamasa, pragnąc umarłemu postawić grobowiec, godny jego chwały.

I Celadon przybywa do Adamasa, szukając u niego rady i wskazówki. Wielki druid podsuwa mu myśl, aby poszedł zobaczyć Astreę i w jakibądź sposób próbował się z nią porozumieć. Daje mu przytem suknie córki swej Alexis, do której Celadon ma pewne podobieństwo. Nie dziw też, że wszyscy się dali złudzić — i Celadona biorą za córkę arcy-druida.

Astrea widzi też podobieństwo Alexis do Celadona —i tembardziej ją ukochała: to też pieszczotom i pocałunkom obu panien nie było końca. Zasmucona śmiercią Celadona, Astrea postanowiła życie świeckie opuścić i udaje się po kollegjum Karnutów, aby się poświęcić służbie przy ołtarzu boga Teutatesa. Alexis (tj. Celadon) towarzyszy Astrei w tej wyprawie.

Tymczasem burza wojenna zahuczała nad krajem. Polemas, ojciec Lindamora, którego nie chce przyjąć Galatea, zrozpaczona zniknieniem Celadona — przedsięwziął groźną wojnę przeciw królowej Amasis. Następuje oblężenie Marcilly. Śród osób, szczególnie znienawidzonych przez Polemasa, znajdował się wielki druid, którego ten uważał za głównego instygatora wszystkich nieszczęść. To też wielce go uradowała wieść, że jego żołnierze wzięli do niewoli dwie dziewice, z których jedna była córką Adamasa. Oczywiście był to Celadon, przebrany za Alexis, a z nim uwięziona została Astrea. Oboje skazani są na śmierć. Wówczas zjawia się prawdziwa Alexis—i wzywa Polemasa, aby nie zadawał śmierci niewłaściwie. Ona jest córką arcykapłana, a ta druga dziewica—to przebrany Celadon. Ale Celadon zaprzecza—jemu należy się topór nieprzyjacielski. Aby przerwać ten osobliwy spór — Polemas każe związać wszystko troje—i postawić przed pierwszym szeregiem swych uzbrojonych włóczniami żołnierzy, którym zarazem daje rozkaz ataku. Śmierć ich jest nieunikniona.

Tymczasem staje się rzecz niespodziewana: dowódcą wojsk nieprzyjacielskich jest nie kto inny, jak tylko Semir, ów cudzoziemiec, którego intrygi stały się źródłem nieszczęść Celadona i Astrei. Wzruszony wyrzutami sumienia oraz wierną miłością kochanków—rozcina on pęta, któremi związana jest owa trójca i nie bacząc na to, że za ten postępek może sam nałożyć głową—daje im swobodę odejścia.

Polemas też jest rozczulony tą historją — i dzięki układom uzyskuje dla swego syna rękę Galatei.

Co się zaś tyczy Astrei—to wielki kapłan radzi jej, aby się pogodziła z Celadonem—i aby mu swą rękę oddała. Ale surowa i zimna pasterka — obrażona, że ją Celadon swojem przebraniem okłamał, że jej wyłudził tysiąc pocałunków, jeszcze okrutniej odpędza go od siebie. Celadon już nie ma poco żyć na świecie. Jest w głębi puszczy Forezu wielka fontanna miłości, której wód strzegą okrutne lwy i tygrysy. Tam postanowił iść Celadon, aby się tym bestjom oddać w ofierze. Zdarzyło się, że podobna rozpacz ku tej samej fontannie skierowała Astreę: i ona szukała śmierci w paszczy dzikich zwierząt.

Tam się spotkali kochankowie, którzy wbrew swej miłości unikali się wzajemnie. Ale miłość ich zwyciężyła okrucieństwo bestji: na widok kochanków lwy i tygrysy zmieniły się w kamień — i jedno tylko pozostało Celadonowi z Astreą — szczerze wyznać nawzajem swą miłość — zaprzysiąc ją sobie na wieki — i tę przysięgę stwierdzić gorącym pocałunkiem.

Tak też uczynili — i tak szczęśliwie zakończyły się troski i łzy obojga kochanków.

Z powyższego streszczenia, które jest szkieletem całego szeregu rozgałęzień opowieściowych — można poznać charakter dzieła. Jest ono nieco w stylu rokokowym — i przypomina malowidła ścienne XVII w., oraz stare opery liryczne. Nie będziemy tu powtarzali rzeczy o rozpowszechnieniu tej powieści: czytaliśmy słowa La Fontaine'a, który nawet przerobił „Astreę“ na libretto operowe.

Surowy Boileau przyznaje autorowi Astrei znaczne zalety. Jestto — mówi — powieść żywa i kwiecista, fikcje pomysłowe, charaktery wyobrażone subtelnie, malowane zręcznie i urozmaicone. Tak też długo jeszcze w w. XVIII oceniano „Astreę“, a imię Celadon jeszcze w połowie XIX w. oznaczało wiernego kochanka.

Ale gdy zjawiło się nowe pokolenie — o innej wrażliwości = dzieło d'Urfé raczej śmiech budzić poczęło,

a jego długość—była źródłem nudów dla nowego czytelnika. La Harpe z pogardą i lekceważeniem pisze o „Astrei“, tak jak my lekceważymy bardzo zręczną w istocie „Historję księżny Banialuki“. Dodać jednak trzeba, że nigdy imię Astrei nie przybrało tak smutnego znaczenia jak imię Banialuki. Astrea miała poza swą treścią pozorną—pewną treść utajoną, dla współczesnych zrozumiałą; były to mianowicie dzieje intryg miłosnych na dworze Henryka IV, bardzo kunsztownie zamaskowane. W końcu XVII w. Patru wydał specjalny klucz do zrozumienia „Astrei“. Był to jeden ze starych szlachciców, który jeszcze pamiętał dwór pierwszego Burbona i osoby, co jego tron otaczały. W późniejszych czasach nawet i ten klucz przestał interesować czytelników. Powstały nowe, lepsze, doskonalsze romanse. Ale historyk literatury inaczej patrzy na rzeczy: ze stanowiska dziejów piśmiennictwa nadszedł czas właściwy rehabilitacji „Astrei“.

A. SZCZĘSNY: DROGI ODLUDNE.

(POEMAT PROZĄ).

Dedykacja.

Jednaś mi jest — tęsknoto ogromna, a tysiącem postaci chodzisz obok mnie i każda z nich—cząstka ciebie—płomyk, lśniący w ogromnej bryle materji.

I gonimy się słodko a zazdrośnie po uliczkach i po piaskach, gonimy się z krzykiem rozpaczy po ostrych krawędziach, i znów tulimy miłośnie omamienia własnych istnień, a tak jest po wieki.

Oszukani jesteśmy, ile razy śpiewamy zwycięstwo, a gdyśmy smutni, nie widzimy w dłoni złotej gałęzi...

I tak chodzisz obok mnie w tysiącu postaci i tysiącem ich, mijasz mnie.

A jesteś mi ptakiem, i trawą, i obłokiem i wiewem rzeczy bezgłośnych — tchnień i oddechów świata...

Ja biorę czasem konchę piękną, jakby z wyłamanemi na podziw kupców perłami. Biorę konchę, do niej, gdy przytulę ucho, opowiada mi o rzeczach tak dobrych, że dobremi być nie mogą, bez przyczyny będąc.

I dlatego zatraca się wszelkie określenie ich, a pozostaje tylko szum konchy..... — — — — — — — — —

Tam, to Ty jesteś, w tej bezdni załamań, w tym braku określeń,—bezużyteczna bezcennością swoją.....

Szatan jakiś zawsze szepcze mi, gdy słucham muszli perłowej:

„Ona tam jest, porwij ją i wynieś w świat, iżbyś zaćmił zastarzałe słońce".

I wtedy włada mi szatan, bo jakby porywam Cię i wynoszę w świat.

Ale w świecie widzę tylko tysiąc postaci, mijających mnie, na ulicach miast mijają mnie one.

A ja wracam do muszli słuchać jej nieokreślonej mowy, gdzie Ty jesteś cała — Tęsknoto.....

— — — — — — — — — — — —

I są jakby muszle perłowe, a perły wyłamane z nich na podziw kupców, — lśnią i migocą.

I lepsze jeszcze są muszle bez pereł, bo po perłach rany są w muszli.

A ja będę mówić o konchach tych, na dnie mórz leżących i na śmietniskach, na kominkach pięknych i pod ławą rybaka..... — — —

Tak mi kazała — Miłość tęsknoty.

Rady oddalone.

Stwórz sobie, moja dziewczyno, te wolne, a swobodnie w bystrym biegu polatujące obłoki, obłoki białe, jak śnieżysta piana.

Płyną one po spłowiałym lazurze, jakby porwane ogromnym prądem niewidzialnych rzek.

Stwórz sobie te obrzeża horyzontów złociste, lekko dymiące, te kłęby blado-złotych dymów, któremi żegnają twoje

oko, jakby ogromne fregaty zza widnokręgu. — Strzałami żegnają, a dymy strzałów zastygły po wybuchu w złocie.

Zawieś nad sobą brzozy rozhuśtane na wietrze, gdy kora ich, rozpalona białym zachwytem, pęka spieczonemi wargami na tle zieleni.

Otocz się obłokiem żyznym opadów kwiatowych łąk, — wiecznie polatującemi kłębami pyłów, których strumienie wypełniają sfery powietrzne.

..... Tak, o tak!

Klęknij przed sobą, jak przed małą kapliczką polną z drzewa pomarszczonego, skąd tryskają radośnie blade kity wesołych pasorzytów.

Ukórz się i stwarzaj!

I stawaj się po trzykroć, a sama czuwaj stwarzaniu.

— — — — — — — — — — — —

Teraz zejdziemy w te wielkie wody, gdzie sama niewiesz, czyli jesteś koło siebie, zawsze nie wiesz. Zejdziemy w mżące zachwyty niejasnych chceń, nad doły kłębiące się niewytłomaczoną strażą, na mosty, gdzie nad niebem się idzie, a wody zwisają od góry z konturami ziemi.

Zwiedzimy zamki — zwały obłoczne, przysiadłe jak na szkle na przezroczy płaszczyzn powietrznych, a pod nimi się roją perspektywy dolne miast i lasów.

Przerzucimy ręce przez ogromne przestrzenie i ściągać będziemy ku sobie kawały niejasnej pamięci, o zarysach szlachetnych okrętów, płynące z wartkim szumem prądów tego, co się ciągle dzieje.

Potrącimy nasze trwogi, jako gości milczących a potężnych, obejrzymy je jako bolesne paszcze demonów, trzymających w wargach znak wejścia — koło żelazne.

Zajdziemy do ciemnych ogrodów, gdzie za stawami przesuwają się milczące sylwetki naszych przeszłych postaci podobne do cieni elizejskich na tle sosen północy.

— — — — Ach! wiele, wiele pod wielkiemi wodami znajdziemy.

Będą to zjawy, które postaramy się łowić rękoma, zarzuconemi na wielkie przestrzenie, — zjawy podobne do zaginionych pobladłych korali. Będą to kręte, wązkie uliczki, mury, znaczone w oknach zielonawym brzaskiem, gdy palą się nad miastami czerwone obłoki zachodniej nadziei.

Będzie to słodycz uśpionego w słońcu na skraju polnym tuż u jeziora, z nogą opuszczoną na dziób lekko osadzonej łodzi, gdy bełkot fali z pod dna i szum traw dojrzałych dziwnie pieszczą jego zasłoniętą głowę.

Tak, o tak! O ileż razy stwarzasz i korzysz się, dziewczyno moja!

— — — — — — — — — — — —

I tak przybędziemy pod ogromne zwrotniki, gdzie opadają martwo żagle i gdzie są płaskie skały, pokryte silnym, parzącym szlamem. Tam złożę cię na tafli gęstych wód, a sam ze skały, dotykając dłonią twoich piersi, będę przemagał war rażącego słońca.

I gdy zejdzie parna noc, a ty przy księżycu zaświecisz białością gwiazdy w wodzie odbitej,—podniosę cię, zeszedszy do wody, i miłośnie tuląc się do siebie, pójdziemy za słupem księżyca z powrotem — do ludzi.

Tam zamieszkamy wśród nich, dwoje, miłością pełni, jak cudny, stary wodotrysk w podłej mieścinie. I będziemy chodzili po placach, zwiedzać jarmarki i nużyć wszystko, jak kielichy górskiego powietrza: nużyć przekupniów, wiatraczki i dzieciom dawać poważne zdziwienie.

Aż póki nie wstąpimy na stos zmurszałych desek, pełnych tłustego robactwa i nie uderzy weń przy gwarze tingeltanglów piorun białego księżyca. — —

Wtedy staniemy się polatującą garścią perzyny, a komuńję z niej da miastom powiew od gór i morza.

Piętna niewoli.

Wziąłem ciebie kiedyś, dziewczyno moja, na okręt ogromny. Z dalekiej przystani wypłynął on z nami, a żagle błyszczały od słońca, jak zwycięskie tarcze.

I ty zostawiłaś na brzegu swoje złośliwe karzełki, co próbowały oplątać włosami późnego lata, — pajęczyną trzeszczącą, jak białe iskierki, kadłub naszego okrętu. I ty zostawiłaś na brzegu stare, ciężarne twoje krewne o twarzach skrzywionych i piersi obwisłej, które ci z przekleństwem zapowiedziały powrót i mściwość swoją. — —

Wziąłem ciebie kiedyś, dziewczyno moja, na okręt ogromny.

Jak tarcze zwycięskie błyszczały okrętowe żagle, a ogromne twarze fal, złote i szmaragdowe, przewracały się daleko z szerokim uśmiechem.

I pokazywałem ci, spoglądając przez siatkę twych pachnących włosów, blady a poważny, białe mewy, sługi samotnych, i dziwne twory słoneczne, dosiadające ryb śliskich, chłodnych, a zwinnych. Pokazywałem ci błękitne, powietrzne wstęgi, ciągnące się za biegiem naszym, i ciężkie wstęgi wód, rozchodzące się na boki.

Byliśmy jak ci, co stopą uderzywszy w deski pokładu, mogliby się unieść nad nim i płynąć przodem, jak loty bogów przed flotą zwycięską,

Byliśmy kładący ręce na jakichś niewidzialnych płaszczyznach, gdzie mimo końców palcy, płynęła już słodycz dotknięć, wiodąca do szaleństwa zachwytu.

A bladzi i poważni byliśmy, i ja i ty. — —

I stało się, że w przezroczu twojego oddechu zabłąkała się przyczajona, a tak subtelna fałszywa nuta, że poznaliśmy ją jeno po większym ciężarze naszych lotnych ciał;

wtedym odsunął z mej głowy siatkę pachnących twych włosów, a wiatr ją chwycił i kłębami odrzucił w tył.

Zza morza ujrzeliśmy wtedy chmurę bladą a syczącą, jak stanęła nizko, czekając.

I usłyszałaś z pod pokładu ciężkie oddechy wioślarzy i zapytałaś mnie, a twarz twoja była ciekawa i zła:

— Jacy to ludzie tak ciężko nas wiozą do wysp zachwytu?

I odrzekłem ci, że są to szczęśliwcy międzypokładów, a mają oni po brzegach dziewczęta w gospodach żeglarskich, które rodzą im tęgie dzieciaki. I że oddech ich jest wyrabianiem kości krzepkich i ramion ogromnych, któremi przyniewalają tęgoude dziewczęta brzegów.

I że oni są, którzy objadłszy się płodów tłustej ziemi i głupich małych ryb, używają w święta ciałem swojem, a żeglarstwo mają obowiązkiem, przekazywanym z mocnem łożem i wrzaskliwą miłosną zabawą.

— — I zachciałaś ujrzeć ich, a okręt zawrócił ku brzegom wśród zgrozy fal, kryjących szerokie twarze w mętnej pianie, zawrócił ku gospodom żeglarskim.

Chmura tymczasem zakryła słońce.

— — — — — — — — — — — —

— — Wtedy...; postąpiłem krok od ciebie i podarowałem ci... okręt skrzypiący, wszystkie jego bale, koła żelazne, smary kryjące szczeliny ścian, mokre, trzepocące się żagle i załogę.

Dałem ci też wszystkie gospody żeglarskie, które już huczały z blizkich brzegów.

— — I za chwilę zstąpiłaś radosna na brzeg i weszłaś do ogromnej szynkowni, gdy już padał deszcz i wiał od ziemi wiatr — dymem, wiał potem i kupami rozdeptanej naci z tylnych podwórz szynkowni.

Weszłaś ze mną do izby szynkownej.

— — — — — — — — — — — —

I ujrzałem cię wtedy, białą resztą światła, jak chwyciłaś ogromny kielich z szynkwasu, a ręką otoczywszy szyję tęgiego chłopa, rzuciłaś się w wir taneczny do izby drugiej.

Potem widziałem, jak na drogiej twojej szacie położył się pod ławą pies żebracki, a ty dałaś nagie piersi łaskotaniu starego sternika. I widziałem cię na stole wśród kufli i w kącie przygniecioną cielskiem rudego okrętowego wyrostka, gdy z ochrypłym piskiem, wyginałaś się w łuk, a oczy ci się skrzyły zielono. . . . . — — —

— — I gdy ujrzałem cię tak: — krzyknąłem przez izby i zaśmiałem się cicho, a głupio otwarte twarze zamknęła chwilowa cisza.

Wyszedłem, a na trzask drzwi za mną, zaczął się znów gwar gospód, jako młynów, co milczeć nie mogą. . . . .

W małem czółenku popłynąłem za chwilę ku słońcu, pod którym ogromne twarze fal złote i szmaragdowe przewracały się daleko z szerokim uśmiechem.

Zemsta kryjących się.

Zaprowadziłaś mnie do małej komnaty o dziwnie wysokim stropie, gdzie jedyne wązkie okno rzucało mało światła, kradzionego blizkim murom. Zaprowadziłaś mnie, jak piastunka trwożna,—piastunka samej siebie, dzikiej południcy, udręczonej drobnym deszczem.

I nie było nic w komnacie prócz strojów rzuconych na ziemię, kłębów różnobarwnych szat drogich i nędznych, gdzieniegdzie przesypanych pudrem i jakby wypłowiałych od łez.

Na oknie stały graciki drobne: kołyski, głowy stłuczone lalek i leżały zwiędłe gałązki szaleju, skręcone drutem w wianek suchy.

I pokazałaś mi ze czcią, a druga twoja twarz oddała się miłośnie wstrętowi, pokazałaś mi pyłek złoty w kącie podłogi, który jakby śpiewał ranną piosenkę tym, co przedrwili noc całą i śpią, trąc krwawe powieki.

A gdy ujrzałem pyłek, zaczął on pracować w błysku i wydał ogromny tuman lekko lśniący, a ten otwarł blade usta, by powiedzieć najdroższe moje słowa.

I gdym jak człowiek stał się przerażony i rzuciłem się ku tumanowi, by nie rozwiał bladych ust swoich: —

— — Z dzikim krzykiem mordowanego zwycięstwa, cisnęłaś o ścianę kryształową kulę czaru i całem ciałem rzuciłaś się do mnie, podżegając do najobłędniejszych rozkoszy.

— — — — — — — — — — — —

Do pokoju wtedy weszły papugi i, rozrzuciwszy po ścianach złociste swoje pióra, zaczęły chwiać dziobami, a zwieszone w nich kadzielnice, rozwłóczyły nikły dymek zgaszonych świec.

Prawda czyścowa.

Przypomnij sobie, dziewczyno moja, jaką posiadam moc przemian, — przypomnij.

Pamiętasz, kiedyś byłaś królewną roztęsknioną i siedziałaś u źródła wiecznie dziewiczych tęsknot, przesuwając opale długiego różańca.

I dużo myślałaś o sobie i czułaś, że jesteś druga, chodząca pośród rąk targu, a te szczypią cię w podbródek i piersi.

I że oceniają cię te ręce na całą rozkosz ciężaru, na cały rozkwit miąższu twego, po którym się staniesz, jako pusta skorupa dyni.

Pamiętasz, byłaś kiedyś królewną? — —

I ja w jednej ze swoich przemian, wiedząc, iżeś to ty, którą drugą spotykałem często na placach i targach, wziąłem na się postać hojnego żebraka, a ustom mówić kazałem, iżem królewicz, chory na próby pięknych rzeczy, które się zwykle myśli.

Tak się zbliżyłem do źródła tęsknot dziewiczych.

I usiadłem obok ciebie i pochyliłem się ku tobie, a nic nie mówiłem, widząc, iżeś bardzo piękna.

Nie mieliśmy się jednak rozmówić przy źrodle tęsknoty.

Bo oto nadeszłaś ty, — druga, i zawistnie zmąciwszy się ze sobą, chciałyście oszukać mnie. Wtedy źródło tęsknot trysło raz wyżej i znikło pod ziemią.

I usłyszałem, jak wiodłyście cichą ze sobą kłótnię, a ja siedziałem obok.

A królewna mówiła:

„ze szczerą obłudą przyszedł do mnie, by jak anioł z człowiekiem zmagała się z nim tęsknota moja.

Utajone kłamstwo mi zdradza, a okrył się po wierzchu prawdą, aby uszła przenikliwości mej chciwej. Jego jestem i poza podejrzliwością całujemy się jak dzieci".

I mówiła owa druga:

„zbyt słabym jest, iżby mógł unieść podstęp dla mnie niezrozumiały; musi być królewiczem, bo podoba mi się"!

I owa druga, gdy tem zgnębiła królewnę, a ta, nic nie odrzekszy, bawiła się kulą różańca — podeszła do mnie i zachciała odsłonić łachmany żebraka.

Wtedy zmieniły się łachmany i ujrzałaś, dziewczyno. strój człowieka prostego, — zmorę dla ciebie mglistą, iż że twoja królewna żyć jeszcze w takiej prostocie nie może.

A ja wstałem i błogosławiąc drżeniem warg mocy swoich przemian, poszedłem daleko, wpatrzony w toczące się główki ostu.

Może wrócę kiedy i inną będzie królewna twoja i razem pójdziemy? — — —

— — — — — — — — — — — —

Trudno jest iść, patrząc na toczące się główki ostu.

Niewolne wyzwolenie.

W czarnym dużym pokoju stoi powyginany stół. Postawiłaś tam kupiony dawno bez,—krzak pobladły.

I gdy opadły kwiaty, jako gwiazdki nikłe, gałązki dały z siebie blade liście, a te pięły się ku mętnemu światłu, bo takie światło było w pokoju — — —

Wychodzę i wchodzę do pokoju czarnego,—tam, o dziewczyno moja.

I patrząc po ciemnej atmosferze, maluję popiół gobelinów, a dziwaczne wampiry ssą tam kwiat chorej jabłoni.... — — — — odrzuć krew z siebie, odrzuć te zczerniałe wiśnie zastygłe na ustach, a maleńkie ranki zasyp pyłem słonecznych ścieżek.

O czyliż jest światłem grająca harfa ogromna?

Wnieś ją, wnieść każ przez zamałe drzwi!

— — — — — — — — — — — —

U stóp zielonego wzgórza rośnie krzak jałowcu, rośnie krzak w wilgoci wieczorów. I małe mrówki toczą koło niego okruchy traw i ogromny księżyc, przez plątaninę ziół, błąka się po jego piersi.

— — Stwórz sobie pęk kulisty błyskawic, ujmij go silnie w ręce i stań w ciemnym pokoju, — może dasz światło!

Bo z ciemnego chłodu wysnuwają się nitki oszlamionego bezwładu i ze słodyczą wodzą cię od drzwi do drzwi.

A za drzwiami grają ogromne orkiestry, obraca się wielki karuzel tekturowych serc i w słońcu lęgną się muchy na gnoju ulicy. — — — — — — — — — — —

— — Upał parzy dachy, i jest godzina południa.

Radosne epitafjum.

Kiedyś przyszła ją zwalczyć Niewola ziemi, przyszła ją zarazić trądami swemi i rdzą rzeczy mijających. Aby poddana była czasowi walk, jako kamień bezwładny, jako rozkruszona budowla, aby dawała łom gruzu w ręce witeziów i niewolników.

I obaczyła Niewola jej oczy niewytłomaczone, gdzie wejrzenie nie daje ani wyzwania ani pokory.

I nie wiedziała Niewola, jak porazić ją. . . . .

A długo stała przed Niewytłomaczoną, ona, — moc ogromna.

. , . Aż schyliła się Moc ziemi i potrójnym pocałunkiem wskazała, niewolnikom za nią dążącym, jak pozdrawiać Niewytłomaczoną.

I pierwszym pocałunkiem dotknęła jej czoła i zamknęła w nim myśli słoneczne za kratą niemoty.

Drugim pocałunkiem zapłonęła pod piersią jej lewą, na sercu, i wezbrała pierś jej pragnieniem rzeczy krzepkich i pewnych, na których-by się miłośnie wsparła;

a trzecim pocałunkiem owinęła się wkrąg zawrotnego kształtu bioder jej i naznaczyła jej łono żądłem wzruszeń tłustych i lepkich.

I dała jej potem w rękę jabłko władcze,—kulę żyznego czarnoziemu, z motylem, wgniecionym za skrzydła do wierzchołka kuli . . . . .

Wtedy odeszła Niewola ziemi, a odchodząc posłała głos daleki nad głowę Niewytłomaczonej, który mógł być równie lękiem odeszłej jak i jej szyderstwem.

A głos ten drżał w sferach powietrznych:

— Nie rzuciłam cię na twarz przedemną, nie połamałam goleni twych, i nie szukałam włócznią, azali w krwi twojej życie błądzi.

Równą mi będziesz wszędzie i wszędzie uśmiech swój poznamy.

Boś pocałunkiem moim potrójnym, własną się stała niewolą a duma twoja wzniesie się tylko do poczucia zależności — —

Nie wiem, po trzykroć nie wiem, i dlatego, o Niewytłomaczona, siostrą mi jesteś.

I na długo zaludnimy świat. — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — —

I dzieje się, że Niewola ziemi po ziemi chodzi po dziś dzień i z siostrami swemi umawia się po zaułkach i w jaśni.

A siostry jej są: zwinne i przebiegłe, nędzne i dumne, ród strun harfianych, ą palce na nim — ziemi Niewola.

I niema nędzy na świecie, gdyż jest wszędzie, i niema bólu na świecie, gdyż w tępości śpi otulony pinczerka okrywką, gdy po drogach chodzą słupy śnieżycy.

— — W klasztorach dobrych, gdzie się modlą do odbicia słońca w kropielnicy, albo-li na celi ścianie; w gospodach marynarskich, gdzie tyje się od tłuszczu rybiego, a dziewka tęga za sieci zasłoną czeka, w czarnym pokoju, gdzie mętne światło; w domu jasnym, gdzie przy turkocie ulicy biją serduszka pękate o nogach poczwary, a wtóruje im budzik-gospodarz; wszędzie i wszędzie po ziemi i po niebie kalendarza włóczy się sepleniąca, kaprawa istota jutra.

I jest to istota stworzona na obraz i podobieństwo swego boga, twór zarozumiały w pysze cnoty, która obrazoburstwo gani — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — —

Płyną okręty poza ziemią, złote okręty po okręgu świata, wielkie nawy, a każda słodyczą gra, jako zjawa morza wiecznego.

I każda ma w tramie, w belce najtęższej, jedno maleńkie ziarno myrrhy, łzę stężałą, która widziała uśmiech Chrystusa, najskrytszy z jego uśmiechów w godzinę adoracji.— —

A okręty owe wiozą dusze słońc, banity krajów, rządnie w istność patrzących.

— — — — — — — — — — — — — —

I jak czajka srebrna błąka się między okrętami myśl, jakby zbyt gołębia, dla wód na okręgach świata:

„O struny harfiane, o ostre struny łatwo rdzą trawione!

Zbawiający litością we krwi pada;—i tutaj więdną skrzydła moje!

Gdyż czajką srebrną jestem, strząśnięta skrzydłem orłowem w ruchu najczystszej chwały, a imię moje — płomień różowy w kuźni żywotów".

I jakby wznosi się dłoń nad pieczarą w skale kutą, jakby płonie dłoń żądzą słów rytych:

Przeszłaś, wejdź w nowe, gdzie tylko duch wznosi się lub opada!

Lecz tu, w błyskawicy miga nocą twoją jeno:

— *Radosne Epitafjum* . . . . . .

— — — dalej? — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — —

O czajko srebrna! — — —

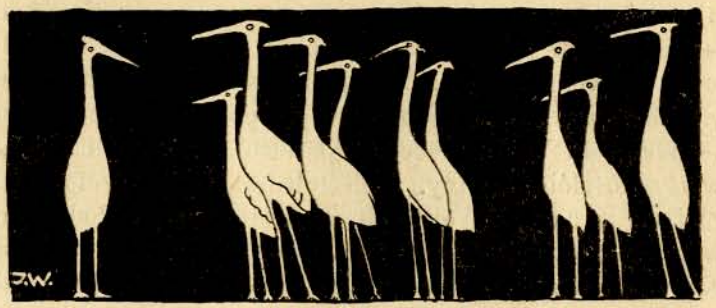

SAVITRI.

NOWE FORMY MIŁOŚCI W LITERATURZE ROSYJSKIEJ.

Dwie sylwetki kobiece: Zeneidy Gippius (Mereżkowskiej) i L. Zinowjewej — Annibał przykuwają naszą uwagę wśród modernistów rosyjskich, ponieważ ogromnie wyraziście wcielają w sobie dwa biegunowo-różne światopoglądy, dwa różne typy miłości. Współczesna forma rodziny i miłości jest w stanie fermentacji, przeobrażania się, jak dotąd, tylko wewnętrznego. Dlatego interesującem jest każde nowe a dosadne sformułowanie etapów tego przeobrażenia.

Zeneida Gippius, poetka, powieściopisarka, i krytyk (pod pseudonimem Krajnij'a pisywała w miesięcznikach „Nowyj Put," i „Wiesy") wyznaje neo-chrześcijanizm. Prąd ten, reprezentowany w Rosji w różnych odcieniach przez Dymitra Mereżkowskiego, Bierdiajewa i Rozanowa, przeciwstawia dualizmowi historycznego chrześcijaństwa — monizm nowej świadomości religijnej. Na wzór naszego Cieszkowskiego, zwiastują oni królestwo Ducha św., które powinno znieść dwoistość Ojca i Syna (tezę i antytezę) przez syntezę w Trzecim. Tylko tą drogą Troje stają się Jednym. To nowe chrześcijaństwo (apokaliptyczne) opiera się na Objawieniu Św. Jana i, nie walcząc by-

najmniej z chrześcijaństwem historycznem, uznaje, iż nie posiadało ono prawdy całkowitej i winno być dopełnionem. Co więcej, neo-chrześcijanie uważają, że objawienie (chociaż częściowe) było nawet u pogan, a Goethe lub Leonardo da Vinci więcej łaski bożej posiedli, niż zmartwiały kościół oficjalny. Cała kultura, nauka, życie płciowe jest w naszych czasach pozareligijnem. Podzielono świat na niebo i ziemię, przekląwszy tę ostatnią. Stąd ascetyzm chrześcijaństwa historycznego, które pamiętało tylko o Chrystusie umęczonym, zapominając o zmartwychwstałym. Lecz trzeba, aby była „ziemia niebieska i ziemskie niebo". Odtąd przez przeobrażenie materji ma nastąpić uwolnienie z pęt konieczności, utrwalenie wiecznego *indywidualnego* bytu materji. Orgjazm djonizyjski uświęconym zostanie odnowa, jako jedna z form potwierdzenia *pełni bytu* w Chrystusie, zlania się z praźródłem.

Z punktu widzenia „trzeciego królestwa" — „królestwa Ducha św." — inaczej powinien być rozstrzygnięty problemat płci, która, podług neo-chrześcijan, prowadzi do zbiorowego („sobornego") życia religijnego. Z drugiej strony w przeciwstawieniu do dawnego bezcielesnego ascetyzmu, miłość płciowa posiada znaczenie transcedentne, gdyż w zlaniu się istot biegunowo-różnych jest dążenie do wieczności, do potwierdzenia pełni indywidualności. A wszak indywidualność największą jest wartością. Sam Bóg wcielił się w formę indywidualności i przykazał utrwalić ją dla wieczności. Lecz miłość w tem dążeniu swem jest tragiczna. Pełnia i wieczność indywidualności w świecie empirycznym nie daje się osiągnąć. Indywidualność rozdrabnia się przez rozmnażanie; niezaspokojone pragnienie doskonałości przekazuje się dzieciom i te cierpią te same męki. A i sama miłość płciowa ciągle się rozprasza, skierowuje na wiele istot, jest wieloraką, a nie *jedyną*, zatem nie osiąga wieczności. W dziejach ludzkości zaznacza się tragiczna antynomja: rozmnażanie jest skutkiem niedoskonałości, śmiertelności, rozdrabniania się indywidualności, lecz prowadzi do jej ostatecznej wieczności, doskonałości i zwyciężenia śmierci. Znaczenie metafizyczne miłości polega na tem, że przez nią utrwala się osobniczość metafizyczna, wieczna indywidualność, tymczasem, dzięki śmiertelności ziemskiej powłoki płeć rozdrabnia się i umiera. Osiąga się nie wieczność jednej indywidualności w nieśmiertelności, lecz wiele indywidualności śmiertelnych w rozmnażaniu, nie jedna miłość wieczna, lecz wiele znikomych. Zniesienia tej antynomji szukać można jedynie w związku z Bogiem, przez ewolucję bogoczłowieczą.

Wobec takiego znaczenia miłości płciowej, neo-chrześcijanie odrzucają nietylko ascetyzm, lecz i wszelki związek przymusowy, wszelkie więzy czy to zewnętrzne, czy wewnętrzne, wszelkie tamowanie orgjazmu płci. Chrystus nie nauczał, iż powinno być nieskończone rozmnażanie, lecz wskazywał, jako cel życie wieczne i doskonałość indywidualną. Zatem należy protestować przeciwko związkowi *rodowemu*, jakim jest rodzina.

Płeć nietylko połączy dwoje w wieczną pełnię indywidualności, lecz i wszystkich w społeczność. Bo miłość chrześcijańska jest nietylko litością i altruizmem, nietylko braterstwem, lecz mistycznem zakochaniem.

Te idee są nicią przewodnią utworów Zeneidy Gippius. Tak pojmuje ona miłość—jedyną w swej wyłączności, przez którą ma się objawić pełnia duszy. I na każdym kroku w jej utworach spotykamy bój o indywidualność.

Wobec poświęcenia życia metafizycznej abstrakcji wieczności, zostaje wykluczona pstra różnorodność i zmienność zjawisk. Cóż znaczy chwila? Trzeba trwać. Duszę zachować w *jedynem*. Najlepiej to odtwarza jej wiersz:

Raz kipi pianą fala sina,
raz jeden tylko się rozbija —
Zdrad niema—miłość jest jedyna,
a zdradą serce żyć nie może.
W chwilach zabawy, oburzenia,

przy kłamstwie—zawsze w sercu cisza —
nigdy w nas niema zdrady cienia,
dusza jest jedna, miłość—jedna.
Jednostajnością swoją silne
przechodzi życie...
— — — — — — — — — — — — —
Miłość jest jedna, zawsze jedna.

Dorobek literacki Zeneidy Gippius jest dość pokaźny: prócz poezji, wydała kilka grubych tomów nowel i opowiadań (Zwierciadła, Nowi ludzie, Szkarłatny miecz i inne). Utwory te wśród pozytywistycznego, w kulcie Darwinów i Comte'ów żyjącego społeczeństwa, wzbudziły gniew, niechęć i srogie polemiki, gdyż prócz „wolności i ziemi", stawiały problemat duszy i jej wzlotów metafizycznych, a zamiast wolności zewnętrznej — „wolność w niebie" i „miłość, gdzie żadnej wolności nie trzeba". Oto jakim wydaje się świat autorce, wyznającej religję wieczności i indywidualności:

„Długi, długi rząd zwierciadeł przeróżnych: krzywych, przezroczystych, mętnych, małych, wielkich. Wszystkie zwrócone w jedną stronę. A naprzeciwko Duch. Nie wiem jaki—tylko wielki Duch. I w tych zwierciadłach się odbija. Każde zwierciadło odbija, jak umie. Potem—raz, dwa — moment życia skończony, zwierciadło się zaćmiło, stłukło—i Duch się nie odbija. Mówimy, że znikł. Nieprawda—jest. Tylko my nie widzimy, bo się nie odbija. Zwierciadła bywają różne—wklęsłe, wypukłe... a Duch jeden. Nic więcej niema. Czemu oni się tłoczą? Sami są odbiciami, w koło odbicia, wyjść poza odbicia niepodobna, dopóki się lustro nie stłucze"...

Ducha trzeba w sobie uchować. Oto w powieści „Złocień" młoda i utalentowana kobieta odrzuca kochającego ją człowieka na skutek żądania wyłącznego, małżeńskiego życia, które nie pozwoli rozwinąć i wyjawić w pełni własnego „ja". W „Miss Mary" dwoje kochających się ludzi nie chce zawrzeć małżeństwa, by miłości nie przypieczętować związkiem przymusowym. Andrzej pędzi życie codzienne i nieciekawe z inną żoną, odczuwa całą ohydę życia płciowego z przyzwyczajenia, z obowiązku. A idealną Miss Mary spotyka jako zakonnicę i słyszy od niej o tajemnem życiu duszy i celach niewyjawialnych. Ona to była prawdziwą miłością, nigdy w sercu nie wygasającą. W opowiadaniu „Szkarłatny miecz" rzeźbiarka Lucy waha się między sztuką a pracą społeczną, między uczuciem dla społecznika i artysty. Walka ta zostaje rozstrzygnięta na korzyść sztuki. Cele utylitarne, praca dla ludzi niczem są wobec duszy i jej świętego prawa, i jej dróg, prowadzących do Boga.

Miłość jedyna jest najwyższą wartością duszy, jest czemś z nią zrośniętem i boskiem. Dla duszy własnej żadna ofiara nie jest zawielka. „Zabić człowieka—nie zabić w sobie Boga". Taką jest myśl utworu „Księżyc". Po ulicach Wenecji melancholijnie przechadza się człowiek, zdradzony przez ukochaną. Zna wszystkie jej wady, lecz kocha ją, raczej nie ją, lecz swoją miłość dla niej, bo ta jest częścią boską jego duszy, łaską daną przez Boga. Przypadkiem spotyka młodą swą znajomą, która choruje i więdnie z wielkiej miłości ku niemu. Przez litość zgadza się z nią ożenić, by ocalić jej życie. Lecz gdy młoda dziewczyna zaczyna go pociągać swym powabem, boi się, że zdradzi swą jedyną i najlepszą, chociaż nieszczęśliwą miłość i porzuca narzeczoną, skazuje niewinne dziewczę na śmierć, bo suchotnica tego wstrząśnienia nie przeżyje. „Zabić człowieka — nie zabić w sobie Boga". To samo wyraża „Święta krew". Pustelnik znajduje małą rusałkę, która tęskni za duszą nieśmiertelną i chce ją zdobyć wśród ludzi. Starzec chce ją ochrzcić, w ten sposób dusza jej zyska nieśmiertelność, lecz to go narazi na utratę własnej duszy. Jest inny jeszcze sposób: zabić najdroższego człowieka — a jego krew, padając na zabójcę, wzbudzi w nim nieśmiertelną duszę, choć i nieśmiertelną mękę także. Rusałka obawia się, że starzec przez miłość dla niej ochrzci ją dla niej samej niewidocznie, że utraci du-

szę, aby ją duszą obdarzyć. Niech lepiej ginie ciało. Niech będą dwie dusze kosztem jednej marnej ziemskiej powłoki. Rusałka zabija pustelnika — zbryzgana jego krwią, czuje duszę, a w niej mękę niewysłowioną.

Takim jest typ duchowy, który się wykluł z ideologji chrześcijańskiej: zakrzepnięcie w *jedynem*, pogłębienie podniesionej do ideału monotonji—bez rozszerzenia dobrowolnie zakreślonego kręgu. W tym kręgu niema miejsca na radosną przemianę, na komunję z naturą i ludźmi. Wszystko to wyklucza indywidualność, będącą celem dla samej siebie i innych dla swego rozrostu poświęcającą. Życie rozlewne, cudzą męką cierpiące, nie zasklepione dumnie w sobie, lecz buntownicze i wolności wszelkiej spragnione widzimy u Zinowjewej-Annibał. Śmierć przedwczesna nie pozwoliła jej ziścić bogatych zapowiedzi, lecz i ten dorobek, który pozostawiła, pozwala dokładnie ją scharakteryzować.

Osobnik, w którym prąd życia jest skierowany na zjawiska zewnętrzne, posiada zazwyczaj wysoką wrażliwość, zdolność ciągłego współdrgania z otoczeniem. Odznacza się tą wrażliwością Zinowjewa-Annibał i doskonale to formułuje w krótkim utworze „Ryba elektryczna“:

„Każdy nerw mego ciała—to maleńka rybka elektryczna i wszystko, co patrzy — a patrzą na mnie i ludzie, i rzeczy, — dotyka mnie i wszystkim w suchych, dobitnych uderzeniach oddaję swoje prądy elektryczne aż do wyczerpania, do śmierci.“

Życie — to ciągłe wywiązywanie się elektryczności, mimowolnej sympatji, spajającej duszę artystki z otoczeniem. Cały szereg tych reakcji, ostrych, gwałtownych ukazuje „Zwierzyniec tragiczny“. Dziecko, niesłychanie dobre przez wrażliwość i niesłychanie złe przez pragnienie, pojmuje całą otchłań sprzeczności i kłamstw życiowych i czujnie, czujnie wsłuchuje się w ból, nie wierząc w wykrętne zapewnienia starszych o sprawiedliwości. Wilk ze strasznym, rozszarpanym bokiem powalony na polowaniu, zajączek ginący w niewoli, nieznany „potwór“ żyjątko wodne, uwięzione wraz z innemi w słoju i siejące

śmierć dokoła, by wyżyć samemu—krzywdzona mała skrofuliczna posługaczka, głodna dziewczynka chłopska — oto bodźce, pod któremi serce dziecka kurczy się w popłochu i męce, w pytaniach bez odpowiedzi.

Inną stronę twórczości Zinowjewej-Annibał przedstawiają: „Trzydzieści trzy potwory“ i „Śpiewny osioł“. I tu i tam są odmalowane nienormalne formy miłości. W ostatnich czasach w literaturze rosyjskiej grasują podobne tematy (Kuźmin, Sołogub, Kamienskij i in.), lecz niema w tem ani epikurejskiego lubowania się Louys'a ani krwawej anomalji de Sade'a. Rosjanin wszystko robi ideowo. Zrozumienie tego zjawiska może nam dać krytyk i teoretyk rosyjskiego modernizmu, Konstanty Erberg (Sünneberg). W swych roztrząsaniach o twórczości, zaznaczył on dążność człowieka do swobody, do wyzwolenia się z musu natury, konieczności. Dzieło każde jest przezwyciężeniem materji opornej, wzlotem w krainę wolności. Dusza rosyjska, strasznie spragniona wolności, i w dziedzinę sztuki musiała wnieść ten kąt widzenia. Im bardziej przezwycięża się naturę, tem pełniejszem, samorzutniejszem wydaje się dzieło. Marmur nie powinien zdradzać wysiłku rzeźbiarza. W walce z naturą, wśród protestu przeciwko jej tyrańji, krępującej wolnego ducha, w tęsknocie ku świtającym formom „z tamtego brzega“ można brać formy najbardziej uchylające się od norm, by potwierdzić twórczą niezależność. Tę dążność nazywa Erberg „innormalizmem“. Perwersje literatury rosyjskiej — to tylko protestujący innormalizm, namiętne twierdzenie: — mnie wszystko wolno, — a nie degieneracja i rozzuchwalenie zmysłów. Pogląd na nie wśród rosyjskiego społeczeństwa, jakkolwiek krytyczny, nigdy nie dosięgnął takiego stopnia świętoszkowskiego oburzenia, jak np. w Anglji i los Wilde'a nie spotkał Kuźmina. *)

*) Szersza publiczność w Rosji i nieliczne krytyki u nas podciągnęły plejadę młodej Rosji pod miano „pornografji“. Tymczasem, pomimo szczegółów sensacyjnych, wartość ich zasadza się na czemś innem i wiele z dzieł modernizmu rosyjskiego pozostanie w historji literatury. Np. okrzyczany Kuźmin jest pierwszorzędnym artystą o duszy wrażliwej i subtelnej.

W „Trzydziestu trzech potworach“ piękna i władna Wera kocha młodą dziewczynę, którą zabiera do siebie, stroi i zazdrośnie napawa się jej pięknością. Obie kobiety są narysowane w linjach pięknych i czystych — one nie są wyuzdane, one tylko kochają piękno. I piękno to widzą w odmiennych formach, odbiegających od form ogólnie przyjętych. W tem jest inny odcień, niż w przestępowaniu świadomem zakazów, uznanych w zasadzie za słuszne, lecz nie mogących się ostać wobec niepowściągliwości i ponęty grzechu. Artystyczna lesbijka nie chce egoistycznie posiadać piękna tylko dla siebie. Postanawia przekazać je ludziom i prowadzi swą wybrankę do pracowni trzydziestu trzech artystów, by utrwalili na płótnie kształt nieskazitelny. Lecz ciało pięknej widziane przez pryzmat żądzy trzydziestu trzech mężczyzn wychodzi potworne i skażone. Trzydzieści trzy potwory patrzą z płócien. Ona i nie ona...

Utwór powyższy maluje symbolicznie dramat piękna, które zostaje sprofanowane przez oddanie na użytek powszechny, lecz które z bólem ofiarnym oddać trzeba (wyrzeczenie Wery). W dramacie „Pierścienie“ kwestjonuje się słuszność wyłączności już nie piękna, lecz miłości płciowej. Zeneida Gippius doskonałość upatruje w bycie wyłącznym, rządzonym własnem prawem. Zinowjewa-Annibał w imię rozlewności życiowej, w imię cierpienia wyłączonych odrzuca wszelkie życie opierścienione, odcięte od reszty świata. Wyłączna miłość płciowa, przeciwstawiająca się reszcie świata, powinna być zniesiona.

Życiem zamkniętem przez dziewięć lat żyją Aleksy i Aglae. Od pewnego czasu Aleksy zaczął odwiedzać wdowę po swym krewnym, Annę, która trwa w smutku nieuleczalnym po stracie męża i dzieci, w tęsknocie za miłością i macierzyństwem. I ta tęsknota zwraca się ku Aleksemu. Kiedy już ci dwoje należą do siebie, Anna przybywa do domu Aleksego, który chce widywać się z Anną, lecz nie chce opuścić i Aglae, gdyż każda z nich zaspakaja inną a istotną potrzebę jego duszy. Miłość Aleksego i Anny przestaje być tajemnicą dla Aglae, która pozwala im odjechać razem — do szczęścia. Aleksy jest ciężko chory i ostatnie jego chwile, odebrane szalejącej w rozpaczy miłosnej Aglae, opromienią ubogą i bezradosną dotąd Annę szczęściem macierzyństwa, które tak hojnie przypadło w udziale Aglae.

Przed złamaną Aglae staje jej pierwszy mąż, Wania, którego porzuciła za zdradę. Wania w wirze przemian nie zapomniał o Aglae. Gdy go opuściła, zeszedł na manowce, bo ten człowiek — ptak potrzebował wiary w najlepsze, uosobione w Aglae, a szukanie innych kobiet nie było w nim zdradą, lecz rozbijaniem martwego pierścienia małżeństwa, rzucaniem odbić w nieruchome zwierciadło dwojga. Źle zrobiła Aglae, że porzuciła przed laty Wanię, nie zrozumiawszy, iż nowe zapalane uczucie dawnego nie gasi, lecz blask jego wzmaga. Teraz musi ukoić jego tęsknotę—tęsknotę człowieka—dziecka, prosto i bezpośrednio biorącego świat w jego różnorodności i nie opierającego się nowym wrażeniom, bo te są bogactwem.

I Aglae, pobłażliwa dla męki miłosnej, osuwa się biernie w ramiona Wani, który nie wymaga, by zapomniała o Aleksym. I razem z nim idzie w świat, za najlepszym ukochanym. Razem z Wanią znajduje się na pokładzie okrętu, gdzie są także Aleksy i Anna. Wania związuje obrączkę swoją i Aglae i rzuca w morze. Niech nie będzie pierścieni! Aleksy dogorywa i kona z imieniem Aglae na ustach. Bo jedno jest uczucie najlepsze, lecz inne uczucia również są potrzebne dla rozwoju duszy. A egoistyczne zamknięcie się dwojga w ciasnem kole jest krzywdą dla innych. Gdziekolwiek jest tabu, tam rozbija się czyjeś życie. Nie trzeba robić ze swych istnień wiecznie gładkiego jeziora, w którem się nic nie odbija. Trzeba w imię rozlewności życia pojąć jej zasadę najwyższą, niedostępną dla atawistycznych instynktów zazdrości: *współistnienie przywiązań.*

Zeneida Gippius i Zinowjewa-Annibał reprezentują dwa typy, wyłączające się wzajemnie: zacieśniony w je-

dności i panteistycznie — rozlewny w wielości. I tu, i tam chodzi o doskonałość jednostki, o ewolucję duszy. Lecz u pierwszej ewolucja idzie drogą oderwania się, walki o własność jedynego, u drugiej — drogą złączenia się, szczęścia dla wielu. Któraż droga ewolucji dusz najlepiej sprzyja? Potrzebna i indywidualizacja i rozlewność. Tylko pamiętać należy, że dusza ludzka wtedy tylko potężnieje, gdy się rozszerza, w obrębie pierścienia zubożeje pierwej czy później i zginie bez powietrza na szczytach bezludnych. Wszelkie wyodrębnienie jest cierpieniem i pierwej czy później kończy się bolesną skargą, którą spotykamy u Zeneidy Gippius: „Między ludźmi niema porozumienia“...

Obie autorki stają w obronie orgjazmu płci—najściślej poddanego celom duchowym, a nie opartego na bałwochwalstwie materji. Gippius odrzuca tylko związek przymusowy, lecz zatrzymuje fetysza „jedynej i wiecznej“ miłości. Zinowjewa-Annibał przez współdrganie ze wszechświatem odrzuca i to, formułując tylko prawdę uczuć ludzkich, falujących we wrażliwej zmienności, zdolnych do nieskończonych przemian i głodnych karmi coraz to nowej. Wśród tej radosnej wielości trwa miłość „najlepsza“ — lecz wszakże ona zanika tylko w monotonji, a w swobodnej grze życia mieni się i pięknieje.

Nowe ukształtowania uczuciowe odtwarzali i Maeterlinck, i Hauptmann, i Schnitzler. Lecz u Zinowjewej-Annibał spotykamy najkrańcowszy, iście po rosyjsku kategoryczny protest przeciwko „Pierścieniom“.

ADOLF STRZELECKI.

HENRYK MANN.

SZKIC Z PROFILU.

Hen daleko na południu, w pobliżu Florencji, albo nad brzegiem jezior włoskich, w samotności przeżywa dni swoje artysta wielki, największy—mojem zdaniem—artysta wśród współczesnych pisarzy niemieckich: Henryk Mann, rodzony brat autora „Buddenbrooków“, Tomasza.

I tam, w dali od swej ojczyzny, w nieustannej kolei wykuwa niestrudzenie swe dzieła; to ciosa w olbrzymich blokach marmuru wspaniałe, mocarne, nadludzkich rozmiarow postacie, — to znów w zmudnym trudzie wycina w drogocennych kamieniach mistrzowskie intaglja i kamey, — to subtelnym, złotniczym kunsztem cyzeluje swe płaskorzeźby, na których, jak na tarczy Achillesowej przeróżne postacie ludzkie plączą się w dziwacznym, pozornie szalonym, a jednak pełnym głębokiej myśli korowodzie.

I zawsze, czy to gdy tworzy olbrzymie, wprost zadziwiające rozmiarem dzieła, czy to gdy rzuca — niby oszlifowane cudownie brylanty—swe drobne nowele i szkice, zawsze jest mistrzem skończonym, przedewszystkiem i wyłącznie artystą, dla którego jedynym kategorycznym imperatywem, jest żądza nieprzeparta uplastycznienia tych postaci, tych wizji, które powstają w jego twórczej wyobraźni.

Mimowoli, gdy mowa o Henryku Mannie, nasuwają się słowa o metalicznym dźwięku, porównania do drogo-

cennych kruszców i klejnotów, metafory wzięte z rzeźbiarskiego kunsztu. Bo w istocie mowa jego jest jak dźwięk spiżu i dźwięk złota; styl jego migoce blaskami i lśniącemi barwami drogich kamieni, a plastyczność stworzonych przezeń postaci jest rzeźbiarska; są one jak zarumienione słońcem zachodu, białe marmury posągów, albo ozłocone światłami południa bronzy posągów stojących na tle ciemnej soczystej zieleni italskiego pejzażu, pod ciemnym lazurem italskiego nieba.

Innych pisarzy można porównywać z malarzami czy rysownikami. Henryka Manna, jedynego wśród Niemców dzisiejszych, porównać trzeba, porównać się musi z rzeźbiarzem. I nie trudno odpowiedzieć na pytanie, skąd pochodzi ten charakterystyczny rys jego twórczości.

Dwuch synów zrodziła w Lubece włoszka hanzeatyckiemu bankierowi i senatorowi. I obaj rzucili bankierstwo i giełdę i jęli się pióra. I obaj, odrazu, wysunęli się dziełami swemi na pierwszy plan współczesnej twórczości powieściowej niemieckiej. Ale podczas gdy w młodszym, Tomaszu, górę wzięła krew ojcowska i zapanował wyłącznie prawie niemiecki typ rasowy, — starszy, Henryk, bezporównania więcej ma rasy macierzyńskiej, niż ojcowskiej i jako indywidualność twórcza, ma romańską plastyczność, romański kult piękna samego w sobie, typowo włoską malowniczość i barwność, typowo romańskie rozmiłowanie w formie skończenie pięknej, w kształcie, w artystyczności giestu i typowo włoskie rozkochanie w wielkich namiętnościach, w tej *virtu* włoskiej, która trwa i istnieje, mimo, że epoka Odrodzenia tak dawno minęła. A jednak Włoch nie zabił w nim doszczętnie Niemca.

Rozkochał on się w ojczyźnie swej po matce do tego stopnia, że w niej zamieszkał, że w każdem, bez wyjątku prawie dziele, bierze ją za tło, albo jakby czynnie wprowadza ją, jako siłę bezpośrednio działającą. Zupełnie obca niemieckiemu typowi twórczemu, jest jego namiętna

pogoń za pięknem, jego zaciekłe dążenie do plastycznej doskonałości, jego skąpana w barwie i żarze artystyczna indywidualność. A jednak—jak sam to przyznaje—nęka go nieustannie i więzi ta rasowa dwoistość, którą odczuwa w sobie na każdym kroku, ta walka, która nieustannie trwa w jego duszy, walka pomiędzy nie dającymi się sprowadzić do jednego mianownika, nie dającymi się pogodzić pierwiastkami psychicznymi dwuch bezwzględnie innych, bezwzględnie obcych ras. Ale z drugiej strony właśnie ta nieustanna walka, dostrzegalna w każdem z dzieł jego nadaje twórczości Henryka Manna dziwny urok, odrębne, charakterystyczne piętno.

Już w pierwszym zbiorze nowel („Das Wunderbare“, 1897) przejawia się wyraziście ta walka dwuch pierwiastków. Ciągnie go ku sobie mglisty sentymentalny niemiecki romantyzm i jednako pociąga go żywy, kipiący bujną krwią, barwny świat włoski. I jakby chcąc każdemu z tych pierwiastków rasowych złożyć daninę, z czterech nowel, dwie (lokalnie nawet) rzuca na tło Niemiec, dwie na tło włoskie. W dwuch górę bierze, a nawet wszechwładnie panuje eichendorffowski romantyzm, typowo niemiecki sentymentalizm, choć w jednej zabarwiony mocno „cudownością“ *à la* Edgar Poe; jedna to realistyczny, jędrny obrazek w maupassantowskim stylu; w ostatniej dopiero *ex ungue leonem*, widać późniejszego Henryka Manna z jego plastyką i zdolnością chwytania na gorącym uczynku wszystkich drgnień renesansowej duszy, po dziś dzień żywej w każdym zakątku Włoch współczesnych.

I oto w trzy lata później rzuca on rękawicę niemieckiej filisterji, tej żądzy użycia, deprawacji ciał i dusz, gonitwie za groszem *quand même*, temu całemu upodleniu, które wszechwładnie zapanowało w jego północnej ojczyznie, tej dekadencji *of the upper ten thausand* bankierskich i arystokratycznych, które przenika zwolna z góry w dół, poprzez wszystkie warstwy społeczne i życie na północy

czyni mu wstrętnem i nieznośnem. Z nienawiścią, wzgardą, jadowitą satyrą, pisze swą pierwszą powieść („Im Schlaraffenland“ 1900). Niema w niej ani źdźbła niemieckiej sentymentalności, ani włoskiego szerokiego patosu. Wyczuć łatwo wpływ Balzaca i naturalistów francuskich. Ale styl tu lekki i pełen dowcipu i finezji, morderczej złośliwości, umiejętność zwięzłej, jaskrawej charakteryzacji wprost zadziwiająca; obserwacja własna i nowa, umiejąca nawet z użytych postaci i tematów wydobyć nowe zupełnie strony i rysy.

Od tego wstrętnego mu północnego świata odwraca się Mann i zamyka się w świecie zaludnionym wyłącznie tworami własnej wyobraźni. I wtedy powstaje największe jego dzieło, nietylko rozmiarami, ale i artystyczną wartością—(„Die Götinen oder die drei Romane der Herzogin von Assy“ 1902). Tu dopiero stwarza on sobie swój własny, odrębny, indywidualny styl w najszerszem, największem tego słowa znaczeniu. Tworzy ludzi nie na miarę współczesnych, skarlałych, szarych, ale na miarę owych zamarłych dawno renesansowych postaci, zdolnych do tytanicznych porywów, olbrzymich, rwących jak wezbrane rzeki górskie, namiętności, wspaniałych giestów, na wzór michelangelowskich gigantów. A choć tłem ich czynów i przeżyć czyni jakby dzisiejszą ziemię włoską, jednak w istocie rzuca ich poza czas i przestrzeń, poza współczesne środowisko, w jakąś krainę o przecudnej krasie, godnej postaci, które ją zaludniają.

Tworzy zespół ludzi o duszach nadnaturalnej wielkości i nadludzkiej prawie pojemności wrażeń i przeżyć, ale i o fenomenalnej subtelności i duchowej kulturze. Tworzy świat fantastyczny zupełnie, a jednak siłą genjalnego talentu, przepotężnej plastyki zmusza do wiary w jego istnienie, zmusza do bezwzględnego poddania się jego pięknu i zupełnie odrębnemu urokowi. Niby olbrzymi nurt lawy, płyną koleje tych cudownych, zdumiewających postaci, którym podobnych nikt jeszcze nie stworzył, płyną w boskiem pięknie, rozpływając się w tęsknicy i cierpieniu i rozkoszy, co podbija i więzi jak konkwistador niezwalczony, upaja i czaruje i zachwyca.

A w ośrodku tego dziwnego świata, jako władczyni jego wszechwładna, stoi postać kobieca o zagadkowości kobiecych twarzy Lionarda, piękności tycjanowskich ciał, zmysłowości Imperii, heroizmie Katarzyny Sforzy, czy Małgorzaty Fortebraccio, rozumie i mądrości Vittorii Colonna, czy Isotty Nogarola, — postać kobieca wyposażona we wszystkie piękno, wszystką siłę renesansowych półbogiń, a we wszystką subtelność i wrażliwość nerwową dzisiejszej epoki, podniesioną do najwyższego stopnia napięcia. I jej to koleje życiowe stanowią właściwie treść dzieła, trzy epoki jej życia, których symbolem trzy są boginie: Djana, Minerwa, Wenera.

Siła twórcy nie słabnie ani na chwilę, mimo olbrzymich rozmiarów dzieła, ani na chwilę nie słabnie napięcie, ani moc tych jakby w bronzie odlanych, w marmurze wykutych zdań. I tą siłą swoją narzuca on wiarę w ten świat sztuki, unoszący się niewidzialnie ponad rzeczami i zjawiskami życia. Ale oto w mocarnem stopniowaniu mistrz rozbija w niwecz tę wiarę i z monarszą hojnością odtwarza świat innych uczuć i porywów, śni cudowny sen, wspaniałą trylogję niszczącej, marnotrawnej namiętności.

Romański kunszt architektonicznej budowy i świetnego djalogu zdobi głębokie to dzieło, którego żaden germanin czystej krwi nie byłby w stanie stworzyć, dzieło aż po najdrobniejsze szczegóły, pełne zmysłowej kultury i piękności.

„Pogoń za miłością“ („Die Jagd nach Liebe“, 1903), to rzecz ani tak fantastyczna, ani tak pomnikowa, jak dzieje trzech epok życiowych księżnej Assy. Jest to powieść, której technika oparta jest zupełnie na romańskich pierwiastkach w duszy twórcy, choć dzieje się w Niemczech i wśród Niemców. Jest to jakby serja

przygód w stylu Giacoma Casanowy, Brantoma, Małgorzaty Walezjuszki. Jest w tej powieści podbijająca siła plastyki, kolorytu, świetność i ciętość djalogu, słodycz i subtelność uczucia, suggiestywna namiętność, wysoce kulturalny *esprit*, a wszystkie te charakterystyczne cechy stawiają ją na odrębnem zupełnie stanowisku w niemieckiej literaturze powieściowej, a nawet i w literaturze wszechświatowej. A w jeszcze wyższym stopniu, niż w monumentalnych dziejach księżnej Assy, przejawia się tu dramatyczna siła, umiejętność tworzenia scen, prowadzenia djalogu.

Po tych dwuch wielkich rozmiarami dziełach, serja nowel („Flöten und Dolche", 1904), których motywy wzięte są z włoskiego życia i z włoskiej ziemi. I znów ludzi współczesnych wyposaża Mann w porywy i namiętności renesansowych postaci. A jeśli mówi on raz o „histerycznym renesansie", to w pierwszej z tych nowel odtwarza nerwowy renesans, aż po najsubtelniejsze rozgałęzienia jego psychologji,—ten nerwowy renesans, który na pozór nie dorównywa w sferze życiowego i artystycznego czynu, brutalnym i naiwnym, a pełnokrwistym stuleciom Odrodzenia, ale dzięki wyższej, wysubtelnionej zdolności odczuwania, posiada wyższą i subtelniejszą zdolność użycia, która ból nawet przemienia w rozkosz. I gdyby nie wspaniały nihilizm artystyczny Manna, czyniący go zaciętym wrogiem wszelkiej dydaktyczności, możnaby noweli tej („Pippo Spano"), jako tendencję, podłożyć aforyzm, że siłą sztuki jest siła przemiany w szczęście nawet i bólu. Inna z tych nowel („Dreiminutenroman"), to ledwie w dziesięciu stronach zamknięty, cały świat wzniosłego tragicznego bólu, odcięty od tłumu wytwornym, ironicznym znakiem zapytania.

I znów w powieści o niemieckim pedagogu („Professor Unrat" „1905), przejawia się cała nienawiść Manna do sprusaczonej niemczyzny, do tych wspomnień najwcześniejszej młodości, których zatrzeć nie mogły lata

spędzone pod włoskiem niebem. Jest w tej powieści naturalistyczna obserwacja Zoli, pracowita sumienność w zbieraniu „dokumentów ludzkich", przypominająca Goncourtów, wytworność stylu przypominająca Flauberta, ale ciasne ramy romańskiej architektoniki rozsadza potężny rozmach, tym razem nieokiełzanego temperamentu, nadający wszystkim postaciom, a w szczególności wielce smutnemu „bohaterowi", groteskowe, olbrzymie kształty, zdolny przemienić nawet marne, brudne przeżycia mizernych duszyczek w wzruszające dzieło sztuki. A przytem wszystkiem jest to jeden z najsurowszych, najbezwzględniejszych aktów oskarżenia przeciwko temu, co wszechwładne w północnej ojczyznie Manna i jest w nim ból, krwawa satyra, równa nieraz kartom Szczedryna i Czechowa.

A potem jakby wytchnienie po wspomnieniu północnej ojczyzny, sceny na tle ojczyzny południowej, nowele („Stürmische Morgen", 1906), przygody młodocianych serc, młodocianych dusz, a po nich dwie, jakby wycięte w drogocennych kamieniach kamey („Mnais und Ginevra", 1906). Dwa monologi, jeden jakby srebrzysty szmer sykulskiej rzeki, jakby cichy szmer fal Alkantary, opowiadający o dawno minionych czasach, gdy greckie niewolniki kuły w marmurze posągi bogiń, patrząc wśród gajów oliwnych na cudne ciała pasterek;—drugi, to jakby szmer florenckiej fontanny, odbijający się echem o marmurowe ściany renesansowych pałaców, ozłocony bladem światłem księżyca. Prastary posąg ożywia się i opowiada swe losy, mówi o miłości jak śmierć silnej i nieszczęsnej; zmarła patrycjuszka florencka powstaje z trumny, by zajrzeć aż na samo dno serc tych, których ukochała. Ciche, szeptane w mroku zwierzenia, obcych już temu światu dusz, a jednak pełne odblasku, żaru zachodu słońca żywota...

Ale mistrz pracuje niestrudzenie i znowu czerpiąc jakby z nieprzebranej pełni, rzuca dzieło wielkie, powieść, w której jakby wyzwolić się chce z pod ciężaru zaga-

dnienia, co nęka i męczy duszę jego bardziej, niż wszystkie inne („Zwischen den Rassen“, 1907). Odtwarza tu walkę tych dwuch pierwiastków rasowych, które nieustannie spór toczą w jego własnej duszy, ale walkę tę wkłada w duszę kobiety, walkę pomiędzy pierwiastkiem giermańskim i pierwiastkiem romańskim, które Mann — mniejsza o to czy słusznie, czy niesłusznie — przeciwstawia sobie, jako pierwiastek uduchowienia i marzycielskiego sentymentu, pierwiastkowi zmysłowego użycia, rozkoszy zmysłów i namiętności. I tu po raz pierwszy w twórczości Manna widoczna jest sztuczna, niejako tendencyjna konstrukcja. Zwycięża pierwiastek giermański; ale to zwycięstwo ducha nad ciałem, intellektu nad zmysłami, nie narzuca się przekonywująco, nie wynika konsekwentnie jako bezwzględna konieczność; staje się ponieważ tak trzeba, a nie ponieważ tak być musi. W tym wzlocie ku gwiazdom niema siły i piękna, tego piękna, które porywa i podbija w tem, co ów wzlot poprzedza, w tych dziejach grzechu, zmysłowego porywu, w tych scenach pełnych barwy, żaru, życia, w których, jak w bareliefie mistrzowskim, wiją się namiętne, kipiące życiem postacie.

Mimochodem rzuca Mann szkic literacki o przyjaźni Flauberta i pani George Sand, a potem dwie krótkie nowele („Die Bösen“, 1908), zamykające jego dotychczasowy bilans literacki. I znów powraca on tu w swój świat najulubieńszy, renesansowych dusz, wyrastających ponad i poza krawiecką miarę. „Zła“ jest wielka artystka, śpiewaczka Branzilla, która ciężką pracą, ale i zaciekłą bezwzględnością, okrucieństwem wobec samej siebie i wszystkich co się z nią stykają, osięga cel, który sobie postawiła, panuje nad światem. Aż po ostatnią chwilę życia niszczy wszystko, co jej w drodze staje, choćby to byli jej najbliżsi, dąży do celu niezachwianie, bo w jej pojęciu cel ten uświęca wszystkie środki. Jest ona jakby siostrą „złego“ tyrana, który także dla zadowolenia swej żądzy panowania wszystko poświęca, łamie w sobie

wszystkie uczucia, któreby mogły jego moc osłabić, zabija w sobie seksualne porywy, litość, przyjaźń, lęk samotności, byle pozostać panem i władcą.

Ale właśnie to ostatnie do tej pory dzieło Manna wskazuje dalszą drogę rozwoju jego talentu. Obie te nowele, to djalogi, to sceny, którym brak tylko żywego słowa i dekoracji, by działały jeszcze potężniej, jeszcze głębiej, niż działają jako drukowane słowo. Obok djalogów, szermierskich potyczek na słowa, popychających jednak nieustannie naprzód akcję psychologiczną, wszystkie inne komentarze, opisy kurczą się do rozmiarów reżyserskich wskazówek.

Nie sposób przepowiadać dalszego rozwoju twórczości Henryka Manna. Czy istotnie zwróci się on ku scenie i czy istotnie dla sceny stworzy największe swe dzieła, to kwestja, której rozstrzygać nie sposób. Faktem jest tylko, że tkwi w nim takie bogactwo nietkniętych jeszcze skarbów, potencjonalnych sił twórczych, że dotychczasowy, acz bajecznie bogaty plon, cząstką jest ledwie tego, co stworzy, co stworzyć musi. A najlepszym dowodem niewyczerpanej jeszcze nawet i w części siły twórczej, jest jego nieustanna przemienność, zupełny brak jakiejkolwiek maniery, łatwość produkcji przy jej surowej i zmudnej dyscyplinie twórczej.

Jest on jednym z tych twórców, dla których model jest pozorem, a nie celem sztuki, sztuka zaś rozkoszą, może igraszką w najwyższem tego słowa znaczeniu. Jest to twórca silny, rasowy, torujący sobie swą własną drogę. Odczuwa on życie tak potężnie, że chciałby je utrwalić odtworzeniem w sztuce; odczuwa on sztukę tak potężnie, że chciałby nią życie ozdobić, jakby wspaniałym wieńcem róż. Jest to jednak — niestety — twórca tak stylistycznie indywidualny, iż żaden przekład, choćby najdoskonalszy dzieł jego, nie da wystarczającego pojęcia o typie jego twórczości.

HENRYK MANN.

GINEVRA DEGLI AMIERI.

Ocknęłam się, a lękam się prawie rozewrzeć oczu, bo czuję naokół jakąś obcą, bezkresną ciemność.

A oddech Messer Fausta? Nie — tylko ogłuszająca cisza, jak przeciągły pogłos wolnych, niewidzialnych kroków... Dlaczegóż moje ręce są na piersiach skrzyżowane? Nie śpię nigdy na wznak i ze skrzyżowanemi rękoma. Zwolna rozwarły się powieki i gdzież okno obok mego łóżka? Niema go wcale. Gdzież jestem!

Gdy się tak nagle zerwałam, przewróciło się to, na czem leżałam. Co to jest? Wszak to nie łóżko: to mary!.. A tam, cóż to za potwory! Szare wychylają się z czarnej nocy i z wysokości wież spozierają ku mnie białemi oczyma. Ach, to kolumny, a poprzez wysokie okna wchodzą trójkątne, białe płaty księżycowego światła i kładą się na nie. O nieba, wszak jestem w katedrze! I — teraz wreszcie wiem to dobrze—umarłam!

.... Zdało mi się, że coś zabrzęczało, kiedy przerażona napowrót opadłam na mary. To moje klamry. Ale widzę tylko te z ametystami. Zdołał jednak nie dać mi tych drugich z karbunkułami! Czy mam przynajmniej swój krzyż na szyi? Nie! Wielki krzyż z drogich kamieni! To za wiele! Chcę... Chryste! przebrałam miarę w gnie-

wie i teraz nie mogę się ważyć iść z powrotem. Jakże się lękam! Nie byłabym nigdy pomyślała, że będę należeć do tych umarłych—którzy powracają. Jeszcze krok jeden, Ginevro? Ratunku!..

Jakaś postać, widziałam to wyraźnie, przemknęła ku mnie przestworem... Nie, to krucyfiks na kazalnicy; i stoi całkiem nieruchomo. Tylko ciemność porusza wszystkiem.

Ale kolana mi zesłabły; chciałabym usiąść na końcu ławki, u Jego ukrzyżowanych stóp.

Na to, co się ze mną dzieje, zasłużyłam, o Panie! To prawda, bo bluźniłam przeciw Tobie! Ale przyznaj i Ty, ciężką jest miłość! Dlaczegóż musiałam kochać Raniera, chociaż to było grzechem i na nic się nikomu nie zdało? Ty wiesz, że chociażbyś mię przy życiu zostawił, nigdybym mu nie uległa. Chociaż inne to robią: a ty karzesz je nie tak srogo, jak mnie, która byłam tak cnotliwą... Czy zechcesz mi może powiedzieć, do czego to wszystko zmierzało?

Czekam.

W ziemskiem życiu mówi się zawsze: dowiemy się o tem na innym świecie, i wtedy o tem pogadamy. Więc mów!.. Wiedziałam, że nie będziesz mógł dać mi dostatecznych dowodów na swoje usprawiedliwienie. Za wiele włożyłeś na moje barki, nie powinieneś się dziwić, że nie wydołałam. Wszak dosyć miałam Messer Fausta, męża mego, jego razów i jego niewiary w mą cnotę! Ustawicznie: „Kochasz go“! „Nie! Bij mnie, ale nie kocham go!“ Gdyby przynajmniej to „nie“ prawdą było! Niestety było „tak“... Na to on: „Mnie też nie kochasz! Kogóż więc kochasz? A ja: „Kocham cię tak, jak mi powinność moja każe, i kocham też łańcuszki na czoło, które piękny syn Messer Uga sporządza“.

„Jego, syna, kochasz!“ „Nie! nie widziałam go nigdy!“ I tak zawsze było. Ale o synu Messer Uga mówiłam rozmyślnie, powodowana dziwną podnietą, bo wiedziałam, że za to Messer Fausto jeszcze raz bić mnie bę-

dzie. Bo bił mnie, skoro tylko wymówiłam imię jakiegoś mężczyzny. Dlaczego jednak ja to czyniłam, czynić musiałam i rwałam się do bólu? To ty wyjaśnij mi, o Panie, jak również i to, dlaczego tyle katuszy zgotowałeś niewinnej!

„Chcę ci kręcić łańcuszki na czoło“, mówił Messer Fausto, kiedy znużył się biciem, „abyś mi tam rogów przyprawić nie mogła. Musisz być sprawiedliwą: robię, co mogę“. Na to odpowiadałam: „Zapewne. Nigdy tego nie uczynię“. I w rzeczywistości nie chciałam tego czynić. A tymczasem rano, kiedy szłam do kościoła świętej Annunziaty, Madonna Eletta wskazywała na mnie palcem i mówiła: „Widzicie ją, obłudnicę! Narobiła plotek na mnie i Gina, a sama sypia z Ranierem!“ To prawda, żem o niej nic nie wiedziała. Ale cóż ona o mnie wiedzieć mogła? A przecież obgadywała mnie za plecami. Gdyby to było prawdą, co mówiła, czułabym się czarną, jak ta murzynka, Panie, która nosiła za mną Gobbo, moją papugę. Tak jednak, mój brokat (a tylko on był przyczyną tej zawiści) zwisał na sińcach, którymi pokrywały mnie razy, zadane mi przez mego męża, a ja byłam uczciwą. I Don Vivante, mój spowiednik, wiedział to dobrze, i, prócz mego męża, którego zazdrość obłąkanym czyniła, nikt nie wątpił o mojej cnocie i wszystkim, którzy grzeszyli, mogłam śmiało spojrzeć w oczy. A kiedy Raniero stał w przedsionku kościoła i obłudne westchnienia pierś mu rozpierały, przechodziłam mimo wyniosła i zimna, patrząc przed siebie z tem wielkiem i ponurem zadowoleniem: „A jednak nie dowiesz się nigdy, że cię kocham! Miłość jest ciężką; ale pozostanę niezłomną i ty nic nie zyskasz. Jesteś złym i nastajesz na to, by mnie w grzech wtrącić. Nienawidzę cię!“... Tak, tak myślałam, o Panie. Czyż nie było to uczciwe i pochwały godne?

W domu rozpoczynała się gorsza jeszcze męka. Dlaczegóż to tak? Czyż to sprawiedliwie? Za tyle dobrej woli? Wyjmowałam ze skrzyni moją wielką lalkę i tuliłam ją do serca: „Przebacz“, mówiłam do niej, „że już

dwa lata na ciebie nie patrzę!“ Ty wiesz, o Panie, jeszcze niema dwuch lat, jak ją odłożyłam. A była ona podczas uroczystości weneckich wystawioną na środku rynku w stroju, do którego wszystkie kobiety rok cały stosować się miały. Mój ojciec odwiedzał właśnie filje swego banku i kupił tę lalkę za duże pieniądze. Wszystkie dziewczęta zazdrościły mi jej i dlatego kochałam ją. Teraz jednak było zupełnie inaczej, o zazdrosnych dziewczętach nie myślałam wcale; kiedy lalkę tuliłam do siebie, czułam, jakby zarzucała mi ręce na szyję; ogarniał mnie płomień, pieściłam ją dalej i mówiłam: „Nie pochodzisz z jarmarku w Wenecji, powinnaś pochodzić od Raniera! Od niego cię mam, jesteś jego dzieckiem, słyszysz, tak chcę, tak być musi!“

Wtedy porywał się we mnie lęk przed grzechem, rzucałam lalkę twarzą na ziemię i sama rzucałam się twarzą na łóżko, byśmy się wzajem nie widziały, i szlochałam w poduszkach: „Nie, nie chcę, nie chcę dziecka od niego!“ I płakałam tak do późnej nocy. A Messer Fausto, mąż mój, przychodził i bił mnie znowu—i miał słuszność. Lecz, aby zaprzestał, krzyczałam: „Dlaczego nie mamy dzieci!“ Ale wiedziałam przecież, że to wola Boża.

I cóż miałam począć? Czyż musi się kochać człowieka, jak ten Raniero? Zwyczajnego podwładnego w banku mego ojca. Takiego, co zaniedbuje swe zajęcia, jak bocian godzinami wystaje w trawie na łąkach Mignone, a potem całkiem blady przekrada się pod mój dom? Takiego, co już dawno byłby wydalony, gdybym za nim nie była prosiła, albo raczej za jego starą matką, którą utrzymuje. Bo uczyniłam to, Panie, i czyż nie było to zbożnie i miłosiernie z mej strony wstawiać się za mym wrogiem? Ale teraz rozjaśnij mi to: gdybym miała brata, któryby się tak sprawował w naszym domu bankowym, pogardzałabym nim! A tego muszę kochać! Powinien przecież zarabiać i wziąć sobie żonę, jak to jest w zwyczaju. Ale on uwziął się na mnie. I wyzywa mego męża na pojedynek. Uczynił to, Panie,

i było to takie błazeństwo, że nawet Ty śmiać się musiałeś, jeżeli pamiętasz postać i ruchy Messer Fausta.

I potem jeszcze go oszczędził. Panie, możesz rzec, co chcesz, ale to zupełnie naturalne, że pragnęłam teraz, aby raz wreszcie to wszystko się skończyło. Messer Fausto zbił mnie tak, że aż cała sina byłam od razów; pragnęłam tedy, by się wzajem zgładzili. Potem jednak: nic, tylko Raniero! Bo, mogę ci przysiąc, Panie, na twe własne rany, że nie Messer Fausta chciałam widzieć martwym! Powrócił też zdrowy; nic mu się nie stało, — a ja dostałam zausznice i samemi drogiemi kamieniami wysadzane pióro strusie, które mogłam wkładać, idąc do kościoła. Ale ci, którzy oglądali na mnie te drogie dary, wiedzieli już, że przedtem byłam obitą... I wtenczas myślałam, to prawda: dlaczego raczej nie nasadził nań Raniero dwuch drabów, którzyby nań napadli? I nawet namówiłam Don Vivante, tak, że ten, nic o niczem nie wiedząc, tak zarządził, że Messer Fausto był zmuszony na jakiś czas wyjechać z San Frecliano. I za pośrednictwem jakiegoś żebraka kazałam o tem powiadomić Raniera. Nie miał on nic mówić, kto go wysłał, i w krętych słowach nakłonić go do zamachu.

I oto, patrz, Panie, jak daleko mnie doprowadziłeś! Mężobójczynią i straszną śmiercią na kole mogłam skończyć! Gdybym w chwili, kiedy Messer Fausto tam za miastem był w niebezpieczeństwie, nie była błagała Twej Matki o pomoc; ona to zapobiegła najgorszemu. Ja jednak w tej udręce poprzysięgłam sobie: niech się co chce stanie, hańba i śmierć:—ja jednak, dopóki żyję, nie będę należeć do Raniera. „Ponieważ miłość uczyniła mnie tak nędzną, pomszczę się na niej!“ Bezprzytomna pochwyciłam parę gołębi, które pieściły się na mem oknie i udusiłam je! Ale kiedy to uczyniłam, uczułam własne gardło zaciśnięte niewidzialnemi rekoma, zamknęłam oczy i musiałam się wesprzeć o gzems okna, inaczej byłabym upadła.

Kiedy znowu powrócił Messer Fausto, była Wielka Sobota przed Wielkanocą, a od wrót katedry płynęły — chmurom aniołów podobne—uroczyste dźwięki; wówczas pod memi zamkniętemi powiekami przemówiło coś słowami, za które nie odpowiadam, o Panie: „One wysławiają tego, który Miłością jest i dał się ukrzyżować. I On to chce, abym i ja też kochała i za miłość mą umarła. I już się temu nie opieram. Ale niegodziwem jest i wstrętnem, że on, zmartwychwstając, wymaga tego i odemnie. Kto szczęśliwie raz umarł, ten powinien pozostać martwym i wreszcie bezpiecznym być przed Miłością i Tym, który nią jest!“

Z temi myślami dosięgłam tuż do wrót katedry, które nagle rozwarły się, jak usta, i uczułam Jego płonący dech na mem czole, a jakiś olbrzymi głos, głos organów wołał:

„Masz umrzeć i powrócić nanowo, prędzej, niż wszyscy inni i wraz ze mną. Jutro już musisz powrócić i oglądać, jak wszyscy radują się mem zmartwychwstaniem, któremu ty bluźniłaś. Przy twojem natomiast chłód cię ogarnie i ciężką odbędziesz pokutę“.

A tak głośnem było to wołanie, że wszyscy musieli je słyszeć. Czyż to Ty byłeś, o Panie? Zapewne, bo spełniło się wszystko, co powiedziałeś. Ale teraz wyjaśnij mi, za co ma pokutować kobieta, która nie oszukiwała swego męża, podarunków jego nie marnotrawiła i nie chciała być przez ludzi palcem wytykana. Czyż miałam wziąć na siebie hańbę i ubóstwo, dlatego, że jakiemuś człowiekowi podobało się kochać mnie? Wprawdzie i ja go kochałam. Dlaczegóż jednak taki los mi przeznaczyłeś? I przez to stawałeś w poprzek wszelkim prawom społecznym?.. Dziś jest Wielkanoc i otóż oboje zmartwychwstaliśmy, wyjaśnij mi tedy to wszystko!

Ale ty milczysz. Opuściłeś głowę na ramię i zaledwie mnie dostrzec możesz, tak głęboko spuszczone są twe powieki. Czy słyszysz przynajmniej, jak do stóp twych kołaczę? Ach nie; wzdychasz tylko i pochylasz

głowę na drugie ramię. Mnie tu zawezwałeś, a sam wolisz się jeszcze trochę przespać.

Jakże jestem opuszczona i odtrącona od wszystkiego i wszystkich, co żyją—Zimno mi; nie mam nawet swego płaszcza ani niczego, czembym się okryć mogła; tylko wielkie, białe giezło, z mar mych zdjęte".

II.

Teraz jestem na placu przed katedrą, a nie wiem, jak się tam wydostałam. Szłam po omacku wzdłuż ścian katedry, aż nagle wymknęłam się nazewnątrz. A miejsca tego nigdy bym sama nie znalazła. Nie pojmuję, co się ze mną dzieje, i tak się lękam. Czyż to nie ja dopiero co urągałam woli Pana? A teraz widzę wyraźnie, jak zmiennem i tajemnic pełnem jest wszystko. Czyż to jest ten sam plac katedralny, na którym w południe biali i czarni nawzajem urągają sobie, a handlarze wstążek i ciast zachwalają swój towar? Po którym z dumnie spuszczoną powieką przechadzają się cnotliwe kobiety? A teraz Ginevrę przepełnia lęk, gdy zstępuje po tych kamiennych płytach, które zdają się z pod jej stóp wymykać, jak płynąca woda.

Musisz się jednak odważyć zejść, nie zechcesz przecież położyć się na tych stopniach, jak jaka żebraczka.

Niesie mnie coś? O! coś poruszyło się na starych grobowcach około św. Jana!..

Czyżby to nic nie było? Boję się, ja, która sama jestem umarłą! Ale ci w tych sarkofagach, to poganie!

A więc to tak jest na sercu tym, którzy powracają. Wszystko ich przeraża i sami nie wiedzą, po co przychodzą. Czują w sobie jakieś jasne, zimne światło, które samo jedno czuwa na świecie. Z wieży bije pierwsza godzina.

Sama, bez celu, i kto wie, na jak długo. Czyż nie zgasnę, nie zaniknę? A może zajęłam się tylko od światła księżyca? Pomknę w jaki ciemny zaułek, to może będzie po wszystkiem.

Jeszcze tu jesteś, Ginevro? Ciągle tuż przy murach—ale otóż tam rozwarły się jakieś drzwi. Jak mnie zobaczą! Ale patrz, to jest dom Messer Tibalda, i któż to tam wykrada się? Messer Gino—a przez szparę w drzwiach wygląda Madonna Eletta? Czyż nie wyjechał Messer Tibaldo do Pizy? A więc miałam słuszność, mówiąc o Messer Gino i Madonnie Elecie? Nie sądziłam. I on ucieka przedemną? Ach tak, wszak jestem duchem. Czego to duch nie widzi!.. A otóż jestem przed domem Messer Fausta. Przecież to mój dom, więc mogę zapukać? Jak długo trzeba czekać! Zimno mi! Otwieraj! O! jego szlafmyca".

„Kto puka".

„Ginevra, twoja żona".

„Kto?"

„Ginevra degli Amieri".

„W imię Boga, przepadnij! Oszczędź mnie! Biłem cię, to prawda, ale to było moje prawo, bo byłem twoim mężem. Nie powinnaś mnie za to nawiedzać! Dam na mszę, abyś miała spokój"!

Zatrzasnął okno. Jak jego głos łamał się ze strachu. Czyż nie mógł mnie wpuścić? Mogę być duchem, ale czyż nie poślubił też mojej duszy? Widać nie. Poco jednak umarła ma błąkać się naokół?.. Teraz odwiedzę mych rodziców, to już niedaleko.

Już się ruszają. Światełko migoce po domu. Matka swoim zwyczajem nie śpi, ale dogląda gospodarstwa. Zapewne żal jej, żem umarła. A teraz ojciec podszedł do okna. „Ojcze!"

„Ty, zła córko! Dlaczego straszysz swoją biedną matkę. Musisz być wielką grzesznicą i dlatego spokoju znaleźć nie możesz. Jutro trzeba djabła z ciebie wypędzić... Ale nie czyń nic złego swoim rodzicom! Idź do swego męża! Daliśmy mu ciebie i do tego dużo pieniędzy, tak że nic ci już nie jesteśmy winni!"

Zaciągnął okiennicę i założył rygiel. Matka stała poza nim i załamywała ręce. Jak strasznem dla niej być

musi, że jej dziecko, tak wypieszczone, teraz wśród nocy wygnano na łup złych duchów i zbłąkanych dusz. Ale ojciec ma słuszność: zapłacił za mnie, nie mogę niczego od niego wymagać. Jakże samotną się jest; tego nie wiedziałam. Myślałam, że mogą mnie bić, ale zawsze swój kąt będę miała. Kiedyś zamykali mnie w domu, teraz nikt mnie doń wpuścić nie chce ..

O, gdzież to jestem? Wszak tam pod arkadami przemykają cienie łotrzyków. Skradają się za kimś, kogo obejmuje jakaś kobieta. Całuje go; wtem chwytają go. Kobieta trzyma go mocno, ażeby go ubić mogli. O, i to była miłość? Będę krzyczeć: ratunku! Teraz pewnie mnie —zabiją? Ale prawda, już nie mogą. Spostrzegli mnie i wszyscy uciekają przedemną. Ocaliłam człowieka. Czyż na to byłam zesłaną? Dobry człowieku, słuchaj! O! i on ucieka. Nie wiem za co byłam mu tak wdzięczną. Ale on też uciekł przedemną.

A teraz? Cóż to za dom? Znasz go, Ginevro? Szłaś tędy z Messer Faustem, mężem swym, i on zapewniał, że spojrzałaś w okna jego i groził ci biciem. Ty nie spojrzałaś; ale odtąd wiedziałaś, gdzie mieszka Messer Raniero. Zresztą teraz wiedziałabyś i bez tego; umarli znają wszystkie miejsca... Więc tu dotąd miałam zejść. Innej przystani ani przeznaczenia nie miałam. Zapukam.

III.

Kto tam?

„Zimno mi, otwórzcie".

„Kto jesteście?"

„Ginevra".

„Ginevra umarła. Odejdźcie w spokoju!"

„Umarła, dlatego przychodzi do was. Gdyby żyła, nie byłaby przyszła... Milczycie?"

„Otworzę wam. Wejdźcie i idźcie za mną po schodach. Podniosę światło wysoko, abyście dobrze widzieli, Madonno

Ginevro, ten dom jest waszym domem. Moja stara matka jest głuchą i śpi teraz. Jesteśmy sami".

„Ale idziecie przedemną twarzą ku mnie zwróceni, Messer Raniero, i nie spuszczacie ze mnie oczu. Teraz stawiacie świecę, tak ażeby światło jej wprost na twarz mi padało, odchodzicie na drugi koniec komnaty i krzyżujecie ręce na piersiach. Lękacie się mnie, lękacie się i wy także? O, jakże jestem znużoną i jak mi zimno".

„Nie lękam się was tak bardzo, jak za życia, biedna Ginevro".

„Co mówicie? Dlaczegóż stoicie tak zdala? Wszystko ucieka przedemną dlatego, że umarłam. Cóż winna jestem temu, że powracam? Nie chciałam tego. Ktoby to był pomyślał pierwej wśród rojnych ulic i w obojętnym tłoku kościołów, że zbliżenie do ludzi tak drogiem będzie!..

„Czy zechcecie mi podać rękę, Madonno Ginevro?"

„Ręka wasza ciepła. Wybaczcie. Jesteście dobrzy, żeście mnie wpuścili. Tam było tak źle. Jak się to stało, że rodzice i mąż odprawili mnie? Wy jednak, Messer Raniero, otworzyliście umarłej, która niczem już nie może się wam za to odwdzięczyć. Nie słyszałam nigdy, żeby ktoś darmo coś dawał. Czego żądacie?"

„Chcę, Madonno Ginevro, abyście usiedli na moim stołku, o tak, i aby wasze spojrzenia uczyniły wszystko tu naokół nowem i miłem. Może lżej będzie żyć w ścianach, które wasz głos słyszały? A potem..."

„Dlaczego mówicie, drżąc cały i jesteście tak bladzi?"

„A potem pozostańcie w spokoju i nie powracajcie więcej. Bo raczej wolę was się wyrzec, niż żebyście przezemnie mieli cierpieć tę samą karę, co w pińjowym lasku pod Rawenną ta naga i ciągle ścigana dusza kobiety, która za życia nielitościwą była w miłości".

„To są wymysły Messer Giovanni Boccaccio, nie powinniście im wierzyć. Nie możecie wiedzieć o tem, czy tym, którzy powracają, nie jest lepiej tu, jak tam. Ogrzaliście

mnie trochę. Tam być nie jest dobrze. Groza mnie przejmuje, nie chcę tam schodzić".

„Wolicie u mnie pozostać, Madonno Ginevro?"

„Kto to powiedział, Messer Raniero? Powiedziałam tylko, że nietrzeba ślepo wierzyć poetom. Ale wy jesteście jednym z nich i podczas kiedy Messer Fausto w przedsionku kościoła św. Annunziaty karcił jakiegoś bezwstydnego żebraka, wyście mi wcisnęli wiersze do ręki. Dlaczego nie byliście równie gorliwi w wypełnianiu swoich zajęć bankowych?"

„Macie słuszność, bo wiersze były liche."

„Były kłamliwe. Pisaliście tam o jakiejś niewolnicy, która wam bardzo drogą była, a którąście dla mnie wypędzili i ona umarła z tej przyczyny. Co za kłamstwa, Masser Raniero! Po pierwsze: skąd mogliście mieć niewolnicę? Jesteście synem Messer Ginda, który należał do cechu sukienników. I mieliście posiadać kochankę, która była żoną szlachcica, i tę także dla mnie porzucić!"

„Cóż wy wiecie, Madonno Ginevro, pytam was. Co wy możecie wiedzieć? Posłuchajcie mnie: ja dla was porzuciłem i straciłem tak wiele, że nikt więcej we śnie nawet wymarzyć by nie mógł. Zanim was ujrzałem, były czyny moje pewne i lśniły mocą w błyszczącą stal okutych pancerzy, a kiedy wsłuchiwałem się w głąb mej duszy, czułem, jak bije w niej źródło, niby czarowne zaklęcia cudnych słów. Nie było kobiety, którąby mi nie uległa, nie było władzy, którąby mi opór stawiła; byłem niepokonanym pieśniarzem, bohaterem, dla którego, zda się, nie istniały żadne zapory... I wszystko to w nicość się obróciło, kiedy wyście mi się zjawili, Madonno Ginevro.

Wy byliście wreszcie tą, która prześcignęła wszystkie moje sny, tą, przed którą musiałem je ukryć i sromotnie wypędzić, jak biedną dziewkę służebną. Wy rozżegwiliście we mnie żar pożądań, tak przemożny, że lękałem się ugasić go nasyceniem. Czułem się, jakby obarczony klątwą, leżałem pod jej brzemieniem, ciężko dysząc i przeklinałem Boga, że wyście żyli. To, Madonno

Ginevro, jest miłość. A był we mnie taki jej nadmiar i pełnia, że serce moje rwało się ku wam, jak z cięciwy łuku puszczona strzała, jak gałęź kwiecia, którą jakaś niecierpliwa ręka ugięła a potem nagle w górę puściła—ale milczałem.

A wszystkie najgorętsze porywy, które się we mnie dokonywały, nie pozostawiały poza mną nawet tyle śladu, co pies, który przebiegnie ulicą.

Czasem wszczynałem rozpaczną grę i, na wstyd sobie samemu, udawałem zuchwalca. Tak wyzwałem do walki waszego męża—i nie tknąłem go potem. Bo kiedy już stałem naprzeciw niego, unicestwiło mnie zwątpienie: czemże jestem i jak mogę się ważyć tknąć coś, co do was należy.

Jak mogę wbrew waszej woli zabijać waszego męża.

Jak narzucać wam swą własną śmierć, taką śmieszną obrazę. Czyż chociażby jedno z waszych tchnień ma być słabszem lub silniejszem, dlatego, że ja was kocham? Umarłem dla siebie, słyszycie? ja dla siebie umarłem i byłem tylko nikłym cieniem. I w zawrotach złudnych snów porywałem was i gnałem z wami poprzez świat cały, uśmiercając każdego, kto tylko oddechem swym musnąć się was ważył.

Wszak nie widzicie, aby podłoga tej komnaty krwią była zbroczona? A jednak szalałem tu niejedną noc, aż wreszcie ranami cały okryty, rzężąc, bez sił tu padałem!"

„Tak, i ja, Messer Raniero, wieczory całe w obłąkanym płaczu pieściłam wielką lalkę, która miała być przez was życiem obdarzoną istotą, buntowałam się i nienawidziłam was w strasznej tęsknocie, aż przychodził Messer Fausto, odrywał twarz mą od poduszki i bił mnie. Tak tedy, Messer Raniero, to samo wiedliśmy życie. Słucham was z radością, która mi piersi rozpiera. A więc i wy cierpieliście nad tem, i może więcej nawet, jak ja sama? A mnie się zdało, że was nic nie porusza i nastajecie tylko na to, by mnie w grzech wtrącić. I bluźniłam Panu, że mnie tylko miłością obarczył, teraz i po wszystkie

wieki; i za karę musiałam was raz jeszcze zobaczyć, jako biedna umarła. Ale, nieprawdaż, choć żyjecie, bardzo wam źle i nie ja, która umarłam, jestem najnieszczęśliwszą?

Powiedzcie mi to! Powiedzcie, że bardzo cierpicie!

Więcej jak ja! Wtedy będę miała litość nad wami i będę was kochała!"

„O jak pięknie z tobą cierpieć, Ginevro!"

„Czyż dozwolonem mi jeszcze cierpienie? Mnie umarłej? Jeżeli tak, to dajcie mi je! O, wy mi je dajecie! A może to rozkosz? Nie wiem, wszak jestem zbłąkaną duszą."

„Żyjesz, Ginevro! Teraz, kiedy zorza wstaje, rozpoznaję to po tobie. Byłaś cieniem, teraz blizką jesteś tego, by się ocknąć. Nie wiem tylko, kto cię budzi".

„Miłość budzi mnie, Raniero".

„Na zaróżowionych policzkach nosisz, Ginevro, odblask miejsc, z których powróciłaś. Jakże promieniejesz! Opowiedz, czego tam zaznałaś?"

„Głos jego przylatał z poza płomienia światłości, która taką łaską w serce spływała, że, zda się, dusza cała w niej skąpać by się chciała; i rozkazał mi wrócić i ją na siebie wziąć; miłość. A wyrok jego brzmiał, jak dobra nowina i śpiewał i dzwonił, jak harfa. Widzę ją, Raniero! Widzę równocześnie niebo i mego kochanka!"

„Teraz czuję bicie twego serca, Ginevro, i twój gorący oddech i... usta twoje odczuły pocałunek mych ust, Ginevro! Więc to jest życie i jego wieczyste wypełnienie, któremu niemasz końca? Pozostaniesz na zawsze w tym domu, a żaden człowiek nie będzie wiedzieć, że jesteś na ziemi."

— „Nie, wszyscy powinni mnie widzieć, i kiedy iść będziemy do kościoła, lżyć mnie i potępiać. Zniosę wszystko, bo tak chce miłość. Będę ci służyć, a ty, kiedy się już mną nasycisz, możesz mnie wygnać, jak niewolnicę."

— „Posłuchaj, Ginevro, rozkołysanych dzwonów niebios zmartwychwstania".

— „Zabić mnie jak niewolnicę."

— „Czy dolatuje cię mój głos, Ginevro? O, nie pochylaj swej głowy na skrzyżowane dłonie i nie odwracaj swego złotą poświatą jaśniejącego oblicza ku rzeczom wieczystym. Nie bądź z nim, bądź ze mną. Lękam się!"

— „Wiem teraz, dlaczego powróciłam, idę Jego śladem. Twarda to, lecz zarazem radosna droga. Wracamy, by się raz jeszcze dać ukrzyżować; i w nieskończoność powracać będziemy, jak często ciężka i słodka miłość tego zażąda."

— „Słaniasz się, Ginevro, co tobie? Litości! Wszak przyrzekłaś mi ją! Nie słyszę bicia twego serca. Czyż tętno jego, które uczułem, było pierwszem i ostatniem jego uderzeniem? Czy przyszłaś po to, by odejściem swem nędzniejszym mnie jeszcze uczynić? Strzeż się, Madonno Ginevro!"

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

„Cóż to? Byłem zmysłów pozbawiony, wątpiąc o niej przed chwilą. Wiedziałem przecież dobrze, że musi powrócić na łono śmierci. Jest moją, bo umarła. Za życia była mi wielką męką, ale ja jestem tym, ku któremu, mocą miłości, cień jej powraca i będzie tak powracał zawsze, i każdej nocy na nowo do życia się budził. Teraz ją odniosę i pełen otuchy będę czekał nocy.

W jaśniejący, radosny poranek zmartwywstania spieszą nabożni do kościoła! Słuchajcie—wy, dziewczęta, które zdążacie do katedry! Wszak wasza droga ta sama, co tej tu kobiety, która zatrzymała się w tym domu i czeka. Strojna jest, jako i wy, a jakkolwiek byłybyście szczęśliwe, nie potrzebujecie się jej wstydzić. Wejdźcie i weźcie ją ze sobą!"

Przełożyła Jadwiga Przybyszewska.

Z LITERATURY HISTORYCZNEJ.

Wł. M. Kozłowski: Autonomja Królestwa Polskiego (1815—1832) Warszawa. Wende str. 277.

Koniec XVIII wieku i początek XIX był okresem niezmiernego napięcia wolnościowego. Rozgrywające się obecne wypadki są jakby wydaniem na większą skalę ówczesnych wydarzeń. Wszystkie wielkie idee polityczne i społeczne, któremi żyje i o które walczy nasze pokolenie, wówczas już zarysowały się w umysłach, a niektóre z nich zostały nawet chwilowo urzeczywistnione. O ile z reakcją, która zapanowała w całej Europie w drugiej połowie XIX wieku, nic nas nie łączy, okrom głębokiej niechęci, — o tyle nawiązanie nici duchowych pomiędzy nami a ruchem wolnościowym początku XIX wieku jest zarówno pokrzepiające, jak i pożyteczne.

To też z prawdziwą przyjemnością bierzemy do ręki dzieło prof. Wł. M. Kozłowskiego, może niezbyt trafnie zatytułowane „Autonomja Królestwa Polskiego“, a zawierające opis Konstytucji Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, oraz nader subtelną analizę czynników, które złożyły się na powstanie tych aktów prawodawczych. Owe czynniki — to ruch wolnościowy, zapoczątkowany przez Wielką Rewolucję Francuską, i rozszerzający się po całej Europie, a dzisiaj znowu odrodzony.

Praca prof. Kozłowskiego jest tem cenniejszą, iż, wydobywając na światło dzienne wiele dokumentów, ukrytych dotąd w różnych archiwach Europy i Ameryki, daje całkiem nowy materjał do oceny ludzi i zdarzeń. Postu-

laty ówczesne są właściwie naszymi dzisiejszymi postulatami, i prof. K. chwyta w swej pracy każdą sposobność, aby podkreślić tę głęboką analogję.

Przejrzyjmy to ciekawe dzieło.

Analizując Konstytucję 3 Maja 1791 r., od której rozpoczyna się praca, autor dochodzi do przeświadczenia, iż Konstytucja ta miała na celu stopniowe przekształcenie społeczeństwa w duchu demokratycznym. Była ona przesiąknięta ewolucjonizmem angielskim, którym przejęty był również i Monteskiusz, a dzieło jego „L'Esprit des Lois“, wydane po polsku pod tytułem „Duch, czyli treść praw“, wywarło wpływ decydujący na umysły twórców Konstytucji.

Konstytucja 3 Maja, doskonała w czasach normalnych, była obliczona na powolne działanie, i nie mogła przetrwać w przełomowych chwilach.

To też powstanie Krakowskie z 24 Marca 1794 r. zrywa z angielskim ewolucjonizmem i, stając na gruncie francuskiego rewolucjonizmu, proklamuje zasadę natychmiastowego równouprawnienia klas. „Nie trzeba być szlachcicem, aby być pełnoprawnym obywatelem“, czytamy w uniwersale powstańczym. Niemniej powstanie Krakowskie, pod wodzą Kościuszki, zwlekało z wprowadzeniem w czyn swej naczelnej zasady, co znacznie osłabiło siłę ruchu powstańczego, gdyż włościanie ze swej strony również zwlekali z przystąpieniem do obrony ojczyzny, czekając na przyobiecane wyzwolenie. „Pokażcie nam doskonałą wolność, mówi do Kniaziewicza pewien włościanin litewski, a pójdziemy bić się wszyscy.“ Niezdolność do zrealizowania haseł republikańsko-demokratycznych osłabia powstanie z 1794 r.

Niepoparte przez masowy ruch włościański zastępy Kościuszki ulegają wojskom cudzoziemskim. Po rozbiorze Polski, wszystko, co było lepszego i postępowszego w narodzie, ucieka zagranicę. W kraju zapanowuje ciemna noc bezwzględnej giermanizacji pruskiej (1795-1807), a jaśniejsze umysły w sojuszu z rewolucyjnym rządem francuskim dążyć będą poza granicami kraju do odbudowania Polski. Zabiegi te nie są bynajmniej stracone, gdyż w r. 1807 Napoleon I wskrzesza niepodległą Polskę, nadając jej jeno niedorzeczną nazwę Księstwa Warszawskiego.

„Chociaż Napoleon, pisze p. Kozłowski, wykoszlawił wyniki rewolucji w samej Francji — był jednak naturalnym spadkobiercą wszystkiego, co zapoczątkował ten wiel-

ki przewrót, a orężem swym zwycięskim szerzył jego zdobycze w całej Europie."

Wypadki doprowadziły logicznie do tego, co stanowiło przedmiot umowy między legjami polskiemi a Francją, t. j. do wskrzeszenia Polski. Legalnym reprezentantem Polski z punktu widzenia rewolucjonistów francuskich był Kościuszko, wódz ostatniego i najbardziej demokratycznego ruchu w obronie ojczyzny. To też Napoleon, „spadkobierca" rewolucji zwraca się do Kościuszki w 1807 r. i poleca mu wygotowanie Konstytucji dla Księstwa Warszawskiego. Kościuszko jednak, obawiając się, że stosunki z Napoleonem zmuszą go do kompromisów ideowych, uchyla się i Konstytucję Księstwa Warszawskiego pisze tymczasowa komisja rządowa, złożona z Małachowskiego, Wybickiego i innych wespół z francuzem Maret'em.

Konstytucja 1807 r. znosi zależność osobistą, proklamuje zasadę równości wobec prawa, nadaje wolność wyznań, rezerwując jednak dla katolicyzmu przywileje religji panującej.

Rząd jest złożony z sześciu ministrów, odpowiedzialnych przed sejmem. Sejm składa się z dwuch instancji: 1) Senatu, w którego skład wchodzi 6-ciu biskupów, 6-ciu wojewodów i 6-ciu kasztelanów, oraz 2) Izby, złożonej ze stu posłów, z pomiędzy których 60-ciu wybierają t. zw. sejmiki szlacheckie, a 40-tu t. zw. zgromadzenia gminne. Członkiem zgromadzenia gminnego ma prawo być każdy właściciel, płacący jakikolwiek podatek, każdy fabrykant, którego towar wart najmniej 6000 zł. p. i każdy „artysta."

Najemnicy więc i włościanie pańszczyźniani, aczkolwiek wolni osobiście, nie uzyskują praw politycznych, natomiast drobne i wielkie mieszczaństwo wkracza na arenę polityczną. Śluby i rozwody cywilne, wprowadzone również przez Konstytucję 1807 r., wywoływały żywy opór duchowieństwa. Konstytucja miała pewne cechy całkiem sprzeczne z duchem wolności, naprzykład posłom nie wolno było zabierać głosu w Izbie. Mieli oni jedynie milcząc głosować. Jednak wobec dobrej woli rządu omijano ten paragraf w ten mianowicie sposób, że po urzędowej części posiedzenia, podczas której posłowie głosu nie zabierali, rozpoczynała się część nieurzędowa, gdzie każdy swobodnie się wypowiadał, urabiając opinję w sprawach, będących na porządku dziennym przyszłych posiedzeń.

Konstytucja 1807 roku w porównaniu z despotyzmem pruskim, który trwał w Polsce od 1795 r., była olbrzymim krokiem naprzód. W porównaniu z Konstytucją 3 Maja—stanowiła postęp pod względem urzeczywistnienia zasady równości, natomiast ograniczała wolność. Jednak, jak powiedziałem, dobra wola rządu i zwyczaje, postępowsze od litery prawa, łagodziły ten brak. Przyłączenie Galicji do Księstwa Warszawskiego w 1809 r. skonsolidowało jeszcze silniej młode państwo i spotęgowało zaufanie do Napoleona. Lepsze żywioły społeczeństwa polskiego, zajęte pracą organizacyjną w Księstwie, nie kwapiły się bynajmniej do zdobywania Litwy i Rusi, aczkolwiek zasadniczo nie rezygnowały z tych krajów. Wogóle w oczach społeczeństwa polskiego Napoleon był wykonawcą owego słynnego dekretu konwencji z 19 Listopada 1792 r., który głosi: „Francja oświadcza, iż udzieli pomocy i braterstwa wszystkim ludom, które zechcą odzyskać wolność, i poleca władzy wykonawczej wydać rozkazy gienerałom armji francuskiej, aby nieśli pomoc obywatelom, którzy byli lub będą prześladowani za sprawę wolności". Czy ten dekret nie jest aktualny? Czy świat nie zmieniłby w jednej chwili swego oblicza, gdyby dzisiejsza Republika Francuska chciała przejąć się duchem owego dekretu, a jęczący w jarzmie despotyzmu pruskiego lud niemiecki chciał odzyskać wolność z pomocą armji francuskiej? Próżne marzenia! Dzisiejszy lud niemiecki z całym swoim arcy-socjalistycznym pseudo-rewolucjonizmem daleko odbiegł wstecz od owych obywateli Manheimu, którzy w parę miesięcy po wydaniu dekretu Listopadowego wysyłają pismo do francuskiego gienerała Custine, aby ten przybył do nich z wojskiem, uwolnił od „tyranów" i wprowadził republikę, gdyż, jak piszą „obywatele Manheimu, choć Niemcy, także chcą być wolnymi".

W trakcie tego, gdy w Księstwie Warszawskiem dokonywało się odrodzenie Polski pod egidą Francji i francuskich idei wolnościowych,—na tronie rosyjskim siedział Aleksander I, samowładca z tytułu, republikanin z ducha. Badania prof. Kozłowskiego, odsłaniające nam wpływ „jakobina" Laharpe'a na wykształcenie Aleksandra I, listy tego monarchy do Czartoryskiego, do Ogińskiego, do Kościuszki, do Amerykanina Jeffersona, jego plany, jego mowy—rzucają niezmiernie charakterystyczne światło na tę postać historyczną. W liście do Czartoryskiego Aleksander I pisze, że „przez odrodzenie Polski pojmuje połącze-

nie wszystkiego, co stanowiło niegdyś Polskę łącznie z dzielnicami rosyjskiemi tak, iżby granicę stanowiły Dźwina, Berezyna i Dniepr". Tego odrodzenia nie uważa za sprzeczne z rosyjską ideą państwową, gdyż, jak pisze do Danilewskiego „Królestwo Polskie będzie naszą przednią strażą we wszystkich wojnach, jakie możemy mieć w Europie." Cesarz nie poprzestaje na listach i w 1811 roku poleca Ogińskiemu wypracowanie projektu konstytucji W. X. Litewskiego, ze stolicą w Wilnie, z językiem urzędowym polskim, i z obszarem, obejmującym guberńje: Grodzieńską, Wileńską, Mińską, Witebską, Mohylowską, Podolską i Wołyńską. Wielkie Księstwo Litewskie ma być połączone unją osobistą z Rosją. Cesarz zapatruje się bardzo przychylnie na ten projekt, gdyż urzeczywistnia on częściowo jego plan przekształcenia Rosji w państwo federacyjne, na wzór Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Obszerna korespondencja Cesarza z Jeffersonem, znaleziona niedawno w archiwach amerykańskich, stwierdza, że Aleksander I zupełnie serjo myślał o tym projekcie. Litwa byłaby więc pierwszym konstytucyjnym stanem, niejako wzorem, według którego miała być zorganizowana pozostała część państwa.

Można sobie wyobrazić, jaką nienawiść wywoływał Aleksander I wśród „prawdziwie rosyjskich ludzi", wśród reprezentantów tej Rosji, o której Ks. Konstanty napisze potem ironicznie „*Matuszka Rossija bieriot dobrowolno, nastupia na gorło*". Ponieważ poczucie narodowe litewskie i ukraińskie nie było wówczas rozbudzone, a uświadomieni mieszkańcy Litwy i Ukrainy uważali się za obywateli polskich—więc projekt autonomji Litwy, jako przesłanka do przetworzenia Rosji w państwo federatywne, był rzeczywiście ostatnim wyrazem postępu politycznego. Projekt taki, podniesiony z wysokości tronu, wprowadził biurokrację i kamaryllę dworską we wściekłość. Aleksander I nie uniknął z tego powodu zamachu na swoje życie. Na szczęście zamach się nie udał.

O ile Napoleon I pozwalał się nieść nieświadomie falom rozmachu wielkiej Rewolucji Francuskiej, koszlawiąc jej idee i nie mając jasno wytkniętego celu,—o tyle Aleksander I sam świadomie z wysokości najbardziej autokratycznego tronu szczepił idee najbardziej wolnościowe wśród swojego ludu... Przymierze pomiędzy Napoleonem a Aleksandrem, przymierze zupełnie szczere ze strony tego ostatniego, a najzupełniej obłudne zarówno ze strony Napoleona, jak i ze strony Kamarylli petersburskiej—trwa jednak niedługo. Przychodzi Berezyna, Waterloo, w końcu Kongres Wiedeński, który zakreśla Polsce nowe granice. Gdy Aleksander I zostaje władcą Polski, jego pierwszą myślą jest, jak niedawno Napoleona, zwrócenie się do Kościuszki. I Kościuszko znów, jak wówczas, obawiając się konieczności kompromisów, nie wierząc w trwałość unji konstytucyjnej Polski z autokratyczną Rosją, uchyla się od objęcia proponowanego mu wysokiego urzędu, zdaje się—naczelnego wodza wojsk polskich. Inaczej postąpił gienerał Botha, wódz wojsk burskich, obecnie prezes ministrów autonomicznego Kaplandu. Co prawda, Botha może wierzyć w trwałość unji autonomicznej Afryki Południowej z konstytucyjną Anglją, lecz z drugiej strony Aleksander I nie taił się bynajmniej z zamiarem nadania Rossji tych konstytucyjnych urządzeń, jakie uzyskiwała Polska. Niemniej łatwo było przewidzieć, że zamiary Cesarza rozbiją się o opór biurokracji.

W tych warunkach konstytucja Królestwa Polskiego z 1815 r. wypadła bezporównania liberalniej od konstytucji francuskiej z 1814 r., gdyż, jak pisze prof. K., pierwsza „była nadana przez monarchę liberalnego, człowieka światłego i bezinteresownego syna wolności—druga była wymuszona przez koalicję od reakcyjnego Ludwika XVIII i ułożona przez ludzi, niechętnych dla wolności".

Pod względem prawno - państwowym konstytucja 1815 r. ma charakter unji osobistej. Akt nadania głosi:

„Wielka księga konstytucyjna, którą nadajemy mieszkańcom naszego Królestwa Polskiego, ma być uważaną na zawsze, jako główny i najświętszy węzeł, którym to Królestwo złączone będzie z państwem Wszech - Rosji w Osobie Naszej i Naszych Następców". Dalszy tekst jeszcze silniej podkreśla konstytucję, jako łącznik Królestwa i Cesarstwa. Cesarz składa przysięgę na wierność konstytucji i koronuje się w Warszawie, jako Król Polski. Łączność Królestwa i Cesarstwa zostaje zaznaczona w dwuch jeszcze artykułach: „Stosunki polityki zewnętrznej Cesarstwa będą wspólne dla Królestwa Polskiego", oraz „Sam tylko monarcha może określać udział Królestwa Polskiego w wojnach Rosji, zarówno, jak i w traktatach pokojowych lub handlowych, zawartych przez to państwo".

Król mianuje wszystkich urzędników wojskowych i cywilnych. Język polski jest urzędowym w wojsku, administracji i sądownictwie. Na urzędy mają być powo-

ływani tylko Polacy. Dekrety Króla muszą być kontrasygnowane przez ministra naczelnika departamentu. Ponad Królem bowiem jest ustawa konstytucyjna, „która oznacza sposób i zasadę wykonywania najwyższowładztwa". Rządy polskie są zapewnione na wieczne czasy „narodowi polskiemu". Sejm składa się z 167 posłów, z których stu wybierają sejmiki szlacheckie, 67 zgromadzenia gminne. Sejm zbiera się, zwołany specjalnym reskryptem królewskim, co dwa lata na 30 dni. Prawo inicjatywy posłów jest ograniczone. Prawo głosu jest nadane, z warunkiem aby „mówili z pamięci".

Aleksander I otwiera osobiście pierwsze dwa sejmy, jest zadowolniony z przebiegu obrad, a echo jego liberalnych mów warszawskich odbija się po całej Rosji. Naczelny Wódz, Wielki Książę Konstanty, aczkolwiek gwałtowny i nieznoszący oporu, przywiązuje się jednak stopniowo do Polski i do instytucji wolnościowych, których potem w listach do Mikołaja I będzie namiętnie bronić.

Słowem do r. 1820 stosunki pomiędzy Cesarzem-Królem a narodem polskim są naogół dobre. Potem Aleksander I zaczyna najwidoczniej ulegać otaczającej go Kamarylli reakcyjnej. Brak siły woli, brak hartu ducha, który zawsze cechował Aleksandra I z wiekiem przeradza się w zupełną słabość. Wpływy „czarnosotinca" Nowosilcewa wzrastają. Niemniej do śmierci, do 1825 r., Cesarz Aleksander I nie pozwala na zasadnicze pogwałcenie konstytucji i dopiero z wstąpieniem na tron Mikołaja I stosunki układają się coraz gorzej, konstytucja jest gwałcona coraz częściej i coraz silniej. Daremnie Konstanty broni Polaków przed Mikołajem. Oto naprzykład list Ks. Konstantego do Mikołaja I, pisany w 1827 r. „Byłem, jestem i będę Rosjaninem, dopóki żyć będę; lecz nie będę jednym z tych ślepych i głupich Rosjan, którzy mniemają, że im wszystko wolno, a innym nic. *Matuszka Rossija bieriot dobrowolno, nastupia na gorlo*—jest to przysłowie bardzo u nas rozpowszechnione, do którego zawsze czułem wstręt". Szereg procesów politycznych, wytoczonych o takie sprawy, które niedawno jeszcze nie nazywały się przestępstwami, denerwuje opinję publiczną. Żywioły wolnościowe polskie i rosyjskie, jawnie współdziałające za Aleksandra I, są zmuszone kryć się. Hasło „za waszą i naszą wolność" z salonów wielkopańskich przechodzi w podziemia spiskowców.

W r. 1828 Mikołaj I zwycięża Turków, w 1829 r.

koronuje się w Warszawie, jako Król polski, co wzbudza wstręt nietylko w jego otoczeniu, ale i w nim samym. Wreszcie w roku 1830 zamierza posłać wojska polskie na taką wyprawę, na jaką z góry może przewidywać, że nie pójdą. Wojska polskie miały być mianowicie wysłane do Francji, aby strącić Ludwika Filipa, którego wyniosła na tron rewolucja 1830 r. i przywrócić reakcyjnego Ludwika XVIII. Jednocześnie wojska polskie miały zgnieść świeżo powstałe konstytucyjne Królestwo belgijskie. Wymarsz wojsk polskich był naznaczony na 22 Grudnia 1830 r. 29 Listopada wybuchła rewolucja. Słusznie też w parlamencie francuskim wołał Lafayette: „Wojna przygotowana była przeciw nam. Polska stanowić miała przednią straż. Przednia straż zwróciła się przeciwko głównej armji", a Hercen, młodziutki wówczas, i jego przyjaciele śledzili z zapałem przebieg rewolucji 1830 r. mniemając słusznie, że jej zwycięstwo byłoby równoznaczne z utrwaleniem konstytucjonalizmu w całej Rosji, gdyż o oderwaniu się od Rosji nie myśleli, jak to wykazuje prof. Kozłowski, kierownicy rewolucji listopadowej. „Za wolność naszą i waszą"...

Taka jest treść niezmiernie doniosłej pracy prof. Kozłowskiego. Nasuwa ona cały ogrom myśli w dziedzinie najbardziej palących współczesnych zagadnień politycznych. Wykazuje historyczną gienezę ścisłego związku odrodzenia Polski ze sprawą wolności wogóle. Wydobywa na światło dzienne mnóstwo nieznanych dotąd autentycznych dokumentów. Jest pisana lekko i przystępnie. Wprost nie pojmuję, jak dzieło tej wagi mogło dotąd nie stać się przedmiotem dyskusji nietylko w szczupłym gronie naszych historyków, lecz dyskusji publicznej.

Czyżby nasza myśl polityczna była równie ubogą, jak myśl społeczna?

JERZY KURNATOWSKI.

Władysława Daniłowskiego: Notatki do Pamiętników. Wydał Jan Czubek. Kraków, 1908 r. Nakładem Akademji Umiejętności.

Komitet do dziejów porozbiorowych Polski, utworzony niedawno w Krakowie, pod auspicjami Akademji Umiejętności, odznacza się w swych wydawnictwach sta-

rannym i jak dotąd, bardzo szczęśliwym doborem. Wiekopomna będzie zasługa tego Komitetu, jaką oddał badaczom i ciekawym dziejów wojny 1831 r., wydaniem „Djarjusza“ sejmu z tego okresu. Obecnie zaś ważnym dobytkiem wzbogacona została przezeń literatura, tycząca się dziejów powstania styczniowego. Wydawnictwem tem są „Notatki do pamiętników“ Władysława Daniłowskiego, jednego z założycieli pierwszych kółek młodzieży przed powstaniem, a następnie — wybitnego członka wszystkich następujących po sobie organizacji kierowniczych ruchu, zakończonego wybuchem styczniowym.

Mamy więc obszerne (495 str.) i bardzo ciekawie opowiedziane szczegóły zakulisowej akcji kierowników tego wielkiego dramatu dziejowego, niemal od jego początków. O samem powstaniu Daniłowski opowiada mniej, już odsunięty wówczas od kierownictwa i związany z jen. Mieroszewskim i jego działalnością. To jednak, co o ruchu zbrojnym opowiada, jest ważnym przyczynkiem do jego dziejów i daje wiele nieznanych rzeczy, często przedstawiając wypadki w zupełnie innem, niż dotąd świetle.

„Przed mojem okiem rozwija się piękna choć dzika kraina: wyniosłe, skaliste wzgórza, szeroka rzeka, lasy nieprzebyte, a za niemi ciemnieją w dali łańcuchy gór Sazańskich, dotykających się swemi wiecznie śnieżnemi szczytami chmurnych obłoków. To Syberja, ziemia wygnania.

Po tylu gwałtownych przejściach, po tylu burzach życia—spokój; lecz nie ten spokój szczęśliwy—wytchnienie po pracy na łonie familji, wśród przyjaciół i gwaru ziemi rodzinnej. To spokój cmentarza, pośród grobowców ubiegłej przeszłości, wśród mogił i trumien zgasłych nadziei i ułud szczęścia. W tej pustyni, trawiącej swoją jednostajnością i tęsknotą, żyje się tylko wspomnieniami. I ja też pragnę wrócić myślą do lat ubiegłych, aby zostawić familji mojej w spuściznie choć te kilka kart, pisanych zdala od nich, na syberyjskiem wygnaniu. Przynajmniej w tych chwilach, kiedy myślą w przeszłość zalecę i wywoływać będę żywe obrazy minionych lat moich, zapomnę może choć na chwilę o tej śnieżnej krainie, w jaką mnie losy zagnały“...

W ten sposób dwudziesto dwuletni członek Komitetu centralnego, a ledwie 26-letni wygnaniec w Minusińsku rozpoczyna swoje zajmujące niezwykle i z wielkim talentem pisane wspomnienia.

Zaczyna od wspomnień z krwawego 1846 r., kiedy to, jako mały chłopiec patrzył wraz z matką z brzegu Wisły pod Sandomierzem na dalekie łuny dworów szlacheckich w Galicji. Po krótkiej opowieści o czasach gimnazjalnych, o wpływie „niezdrowym“, jak się jeden z krytyków wyraził, Kraszewskiego „Powieści bez tytułu“ na młodzież, autor przechodzi do życia młodzieży w otwartej 1858 roku Akademji Medycznej w Warszawie.

Następnych czternaście rozdziałów zawiera szczegółowe opowiadanie o konspiracji i o okresie manifestacji przedpowstaniowych. Autor bierze czynny udział we wszystkiem. Nieobecny w Warszawie podczas pierwszych manifestacji 25 i 27 lutego, przyjeżdża na drugi dzień po śmierci... pięciu poległych i odrazu rzuca się w wir gorączkowej pracy spiskowej i podniosłego treścią i przejawami ówczesnego życia publicznego. Jako „akademik“, którego sam mundur był pewnego rodzaju symbolem i wszędzie otwierał wejście, Daniłowski pracuje w kołach spiskowych pod kierunkiem głośnego w tym czasie Karola Majewskiego, trafowi szczęśliwemu tylko zawdzięcza ocalenie podczas masakry tłumów na placu Zamkowym i przyległych ulicach w pamiętnym dniu 8 kwietnia, a przedtem asystuje zarówno przy „kocich muzykach“, które zresztą w notatkach swych potępia, jak i przy urządzaniu olbrzymiego święconego dla braci rzemieślników w bogatych domach warszawskich podczas świąt wielkanocnych 1861 r. Jednocześnie młodość domaga się praw swoich: młody działacz kocha się i z całą szczerością opowiada o swem uczuciu, najpierw ku młodziutkiej lubliniance p. W. F., mającem zakończenie dramatyczne, gdyż młode dziewczę uległo nagłej i silnej chorobie umysłowej, a następnie już w największym rozwoju działalności konspiracyjnej — ku pięknej pannie Karolinie (imię przybrane). Opowieść o tej miłości dwojga młodych ludzi, szczerej i niewinnej, odznacza się wielką prostotą i umiejętnie włączona do opowieści spiskowych i całego szeregu faktów z życia Irredenty przedpowstaniowej, niezwykle urozmaica pamiętnik, będąc zarazem najlepszą charakterystyką osobistości autora.

Piękne inną tragiczną pięknością są poza tym żywe opowiadania o rzezi masowej 8 kwietnia, barwne wspom-

nienie aresztów w kościele katedralnym 15 października, opis egzekucji Rylla i Rzońcy, a wreszcie—krótkie wspomnienie o zgromadzeniach studentów Szkoły Głównej w amfiteatrze anatomicznym po decyzji Komitetu Centralnego postanawiającej wybuch zbrojny.

Bardzo ciekawe są i wiele nowych szczegółów dorzucają do znanych już źródeł opowiadania autora o Komitecie akademickim, założonym przez niego wraz z garścią energiczniejszych kolegów, i stosunkach w Komitecie Miejskim, co z wiosną 1862 r. stanął na czele całej organizacji, przemianowany następnie na Centralny Komitet Narodowy. Dużo miejsca autor poświęca projektowi wywołania powstania, już wczesną wiosną (1862) przedstawionemu Komitetowi przez Jarosława Dąbrowskiego, a w innem zupełnie świetle, niż dotąd stawia rokowania Komitetu Centralnego z Mierosławskim, dzieje słabej i warcholskiej organizacji Mierosławczyków, ześrodkowanych w „Komitecie Rewolucyjnym“ w Warszawie, a nadewszystko wyczerpująco charakteryzuje samego „Wodza-archanioła rewolucji“: mimo swej całej często operetkowości i zarozumiałości dzielnego i oddanego szczerze idei rewolucji demokratycznej gienerała.

Niezwykle zajmującem i nowem zupełnie jest opowiadanie Daniłowskiego o pierwszych dniach powstania zbrojnego. Ówczesny Komitet Centralny w osobach Awejdego, Kr. Mikorzewskiego, Majkowskiego i Janowskiego wyjechał do Kutna, a stamtąd do Płocka, z zamiarem ogłoszenia się w tem mieście po zdobyciu go przez Zygmunta Padlewskiego — jawnym Rządem Narodowym. W Warszawie zaś czynności kierownicze sprawowała Komisja Zastępcza, do której weszli: Stefan Bobrowski, Witold Marczewski i Daniłowski.

Nerwowe wyczekiwanie na wiadomości z kraju, które znikąd nie nadchodziły, gdyż powstańcy wszędzie telegraf popsuli, chaotyczne wiadomości pogrążały w rozpacz młodych kierowników (z trójcy komisarzy dwaj: Bobrowski i Daniłowski byli młodzieńcami 22 i 23-letnimi), na których wobec zaginięcia członków Rządu, leżała cała praca i odpowiedzialność. Rozdział ten (XIX) i następne do XXV, opowiadające epopeję Mierosławskiego, jako wodza naczelnego powstania, mają pod względem historycznym bardzo ważne znaczenie. Dowiadujemy się tu zupełnie nowych rzeczy o nastroju i postępowaniu kierowników powstania w samej chwili wybuchu, oraz

w zupełnie nowem świetle przedstawiona jest cała historja udziału Mierosławskiego w ostatniem powstaniu naszem, przyczem choć w części Daniłowski wynagradza krzywdę, jaką uczynili gienerałowi pamiętnikarze i historycy, według których Mierosławski zdobył władzę naczelną jako uzurpator, na polu walki zachował się jak tchórz.

W Notatkach znajdujemy szczegółowe opowiadanie o posiedzeniu, na którem większością wszystkich głosów przeciw jednemu (Bobrowskiego), postanowiono powierzyć Mierosławskiemu naczelne dowództwo. Wszelkie zawikłania i opóźnienie z ogłoszeniem tego faktu wynikły stąd, że wysłany do Mierosławskiego przez Komitet członek organizacji Janowski, obawiając się rewizji w drodze zjadł (tak) wszystkie dokumenty, tyczące się tej sprawy i dopiero przybycie Daniłowskiego do Paryża z innemi dokumentami w początkach lutego, wyjaśniło sytuację. Otrzymawszy nominację, Mierosławski wkrótce ruszył do kraju, gdzie według umowy miał oczekiwać go oddział, na czele którego, wódz naczelny, a właściwie dyktator miał wkroczyć do Królestwa.

Oddziału nie zastał, gdyż z powodu intryg rozszedł się, przyboczna zaś straż dyktatora z oddziału akademików złożona, została pozostawiona bez broni i wodza, w lasach pod Nieszawą. Dość, że przybyły z 20 starymi rewolucjonistami i doświadczonymi oficerami Mierosławski, ledwie miał pod komendą 60 zupełnie niemal bezbronnych ludzi. Energja jednak wodza zaradziła wkrótce wszystkiemu. Słabiutki ten oddział pod komendą Mierosławskiego wytrzymał dzielnie utarczkę pod Krzywosądzem, gdzie jednak większa część przybyłych poległa. Piękny obraz rozrostu sił powstańczych, gdy już Mierosławski połączył się z oddziałem Mielęckiego, i zachęcone jego energicznemi mowami gromady chłopów z kosami i siekierami wstępowały do wojsk narodowych, zamroczony jest jednak opowieścią o niesnaskach i kończy się malowniczem opowiadaniem o strasznej klęsce pod Nową Wsią. Mierosławski wszędzie, według opowiadania Daniłowskiego, zachowywał się, jak bohater i wódz dobry, uległ przeważającym siłom i ustąpił przed intrygami a nawet po zamachu na swoje życie, i udał się do Krakowa, gdzie już działalność jego nie pięknie zaznaczyła się nadal. W części tej autor notatek, opowiadając wiernie wszystko, czego sam był świadkiem i uczestnikiem.

popełnił kilka błędów, podając mylne dane o wypadkach, w których nie brał udziału.

Tak np. atak Jeziorańskiego na Rawę, w pierwszych dniach lutego 63 r. zalicza do napadów nocy 22 stycznia, zupełnie mylnie opowiada o bitwie pod Węgrowem, mylnie do okolic, które powstały 22 stycznia zalicza Kaliskie, i t. p. Tak samo przed tem. Wielopolskiego robi Naczelnikiem Rządu Cywilnego o pięć kwartałów zawcześnie. Są to jednak błędy, wynikające wyłącznie z omyłek pamięci, która go zawiodła.

Szczegółowa opowieść o niesnaskach, jakie w obozie rewolucyjnym zapanowały po ogłoszeniu się Langiewicza dyktatorem, wichrzenia Mierosławskiego, zajmują dalsze rozdziały pamiętników. W wichrzeniach tych czynny udział brał i Daniłowski, założywszy w Warszawie Komitet rewolucyjny dla popierania spraw gienerała i opozycji ówczesnemu Rządowi Narodowemu. O ile w pierwszej części notatek Mierosławski odmalowany był przez autora z sympatją, i w sytuacjach dla siebie korzystnych, o tyle tu występuje jako zawistny ambitny warchoł, swoje wywyższenie mający na względzie. Zajmujące i również nieznane szczegóły opowiada Daniłowski o zakulisowej walce stronnictw i grup krańcowych, mających na celu obalenie t. zw. Kwietniowego Rządu Narodowego, złożonego z żywiołów umiarkowanych, oraz o utworzeniu radykalnego rządu. Szczegóły te malują jaskrawo niedogodności choćby najlepszej konspiracji, mogącej być w każdej chwili rozbitą, sparaliżowaną przez garść zapaleńców.

Zajmujące są również opowiadania D. o jego aresztowaniu przez Prusaków we Wrocławiu, śledztwie w Poznaniu, więzieniu w Berlinie i wreszcie o szczęśliwej ucieczce z więzienia berlińskiego do Szwajcarji, a stamtąd do Paryża, gdzie już zastał skupiające się nowe pokolenie emigracji, po rozbiciu powstania w kraju. Wśród organizowania rozproszonych sił wychodźctwa i tęsknoty do kraju, gdzie właśnie dogorywały resztki ruchu, Daniłowski zostaje wciągnięty do prowokatorskiego spisku, stworzonego już w 1865 roku przez ówczesnego gienerał-policmajstra Królestwa, gien. Trepowa z pomocą szpiegów prowokatorów Kurniejewa i Zwierzchowskiego. Szczegóły tej wstrętnej sprawy, w którą niebacznie dał się wciągnąć młody, lecz długoletni spiskowiec wraz z garścią marnych moralnie i lekkomyślnych jednostek, jak Janczewski czy Rudnicki, więzienie i przebieg sprawy są treścią ostatnich sześciu rozdziałów książki, kończącej się wspomnieniem wyjazdu na Syberję.

Do zalet książki należy poza jej wartością historyczną dodać i talent, z jakim została napisaną. Opowiadanie potoczyste, łatwe i zajmujące niezwykle, sprawia iż czyta się tą olbrzymią pięćsetstronicową książkę, jak utwór beletrystyczny, tembardziej, że w ciągu całego pamiętnika, czytelnik ciągle śledzi jednocześnie z wypadkami i rozwojem konspiracji i przebieg miłości autora, co nawet nadaje pamiętnikowi charakter powieściowy. Zarazem z kart tych schodzi ku nam całkowity, niezwykle sympatyczny obraz samego autora. Poetyczna natura, wątły, chorowity i wrażliwy, zostaje porwany wirem wypadków i na samą powierzchnię wzburzonego życia narodowego wyrzucony. Mimo jednak wszelkie dostojeństwa rewolucyjne, pozostaje zawsze sobą, dwudziestodwu-letnim młodzieńcem idealistą. Wśród zamętu konspiracji wynajdzie jakiś quasi-organizacyjny interes pod Pułtusk, gdzie mieszka wybranka serca, w najgorętszej pracy znajdzie chwilkę czasu, aby wpaść do niej w Warszawie, a raz nawet z wielką dla sprawy spiskowej szkodą, nakłada drogi z obozu Mierosławskiego do Warszawy, aby tam przybyć za późno.

Szczery patryjotyzm, idealizm, a przytem łatwowierność i lekkomyślność, z jaką daje się wciągnąć w pułapkę prowokatorską, tworzą całokształt charakteru autora notatek, pisanych, powtarzam, szczerze i bezpretensjonalnie, co przy zaletach stylu i języka, bardzo za serce czytelnika bierze.

Tyle o autorze. Wydawca, p. Jan Czubek, włożył dużo pracy i podzielił tekst na odpowiednio zatytułowane, za pomocą podania krótkiej ich treści, rozdziały i dodał komentarz, z którego dowiadujemy się ważniejszych dat życia Daniłowskiego. Urodził się, jako syn urzędnika w 1841 roku, po ukończeniu szkół średnich był studentem Warszawskiej akademji medycznej. W 1865 r. aresztowany został i po półtorarocznem przeszło więzieniu na Pawiaku i w Cytadeli, został zesłany do Minusińska w gub. Jenisejskiej, dokąd podążyła i narzeczona, aby zaślubić zdawna ukochanego człowieka. Po czterech latach pobytu na Syberji, Daniłowscy przenieśli się do Cywilska w gub. Kazańskiej, a następnie mieszkali w Mceńsku gub. Orłowskiej, gdzie Daniłowski pracował jako

lekarz. Wezwany stamtąd w sprawach majątkowych do Petersburga, nagle zachorował na silną chorobę mózgową i zmarł na rękach żony w 1878 r., licząc zaledwie 36 lat życia.

Zaznaczyć trzeba, że autor notatek był ojcem wybitnego poety i powieściopisarza Gustawa Daniłowskiego.

Jedno bym wydawcy zarzucił. Zamieścił on w końcu książki niewielki dodatek, pisany przez b. członka Komitetu Centralnego dra Biernawskiego, prostujący pewne szczegóły. W końcu listu znajduje się zupełnie niepotrzebna ujemna charakterystyka Daniłowskiego, oparta na pogłoskach, oraz streszczona z dzieła Berga wiadomość o sprawie Daniłowskiego w 1865 roku. List ten w połączeniu z innemi sprostowaniami szczegółów byłby na miejscu, w dzisiejszej jednak postaci robi niesympatyczne wrażenie.

Józef Dąbrowski.

WALTER PATER: LUCA DELLA ROBBIA.

Z CYKLU SZKICÓW P. T. „ODRODZENIE".

Rzeźbiarze włoscy z pierwszej połowy XV stulecia są czemś więcej, niż zwiastunami wielkich mistrzów z końca tegoż wieku, i osiągają niejednokrotnie doskonałość w ścisłych granicach, jakie zakreślili swej sztuce. Podobnie jak obrazy Botticelli'ego i świątynie Brunelleschi'ego, rzeźba ich nacechowana jest głębokim wyrazem i posiada tę wymowę przebywającej w niej duszy, która nadaje

czar tak osobliwy twórczości włoskiej tej epoki. Dzieła ich uległy wielkiemu zaniedbaniu; często ukrywa je niemal przed okiem otaczająca je zewsząd tandeta nowoczesnej dekoracji, to też zbliżamy się z pewnem zdumieniem do miejsc, gdzie piękno ich płonie niewygasłym ogniem. Jednocześnie zaś przejmuje nas pragnienie wniknienia w życie tych ludzi, którzy umieli włożyć w to, co stworzyli, tyle słodyczy i siły. Posiadamy jednak pod tym względem niezmiernie szczupły materjał informacyjny, dzieje zaś niektórych artystów pozostały nam całkowicie nieznanemi; jest to niewątpliwie w pewnym stopniu wynikiem dyskrecji ich istnień i surowej ich godności i prostoty. Daremnie też szukalibyśmy czegoś więcej nad nikłe zarysy rzeczywistości w szczegółach, jakie przekazała nam przeszłość co do takich mistrzów, jak Mino, ten Rafael rzeźby, jak Maso del Rodario, którego dzieło wnosi do kościoła w Como nowy zupełnie urok, jak Donatello nawet.

Nieco obfitsze wieści doszły nas o Luca della Robbii; historja równych kolei życia artysty i jego wydarzeń przemawia do nas wyraźniej poprzez jego twórczość. Zdaje mi się, że nic chyba nie wskrzesza równie doskonale atmosfery toskańskiego miasta, jak te naczynia, z białej i blado-niebieskiej gliny, które zdobyły mu największy rozgłos, a są — niby fragmenty słodkiego nieba Toskańji, spadłe w chłodne ulice jej miast i do ciemnych wnętrzy jej kościołów. I niema chyba dzieła trudniejszego do naśladowania; jak wino toskańskie, traci ono coś z swych najcenniejszych zalet zdala od miejsc ojczystych, od walących się w gruzy murów, w których obrębie zrodziło się do życia. Powab jednak, jaki spowija te rzeczy, ich harmonja, czystość i pełnia ekspresji—są w części wspólne wszystkim rzeźbiarzom toskańskim XV stulecia. Luca bowiem urabiał również przedewszystkiem marmur, a w swych pracach w glinie przenosił jedynie na inny materjał zasady swej sztuki.

Rzeźbiarze toskańscy tego okresu tworzą przeważnie bas-relief'y, wprowadzając nawet do swych monumentalnych posągów coś z właściwego im wyżłobienia powierzchni i nadając w taki sposób swym dziełom pewną patetyczną suggiestję, nasuwającą na myśl spustoszenia śmierci, lecz zarazem jej uduchowienie. Nienawistną im jest wszelka masywność i pompatyczność, nie uznają ostrych przeciwstawień światła i cieniów i szukają środków ekspresji w najsubtelniejszem właśnie stopniowaniu tych cieniów, dostrzegalnem chyba tylko w silnem oświetleniu, niezmiernie trudnem do oddania dla najsubtelniejszego nawet pędzla. Istotną treścią tej sztuki jest jej wyraz; to uśmiech, przesuwający się po twarzy dziecka, falowanie powietrza, poruszającego w pogodny dzień firankę nawpół otwartego okna.

Jaką jest ścisła wartość tego systemu rzeźby? U della Robbii, i innych artystów tej samej szkoły przedstawia on zespół środków, z jakimi ci mistrze przystąpili do zwalczania specjalnych ograniczeń swego kunsztu, stanąwszy wobec ogólnych zagadnień sztuki. Ograniczenia te wypływają z samej natury używanego materjału i zasadniczych warunków dzieła rzeźbiarskiego i polegają na dążności tego dzieła do twardego realizmu, do jednostronnego przedstawiania samej tylko formy—tego masywnego bloku materji, któremu ruch jedynie przyniesćby mógł wyzwolenie, do ciężkich cieniów i posuniętego aż do karykatury indywidualizowania wyrazu. Przeciw tej tendencji do surowego odtwarzania formy wyłącznie, siłącego się daremnie o współzawodniczenie z naturą — występuje zawsze prawdziwie szlachetna rzeźba. Wszystkie wielkie jej szkoły zwalczają ją właściwymi sobie sposoby, uduchowiając swą sztukę, łagodząc jej suchość, ciężkość i martwotę. Wprowadzanie tu barwy jest jedynie dość niezręcznym wymysłem, skierowanym ku osiągnięciu za pomocą zapożyczeń z innej dziedziny artystycznej tego, co rzeźba otrzymać może własnymi środkami, doskonale

zastosowanymi do swego charakteru. Nie dawać barwy, lecz jej równoważnik, wnieść w dzieło rylca ruch i tchnienie życia, unikać nadmiernego indywidualizowania czystej, niezłagodzonej formy—takie zadanie postawiły sobie trzy znakomite systemy rzeźby, krocząc do jego urzeczywistnienia trzema różnemi drogami.

Allgemeinheit — uniwersalność, ujęcie szerokie, ogólne—oto słowo wybrane przez Winckelmanna, a przyjęte następnie przez Goethe'go i wielu krytyków niemieckich dla wyrażenia owego prawa kierowniczego sztuki najlepszych rzeźbiarzy Grecji—Fidjasza i jego uczniów, które nakazywało im szukać cech typu w pośród cech indywidualnych, wyodrębniać i utrwalać w swej twórczości to jedynie, co jest stałem i strukturalnem, odrzucać zaś wszystko, co należy wyłącznie do danej jednostki, a więc wszelką przypadkowość, uczucia i giesty jednej tylko chwili. Ze względu na swą przemijającą naturę wywierałoby to wszystko w rzeźbie takież prawdopodobnie wrażenie, jakiego doznajemy wobec rzeczy, ściętych nagle lodem.

Dzieła, pojmowane w podobny sposób, stały się niejako subtelną esencją rzeczy, lub niemal czystemi pojęciami i ideami; stąd ich ogólnoludzka doniosłość. Oderwanie się artysty od warunków poszczególnego miejsca i narodu przedłuża wpływ ich daleko poza epokę, która je wydała, zyskując im zarazem wszechświatowe uznanie.

Na takiej to drodze szukali Grecy złagodzenia twardej bezduchowości czystej formy. System ten pociągał jednak za sobą w pewnym stopniu poświęcenie tego, co nazywamy ekspresją. Abstrakcja, skierowana zawsze ku osiągnięciu typu najogólniejszego i unikaniu cech indywidualnych i przypadkowości, zależnych od miejsca i czasu—zamykała dziedzinę poszukiwań twórczych rzeźbiarza greckiego w zbyt ciasne poniekąd granice. To też, gdy w osobie Michała Anioła przejawił się gieńjusz, zapłodniony tchnieniem średniowiecznego marzenia, przeniknięty właściwą tej dobie skłonnością do medytacji i skupienia, nie żyjący wyłącznie życiem zewnętrznem Greka, lecz przeciwnie istnieniem, pełnem wewnętrznych doświadczeń i rozważań, trosk i kojącej je pociechy—gieńjusz ten nie mógł znaleźć zadowolenia w sztuce, która poświęcała tak wiele z niewidzialnego dla oka wewnętrznego życia. Jest miłośnikiem i badaczem greckiej rzeźby, lecz uważa zarazem za jedynie warte tworzenia dzieła, które uwydatniają cechy wewnętrzne, noszą na sobie znamiona indywidualnego charakteru i uczucia i są odrębną historją odrębnej duszy.

W osobisty całkiem i jemu tylko właściwy sposób, który jest nieraz a wydaje się zawsze zrządzeniem wypadku, zdobył artysta odrębność i intensywność wyrazu, unikając jednocześnie zbyt twardego realizmu i tej możności do zejścia na tory karykatury, jaką pociąga za sobą przedstawienie uczucia w rzeźbie. Pozostawiając wszystkie niemal swe dzieła w stanie pewnego tajemniczego niewykończenia, suggierując raczej niż urzeczywistniając właściwą formę, Michał Anioł otrzymuje takie same rezultaty, jakich traf i czas, setki lat pogrzebania w ciemnościach pod glebą „niewielkiego folwarku w Milo“ dokonały z niezwykłem powodzeniem wobec Wenus miłońskiej, ścierając tu i owdzie powierzchnię, zmiękczając linje i wprowadzając w posąg niby tchnienie ducha, który, zda się, przemówi wnet z niego. Rzekłbyś, iż sztuka klasyczna zbliżyła się tu już ku mistycyzmowi ery chrześcijańskiej, upodobniając to wyobrażenie bogini więcej, niż jakiekolwiek inne dzieło twórczości starożytnej, do sztuki mistrza włoskiego. Kryje się w niej prawie zawsze coś z niedbałości śnieżnego posągu, który Michał Anioł ulepił był na żądanie Piotra Medyceusza, gdy przez jedną noc śnieg zalegał podwórzec pałacu Pittich, tak jak gdyby artysta pragnął uczynić najwyższą chwałę swej rzeźby z cechy, znamionującej rzecz, wymożoną na nim

półżartem. Wielu dziwiło się temu niewykończeniu, domyślając się wszelako, że mistrz ukochał je i nie zamierza go bynajmniej porzucić, czując też, że utracilibyśmy coś niezawodnie, gdyby wydobyta przezeń tylko częściowo forma, wyłoniła się kiedykolwiek całkowicie z kamienia, tak twardo ciosanego miejscami, tak delikatnie żłobionego gdzieindziej. I ludzie ci zapragnęli wówczas pogłębić czar tego niewykończenia. W rzeźbie Michała staje się ono równoważnikiem barwy w malarstwie i pozwala mu uduchowiać czystą formę, łagodzić jej realizm i nadawać jej tchnienie, pulsację i wrażenie życia. Cecha ta pozostaje w zgodzie z całym temperamentem artysty i jego trybem istnienia, z jego wahaniami i rozczarowaniami. W rzeczywistości więc jest jego dzieło doskonale skończonem w sobie. Niezmierna intensywność kojarzy się w niem z najwyższem napięciem namiętności i zrozumieniem całej giętkości życia; twórczość jego posiada nietylko żywotność, lecz i zdumiewającą siłę wyrazu.

Rzeźba della Robbii i innych artystów toskańskich XV stulecia zajmuje pośrednie stanowisko pomiędzy tymi dwoma systematami: sztuką mistrzów greckich i dziełem Michała Anioła. Przyjmuje więc poniekąd ową *Allgemeinheit* Greków, która nakazuje wydzielać pewne wybrane pierwiastki czystej formy, odrzucając inne, jednocześnie zaś przejawia w pewnej mierze świadomą niewykończoność Michała Anioła, łagodzącą tak silnie wyraz energji i naprężenia uczuć, który mógłby w przeciwnym razie przerodzić się w karykaturę. Podobnie jak mistrz florencki, nadają ci artyści swym dziełom wybitnie zindywidualizowaną i głęboką ekspresję; najszlachetniejszemi ich pracami są nagrobkowe portrety różnych osobistości—pomnik hr. Ugo w Badii florenckiej, pomnik młodego Medea Colleoni, o długiej, pełnej wdzięku szyi, w chłodnej kaplicy północnej kościoła Santa Maria Maggiore w Bergamo, i tyle innych grobowców w wielu świątyniach Rzymu, z których bije nieprzebranem źródłem suggiestja spokoju, zwyciężonej ekstazy sabbatycznej, świętego jakiegoś czaru i wysubtelnienia. Te pierwiastki pogody i wypoczynku kojarzą się zaś z intensywnością ekspresji indywidualnej, za pomocą systemu równie umiejętnego i wyrafinowanego, jak sposób rzeźby, stosowany przez Greków.

Żywot della Robbii, pracowity i skromny żywot człowieka, nie znającego innych przygód i wzruszeń nad te, jakie rodzą się w duszy artysty, szukającego nowych dróg i środków w swej sztuce, walczącego z nowemi jej trudnościami i dążącego do rozwiązania nowych jej zagadnień — wypełnia pierwsze siedem lat dziesiątków piętnastego stulecia. Po wykonaniu wielu dzieł w marmurze, przeznaczonych do ozdobienia katedry i Kampanili florenckiej, które stawiają go w rzędzie najprzedniejszych rzeźbiarzy tej epoki, powziął pragnienie urzeczywistnienia ducha i charakteru swej sztuki w zwyklejszym materjale i zastosowania włożonej w nią wiedzy i wyrazistego a czarownego systemu bas-relief'u do pospolitego kunsztu garncarskiego, by wprowadzić w taki sposób w rzeczy codzienne wyższe czynniki artystyczne i przyczynić się do ozdoby i upięknienia życia domowego. Dążność ta czyni zeń typowego przedstawiciela Florencji tego okresu, tych jej cech mianowicie, które kryją się pod powierzchowną próżnością i rozkapryszeniem — jej starodawnej powagi, prostoty i skromności.

Ludziom nie przechodziło jeszcze wówczas przez głowę, by sztuka, nadająca się do przystrajania kościołów, była mniej odpowiednią do przystrajania ich własnych domostw. Wyroby garncarskie della Robbii przedstawiały się początkowo jako naczynia z białej gliny — wykończone w ciągu kilku godzin, szkicowe niemal naśladownictwa cennych marmurów, pracowicie żłobionych rylcem. Lecz ta wązka ścieżka poprowadziła go na drogę nowych powodzeń i nowego piękna artystycznego.

Sława wschodniego garncarstwa z jego dziwnymi, olśniewającymi refleksami—barwami sztuki, których nie może ziścić żaden kamień naturalny—współzawodniczyła wówczas z bliższą starorzymską tradycją tego kunsztu. Niewielkie czerwone dzbany z Arezzo o tonach korala, wykopywane w tej miejscowości od czasu do czasu, słynne są po dzień dzisiejszy. Wszystkie te kolory oblegały rojem wyobraźnię della Robbii. „Trwał w swej pracy, szukając wciąż czegoś nowego i czegoś więcej" — mówi jego biograf — „i zaniechawszy wyrabiania przedmiotów z białej wyłącznie gliny, począł nadawać im barwy ku podziwowi i radości tych, którym dane było napawać nimi wzrok". — *Cosa singolare e molto utile per la state!* — rzecz ciekawa i wielce pożyteczna w porze letniej, dająca chłód i niosąca wypoczynek dla oka i ręki.

Luca lubił różnorodne formy owoców i splatał je w czarowne obramowania i girlandy, zdobiąc je w ich naturalne barwy, przyćmione zlekka jedynie, nieco bledsze niż w rzeczywistości. Lecz do szlachetniejszych swych prac z terrakoty nie wprowadzał nigdy kolorów ciała, ograniczając się tu przeważnie do barw Dziewicy Marji — niebieskiej i białej.

Zaznaczyłem już, że dorobek della Robbii posiada w niezwykle wysokim stopniu te szczególne cechy, które znamionują wszystkich artystów tej samej, co on, szkoły—cechy, które mimo braku dokładniejszych wieści o ich rzeczywistych losach, czynią ich nam niezmiernie bliskimi. Dzieło ich ma własną indywidualność—tę głęboką wyrazistość mianowicie, której Francuzi nadają miano *intimité*, używając go w znaczeniu subtelniejszej jakiejś odrębności; wyciskają na nim swe piętno koncepcje życiowe i formy myślenia, które stanowią najistotniejszą treść wewnętrzną artysty, wyróżniającą go od innych, to co nazywamy ekspresją, jednem słowem, osiąga w ich rzeźbie największą intensywność. Z ekspresją tą spotykamy się nie często w poezji, rzadziej jeszcze w innych

gałęziach sztuki, najrzadziej zaś pewnie w abstrakcyjnej sztuce rzeźbiarskiej, choć jedyny to może rys zasadniczy dzieł myśli i wyobraźni, który wkłada w nie wartość trwałą. I dlatego właśnie, że utwory artystów XV stulecia wykazują go w tak wybitnym stopniu — doznajemy wobec ich puścizny chęci poznania wszystkich szczegółów ich istnienia, jakie przekazała nam przeszłość i wyjaśnienia sobie tajemnicy ich czaru.

Przełożyła z angielskiego

M. Rakowska.

JAN KLECZYŃSKI.

KONKURS NA POMNIK CHOPINA.

Pomnik—to mowa narodu ku Wieczności.

Czy można zatem określić, jakim „powinien“ być pomnik? Czy można przewidzieć, jak i kiedy dusza narodu dozna tego wielkiego wstrząśnienia, że wyda z siebie dzieło, godne przemawiania do wszystkich wieków?

Czy może o tem sądzić „jury“, zwłaszcza międzynarodowe, określając terminy natchnienia dla „artystów krajowych“!

Nie, to nonsens zbyt jasny! I nie trzeba się dziwić „pomyłkom“ sądów konkursowych. Sądy takie z natury rzeczy są niedorzecznością, stanowią jaskrawy dowód, jak dalecy jesteśmy teraz od powagi wielkich artystycznych czynów, od wychylenia serc i dusz poza chwilę, chwilkę, chwileczkę dzisiejszą, od życia sztuką.

Rozstrzyga się konkurs na pomnik Chopina tak jak konkurs na najtańszą dostawę węgla, albo na najpraktyczniejszą rzeźnię.

Bierze się do tego „specjalistów“ zagranicznych, jak gdyby tam, we Francji i Włoszech lepiej odczuwano czem był Chopin, niż u nas. Pomija się w tworzeniu jury pierwszorzędne powagi w twórczości narodowej, bierze się zaś kilku panów, wybranych na chybi-trafi—i temu przypadkowemu zespołowi każe się wyrokować o wartości dzieł, tak szczególnego wymagających natchnienia, jak pomnik i to pomnik dla Chopina!

Jeżeli już miała się stać ta zabawna inscenizacja konkursu, jeżeli—ha—tak jest!—społeczeństwo nasze jest tak ubogiem i bezbronnem, do szczytu zdezorganizowanem, że nie może się zapalić do jakiegoś dzieła, które powstało nagle, pod piorunami natchnień, nie zaś na zamówienie komitetu, to niechże by ten komitet stanowili ludzie, żyjący pełnią kultury polskiej, bogacący ją własnymi tworami, własną wyobraźnią i wielkością serc — ludzie, stanowiący syntezę polskiej duszy — a więc Żeromski, Chełmoński, Malczewski, Przybyszewski, Miciński, Kasprowicz, Sienkiewicz, Brand, Świętochowski, Paderewski, Reymont, Miriam, Witkiewicz, Sieroszewski, Tetmajer, Lemański, Mehoffer, Ślewiński, Wyczółkowski...

Nie daję w tej chwili recepty, ale chcę pokazać, że są ludzie w narodzie polskim, którzy przecież więcej coś wiedzieć mogą o „sztuce krajowej“, niż pp. Bartholomé, Bourdelle, Ferrari, oraz warszawscy członkowie jury... ach, tak bardzo warszawscy!..

Ci wielcy artyści, których wyliczyłem, nie popełnili by z pewnością potwornych błędów obecnego sądu konkursowego, nie pominęliby milczeniem tych dzieł nadesłanych na konkurs, w których przemówiło natchnienie i wyobraźnia.

Jeżeli chodzi o to, że nie wszyscy wyżej wymienieni artyści... mieszkają w Warszawie, lub mogą tu przebywać, to można było wynaleźć sposoby na ich zgrupowanie gdzieindziej, sposoby, które by z pewnością były stosowniejsze, niż płacenie zagranicznym augurom po tysiąc franków dziennie, co razem uczyniło franków dziewięć tysięcy (augurowie bawili trzy dni).

Zarzut, że wśród wyliczonych przezemnie niema „specjalistów“ z wyjątkiem Miriama i Witkiewicza, jako krytyków, byłby bardzo śmieszny.

Pomniki stawia się chyba nie specjalistom, ale narodowi. Ci więc tu powinni rozstrzygać, którzy stanowią narodu tego serca i ducha. Nie bójcie się! „Specjalista“ rozróżni drobiazgowe przewagi jednej „techniki“ nad drugą, ale duszę prawdziwego twórcy łatwiej inny twórca odgadnie, niż specjalista od „fachu“.

Możnaby było wreszcie wśród twórców polskich rozesłać ankietę, kogo pragną widzieć sędziami z pośród siebie. Ale pomijać ich—nie było wolno, ani tembardziej samowolnie sędziów mianować.

Trzeba raz wreszcie ustanowić w Polsce jakąś kompetencję w rzeczach sztuki, zwłaszcza sztuki, tak wybitnie publiczny mającej charakter, jak postawienie pomnika wielkiemu artyście w stolicy. Tu nie chodzi przecież tylko o ozdobienie Warszawy, ani o jakąś fachową sprawiedliwość, mierzącą stosunki proporcji figurek konkursowych. Tu chodzi o nadanie narodowego charakteru sztuce polskiej, o wydobywanie najoryginalniejszych, najbardziej samodzielnych talentów polskich, o to, żeby nie patentować poprawnych szablonów mianem prawdziwej

sztuki, żeby nie znieprawiać do reszty gustów szerokich mas, by wyjść wreszcie poza wszelkie stosunki i stosuneczki prywatne tego prowincjonalnego miasteczka, jakiem jest w rzeczach sztuki Warszawa.

Nie jakiejś idealnej bezstronności nam trzeba, nie cudzoziemskich sądów, ale tego, co porwie duszę szczerze polską. Ta dusza żyje przecież nie w powagach zagranicznych, ale w wielkich twórcach Polski.

Nie jeden jeszcze zapewne pomnik stawiać będziemy. Niechże te uwagi nie pójdą na marne—wobec przyszłych konkursów.

* * *

Pierwszą nagrodę otrzymali pp. Szymanowski i Mączyński za projekt, przedstawiający Chopina, siedzącego nad stawem u stóp wierzby, targanej wichrem.

„Projekt ten“,—jak to słusznie mówi p. Zygmunt Żelisławski w № 9 „Przeglądu krytyki artystycznej i literackiej“—„nie powstał w godzinę cudu, nie wyszedł syntetyczny i niepokalany z duszy jedynego twórcy, brak mu powagi i głębi tragizmu“. „To zaledwie błahy moment z życia“. „Stosowniejszy byłby na pomnik dla jakiegoś ogrodnika, założyciela miejskich plantacji, (no, to już za silnie powiedziane!) lub może—co najwyżej — jako wymowna ilustracja cierpień młodego Wertera... w wilję samobójstwa“.

Istotnie, nie wiemy z projektu tego o duszy Chopina nic więcej nad to, że jego piękna, ale sentymentalnie pojęta głowa słucha szumu wichru w jakiemś neurastenicznem upojeniu. Jest to nowelka o Chopinie, obrazek rodzajowy, pejzaż malarski, literackie skojarzenie pojęć, ale nie wymowa linji i płaszczyzn architektoniczno-rzeźbiarskich, nie potęga groźnej tragiki Chopinowskiej.

Jakkolwiekbądź, jest to rzecz posiadająca bezwzględnie wartość artystyczną. Projekt jest wynikiem pewnego odczucia duszy Chopina. Z tem sentymentalnem werterowskiem odczuciem można się nie zgadzać, ale ono jest — i jako takie należy do sztuki.

Linja stawu, eliptyczna, lekko idąca w górę, jest harmonijna i spokojna. Jest dekoracyjnie ładna.

Przyznanie projektowi temu pierwszej nagrody nie jest więc błędem ze strony sądu konkursowego. Nie będę się też spierał, czy jemu, czy któremu z innych projektów należało się pierwszeństwo (jako pomnikowi, nie zaś jako wzlotowi twórczemu wogóle), bo pomnik Szymanowskiego i Mączyńskiego w każdym razie będzie niebanalną ozdobą miasta, choć nie czemś tak wymownem, co byłoby godnem Chopina. Jest w tem prostota i spokój.

Ale pozostałe nagrody i odznaczenia, przy pominięciu dzieł pierwszorzędnej wartości, są już nie błędem sędziów, ale skandalem publicznym.

Drugą nagrodę przyznano p. Marcinkowskiemu za projekt, wobec którego trudno wymienić nazwiska Chopina. Ubóstwo myśli, ani cienia jakiegokolwiek odczucia, kilka nieźle naszkicowanych postaci, na cokóle jakiś dyplomata, uczony, czy dyrektor banku...

Ten projekt nie zasługiwał nawet na odznaczenie.

Trzecia nagroda—projekt p. Otto — jest w pomyśle architektonicznym banalny, postać Chopina, choć mocno postawiona, nic nie mówi o nim, jako o twórcy, tylko wypukło-rzeźby, robione jakby pod wpływem Biegasa, mają wiele wyrazu, który jednak, jak to słusznie ktoś zauważył, wymagałby komentarzy — nie są to wyniki jasnych założeń kompozycyjnych.

Projekt odznaczony tegoż autora na razie olśniewa niezwykle śmiałą chmurą dekoracyjną, wznoszącą się nad mdłą postacią Chopina. Jest w tem rozmach, który jednak wkrótce nuży swoją bombastycznością. Niema tam żadnej linji rzeźbiarskiej, która by szła wprost z uczucia, która by więc była nową, własną. Ta dekoracyjność, wprawdzie świetnie po rzeźbiarsku wykonana, czyni wrażenie, jakby ją zrodziły skojarzenia literackie. To jakby emfatycznie zagrany jeden jedyny pasaż z poloneza—zagrany np. przez Reisenauera.

Ten projekt zasługiwał jednak bardziej na nagrodę, niż nagrodzony tegoż autora. Jest to w każdym razie dzieło artysty.

Dwa pozostałe odznaczone projekty niczem się nie odznaczają, oprócz rozpaczliwej konwencjonalności.

Wobec tego pominięcie zupełnem milczeniem takich dzieł jak Biegasa, Dunikowskiego (№ 35) oraz № 47 i 50 nieznanych autorów, wreszcie № 52—jest, powtarzam, skandalem publicznym.

W pierwszej chwili i ja pominąłem projekty Biegasa. Byłem zahypnotyzowany wymaganiem spokoju od pomnika, przytem ta ciągła mańjera Biegasa —nurzająca wszystkie postacie w jednakowych wijących się chmu-

rach, ta nigdy niezmienna u niego kompozycyjność odstręczyła mnie od wnikania w jego projekty. Jednakże jest w nich jakaś nieprzeparta siła. Po bliższem zbadaniu—czyli, jeżeli tylko ma się szczerą chęć porozumienia się z głosem o Chopinie tego wielkiego, bądź co bądź rzeźbiarza,—uderzy przedewszystkiem niezwykle potężna postać, główna. Jest to głowa tragiczna, natchniona, skupiona w straszliwem natężeniu ducha—jest to ten Chopin, daleki od wszelkich sentymentalizmów, który potrafi grzmieć organowemi akordy w polonezach, szalejąc z tęsknoty, zagłuszać boleść w tanecznych rytmach mazurków, płomienić się wściekłą, żrącą namiętnością w nokturnach, preludjach, sonatach. Ta jedna postać powinna mu była przynieść nagrodę — a nie jest przecież jedyną zaletą utworu.

Postacie wokoło harfy, objętej płomieniami pieśni, postacie, otoczone tą zwykłą u Biegasa płynną chmurą, z której wznosi się Chopin, są głęboko tragiczne, surowe, jak by je zrodził w wyobraźni Słowacki.

Czemże są obok tych delikatnych w rysunku, przeduchowionych figur, małe akademicko-smętne kobietki w odznaczonych pomnikach, oraz w nagrodzonym Marcinkowskiego?!

A przecież to za te właśnie pozujące panie odznaczono № 45 i 61 i nagrodzono № 2! Gdzież tu logika? Gdzież jakiekolwiek odczucie artystyczne?

Prawda, że forma pomnika Biegasa nie jest „pomnikową“. To nie cokół, ale jakby drzewo płomieni, wyrastające z małej nizkiej podstawy, urągającej wszelkiej architektonicznej budowie. Ależ to dzieło natchnienia, któremu może brakło tylko tego, co dorobił Szymanowskiemu Mączyński—brakło tej architektonicznej przybudówki, którą by można komu powierzyć z wolą autora...

Projekt Dunikowskiego jest najbardziej ze wszystkich jednolitym, najprostszym pomysłem rzeźbiarsko-architektonicznym. Nie jest to tylko „odruch, giest zamiaru rzeźbiarza“. Żeby wyczuć i stworzyć taką spokojną, pełną bezgranicznego oddania się, wzniośle piękną modlitewną linję—nie dość jest mieć „giest zamiaru“. Ten człowiek-duch, człowiek-pieśń, człowieka-ból, człowiek-modlitwa za miljony, klęczący z wzniesionemi w górę rękoma na odłamie ziemi rodzinnej — jest symbolem prostym, jasnym, *stworzonym, skończonym w tem, co najważniejsze:* w linjach, w stosunkach wielkości postaci do podstawy, w ruchu, który czyni z niego jakby zdrój, płynący w niebiosa z cichą, a niezwalczenie silną wymową. Taka postać ze złoconego bronzu, stojąca na czarnym marmurze, w otoczeniu drzew, byłaby czemś porywającem.

Być może, że rzeźbiarz, tworząc już właściwy pomnik, zaznaczyłby wyraźniej, dopełniłby jeszcze tę postać olbrzymią—szczegółami, równie syntetycznie pojętemi. Ale to już rzecz drugorzędna. To, co w tym pomyśle było wielkie, artystyczne, tego nie zobaczyć nie było sędziom wolno.

Cichą, głęboką kompozycją jest № 47. Jest to jakby chwila zadumy Chopinowskiej. Tulą się do wielkiego muzyka jakieś tęskne, lotne jak mgła postacie, szepczą coś... utwór prawdziwej sztuki.

№ 50 — zbolała głowa Chopina, utulona w dłoniach kobiety—szczerze odczute dzieło.

№ 52. Rozkopana mogiła z dzwonem u szczytu. Na dzwonie Chopin, ku któremu pochyla się Muza. Przez mogiłę płyną korowody pysznie znaczonych postaci. Ciekawy pomysł architektoniczny.

Wszystkie te utwory pominięto — dla odznaczenia i nagrodzenia—z wyjątkiem Szymanowskiego i Otto—samych miernot, poprawnych śmiesznostek, nudnych banalności.

Jeszcze raz zaznaczam: nie chodzi tu o to, komu trzeba było, z jakiegoś idealnego punktu widzenia, przyznać nagrodę pierwszą! Jeżeli się dostała prawdziwemu artyście, to dobrze się stało.

Ale wśród nagrodzonych nie powinno było braknąć Dunikowskiego i Biegasa.

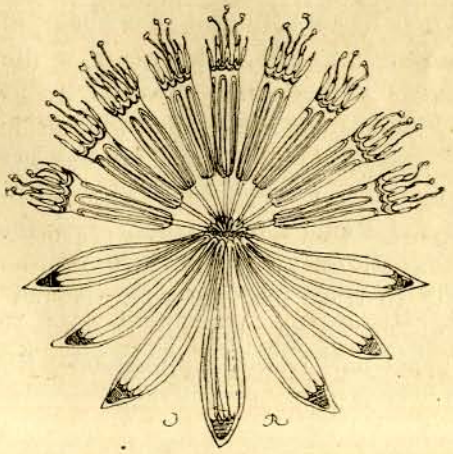

NA FALI.

„Liberum veto“ kardynała Puzyny. Warszawa w stosunku do arcydzieł. Głosy krytyków o Modrzejewskiej. Wydawnictwa rabunkowe. Protest.

Dziwnie boleśnie a upokarzająco dla wielomiljonowego narodu zawikłała się sprawa pochowania na ziemi ojczystej prochów Juljusza Słowackiego. Rozprawialiśmy o złożeniu ich na sen wieczny w Warszawie, w tej Warszawie, do której poeta niejednokrotnie uczuciem i myślą zwracał się z dalekiej obczyzny i nazywał ją żałosną wdową polskiego ludu i matką w żałobie. Projektowi temu—sądzone było pozostać w dziedzinie marzeń. Postanowiliśmy pochować królewskiego syna pieśni w podziemiach Wawelu, w owym panteonie pamiątek i skarbów narodowych, gdzie spoczęły już zwłoki Kościuszki i Mickiewicza. Zbiorowej woli narodu, wyrażonej jasno i dobitnie, oparły się tym razem nie jakieś obce żywioły, obojętne lub wrogie świętościom naszym, ale—o hańbo—polski dostojnik kościelny, dzierżący w dłoniach zgrzybiałych klucze od podziemi wawelskich i uważający w zaślepieniu, graniczącem z obłędem wielkości, że ma prawo zatrzasnąć wejście do nich przed trumną czcigodną, która od lat sześdziesięciu czeka na powrót do ojczyzny.

Kardynał Puzyna nie rozumie, naturalnie, kim był i jest dla nas Słowacki; jeżeli kiedyś—za młodu—czytał jego pieśni, to treść ich nie wgryzła mu się w duszę, „zjadacza chleba“ nie przerobiła w anioła. Wola narodu, z którą nie od dziś bywa w niezgodzie, jest mu obojętną

zupełnie, więc krzyknął głosem Sicińskiego „nie pozwalam“, a reszta nie obchodzi go wcale. I być może, iż—na razie przynajmniej—dopnie celu. Pomimo protestów, które się rozległy w całej Polsce, ma on smutną władzę czynienia źle; przypomina słonia, depcącego bezmyślnie plantację, która miała być źródłem radości i życia. Czy jednak ten tryumf smutny przyda się na co złym mocom, przygniatającym trumnę narodową? Nie sądzę. Nie obawiał się ich i Słowacki, gdy—jakby przeczuwając chwilę obecną — pisał w „Beniowskim“: „Nie wy, Cheruby, co miecze z łuczywa macie, z papieru złotego przyłbicę, których nie Pan Bóg, lecz człowiek używa i wami sławy wysokiej kaplice oszyldwachuje przed tym, co się wrywa, jak wiatr, i w oczach niesie błyskawice; nie wy, brytany, wejścia mi bronicie! Ja jestem gwiazdą życia—co o świcie, skąpana w krwawej jutrzence, wychodzi różana — a dzień będzie wtenczas biały, gdy ja zagasnę“...

Nie cherubów o papierowych, złoconych przyłbicach i mieczach z łuczywa, nie brytanów, szyldwachujących przed wielkiej sławy kaplicami, obawiał się poeta, ale raczej tego rozdźwięku między duchem własnym a zbiorową duszą narodu, tej ogólnej apatji i obojętności, która sprawiała, że Polska tego nie słyszy, co on słyszał, że Polska rozstać się nie może z owym czerepem rubasznym, który przyrósł do niej, że nie może wznieść się na te wyżyny, na których duch jego przebywał. Wzywał tych, co w prochu myśli mazali i serca, by z serc otarli rdzę, podnieśli czoła, lecz czuł i wiedział zarazem, „jak trudno ruch obudzić w bryłach i kazać w niebo iść ściętemu drzewu i z tęczami się połączyć na niebie“ — i dlatego zapewne smutek bezbrzeżny trawił tak często jego duszę.

Słowacki miał jednak na jej dnie wiarę głęboką w zwycięstwo lepszych potęg na widowni świata; tą wiarą krzepił siebie i naród, z tą wiarą zszedł do mogiły. Nie podzielać jej niepodobna. Niekiedy jednak wśród przy-

gnębienia i apatji dni obecnych, gdy rozświt przyszły tak dalekim wydawać się musi, trudno stłumić w sercu westchnienie: „Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy“...

Przejdźmy jednak do spraw innych, które fala bieżąca przyniosła. Gdy mowa o Słowackim i uwielbieniu, które twórczość wielkiego poety budzi obecnie w coraz szerszych kołach, w oczach mi staje mimowoli w połowie tylko zapełniona sala teatru Wielkiego na pierwszem przedstawieniu „Beatrix Cenci“. Potem gorzej jeszcze bywało... Tragiedja nieszczęśliwej Rzymianki, która przed własnym ojcem sztyletem bronić się musi, nie wzbudziła u nas zajęcia żywszego; nie budzą go od pewnego czasu dzieła w większym stylu, zdajemy się „kabarecieć“ i „illuzjonić“ coraz więcej. „Beatrix Cenci“ jest dopiero bruljonem, pierwszym szkicem, rzuconym przez Słowackiego i nie wykończonym“ — mówią niektórzy, usprawiedliwiając w ten sposób obojętność publiczności warszawskiej dla tego utworu. Zapewne—ale nawet w tej formie, przy wszystkich swych reminiscencjach szekspirowskich, przy pewnym braku spoideł wewnętrznych, dramat ten obfituje w tyle piękności pierwszorzędnych, że — w jubileuszowym zwłaszcza roku jego twórcy—można wymagać dlań takiego choćby powodzenia, jakiem się cieszy w teatrze Letnim — „Ewa Frank“ p. Kozłowskiego... Cóż tu mówić jednak o „Beatrix“, jeżeli „Dziady“, mickiewiczowskie „Dziady“, ze świetnym w roli Gustawa-Konrada Mielewskim, wystawiał Gawalewicz w Filharmońji przy pustych niemal ławkach. A wobec tego nikogo już dziwić nie będą przerażające również pustki w tym teatrze na paru przedstawieniach „Cyda“ w przeróbce Stanisława Wyspiańskiego. O sztuce tej i jej metamorfozach Adam Siedlecki pisał obszernie w pierwszych zeszytach „Sfinksa“ z powodu wystawienia tego dramatu w Krakowie. Tam utwór ten wzbudził zajęcie, wywołał rozprawy, odczyty; u nas, chociaż wystawiony starannie (z Mielewskim znowu w roli tytułowej) przeszedł bez wrażenia, zdając

się potwierdzać zdanie tych, którzy głoszą, że Warszawie sztuka nie potrzebna.

Tak podobno sądziła przed laty, opuszczając scenę warszawską, zmarła niedawno w Ameryce znakomita przedstawicielka sztuki dramatycznej w wielkim stylu, Helena Modrzejewska. Komuż obce to nazwisko, którego rozgłosem rozbrzmiewały do niedawna Europa i Ameryka? Kto jednak wie dziś naprawdę, czem była Modrzejewska dla sztuki? Jedynie przedstawiciele starszego pokolenia krytyków i estetyków, którzy na rozwój jej talentu patrzyli i zachowali w duszach wrażliwych żywe wspomnienie odtwarzanych przez nią kreacji.

Nie znam Modrzejewskiej ze sceny. Widziałem ją raz tylko przed kilku laty; brała wtedy udział—naturalnie w charakterze widza — w pierwszem przedstawieniu „Manru“ Paderewskiego we Lwowie. Występowała potem w Krakowie, między innemi w „Warszawiance“ Wyspiańskiego, ale nie miałem sposobności jej widzieć, więc też nazwisko Modrzejewskiej, jak nazwisko każdego artysty dramatycznego, którego gry nie zna się wcale, będzie dla mnie, jak dla większości współczesnych, dźwiękiem jedynie.

Dłuższe wspomnienia zmarłej artystce poświęcili między innymi Stanisław Tarnowski w „Przeglądzie Polskim“ i Władysław Bogusławski w „Bibljotece Warszawskiej“. „Zostanie po niej—pisze Tarnowski — na długo mamy nadzieję—pamięć i sława rzadkiej istoty, zjawiska niezwykłego, poetycznego. Zostanie jakiś cień, ukazujący się z za mgły czasów, a pociągający urokiem wielkiego talentu, wielkiej energji i odwagi, wielkiej sławy, szlachetnego serca, wielkiej piękności wreszcie. Ale to będzie cień tylko, będzie dalekie, ciche echo tych wrażeń, jakie odnosili współczesni, będzie pamięć i sława, ale bez rzeczywistej znajomości talentu, osoby, znakomitych kreacji. Potomni będą wiedzieli, że była Helena Modrzejewska, że grała w dwuch językach, a była podziwiana na dwuch półkulach świata; ale jaka była ta Marja Stuart,

ta Ofelja, ta Amelja, czy ta Aniela, ta lady Macbeth, czy ta Rozalina, jaką ona grała, tego wiedzieć nie będą, wyobrazić sobie nie będą mieli z czego. To przepadło: *Das Mimen Kunst* kończy się z życiem, a nic nie zdoła przywołać obrazu artysty, jego sztuki, wrażeń, jakie wywoływał. Nic też nie zdoła dać o tem wyobrażenia, wszystkie opisy są niczem i na nic: kto nie widział áktora, ten nigdy nie dowie się, jaki on był. Boleśnie jest myśleć, że jeszcze trochę czasu, a nikt nie będzie wiedział, jaką była Helena Modrzejewska." „Modrzejewska—ciągnie dalej krakowski profesor-jubilat—była zawsze inna, zawsze nowa, zawsze swoją kreację, rolę, tworzyła w myśl poety, z doskonałem zrozumieniem jego myśli i zamiaru. Rozległość tej wyobraźni, jej rozmaitość—była zdumiewająca; ale tej twórczości i rozmaitości cechą i siłą główną była poetyczność wyobraźni. Ona była w swoim zakresie poetą, jak każdy wielki tragik być musi, i każda jej rola, każda postać, przez nią stworzona, robiła wrażenie poetyczne, nosiła na sobie aureolę poezji. Ten urok nadawała rolom pogodnym, spokojnym, wdzięcznym, tak samo, jak najbardziej dręczącym boleścią."

Bogusławski podkreśla również w swem wspomnieniu „ów banalny, a dojmujący swą banalnością pewnik o znikomości wizji, rzucanych na scenę mocą aktorskiego talentu", a starając się określić bliżej istotę talentu Modrzejewskiej, twierdzi, że „klasyczną była w nim forma, romantyczną — tradycja, realistyczną sama koncepcja twórczości aktorskiej". Zasłużony krytyk mówi z naciskiem o nieprzepartym osobistym wdzięku, „który z kobiety spływał na artystkę, od artystki promieniował na każdą jej kreację". „Główny ten element gry Modrzejewskiej, wdzięk osobisty — czytamy dalej — występował w dwojakiej postaci: jako bierny pierwiastek w cierpiących bohaterkach i jako czynnik akcji w heroinach działających..." „Istnieje jedno pole, na którem wdzięk despotycznie panuje nad wszelkiemi innemi czynnikami akcji, tam mianowicie, gdzie sam staje się siłą, występującą w różnych stopniach, począwszy od miękkiej wabności, snującej jedwabną przędzę intrygi w wyższej komedji, aż do potęgi demonicznej, która roznieca namiętności, ściera je w kolizjach dramatycznych, kruszy egzystencje, gromadzi katastrofy i z popiołów po zażegniętych przez siebie i koło siebie pożarach, jak feniks, ciągle się odradza. Na tem polu Modrzejewska wzniosła się do prawdziwego mistrzostwa." Przejrzawszy następnie szereg najważniejszych kreacji znakomitej artystki, te zwłaszcza, które dawały różne odmiany typu kobiety, zbuntowanej przeciw istniejącemu ustrojowi, słów parę poświęca autor stosunkowi Warszawy do tego wyjątkowego talentu: „Warszawa, która tak mało zna się na tem, co *piękne*, a tak ubóstwia to, co *ładne;* Warszawa, której w grze Modrzejewskiej więcej imponowały arystokratyczne mańjery, elegancja, szyk, gustowne stroje, aniżeli mnóstwo innych pierwszorzędnych jej przymiotów—Warszawa czyniła wszystko, ażeby wielka artystka stała się tylko modną artystką."

Z konieczności uciec się musiałem do przytoczenia o Modrzejewskiej wyjątków z artykułów cudzych, ze wspomnień pozgonnych dwuch wybitnych krytyków, którzy rozwój talentu znakomitej artystki mieli sposobność obserwować przez czas dłuższy, sam bowiem, jak zaznaczyłem już, należę do pokolenia, które Modrzejewską zna tylko z tradycji, z zachwytów i uniesień, jakie o grze jej słyszało od innych. Nie mogę jednak zrozumieć, jaka konieczność skłania coraz częściej różnych panów literatów i nieliteratów do czerpania pełnemi dłońmi z cudzych książek i cudzych utworów w celu układania z nich różnego rodzaju „Antologji współczesnych," „Bardów polskich", „Albumów poetów polskich" etc. Kiedyś ułożyli albumy takie Jan Kasprowicz i Leopold Staff, ale po pierwsze są to ludzie kompetentni, zdolni naprawdę do zorjentowania się w twórczości współczesnej i wybrania z niej rzeczy najlepszych i najbardziej dla danego autora charakterystycznych, a po drugie dokonywali oni wyboru utworów, które wejść miały do ich albumów, w *porozu-*

mieniu z autorami i za ich zgodą. Albumy te, ułożone w porządku chronologicznym, zaopatrzone w garść szczegółów biograficznych, miały pewną rację bytu, jako obraz współczesnej twórczości poetyckiej. W podobny sposób to jest w porozumieniu z autorami żyjącymi, ułożył Antoni Lange swą księgę sonetów. Potem jednak nastąpił zwyczaj układania antologji bez pytania autorów, a wzrastająca liczba takich *wydawnictw rabunkowych* (poeta „wybrany“ nie otrzymuje nietylko honorarjum za swe utwory, ale nawet egzemplarza autorskiego) stanowi już istotną krzywdą dla piszących, zarówno materjalną, jak moralną. Materjalną, bo publiczność, której popyt na utwory poetyckie jest wogóle niewielki, zaspakaja go takiemi właśnie wydawnictwami zbiorowemi i nie kupuje zbiorów poezji, stanowiących własność samych autorów. Moralną, bo panowie „układacze“, chwytając na prawo i na lewo, co im z danego autora wpadnie w ręce, ogłaszają nieraz w swych „albumach“ rzeczy słabsze, fałszujące właściwą fizjonomję duchową twórców.

Mam właśnie przed sobą wydaną świeżo w Kijowie grubą księgę o sześciuset przeszło stronach druku p. t. „Bard polski. Album poetów polskich. Zebrał Bolesław Koreywo“. Wydawca zaznacza w przedmowie, że jest „dumny z bogatego piśmiennictwa naszego, z którego nieprzebrane skarby czerpać nam (?) dano, i pragnie dziś obdarzyć (cudzą własnością?) tym przednim a mocodajnym pokarmem duchowym te warstwy społeczeństwa, które dotychczas były albo wcale pozbawione tego pokarmu lub też tylko zdaleka przysłuchiwać się mogły akordom lutni polskiej.“ Brzmi to bardzo pięknie i ma znaczyć, że niezbyt wysoka cena książki (rb. 1 kop. 25) ma ją uczynić przystępną dla warstw szerokich.

Pomijając już to wszystko, cośmy powiedzieli przed chwilą o stosunku „układacza-wydawcy“ do autorów właściwych, wyznać musimy, że jego „Bard polski“ ze względu właśnie na tych przypuszczalnych czytelników jest wydawnictwem chybionem zupełnie; zamiast obrazu twór-

czości poetyckiej może tylko wytworzyć w ich głowach chaos okropny, na który składa się plątanina nazwisk, utworów, barw i dźwięków, dobranych bez żadnej absolutnie myśli przewodniej, bez żadnego sensu. Książka cała wywiera takie wrażenie, jakby p. Koreywo przez pewien czas wycinał sobie wiersze i wierszyki z różnych czasopism i zbiorów poezji, potem zmieszał starannie wszystkie te wycinki i kazał zecerowi układać z nich książkę w takim porządku, jaki się z tej mieszaniny wytworzył. Więc też zecer składał, a maszyna drukarska odbijała Mickiewicza obok Pietrzyckiego, Micińskiego obok Syrokomli, Siemieńskiego obok Daniłowskiego, Deotymę obok Tetmajera, Rygier-Nałkowską obok Cypryjana Godebskiego, Laskowskiego obok Żuławskiego, Paulinę Kraków obok Mirona i t. d., i t. d.—w najoryginalniejszych kombinacjach i zestawieniach. Obok poetów współczesnych znajdzie tam czytelnik autorów dawnych, obok pisarzów polskich—cudzoziemców, a najmniejszy znaczek nie ostrzeże go, że Krzysztof Opaliński nie rozpoczął swej karjery literackiej na początku wieku dwudziestego, a Baudelaire nie siedział na jednej ławie szkolnej z Rydlem lub Jellentą. Jednem słowem — chaos najzupełniejszy. Wiersze jednego autora rozrzuca pan układacz p całej książce, daje okruchy piękne okok słabych zupełnie, pakuje wszystką tę sieczkę w worek jaskrawy i nazywa ten worek „Bardem polskim“, ciesząc się, że będzie on dostępny „dla najszerszego grona czytelników.“

Sądzę, że z tak ułożonej książki ani szerokie, ani wązkie grono czytelników nie odniesie najmniejszej korzyści, autorowie zaś mają prawo i obowiązek protestować energicznie przeciw tego rodzaju wydawnictwom, przedsiębranym bez ich upoważnienia i wiedzy, a przynoszącym im krzywdę prawdziwą.

W jednym z poprzednich zeszytów „Sfinksa“ protestowaliśmy już przeciw tonowi i metodzie, które—ku uciesze żądnej sensacji publiczki—sprowadziły polemikę między redaktorem „Krytyki“ Feldmanem a jego przeciwni-

kami na tory wysoce niewłaściwe. W sprawie tej ogłoszone zostało obecnie następujące oświadczenie kilkudziesięciu pisarzów polskich:

„Od dłuższego czasu toczy się w pewnym odłamie prasy naszej nie przebierająca w środkach kampańja publicystyczna przeciw p. Wilhelmowi Feldmanowi. Świeżo w artykule, uwłaczającym w wysokim stopniu charakterowi pisarskiemu p. Feldmana, jeden z autorów podsuwa myśl, że opinję jego podziela ogół pisarzy polskich: wobec tego poczuwamy się do obowiązku zaznaczenia, że tak nie jest. Nie podzielając bynajmniej wszystkich zapatrywań i sądów p. Feldmana, cenimy go, jako pracownika dobrej woli, który wiedzą swą i talentem zajął w gronie pisarzy polskich godne szacunku miejsce. Wreszcie zastrzegamy się przeciw napastliwemu sposobowi polemiki, jaki zakradł się ostatnimi czasy do literatury polskiej."

Jeden z wpływowych publicystów warszawskich, omawiając protest powyższy, poczuł w nim „zapach kliki i koterji". Jest to niewątpliwie — nadwrażliwość powonienia, nietrudna do skonstatowania, gdy się przeczyta listę podpisanych pod oświadczeniem, której jednak wspomniany publicysta nie uważał za stosowne przytoczyć. Na liście tej spotykamy między innemi nazwiska Aleksandra Brücknera, Gustawa Daniłowskiego, T. T. Jeża, Jana Kasprowicza, Ludwika Krzywickiego, Bolesława Limanowskiego, Jana Lorentowicza, Ignacego Matuszewskiego, Stanisława Przybyszewskiego, Ignacego Radlińskiego, Wacława Sieroszewskiego, Gabryjeli Zapolskiej, Stefana Żeromskiego. Samo zestawienie tych nazwisk świadczy chyba, że wyraz „klika" przyplątał się tu — przez roztargnienie.

W stosunku do p. Feldmana niektórzy publicyści okazują innego jeszcze rodzaju, chociaż pokrewnej wartości, nadwrażliwość. Nie mogą darować redaktorowi „Krytyki" jego — pochodzenia i bądź wyraźnie, bądź pod tą lub inną osłoną wytykają mu, że nie jest—„rzeczywistym

Polakiem." Wpływ naszych *istinnych* sąsiadów nie okazał się, jak widzimy, bezowocnym. Zapominamy już, że o związku z danem społeczeństwem decyduje nie pochodzenie lub rasa, ale poczucie wewnętrzne jednostki, oraz jej praca i użyteczność dla tego społeczeństwa. Zmieniliśmy się widocznie od owej doby, gdy u nas nawet Capenkom, Krugom i Rubinom przebaczono, że chcieli być braćmi naszymi i na naszej ziemi pracować.

Trudno bronić p. Feldmana, gdy w ferworze polemicznym, chociażby nawet obrażony przez kogoś, zaczyna opowiadać w jego powodzeniach lub niepowodzeniach matrymońjalnych. Sądziłbym jednak, że jako powieściopisarz i dramaturg, jako krytyk i publicysta, jako prelegient i redaktor, a nawet jako autor potępianej dziś zaciekle—w piątem wydaniu!—lecz mimo wad i braków pożytecznej pod wieloma względami i, jak dotąd, jedynej u nas historji literatury współczesnej, wogóle jako pracowity, ruchliwy i zdolny pisarz polski obozu postępowego, zdobył już sobie p. Feldman oddawna indygienat polskości i zasłużył na to, aby szanujący się publicyści nie używali w polemice z nim—jawnie lub skrycie—argumentów, godnych chyba Dubrowinów lub Puryszkiewiczów.

I wogóle czas by już było tę krucjatę przeciw redaktorowi „Krytyki", całą tę krzykliwą „Feldmanomachię"— zakończyć.

Wł. Bukowiński.

PRZEGLĄD PRASY.

Przegląd Filozoficzny w drugim zeszycie tegorocznym obok obfitego działu sprawozdawczego zawiera obszerniejsze rozprawy oryginalne dra St. Kobyłeckiego („Przyczyna a powód"). Fl. Znanieckiego („Etyka filozoficzna i nauka o wartościach moralnych), dra K. Lubeckiego („Rys etyki społecznej"), dr. W. Kozłowskiego (Filozofja dziejów i socjologja), E. Abramowskiego („Zagadnienia pamięci w psychologji doświadczalnej").

Wyszedł drugi zeszyt kwartalnika literacko-artystycznego **Lamus** i zawiera w części pierwszej („Dzisiaj") utwory J. B. K.. Wł. Orkana, Bąka, M. Pawlikowskiego, M. Wolskiej, A. Krasińskiego, J. Marcinowskiej, A. Naworskiego, rozprawę L. Kubali („Oblężenie Lwowa w r. 1655"), oraz parę artykułów drobniejszych (odpowiedzi na ankietę w sprawie galerji miejskiej we Lwowie i notatkę o dwuch hymnach do Polski — poety włoskiego Antonia Curti i katalończyka Oriola Mastorelli). W części drugiej („Wczoraj) ogłosiła redakcja kilka listów St. Wyspiańskiego, pisanych w r. 1890 i 1891 do Karola Maszkowskiego, nieznany utwór muzyczny Chopina (Mazur, poświęcony w r. 1832 pannie Aleksandrze Wołowskiej), oraz obszerny poemat Tymona Zaborowskiego p. t. „Klub piśmienniczy". W dziale artystycznym zwracają uwagę piękne reprodukcje portretu córki przez St. Wyspiańskiego i portret Klaczki przez L. Wyczółkowskiego.

Majowy zeszyt **Bibljoteki Warszawskiej** zawiera na wstępie ciąg dalszy pracy prof. Askenazego p. t. „Polska a Europa" (podług dziennika Adama ks. Czartoryskiego), dalej powieść A. Gawińskiego p. t. „Stella", rozprawy: St Szpotańskiego o emigracji polskiej w Anglji, dr. J. Kleinera o muzyce w życiu i twórczości Słowackiego, H. Mościckiego o sprawie włościańskiej na Litwie za panowania Pawła, I, wspomnienia o szkołach polskich przed pół wiekiem przez H. Wójcickiego, artykuł W. Bogusławskiego o Helenie Modrzejewskiej, sprawozdanie z wystaw francuskich przez K. Ostrowskiego, przegląd piśmiennictwa, kronika miesięczna, wspomnienia pozgonne i notatki a w dodatku p. t. „Praca" rzecz o uzdrowotnieniu Warszawy w przebiegu historycznym i stanie obecnym głównych urządzeń zdrowotnych przez inż. E. Sokala.

Kultura polska w zeszycie czerwcowym zamieszcza na wstępie parę trafnych uwag o „trzech społeczeństwach w jednym narodzie", zwracając uwagę na szkodliwość braku jednolitości w dążeniach naszych w trzech zaborach. W feljetonie „Pokłosie" omawia p. H. D. dwa sądy: nad Ewą i nad sędziami gminnymi i poświęca nieco miejsca sprawom teatru. Z innych artykułów tego zeszytu wymienimy jeszcze treściwe sprawozdania z trzech ostatnich nowości belletrystycznych: „Chłopów" Reymonta, „Dzieci" Prusa i „O czem się nie mówi" Zapolskiej.

W ostatnich paru zeszytach **Tygodnika Ilustrowanego** znajdujemy ciekawe studjum Wacława Sobieskiego p. t. „Na Wawelu a na Kremlu", gdzie autor przeprowadza paralelę między czasami Zygmunta Augusta w Polsce a Iwana Groźnego w Rosji. Józef Weyssenhof obok rozwijającej się zajmująco nowej powieści swojej p. t. „Unja", zamieścił w **Tygodniku** „rozmowę literacką" o epopei chłopskiej, jak słusznie nazywa świeżo ukończonych „Chłopów" Reymonta, którego portret, według oryginału M. Jakimowicza, zajął kolumnę całą w № 24. W tym samym numerze rozpoczął prof. Askenazy druk nader ciekawego wynurzenia „Z niedawnej przeszłości" o swym stosunku z wpływowym gienerałem-adjutantem Ottonem von Richterem, poznanym przez autora w Petersburgu w r. 1905. Z illustracji zwracają uwagę w ostatnich numerach podobizny nagrodzonych i odznaczonych projektów pomnika Chopina, oraz rzeźb artystów obcych, którzy w konkursie brali udział w charakterze sędziów.

„Aktualnemi" artykułami i illustracjami zapełnione są również ostatnie zeszyty **Świata**: konkurs na pomnik Chopina, jubileusz Tarnowskiego, stulecie Haydna, piędziesięciolecie zjednoczenia Włoch i inne sprawy bieżące omówione tu zostały w krótkości piórem, ołówkiem i aparatem fotograficznym. Z artykułów publicystycznych zwraca uwagę rzecz p. A. Ch. z Krakowa p. t. „W pochodzie ku sercu Polski (podbój pruski u wrót Krakowa)". W dodatku powieściowym p. t. „Romans i powieść" drukuje **Świat** dalszy ciąg powieści Gąsiorowskiego p. t. „Emilja Plater" i „Marzyciela" Reymonta.

W ostatnich numerach **Prawdy** obok dalszego ciągu VI części „Duchów" Aleksandra Świętochowskiego, wyróżniają się artykuły społeczne i polityczne pp. I. Moszczeńskiej, J. Langego, L. Goreckiego i innych. Dr. Bronisław Pawłowski omawia w dłuższem studjum „Kwestję włościańską w Królestwie Polskiem 1815—1831 r." Tadeusz Miciński pisze pięknie o „Dumie o hetmanie" Żeromskiego.

Spokojna i uległa kościołowi **Biesiada Literacka** wystąpiła na równi z innemi pismami polskiemi przeciwko znanemu *veto* kardyna-

ła Puzyny w sprawie pochowania prochów Słowackiego na Wawelu. Redaktor Synoradzki nie traci jednak nadziei, że kardynał cofnie swoje *veto*, chociażby dla utrzymania w wierności i miłości dla religji i kościoła najsilniej dotkniętej tą sprawą młodzieży. **Biesiada** obok artykułów ¡o sprawach bieżących, drukuje powieść z czasów Saskich W. Gomulickiego p. t. „Siódme amen Imci Pana Mokrzeckiego", oraz powieść współczesną S. Kondratowicza p. t. „Cherlaki". Na wyróżnienie zasługuje w **Biesiadzie** sumiennie prowadzony przegląd książek i miesięczników, nadsyłanych Redakcji.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZJA. Gacki Stefan „Stieńka Razin". Poemat. Warszawa 1908.—Podhorska Jadwiga „Ballady i Poezje". Kraków 1909.—Rogron J. A. „Wieczne nowiny", poezje religijne. Skł. gł. w księg. Z. Jelenia w Tarnowie. 1909.—Różycki Zygmunt „Płomienne kwiaty" tom XVI „Nowości Literackich".—„Słowackiego Juljusza Dzieła zbiorowe" zeszyt I Bibljoteki Klasyków polskich" pod red. prof. T. Piniego. Lwów księg. Altenberga. Warszawa E. Wende i Sp. 1909.

DRAMAT. Bartkiewicz Zygmunt „Stare gniazda — nowe ptaki". tom XV „Nowości Literackich".—Galica Andrzej „Przysięga". Kraków. 1909.—Nowaczyński Adolf „Smocze gniazdo". Edycja wtóra przejrzana i poprawiona. Warszawa. G. Centnerszwer i Sp. 1909.—Staff Leopold „Igrzysko". Lwów, B. Połoniecki, Warszawa E. Wende i Sp. 1909.—

POWIEŚĆ I NOWELA. Daniłowski Gustaw „Jaskółka". Wyd. II. Spółka nakładowa „Książka". Kraków. 1909. — Gliński Kazimierz „Zaloty Króla Jegomości" powieść obyczajowa z czasów Jana Olbrachta. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1909.—Grabowski Ignacy „Czarna dama". Warszawa. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 1909. — Kraszewski Kajetan „Humoreski". Warszawa. Gebethner i Wolff. 1909. — Jeż T. T. „Wasyl Hołub". Warszawa. Gebethner i Wolff. 1909.—

HISTORJA. Blos Wilhelm. „Rewolucja Francuska", wyd. II. Spółka Nakładowa „Książka", Kraków. 1909. — Kraushar Aleksander „Kunegunda z ks. Giedroyciów Białopiotrowiczowa". Odbitka ze „Sfinksa". 1909.—Łuniński Ernest „Berek Joselowicz i jego syn". Warszawa. Tow. Akc. S. Orgelbranda synów. 1909.—

SZKICE LITERACKIE. Chrzanowski Ign. „Władysław Nehring" Wspomnienie pośmiertne przez Ign. Chrzanowskiego i bibljografja prac naukowych przez A. Babiaczyka. Warszawa. E. Wende i Sp. 1909. — Przewóska M. Cz. „Eliza Orzeszkowa". Wyd. II. Skł. gł. w księg. L. Biernackiego. Warszawa. 1909.—

PEDAGOGIKA. dr. Foerster Fr. W. „Szkoła i Charakter" Warszawa Gebethner i Wolff. 1909.—

PUBLICYSTYKA. dr. Posadzy Ludwik „O posłannictwie Narodów Europejskich", Inowrocław. 1909.—

VARIA. X. Rokoszny Józef. „Przewodnik po Sandomierzu". Sandomierz. 1909. —